

MATTHEW PEARL
CIEN' POEGO

Przełożył
PAWEŁ ŁOPATKA

Tytuł oryginału *The Poe Shadow*

GTW

Rodzicom

Od wydawcy: Na kartach niniejszej książki
zostaje wyjaśniona zagadkowa śmierć Edgara Allana Poe
w tysiąc osiemset czterdziestym dziewiątym roku.

* * *

Oto, Wysoki Sądzie i Panowie Przysięgli, ujawnię prawdę o śmierci jego oraz życiu moim. Historii tej nigdy dotąd nie ogłaszałem. Choćbym utracił wszystko, opowieść ta zostanie w sercu moim na zawsze. Są w mieście naszym tacy, co się starali jej zapobiec. Siedzą tu pośród nas osoby, którym się nadał jawię przestępcą, wyrzutkiem, kłamcą i podstępny zbrodniarzem. Ja, Panie Sędzio, Quentin Hobson Clark, obywatel Baltimore, członek adwokatury i zapalony miłośnik czytelnictwa.

Lecz nie o mnie to opowieść. Proszę, weźcie to łaskawie pod uwagę! Żadną miarą mnie ona nie dotyczy, bom w życiu nigdy nie kierowałem się ambicją. Co zatem usłyszycie, nie wypływa z chęci zaistnienia wśród mej klasy czy też zyskania przychylności w oczach wyższych rangą. Rzecz dotyczy fenomenu, co znacznie przerasta i mnie, i całe to dzisiejsze zgromadzenie; człowieka, dzięki któremu świat będzie nas pamiętać, mimo że o nim samym zapomniano niby w jednej chwili. Ktoś musiał się tego podjąć. Nie sposób było milczeć. Ja nie mogłem.

Każde moje słowo będzie czystą prawdą. Którą wyjawić muszę, bo jestem - spośród żywych - jej najbliższy.

Tak osobliwie się to zwykle dzieje, iż prawda zawarta jest w historii tych, co się już pożegnali z życiem...

Uwagi wyżej przytoczone zapisałem w swym notesie (ostatnie zdanie, dodam, wykreśliłem, opatrując je krytycznym wykrzyknikiem: „filozofia!”). Przed wejściem na salę sądową notowałem to w akcie desperacji, by stawić czoło moim oszczercom, ludziom, co mój upadek chcieli widzieć jako triumf. Jestem prawnikiem, więc uznacie pewnie, iż perspektywa występu przed tłumem gawiedzi, byłych przyjaciół i dwóch może mnie jeszcze miłujących kobiet to nic dla kogoś z moim doświadczeniem. Lecz niesłusznie. W moim zawodzie bowiem nade wszystko stawiać należy interesy cudze. I nigdy się nie wie, co zostanie ocalone, ani też - jak walczyć o ocalenie własne.

KSIĘGA PIERWSZA
8 PAŹDZIERNIKA 1849

1

Dokładnie pamiętam dzień, w którym się to zaczęło, czekałem bowiem na pewne ważne pismo. Pamiętam także dlatego, że właśnie miałem się zaręczyć z Hattie Blum. I co najważniejsze - wtedy też zobaczyłem go martwego. Blumowie mieszkali tuż obok nas. Hattie była najmłodszą i obdarzoną największym urokiem z czterech sióstr, które uchodziły za najpowabniejsze młode panny w całym Baltimore. Z Hattie znałem się od dzieciństwa, o czym aż nadto często przypominano nam obojgu całe lata. Mam wrażenie, że każdy, kto mówił, jak długo już trwa nasza znajomość, chciał zarazem powiedzieć: „i z całą pewnością zbliżycie się jeszcze bardziej”.

Istotnie, pomimo całej presji ze strony otoczenia, ciśnienia, przez które mogliśmy się do siebie nawzajem zniechęcić - już w wieku lat jedenastu stałem się jakby mężem Hattie. Nie deklarując otwarcie swej miłości do niej, starałem się uszczęśliwiać ją różnymi drobiazgami, podczas gdy ona w zamian bawiła mnie rozmową. Subtelny jej głos brzmiał mi nieraz niby kołysanka.

Ja zresztą również - w sytuacjach towarzyskich - zwykłem zachowywać się tak cicho i spokojnie, że gdy już zabierałem głos, często mnie pytano, czy aby się przypadkiem dopiero nie zbudziłem. Choć nieraz, gdy się znalazłem w wąskim kręgu znajomych, zdarzało mi się popadać w gadulstwo czy wręcz beładny słowotok. Dlatego też wprost upajałem się możliwością ożywionej pogawędki z Hattie. Byłem od tych rzadkich, kradzionych czasowi rozmów niemal uzależniony. Tak myślę, będąc z nią, nie musiałem skupiać się na sobie; mogłem czuć się szczęśliwy, skromny, lecz przede wszystkim - swobodny.

Należałoby tu zaznaczyć, iż pamiętnego popołudnia, które rozpoczyna tę opowieść, nie wiedziałem, że oczekuje się ode mnie oświadczeń. Wybrawszy się wtedy z naszej kancelarii adwokackiej na pocztę, przypadkiem spotkałem na ulicy znaną w najlepszych sferach Baltimore panią Blum - ciotkę Hattie. Pani Blum natychmiast stwierdziła, że obowiązek odbierania poczty należy zlecić komuś z pomniejszych i nie tak jak ja zajętych urzędników.

- Doprawdy, osobiwy z pana okaz, panie Clark! - powiedziała. - Wędruje pan tak sobie w godzinach pracy, a gdy nie pracuje, wtedy przybiera minę niezwykle zajętego!

Jak przystało na rodowitą mieszkankę Baltimore, pani Blum odnosiła się do mężczyzn pozbawionych żyłki do interesów z taką samą pogardą jak do dziewcząt, którym Pan Bóg poskąpił urody.

I takie to było Baltimore; bez względu na pogodę - piękną czy, jak tego dnia, szarą i mglistą - całe z czerwonej cegły; pospieszne, hałaśliwe i pozbawione radości, jak kroki ludzi przemierzających wybrukowane ulice i marmurowe schody. Właśnie radości brakowało najbardziej w naszym - idącym z duchem czasu - mieście, gdzie nad gwarną zatoką wzniesiono okazałe domy. Kawę i cukier zwoziły tu z Ameryki Południowej i wysp Indii Zachodnich ogromne klipy, stąd zaś w stronę Filadelfii i Waszyngtonu ślano koleją beczki pełne ostryg oraz mąki. Wtedy to w mieście Baltimore nikt - nawet biedak - nie wyglądał biednie, o czym zdawały się oznamiać światu napisy na markizach nad niemal co drugim sklepem.

I gdy tak wędrowaliśmy główną ulicą, pani Blum z uśmiechem ujęła moją rękę.

- Wszystko zatem gotowe na wieczór dzisiejszy - oświadczyła.

- Dziś wieczór - powtórzyłem, zastanawiając się, co takiego ma na myśli.

Wspólnik mój, Peter Stuart, wspominał coś o kolacji u jednego ze znajomych naszych. Bez reszty pochłonięty listem, który miałem odebrać, o przyjęciu owym zupełnie zapomniałem.

- Dziś wieczór, naturalnie, proszę pani! Już się nie mogę doczekać.

- A wie pan - ciągnęła moja towarzyszka - wie pan, nie dalej jak wczoraj słyszałam na Market Street (osoby z jej pokolenia nadal tak nazywają Baltimore Street), że najpiękniejszą z niezamężnych w mieście jest panna Hattie?!

- Jeśli, ośmielę się twierdzić, nie najpiękniejszą panną w ogóle - odparłem.

- Cóż za poczucie humoru! - rzekła na to pani Blum. - No, ale to na nic... Na karku dwadzieścia siedem wiosen, tymczasem wciąż kawaler, no i... Nie, nie, nie, Quentinie, tylko mi, proszę, nie przerywaj! Stateczny młodzieniec nie...

Dalsze jej słowa zagłuszył zgiełk dwu powozów.

„Jeżeli który z nich to fiaker - pomyślałem - zaraz ją tam wsadzę i zapłacę podwójnie”. Okazało się jednak, że to pojazdy prywatne. Najpierw minął nas... szykowny, lśniący karawan. Konie miały łby pochylone, jakby z szacunku dla wiezionego nieboszczyka.

Co zresztą spostrzegłem tylko ja. Nikt inny.

Pożegnałem się wreszcie z panią Blum (obiecując jej przy tym, iż znów, z wiadomej okazji, spotkamy się wieczorem) i ruszyłem w swoją stronę. Po drodze musiałem minąć wojownicze stadko świń - a potem przez Greene Street skierowałem się ku Fayette, gdzie stała karetka żałobna i karawan.

Na cichym cmentarzu zaczęła się i szybko kończyła uroczystość pogrzebowa. Przez mgłę niełatwo przyszło mi dojrzeć jej uczestników. Poczujęm się jak we śnie; zamazane sylwetki i niejasne przeświadczenie, że nie powinienem na to wszystko patrzeć. Stałem tuż przy bramie, toteż z przemowy duchownego niewiele do mnie doszło. Poza tym nie mówił głośno, bo też nie zgromadziło się zbyt wielu żałobników.

W życiu nie widziałem smutniejszego pogrzebu.

Pogoda? Nie. Może więc, że zmarłego żegnało zaledwie cztery czy pięć osób - czyli minimum wymagane przy takich okazjach...? A może melancholia owa wynikała głównie z pośpiechu, w jakim zakończono czyjaś ostatnią ceremonię... Bo ani przy pochówkach największych nędzarzy, jakie oglądałem wcześniej, ani też na pogrzebach na biednym żydowskim cmentarzu nieopodal nigdy nie zdarzyło mi się odczuć tak niechrześcijańskiej obojętności. Na grób nie położono choćby kwiatka i nikt jednej łzy nie uronił...

Gdy w końcu dotarłem na pocztę, okazało się, że już zamknięta. Nie miałem pojęcia, czy czeka mnie list, po który się wybrałem - lecz powróciwszy do biura, stwierdziłem, tłumiąc niepewność: Niebawem znów wieść od niego przyjdzie.

Przy wieczornym przyjęciu wybrałem się z Hattie Blum na przechadzkę truskawkowym polem, o tej porze roku uśpionym, lecz dziwnie latem i piknikami z szampanem pachnącym. Z Hattie, tak jak to zwykle, gawędziło się cudownie.

- Profesja moja bywa tak intrygująca - powiedziałem. - Choć chyba powinienem dobierać sprawy z większą wnikliwością. Podobno pewien adwokat w starożytnym Rzymie poprzysiągł sobie występować jedynie w słusznych, jego zdaniem, sprawach, tymczasem my zgadzamy się bronić ludzi, którzy nam słusznie płacą.

- Zawsze możesz zmienić kancelarię. Ostatecznie, Quentynie, trzeba dbać o reputację. Nie dostosowuj się do okoliczności; jak o pracę chodzi, ty się przede

wszystkim musisz czuć na miejscu.

- Tak myślisz?

Zapadał zmierzch. Hattie jakby ucichła - czyżbym się więc nagle nieznacznie rozgadał? Z uwagą przyjrzałem się jej twarzy; nic jednak nie wskazywało, skąd tak niespodziewana zmiana nastroju.

- Bawiłeś mnie - rzekła nieobecny tonem, tak jakbym miał tego nie usłyszeć.

- Hattie?

Spojrzała na mnie.

- Przypomniało mi się, jak byliśmy dziećmi. Wiesz, że z początku miałam cię za głupca?

- No, pięknie - zachichotałem.

- Gdy się mną zajmowała ciocia, bo mama wciąż na co innego chorowała, a ojciec wywoził ją na wieś, ty przychodziłeś się ze mną pobawić. Tylko ty jeden umiałeś mnie rozśmieszyć, bo się zawsze śmiałeś z takich dziwacznych rzeczy, aż w końcu rodzice wracali... - wypowiedziała to rozmarzona, podnosząc kraj spódnicy, by jej nie poplamieć moką ziemią.

Później, kiedyśmy zmarznięci wrócili do domu, Hattie rozmawiała chwilę z ciotką - o wiele bardziej zasadniczą, niż gdy ją spotkałem po południu. Pani Blum zapytała, jak ma jej urządzić urodziny.

- Faktycznie, ciociu, to niedługo - odparła Hattie. - Znów wyleciało mi to z głowy. No tak, ale w tym roku... - urwała posępnie.

I prawie nie tknęła kolacji.

A mnie ogromnie to zaniepokoiło. Tak jakbym się znowu zmienił w jedenastoletniego obrońcę - jej obrońcę. Hattie była mi tak bliska, że gdy coś ją trapiło, ja się też z tym zmagalem. Może więc tylko z egoistycznych pobudek próbowałem jej poprawić nastrój?... Tak czy inaczej, całym sercem życzyłem jej prawdziwego szczęścia.

I pozostali goście - wśród nich mój wspólnik Peter - także starali się ją rozweselić, ja zaś - niby jakiś strażnik - pilnowałem, by przypadkiem ktoś jeszcze bardziej Hattie nie zafrasował...

Choć muszę wyznać, że coś mi jednak utrudniało to zadanie. Mam na myśli wspomnianą ceremonię pogrzebu. Nie umiem rozsądnie wyjaśnić, na czym to właściwie

polegało, a jednak - zupełnie zakłóciło me rytmy owego wieczoru.

Znów przywołałem w myślach obraz uroczystości. Przemowy przyszło wysłuchać zaledwie czterech mężczyzn. Jeden z nich, nieco wyższy od reszty, stał z tyłu, zapatrzony w przestrzeń, tak jakby gdzieś w oddali widział prawdziwe źródło swego niepokoju. Później zaś, kiedy wszyscy skierowali się już ku drodze, zapamiętałem ponuro ich wykrzywione usta. I chociaż twarze żałobników były mi obce, ich także nie zapomniałem. Tylko jeden na moment zwolnił, jak gdyby przypadkowo usłyszał moje myśli. Krótka rzecz nazywając, uroczystość miała w sobie coś niegodnego; oto bowiem zmarł człek szczególny, lecz pochowany nie został z należnym mu szacunkiem.

Bez reszty pochłonięty tym wspomnieniem, nie umiałem wesprzeć zasmuconej Hattie. I tylko - gdy wraz z ciotką wychodziła z przyjęcia (znacznie zresztą wcześniej niż inni goście) - skłoniłem się, taktownie wyrażając żal, iż tak prędko nas opuszczają. Kiedy niedługo potem Peter oznajmił, że czas już kończyć wieczór, odczułem wielką ulgę.

- No, słucham, Quentin, co z tobą? - wybuchnął Peter, kiedyśmy wracali z kolacji wynajętą dorożką.

W pierwszym odruchu chciałem mu opowiedzieć o pogrzebie, on jednak by nie zrozumiał, czemu aż tak mnie to zaprzęta. Prócz tego minę miał tak poważną, iż zaraz się domyśliłem, że w istocie pytanie odnosi się do czegoś zgoła innego.

- O co ci chodzi, Peter? - zapytałem.

- Czyżbyś się zdecydował dziś jednak nie oświadczyć Hattie Blum? - wykrzyknął z głośnym westchnieniem.

- Ja miałbym się oświadczać? A to czemu?

- Za kilka tygodni skończy dwadzieścia trzy lata. Co dzisiaj, tu w Baltimore, czyni ją właściwie starą panną! Nie kochasz jej więc ani odrobinę?

- Jak można nie kochać Hattie Blum? Daj spokój... Choć... Zaraz, zaraz, Peter! Skąd przypuszczenie, że mamy się zaręczyć, i to dzisiaj? Czy choć raz tobie wspomniałem, że mam wobec niej takie plany?

- Skąd przypuszczenie...? Dziwne, bo ja doskonale pamiętam, że tego dnia i miesiąca zaręczyli się twoi rodzice. Tymczasem tobie wypadło to z pamięci i to akurat dziś wieczorem?!

Rzeczywiście - całkiem o tym zapomniałem, co też nie zmienia faktu, iż nadal nie

mogłem pojąć tak osobliwej konstatacji. Peter wyjaśnił mi potem, iż pani Blum była święcie przekonana, że wykorzystam tę kolację, by poprosić o rękę Hattie - a jako że, jej zdaniem, sugerowałem to, gdyśmy się spotkali parę godzin wcześniej, powiadomiła o tym i jego, i oczywiście dziewczynę, aby się przypadkiem nie zdziwili. Tak więc to ja nieświadomie przysporzyłem Hattie cierpień. To moja podłość ją zraniła!

- A kiedy, jak ci się wydaje, byłaby na to lepsza pora? - ciągnął Peter. - Jeśli nie w tak ważną dla ciebie rocznicę?! Kiedy? To przecie jak słońce jasne.

- Yyy... Nie zdawałem sobie sprawy... - wyjąkałem.

- Jak mogłeś nie wyczuć, że ci to pisane? Że masz rozpocząć w życiu nowy okres? O, już do ciebie dojeżdżamy. Ufam, iż po tym wszystkim będziesz spał spokojnie. Biedna Hattie zapewne płacze teraz w poduszkę!

- Wiesz dobrze, że nie chciałem jej sprawić bólu - odrzekłem. - Żałuję, że nie wiedziałem, czego się po mnie oczekuje... I że, jak widać, od dawna spodziewali się tego wszyscy wkoło...

Peter chłodno przytaknął, uznawszy to zapewne za wyznanie winy.

Chciałem się oświadczyć Hattie i chciałem ją poślubić! Samą swą obecnością nadawała sens mojemu życiu. Zawsze na jej widok, a też gdyśmy się nie mogli spotkać, już na samą myśl o niej promieniałem. Jednak znaliśmy się od tak dawna, iż nagłe wprowadzanie zmian w naszej zażyłości poprzez akt oświadczyń zdawało mi się niestosowne.

- I nad czym tak dumasz? - spytał Peter, marszcząc brew, gdy zamykałem drzwi dorożki, by się z nim pożegnać.

Z powrotem otwarłem drzwiczki.

- Widziałem dzisiaj pogrzeb - odparłem, stwierdziwszy, że choć trochę zdołałem się zrehabilitować. - Wiesz, tak mnie to rozstroiło, bo chyba... - urwałem, nie znajdując słów właściwych, by mu wytłumaczyć, jak mocno przeżyłem ową uroczystość.

- Pogrzeb! Obcej osoby! - zawołał Peter. - A cóż ty, na miły Bóg, z cudzym pogrzebem masz wspólnego?

Wiele - z czego wówczas jeszcze nie zdawałem sobie sprawy.

Nazajutrz rano wstałem i narzuciwszy szlafrok, zszedłem do salonu, by przejrzeć

gazetę, w nadziei, że lektura pozwoli mi się oderwać od zdarzeń minionego dnia. Istotnie, nawet gdyby mnie ktoś zdążył ostrzec, co przeczytam, zapewne wstrząsnęłoby to mną tak samo; tak silnie, iż... zupełnie zapomnę o swych wszelkich troskach. Otóż - gdy otworzyłem dziennik, zwrócił mą uwagę niepozorny nagłówek:

„Zmarł Edgar Allan Poe”.

Wpierw odłożyłem gazetę, lecz zaraz chwyciłem ją ponownie, odwracając stronicę, aby poczytać o czym innym. I znów zatrzymawszy wzrok na owej krótkiej nocie, zacząłem ją powtarzać na głos:

„Edgar Allan Poe, wybitny amerykański poeta, uczony i krytyk, zmarł w wieku lat trzydziestu ośmiu”.

Przecież to niemożliwe! Miał lat trzydzieści osiem, a wiedzę - jakby żył sto razy dłużej... „Urodzony w naszym mieście”. Coś niebywałego! (Jakież to wszystko wydało mi się wątpliwe, nim zdążyłem się dowiedzieć znacznie więcej).

Nagle dotarł do mnie sens czterech słów:

„Urodzony w naszym mieście”.

Naszym? Nie była to wiadomość agencyjna, co znaczy, że zmarł w Baltimore. A więc też zapewne tu został pochowany. Czy miałby to być ów pogrzeb na rogu Greene i Fayette? Nonsens! Bo nędznego pochówku, co go tam oglądałem, nikt by się nie ośmielił nazwać uroczystością... Ot, złożenie do grobu - tak zapamiętałem tę żalospną w najwyższym stopniu „ceremonię”.

Owego dnia w kancelarii Peter prawił mi niekończące się kazanie na temat mego zachowania wobec Hattie - lecz ja nie mogłem podjąć z nim dyskusji, zaintrygowany wieścią o śmierci poety. I posłałem dozorcę cmentarzyka list z prośbą o potwierdzenie mych domysłów. „Nieszczęsny Poe”, odpisał. Więc się nie myliłem! Spiesząc znów na pocztę, by sprawdzić, czy coś do mnie nie nadeszło, wciąż analizowałem w myśli okoliczność, której stałem się mimowolnym świadkiem.

Chłód i bezduszość... To tak Baltimore pożegnało zbawcę naszej literatury, najbliższego mi pisarza i - kto wie - może nawet przyjaciela? Zupełnie nie umiałem opanować rosnącego gniewu, gniewu, który tłumi wszelkie inne uczucie. Niezdolny sprostać irracjonalnym emocjom, jakie się we mnie zaczęły piętrzyć owego popołudnia, jakże dotkliwie musiałem wtedy zranić Hattie! Był ulubionym moim autorem i zmarł

przypuszczalnie gdzieś w pobliżu, lecz tu jednak chodziło o coś dla mnie znacznie ważniejszego. Niełatwo w paru zdaniach zawrzeć istotę rzeczy; trudno tłumaczyć, czemu ja - człek młody i pełen nadziei na przyszłość, człowiek, któremu każdy w mieście zazdrościł i sukcesów, i perspektyw - śmierć ową przeżyłem tak boleśnie.

Niemniej spróbuję to nazwać. Otóż - nie mając wówczas tego świadomości - widziałem go ostatni, a raczej gdy tamtym było tak spieszno, ja jeden do końca patrzyłem, jak grudki ziemi zakrywają trumnę, jak to się dzieje co dzień z niezliczonymi bezimiennymi, anonimowymi ciałami.

Trafił mi się klient nieboszczyk, a rozprawa miała się odbyć w dniu Sądu Ostatecznego.

W taki to - sardoniczny - sposób odniósł się do rzeczy Peter kilka tygodni później, gdy rozpocząłem swe, brzemienne w skutki, dochodzenie. Mojemu wspólnikowi, mężczyźnie nieobdarzonemu wybitnym umysłem, trafiło się pewnie wygłosić sardoniczną uwagę najwyżej trzy, cztery razy w życiu, możecie więc sobie wyobrazić jego poruszenie, kiedy mi to powiedział. Peter - wysoki i krępy - był ode ranie zaledwie o kilka lat starszy, lecz wzdychał niby starzec, zwłaszcza na wspomnienie nazwiska Poe.

Gdy byłem nastolatkiem, los mój określała fascynacja literackimi dziełami Edgara Poe, jak również, o czym wiecie, przywiązanie do Hattie Blum.

Peter już jako młody chłopak odnosił się do mojego małżeństwa z Hattie tak, jakby chodziło o interes. Był ponad wiek roztropny; od siebie równych wiekiem rozsądniejszy. Kiedy zmarł mu ojciec, rodzice moi - za pośrednictwem Kościoła - wspomagali zadłużoną i niemal pozbawioną środków do życia panią Stuart, a mój ojciec zaczął go traktować jak drugiego syna. Z wdzięczności Peter z całą pokorą i bezkrytycznie przyswoił sobie jego światopogląd - czego po mnie dość trudno byłoby oczekiwać. Toteż wielu obcych postrzegało Petera jako prawowitego Clarka, mnie zaś jako marnego pretendenta do nazwiska.

Dość powiedzieć, że Peter wyrażał się o mych upodobaniach literackich identycznie jak ojciec. „Ten cały Edgar Allan - nierzadko obaj mawiali - ten Poe, którego czytasz z takim zapalem, to autor niegustownie osobliwy”. Czytanie książek po to, aby zagłuszyć nudę, uważali za zwykłą rozpustę, przydatną światu w równym stopniu jak

popołudniowa drzemka. Literatura powinna uwznioślać, nie zaś - jak fantazje Poe'go - paraliżować ducha!

Tak zresztą widziała jego sztukę większość, a ja sam z początku... również. Po raz pierwszy zetknąłem się z jego twórczością jeszcze jako chłopiec, przeczytawszy w „Gentleman's Magazine” opowieść zatytułowaną *William Wilson*. Przyznaję: niewiele z niej zrozumiałem. Nie potrafiłem tam odnaleźć początku ani końca, ani też określić, co wzięło się z rozumu, a co z szaleństwa. Metaforycznie rzecz ujmując, usiłowałem wczytywać się w historię za pomocą zwierciadła. Wreszcie doszedłem do wniosku, że w pismach ilustrowanych nie publikują geniusze, a Poe genialnego talentu żadną miarą nie posiada.

Lecz przecież byłem chłopcem. I zdanie o pisarzu zmieniłem dopiero, przeczytawszy jeden z utworów, w jakich celował, to jest opowieść detektywistyczną pod tytułem *Zabójstwo przy rue Morgue*. Jej główny bohater, młody Francuz C. Auguste Dupin, rozwiązuje zagadkę wstrząsającej zbrodni na dwóch kobietach. Ciało jednej zostaje znalezione w paryskim domu, wepchnięte do kominka nogami do góry. Matce jej zaś poderżnięto gardło tak okrutnie, że gdy policja próbuje podnieść zwłoki, głowa odrywa się od tułowia. Obląkana istota, która popełniła tę makabrę, nie tknęła zostawionych w pokojach na widoku kosztowności. Szczególny charakter morderstw wprowadził w najwyższe zdumienie paryską policję, a także dziennikarzy i świadków. Wszystkich - prócz C. Auguste Dupina.

Który wiedział.

Rozumiał, iż poprzez swą tajemniczość przestępstwa owe stają się łatwe do rozwikłania, bo tak się wyróżniają na tle popełnianych co dnia trywialnych zbrodni. Policja i dziennikarze uznali, iż morderstw tych w żadnym wypadku nie mógł popełnić człowiek. Rozumowanie Dupina oparte było na metodzie, którą Poe określił „teorią możliwości”, polegającej na stosowaniu wyobraźni w celach analitycznych; za pomocą analizy zaś detektyw miał się wznieść na imaginacji wyżyny. Metodę ową wykorzystując, Dupin wykazał, iż upiornych zbrodni dopuścił się rozwścieczony złym traktowaniem przez ludzi... orangutan.

Z perspektywy zwykłego obserwatora szczegóły pozornie mogłyby zostać odczytane jako czysty absurd. Gdy tylko jednak podważymy wiarygodność całej sytuacji,

wszystko, co w niej złożone, zaczyna się układać w logiczny ciąg wydarzeń. Poe ostrzy ciekawość czytelnika do granic nieopisanych i trzeba to podkreślić: z duszą. Historie, gdzie tak istotną rolę odgrywa ta teoria, zdobyły ogromne uznanie masowego odbiorcy, aczkolwiek - moim zdaniem - wbrew intencjom autora. Czytelnik przypadkowy z satysfakcją śledził, jak się rozwiązuje rzecz nierozwiązywalna, artyście jednak chodziło o coś zdecydowanie ważniejszego. „Moim ostatecznym celem jest czysta prawda”^{*} - mówi do swego przyjaciela Dupin. Otóż, w moim pojęciu, Edgar Poe dążył wyłącznie do prawdy i, jak chodzi o recepcję jego twórczości, to właśnie było dla wielu najbardziej niepojęte i straszne. Rzecz bowiem nie w tym, iż pragnie się zgłębić tajemnicę; o ponadczasowej głębi opowieści stanowi ludzki umysł.

I oto ja, czytelnik, odkryłem coś nowego - wspólność odczuwania. Za sprawą słów autora poczułem się nagle mniej osamotniony w świecie. Być może właśnie dlatego okoliczność jego śmierci, dla innych absorbująca co najwyżej dwie doby, na mnie wywarła wrażenie tak ogromne.

Ojciec mój mówił, że prawdy szukać należy w umysłach trudniących się uczciwą pracą dżentelmenów, nie zaś w potwornych i absurdalnych powiastkach byle pismaka z ilustrowanego magazynu. Dla niego Geniusz był bezużyteczny. Mawiał, iż od żołnierzy pełniących służbę w armiach świata wymaga się spełniania prostych życiowych obowiązków, a Pracowitość i Przedsiębiorczość są w większej cenie od Geniuszu, właściwości zbyt kruchej, by mogła komuś dać zaistnieć. Sam wprawdzie trudnił się hurtowym pakowaniem żywności, wyznawał jednak pogląd, iż młody człowiek powinien zostać prawnikiem, ponieważ, lubił podkreślać, profesja ta gwarantuje sukces. Peterowi zaś prospekt takiej kariery objawił się krainą wiecznej szczęśliwości.

Osiągnąwszy wiek dojrzały, Peter podjął praktykę w poważanej kancelarii adwokackiej i terminując tam, został zauważony jako autor gruntownego *Skorowidza prawa Maryland od roku tysiąc osiemset trzydziestego czwartego do tysiąc osiemset czterdziestego trzeciego*. Wkrótce potem ojciec mój wyłożył środki finansowe na jego prywatną kancelarię i wtedy też stało się oczywiste, iż mam się uczyć i pracować pod kierunkiem przyjaciela. Jeśli mnie pamięć nie myli, to nawet mi nie powstało w głowie, by się owemu planowi sprzeciwić.

„Prawdziwy z ciebie szczęściarz - pisał do mnie Peter, gdy jeszcze studiowałem. -

Dostaniesz wespół ze mną znakomite biuro pod patronatem Twego Ojca i będziesz się mógł ożenić, gdy tylko dusza zapragnie. Widzę, jak co rusz ślą ci uśmiechy najpowabniejsze i dobrze sytuowane panny w naszym mieście. Gdybym był na Twoim miejscu, gdybym był choć w połowie jak Ty, Quentinie Clark, przystojny, oj, dobrze bym ja wiedział, jak sobie zapewnić luksus i beztróskę w towarzystwie!”

I tak oto jesienią 1849 roku, kiedy - parę stronic wcześniej - rozpocząłem tę opowieść, miałem zajęcie tak pewne, że prawie nawet go nie dostrzegałem. Z Peterem Stuartem współpracowało się doprawdy idealnie. Rodzice już mnie opuścili... Zginęli razem w wypadku powozu, w czasie podróży ojca do Brazylii w interesach. Wraz z odejściem ojca straciłem doradcę i przewodnika. Choć życie, jakie mi urządził, mimo iż był nieobecny, toczyło się swoim torem: Hattie, Peter, zamożni klienci co dnia odwiedzający kancelarię, moja rodzinna rezydencja w cieniu wiekowych topoli, nazwana na cześć mej matki „Glen Eliza”... Wszystkim zdawała się kierować bezgłówna a niezawodna machina. Do chwili śmierci Poego.

W młodzieńczej swej egzaltacji miałem wieczną potrzebę przekonywania innych o doniosłości pochłaniających mnie spraw. I byłem w stu procentach pewny, że zawsze mi się to uda. Przypominam sobie, jak to po raz pierwszy oznajmiłem Peterowi, iż powinniśmy roztoczyć opiekę nad Edgarem Poe, uznawszy, że przyjaciel ulegnie mej prośbie - o czym z kolei niezwłocznie dam znać listownie autorowi.

Pierwsze moje pismo do Edgara Poe, z szesnastego marca 1845 roku, dotyczyło wątpliwości, jaka się we mnie zrodziła po lekturze świeżo wtedy wydanego poematu *Kruk*. Otóż w strofach kończących utwór widzimy kruka siedzącego na popiersiu Pallas Ateny ponad drzwiami. W ostatniej zwrotce ów szelmowski tajemniczy ptak dalej nawiedza młodzieńca - być może już na wieki:

Jego wzrok nieporuszony snem lśni, jaki śnią demony. Lampa rzuca blask przyćmiony i w dół spływa cień zwierzęcy. Z tego cienia na podłodze duszy mej już żadne ręce Nie podniosą - NIGDY WIĘCEJ*.

Jeśli jednak kruk na framudze drzwi przysiada, jakiej to lampy światło z tyłu ma rzucać cień jego na podłogę? Z właściwą sobie porywcznością zwróciłem się z pytaniem owym do Poego, by móc stworzyć jak najdogłębniejszy obraz przedstawionych w

poemacie okoliczności. Prócz pytania w liście załączyłem należność za subskrypcję nowego, wydawanego w owym czasie przez pisarza, magazynu pod tytułem „The Broadway Journal”, by sobie zapewnić dostęp do wszystkiego, co tylko wyjdzie spod jego pióra.

Gdy po kilku miesiącach nie doczekałem się ani odpowiedzi, ani jednego choć numeru „Broadway Journal”, napisałem do Poego znowu. A że i tym razem bez skutku, wystosowałem skargę do nowojorskiego współpracownika pisma, domagając się całkowitego zwrotu kosztów subskrypcji, bo się ostatecznie zniechęciłem do jego lektury. Pewnego dnia pocztą odesłano mi owe trzy dolary, wszakże wraz z listem.

Od Poego.

Jakże zdumiało mnie i zarazem podniosło na duchu, że tak wielki wizjoner decyduje się poświęcić czas na odpisanie swemu nieznanemu i ledwie dwudziestotrzyletniemu czytelnikowi! Co więcej, Poe wyjaśnił mi nawet zagadkę rzeczoności cienia: „W moim wyobrażeniu wysoko ponad drzwiami i popiersiem, na ścianie, umieszczony został kinkiet - co się spotyka w wielu angielskich pałacach, jak również niektórych zasobniejszych domach w Nowym Jorku”.

Tak oto, specjalnie dla mnie, twórca wytłumaczył pochodzenie cienia! Podziękował mi też za opinię i zachęcił do przesyłania dalszych. Tytułem usprawiedliwienia dodał, iż na skutek kolejnej porażki w konflikcie „sztuka a pieniądze” jego wspólnicy z „Broadway Journal” doprowadzili do zamknięcia publikacji. On sam zresztą traktował owo czasopismo jedynie jako tymczasowy dodatek do innych swoich przedsięwzięć. Być może, proponował - spotkamy się kiedyś osobiście, a wtedy zwierzy mi się ze swych planów i spyta o radę w tej materii. „Jak chodzi o kwestie prawne, jestem zupełnym ignorantem”, zaznaczył.

Od roku 1845 do października 1849 napisałem doń dziewięć listów. Odpisał mi cztery razy, uprzejmie i ze szczerością, no i do tego własnoręcznie.

Z największym zapałem donosił mi o chęci stworzenia własnego czasopisma, które miało się nazywać „The Stylus”. Dotychczas przez lata zajmował się redakcją cudzych magazynów. „The Stylus” miało zaś wreszcie umożliwić geniuszom, którzy kierują się przede wszystkim czuciem, triumf nad utalentowanymi, a więc - racjonalistami. Nie byłoby tam miejsca dla tekstów poślednich, lecz tylko dla wybitnie

klarownych i, rzecz najistotniejsza, zawierających prawdę.

Czekał na swą wymarzoną publikację w nieskończoność. Latem, przed śmiercią, pisał do mnie, że gdyby jego szanse na sukces mogły przez to wzrosnąć, czekałby tak nawet i do Sądu Ostatecznego! Choć, dodał w następnym zdaniu, pierwszy numer spodziewa się wydać już w styczniu przyszłego roku.

Pełen entuzjazmu, miał się wkrótce wybrać do Richmond celem zdobycia funduszy i poparcia, a gdy sprawy potoczą się po jego myśli - czytałem - wówczas ma zagwarantowane powodzenie przedsięwzięcia. Musiał jednak zgromadzić środki, jak również - pozyskać subskrybentów. Niestety, wciąż mu w tym przeszkadzano. Prasa tak zwana branżowa rozpuszczała pogłoski o jego rzekomych nietypowych a niemoralnych nawykach, podawała w wątpliwość zdrowie psychiczne, plotkowała o niestosownych flirtach oraz o braku umiaru. Wrogowie, jak się wyraził, wiecznie skakali mu do gardła za to, iż z całą rzetelnością recenzował ich utwory i bezceremonialnie wytykał brak oryginalności powszechnie uznanym autorom w rodzaju Longfellowa czy Lowella. Obawiał się, że niechęć ze strony miernot zniweczy jego wysiłek; był bowiem przedstawiany jako niegodny i nieprzystojny opój.

I wtedy właśnie spytałem, z prostotą może nadmierną. Czy prawdą są pomówienia owe i oskarżenia, jakie słyszałem całe lata? Czy rzeczywiście on, Edgar Poe, to pogrążony w występku pijaczyna?

Odpisał bez cienia urazy czy wywyższania się. Uroczyście przysięgając - mnie, nieznanemu i nad wyraz aroganckiemu - że zachowuje całkowitą wstrzeźliwość. Zapewne ktoś z czytelników stwierdzi, iż nie miałem podstaw, by mu wierzyć, w pełni jednakże zaufałem tu swej intuicji. I w kolejnym piśmie odpowiedziałem, że słów jego nigdy nie ośmielę się podważyć. Lecz nim zakleiłem kopertę, dopisałem tam coś jeszcze.

Uznawszy, że postępuję słusznie, zaproponowałem mianowicie skarżyć każdego, kto - chcąc uniemożliwić mu wydanie magazynu - obciąży go fałszywym oskarżeniem. Kancelaria nasza występowała już w imieniu kilku lokalnych periodyków, posiadałem zatem wymagane w podobnych sprawach doświadczenie. Zobowiązałem się sprawować pieczę nad geniuszem Poego, tak jak jemu było przeznaczone zdumiewać czytelników.

„Dziękuję panu za obietnicę dotyczącą «The Stylus» - odpisał mi na to w kolejnym liście. - Naprawdę zechciałby pan udzielić mi pomocy? Muszę już kończyć. Polecam panu swe sprawy bez zastrzeżeń”.

Było to krótko przed wyjazdem Poego na wykłady do Richmond. Ośmielony odpowiedzią, napisałem doń po raz kolejny, zadając niezliczone pytania związane z rzeczonym magazynem, jak również, u kogo zamierza ubiegać się o fundusze. Spodziewałem się, iż odpisze z podróży, dlatego też regularnie chodziłem na pocztę, gdy zaś uniemożliwiał mi to natłok zajęć - sprawdzałem zamieszczane w prasie codziennej rejestry pism oczekujących.

I wprost zaczytywałem się w utworach Poego. Zwłaszcza po śmierci rodziców. Dla wielu był to wyraz złego gustu; jakże w takim momencie zajmować się literaturą, gdzie tyle miejsca poświęca się właśnie śmierci... A jednak - choć w jego twórczości śmierć nie jest tematem przyjemnym, to przecież równocześnie nie stanowi tabu. Ani też - nie stanowi końca. Śmierć to doświadczenie, któremu kształt nadają żywi. Jak głosi teologia, duch trwa poza ciałem, i Edgar Poe podzielał taki pogląd.

Peter, rzecz jasna, w owym czasie był zdecydowanie przeciwny temu, abyśmy prowadzili sprawę „The Stylus”.

- Wolałbym sobie, psiakrew, uciąć rękę, niż marnotrawić czas na jakieś poronione magazyny literackie! I prędeż zginę pod kołami omnibusu, niżli...

Z pewnością się domyślacie, jakie też miał intencje.

W istocie obiekcje Petera brały się z tego, iż nie umiałem mu odpowiedzieć, gdy mnie pytał o nasze honorarium.

O Poem wciąż bowiem pisano, że jest bez grosza. Czemuż więc mielibyśmy podejmować ryzyko, na jakie nie stać innych? - tak właśnie widział to Peter. Dla mnie zaś, na co zwróciłem mu uwagę, rzecz nie stanowiła problemu; pismo odniesie duży sukces, toteż nie ma powodu martwić się o zapłatę.

Choć tak naprawdę chciałem go zapytać, czy czasem nie zdarza mu się mieć poczucia, iż prawnicza rutyna najzwyczajniej w świecie go gubi? Czy to honorarium jest aż takie ważne? Czy nie chciałby po prostu bronić wartości wysokich, które wszyscy dokoła pragną tylko bezcześcić? Czy przypadkiem nie chciałby tego zmienić, nawet i za

cenę odmienienia siebie? Argumentacją tą niczego jednak bym nie zdziałał. Po śmierci Poego Peter - w skrytości ducha - ucieszył się, że wreszcie ma sprawę za sobą.

Ja nie, w najmniejszym stopniu. Kiedy czytałem rozmaite poświęcone poecie, a pełne przykrych uwag, gazetowe „panegiryki” - rosło we mnie pragnienie, by bronić jego honoru, i jak nigdy dotąd czułem, że powinienem coś z tym zrobić. Gdy żył, mógł bronić się sam. Najwyższy mój gniew wzbudziło, że całe to tałatajstwo nie zadowala się ubarwianiem ujemnych aspektów życia poety, lecz - niby rój much wygłodniałych - skupia się nad okolicznością jego śmierci. Tak przecież - w pojęciu owych monstrów - musiał wyglądać upadek wszelkiej moralności. Podły, fatalny kres Poego stał się dla nich symbolem, rzecz można: ukoronowaniem, jego mrocznej egzystencji i - naturalnie - niezdrowo ukierunkowanej drogi twórczej. „Cóż za nędzny to koniec!” - jak gdzieś przeczytałem.

Jakiż nędzny koniec!

A niezrównany jego geniusz? A kunszt literacki? A umiejętność poruszania pozornie nieczulego odbiorcy?!... Gdzieżby?! Wszak lepiej kopać trupa, tratować, tłuc, znieważać!

„Warto nawiedzić grób Poego - doradzał ten sam autor - gdyż samo już gęste tam powietrze jest dla nas głęboką przestrogą”.

Pewnego dnia oświadczyłem, iż trzeba coś z tym zrobić.

- Hm, sprawy się już wnieść nie da - stwierdził ze śmiechem Peter. - Gość wacha kwiatki od spodu, więc żaden z niego klient! Daj pokój, nam i jemu.

I począł gwizdać znaną piosenkę. Jak zwykle, gdy był niekontent - nawet i podczas rozmowy.

- Nuży mnie marnie opłacana praca, do której nie mam przekonania, Peter - powiedziałem. - Zobowiązałem się dbać o jego interesy. Obiecałem. I proszę, nie mów mi, przyjacielu, że śmierć niweczy obietnice.

- A może zgodził się na pomoc po to tylko, abyś mu wreszcie przestał wiercić dziurę w brzuchu... - Widząc, że słowa te mnie ranią, Peter dodał życzliwie: - Spróbuj dopuścić i to, mój drogi.

Tu przypomniała mi się myśl zawarta w jednym z pism Poego do mnie: „«The Stylus» to największy cel mojego życia. Jeżeli tylko nie umrę, na pewno go osiągnę”. W

tym samym liście też należał, bym przestał z góry pokrywać koszty jego korespondencji. Podpisując się „Pański przyjaciel”.

Odpowiedziałem tymi samymi słowami, prostymi, wypisanymi zwykłym atramentem. Pod nimi zaś umieściłem niczym przysięgę swe imię. Jakże więc nagle miałbym nie spełnić przyrzeczenia?!

- Nie mogę - odparłem Peterowi. - On czuł, że bym go bronił.

Zagrozenie nadeszlo w poniedzialek po poludniu. Nie uzyto broni palnej ni miecza, ni sztyletu; nikogo tez nie probowano wieszac (skadinad wcale sie nie spodziewalem, by cos podobnego mnie spotkalo). Znacznie silniejsze sie bowiem okazalo zdumienie, ktore tego dnia przezyłem. Od dluzszego czasu regularnie odwiedzalem czytelnie w Baltimore. Rozpoczawszy wlasnie proces pewnego slawnego dluznika, byliśmy zobowiazani zgromadzic najrozmaitsze wycinki prasowe. W okresach wzmozonej pracy Peter najchętniej zaszywal sie w naszej kancelarii, ni by marynarz w koi, w ogole nie widujac dziennego swiatla, mnie zas przypadaly wtedy wizyty w bibliotece celem prowadzenia niezbednych badan. Przy tej akurat okazji postanowilem rowniez dowiedziec sie szczegolow zycia i smierci Edgara Poe.

W notach biograficznych pisarza, ktorych przybywalo, w miare jak rozchodzila sie wieść o jego zgonie, najczęściej wymieniano tytuly kilku poematow (na przyklad *Kruka* czy *Ulalume*); pisano, gdzie odnaleziono ciało (w gospodzie Ryana - tego dnia rowniez lokalu wyborczym, na rogu High Street i Lombard Street), gdzie i kiedy zmarł (w szpitalnym lozku, w niedziele siódmego pazdziernika) i tak dalej. Dalsze artykuly zwiazane z postacią Poego zaczely sie rowniez pojawiac w powaznych dziennikach wydawanych w Nowym Jorku, Richmond i Filadelfii - przy czym autorzy ich zajmowali sie glownie sensacyjnym charakterem zdarzen. I tego rodzaju wzmianki tez udawalo mi sie znalezc w naszej czytelni. Wzmianki! Doprawdy, coz za slowo!

Zycie Edgara Poe ukazano jako sromotną porazkę. Obdarzony wybitnym umyslem, roztrwonil swój cały potencjal. Cudownie wznioste poematy i przedziwne opowieści, jakie tworzył, nader często nosily stygmat jego łajdactwa i nędzy. Był nałogowym pijakiem i szubrawcem; żył oraz umarł w hańbie, szargajac swymi pismami zdrową, solenną moralność. Jak określił któryś z nowojorskich dziennikarzy - zapewne niewielu zechce za nim tęsknić. I wkrótce zostanie zapomniany.

Przekonajcie sie zresztą sami:

„Zmarł Edgar Allan Poe. Okolicznosci smierci pozostaja nieznanne. Nastapila nagle, z tego zas, iż w Baltimore, mamy podstawy przypuszczac, ze znajdowal sie w drodze powrotnej do Nowego Jorku. Wieść owa pewnie zaskoczy - lecz nie zasmuci

wielu”.

Nie mogłem ścierpieć, że tak profanują jego imię. Napawało mnie to odrazą, ale też, z drugiej strony, pragnąłem wyczytać wszystko, co o nim napisano, choćby i bezpodstawnie. (Czyż nie osobliwą drogą porusza się ludzki umysł? Im bardziej to wszystko było niegodne i niesłuszne, tym większe wzbudzało me zaciekawienie!)

I tak nadeszło owo zimne, dżdżyste popołudnie, gdy barwa nieba w środku dnia niczym się od szóstej rano ani wieczór nie odróżnia. Spowijająca wszystko mgła zdawała się ranić twarz, przebijać oczy i wpływać wprost do gardła.

Gdy szedłem sobie do czytelnicy, wpadł na mnie raptem jakiś człowiek. Mniej więcej mego wzrostu i przypuszczalnie w wieku, jaki osiągnąłby mój ojciec, gdyby, rzecz jasna, nie zmarł. Z pozoru - lecz tylko z pozoru - zderzenie to było przypadkowe; jegomość dziwnie nienaturalnie wykręcił bowiem ciało, aby mnie szturchnąć łokciem. Nie było to uderzenie, a raczej klepięcie lekkie.

Czekałem na przeprosiny.

Lecz usłyszałem ostrzeżenie:

- Lepiej się, Clark, nie mieszaj w sprawy tych, co na marach leżą.

Spiorunował mnie wzrokiem, niby tnąc gęste powietrze - i ledwie zdążyłem pomyśleć, rozwiął się jakby we mgle. Odwróciłem się, sądząc, że może te słowa nie były kierowane do mnie.

No, ale wypowiedział przecież me nazwisko. To ja nazywałem się Quentin Hobson Clark, liczyłem dwadzieścia siedem wiosen i pracowałem jako pełnomocnik w sprawach kredytów hipotecznych oraz długów. Nosilem nazwisko Clark i to pod moim adresem padła owa pogróżka.

Nie miałem pojęcia, co z tym począć. Zmieszany, wypuściłem z rąk notatnik, ten zaś nieprzystojnie się otworzył. I w chwili kiedym go podnosił, aby przez przypadek nie został zdeptany i zbrukany - uzmysłowiłem sobie, ile wysiłku włożyłem dotąd w swe badania. Praktycznie na każdej stronie widniało nazwisko „Poe”. I wtedy też do mnie dotarło, że nieznanemu chodziło o poetę.

Muszę się tutaj przyznać, iż reakcja moja na tę okoliczność mocno zdumiała mnie samego. Uspokoilem się i wyciszyłem do tego stopnia, że gdyby to dotyczyło innej naszej sprawy, z pewnością ogromnie zaimponowałbym Peterowi. W przeciwieństwie do

niego, urodzonego prawnika, którego ekscytował najbanalniejszy proces czy też oświadczenie - ja ani trochę nie czułem swej profesji. Mimo że niewątpliwie w dziedzinie tej byłem bystry, zdolności i pasja nigdy nie szły u mnie w parze, choćbym co do słowa wykuł Blackstone'a i Coke'a. Tymczasem jednak miałem klienta i sprawę, z której nie zrezygnowałbym żadną miarą. Czułem się jak największy prawnik świata.

Oprzytomniawszy, zanurkowałem w morze parasoli i prędko namierzyłem prześladowcę. Szedł teraz wolnym krokiem niby na letnim spacerze! Niestety, uległem złudzeniu, był to bowiem ktoś inny. Jak wkrótce się przekonałem, w obłokach mgły każdy - czy to powabna dama, czy też parias - przypominał obiekt mych gorączkowych poszukiwań. Wszyscyśmy się jakby złączyli w jedno; opar zakłócił granice i kierunki. No i odniosłem wrażenie, jak gdyby każdy z mijanych (krokiem swym oraz gestem) uparł się udawać tego właśnie człowieka, zjawę, której tak wypatrywałem.

Wreszcie na którymś rogu mgłę przeniknęło światło lampy - z okna częściowo skrytego w suterenie. Jak się zorientowałem, latarnia miała dyskretnie wskazywać wejście do tawerny, bez namysłu więc zbiegłem na dół, do środka i precyzyjnie się przez grupki mężczyzn z kieliszkami, na krańcu długiego stołu ujrzałem pochylonego kogoś, w znoszonym wytwornym płaszczu, jaki miał na sobie Upiór.

Chwyciłem go za ramię.

Zaskoczony mężczyzna, widząc me wzburzenie, niepewnie uniósł głowę.

- Omyłka, sir! Omyłka! Poważnie się omyliłem! - wykrzyknął i zaraz umilkł, oszołomiony alkoholem.

To również nie był on.

- Przecież to Watchman - oznajmił jowialnym szeptem siedzący obok pijaczyna. - John Watchman. Jego zdrowie, biedaka! I pańskie, jeśli nie masz nic przeciwko temu!

- John Watchman - powtórzyłem zgodliwie, choć wtedy nazwisko owo nic dla mnie nie znaczyło (natknąłem się wprawdzie na nie gdzieś w gazecie, lecz wyrzuciłem z pamięci).

Rzuciwszy mu garść miedziaków, by miał za co pić dalej, szybko opuściłem ten przybytek, wznawiając poszukiwania.

Prawdziwy winowajca mi się objawił, gdy mgła nieco opadła. Przez moment, paniką ogarnięty, odniosłem wrażenie, jakby go teraz ścigali wszyscy przechodnie.

Wspomniałem, że Upiór był mojego wzrostu? Choć nie chcę przez to powiedzieć, iż w jakikolwiek sposób mnie on przypominał. W istocie chyba ja jeden na ulicy różniłem się od obiektu mej pogoni. Włosy barwy kory drzewa miałem starannie ułożone, moją zaś rozsądną, ogoloną drobną twarz nieraz nazywano chłopięcą. Mój Fantom był pokaźniejszej postury. Nogi miał prawie dwakroć dłuższe, tak więc, mimo iż raz po raz mocno przyspieszałem kroku, wciąż dzielił mnie od niego znaczny dystans.

Biegając przez chropawą, szorstką mgłę, zmagalem się z bezładem obłąkańczych myśli, które łączyło to tylko, iż wbrew wszelkiej logice wprawiały mnie w nieopisaną ekscytację. Raz kogoś potrąciłem i po chwili znów kogoś, a w pewnym momencie wpadłem na jegomościa tak masywnego, że niewiele brakowało, a zostałbym przezeń zmiażdżony na chodniku z czerwonej kostki. Pośliznąłem się i zachlapałem błotem ubranie z lewej strony. I oto, nie wiedzieć kiedy, znalazłem się na ulicy sam. Wokół nie było widać żywej duszy.

Zamarłem w bezruchu.

Zgubiwszy swą ofiarę (a może to on zgubił swoją?), zyskałem ostrość widzenia, jak gdybym włożył okulary. I oto gdzie przystanąłem: bodaj dwadzieścia metrów przed prezbiteriańskim cmentarzykiem, na którym pochyło sterczące z ziemi kamienne płyty jawiły się ledwie o pół tonu ciemniejsze od powietrza. Czyżby zawiódł mnie tu właśnie Upiór, za którym się uganiałem przez pół miasta? A może dawno już udał się w swoją stronę, gdy ja tymczasem dotarłem do miejsca wiecznego spoczynku Edgara...? Wiecznego; nie tak należałoby to nazwać.

Wiele lat wcześniej, gdy byłem chłopcem, zdarzył mi się raz w pociągu incydent, który powinienem tu przytoczyć. Jechałem wraz z rodzicami. Mimo że w wagonach dla kobiet zezwalano też siadać podróżującym z nimi członkom rodziny, ten był akurat tak zatłoczony, że mogła w nim zostać tylko moja matka. Ojciec i ja zaś ulokowaliśmy się kilka wozów dalej, no i co jakiś czas wędrowaliśmy odwiedzać matkę w przedziale, gdzie panował zakaz plucia oraz przekleństw. Po powrocie z kolejnej wyprawy chciałem zająć nasze miejsce, lecz chwilę przedtem siadło tam dwóch dżentelmenów. Kiedy uprzejmie wyjaśniłem, że się omylili, jeden z nich wpadł w gniew, krzycząc, że nam nie ustąpi.

- Po moim trupie - ostrzegł rozsierdzony.

- Tak, zrobię to - odparłem. - Jeśli pan nie wstanie, to na nim usiądę.

- Coś, smarkaczu, powiedział?

Wtedy - z równym spokojem - powtórzyłem idiotyczne zdanie.

Wyobraźcie mnie sobie jako szczupłego, rzec można: chuderlawego, piętnastolatka. Uprzedzająco grzecznie mogłem go przecież przeprosić i rychło się oddalić w celu znalezienia gdzieś miejsc wolnych, chociaż gorszych. Ciekawi was zapewne i ów drugi intruz. Otóż, co się dało wywnioskować z podobieństw ich twarzy, był on przypuszczalnie bratem tamtego piniacza. Jednak - jednostajnie kiwał głową i wpatrywał się w przestrzeń - widocznie nieco na umyśle ograniczonym.

Chcielibyście też wiedzieć, skąd wzięła się taka ma reakcja. W obecności ojca, który mi dotąd w drodze towarzyszył nieprzerwanie, nie czułem się ani trochę zagrożony. Ojciec mój zawsze panował nad całym otoczeniem. Uznawszy wobec tego, iż ja również z łatwością potrafię nagiąć rzeczywistość do swych potrzeb, doznałem przykrego rozczarowania.

No, cóż: skończę opowieść.

Nim do mnie ojciec dołączył, drab zdążył dotkliwie pobić mnie po twarzy i po głowie. Niecałą minutę później - po interwencji rodzica konduktor wyprosił intruzów do drugiego wagonu i zadbał, by na najbliższej stacji zostali obaj wysadzeni.

- Czemuś tak postąpił, chłopcze? - spytał ojciec, gdy oszołomiony leżałem w poprzek naszych miejsc, twarzą na dół.

- Musiałem, ojcze! Bo cię tu nie było!

- Sprowokowałeś obcego, co się mogło skończyć nawet śmiercią. Czegóż to chciałeś dowieść, Quentinie Hobsonie Clarku, słucham?

Ujrzałem przez załzawione oczy, jak udzielając mi pouczeń, stoi nade mną opanowany jak zwykle, i wtedy uświadomiłem sobie różnicę między nami.

Teraz zaś przypomniało mi się niedawno usłyszane ostrzeżenie: „Lepiej się, Clark, nie mieszaj...”. Obraz Upiora utkwiał mi w umyśle jak ów demon z pociągu. Ach, jakże chciałem się tym z kimś podzielić! Wówczas zatrzymała się u mnie na parę dni stryjeczna babka, żeby mi trochę pomóc w gospodarstwie. Czy mogłem jej powiedzieć o rzeczonyj pogróżce?

„Bo się nie powinno było nigdy ci popuszczać” - rzekłaby mi pewnie coś w tym

stylu. Że była siostrą dziadka z ojca strony, więc również i na co dzień hołdowała surowym zasadom, wedle których prowadził swoje przedsiębiorstwo. Pod niebiosami chwaliła „niezlomny anglosaski jego światopogląd”. Oddanie swe dla ojca po części przelała też na mnie, rozłaczając nade mną czujną opiekę.

Lecz się jej nie zwierzyłem i wkrótce wyjechała z „Glen Elizy”. (Czy powiedziałbym wszystko ojcu, gdyby przy życiu został?)

Chciałem opowiedzieć o zdarzeniu Hattie Blum, która zawsze słuchała mnie z ochotą. Po śmierci rodziców ona jedna naprawdę rozumiała, iż dla mnie wcale nie umarła, i wspierała każdą kolejną rozmowę, dając mi odczuć, że takie podejście uważa za naturalne. Lecz że jej nie spotkałem od owego wieczoru, kiedy to mieliśmy się zaręczyć, nie wiedziałem, jak by się odniosła do całej owej sprawy.

Zagadkowe zdanie intrygowało mnie i w równym stopniu napawało lękiem. „Lepiej się, Clark, nie mieszaj w sprawy tych, co na marach leżą”. Przestrzegając, Upiór zarazem utwierdził mnie w przekonaniu, iż jednak można się w to mieszać. Tak więc, innymi słowy, coś mógłbym zmienić w tej materii - i jego ostrzeżenie tylko mnie zachęciło do kontynuowania działań.

Czułem - niechciane? obce? - podniecenie, jakiego nigdy jeszcze nie zaznałem w mojej pracy.

Któregoś popołudnia nieco zasiedziałem się w kancelarii i - dla wytchnienia - patrzyłem znad biurka na ulicę. Peter, ganiący właśnie kopistę za fatalną jakość pewnego certyfikatu, nagle spojrzął na mnie; wrócił do przemowy i - znów gwałtownie zerknął w moją stronę:

- Jak tam, Quentin, w porządku?

- Tak, tak - zapewniłem go. - Wszystko w normie. Stwierdziwszy, że pewnie nic więcej się nie dowie, podjął swą reprimendę dokładnie tam, gdzie przerwał. Nie mogłem jednak dłużej milczeć.

- Jeżeli, naturalnie, za normę uznać pogroźki! - wybuchnąłem. - Więc nie, Peterze, rozumiesz?!

Peter bezgłośnie odprawił kopistę, który uradowany wyniósł się z biura w jednej chwili.

Ledwie zostaliśmy sami, opowiedziałem wszystko. Peter przysiadł na skraju

krzesła, wsłuchany w każde słowo. Z początku udzieliło mu się moje poruszenie, dość szybko jednak oprzytomniał, oznajmiając, że Upiór, który mnie nawiedził, to niezwyklejszy wariat.

Jakiś wewnętrzny głos nakazał mi nie tylko bronić, ale wręcz pochwalić prześladowcę:

- Nie, Peter, nie, bynajmniej! Poznałem to po oczach! Kierował się rozsądkiem... Rzadką... inteligencją.

- Ktoś miałby nas szpiegować?! No... Ale niby po co? Myślisz, że to może coś z naszych spraw hipotecznych...?

Chrapliwy śmiech, jakim na to odpowiedziałem, widocznie go uraził - tak jakby niezgoda na uczestnictwo szaleńca w naszych sporach hipotecznych miała dewaluować całą prawniczą profesję. Zrobiło mi się jednak przykro i - już nieco spokojniej - wyjaśniłem, że zajście to wiąże się z osobą Edgara Poe oraz że studiując poświęcone mu wycinki prasowe, wykryłem istotne niekonsekwencje.

- Widzisz, weźmy na przykład ową powszechną insynuację, sugestię, iż Poe zmarł, jak to piszą, na swą „śmiertelną dolegliwość”, czyli przez pijaństwo. A gdzieś świadkowie? Czy parę tygodni wcześniej pewne dzienniki nie donosiły, że wstąpił do Synów Wstrzemięźliwości w Richmond i że udaje mu się wytrwać w przyrzeczeniu?

- Łobuz to, nie poeta, tyle ci tylko powiem! Czytanie tych wypocin jest jak siedzenie w kostnicy i na dodatek jeszcze wdychanie jej oparów!

- Przecież ty go nie czytasz!

- Owszem: z tej właśnie przyczyny! I wcale bym się nie zdziwił, gdyby inni mieli z nim ten „problem”. Już same tytuły to makabra. Czyżby ci się zdało, że go wielbią wszyscy tylko dlatego, iż był bliski tobie? To, coś mi opowiedział, nie ma nic wspólnego z Poem, choć najwyraźniej właśnie tego pragniesz! Przestroga, którą rzekomo usłyszałeś, z całą pewnością nie dotyczy jego, lecz jakichś poplątanych wątków w twojej głowie! - I z tym okrzykiem wzniosł w górę dłoń.

Może Peter miał słuszość: Upiór nie wspomniał przecież, iż ma na myśli poetę.

Skąd więc ta niezachwiana we mnie pewność?... A jednak ją zachowałem. Ktoś nie życzył sobie, abym zajmował się śmiercią Poego. Czułem, że ktoś ma zataić, co też spotkało poetę w Baltimore, a ja - musiałem odkryć (straszną?) prawdę.

Gdy pewnego dnia przeglądałem sporządzoną przez naszego kopistę ważną umowę, do biura zajrzał doręczyciel.

- Do pana Clarka. Proszę, od pana Poe. Zdumiony, zapytałem, o co chodzi.

- Od pana Poe - powtórzył, wymachując jakimś pismem.

- Ach, tak! - odebrałem list. Nadawca nazywał się Neilson Poe.

Znałem go z gazet, ponieważ w tutejszym sądzie był pełnomocnikiem rozmaitych drobnych oszustów i złodziei, a także, przez jakiś czas, przewodniczył Komisji do spraw Kolei Żelaznej Baltimore i Ohio. Kilka dni wcześniej listownie zwróciłem się doń z zapytaniem, czy jest spokrewniony z poetą, i w związku z tym prosiłem też o rozmowę.

W odpowiedzi swej Neilson dziękował, że tak interesuję się jego krewnym, wskazując jednak z żalem, iż z powodu obowiązków zawodowych będzie mógł się umówić dopiero za parę tygodni. Tygodni!!! Rozeźlony, przypomniałem sobie, co o nim niedawno czytałem w rubrykach sądowych, i szybko narzuciwszy płaszcz, wybiegłem z kancelarii.

Neilson zajmował się w owym czasie obroną niejakiego Cavendera, którego skarżono o napaść i usiłowanie gwałtu na pewnej młodej pannie. W chwili gdy dotarłem do sądu, sprawę odroczone już na dzień następny, więc postanowiłem zajrzeć do mieszczących się w podziemiu cel, gdzie trzymano więźniów. Przedstawwszy policjantowi dokument tożsamości, zostałem przezeń zaprowadzony do celi Cavendera. Wewnątrz mrocznej izdebki ujrzałem siedzących pospołu (i w doskonałej komitywie) dwóch mężczyzn: jeden miał na sobie strój więzienny, drugi zaś szykowne ubranie. Na ziemi stał kamionkowy dzban z kawą i talerz białego chleba.

- Ciężki dzień w sądzie, prawda? - rzuciłem porozumiewawczo, stając przed samą kratą.

Ten w garniturze podniósł się z ławki.

- Z kim mam przyjemność? - spytał.

Podąłem rękę człowiekowi, którego pierwszy raz widziałem na pogrzebie przy Greene i Fayette.

- Pan Poe? Jestem Quentin Clark.

Neilson Poe był niskim, starannie ogolonym mężczyzną o wskazującym

inteligencję czole, które go nieco upodabniało do - znanego mi z portretów - Edgara. Nieco, bo rysy miał ostrzejsze, niby łasicowate, no a do tego bystre ciemne oczy. W myślach widziałem oczy Edgara jako bardziej błyszczące, a - w chwilach podniecenia i twórczej inspiracji - uroczo nieprzejrzyste. Niemniej, w tych okolicznościach, przypadkowy obserwator mógłby wziąć Neilsona za sobowtóra poety.

Neilson dał znak klientowi, że chciałby na parę chwil wyjść z celi. A tamten - ledwie przed sekundą tak zafrasowany - wstał z nagłym ożywieniem, patrząc, jak opuszcza go obrońca.

- Jeśli mnie pamięć nie myli - zwrócił się do mnie Neilson, gdy tylko strażnik zamknął za nim drzwi - pisałem panu w liście, iż nie mam teraz czasu.

- To ważne, szanowny panie Poe. Chodzi o pańskiego kuzyna.

Neilson znacząco ścisnął w dłoni plik papierów.

- I temat ten z pewnością musi być panu bliski - rzekłem śmiejąc.

Zniecierpliwiony, zmrużył oczy.

- Śmierć Edgara - dodałem dla rozjaśnienia sprawy.

- Mój kuzyn Edgar wiecznie się błąkał, szukając spokojnego życia, życia, które los nam szczęśliwie zechciał, proszę pana, ofiarować - odparł Neilson Poe. - Edgar już dawno temu zmarnował tę sposobność.

- A plan stworzenia pierwszorzędного czasopisma?

- Hm, otóż właśnie: plany...

- Zrealizowałby go z pewnością. Martwił się tylko, że wpierw wrogowie...

- Wrogowie! - przerwawszy mi w pół zdania, spojrzał na mnie zdumiony. - Panie Clark - podjął z niepokojem - niechże mi pan powie, w jakim właściwie celu nawiedza mnie aż tutaj, w tak ponurym miejscu...

- Jestem... to znaczy byłem, sir, jego adwokatem i miałem bronić rzeczonyj publikacji przed pomówieniami. Dlatego jeśli istotnie posiadał wrogów, rad bym dowiedzieć się jakich.

„Trafił ci się klient nieboszczyk...” - zabrzmiały mi w uszach słowa Petera.

- Pan masz własną sprawę, panie Poe! - gdy Neilson najwyraźniej rozważał, co mu odpowiedziałem, jego klient nagle z impetem grzmotnął w drzwi celi. - Mój pozew! - zawołał. - Umowa, Poe! Jestem niewinny! Uliczna dziewczka kłamie! Łże jak najęta!

Dopiero po chwili Neilson uspokoił jakoś pognębitego klienta, obiecując, że niebawem się nim zajmie.

- Edgar wymaga obrońcy - oświadczyłem.

- Teraz mam co innego na głowie, panie Clark! - wzburzony Neilson zaczął przemierzać mroczną piwnicę... Wreszcie jednak przystanął, dodając niechętnie: - Chodźmy do mego biura, to jeszcze pomówimy. Jest coś, co mogłoby pana zainteresować.

I razem poszliśmy St. Paul Street. W swej skromnej, acz tłocznej kancelarii Neilson oznajmił, że przeczytawszy mój list polecający, ogromnie się zdumiał - tak uderzające bowiem zdało mu się podobieństwo mojego i Edgara charakteru pisma.

- Przez chwilę sądziłem nawet, że to list od niego - rzekł wesoło. - Pewnie miałby tu okazję zabłysnąć niejeden grafolog. - Odtąd nie powiedział już chyba ani jednego miłego słowa na temat kuzyna.

Podsunał mi krzesło.

- Edgar był, drogi panie, pochopny już jako chłopak - rozpoczął. - Za żonę wziął sobie niezwyklej urody naszą kuzynkę Virginię, dziewczynkę zaledwie trzynastoletnią. I wywiózł nieszczęsną Sissy - bo tak ją nazywaliśmy - z Baltimore, gdzie zawsze czuła się bezpiecznie. Dom jej matki przy Amity Street był wprawdzie niewielki, no, ale przynajmniej miała tam zapewnione oddanie kochającej rodziny. Edgar zaś sądził, że gdyby czekał dłużej, mógłby utracić jej przychyłność.

- Z tego, co wiem, kochał ją jak nikt na świecie - odparłem.

- I tu właśnie chcę panu coś pokazać. Być może się to panu przyda...

Neilson wydobył z szuflady portret, który mu przysłała Maria Clemm, matka Sissy (a więc ciotka i zarazem teściowa Edgara). Ów portret przedstawiał Sissy w wieku lat dwudziestu jeden czy dwudziestu dwóch; dziewczynę o perłowej cerze i lśniących kruczoczarnych włosach, z przymkniętymi oczami i głową przechyloną w pozie zarazem spokojnej i niewypowiedzianie smutnej. Stwierdziłem, że wygląda na wizerunku tym jak żywa.

- Nie, panie Clark - odrzekł poblady Neilson. - Lecz jak martwa. To portret pośmiertny. Kiedy umarła, Edgar, uzmysłowiwszy sobie, że nie mają żadnego jej obrazu, zamówił ten właśnie. Zaznaczam, że pokazuję go niechętnie, gdyż owa trupia

bladość nieudatnie oddaje charakter dziewczyny... Mój kuzyn jednak cenił portret nade wszystko. Bo, widzi pan, nie umiał się jej wyrzec aż do śmierci.

Do wizerunku dołączony był wiersz, który Virginia napisała dla Edgara rok wcześniej - o wspólnym życiu w jakimś błogim zakątku, z dala od niepotrzebnych plotek. „Tam poprowadzi nas już miłość tylko - brzmiały czułe strofy. - I miłość uleczy moje słabe płuca”.

Odłożywszy wizerunek i poemat, Neilson wyjaśnił mi, że pod koniec życia Virginia wymagała opieki najlepszych medyków.

- Może i rzeczywiście Edgar darzył ją miłością. Czy jednak potrafiłby zapewnić jej należytą opiekę? Zapewne z kobietą zamożną powiodłoby mu się w życiu znacznie lepiej... - z tą myślą Neilson przerwał, chcąc najwidoczniej zmienić temat. - Nim osiągnąłem pański wiek, ja też zajmowałem się redakcją gazet codziennych i periodyków i pisywałem także artykuły. Zaznałem życia literata - dodał z przytłumioną dumą. - I wiem, jaką stanowi pokusę dla człowieka niedoświadczonego. Ale też wiem, że po ziemi należy stąpać twardo i nie opłaca się uparcie tkwić przy czymś li tylko dla satysfakcji osobistej, zwłaszcza gdy przynosi to jedynie straty, jak w wypadku twórczości Edgara. Edgar powinien był zaprzestać pisania. Przez co ocaliłby może i Sissy, i siebie samego.

Co zaś się tyczy ostatnich miesięcy życia poety i rzeczonyj próby odniesienia sukcesu finansowego, to Neilson opowiedział mi, że kuzyn usiłował gromadzić fundusze i pozyskiwać subskrybentów, wygłaszając odczyty, jak również nawiedzając rozmaite dobrze sytuowane osoby w Norfolk i Richmond. W Richmond odnowił znajomość z pewną - jak to z aprobatą ujął Neilson - zamożną damą.

- Nazywała się Elmira Shelton. Przed wielu laty Edgar był w niej zakochany.

W młodości, przed wyjazdem na studia do Wirginii, Edgar zaręczył się z Elmirą, której ojciec - niechętny temu związkowi - konfiskował każdy (a były niezliczone) list do niej od Edgara. Przerwałem Neilsonowi, pytając, z jakiej przyczyny ojciec nie życzył sobie, by docierała do niej ta korespondencja.

- Przypuszczalnie - odpowiedział - ze względu na ich młody wiek. Poza tym Edgar parął się poezją... Prędzej czy później ojciec Elmiry poznałby Edgara, rozmawiał z nim i się też domyślił, że nie przypadnie mu nic z rodzinnej fortuny.

Zmuszony powrócić z college'u, jako że John Allan nie zgodził się spłacić jego długów, Edgar wybrał się raz na przyjęcie w domu Elmiry, gdzie oznajmiono mu, iż zaręczyła się z innym. Przeżył straszliwy wstrząs.

Latem 1849 roku, gdy doszło do ich ponownego spotkania w Richmond, beztraska niegdyś panna była zamożną wdową. Edgar czytał jej wiersze i z rozrzewnieniem wspominał dawne dzieje. Wstąpił do miejscowego towarzystwa propagowania trzeźwości i obiecał Elmirze nie złamać złożonej tam przysięgi. Stwierdziwszy, że nie dla niego odwlekanie uczuć, poprosił ją o rękę - i tak oto mieli zacząć nowe wspólne życie.

Zaledwie kilka tygodni później znaleziono go w gospodzie u Ryana, tu w Baltimore, i pospiesznie odwieziono do szpitala, w którym umarł.

- Ostatnie nasze widzenie było dość dawno. Może więc pan sobie wyobrazić mój szok na wieść, że znaleziono go w jednym z lokali wyborczych Starego Miasta, w bardzo złym stanie, i trafił do prezbiteriańskiego szpitala... Na miejsce, do tawerny, zawezwano pana Henry Herringa, z którym jestem spokrewniony. Kiedy Edgar przybył do Baltimore, gdzie spędzał tutaj czas, w jakich okolicznościach - określić mi się nie udało.

Nie kryłem zdumienia:

- A zatem chciał pan zgłębić śmierć kuzyna, lecz na próżno?

- Czułem się zobowiązany podjąć chociażby próbę - odparł. - Rozumie pan: rodzina i tak dalej. Byliśmy kuzynami, ale też przyjaciółmi. Do tego - rówieśnikami. Edgar miał przed sobą jeszcze tyle życia... Ufam, że mnie dane będzie odejść w spokoju ducha i w otoczeniu najbliższych.

- No, ale czegoś jednak musiał się pan dowiedzieć...

- Obawiam się, że kuzyn zabrał tę tajemnicę do grobu. Czyż nieraz, panie Clark, przeznaczenie nie nakazuje śmierci pochłonąć człowieka bez reszty, tak dalece, że nie zostawi on po sobie choćby śladu? Cienia... Ni śladu cienia.

- Kuzyn pański jednak zostawił po sobie znacznie więcej - rzekłem na to z mocą.
- Ludzkość zachowa go w pamięci dzięki potężnej sile jego kunsztu.

- Istotnie, pisma te mają w sobie pewną siłę. Lecz jest to na ogół moc schorzała. Proszę mi powiedzieć: czy panu coś wiadomo o śmierci Edgara?

Nie opowiedziałem o człowieku, który mnie ostrzegał przed mieszaniem się w tę sprawę. Coś mnie powstrzymało. Być może właśnie ostrożność stała się prawdziwym początkiem moich poszukiwań. Może wyczułem wtedy, że zarówno cała ta sytuacja, jak i Neilson Poe skrywają znacznie więcej, niż dotąd zdołałem wykryć.

Neilson nie wiedział też, w jakim stanie Edgar znalazł się w szpitalu. Gdy tylko sam tam dotarł, lekarze zakazali mu odwiedzać - nadpobudliwego - pacjenta. Widział więc go jedynie przez zasłonę, i z tak dogodnego punktu obserwacyjnego kuzyn objawił mu się jako obcy czy raczej duch kogoś mu znanego. Neilson nie miał nawet możliwości spojrzeć na zwłoki przed złożeniem do trumny.

- Przykro mi, ale to wszystko, co wiem o śmierci Edgara - westchnął i zaraz wygłosił niezapomniany dla mnie panegiryk: - Edgar był całkowitym sierotą. Tyle się wycierpiał, panie Clark, i tak niewiele miał w życiu powodów do radości, że odmianę tę, czyli śmierć, trudno doprawdy nazwać klęską.

Zdeprymowany spokojem, by nie rzec: samozadowoleniem Neilsona, postanowiłem czym prędzej zwrócić się do kilku dzienników, by mimo wszystko zechciały potraktować zmarłego geniusza z należną mu czcią. Opisałem lichy pochówek Poe'go, jak również przytoczyłem najrozmaitszego typu omyłki i błędy podane w opublikowanych w prasie skróconych jego biografiach - z nadzieją, że zostanie to wszystko w odpowiedni sposób poprawione. Wizyty me jednak nie zdały się na nic. W redakcji „The Patriot”, jednej z gazet codziennych wydawanych przez wigów, przypadkiem usłyszeli mnie jacyś reporterzy, a gdy im się przypomniało, iż Poe pisywał dla prasy, z wielką powagą zaofiarowali się wspólnie opłacić wzniesienie nagrobka upamiętniającego jego dokonania. Jakby był poślednim wytwórcą sensacyjnych a kłamliwych bredni! Zważcie, że - w przeciwieństwie do gazet codziennych - nie określałem go tu niewłaściwie Edgarem Allanem Poe. Nazwisko bowiem w tym brzmieniu to kłamstwo, chimera, monstrum z piekła rodem. Owszem, w roku 1810 John Allan przyjął pod swój dach małego Edgara, lecz potem bezdusznie rzucił go na pastwę losu.

Mijając pewnego późnego popołudnia, po drodze do domu, prezbiteriański cmentarzyk na rogu Fayette Street i Greene Street, postanowiłem znów nawiedzić mogiłę poety. Mieściła się tuż obok okazałego nagrobka generała Davida Poe, bohatera

wojny o niepodległość i dziadka Edgara.

Miejsce spoczynku poety nadal pozostawało nieoznaczone. Tak jakby się nad nim nikt jeszcze dotąd nie modlił.

„Niewidzialny wróg!” Dręczyła mnie myśl o spustoszeniu, jakiego dokonuje w naszych ciałach ostateczny prześladowca, zwany przez Poego „robakiem zdobywcą”. „I wznoszą płacz anioły nad robactwem w człowieczej krwi unurzany”.

Wiedziony nagłym impulsem, poszedłem dalej, w głąb cmentarza. Rozejrzawszy się nieco, spostrzegłem wiodące do jednego z wiekowych podziemnych grobowców schody i zszedłem nimi na sam dół. Tam zaś, w głębokiej granitowej krypcie o niskim sklepieniu, natknąłem się na dozorcę cmentarza, Spence’a, który czytał książkę. Miał tam stół, komodę, umywalkę i średniej wielkości lustro. Mimo że kilka lat później zbudowano przy cmentarzu kościół, Spence podobno nadal tam wolał przebywać. Wtedy jednak mocno mnie to zaskoczyło.

- Chyba tu pan nie mieszka, prawda? - zapytałem. Wprawilo go to w zmieszanie.

- Gdy się robi za zimno, wychodzę na górę. Ale tutaj się czuję znacznie lepiej. Bo cisza i większa niezależność. Grobowiec ten, w każdym razie, przed laty opróżniono.

Kilkadziesiąt lat temu, jak mi objaśnił, rodzina będąca w posiadaniu tego właśnie grobu zapragnęła przenieść zwłoki przodków do przestronniejszej kwatery. Gdy jednak grób otwarto, stwierdzono (uczynił to poprzedni dozorca, ojciec Spence’a), iż jedno z ciał wykazuje rzadko spotykaną właściwość, a mianowicie: skamienienie. Całe, od stóp do głowy, przemieniło się w kamień. Przesady roznoszą się szybko, więc odtąd nikt z wiernych już się nie godził na chowanie w tym miejscu zmarłych bliskich.

- Piekielny to strach trafić na kamiennego nieboszczyka, gdy się jest ledwie chłopcem - z tymi słowami Spence podsunął mi krzesło.

- Dziękuję. Ale... coś tu nie w porządku. Mogiła pochowanego w ubiegłym miesiącu Edgara Poe dotąd nie ma nagrobka! Grób jest na równi z ziemią.

- Nie moja to rzecz - odparł, filozoficznie wzruszając ramionami - ale tych, co go chowali, Neilsona Poe i Henry’ego Herringa, kuzynów.

- Przechodziłem tędy w dniu pogrzebu i zauważyłem, jak był skromny. Czy oprócz tamtych zjawiał się może ktoś z krewnych Poego? - spytałem.

- Tak. Tylko jeden. Nabożeństwo odprawiał William Clemm z kościoła

metodystów przy Caroline Street, według mnie daleki krewny rodziny. Wielebny Clemm przygotował długą mowę, ale że na pogrzeb przyszło tak mało osób, postanowiono, iż jej nie odczyta. Poza Neilsonem Poe i panem Herringiem było jeszcze dwóch żałobników. Jeden to Z. Collins Lee, kolega Poego ze szkolnej ławy. Niech prochy jego spoczywają w pokoju!

- Słucham?

- Coś podobnego rzekł duchowny nad grobem. Niech prochy jego spoczywają w pokoju. Ogromnie mnie zdziwiła wieść o śmierci Poego. Dla mnie zawsze pozostanie on młodzieńcem niewiele starszym od pana.

- Znał go pan?

- Poznałem, gdy mieszkał w Baltimore, w domku Marii Clemm - odpowiedział w zadumie. - Przed wielu laty. Pan byłeś wówczas ledwie niedorostkiem. W Baltimore żyło się wtedy spokojniej, to i więcej ludzi się znało. Edgar od czasu do czasu wałęsał się tu, po cmentarzu.

Spence opowiedział mi, jak Poe zatrzymywał się przy grobach swego dziadka i starszego brata, Williama Henry'ego, z którymi został w dzieciństwie rozdzielony. Nieraz z uwagą odczytywał nazwiska oraz daty na nagrobkach i nieśmiało pytał o stopień pokrewieństwa tu spoczywających. Spotykając dozorcę przypadkiem na ulicy, chłopiec czasem go pozdrowiał, a innymi razy - przechodził bez słowa.

- Przecież to niewyobrażalne, by znakomity dżentelmen kończył żywot w takim stroju - Spence pokręcił głową.

- Jakim? - zapytałem.

- Pamiętam, jak starannie zwykł dobierać ubiór. A to, co miał na sobie, kiedy go znaleziono...! - stwierdził ze znanstwem i na mój znak kontynuował: - Ubranie było cienkie, obszarpane i w żaden sposób nie pasowało. Co najmniej dwa rozmiary większe, nie mogło należeć do niego! I jeszcze ten tani słomkowy kapelusz, po który nikomu nie chciałyby się schylić... Ktoś tam ze szpitala ofiarował mu do pochówku lepszy, czarny garnitur.

- Tak, ale czemu nagle przyszło mu nosić niedopasowane stroje?

- Tego nie wiem.

- Czy to, pana zdaniem, nie przedziwne?

- No cóż, od dnia pogrzebu prawie się nad tym już nie zastanawiam.

Ubranie zatem nie było przeznaczone poecie. „Śmierć ta nie jego miała spotkać” - uzmysłowilem sobie w irracjonalnym przebiegu. Podziękowawszy dozorcę za poświęcony mi czas, ruszyłem z powrotem schodami tak pospiesznie, jakby mnie tam, na górze, czekała nadzwyczaj pilna sprawa. Tknięty niedobrym przeczuciem, w pół drogi przystanąłem, mocniej ujmując poręcz. Wiatr wzmógł się, toteż gdy dotarłem na szczyt, dopiero po chwili udało mi się stamtąd wydostać.

I zaraz też wzrok mój skierował się ku nieoznaczonemu grobowi Poego. Nim jednak zdążyłem spojrzeć nań po raz ostatni - z wrażenia niemal odjęło mi władzę w nogach.

Oto na wierzchu mogiły rozkwitał wonny kwiat. Którego ledwie parę minut wcześniej wcale tam przecież nie widziałem.

Reszką tchu zawołałem Spence'a, tak jakby miał on zaraz coś do załatwienia lub też jakbym przypadkiem dojrzał coś, co mi umknęło, kiedyśmy razem siedzieli w grobowcu - ale mnie nie usłyszał. Wtedy przykląknęłam i obejrzałam kwiat z bliska, uznając w pierwszym momencie, że pewnie go tu przywiało z innego grobu. Lecz nie. Łodyga wyraźnie bowiem tkwiła w ziemi.

Wtem rozległ się stukot końskich kopyt i zaskrzypiały koła. Obejrawszy się, spostrzegłem średniej wielkości powóz, spowity mgłą. Od razu też pobiegłem ku bramie, by się przekonać, kto to taki, gdy zza jakiegoś nagrobka wypadł na mnie pies. Warcząc i szczerząc zęby, dopadł moich łydek, a gdym go próbowałam odpędzić, na chwilę tylko odskakiwał.

Kundel z pewnością został wyuczony bronić mogiły przed okolicznymi rabusiami, więc widząc, że biegnę, potraktował mnie jak złoczyńcę. Dość szybko jednak dał się udobruchać za pomocą paru imbirowych ciastek, które wygrzebałam z kieszeni. Lecz kiedy bezpieczny dotarłem na ulicę, powóz znikł w oddali.

Nazajutrz rano ze snu wyrwały mnie stłumione głosy krzątającej się na dole służby. Prędko umyłem się i ubrałem. Znalezienie dorożki pod mym domem o tak wczesnej porze okazało się niemożliwością, na szczęście jednak właśnie zatrzymał się tam omnibus. Ponieważ ostatnimi czasy nie korzystałem z publicznych środków lokomocji, wielce mnie zdumiała liczba pasażerów spoza Baltimore. O tym, że byli przyjezdnymi, świadczyły ich odzienie oraz mowa, a także czujność, z jaką raz po raz zerkali dokoła. I to mi coś nasunęło... Akurat miałem przy sobie, pośród innych papierów, portret Edgara Poe z pewnego poświęconego mu, a opublikowanego przed kilkanaście laty artykułu biograficznego. Na kolejnym przystanku skierowałem się na tył pojazdu. Gdy konduktor skończył sprawdzać bilety osób, które teraz wsiadły, podsunąwszy mu wycinek z ilustracją, spytałem, czy pod koniec września nie wiozł przypadkiem tego człowieka. Wtedy to, jak stwierdziłem na podstawie co wiarygodniejszych doniesień prasowych, Poe miałby przybyć do Baltimore. Konduktor burknął: „Daj pan spokój” czy coś w podobnym stylu.

I czymże się tu ekscytować, prawda? A jednak - czegoś dokonałem. Bo choć potraktowany nieprzyjemnie, w jednej chwili dowiedziałem się, że podczas dyżurów tego właśnie konduktora Poe tym omnibusem nie podróżował! Mimo iż udało mi się wykryć pewnie tylko część prawdy na temat ostatniej wizyty Edgara Poe w Baltimore, i tak mnie to wprawiło w zachwyty.

Zmuszony zaś poruszać się co dzień po mieście, uznałem, iż warto będzie częściej korzystać z omnibusu i wypytywać przy okazji o poetę.

Jak z pewnością zauważyliście, pobyt jego w Baltimore przypuszczalnie nie był zaplanowany. Po zaręczynach z Elmirą Shelton w Richmond Poe ogłosił, że wybiera się do Nowego Jorku w celu wypełnienia przyszłych swych zamierzeń. Gdzie jednak - i w jakim celu - tutaj bawił? Inaczej niż chociażby w Filadelfii, w Baltimore doprawdy trudno jest się zgubić, nawet w najobszerniejszych dzielnicach portowych... Dlaczego zatem, przy płynąwszy tu z Richmond, nie udał się bezpośrednio do Nowego Jorku? Co wydarzyło się w ciągu owych pięciu dni od jego wyjazdu z Richmond do znalezienia go w Baltimore - i czemu został zmuszony nosić cudze ubranie?

Po rzeczonyj wizycie na cmentarzu zdecydowałem się rozwikłać te kwestie samodzielnie, za pomocą intelektu, którą to zdolność z pokorą ośmielę się przypisać każdemu - a przynajmniej osobom znanym mi do tej pory...

Tak oto nadeszło brzemiennie w skutki popołudnie, gdy przedziwnym zrządzeniem dręczące mnie pytania zaczęły się jakby same rozwiązywać. Peter musiał zostać dłużej w sądzie, no i chwilowo nie mieliśmy żadnych nowych zleceń. Wychodząc z Hanover Market, już-już wstępowałem w Camden Street, obładowany zakupami...

- Poe, ten poeta?

W pierwszym odruchu miałem to zlekceważyć. Lecz zaraz się zatrzymałem i wolno obróciłem, ciekaw, czy może dałem tak okpić się wiatrowi. Czyżby „Poe, ten poeta” objawiło mi się samoistnie...?

Słowa te wypowiedział handlarz ryb, Wilson, z którym właśnie na targu domknąłem sprawę pewnych długów hipotecznych. Mimo że kilkakrotnie odwiedzał nasze biuro, chętniej spotykałem się z nim tutaj, by móc przy okazji wybrać najprzedniejsze okazy na kolację. Jeśli chodzi o wschodni kraniec Ameryki, to aż po Nowy Orlean nigdzie nie znalazłoby się lepszej zupy krabowo-ostrygowej.

Handlarz powiódł mnie z powrotem na tyły placu targowego. Kiedyśmy dotarli do jego sklepu, wytarłszy dłonie w poplamiony fartuch, wręczył mi notes, który tam zostawiłem. Notatnik tak przesiąkł rybim odorem, jakby go zagubiono - i później wydobyto z morskich głębin.

- Oj, takich rzeczy się nie zapomina. Zajrzałem, by sprawdzić czyje to. I patrzę, a pan tu napisał nazwisko Edgar Poe - wskazał otwartą stronicę.

Włożyłem notes do torby.

- Dziękuję, Wilson.

- Tu, szefie, jeszcze coś ode mnie - podekscytowany odwinął z papieru przeznaczony mi podarek: kilka identycznych szkaradnych ryb. - Ktoś to zamówił sobie na uroczysty obiad. Zwie się toto miętusem lub, jak wolą inni, „prawnikiem”, bo ma srogi wygląd i jest nienażarte! - roześmiał się gromko, lecz zaraz umilkł w obawie, czy mnie nie uraził. - Nie to co pan, rzecz jasna, szefie!

- I może to mój błąd, przyjacielu...

- Cóż... - Wilson odchrząknął i nawet nie spojrzawszy na swe ręce, począł odcinać rybie głowy. - No, w każdym razie, szkoda gościa. Słyszałem, że mu się zmarło w tej norze... w szpitalu Washington College. Mój szwagier zna tam pielęgniarkę, no i jej znajoma, też pielęgniarka, słyszała od jednego lekarza... piekielnie wścibskie te baby... słyszała, że Poe miał nie tak pod sufitem, więc gdy tam leżał, to w kółko kogoś nawoływał, zanim... no, wie pan - zniżył głos do szeptu - zanim wykitował. Boże, miej zmiłowanie nad słabymi.

- A pamięta pan może, kogo wzywał?

Aby sobie przypomnieć, Wilson zaczął na głos przywoływać rozmaite skojarzenia. Siadłszy na taborecie, wziął się do wybierania z beczki ostryg, które ostrożnie otwierał, w nadziei, że znajdzie tam perłę - i zaraz z żalem odrzucał. Tutejsze ostrygi były towarem opłacalnym nie tylko ze względu na wyborny smak, lecz i dlatego, że w każdej mógł kryć się skarb o znacznie wyższej cenie.

- Reynolds, a jakże: Reynolds! - wykrzyknął niespodzianie rozradowany handlarz. - Jak dziś pamiętam, bo to powiedział przy kolacji, kiedyśmy akurat jedli ostatnie dobre w tym sezonie kraby z miękkimi pancerzami.

Spytałem, czy ma co do tego absolutną pewność.

- Reynolds, Reynolds, Reynolds! - powtórzył, nieco dotknięty moją nieufnością. - Tak, nie inaczej, wołał całą noc. Mówiła, że w żaden sposób jej to nie chce wyleźć z głowy. Nora podła, nie szpital, że tylko by go spalić!... No, znałem ja za młodu jednego Reynoldsa; piekielnik stale rzucał w piechurów kamieniami, a czy coś podobnego da się, szefie, zapomnieć?...

- A Poe wspominał kiedyś przedtem to nazwisko? - spytałem sam siebie. - Może to ktoś z rodziny albo...

Wilson wyraźnie zmarkotniał i popatrzył na mnie.

- Ten Poe to przyjaciel pana?

- I mój, i wszystkich, którzy go czytują.

Pospiesznie pożegnałem mego klienta, serdecznie mu dziękując za tę niezwykłą przysługę. Oto było mi dane poznać ostatnie (czy też prawie ostatnie) na tym świecie słowo Poego - dzięki któremu mógłbym może zaleczyć potworne rany, jakie mu zadali złaknieni sensacji dziennikarze. Został mi objawiony jakiś strzęp jego życia, a tym

samym nadzieją na nową drogę tych dociekań.

Reynolds!

Nieskończone godziny spędzałem teraz na dogłębnej lekturze listów Edgara do mnie, jak również jego wszelkich opowieści i poezji, szukając w nich choćby najdrobniejszej, związanej z tym nazwiskiem wzmianki. Bez końca też marnowałem bilety na wystawy i koncerty; nawet gdyby tu do nas zjechała na występ sama Jenny Lind, zwana Szwedzkim Słowikiem, i tak mimo wszystko nie opuściłbym biblioteki. Niemal słyszałem przy tym słowa mego ojca, który jakby z zaświatów polecał mi odłożyć wszystko i czym prędzej wrócić do ksiąg prawniczych. Mawiał (tak to słyszałem w wyobraźni): „Człowiek, jak ty młody, musi zważyć, że Przedsiębiorczością i Pracą pomалу osiąga się to, co Geniusz zdobywa niecierpliwie, aczkolwiek i dla Geniuszu nie wszystko jest osiągalne. Geniusz wymaga pracy, jak i praca Geniuszu”. Tak to niespodziewanie, otwierając każdy kolejny dokument w sprawie Poego, wdawałem się zarazem w wymyślony konflikt z ojcem, który usiłował mi wydzierać z rąk te pisma. Mimo wszystko doświadczenie to nie było mi przykre, a wręcz inspirujące do dalszych działań. Poza tym, jako człowiek niezawodny, przyrzekłem Poemu, iż będę go bronił. Być może więc ostatecznie zyskałbym aprobatę ojca.

Tymczasem w „Glen Elizie” nawiedzały mnie często Hattie Blum z ciotką. Rozczarowanie, jakie im zadałem w wiadomych okolicznościach, poszło w niepamięć lub też przynajmniej, by tak rzec, uległo zawieszeniu. Hattie w rozmowach naszych była jak zwykle szczodra i wrażliwa. Ciotka jej natomiast zachowywała się z większą niż zazwyczaj ostrożnością i bacznie wsłuchiwała w każde słowo, niczym jakiś szpieg. Choć muszę dodać również, że ze względu na pochłaniającą mnie teraz sprawę, jak i właściwą mi skłonność do milczenia, kiedy mówią inni - panie w mym salonie częściej zwracały się do siebie.

- Jak ty to w ogóle znosisz? - spytała Hattie, patrząc na wysoko sklepiony strop. - Sama nigdy bym nie mogła mieszkać w domu tych rozmiarów. Ileż odwagi trzeba w tak wielkiej przestrzeni, nie sądzisz, ciociu?

Pani Blum parsknęła śmiechem.

- Hattie straszliwie czas się dłuży, gdy ją zostawię ledwie na godzinę w

towarzystwie domowych. Służba bywa upiorna.

Z holu akurat wyłonił się służący i dołączył do damom herbaty.

- Nic podobnego, ciociu! Lecz odkąd dom nasz opuściły siostry... - przerwała, lekko się rumieniąc, co dla niej było dosyć nietypowe.

- Bo wszystkie wyszły za mąż - oznajmiła szeptem ciotka.

- A jakże - przytaknąłem po dłuższym milczeniu obu pań, które wyraźnie spodziewały się tu komentarza.

- Odkąd odeszły trzy siostry, samotność nieraz mocno mi doskwiera, no i muszę sobie radzić sama, choć - z czym - właściwie nie wiem. I ty czasem chyba miałeś podobne doznania, prawda, Quentinie?

- Wręcz przeciwnie - odrzekłem. - Oderwanie od zgiełku codzienności i najrozmaitszych trosk zapewnia, miła panno, poczucie spokoju, ukojenia.

- No, popatrz! - Hattie zwróciła się do ciotki. - Może więc zbyt pragnę tego zgiełku. Czyżbyśmy miały temperament za gorący na to miasto?

Tu chciałbym wtrącić słowo na temat owej czcigodnej damy, siedzącej na fotelu przy kominku niby na tronie i spowitej szalem na podobieństwo jakiegoś królewskiego płaszcza. Słowo, jako że jej udział w tej historii bynajmniej nie kończy się w tym miejscu. Pani Blum była damą w każdym calu; pozornie zajęta wyłącznie najwyszukańszymi manierami oraz nakryciami głowy, umiała dotknąć rozmówcę do żywego, a czyniła to z równą nonszalancją, jak kiedy chciała kogoś zganić za niestosowną dekorację stołu. Oto, na przykład, także podczas tej wizyty przy sposobności spytała bezceremonialnie:

- Czy to nie prawdziwe szczęście, że Peter Stuart ciebie wyszukał sobie na współnika?

- Słucham?

- On to ma dopiero żyłkę do interesów! I myśli konkretnie, oj, znam ja się na tym. Metaforycznie rzecz by można, że jesteś tutaj młodszym z braci, wkrótce więc będziesz mógł się chwalić, jak to mu we wszystkim dorównujesz.

Na uśmiech jej odpowiedziałem uśmiechem.

- Właściwie to jak z Hattie. Pewnego dnia powiedzie się jej w towarzystwie tak jak siostrze. O ile, naturalnie, we właściwym czasie wyjdzie za mąż - dodała ciotka, biorąc łyk bardzo gorącej herbaty.

Wtedy, zauważyłem, Hattie odwróciła wzrok. Ciotka jak nikt na świecie umiała ją pozbawić owej niezwykłej pewności siebie.

Rozgniewany tym, położyłem dłoń na oparciu krzesła Hattie, tuż obok jej dłoni.

- Zapewniam, że gdy tylko przyjdzie pora, siostry będą się uczyć od niej, jak być prawdziwą żoną oraz matką. Może jeszcze herbaty, droga pani?

Nie chciałem przy nich poruszać kwestii związanych z Edgarem, gdyż pani Blum z całą pewnością znalazłaby pretekst, by powiadomić o tym Petera lub też napisać długi, pełen troski list do mej stryjecznej babki, z którą od lat była w wielkiej zażyłości. W istocie - zawsze odczuwałem ulgę, kończąc kolejną z nią rozmowę bez konieczności wspomnienia o mych dochodzeniach. I ledwie damy wyszły, podjąłem swą sprawę z większym jeszcze zapałem.

Ponownie więc wsiadłem do omnibusu, a po chwili dobiegł mnie krzyk konduktora, brzmiący jak gdybym właśnie splunął tytoniem na podłogę:

- Ejże!

Zapomniałem mu pokazać bilet, co nie wróżyło dobrze. Gdy to jednak uczyniłem, karnie, jak należy - z uwagą przyjrzał się portretowi Poego, by orzec, że twarz nie jest mu znajoma.

Ten, opublikowany już po śmierci poety, wizerunek nie był najwyższej jakości, lecz to, co najistotniejsze, zostało tam, według mnie, uchwycone dość trafnie. Ciemne i inaczej niż włosy kręte wąsy. Oczy przejrzyste i migdałowe, niemal magnetycznie niespokojne. Czoło zaś tak wysokie i szerokie, że pewnie kiedy się nań patrzyło pod określonym kątem, można by odnieść wrażenie, iż jest całkowicie pozbawiony owłosienia głowy.

Gdy zatrzaśnięto drzwi i pod naporem tłumu opadłem na siedzenie, krępy, niski jegomość szarpnął mnie za ramię rączką parasola.

- Jak tak można?! - wykrzyknąłem.

- No, bo tak mi się zdaje, że bodaj właśnie we wrześniu widziałem tego dżentelmena, coś pan o niego pytał konduktora.

- Doprawdy? - zdumiałem się.

Wyjaśnił, że jeździ tym omnibusem prawie co dzień, więc - kiedyś, przy

wysiadaniu - zapamiętał oblicze niemal identyczne.

- Pamiętam, bo prosił, by mu pomóc... Pytał, gdzie tutaj mieszka doktor Brooks. Nie jestem przewodnikiem, ale naprawiaczem parasoli, to niby skąd miałbym wiedzieć?...

Ochoczo przyznałem mu rację, nie mając jednak pewności, czy owo zapytanie do mnie się kieruje czy też do Poego. Nazwisko N. C. Brooksa znałem - i Edgar Poe niewątpliwie również. Był to bowiem redaktor, który opublikował kilka z najznakomitszych poematów i opowieści Poego, umożliwiając mu tym samym większe uznanie w Baltimore. Oto więc nareszcie zyskałem prawdziwy dowód na to, że geniusz mimo wszystko nie rozwiął się w tutejszej mgle!

Gdy pojazd zaczął zwalniać przed następnym przystankiem, czym prędzej zerwałem się z miejsca i pobiegłem do biura, aby odszukać adres Brooksa w książce adresowej. Że była szósta wieczór, uznałem, iż Peter dawno opuścił kancelarię. Jednak - nic podobnego.

- Drogi przyjacielu! - zagrział mi nad uchem. - Wyglądasz, jakbyś dopiero co ujrzął ducha!

- Peter... - przerwałem, uzmysłowiwszy sobie, że zadyszany ledwie mówię. - Hm, powinienem... się już zbierać.

- A ja mam niespodziankę - odparł z uśmiechem Peter, unosząc przy tym rękę niby berło i ramieniem zagradzając mi drogę do drzwi. - Szykuje się u mnie dziś wyżerka, Quentin. Przyjdzie tłum wspólnych naszych znajomych. Plan to zupełnie świeży, bo z okazji urodzin kogoś wielce...

- Ale, widzisz, ja muszę... - nie dałem mu dokończyć, wstrzymując się jednak od wyjaśnień, gdy nagle spostrzegłem w jego oczach dziwne błyski.

- No, dajże spokój, Quentin - Peter rozejrzał się z udawaną ciekawością. - Czyżbyś miał tu dziś jeszcze coś do zrobienia? Gdzie cię tak gna, powiedz, stary?

- Nigdzie - odparłem, lekko się rumieniąc. - Nigdzie.

- To doskonale, zatem chodźmy!

Zebrało się u niego mnóstwo znanych mi osób - by uczcić dwudzieste trzecie urodziny Hattie. Jakże mi mogła umknąć tak uroczysta okoliczność! Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, poczucie wstydu, iż się wykazałem brakiem wrażliwości dla niej. Bo

wspólnie obchodziliśmy wszystkie dotąd jej święta. Czyżbym do tego stopnia oddalił się od codzienności, by porzucić i najradośniejsze sprawy związane z drogimi memu sercu przyjaciółmi?... Raz tylko odwiedzę Brooksa, obiecałem sobie, i rzecz ta szczęśliwie się zakończy.

Tego wieczoru w naszym mieście próżno by szukać świetniejszych dam oraz dżentelmenów. Ja jednak - w chwili gdy mnie czekało tak doniosłe zadanie, o wiele lepiej czułbym się pewnie w sali morderców u Madame Tussaud - byle się tylko nie zmuszać do owej gładkiej, powolnej konwersacji!

- Jakże tak można? - spytała mnie raptem jakaś korpulentna niewiasta o różowej twarzy, której miejsce przy kolacji przeznaczono naprzeciw mojego.

- Co?

- Ach, Boże drogi - odparła na pół figlarnie i nieśmiało. - Przyglądać się mnie, niepozornej mnie, gdy tuż obok pana siedzi tak rzadki okaz urody! - gestem wskazała Hattie.

Rzecz jasna, wcale na nią nie patrzyłem, a już z pewnością nie celowo. Lecz, co do mnie dotarło dopiero po chwili, wpatrywałem się w przestrzeń.

- A więc otacza mnie dziś czyste piękno, tak?

Hattie nie zaczerwieniła się ani odrobinę. I to też, między innymi, tak mi się w niej podobało: że słysząc komplement, nigdy nie pąsowieje.

- Przez swoją obsesję na punkcie czasu - szepnęła mi do ucha porozumiewawczo - przegapiłeś, Quentinie, najwspanialszego z naszych gości, kaczkę duszoną w selerze. Czy kiedyś wreszcie ten okropny Stuart zechce ci podarować wolny wieczór?

Uśmiechnąłem się.

- Dziś to nie Petera wina - odparłem. - Po prostu ostatnio jakoś niezbyt mi apetyt dopisuje.

- Mnie nie oszukasz - rzekła Hattie z subtelnością, jakiej nie zaznałem dotąd od żadnej z kobiet. - Ciekawam, co aż tak cię teraz trapi?

- Myślę, panienko miła... - zawahawszy się, jednak dokończyłem - o pewnym poemacie.

Istotnie czytałem go rankiem.

- Więc go nam zadeklamuj, Quentinie, dobrze?

Mocno rozkojarzony, zdążyłem wychylić dwa kieliszki wina, nic prawie przy tym nie jedząc, nie trzeba więc mnie było dłużej prosić. Głos mój brzmiał niezwykle: kragle, odważnie, gromko niemal. Chcąc właściwie przedstawić sobie styl owego występu, czytelnik powinien powstać z miejsca i wyrecytować poniższe wersy tonem uroczystym, acz pełnym żalu. Jednocześnie też należałoby sobie wyobrazić wesołych biesiadników z rodzaju tych, co gwałtownie milkną, gdy tego od nich wymaga okoliczność.

Z rubinów, pereł każdy wrzeciędz,
Płomiennym blaskiem brama lśni,
Przez które lecąc, lecąc, lecąc
I błyszcząc niby skry,
Wpadały Echa z każdym mgnieniem,
Kupiąc się w tłum,
By wielbić swym czarownym pieniem
Monarchy mądrość i um.

Ale złe dziwy w smętku szacie
Naszły wyniosły króla dom
(Ach, król nie ujdzie już zatracie,
Nie będzie końca naszym łzom!)
I sława, co mu kwitła jaśniej
Niż najpiękniejszy kwiat,
Zabrzmi już tylko w mglistej baśni
Z dawno zamierzonych lat.*

Gdy skończyłem, ogarnęło mnie uczucie tryumfu. Zebrani zaś nie zareagowali zbyt entuzjastycznie; ten i ów ledwie zaklaskał, dobiegło mnie parę kaszlnięć. Peter zmarszczył brew, zerkając na Hattie ze współczuciem. Tylko nieliczne osoby, które nie słuchały wcale, a uznały występ mój za miłą rozrywkę, sprawiały wrażenie

ukontentowanych. Hattie zaś biła brawo, gdy wszyscy już dawno przestali.

- Nie ma na świecie dziewczyny, której z okazji urodzin przypadłaby tak wyśmienita recytacja - oświadczyła.

Po chwili jedna z jej siostr zgodziła się coś zaśpiewać, akompaniując sobie na fortepianie. Ja tymczasem znów wypilem nieco wina. Peter niezmiennie spoglądał na mnie z dezaprobatą, a po wyjściu pań do drugiego pokoju, gdy dżentelmeni zapalili - poprosił mnie na stronę, w cień potężnego kominka.

- Wiesz, Quentin, że niewiele brakowało, a nigdy nie doszłoby do tych urodzin, bo choć ją uparcie namawiałem, Hattie odwlekała decyzję aż na ostatni moment?

- Chyba nie przez wzgląd na mnie, Peter?

- Jak ktoś, kto sądzi, iż wstrząsa całym światem, może nie widzieć, co tak naprawdę wprawia go w drżenie? Przecież ty zapomniałeś, że to jej urodziny! Czas, byś z tym wreszcie skończył, Quentin. Wspomnij Salomonowe słowa: „Budowla niszczyje od opieszałości, przez próżność - dom się zawala”.

- Nie wiem, do czego zmierzasz - rzekłem z irytacją. Spojrzał mi prosto w oczy.

- Wiesz, wiesz, Quentin, doskonale! Chodzi mi o twe osobliwe zachowanie. Wpierw z dziwną fascynacją zajmujesz się cudzym pogrzebem. A uganiecie się po mieście omnibusem, jak jaki włóczęga...

- Kto ci o tym powiedział, Peter?

Tutaj się okazało, że wie on znacznie więcej. Otóż tydzień wcześniej widziano mnie, jak w rozwianym płaszczu biegnę za kimś ulicą niby policjant z nakazem aresztowania. No i - spędzałem w czytelni stanowczo za dużo czasu.

- Skąd niby pomysł, iż obcy człowiek grozi ci przez to tylko, że czytasz jakieś wiersze? Czyżbyś sądził, że twa niby doniosła lektura może komuś przynieść szkodę? A te twoje spacerki po miejscu wiecznego spoczynku? Po co to? Czyś ty się zmienił w hienę cmentarną, czy ktoś na ciebie rzucił urok, Quentin?

- Chwileczkę - przerwałem ten wywód, nieco już uspokojony. - Ciekawe, skąd to wiesz, co, Peter? Że byłem wtedy na cmentarzu? Przecież nie wspominałem o tym słowem - i tu przypomniał mi się tajemniczy powóz, który z takim pośpiechem odjechał spod cmentarnej bramy. - Ach, więc to ty! Ty, Peter! Tyś tam się za mną udał po to, by mnie śledzić!

Przytaknął, wzruszając ramionami.

- Owszem, nie inaczej. Dotarłem za tobą aż na cmentarz. Bo, powiem ci otwarcie, zżerała mnie ciekawość. I chciałem także sprawdzić, czyś się przypadkiem nie wpakował w jakieś kłopoty lub nie wstąpił w szeregi zwolenników Millera i w białej sutannie nie czekasz z nimi zstąpienia, w dwa tygodnie, Zbawiciela z niebios! Pieniędzy twego ojca nie starczy ci na długo. Bogatym być próżniakiem oznacza klepać biedę. Mam obawy, że oddając się ekstrawaganckim nawykom, mimowolnie roztrwonisz je sam lub - nim zdążysz się obejrzeć - uczyni to jakaś nie dorównująca pannie Blum przedstawicielka płci piękniejszej. W obliczu przebiegłej niewiasty i mężczyzna obdarzony siłą Ulissesa musi się mieć na baczności!

- Po coś zostawił kwiat na grobie? - zapytałem. - By sobie ze mnie zakpić, Peter?

- Kwiat? O czym ty mówisz? Kiedy cię wytropiłem, klęczałeś nad mogiłą, tak jakbyś się modlił do tajemnego bóstwa.

Tyle zdążyłem ujrzeć i to mi wystarczyło. Kwiat... Myślisz, że miałbym czas na coś takiego?!

W to musiałem uwierzyć, wymówił bowiem słowo „kwiat”, jakby go w życiu nie widział ani o nim słyszał.

- No, tak, ale ten człowiek? Przestroga, by się nie mieszać! Tyś go do mnie przysłał, prawda? Aby mnie odwieść od spraw niezwiązanych z pracą?! W tej chwili, Peter, odpowiadaj!

- Ależ to absurd, Quentin! Lepiej się wsłuchaj w brednie, które tu opowiadasz, zanim cię będzie trzeba wsadzić w kaftan bezpieczeństwa! Wiadomo, że po tym, co się stało, trzeba ci było oddechu... Obniżenie ducha twego... - na moment odwrócił wzrok. - To jednak już pół roku. - W istocie rodziców pochowałem przed pięcioma miesiącami i tygodniem. - Musisz się opamiętać, teraz lub też... - zamiast dokończyć, stanowczo pokiwał głową. - To z tamtym światem tak się zmagasz.

- „Tamtym światem”, Peter?

- Sądzisz, że jestem ci nieprzychylny. A ja tylko chciałem wczuć się w twoje... czucie. Wyszukawszy wolumin tego Poe, przeczytałem jedną opowieść do połowy... lecz dalej już nie mogłem. Zdała się tak... - zniżył głos do szeptu. - Kiedym ją czytał, Quentin, jakby mnie Bóg opuścił. No i o tamten świat się martwię, świat ksiąg, który mąci umysł

czytelnika. Świat wyobraźni. Nie, Quentin, twoje miejsce jest tutaj! Wśród ludzi twego pokroju, poważnych i trzeźwych. Jak powiadał twój ojciec: melancholik i próżniak skazani są na moralną pustkę.

- Wiem, co by na to rzekł mój ojciec! - zaprotestowałem. - Mój, bądź łaskaw pamiętać! Czyżby ci nie powstało w głowie, że pamiętam o nim, jak i ty pamiętasz?

Peter znów się odwrócił, wyraźnie zmieszany pytaniem; jakbym podał w wątpliwość sens jego istnienia, podczas gdy ja czekałem tylko szczerej odpowiedzi.

- Stałeś mi się jak brat - odparł. - Pragnę jedynie twego dobra.

Niepomny naszej rozmowy, przerwał ją pewien dżentelmen. Chciał poczęstować mnie papierosem, ale odmówiłem, wychylając za to szklanekę jabłkowego ponczu. Peter zaś się nie mylił. Miał całkowitą słuszność.

Rodzice dali mi pozycję w towarzystwie, lecz w końcu sam powinienem się zatroszczyć o związane z nią wygody i koneksje. Jakież ja byłem lekkomyślny! Czyż nie przypisano mi radości i luksusów mego stanu?! Uciech, które ostatecznie przysparzałem sobie ciężką pracą! Rozkoszy przebywania w towarzystwie Hattie, która nigdy mnie nie zawiodła jako przyjaciółka i wrażliwa powiernica! Przymknąwszy oczy, zatopiłem się w dochodzących zewsząd a głuszących porywcze myśli odgłosach zadowolenia. Wszyscy tutaj się znali i nikt na chwilę nie wątpił, że rozumie zebranych i jest przez nich doskonale rozumiany.

Gdy Hattie wróciła do pokoju, dałem jej znak, by do mnie podeszła. Następnie - ku jej zdumieniu - otwarcie ucałowałem w rękę i w policzek. Goście umilkli na to niby zaczarowani.

- Znasz mnie - szepnąłem do niej.

- Coś ci dolega, Quentin? Bo dłoń masz tak gorącą...

- Wiesz, co do ciebie czuję, Hattie, choćby o mnie gadali rzeczy niestworzone? Znasz mnie od czasów niepamiętnych, więc gdyby ze mnie drwili i wytykali palcami, nie przeszkadzałoby ci to, prawda? Wiesz, że jestem człowiekiem godnym i miłość ma do ciebie przetrwa wszelką próbę.

Ujęła moje dłonie, uszczęśliwiona, widząc, tą szczerością.

- Przetruwa? Każdą próbę, Quentinie?!

O jedenastej wieczór, w dniu swych dwudziestych trzecich urodzin, Hattie

przyjęła oświadczyły bez cienia wątpliwości. I wszyscy zgromadzeni - nie inaczej. Rozradowany Peter zapomniał już ostre słowa, jakimi mnie wcześniej poczęstował, z uśmiechem sobie przypisując to, co się właśnie stało.

Goście tak mnie, jak i Hattie ze wszystkich stron atakowali, że prawie nie mieliśmy czasu porozmawiać. Oszołomiony alkoholem i znużony, czułem, iż postępuję jak najstłuszej. Na koniec wieczoru Peter musiał mnie ostrożnie usadzić w dorożce i kazać odwieźć do „Glen Elizy”. Mimo jednak zamroczenia poprosiłem smukłego czarnego woźnicę, by zajechał pod dom mój nazajutrz z samego rana. Pieczętując zlecenie, na dodatek darowałem mu dolara.

* * *

Na drugi dzień fiakier czekał, jak się umówiliśmy. Niewiele brakowało, a bym go odprawił. Minionej nocy dotarło do mnie, co mi gotuje rzeczywistość. Oto miałem zostać mężem i w tym też świetle uzmysłowiłem sobie, iż, co się tyczy ostatnich godzin życia człowieka, którym w najmniejszym nawet stopniu nie chciałem się zająć własny jego kuzyn, to niewątpliwie przekroczyłem powszechnie przyjęte granice. A Upiór? - spytacie zapewne. No cóż, w kwestii tej Peter wyraźnie się nie mylił. Był to pewnie nieszkodliwy wariat, co przypadkiem zasłyszawszy me nazwisko na sali rozpraw czy może gdzieś w publicznym miejscu, zwyczajnie się do mnie przyczepił. I nic go nie wiązało z Poem ani z mą literacką pasją! Ach, żeby się aż tak dać zwieść na manowce! Jakim to prawem (pychy? naiwności?) sądziłem, iż mogę tutaj coś rozwikłać. W obecnej chwili ledwie mi się chciały składać myśli na ten temat. Postanowiłem więc odesłać dorożkę i przypuszczalnie właśnie tak by się stało; z pewnością nigdzie bym nie pojechał, gdyby mnie nie ujęła szczerza gorliwość woźnicy. Nieraz się zastanawiam, jaki to bieg by wówczas przybrały pewne sprawy.

Bo oto zdecydowałem się jechać. Podając fiakrowi adres doktora Brooksa, obiecałem sobie, iż będzie to ostatnia z wizyt w „tamnym świecie”. Po drodze rozmyślałem o opowieściach Poego; jak to bohater - choćby zagubiony *W bezdni Maelströmu* rybak, co się pogrąży w wir wieczności - gdy mu nie zostaje żaden inny wybór, ośmiela się przekroczyć granicę dla innych nieprzekraczalną. Inaczej niż w wypadku Robinsona Crusoe, który, jak każdy z nas, stara się przede wszystkim przeżyć - dla protagonisty Poego przetrwanie jest początkiem dopiero. Nawet tak przeze mnie

ulubiony wielki analityk Dupin dobrowolnie wkracza nieproszony w sferę niepokoju. Cudowne jest nie tylko jego rozumowanie, rzeczona teoria możliwości, lecz sam już fakt jego istnienia. Poe pisał o konflikcie między istotą a owym cieniem, który nosimy w sobie; substancją, czyli świadomością, co winniśmy czynić, a cieniem - groźnym i chichotliwym Diablęciem Przekory, mrocznym czuciem konieczności naszych postępów lub też skrytych pragnień. Cień ten dominuje nad wszystkim.

Gdy kierując się do Brooksa, mijaliśmy ciemne zaułki pośród eleganckich posiadłości, raptowny wstrząs dorożki wyrzucił mnie z siedzenia.

- Czemuś przystanął? - zapytałem fiakra.
 - Jesteśmy, sir, na miejscu - z tymi słowami podbiegł, żeby mi otworzyć.
 - Nie może być...
 - Jak to, panie?
 - No nie. Jedź dalej!
 - Przecie to Fayette dwieście siedemdziesiąt, jakżeś mi pan nakazał.
- Miał słuszność. Wyjrzawszy przez okno, zaraz odzyskałem równowagę.

Oto jak sobie przedstawiałem to spotkanie: rozmowa, a potem może podwieczorek. Miał opowiadać o wizycie Poego w Baltimore, wspomnieć mi jego plany i zamiary; wyjawic, iż poeta pilnie musiał odszukać niejakiego Reynoldsa. Kto wie, a może Poe wspomniał mu również o mnie, prawniku chętnym bronić jego nowego przedsięwzięcia. Wyobrażałem już sobie, jak Brooks podaje mi wszelkie szczegóły jego zejścia, to, co zapewne mógłby podać mi Neilson Poe... W dłuższej zaś perspektywie - jak sam przekazuję tę historię dziennikarzom, a ci niechętnie poprawiają swe dotychczasowe doniesienia...

Czegoś takiego czekałem, usłyszawszy nazwisko Brooksa po raz pierwszy.

Gdy oto pod numerem dwieście siedemdziesiąt dane mi było ujrzeć wolnego Murzyna, jak w pojedynkę rozbiera potrzaskany drewniany szkielet domu...

Stałem przed posesją Brooksa, w nadziei, że to mimo wszystko nie ten numer. Trzeba się było zaopatrzyć w księgę adresową... choć przecież adres miałem zapisany na dwóch, wsuniętych do osobnych kieszeni kamizelki, kartkach. Sprawdziłem więc ponownie:

„Dr Nathan C. Brooks, Fayette nr 270”.

I raz jeszcze:

„Dr N.C. Brooks/Fayette 270”. Ależ to tu! Na pewno.

Uporczywy smród mokrego spalonego drewna przyprawił mnie o atak kaszlu. Podłoga była zasłana szczątkami porcelany i pokrytymi sadzą skrawkami zrujnowanych gobelinów, jakby się tam otwarła otchłań, wysysając z domu całe życie.

- Co się tu stało? - spytałem, gdy mi wrócił oddech.

- Bogu dziękować, Bogu - powtórzył sam do siebie tamten, widać wykwalifikowany spec od stolarki. - Na szczęście, gorszej ruinie zapobiegła straż ogniowa. Gdyby doktor Brooks nie wziął wpierw partacza - stwierdził - i gdyby, cholera jasna, nie ten deszcz, dawno by już tu było po robocie.

Wyjaśnił mi też następnie, iż właściciel mieszka tymczasowo u krewnych - których adresu jednak nie znał. Prócz tego się dowiedziałem, że pożar wybuchł z dwa miesiące temu, a zatem - co niemal mnie sparaliżowało - wtedy właśnie, gdy... Poe

przybył do miasta, aby odszukać Brooksa.

- Co chciałby pan szanowny zgłosić?

- Szczegóły, jak mówię, podam, gdy wezwiesz pan łaskawie komisarza.

Usłuchawszy mej prośby dopiero po chwili, urzędnik posterunku Dzielnicy Środkowej nareszcie sprowadził z pomieszczenia obok oficera o bystrym spojrzeniu. Oto znów z całą mocą wróciło mi przeświadczenie, że należy działać, acz impuls do działania zmienił swe źródło diametralnie. Stojąc przed wyższym rangą policjantem i zeznając mu wydarzenia minionych tygodni, odczułem, jak mnie ogarnia wielka ulga. Po tym, co ujrzałem na posesji Brooksa, na widok pustych oczodołów okien i okrytych bliznami pni drzew, uznałem, iż cała ta sprawa mnie przerosła.

Oficer uważnie przyglądał się otrzymanym wycinkom, ja zaś pomału tłumaczyłem, co pominięto lub też zniekształcono w prasie.

- Nie wiem, co w tej sytuacji robić, drogi panie. Gdybyśmy mieli podstawę sądzić, że popełniono w związku z tym przestępstwo...

Kurczowo chwyciłem go za ramię, jakbym odnalazł zaginionego przyjaciela.

- Czyżby? - popatrzył na mnie.

- Czy popełniono tu przestępstwo? - powtórzyłem za nim. - Na to pytanie sam już powinien pan udzielić sobie odpowiedzi. Bo proszę mnie posłuchać! Poe został znaleziony w nie swoim ubraniu. Wzywał jakiegoś Reynoldsa... Kto zacytował mi nie wiadomo. Dom, gdzie się kierował, spłonął, może przed samym jego tam pojawieniem. A obcy - przez pogrożki - odstręcza mnie od dochodzeń. Zbyt to przecież zawile, oficerze, aby jeszcze zwlekać!

- Podają tu - rzekł, wskazując jeden z artykułów - że Poe był pisarzem.

Nareszcie!

- Tak. I to mi najbliższym. W istocie, jeśli czytuje pan periodyki ilustrowane, to idę o zakład, że twórczość jego nie jest panu obca. - Wylicyłem kilka najbardziej znanych tekstów publikowanych w czasopiśmie: *Zabójstwo przy rue Morgue*, *Tajemnica Marie Roget*, *Skradziony list*, *Tyś jest nim*, *Złoty żuk*...

Być może, pomyślałem, tematyka ich, przestępstwa i zbrodnie szczególnie zainteresują policjanta.

- Poe? - przerwał urzędnik, który mnie tu przyjął najpierw. - Tak brzmiało jego nazwisko?

- Poe - przytaknąłem nieco chyba ostro.

Zawsze mnie bowiem wprawiało w najwyższą irytację, że powodzenie tylu dzieł pisarza przyćmiewa jego sławę. Ileż osób spotkałem, zdolnych z pamięci recytować całość *Kruka* i kilka popularnych wierszy, które go parodiują (jak *Indyk*), a nie znających nazwiska autora?! Poe intrygował czytelników, którzy go jednak cenić nie umieli; rzecz można, utwory jego wchłonęły go w zupełności.

- Poe - powtórzył tamten ze śmiechem, jakby już samo nazwisko zawierało przedni zakazany dowcip. - Czytałeś pan, oficerze White, tę powiastkę - zwrócił się jowialnie do przełożonego - gdzie w zamkniętym na klucz pokoju znajdują skrwawione, zmasakrowane ciała i paryska policja zupełnie sobie z tym nie radzi, no i, pewno pan pamiętasz, w końcu się okazuje, że to sprawka przeklętej małpy, która zbiegła jednemu marynarzowi! W głowie się nie mieści! - Tu, niby ilustrując opowieść, urzędnik zgarbił się na małpią modłę.

Oficer White zmarszczył brew.

- I występuje, rzecz jasna, ten prześmieszny Francuzik - ciągnął tamten - który przyglądając się rzeczom, za pomocą osobliwej swej logiki zawsze odkrywa całą prawdę niemalże już na początku.

- A tak, monsieur Dupin - dodałem.

- Teraz sobie przypominam - stwierdził White. - I muszę to powiedzieć, panie Clark, że tego typu literackie banialuki nie pomogłyby schwytać najpośledniejszego z tutejszych złodziejasków.

White słowa te zwieńczył szorstkim śmiechem, urzędnik zaś, wpierw lekko skonfundowany, po chwili - choć w tonacji wyższej - ochoczo mu zawtórował, tak że gdy obaj świetnie się bawili, ja trwałem posepny, jak grabarz podczas wojny.

Byłem przekonany, iż dwaj ci policjanci mogliby się z lektury dzieł Poego nauczyć bardzo wiele - gdyż prefekt, którego Dupin nieraz tam wprawia w pomieszanie, gdy idzie o zrozumienie spraw tajemniczych, niejasnych a nieuniknionych, był, prawdę powiedziawszy, pojętny znacznie bardziej od mych obecnych towarzyszy.

- Czy prasa się z panem zgadza, że byłoby tu więcej do wykrycia?

- Nie, ale wciąż wywieram i nadal chcę wywierać nacisk na wydawców w tej kwestii - odrzekłem.

White patrzył na mnie sceptycznie, gdy mu podawałem dalsze detale sprawy. Wyraźnie jednak się przy tym zastanawiał, by uznać, ku memu zdumieniu, iż wszystko to kwalifikuje się do wszczęcia dochodzenia przez policję. Tymczasem nakazał mi się tym więcej nie zajmować, prosząc, bym się z nikim nie wdawał w rozmowy na rzeczony temat.

Podczas kolejnych dni nie wydarzyło się nic szczególnego. Ja zaś - pospołu z Peterem - spełniałem zlecenie pewnych ważnych dla nas klientów. Któregoś dnia, w porze kolacji, spotkałem na Baltimore Street Hattie, gdy się tam przechadzała z ciotką, tośmy się mogli wdać w krótką pogawędkę. Ach, jak rozkosznie było zatracić się w jej słodkim głosie!... Gdy potem niespodziewanie zawezwał mnie White, bez chwili namysłu pospieszyłem na posterunek.

Przywitał się bez ceregieli, a twarz miał tak rozedrganą, że widać było, iż tylko czeka, by mi wprost oznajmić coś doniosłego. Spytałem, czy poczynił postęp.

- A jakże! W rzeczy samej! - pogrzebawszy w szufladzie biurka, wy dobył i zaraz mi wręczył prasowe wycinki, które zostawiłem u niego w depozycie.

- Lecz czy nie przyda się to panu do przesłuchań?

- Nie będzie żadnych przesłuchań, drogi panie - odrzekł pewny siebie, sadowiąc się na krześle.

I wtedy też spostrzegłem, że nie jesteśmy sami. Ktoś właśnie brał kapelusz i - ze stołu - laskę. Stał tyłem, lecz się odwrócił.

- Clark... Witam - pozdrowił mnie cicho Neilson Poe, zmrużywszy oczy, tak jakby się wysilił, by przypomnieć sobie wpierw me nazwisko.

- Zaprosiłem tu pana Poe - wyjaśnił White, z zadowoleniem wskazując gościa - jako że jest nam dobrze znany, należy do najświetniejszych obywateli i naturalnie również jest krewnym zmarłego. Nie muszę panów przedstawiać, prawda? Pan Poe się łaskawie zgodził omówić tutaj ze mną pańskie sprawy - ciągnął funkcjonariusz, ja zaś już wiedziałem, co nastąpi dalej. - I utrzymuje, iż nie ma potrzeby dalszych dochodzeń, gdyż go zadowala całkowicie, co nam już wiadomo na temat przedwczesnej śmierci

kuzyna.

- Ależ, szanowny panie - zwróciłem się do Neilsona - przecież sam pan mówił, że nie jest zdolny pojąć enigmy ostatnich dni Edgara! Bo wie pan niewątpliwie, iż wielka to zagadka!

Neilson już jednak wziął się do zakładania płaszcza. Patrząc na niego, wspomniałem spotkanie i jego postawę wobec kuzyna.

„Niestety, na ten temat nic więcej powiedzieć nie mogę” - rzekł mi w swej kancelarii, teraz więc pomyślałem, czy istotnie nic mu o tym nie wiadomo, czy też po prostu nie chce się tą wiedzą ze mną dzielić.

Poufnie schyliłem się nad White'em.

- Przecież pan tak nie może... Neilson wyraźnie by wolał widzieć go umarłym zamiast żywym!...

White jednak nie dał mi dokończyć myśli.

- Pan Herring również się zgadza z panem Poe - ciągnął. - Znasz go pan może...? To handlarz starzyzną, kolejny krewny poety, pierwszy zaś z jego rodziny, który zjawił się na głosowaniu w Czwartym Okręgu, w hotelu Ryana, kiedy tam właśnie znaleziono Poego w stanie delirycznym.

Herring czekał na Neilsona w drzwiach posterunku policji i na dźwięk swego nazwiska leciutko skinął głową. Znacznie potężniejszy, acz niższy od kuzyna, przybrał surową minę. Ze mną przywitał się oschle i bez odrobiny ciekawości. Poznałem oblicze jego w jednej chwili, gdyż i on uczestniczył w rzeczonyj, tak przykrej mi, ceremonii.

- Dajmy spokój umarłym - powiedział do mnie Neilson. - Ciekawość pańska zdaje mi się chora. Być może przypomina pan go nie tylko z charakteru pisma. - I życząc zebrany miłego popołudnia, oddalił się żwawym krokiem w swoją stronę.

- Niech odpoczywa w pokoju - to rzekłszy, Henry Herring z powagą dołączył do Neilsona.

- Dość mamy własnych kłopotów - zwrócił się do mnie White, ledwieśmy zostali sami. - Włóczędzy, dziewczki, cudzoziemcy... nękają i rabują... sklepy nasze... co dzień niemal psują nasze dzieci. Nie mamy czasu na drobiazgi.

Gdy mówił, wyjrzałem oknem. Najpierw mój wzrok podążył za - wsiadającymi do dorożki - Neilsonem oraz Henrym. Potem spostrzegłem oczekującą w środku filigranową

damę. Upłynąć musiało trochę czasu, nim się zorientowałem, że jest mi ona dziwnie znana. I później nieco, aż mnie przeszył dreszcz, przypomniałem sobie, gdzie to już ją widziałem wcześniej; ją lub niewiastę jej podobną. Ów portret, który tak poruszył Neilsona w jego biurze! W moim pojęciu była wręcz bliźniaczką czy też sobowtórem zmarłej a bliskiej sercu Edgara Poe Virginii.

Tak, uchwycone tuż po śmierci oblicze Sissy wryło mi się w pamięć poprzez jego słowa:

Oto na marach leży dziś dziewczyna
pięknolica,
Życie na złotych włosach lśni, lecz zgasło
w jej źrenicach.
Na włosach ciągle życie lśni, lecz śmierci
mrok w źrenicach.*

Lecz zaraz! To niemożliwe! Przedstawiony przez poetę opis pięknej Lenory na łożu śmierci - „oto na marach leży”...! Nie inaczej przecież brzmiały ostatnie słowa Upiora! „Lepiej się, Clark, nie mieszaj, w sprawy tych, którzy na marach leżą”. Tak więc przestroga, jak sądziłem, niewątpliwie dotyczyła Edgara Poe!

Wychyliwszy się przez okno, spojrzałem na odjeżdżającą dorożkę. Oficer White zaś westchnął.

- Niechże to pan sobie wreszcie uzmysłowi - rzekł do mnie - że więcej nic, sir, już tu nie ma. I proszę sobie dłużej nie zaprzętać tym głowy! Cechuje pana, zdaje się, skłonność przydawania całkiem zwykłym rzeczom rysu niezwykłości. Czy masz pan żonę?

Tu, zatopiony w myślach, znów powróciłem do rozmowy.

- Nie, lecz wkrótce się żenię - odparłem po chwili wahania.

Zaśmiał się porozumiewawczo.

- Świetnie, zajmiesz się więc pan w końcu czymś poważnym, zamiast uparcie tkwić w tym ponuractwie. Inaczej ukochana może panu dać kosza.

Przygnębienie, jakie mnie teraz ogarnęło, najśluszniej opisałbym, gdybym w tym miejscu zostawił pustą stronę. Wyczekawszy, aż Peter uda się do domu, zostawałem dłużej w kancelarii i tępo wpatrywałem się w wychodzące z sąsiednich biur tłumy urzędników... Choć powinienem odczuć spokój, bo uczyniłem przecież, co w mej mocy. Nawet i odwołałem się do policji. Dalsze zatem wysiłki byłyby skazane na porażkę. Tak oto w życie moje znów wdarła się rutyna.

Kolejne dni płynęły takim torem. Znudzenia, jakie mnie opanowało, nie mogłyby umniejszyć żadne uciechy towarzystwa. I nagle, niespodziewanie, ktoś zapukał do moich drzwi, z listem. Oto zjawił się u mnie posłaniec z czytelnicy, wręczając wyszukane przez zdumionego, iż dawno mnie tam nie widział, bibliotekarza - prasowe wycinki sprzed kilku lat oraz specjalnie dołączone wyjaśnienie, że dotyczą Poego.

Wśród nich znalazłem jeden, który wydał mi się nad wyraz zajmujący.

16 września 1844

Jak powiadomiła dziennik nasz „Przyjaciółka” genialnego a dziwaczego pisarza, wielmożnego Edgara A. Poe, stworzony przezeń protagonista, zmyślny C. Auguste Dupin, wzorowany jest na postaci żyjącej, podobnej osiągnięciami i nazwiskiem i znanej z niezwykłych swych talentów analitycznych. Szanowny ów dżentelmen cieszy się sławą w okolicach Paryża, tamtejsza zaś policja częstokroć zwraca się doń z prośbą o udział w sprawach znacznie trudniejszych, niżli to spisuje Poe w swych przedziwnych opowieściach o wyczynach Dupina, z których *Skradziony list* jest już trzecim z kolei (choć redaktorzy liczą na ciąg dalszy). Ciekawe, ileż to palących kwestii, jakie się pojawiły - i zapewne pojawią - ostatnimi czasy w naszym kraju, rzeczony paryski geniusz zdołałby rozwiązać bez wysiłku.

Trzymając wycinek ten w ręku, czytając go, odczułem wprost nienazwaną odmianę. Oto mnie rozsadzała radość - doznanie, które uskrzydla. Parę minut po wyjściu gońca wpadł do biura Peter ze sporym plikiem dokumentów.

- Co cię tak niezmiernie cieszy, Quentin? - spytał. Pytanie miało chyba być retoryczne, lecz mu odpowiedziałem:

- Sam zobacz, proszę bardzo! Przystano mi z czytelnicy wraz z innymi tekstami.

Czemu się nie wstrzymałem, nie wiem. Zapewne konsekwencje przestały się już dla mnie liczyć.

Wolno odczytawszy artykuł, Peter spuścił oczy.

- A cóż to niby? - bąknął przez zaciśnięte zęby.

Nie umiałem udawać, iż nie dostrzegam tej reakcji. Nazajutrz wczesnym rankiem czekała nas rozprawa w sądzie. Peter, jak oszalały, uganiał się cały dzień po kancelarii, czyniąc stosowne przygotowania. Czy jego wspólnik wtedy studiował papiery, sprawdzał błędy? Skądże.

- W Paryżu mieszka prawdziwy Dupin... Znaczy się, pierwowzór stworzonego przez Edgara Poe genialnego detektywa - wyjaśniłem. - Cieszy się okoliczną sławą, widzisz? Cud przecież, cud po prostu!!!

Peter cisnął mi tekst na biurko.

- Poe? Nim tylko dziś się zajmowałeś?

- Czym prędzej muszę się dowiedzieć, kto zacz, i tutaj go sprowadzić. Bo miałeś słuszność, twierdząc, że sam nic nie działałam. On - tak, z całą pewnością!

Porwawszy z półki trzymany tam przeze mnie tom *Opowiadań* Poego, Peter począł mi nim machać przed oczami.

- Sądziłem, że dałeś sobie spokój z tym wariactwem, Quentin!

- Jeżeli on istnieje, Peter, jeśli tylko żyje w świecie człowiek o zaletach umysłu C. Auguste'a Dupina, to dane mi będzie spełnić, co przyrzekłem Poemu. A jak się do tego zabrać, wiem z dogłębnej lektury! Ocalę więc od zapomnienia imię jego, nie dam utonąć w wieczności.

Peter ponownie sięgał po wycinek, lecz zdążyłem zawczasu wsunąć go sobie do

kieszeni.

Wyraźnie rozgniewało to mego współnika. Zamachnął się potężną ręką, tak jakby chciał coś stłamsić, choćby i powietrze. Drugą - rzucił wolumin Poego w sam środek kominka, rozpalonego ledwie pół godziny temu przez któregoś z urzędników.

- Proszę bardzo! - zawołał.

Żar wzmógł się, objąwszy złożoną mu ofiarę. Peter zaś widocznie głęboko pożałował swego czynu, gdy tylko bowiem płomienie dotknęły stronic książki, na jego wściekłym obliczu odmalowała się zgorzkniałość. Wiedziecie, iż tom ów nie należał do mych najcenniejszych, ani przez cenną oprawę, ani przez związane z nim wspomnienia. Nie był to też egzemplarz, który wyczytywałem w smutku tuż po nadejściu depechy o śmierci mych rodziców.

Lecz bez namysłu się schyliłem i wydobyłem z ognia księgę. Natychmiast, niby obręcz, zajął się kraniec rękawa, na co, zachowując całkowitą trzeźwość, nie ruszyłem się jednakże z miejsca. Peter zmrużył oczy, bezradnie, bo choć rękę już mi zaczął żreć skwierczący płomień, to wciąż i tak nie wypuszczałem woluminu. I dziwne, ale gdy stopniowo rosło wzburzenie w mym współniku, ja odczuwałem coraz większy spokój. Nie przypominam sobie, bym kiedyś czuł aż tak ogromną siłę, takie oddanie sprawie, jak w tej właśnie chwili. Wreszcie objawiło mi się, co powinienem czynić.

Weszła, szukając mnie tam, Hattie. Która na mój widok i płonącego w mym ręku przedmiotu bynajmniej nie przeżyła wstrząsu, tylko rzadko spotykany napad złości.

Porwała i narzuciła mi na ramię dywanik z holu, tłumiąc ogień. Peter, odzyskawszy zmysły, westchnieniem podsumował zajście, a po oszacowaniu wdał się z Hattie w krótką naradę. Wtem wbiegli dwaj urzędnicy, by mi się przypatrzeć, niby dzikiej bestii.

- Wynocha, Quentin, zaraz mi się wynoś z biura! - zawołał Peter, wskazując wyjście, roztrzęsiony.

- Nie, Peter, proszę, błagam! - Hattie zalała się łzami.

- Twoja wola - odparłem.

I opuściłem kancelarię. Hattie wołała za mną, lecz na próżno. Oczami duszy widziałem teraz już tylko długie promenady i gwarne kawiarenki; słyszałem żwawy a kojący pogłos święta i zabawy; czułem, że odkupienie mnie czeka w odległej metropolii.

KSIĘGA DRUGA

PARYŻ

Na swą pierwszą umówioną wizytę w Paryżu trafiłem przez porwanie. W miastach amerykańskich zostawia się cudzoziemców - z okrucieństwem wielkim, acz uprzejmie - samym sobie, świeżo przybyły do Paryża zaś ulega wrażeniu, jakby go gdzieś wiecznie siłą kierowali zarówno mieszkańcy, jak i urzędnicy. Kiedy się tam zgubisz, Francuz gotów jest biec i pół mili, aby cię doprowadzić do celu, przy czym podziękowań żadnych nie przyjmuje. Może zatem porwanie stanowi nieuniknioną kulminację agresywnych manier tejże nacji.

W podróż do Paryża udałem się mniej więcej półtora roku po rzeczonym zajściu z książką. Pierwszy wstrząs przeżyłem tam, znalazłszy się na końcowej stacji, gdzie *commissionnaires* krzykami wabią przyjezdnych do najróżniejszych hoteli. Do tego też dość natrętnie próbują człowieka zagarniać ramionami.

Zatrzymałem się przy jegomościu, co wykrzykiwał „Hotel Corneille”, mianowanym tak na cześć wybitnego francuskiego dramaturga. Przeczytawszy o istnieniu tego hotelu w pewnym utworze Balzaka (jako że wziąłem w podróż ku rozrywce oraz edukacji kilka dzieł jego i George Sand, powieściopisarki), wiedziałem już, że cieszy się sławą przychylnego gościom zgłębiającym rozmaite dziedziny nauk humanistycznych. I cel eskapady mojej nabrał, jak stwierdziłem, rysów literackich. - Pan do „Corneille”, monsieur?

Gdy tylko przytaknąłem, gość westchnął chrapliwie, jakby w podzięce Najwyższemu, że wreszcie odpocznie od tych wrzasków.

- Tędy, jeśli pan łaskaw!

Pospiesznie powiódł mnie ku swej dorożce, gdzie zaraz, w pocie czoła, zajął się ładowaniem bagażu, raz po raz na mnie popatrując, uradowany, że trafił mu się przybysz z Nowego Świata.

- Monsieur, pan u nas bawisz w interesach? Odparłem po namyśle:

- Właściwie to nie do końca. Na co dzień param się prawem, lecz to chwilowo porzuciłem. Obecnie, by rzecz nazwać delikatnie, a ufam, iż mogę liczyć na pańską dyskrecję, pochłaniają mnie zupełnie inne kwestie. Celem mego pobytu jest pozyskanie kogoś do pomocy.

- Ach, tak - odpowiedział, nie wysłuchawszy choćby słowa. - Pewnie znasz się pan więc z Cooperem?!

- Proszę?

- Cooperem, przecież mówię!

Dopiero po jakiejś chwili dotarło do mnie, że ma na myśli pisarza Jamesa Fenimore Coopera. Wiedziałem już, że tutejsi widzą Amerykę jako kraj, gdzie jest niemożliwością, by się nie znało dwóch ludzi, choćby jeden był drwalem, drugi zaś - spekulantem z Wall Street. Z niewiadomych powodów utwory przygodowe Coopera cieszyły się powodzeniem w najświetniejszych paryskich kręgach (wystarczy przywieźć tu wydaną w Ameryce jego powieść, a natychmiast okrzykną cię bohaterem!) i to za jego sprawą się uważa, iż wszyscy żyjemy pośród dzikich a szlachetnych Indian.

- Niestety, monsieur - odparłem.

- Mhm, więc „Corneille” zaspokoi wszelkie pana potrzeby, zaklinam się na honor! Nie ujrzysz tam pan wigwamu, bądź spokojny! Zapraszam, tylko ostrożnie. Resztę pańskich bagaży odbiorę od portiera.

Pierwszy swój środek lokomocji wybrałem doskonale. Dorożka okazała się szersza od amerykańskich, przez co też niesłychanie komfortowo urządzone. Jakże cudownie było zlec na miękkich poduszkach w drodze do przeznaczonego mi hotelu! Nie zapominajcie bowiem, iż przejażdżka ta nastąpiła po dwóch tygodniach wędrówki drogą morską, podjętą w porcie Baltimore, z przystankiem na noc w Dover, i zakończoną wreszcie u wybrzeży Francji, skąd kolejne sześć godzin musiałem jechać pociągiem do Paryża. Na myśl, że oto wreszcie zasnę w łóżku, czułem niewysłowioną rozkosz! Nie spodziewając się, iż będę pozbawiony tej wygody i to na dodatek jeszcze - za pośrednictwem miecza.

Wtem powóz ostro zahamował, jakby napotkał przeszkodę jakąś nie do pokonania. Zakląwszy, *commissionnaire* zsiadł z kozła.

- Ot, rów! - wykrzyknął z ulgą. - Nie koło zluzowało, tak że...

Przez okno zobaczyłem, jak twarz jego tężeje z lęku.

- Ejże! - spytałem. - Monsieur, czyś pan się nie zgubił?

Skądś zjawił się przysadzisty typ o sumiastych wąsach i starannie przyciętej bródce, w zapiętym pod samą szyję rozwianym, jasnoniebieskim palcie. Już-już miałem

go zapytać, czy *commissionnaire* aby właściwą obrał drogę, gdy otworzył drzwi pojazdu i - wskoczył do środka z wielką elegancją.

Mówił mi coś po francusku, lecz choć język ten znałem coraz lepiej - z nerwów nie zdołałem wydusić ani słowa. W pierwszym odruchu chciałem się wysliznąć drugą stroną, lecz otworzywszy drzwi dorożki, ujrzałem jego kamrata; w stroju identycznym, też jednorzędowym. Unosząc połę płaszcza, obnażył przytroczoną do czarnego pasa szablę. Broń tak zaśniła w słońcu, aż mnie zamroczyło. Chwyciwszy za rękojeść, drab porozumiewawczo kiwnął do mnie głową:

- *Allons donc!*

- Policja! - zawołałem, na poły z ulgą i przestracchem. - Panowie z policji, prawda?

- Owszem - rzekł tamten, wyciągając rękę. - Paszport, bardzo proszę!

Spełniwszy ten nakaz, czekałem zmieszany, on zaś czytał.

- A kogo poszukujecie?

- Pana - odparł z uśmiechem.

Jak później mi wyjaśniono, czujna paryska policja sprawdzała każdego młodzieńca z Ameryki, zwłaszcza zaś kawalerów - potencjalnych „radykałów”, którzy tu przybyli w zamiarze obalenia rządu. Wziąwszy pod uwagę, iż rząd został obalony całkiem niedawno, ledwie trzy lata wcześniej, kiedy to króla Ludwika Filipa zastąpił rząd republikański - ów strach przed radykalizmem wprawiał w zdumienie niejednego specja od francuskiej polityki. Czyżby się tutaj obawiali, że motłochowi, gdy sobie zapewnią możliwość stanowienia prawa i zgodnie z owym prawodawstwem wybrał prezydenta, republikanizm już się sprzykrzył, a wobec tego teraz może dojść do zamieszek celem odzyskania władcy?

Oficerowie, którzy zatrzymali mego woźnicę, wyjaśnili mi jedynie, iż prefekt policji proponuje, abym złożył mu wizytę, zanim zamieszkać w Paryżu. Przedziwnie oczarowany eleganckim ich mundurem oraz bronią, przystałem na to z chęcią. Inny, zaprzężony w szybsze konie pojazd zawiózł nas prosto na rue de Jerusalem, gdzie się mieściła prefektura.

W biurze swym prefekt, jowialny roztargniony jegomość nazwiskiem Delacourt, siadł przy mnie tak jak tamci w dorożce, a następnie odprawił identyczny rytuał

sprawdzania paszportu. Dokument należycie przysposobił w Waszyngtonie francuski emisariusz monsieur Montor i również zaopatrzył mnie w list świadczący o bezwzględnej mojej uczciwości. Prefekt jednak wyraźnie nie był zainteresowany pisemnym dowodem mych niewinnych zamierzeń.

Pytany, czy tu przybyłem w interesach, turystycznie, czy też by poszerzać wiedzę, udzieliłem negatywnej odpowiedzi.

- Skoro tak, po cóż się pan w Paryżu zjawił akurat latem?

- Ponieważ, monsieur, mam się tu spotkać z pewnym obywatelem, w pilnej sprawie, którą podejmuję w Ameryce.

- A któż to taki? - odparł, kryjąc ciekawość lekkim uśmiechem.

Gdy mu powiedziałem, znieruchomiał, potem zaś wymienił spojrzenia z siedzącym po drugiej stronie pomieszczenia policjantem.

- Słucham? - zapytał po chwili, niby obłąkany.

- Auguste Duponte - powtórzyłem. - Więc pan go zna, prefekcie? Od kilku miesięcy komunikuję się z nim za pośrednictwem poczty...

- Duponte? On do pana pisze? - szorstko przerwał policjant, jegomość niski i krępy.

- Ależ gdzie tam, Gunner - stwierdził prefekt.

- Istotnie - zgodziłem się, poirytowany jego osobliwą arogancją. - Piszę do niego, a jako że nie odpisuje, postanowiłem przyjechać. I nim będzie za późno, muszę rzecz wyłuszczyć osobiście.

- No, to masz pan twardy orzech do zgryzienia - bąknął pod nosem Gunner.

- Chyba... Żyje przecież, prawda? - zapytałem. Prefekt odrzekł coś jakby „ledwie”, lecz dobrze nie zrozumiałem, bo połknął ów wyraz w całości i w pół sekundy przybrał właściwy sobie ton niefrasobliwy i niespieszny. (Dopiero wtedy spostrzegłem chwilowy spadek jego zwykłego nastroju).

- Tu wszystko zdaje się na miejscu - ocenił zawartość paszportu, podając dokument koledze, by go ostemplował ciągiem zawitych, acz - widać - ważnych niesłychanie hieroglifów. - Narzędzie nowej inkwizycji, hę?

Raptownie porzuciwszy temat Duponte'a, powitał mnie w Paryżu i zapewnił przy tym, iż gdybym tylko potrzebował wsparcia, to zawsze mogę się do niego zwrócić. Gdy

wychodziłem, kilku *sergents de ville* przyglądało mi się tak podejrzliwie i z niechęcią, że kiedy znalazłem się pośród ulicznego zgielku, nareszcie ogarnęło mnie uczucie wielkiej ulgi.

Tegoż dnia po południu zapłaciłem właścicielce hotelu „Corneille”, madame Fouche, za tygodniowe mieszkanie, choć w istocie sądziłem, że sprawę swą zakończę znacznie szybciej.

Z drugiej zaś strony los mi dawał pewne znaki, które powinienem był zakonotować. Chociażby - stosunek do mnie konsjerża świetnej paryskiej posiadłości, do której kierowałem listy przeznaczone Duponte'owi. Nazajutrz po przyjeździe tam właśnie się udałem najpierw. Kiedy stanąłem w drzwiach, zadając stosowne pytania, konsjerż przymrużył oczy, pokręcił głową i odpowiedział:

- Duponte? A po cóż chce się pan z nim widzieć? Przygotowałem się na to, iż wzięwszy pod uwagę renomę Duponte'a, mogę być potraktowany jako gość przypadkowy.

- Potrzebny mi talent jego w kwestii nie cierpiącej zwłoki - odparłem, na co tamten, wydając osobliwy jakiś syk, który się okazał zwykłym śmiechem, poinformował mnie, że Duponte zmienił mieszkanie, nic o nim nie wiadomo i zapewne sam Kolumb nie zdołałby go odnaleźć.

Udając się w swoją stronę, rozmyślałem o „znanym” mi Dupinie. Znanym, rzecz oczywista, z utworów Edgara Poe... Łączniku tym, pośredniku, co zbliżył mnie z poetą, bo przekonał, że niepojęte w końcu obejmie się i zrozumie. „Francuski mój ideał”, jak się do niego odniósł poeta w jednym z pism do mnie. Gdybym tak miał możliwość wypytać Poego o tożsamość pierwowzoru, gdybym się wykazał większą ciekawością - oszczędziłbym rok ubiegły, uniknął licznych starań, podjętych celem odszukania go w Paryżu!

W opowieściach swych Poe nie opisał wyglądu zewnętrznego bohatera. Ujawniła mi to dopiero ponowna lektura trzech kryminalnych historii, czytanych w tym konkretnym celu. Dotąd, spytany o jego powierzchowność, odparłbym pewnie święcie przekonany, iż mam do czynienia z osłem, że naturalnie Poe opisał jedną z najważniejszych swych

postaci, postać, co wręcz ucieleśnia jego dzieło, jak również że uczynił to niezwykle drobiazgowo! Tymczasem, co mnie zdumiewa, wygląd Dupina zdoła przedstawić sobie jedynie czytelnik najwierniejszy, oddany autorowi całym sercem.

Aby ów fenomen zobrazować, przywołam tu bląhą krótką opowieść pod tytułem *Człowiek, który się zużył*. Występuje w niej mianowicie pewien sławny generał, którego krzepka postura wzbudza powszechny podziw. Wojskowy ten jednakże ma jeden przykry sekret. Co noc od ran wojennych ciało jego ulega rozpadowi, tak że je przed śniadaniem musi stale zszywać sługa Murzyn. Był to, śmiem sądzić, przytyk Poego pod adresem niegodnych jego geniuszu poślednich czytelników, co traktowali opis cech zewnętrznych jako kluczowy dla ożywienia bohatera. Że zaś Poe nieopisaną uczynił duszę C. Auguste Dupina, a nie noszoną przez niego kamizelkę, postać ta już na zawsze zaistniała w mojej świadomości.

* * *

Gdy pierwszy raz, od wspomnianego gościa z czytelnicy, otrzymałem wycinek prasowy ze wzmianką na temat pierwowzoru Dupina, natychmiast, acz na próżno, podjąłem próbę wydobycia nazwiska detektywa od redakcji nowojorskiego dziennika, który ową notę zamieścił. Lecz już po paru tygodniach badań francuskich periodyków i przeróżnych ksiąg adresowych udało mi się sporządzić imponujący spis osób, które mogłyby stanowić inspirację dla Poego.

W zasadzie życiorysy wszystkich zgadzały się z umieszczonym w artykule opisem, jak również - z wizją poety. Był pośród nich, na przykład, sławny paryski matematyk, autor prac służących rozwiązywaniu rozmaitych naukowych kwestii. Wyszukałem też prawnika o przydomku Baron, co uniewinniał skarżonych o niewyobrażalnie makabryczne zbrodnie. Na liście znalazł się także niegdysiejszy złodziej, który działał jako tajny agent paryskiej policji, a później zajął się w Brukseli prowadzeniem papierni. Zarówno te, jak i inne możliwości rozważyłem sobie bez emocji, obiektywnie, oczekując, że wreszcie któryś nad wszelką wątpliwość objawi mi się jako Dupin.

Od początku poszukiwań upłynęło jednak aż półtora roku. Korespondowanie drogą morską okazało się powolne i nie przyniosło mi żadnego rozstrzygnięcia. Potencjalnych „kandydatów” coraz to przybywało, lecz każdy - skutkiem dalszych badań

- kolejno tonął w studni zwątpienia.

Aż do któregoś pogodnego dnia wiosny roku 1851. Wtedy to, we francuskim czasopiśmie „L'...”, odkryłem nazwisko Auguste Dupont'e'a. Przykuło mą uwagę w jednej chwili, choć bynajmniej nie tylko poprzez zbieżność brzmienia z wiadomą kreacją Poego. Otóż jegomość ów zyskał we Francji rozgłos dzięki sensacyjnej sprawie monsieur Lafarge'a, dżentelmena o mocnej posturze i pewnej tu pozycji, którego znaleziono martwego we własnym domu. Po paru czczych zabiegach paryskiej policji jeden z oficerów zwrócił się do swego znajomego, młodego nauczyciela nazwiskiem Dupont'e, z prośbą o przetłumaczenie uwag gościa z Hiszpanii, który został powołany na świadka (posunięcie to, notabene, okazało się całkiem chybione).

Podobno już w dziesięć czy dwanaście minut po rozmowie z rzeczonym oficerem i zapoznaniu się z faktami Dupont'e wskazał policji, iż śmierć nastąpiła przez otrucie. Zabójczynią Lafarge'a była jego żona, która podała mu truciznę, gdy razem się posilali. Madame L. skazano za morderstwo, lecz śmierci oszczędzili jej życzliwi urzędnicy.

(Spytany przez dziennikarza francuskiej gazety „La Presse”, co sądzi o zamienieniu wyroku na lżejszy, Dupont'e miał odpowiedzieć: „Nic. Kara ma bowiem nikłe powiązanie ze zbrodnią, a z analizą owej zbrodni nie wiąże się w żaden sposób”).

Wiść o tryumfie Dupont'e'a rozniosła się po całej Francji. Zaraz też z kolejnymi sprawami poczęli się doń zwracać rządowi urzędnicy, policja oraz obywatele Paryża. Jak zaś zdołałem wykryć z olbrzymią wprost satysfakcją - popularność tę zdobył kilka lat przed opublikowaniem *Zabójstwa przy rue Morgue* w amerykańskim czasopiśmie (1841). Umieszczony przez Poego w drugiej z opowieści obraz rosnącej sławy Dupina mógłby równie dobrze służyć jako opis tego, co się zdarzyło Auguste'owi Dupont'e: „Tak oto znalazł się w centrum zainteresowania polityków, nierzadko czyniono też wysiłki pozyskania usług jego dla prefektury”.

Pewność, iż rozpoznałem człowieka właściwego, umocniło we mnie jeszcze przypadkowe spotkanie z pewnym uczonym Francuzem, który - odkąd pozbawiono władzy Ludwika Filipa - zamieszkiwał w Ameryce, działając w korpusie dyplomatycznym nowo powstałej republiki. Nazywał się on Henri Montor. Podczas pobytu w Waszyngtonie, celem wyszukania w tamtejszych zbiorach bibliotecznych informacji na temat Dupont'e'a, natknąłem się nań właśnie. A raczej on to zauważył z ciekawością, jak

zmagam się z jakimiś francuskimi dziennikami. Wyjaśniwszy, co należy, spytałem, czy może zna Dupontę'a.

- Gdy tylko popełniano jakąś wielką zbrodnię - rzekł z ożywieniem monsieur Montor - paryżanie zawsze wzywali Dupontę'a... kryminaliści zaś przeklinali dzień, w którym przyszedł na świat. To skarb Paryża, panie Clark.

Podczas następnych moich wizyt w Waszyngtonie Henri Montor udzielał mi lekcji francuskiego przy kolacji i wciągał w niekończące się rozmowy na temat różnic między rządami oraz mieszkańcami Ameryki i Francji. W porównaniu z Paryżem miasto, w którym przebywał, będąc w moim kraju, jawiło mu się niby wyludnione, o klimacie dusznym i szkodliwym dla zdrowia.

Tuż przed poznaniem Montora zdążyłem napisać do Dupontę'a. Nakreśliłem mu tam okoliczności śmierci Edgara Poe, zaznaczając, iż kwestia ta wymaga rozwikłania, zanim zła sława bardziej jeszcze przyćmi jego zalety. Po upływie tygodnia posłałem kolejne dwa listy, oba z pieczęcią „Pilne”, zaopatrzone w załączniki i pełne dalszych szczegółów dotyczących tej sprawy.

Choć znaliśmy się krótko, Montor zaproponował, abym wraz z nim wybrał się na bal kostiumowy do pewnej znakomitej rezydencji nieopodal Waszyngtonu, gdzie zaproszono kilka setek gości - i tam mi dane było poznać wiele francuskich dam i wielu dżentelmenów. Niemal wszyscy należeli do arystokracji, kilkoro zaś z wielkim wdziękiem stroiło sobie żarty z mej znajomości francuskiego, który to język starałem się opanować w stopniu doskonałym. Zjawił się, między innymi, Hieronim Napoleon Bonaparte, syn pewnej Amerykanki poznanej podczas wycieczki po Stanach przez młodszego brata Napoleona, Hieronima, przed blisko pięćdziesięciu laty. Królewski ów potomek stał teraz naprzeciw mnie w jaskrawym tureckim przebraniu, z dwoma przywieszonymi u pasa zakrzywionymi mieczami. Kiedy nas sobie przedstawiono, skomplementowałem jego kostium.

- „Monsieur” tu nie pasuje, panie Clark. W końcu jesteśmy w Ameryce - stwierdził Hieronim Napoleon z iskrą wesołości w ciemnych oczach, co niezbyt się spodobało Henri Monterowi. - Jak chodzi zaś o ten koszmar - westchnął, wskazując swe odzienie - był to wyborny pomysł mojej żony. Jest gdzieś w sąsiednim pokoju.

- A, więc się chyba poznaliśmy. Przebrana za strusia, tak?

Bonaparte skwitował tę uwagę śmiechem.

- Istotnie, ma na sobie pióra. Bóg raczy wiedzieć, jakiego ich pozbawiła ptaka!

- Przyjaciel nasz ze Stanów - rzekł Montor, obejmując mnie ramieniem - ćwicz naszą mowę, gdyż zgłębia pewien problem natury osobistej. Byłeś ostatnio w Paryżu, drogi mój Bonaparte?

- Ojciec chciał mnie przekonać, bym tam zamieszkał, lecz ja żadną miarą, Montor, nie wyobrażam sobie wyjazdu z Ameryki, zbyt bowiem się tu już zadomowiłem, żeby szukać szczęścia w Europie - to rzekłszy, otworzył misternej roboty złotą tabakierę i poczęstował nas skrytym wewnątrz proszkiem.

Jakaś dama ruszyła ku nam dostojnie z miejsca, gdzie gospodarz grał na skrzypcach z towarzyszeniem orkiestry. Wołała Bonapartego nie imieniem, lecz przydomkiem, toteż przez chwilę sądziłem, iż to jego żona w strusim puchu. Gdy jednak się przybliżyła, spostrzegłem, że ma na sobie klejnoty i zwiewną szatę królowej.

- To Elizabeth Patterson, matka Hieronima - szepnął mi Montor tak dyskretnie, że zaraz pojąłem, iż powinienem mieć się na baczności.

- Mamo - oficjalnym tonem oznajmił jej Hieronim - oto Quentin Clark, dowcipny przybysz z Baltimore.

- Paradne! - odrzekła „królowa”, mimo niskiego wzrostu górująca jakby nad wszystkimi.

- Pani Patterson - skłoniłem się.

- Madame Bonaparte - poprawiła z mocą i podała mi dłoń.

Przecudnie czyste oczy i nieskazitelna twarz czyniły jej urodę do bólu przejmującą. Zaraz też mi się zdało, że wprost nie sposób jej nie kochać.

- Pan nie w kostiumie, młodzieńcze - rzekła do mnie, spoglądając z dezaprobatą.

Montor, przebrany w bajeczny strój neapolitańskiego rybaka, wyjaśnił jej, iż zostałem zaproszony niemal w ostatniej chwili.

- Studiuje obyczaje Francji - dodał jeszcze.

- Niech pan się więc przykłada - wybuchnęła madame Bonaparte.

Gdy tylko przybyłem do Paryża, od razu do mnie dotarło, że - jak chodzi o me pojęcie na temat francuskich obyczajów - królowa balu miała całkowitą słuszość. Ponadto, rozglądając się po zgromadzonych w owej niezwyklej sali zamaskowanych

obliczach, zrozumiałem, iż tego w pewnym sensie pragnęli zarówno Peter, jak i ciotka Hattie. Ujrzałem tu znacznie więcej niż tylko służących w liberiach i rozświetlone lampami kwietniki; moc jakąś, co niewiele ma wspólnego z bogactwem, a którą socjeta Baltimore pragnęła dopisać do swych komercyjnych osiągnięć.

Po przytoczonej tu okoliczności z płonąca księgą powróciłem do kancelarii, aby zakończyć pewną sprawę. Peter ledwie zwracał uwagę na moją obecność. Przebiegając schody w górę, to znowu na dół, pogwizdywał z widocznym niezadowoleniem. Chciałem, by znowu zwyczajnie na mnie ryknął, bo wtedy w odpowiedzi mógłbym mu przynajmniej opisać poczynione postępy.

Podążwszy jak gdyby za przykładem Petera, Hattie coraz rzadziej starała się o moje towarzystwo, aczkolwiek zadała sobie spory trud, by przekonać i ciotkę, i resztę swej rodziny, iżby w kwestii naszych zaręczyn zachowali cierpliwość i zechcieli mi darować nieco czasu. Jak mogłem, starałem się ją upewniać o głębi moich uczuć. Ale też mniej się jej zwierzałem, postrzegając jej oddanie jako element strategii, kolejny instrument, który miałby zdławić moje przedsięwzięcie. Doprawdy, nawet z twarzy zaczęła mi coraz bardziej przypominać swoją wścibską ciotkę. Należała do tej sfery Baltimore, w której wcale nie dostrzeżono powagi śmierci geniusza. O, Hattie, czemuż nie zaufałem, że mnie jednak widzisz, jak zwykle, przejrzysiej niż widzi lustro!

Od rzeczonego balu przebierańców minęło kilka tygodni, lecz ja wciąż nie dostałem pisemnej odpowiedzi od Duponte'a. Dręczyła mnie powolność komunikacji pocztowej. Listy mogły być kradzione albo ulec zniszczeniu przez przypadek lub czyjaś złą wolę. A przecież odnalazłem pierwowzór postaci Dupina, zapewne jedyne na ziemi człowieka, który by umiał odczytać ową białą kartę w historii najostatniejszych dni Poego! Nadal tylko służyłem Edgarowi, zgodnie z obietnicą. A osiągnąłem tak wiele, iż zaprzestanie działań nie wchodziło w rachubę. Tego nie wolno mi było zaprzepaścić. W czerwcu 1851 roku, poczyniwszy stosowne plany, wyruszyłem więc do Paryża.

I oto się znajdowałem w odmiennym całkiem świecie. Budynki jakby wznoszono tutaj z innych materiałów, inne im nadawano barwy i przy szerokich ulicach rozmieszczano też inaczej. Paryż miał aurę skrytości, a przecież wszędzie tu był dostęp i żyło się w zasadzie poza domem.

W najnowszych książkach adresowych, jakie znalazłem natychmiast po

przyjeździe, Dupont nie figurował, nietrudno mi więc było stwierdzić, iż tamte w Waszyngtonie są już odrobinę przestarzałe. Podobnie w najświeższych dziennikach, gdzie dawniej pisano o nim wiele, i to z najwyższą rewerencją, nie odszukałem choćby słowa na jego temat.

W Paryżu poczta dostarczała listy mieszkańcom bezpośrednio do domów, tymczasem w Ameryce praktykę tę dopiero zaczęto wprowadzać na indywidualne życzenie. Podobno jednak w metropolii, gdzie teraz przebywałem, mniej istotna od wygody tego zwyczaju dla obywateli była możliwość inwigilowania ich pism przez rząd. Żywiłem nadzieję, iż poczta zaprzestanie wreszcie kierować korespondencję przeznaczoną Dupontowi pod niewłaściwy adres. Ze względu na inną jeszcze osobliwość zasad odmówiono mi (jak zwykle tu surowo, acz uprzejmie) dostępu do administratorów urzędu pocztowego, w którym liczyłem wypytać o jego adres obecny - tak że musiałem na piśmie zgłosić prośbę o to w stosownym ministerstwie. List, który mi pomogła zredagować właścicielka hotelu, madame Fouche, bezwzględnie należało wysłać pocztą, mimo iż owo ministerstwo mieściło się bodaj trzy przecznice dalej!

- Z pewnością otrzyma pan zgodę w ciągu paru dni - zapewniła madame Fouche.
- Choć może potrwać to też nieco dłużej - dodała w zadumie - gdyby, co nader częste, omylił się tam jakiś urzędnik.

Czekając oznak postępu w tej materii, pisałem do Hattie. Na wspomnienie żalu, jaki mnie ogarniał, gdy ją widziałem zasmuconą, głęboko ubolewałem, że wybrałszy ten akurat moment na realizację przedsięwzięcia, przysparzam jej choćby i niewielkich cierpień. W listach swych przyrzekałem nie zwlekać, jeśli tylko to możliwe, z naszym wspólnym zamierzeniem i usilnie błagałem, aby mnie odwiedziła w Paryżu, nawet gdyby ten pobyt miał być krótki, a program wizyty nieurozmaicony - przez moje tu zobowiązania. Hattie odpowiedziała, iż podróż taka sprawiłaby jej radość nieopisaną, lecz jest zmuszona pomóc w opiece nad dziećmi, które właśnie dwie jej siostry wydały na świat.

Peter zaś przysłał list pożegnalny ze wskazaniem, że oddając się występki i dekadencji Europy, rujnuję swe życie, a poniekąd również niszczyć życie jemu.

Doprawdy, cóż on sobie wyobrażał? Gdyby mógł się zapoznać z moją tu, jakże inną, codziennością!

Zza okna dobiegały odgłosy nocnych uciech paryskiego lata, muzyka orkiestr ulicznych, zgiełk przyjęć z tańcami czy teatrów gromadzących setki widzów... Gdy ja raz po raz zaglądałem do swoich dwu komód i wpatrywałem się w zegar na kominku - wyczekując.

Któregoś dnia zjawiła się u mnie madame Fouche, by mi zawiązać na ramieniu opaskę z czarnej krepy. Rozkojarzony, bo mnie wyrwała z codziennych rozmyślań, przystałem na to w jednej chwili.

- Proszę łaskawie przyjąć wyrazy głębokiego współczucia - powiedziała.

- Dziękuję... Na jaką okoliczność?! - spytałem z niepokojem.

- Przecież się komuś zmarło, prawda? - oznajmiła poważnie, acz jednym tchem, jak gdyby się jej przeze mnie wyczerpały skromne zasoby współczucia. - A jeśli nie, skąd u pana aż taka melancholia?

Zawahałem się, spoglądając ze zmarszczoną brwią na owinięty wokół rękawa czarny materiał.

- Owszem, madame, ktoś odszedł. Nie to jednak stanowi bezpośrednią przyczynę mego poruszenia. Lecz adres, przeklęty ów adres! Niech mi pani wybaczy tak pospolite wyrażenie. Muszę jak najszybciej odszukać adres monsieur Auguste'a Duponte lub opuścić Paryż z pustymi rękami, a wtedy moje działania przyjaciele uznają za wytwór chorej wyobraźni. Dlatego też chciałbym udać się na pocztę.

Na drugi dzień madame Fouche sama - zamiast kelnera - przyniosła mi śniadanie. Nieudolnie kryjąc wesołość, wręczyła mi jakiś zapisany skrawek.

- Cóż to takiego, madame?

- No, adres Auguste'a Duponte, jakżeby inaczej?

- Stokrotne pani dzięki! To cudownie! - powstawszy, wybiegłem z pokoju w pół sekundy. Z nadmiaru podniecenia nie zdążyłem zaspokoić ciekawości, jakim sposobem znalazła się w posiadaniu owej cennej kartki.

Wskazane mi miejsce, oddalone o ledwie kwadrans drogi, okazało się zblakłą żółtą przybudówką szkarłatno-błękitnej kamienicy z dziedzińcem - dość typowego okazu spotykanej w paryskiej architekturze tandetnej przesady. W przeciwieństwie do pierwszego adresu, który odwiedziłem, w dzielnicy tej nie widać było kawiarni ani

sklepów, zatem - według mnie - panujący tu spokój sprzyjał kontemplacji oraz analizie. Konsjerż, tępawy jegomość o szkaradnych wąsiskach, wskazał mi drogę do mieszkania Duponte'a. Przystanąwszy przy schodach, wróciłem do izby stróża.

- Proszę wybaczyć, monsieur, lecz czy nie stosowniej byłoby mnie wpierw zaanonsować panu Duponte'?

Konsjerż potraktował to pytanie jako przytyk - bo może podałem w wątpliwość jego kompetencje lub, kto wie, swoją prośbą sprowadziłem go do roli sługi. Żona jego zaś wzruszyła ramionami i wznosząc oczy ku niebiosom czy też mieszkaniu detektywa, rzekła z niejakim współczuciem:

- A iluż on to miewa gości?

Ta osobliwa pogawędka znacznie się przyczyniła do mego zdenerwowania. Tak że gdy go ujrzałem po raz pierwszy, począłem doń mówić bez ładu i składu, chaotycznie. Jego działalność bowiem okazała się rzadszą i bardziej ekskluzywną, niż sobie to wyobrażałem. Sądząc po słowach kobiety, paryżanie nawet nie próbowali szukać jego wsparcia!

Ledwie Duponte otworzył mi drzwi swojej kwatery, celem wprowadzenia oświadczyłem pospiesznie:

- Posłałem panu kilka listów, dokładnie trzy, ze Stanów Zjednoczonych, jak również depezę na poprzedni pański adres. Pisma te dotyczyły amerykańskiego pisarza Edgara A. Poe. Należy się niezwłocznie zająć badaniem przyczyn jego śmierci. I w tym to celu pana odwiedziłem.

- Widzę - odparł Duponte, marszcząc oblicze i wskazując coś tuż za mną - że lampa w holu znów nie świeci. Wymieniano ją już tyle razy, a płomień stale gaśnie.

- Co proszę? Lampa?

Tak się toczyła moja z nim konwersacja. Zaproszony do środka, powtórzyłem historię zawartą w listach, podkreślając, iż trzeba czym prędzej i pospołu wziąć się do roboty, a także wyraziłem nadzieję, że zechce możliwie jak najszybciej towarzyszyć mi w drodze powrotnej do Ameryki.

W pokoju nader skromnym ujrzałem, o dziwo, tylko kilka i to błahych książek. Panował tam osobliwy ziąb, mimo że przecież pora była letnia. Duponte rozsiadł się na fotelu. Raptem, jakby dopiero teraz sobie uzmysłowił, iż zwracam się do niego, nie zaś

do nagiej ściany, zapytał:

- Po cóż mi pan to wszystko opowiadasz?

- Monsieur Duponte - odparłem jak rażony gromem - jest pan sławnym geniuszem analitycznej teorii możliwości. Jediną znaną mi osobą, być może i jedyną w całym świecie, która potrafi rozwikłać tę zagadkę!

- Pan natomiast jesteś w wielkim błędzie - stwierdził. - Czyś oszalał?

- Ja? Przecież mam do czynienia z Auguste'em Duponte we własnej osobie! - rzekłem tonem oskarżycielskim.

- Rzecz, o którą panu idzie, to już doprawdy dawne dzieje. Policja czasami mnie prosiła, abym im przeglądał dokumenty. Niestety, zbyt przejęci własnym widzeniem faktów, paryscy dziennikarze nieraz mi przypisywali pewne atrybuty ku uciesze złańnionej sensacji publiki. Opowiadano o mnie takie bajki... - (Czy mi się przywidziało, czy dojrzałem w jego oczach coś jakby iskrę dumy?) Urwał i bez ceregieli podjął zgoła inny temat. - Tego lata w Paryżu wprost roi się od atrakcji, o których warto, sądzę, by pan wiedział. Powinien się pan wybrać na jakiś koncert w Ogrodzie Luksemburskim. Mógłbym doradzić panu, gdzie są najwspanialsze kwiaty. A znasz pan pałac w Wersalu? Na pewno by ci się spodobał...

- Pałac w Wersalu? Wersal mi pan radzisz? Duponte, to ogromnie ważne! Doprawdy, nie zaprzętałbym panu głowy, gdyby chodziło o rozrywkę. Pół świata przejechałem, aby pana odszukać!

On zaś ze zrozumieniem skinął głową i rzekł:

- Musisz się pan więc porządnie wyspać.

Nazajutrz rano obudziłem się po mocnym a niemiłym lipcowym śnie. Poprzedniego wieczoru wróciłem do hotelu w stanie otępienia, spowodowanego opisanym wyżej przyjęciem mnie przez Duponte'a. Rankiem jednak rozczarowanie to osłabło, gdyż pomyślałem sobie, iż przez zmęczenie może nie umiałem słusznie pokierować tą rozmową. Znużony i pełen obaw, z rozwichrzonym włosiem, wpadłem doń bez choćby jakiegoś polecającego pisma, co było zachowaniem wysoce nieroztropnym i prostackim.

Tego dnia wpierym spożyłem obfite śniadanie, co w Paryżu wygląda jak nasz

obiad, tyle że bez zupy. Choć muszę tutaj dodać, że mimo iż ostrygi zaserwowano mi najwyborniejsze, to jednak z przyrządzanymi w zatoce Chesapeake owe drobne, błękitne wodniste stworzenia klasą się żadną miarą nie równały. Przybywszy do Duponte'a, zaraz - ku swej radości - zobaczyłem, że konsjerż wybrał się, by coś załatwić w mieście. W izbie, naprawiając dywan, siedziała jego gadatliwa żona z pulchną córką.

Starsza podsunęła mi krzesło. A że na każdy mój uśmiech natychmiast się rumieniła, starałem się uśmiechać w przerwach między zdaniami, tak by sobie zapewnić współpracę z jej strony.

- Wczoraj, madame, wspomniała pani, że Duponte rzadko kogoś przyjmuje. No, a ci, co go odwiedzali w sprawach zawodowych? Też się nie pojawiają?

- Odkąd tutaj mieszka - nigdy.

- Ale jego nazwisko jest pani dobrze znane?

- A jakże! - odparła, tak jakbym podał w wątpliwość zdrowie jej umysłu. - Chociaż z początku nie sądziłam, że to on właśnie. Podobno miał wielkie poważanie u policji. Lokator nasz to jegomość nieszkodliwy, lecz wciąż pogrążony w jakimś stuporze, jak gdyby był na poły i żywy, i umarły. Przypuszczałam, że posiada brata czy dalekiego krewnego... No, ale, jak się okazuje, nie ma zbyt wielu znajomych, którzy by go chcieli odwiedzać.

- Ani też przyjaciółek - bąknęła znudzona sytuacją córka, która, jak się przekonacie, do końca mego dwumiesięcznego pobytu w Paryżu nie powie już nic więcej.

- Rozumiem - odparłem i podziękowawszy paniom, wspiałem się schodami do kwatery Duponte'a. Kiedy się im kłaniałem, obie znów spąsowiały.

Tego dnia rankiem snułem w myśli rozważania na temat poświęconych C. Auguste Dupinowi opowieści Poe'go. W pierwszej Dupin raptownie i niespodziewanie oznajmia, iż ma zamiar rozwiązać zagadkę tajemniczych zbrodni, które nastąpiły w domu przy rue Morgue. „Śledztwo będzie dla nas rozrywką” - mówi swemu zdumionemu przyjacielowi. „Pójdźmy przyjrzeć się domostwu własnymi oczami”*. Szukał zatem rozrywki. Pośród wszystkiego, co prawie jednym tchem wyjawiał Duponte'owi, raz jeden nie podałem prawdziwie kuszącej przyczyny, która mogłaby skierować jego geniusz na kwestię śmierci poety! Być może podczas minionych paru lat, gdy Duponte

najwidoczniej zaprzestał działalności, nigdy się nie wyłoniła sprawa godna jego fascynacji, wobec czego popadł on w stan odbierany przez większość jako pozbawione celu odrętwienie.

Lecz kiedy doń zapukałem, nie kazał mi odejść, a zaprosił na przechadzkę. Poszliśmy więc razem przez tłoczną, przyjazną Dzielnicę Łacińską. Powiadam „razem”, aczkolwiek nie jest to równoznaczne ze stwierdzeniem, iż szliśmy ramię w ramię. Krok mego towarzysza bowiem był nienazwanie wyważony i powolny, prawie, rzec chciałoby się, niezauważalny. W istocie, by nie zostawał w tyle, musiałem czasem wykonać osobliwy półobrót. Podobnie jak dzień wcześniej, mówił o rzeczach trywialnych. I ja tym razem również - przed podjęciem ostatniego wysiłku nakłonienia go do wiadomej współpracy.

- Czy mimo wszystko, monsieur, nie ma pan ochoty zająć się sprawą ambitniejszej natury? Podczas gdy ja gromadziłem wszelkie dostępne szczegóły związane ze śmiercią Poego, inni wciągnęli skonfundowaną publikę do bezczeszczenia jego grobu. Idzie mi o badanie sprawy trudnej a na czasie, która by panu mogła dać wiele rozrywki... - Myśl tę musiałem powtórzyć, bo ją wpierw zagłuszył hałas masywnego wozu.

On jednak nawet nie mrugnął okiem w odpowiedzi. Wyraźnie wielkich rozrywek nie było mu trzeba, toteż po raz kolejny zostałem zmuszony się wycofać.

Podczas następnych odwiedzin u Duponte'a zastałem go leżącego z fajką w łożku. Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi korzystał z niego, gdy miał ochotę palić albo pisać. Pisać zaś, jak się od niego dowiedziałem, wprost nie cierpiał, albowiem ze względu na wymóg spójności czynność ta hamowała jego myśli. Przed rzeczoną wizytą ponownie zapoznałem się, poddając ją refleksji, z hojną ofertą złożoną C. Auguste Dupinowi przez policję w rozwinięciu poświęconej jemu historii, *Tajemnicy Marie Roget* - aby zechciał zgłębić przypadek młodej panny sklepowej, którą znaleziono martwą w lesie. Mimo iż w listach swych do Duponte'a naturalnie pisałem o godziwej zapłacie, to teraz zapewniłem go o tym osobiście, w hołdzie dla Edgara Poe stwierdzając słowami poety, że w zamian za niepodzielną uwagę w kwestii jego śmierci szczerze wynagrodzę detektywa. Niezwłocznie podałem mu pokaźną kwotę, nawet ją jeszcze raz pomnażając.

Lecz na próżno. Pieniądz - choć sytuację jego trudno by określić luksusową - zdawał się nijak go nie wzruszać. Gdy zatem wspominałem o honorarium, jak również kiedy starałem się go zachęcać z innej strony, albo mnie chwycił za rękę, by mi zwrócić uwagę na kolejną mijaną przez nas osobiwość tutejszej architektury, albo całkiem zwyczajnie patrzył w przestrzeń. Chwilami, kiedyśmy tak szli obok sklepów, kwitnącego kwiecica i jakiegoś ogrodu, wydawał mi się niemal chory na umyśle.

- O, kasztanowce! - wykrzykiwał zniecacka, choć może ta jego forma była w istocie bezbrzeżnym smutkiem.

Pewnego wieczoru, wracając z kolejnego z nim widzenia, mijałem gromadę policjantów siedzących i jedzących lody w kawiarni na wolnym powietrzu. W jednorzędowych płaszczach, z wąsem i spiczastymi bródkami prezentowali się wprost fenomenalnie.

- *Monsieur! Monsieur Clark, bonjour!*

Wykrzyknął to przysadzisty policjant, który pokierował moją dorożką tuż po przyjeździe do Paryża. Ożywienie jego na mój widok należało przypisać panującej przy stole ogólnej wesołości.

Zebrani powstali, ażeby mnie pozdrowić.

- Oto uczony dżentelmen, który przybył z Ameryki celem poznania Duponte'a!

Po chwili milczenia policjanci jak jeden mąż wybuchnęli śmiechem.

Zmieszała mnie ta reakcja na nazwisko „Duponte”. Gdy tylko usiadłem, ten pierwszy tak powiedział:

- Krąży tu o nim wprost bez liku historii. Geniuszem był, mówią. A nawet, że kradzież klejnotów umiał przewidzieć jeszcze przed ich złodziejem.

- Doprawdy, był geniuszem? - zapytałem.

- A tak. Lecz dawno temu.

- Mój ojciec pracował w policji, gdy go zatrudniano w prefekturze - oznajmił inny, z kwaśną i chyba mu właściwą miną. - I mówił mi, że Duponte to nader bystry młodzian, który sam kreuje trudności, byle się tylko zdawało, iż on właśnie ma je przewyciężyć.

- Jak to? - spytałem z niepokojem.

Policjant zawzięcie podrapał się po szyi dawno nie podcinanymi paznokciami; robił to chyba często, bo miał tam wręcz chorobliwie poczerwieniałą plamę.

- Tak wiadomo memu ojcu - bąknął.

- Podobno Duponte - ciągnął ów oficer bardziej przychylnie nastawiony - umiał osądzić morale li tylko na podstawie wyglądu zewnętrznego. Kiedyś, na czas państwowego święta, zaofiarował się policji przejść ulicami i wskazać wszelkich groźnych osobników, który powinni się znaleźć poza nawiasem społeczeństwa.

- No i? - zapytał inny.

- Nic z tej oferty nie wyszło, bo przecież wtedy policja nie miałaby już nic a nic do roboty.

- No, i co się z nim stało? - chciałem się dowiedzieć. - Jakie to dochodzenia dziś prowadzi?

Na to odezwał się jakby rozsądniejszy i mniej krzykliwy oficer:

- Mówią, że Duponte'owi się nie poszczęściło w życiu... Że za morderstwo trafiło się jego ukochanej stryczek, bo nie mógł jej ocalić swą niecodzienną umiejętnością analizy. Że odtąd nic już nie jest zdolny zgłębić...

- Wiadomo! - warknął „Drapacz”. - Chyba że dokona tego jako upiór. Zabił go jeden złoczyńca, który mu poprzysiągł zemstę za osadzenie w więzieniu.

Już-już otwierałem usta, aby go wyprowadzić z błędu, lecz po sekundzie namysłu uznałem, iż ma w sobie tyle jadu, że lepiej będzie go więcej nie drażnić.

- Skądże - powiedział wtedy inny. - Duponte został wśród żywych i w chwili obecnej mieszka w Wiedniu. Znużony niewdzięcznością. Szkoda gadać, doprawdy! W Paryżu dzisiaj żadną miarą nie trafi się na kogoś mu równego.

- Powiedz to prefektowi Delacourt - wtrącił krępy i reszta się wówczas gromko roześmiała.

* * *

Przytoczę tu anegdotę zasłyszaną od jednego z policjantów.

Otóż przed wieloma laty Duponte któregoś wieczoru znalazł się w *cabinet* lub też, inaczej mówiąc, prywatnej izbie pewnej paryskiej gospody naprzeciwko skazańca, który ledwie trzy dni wcześniej poderżnął gardło dozorczy więzienia. Od momentu ucieczki poszukiwano go w Paryżu ze zdwojoną czujnością i w sprawę było włączonych też kilku mych znajomków z rzeczonyj kawiarni. Duponte zaś, czyniąc użytek z rozlicznych swych talentów, wydedukował, gdzie zbir ten najprawdopodobniej może się chcieć

skrywać. Tak więc siedzieli wspólnie i sobie konwersowali.

- Policja mnie nie dopadnie - zwierzył się złoczyńca Duponte'owi. - Przegonię każdego, a jakby co, to i łeb odstrzelę w walce. Jeśli tylko się nie natknę na tego drania Duponte'a, nic mi nie zagraża. On to prawdziwy łajdak!

- Gdybyś go więc pan spotkał, to, tuszę, nie miałbyś kłopotu z rozpoznaniem - stwierdził Duponte.

Szubrawiec zaśmiał się na te słowa.

- Rozpoznał?... Uchowaj Boże! - butelkę wina opróżnił jednym haustem. - Widać, nie miałeś pan z tym łotrem do czynienia! Nigdy go dwakroć nie widziano w tym samym przebraniu, wiesz pan? Rankiem wygląda zwyczajnie, pewno jak i pan teraz. A już godzinę później zmienia się tak, że by go nie poznała rodzona matka... Pod wieczór zaś i szatan sądziłby, że go nie zna! Nie dość, że wie, gdzie jesteś, to wskaże ci dalszą drogę!!!

Kiedy się ów przestępca urznął do nieprzytomności, Duponte z najwyższym opanowaniem zamówił jeszcze jedną butelkę wina. Następnie zaś mu oznajmił, iż zerkając po „gabinetach”, dojrzała gdzieś Duponte'a dziewczyna z za szynkwasu. Gdy na to łotr dostał furii, detektyw poddał mu myśl, żeby się ukrył w szafie ściennej i w stosownej chwili wyskoczył, by go pozbawić życia. Tamten więc wlaź do schowka, który Dupont zamknął na klucz i zaraz wezwał policję.

Taki to swego czasu był Duponte. Takim chciałem go wziąć do Stanów Zjednoczonych. Choć muszę rzec, iż moja - ograniczona - z nim znajomość bynajmniej nie wykluczyła pokazu jego talentów. Pewnego popołudnia, podczas kolejnego spaceru, zrobił się taki gorący, że go nakłoniłem, aby skorzystał z mej dorożki. Po chwili jazdy w ciszy przez Paryż wskazał mi za oknem miejsce wiecznego spoczynku.

- Tutaj, monsieur Clark - usłyszałem - po drugiej stronie muru mieści się mały cmentarz, gdzie grzebią pana krewnych.

Ujrzałem szyld kierujący ku mogiłom Żydów.

- Istotnie jest niewielki... - zawieszając głos, zdumiony, uzmysłowiłem sobie, co mi właśnie oznajmił. - Monsieur Duponte!

- Tak, słucham?

- Coś rzekł pan chwilę temu? O miejscu spoczywania?

- Leżą tu w większości ludzie pańskiej wiary.

- Skąd, monsieur, przypuszczenie, iż się wywodzę z Żydów? Wszak nigdy na ten temat nic nie mówiłem.

- Więc nie? - zapytał w zdumieniu.

- Cóż... - z wrażenia dech mi zapało. - Matka była Żydówką, ojciec zaś protestantem. Oboje już umarli. Ciekawe, jak pan na to wpadłeś?

Widząc, że się nie zdoła wymigać od odpowiedzi, Duponte tak ową rzecz objaśnił:

- Przed paroma dniami udaliśmy się do pewnego pensjonatu na Montmartrze, gdzie właśnie, jak to pan wyczytał w prasowych doniesieniach, dopuszczono się mordu na młodej dziewczynie. - Istotnie, tutejsze dzienniki, czytowane przeze mnie celem szlifowania francuszczyzny, rozpisywały się wówczas o makabrycznej zbrodni. Towarzysz mój kontynuował: - W poczuciu, iż jest to na swój sposób miejsce uświęcone, bo ktoś tam dopiero co stracił życie, uniosłeś pan odruchowo dłoń do kapelusza. Zamiast go jednak zdjąć, jak wchodząc do kościoła czynią to chrześcijanie, umocowałeś go na głowie tak, jak każdy Żyd ma w zwyczaju w synagodze. Chwilkę przy nim gmerałeś, niepewny wyraźnie, co tu począć. Wtedy też mi się objawiło, że może zdarza ci się modlić i w synagodze, i w kościele.

Miał całkowitą słuszność. Jako że matka po ślubie, wbrew namowom rodziny ojca, nigdy się nie wyrzekła swojego dziedzictwa i gdy skończono budowę synagogi przy Lloyd Street, zabierała mnie tam regularnie.

Duponte znów pograżył się w milczeniu. Ja zaś skryłem ekscytację. Oto chyba nareszcie pękały między nami lody.

* * *

Starąłem się delikatnie wywiedzieć od Duponte'a więcej szczegółów z jego życia, lecz wtedy, za każdym razem, twarz mu jakby tężała. A, trzeba tu zaznaczyć, widywaliśmy się co dzień. Niby w jakimś rytuale nawiedzałem go zawsze ranną porą. Zwykle czytał gazetę, wyciągnięty na łóżku, i zwykle, kiedy pukałem, zapraszał mnie na kawę. Następnie mi oświadczał, iż właśnie się wybiera na przechadzkę, gdy ja zaś proponowałem mu swe towarzystwo, wyrażał zgodę, nie mówiąc na to ani słowa.

Miał w sobie coś nieprzeniknionego, był wiecznie nieobecny duchem, co we mnie

syciło pragnienie, by ujrzeć go w rozmaitych zwykłych czy przyziemnych sytuacjach; jak kocha się, jak zмага w pojedynku czy jakie wybiera danie w ulubionym lokalu. Trawiła mnie ciekawość jego myśli i chęć, by mi to odwzajemniał.

Na spotkania te nieraz przynosiłem coś związanego z moją pierwotną przesłanką, co by mogło przypadkiem rozbudzić jego zmysł poznawczy. Raz na stoisku księgarskim, na przykład, znalazłem i pokazałem mu przewodnik po Baltimore.

- Widzisz pan, tutaj w środku jest rozkładana mapa... W tej oto części miasta zamieszkiwał Edgar Poe, gdy go po raz pierwszy nagrodzono w konkursie literackim za opowieść pod tytułem *Rękopis znaleziony w butelce*. Tu... znaleziony został w stanie nieprzytomności. Tu zaś, monsieur, o tutaj, mieści się jego grób!

- Monsieur Clark - odpowiedział - niech mi pan zechce wybaczyć, lecz sprawy tego typu nic a nic, absolutnie, mnie nie interesują.

Widzicie więc, jak to między nami było. Ze wszystkich sił próbowałem wybudzić go z tej kondycji odrętwienia. Na przykład pewnego dnia, kiedyśmy, w gorąc, przekraczali most na Sekwanie, wyłożyliśmy obaj po dwanaście sous, ażeby sobie popływać pod płóciennym zadaszeniem, i razem skoczyliśmy w przyjemnie chłodne wody. Duponté zaraz przymknął oczy i położył się na plecach. Ja także, bez namysłu, uczyniłem to samo. Ciała nam kołysały fale, wzruszane pluskaniem rozbrykanej dzieciarni i młodzieńców.

Ja: - Monsieur, zapewne zna pan wybitne teksty Poego o C. Auguste Dupinie lub choćby o nich słyszał. Były wydane drukiem w tutejszych czasopismach.

Duponté (tonem obojętnym): - Nie inaczej.

Ja: - To pana zdolność analizy natchnęła poetę. Nie wierzę, by ani trochę pana to nie obchodziło! W wyczyny swoje główna, obdarzona rozumem niemal nadprzyrodzonym postać angażuje cudowne, niewysłowione wprost talenta!

On: - Zdaje się, nic z tego nie czytałem.

Ja: - Nie znasz pan historii z życia swego? Które pana uczynią nieśmiertelnym? Jakże?!

On: - Mnie to, monsieur, nie zajmuje w najmniejszym choćby stopniu.

Czy to ostatnie stwierdzenie powinno się kończyć znakiem zapytania? Może odpowiedź wskazałby jakiś gramatyk... Duponté rzekł to bowiem ostro, acz nie

podnosząc głosu, niby w restauracji kelner, który powtarza złożone przez gościa zamówienie.

* * *

Istotny przewrót w mych stosunkach z Duponte'em nastąpił ledwie kilka dni później. Przechadzaliśmy się akurat Jardin des Plantes, gdzie można spotkać nie tylko najświetniejsze okazy drzew czy roślin, lecz też podziwiać najlepszy w Paryżu naukowy zbiór zoologiczny. Pokonawszy coś na kształt tunelu z chmur, które się spiętrzyły ponad nami, ruszyliśmy w stronę wyjścia, gdy raptem przyskoczył do nas jakiś człowiek. Widocznie w wielkiej konsternacji.

- Monsieurs mili - wydyszał - widzieliście tu może kogoś z moją diablotką?

- Diablotką? - powtórzyłem. - Nie rozumiem.

I wtedy wyjaśnił nam, jak od ulicznego sprzedawcy nabył wypiek z kminkiem, będący dlań prawdziwym rarytasem, aby umilić sobie cudnie pogodny dzień jeszcze przed nadejściem deszczu. Potem umieścił przysmak ów na ławce, obok siebie, czekając, aż należycie przetrawi się wreszcie wczesny obiad. I na ułamek sekundy pochylił się, by chwycić za parasol, zbierało się bowiem na burzę. Po czym, gdy już-już chciał zanurzyć zęby w cieście, okazało się, iż luksus został mu odebrany tajemniczym zrządzeniem!

- Może je porwał ptak - stwierdziłem, szarpiąc Duponte'a za ramię. - Chodźmy, zaczyna padać, przecież nie mamy ze sobą parasoli.

Kiedy nieco odeszliśmy od pozbawionego deseru człowieka, Duponte spojrzał za siebie. I nagle go przywołał.

- Monsieur - rzekł doń - bardzo proszę, niech się pan ustawi tam, gdzie ja teraz, a ciastko pana powróci w zaledwie, jak mi się zdaje, siedem minut. - Głos jego nie wskazywał ani podniecenia, ani też krzty ciekawości całą sprawą.

- Doprawdy? - zakrzyknął tamten.

- Owszem - odparł detektyw i skierował się w swoją stronę.

- Jakże? - spytał ów jegomość.

I mnie również mocno zaskoczyło odkrycie Duponte'a, który to zresztą dostrzegł w jednej chwili.

- Durnota! - wyrzekł pod nosem.

- Hę? - zapytał tamten, oburzony.

- Monsieur, z całym szacunkiem... - rzekłem przeciwny takiej arogancji.

Lecz on to zlekceważył.

- Zaraz swój wniosek wytłumaczę - stwierdził. Obcego i mnie prawie skręciło z ciekawości. Tymczasem, jakby nigdy nic, on milczał. Dopiero po trzech minutach może dopadła nas wrzawa zewnętrznego świata i... choć pewnie komuś się to wyda dziwne, prawowitemu właścicielowi znikąd jakby się objawiła się zaginiona diablotka!

- Widzisz pan?! - wykrzyknąłem.

Ów smakołyk, przewiązany sznurkiem, wlekli za sobą przez ogród dwaj - zatraceni w igraszce - mali chłopcy. Gość doścignął jednego i prędko odzyskał, co mu skradli. Po czym ruszył w naszą stronę.

- Nadzwyczajne, monsieur! - wrzasnął. - Lecz jak pan na to wpadłeś? - to rzekłszy, spojrział na Duponte'a podejrzliwie, jak gdyby wyczyn jego był jakimś podłym spiskiem.

Widząc, iż tamten nie da mu spokoju, Duponte zdecydował się rzecz wyłuszczyć.

Pośród licznych rozrywek, jakie zapewniał Jardin des Plantes, największym powodzeniem cieszył się pokaz niedźwiedzi. Duponte, zanim go zaczął ten od diablotki, stwierdził nonszalanckim tonem, iż zbliża się pora budzenia ze snu owych zwierzaków. Wiadome to było również miejscowym ich entuzjastom, którzy mieli wtedy w obyczaju zachęcać je do zabaw, jak choćby - do włożenia na specjalnie dla nich przysposobioną żerdź, do czego zazwyczaj je nęcono, machając jakimś smacznym kąskiem. W istocie sprzedawcy, których rewir był przed bramą parku, sprzedawali tego tyle zwykle, co i żywności dla publiki. Ponieważ wśród sympatyków tych rozrywek nie brakowało małych chłopców, ci zaś na ogół nie mieli w kieszeni sous na przysmaki dla zwierząt, to Duponte wysnuł wniosek, iż gdy znajomy nasz sięgnął po parasol, chcąc się skryć przed deszczem, któryś z owych *gamins* czym prędzej porwał ciastko. Ławka była wysoka, a urwis drobnej postury, więc gdy tamten znów się wyprostował, to nie ujrzawszy nikogo naokoło, uznał, iż mu je skradziono zrządzeniem sił nieczystych.

- Pięknie. Skąd jednak pan wiedział, że zgubę odzyskam i to właśnie tu, w tym miejscu? - zapytał Duponte'a.

- Jak może pan zauważył, wchodząc do ogrodu - mówił dalej Duponte, do siebie

raczej niż do nas - przy atrakcjach zoologicznych zgromadziło się dziś więcej niż zazwyczaj porządkowych. I pewnie też pan słyszałeś, jak niedźwiedź imieniem Martin pożarł całkiem niedawno żołnierza, który się nieroztropnie wychyliwszy, przeleciał na drugą stronę ogrodzenia.

- Tak, faktycznie, pamiętam - stwierdził ów jegomość.

- Otóż z całą pewnością strażnikom przykazano pilnować młodzieży, aby się już więcej nie wspinąca celem bliższego przypatrzenia tym potworom.

- No jakże, monsieur! Nie inaczej! - ze zdziwienia tamten aż otworzył usta.

- Można by całą rzecz tak w przybliżeniu zobrazować, że gdy chłopak przejął pana diablotkę i począł nią wymachiwać przed niedźwiedziem, to w ciągu ledwie paru minut któryś ze stróżów zawrócił go z drogi, tak że rabuś musiał się skierować główną ścieżką, aleją skrzyżowaną z zakątkiem, gdzie się obecnie znajdujemy, ku drugiej pod względem powodzenia atrakcji, a mianowicie do klatki z małpami, które, gdy im podsunąć jaskrawą szmatkę czy też jadło, skłania się do gonitw równie dla dzieciaka zajmujących, jak znane nam niedźwiedzie wspinaczki na szczyt słupa. Ani bowiem papugi, ani wilki dla smakołyków takich spektakli nigdy nie wyczyniają.

Zachwycony odkryciem, jakby go dokonał samodzielnie, nasz znajomek z wdzięczności wspaniałomyślnie chciał się podzielić ową diablotką, choć wcześniej została usmarowana przez dzieciaka, jak również nieco rozplaszczona świeżymi kroplami deszczu. Ja grzecznie odmówiłem, Duponte zaś po namyśle wziął poczęstunek i siadł z tamtym na parkowej ławce. Kiedy się zajadali, osłaniałem ich parasolem.

Pod wieczór spotkałem tegoż gościa w tłocznej cafe przy moim hotelu. Lokal oświetlono wewnątrz niemal oślepiająco. Człowiek ów rozgrywał ze znajomym partyjkę domina, na mój widok jednak prędko odeń odszedł.

- Monsieur, świetna robota! - rzekłem uradowany. - Gratulacje!

Otóż poprzedniego dnia zapoznałem się z nim właśnie w Jardin des Plantes. Był jednym z tutejszych *chiffoniers*, którzy trudnią się przeszukiwaniem gromadzonych przed domami stosów śmieci. Niezwykle drobiazgowo, za pomocą szpikulca i koszyka, zbiera się tak wszystko, co ma jakąś wymierną cenę. „Kości, skrawki papieru, płótna, no i innych tkanin, żelazny złom, pobite szkło i porcelanę, a nawet korki z butelek po

winie...” - jak mi wytłumaczył. Działalność ta jednakże, meldowana na policji, nie uchodziła za przejaw włóczęgostwa.

- Za Filipa - oznajmił, mając na myśli ostatniego monarchę - w dzień się zarobiło całe trzydzieści sous! Teraz, przy republikanach można ledwie piętnaście - dodał z nutą nostalgii. - Ludzie dziś wyrzucają mniej kości i papieru! Kiedy w kraju się nie przelewa, nam, biednym, jeszcze gorzej.

Słowa te nader mocno wryły mi się w pamięć.

Jako że w świetle prawa wolno mu było uprawiać ten proceder tylko między godziną piątą i dziesiątą rano, a bardzo mu zależało na zarobku - stwierdziłem, że chętnie zgodzi się wziąć udział w mojej konspiracji. W związku z powyższym też go pouczyłem, aby - ledwie mnie ujrzy na przechadzce z kolegą w dzień następny - ogłosił stosownie głośno stratę cennego przedmiotu i upraszał Dupontę'a o pomoc w jego odzyskaniu. Tak oto mój towarzysz wciągnięty został w pomniejsze dochodzenie.

I teraz, w lokalu, w którym umówiliśmy się na spotkanie, w ramach umowy rzekłem kelnerowi, iż płacę za wszystko, co tamten wybierze z karty dań. Posiłek był to jak się patrzy! W istocie cały zestaw, wszystko, co mieli tego dnia w ofercie: *poulet enfricassee*, ragout, kalafior, melony, serek śmietankowy i cukierki! Jak nakazują tutejsze obyczaje, każde kolejne danie miał na świeżym talerzu, w przeciwieństwie bowiem do Amerykanów Francuzi żywią odrazę do mieszania smaków, czyli, przykładowo, serwowania jarzyn pospołu z wyciekłym sokiem z mięsa. Ucztę ową oglądałem z satysfakcją, bo tak mnie uradował jego wyczyn w parku.

- Nie sądziłem z początku, że pomysł z diablotką wypali - zwierzyłem mu się. - Takie mi się to bowiem wydało osobliwe! Tymczasem pan wybornie załatwił sprawę z dzieckiem.

- Ach, nie, monsieur! - zaprzeczył. - W ogóle z tym malcem nie mówiłem. Ciastko skradziono mi naprawdę!

- Jakże? Co pan opowiadasz?!

Chiffonier odrzekł na to, iż planował umieścić swój parasol w jakimś tajnym schowku, a później, jak ustaliliśmy, dać znać Dupontę'owi, że go właśnie zgubił. I kiedy się zastanawiał, gdzie go powinien schować tuż za ławką, wtedy nagle zniknęła owa pyszna diablotka.

- Jak się pański przyjaciel domyślił, gdzie ją podziałem? - spytał zdumiony. - Czyżby za pana namową śledził mnie on od początku?

- Skądże! - pokręciłem głową. - Moim pragnieniem było sprawdzić, czy się upora z tą zagadką, a przecież tak bym zniweczył cały swój eksperyment, racja?

Głęboko rozważywszy okoliczność, współnik mój oznajmił coś takiego:

- Niepospolity widać jest to umysł. Choć jak kto głodny, myślę, czyni, co należy.

Gdyśmy się pożegnali, zastanowiłem się nad owym aksjomatem. Obiecujące zachowanie Duponte'a frapowało mnie do tego stopnia, że jakoś mi zabrakło fantazji szukać przesłanek, jakimi się tu kierował. Zapewne, pozbawiony obiadu, chciał spożyć diablotkę najzwyczajniej w świecie - z głodu.

Na przytoczonym wypadku bynajmniej nie skończyły się próby pozyskania dla mnie, jak i odświeżenia genialnych możliwości wybitnego detektywa. Z Ameryki przywoziłem bowiem wydanie broszurowe *Utworów prozą* Poego. Umieściwszy zakładkę na pierwszej stronie *Zabójstwa przy rue Morgue*, zostawiłem wolumin Duponte'owi, w nadziei, że mimo wszystko ulegnie ciekawości. Taktyka ma powoli miała się zacząć sprawdzać, co też mnie napawało niewysłowioną wprost rozkoszą. Pierwsze oznaki, iż Duponte jednak się pozwala zwieść na moją stronę, nastąpiły, gdy się z nim raz wieczór wybrałem do Cafe Belge. Dwa, trzy razy w tygodniu siadywał tam na ławce, ignorując zgiełk bilardu i pogwarek, niby w ekstazie zatracony pośród hałasu dookoła. Nieraz mi się udawało przedtem go tam odnaleźć. Przy okazji jednak, którą zaraz opiszę, sprawiał on wrażenie nieco inaczej usposobionego. Już choćby o tym świadczyło mniej nieobecne spojrzenie.

Straciłem go z oczu, zaraz gdy wszedł do kafejki. Zdobiące ściany lustra aż nadto odbijały zmieszanie zgromadzonej klienteli. Mieli się tu w zwyczaju zbierać najlepsi miejscowi bilardziści. I pośród nich był pewien zawadiaka, jak mówili, gracz najdoskonalszy. Otaczała go wściekle czerwona aura - od rudych brwi i włosów, jak również dziobało podrażnionej skóry. Zawsze niemal grał sam, a to przypuszczalnie przez to, że zdolnościami przewyższał wszystkich, którzy się tam zbierali jedynie dla zabawy i pogawędki. Na każdy celny strzał wykrzykiwał sam sobie dla kurażu, a gdy celował marnie, klął na czym świat stoi.

Wyłącznie w Cafe Belge zezwalano w Paryżu grać kobietom, choć, co wprawi w

zdumienie każdego, kto w metropolii tej nie gościł, nie był to lokal jedyne, gdzie damom dano również prawo palić. W istocie, skromny przybysz z Ameryki zapewne zbladłby na widok różnych wystawianych przez tutejsze sklepy z grawiurami obrazów czy - przypisanych pokojom dziecięcym, a tu, choćby w ogrodach Tuileries, ukazywanych na widok publiczny - czynnościom młodych matek.

Gdy się rozglądałem za Duponte'em, dłoń mą nakryła swoją młoda panna.

- Monsieur, zagrasz pan z nami w bilard?

- Słucham?

Wskazała jeszcze trzy nimfy przy swym stole.

- Przecież ma pan ochotę. Proszę, oto kij. Pan z Anglii? I pchnęła mnie do stołu.

- Bez obaw. W Paryżu nie gra się na pieniądze, a na kolejki, monsieur!

- Ależ... - schyliłem się, by nikt mnie nie usłyszał. - Ja nie mam żony.

Jak było mi wiadomo, pokazując się publicznie z kawalerem, niezamężna Francuzka narażała na szwank swoją reputację, tymczasem mężatki mogły bezkarnie wyprawiać, co im się spodoba.

- To nic - rzekła mi do ucha głośnym szeptem. - Mam męża.

Po czym roześmiała się wraz z towarzyszkami, konwersując z nimi tak pospiesznie, że mój francuski żadną miarą już się tutaj nie mógł sprawdzić.

Przepychając się między graczy, ruszyłem w stronę przeciwną. Wkrótce też spostrzegłem inną młodą pannę, która ustawiła się nieco jakby z boku. Mimo że się wyraźnie też wywodziła ze skromniejszej klasy, wyróżniała się tu elegancją wprost niewysłowioną. Obcą, że to podkreślę, też „niezrównanym pięknosciom”, które zwykły się prowadzić Baltimore Street. Była ode mnie niższa, jej zaś głębokie oczy jak gdyby wyznaczyły moją drogę w tłumie. Pod ręką miała kosz rozkwitłego kwiecia, a stała jakby nigdy nic, bez słowa. Na znak któregoś z gości szła doń, tamten zaś rzucał jej miedziaka.

Gmerając w kieszeniach za monetą, ażeby się przyłożyć do tak cudnego zjawiska, przypadkiem potrafiłem w grze jednego bilardzistę.

- Do czorta! - usłyszałem, jak się okazało, od ryżego mistrza.

U boku miał kobietę o ciemnych włosach, piękną, bladolicą, i ona go zaraz chciała uspokoić w czułym geście.

Poznane chwilę wcześniej nimfy z chichotem mnie pokazały palcem.

- Pan Anglik! - powiedziały unisono.

- Niweczysz grę! - krzyknął rudy. - Rozwałę czerep! Won do Anglii!

- W istocie, szanowny panie, pochodzę z Ameryki. Bądź łaskaw przyjąć moje przeprosiny.

- Znaczy się, Jankes, tak? Jak ci się zdaje, że tu preria, to jesteś w błędzie! I guza szukasz? To dostaniesz!

Silnie mnie parę razy popchnął, że ledwie zdołałem utrzymać równowagę. Przy czym - nie wiedzieć kiedy - zginął mi gdzieś kapelusz. Po którymś jego szturchańcu runąłem na podłogę, co mi uprzytomniły kawiarniane zwierciadła.

* * *

Potem, jak mi podpowiada pamięć, leżałem na plecach. Stwierdziwszy, iż lepiej będzie mi na ziemi, zapatrzyłem się pod sufit, gdzie odbite w lustrach kłęby dymu trwały niby mgła, która wzbiera nad falami oceanu.

Wtem ręce czyjeś mnie szarpnęły - i wstałem na nogi. Wokół zrobiło się gwarniej, zapanowała ciasnota i większy jeszcze zaduch. Skądś mnie doleciały krzyki i donośne śmiechy, głównie kierowane do jednej z owych panien, która teraz na blacie stołu frywolnie bawiła publikę jakimś tańcem. Zgiełk dodał animuszu Ryżemu Hultajowi, tak że przywarł do mnie szkaradnie wykrzywioną gębą.

Miał oddech wprost do bólu obrzydliwy.

- Najlepsza moja rozgrywka... - orzekł groźnie lub tak to przynajmniej zabrzmiało w moich uszach. Z pewnością stwierdzić nie byłem zdolny, co mówił, bo się posługiwał ojczystym językiem, a mnie całkiem zawiodła znajomość francuszczyzny. Liczyłem, iż nie widzi tego dziewczę z koszem kwiatów.

Wtem mnie dobiegło z tyłu:

- Monsieur, byłbyś pan łaskaw?! Drab zerknął mi za ramię.

- Proszę do gry - dodał tamten. - A stawkę pan wyznaczysz.

Widać już o mnie zapomniawszy, Ryży odepchnął swoją pannę, która zerknęła wkoło niespokojnie, a jego szarpała za rękaw.

- Tam? - spytał, wskazując stół, gdzieśmy się zderzyli.

- Wybornie - odparł Duponte z ukłonem.

Po czym - wymieniono pewną sumę. Okoliczność ta zaraz przywabiła widzów, nie tylko dlatego, że nieznajomy ośmielił się wyzwać na pojedynek mistrza, lecz że - nie jak zwykle o napitki - tym razem szło o gotówkę, i to na dodatek znaczną.

Rozejrzałem się w irracjonalnej złudzie, że ujrzę tam innego, niż znany mi, Duponte'a. Bo choć tak szczęśliwy, że uniknąłem zguby, rychło uzmysłowiłem sobie, jak nieroztropne jest jego posunięcie. Wiedziałem, że - po pierwsze - nie ma z czego płacić, gdyby przegrał. Po drugie, przecież tamten cieszył się opinią specja w swej dziedzinie. Chcąc jakby mi to uprzytomnić, gość za mną szepnął do kompana:

- Rudy zalicza się do najlepszych w Paryżu.

Użył jego nazwiska, co jednak od ogólnej wrzawy wypadło mi z pamięci.

Łotr rzucił pieniądz na stół, Duponte zaś - wybierał kij dla siebie.

- Monsieur? - tamten po trzykroć grzmotnął ręką w krzesło.

- Gotówka mnie przypadnie - rzekł Duponte. - Nie panu.

- No, a jeśli ja wygram?! - wrzasnął przeciwnik, oblicze jego z różu przybrało zaś odcień purpurowy.

Duponte uczynił dłonią gest w moim kierunku.

- Jak wyjdiesz pan z potyczki naszej bez uszczerbku - odparł - do spraw z tym dżentelmenem możesz wrócić bez przeszkód.

Łotr ku mej rozpaczycy spojrział wtedy na mnie, widocznie już się sycąc torturami, jakich mi będzie mógł przysporzyć po swym triumfie. I zaszczyt rozpoczęcia gry zaofiarował Duponte'owi. W desperacji usiłowałem sobie przypomnieć, czy Poe w opowieściach o Dupinie choć raz nadmienia talent jego do bilardu... Niestety, bohater żywił niechęć do gier matematycznych w stylu szachów, przedkładając nad nie zwykłą partię wista, w której można się było prawdziwie wykazać zdolnością analizy.

Duponte zaczął tak beznadziejnie, aż się roześmiało kilku widzów.

Ryży zaś z całą powagą i, rzecz trzeba nawet, wdziękiem - trafiał, gdy tylko przychodziła jego kolej. Jeśli mu zrujnowałem grę najlepszą w życiu, to tę pewnie uznałby za nie mniej doskonałą. Więc niezmiennie ufałem, iż Duponte'a nagle olśni lub że ta nieudolność to jakiś jego fortel. Lecz cóż, grał coraz gorzej i do wygranej zostały Rudemu bodaj ze trzy ruchy. Zacząłem szperać w kieszeniach, w zamiarze wypłacenia stawki srebrem, ale okazało się, że mam przy sobie ledwie parę franków.

Słów mi brak, by to opisać: Duponte ani na chwilę nie stracił opanowania. Za każdym kolejnym okropnym ruchem twarz jego wykazywała spokój i pewność siebie - co jątrzyło tamtego wprost do granic, ani trochę nie zakłócając jednak mu precyzji. Triumfem jest, jak wiadomo, i radość patrzenia na porażkę. Duponte zaś uparcie walczył, jakby niepomny tej zasady. Sądzę, że Rudy Łotr nieco opóźnił swe zwycięstwo, ażeby go pognębić jeszcze bardziej.

- No, to już mamy koniec - oznajmił w przyływie wigoru, patrząc na niego z furją, a mnie rzucając spojrzenie nienawistne.

- Wybornie - ku memu przerażeniu, Duponte rzekł to ze wzruszeniem ramion.

Zdjęty przestachem, po chwili dopiero usłyszałem zgiełk przy drzwiach wejściowych. Kilkoro zgromadzonych wymierzyło palcem w naszą stronę. Następnie się wtaraniał gość z bujną brodą o barwie pomarańczy; wyjąwszy zarost i pokaźniejszą posturę, niezwykle wprost podobny do naszego czempiona.

Widząc, jak żałośnie blednie chytra gęba Rudzielca, zaraz się zorientowałem, że coś tam chyba nie gra. Szczęściem wróciło mi francuską mowę na tyle, aby pojąć, iż - wedle przybysza - Rudy żywi namiętność wobec tamtego ukochanej, panny, która, roztrzęsiona, ustawiła się tuż przy stole. Gdy dziewczę teraz krzykiem błagało giganta o wybaczenie, Ryży Łotr potajemnie wyleciał na ulicę.

Duponte tymczasem wziął gotówkę i skierował się w swoją stronę.

„Jak wyjdiesz pan z potyczki bez uszczerbku” - słowa te nie dawały mi spokoju. Uszczerbek... A zatem wiedział on już od początku - jak się rozwinie całe zajście... Bez tchu wybiegłem za nim na ulicę.

- Monsieur, wszak mogłem stracić życie! Nigdy by ci się nie udało wygrać!

- I owszem!

- Skądżeś pan zatem wysnuł, iż się pojawi tamten?

- Znikąd. Panna, która tak się kleiła do Ryżego, już wcześniej wyglądała przez okno kilka razy, lecz tak, co może zauważyłeś, by ktoś jej przypadkiem nie zdołał spostrzec z drugiej strony. Poza tym wręcz ścisłała jego ramię, jak gdyby chcąc go chronić; kiedy go zaś wyzwiałem, prosiła zaraz, żeby się wynosił... Rzecz oczywista, nie dlatego, że mógłbym go jakimś cudem pobić. Wiedziała - czy przez to, iż wcześniej go oglądała w stanie pobudzenia, czy może nieroztropnie zostawiwszy list od niego na swej

toaletce - że ów drugi kochanek wybiera się, by jej szukać. Wniosek rzeczony wywiodłem, ledwie się jej moment przypatrując. Gdy ktoś nieznany wie, o co chodzi, zwykle już się nie musi tego zgłębiać. Toteż obawy wszelkie były płonne.

- A jakby tak się zjawił natychmiast po pańskiej porażce?

- Niezwykłeś pan wrażliwej konstytucji, widać.

- Czyby się wówczas nie dopuścił potwornego gwałtu na mnie?

- Zgoda - po chwili przyznał Duponte. - Istotnie byłbyś pan w kłopotcie. Trzeba się nam zatem cieszyć, iż sprawy poszły innym tokiem.

Któregoś poranka, wkrótce po opisanej sytuacji, zapukałem do Duponte'a, lecz nie usłyszałem jego głosu. Nacisnąwszy klamkę, stwierdziłem, że drzwi nie są zamknięte. Wszedłem więc, myśląc, że mnie nie słyszy, i doń zawołałem.

- Wybierzesz się, monsieur, na spacer? - tu się rozejrzałem wokół.

Duponte chylił się nad łóżkiem jak w modlitwie, z dłonią niby na stałe przyrośniętą do czoła. Kiedy się tam przybliżyłem, stwierdziłem, że mocno pochłonięty jest lekturą.

- Jak tak można? - zapytał. Cofnąwszy się, odrzekłem:

- Przecież ja nie mam złych intencji. Myślałem: miło by było przejść się z panem dzisiaj nad Sekwaną. Albo do Tuileries oglądnąć drzewa kasztanowe!

Na to popatrzył mi prosto w oczy, co jednak nie wróżyło nic dobrego.

- Nieraz już mówiłem, że się w te pańskie sprawy wgłębiać nie mam woli. Pan natomiast uparcie wolisz widzieć rzeczy po swojemu. I wciąż z literaturą mieszać chcesz mi moje życie. Zróbże mi więc przysługę i najzwyczajniej odejdz.

- Ależ monsieur Duponte... proszę... Bardzo proszę...

I wtedy też odkryłem, w co się tak uważnie wczytał. Przeze mnie pożyczone: *Zabójstwo przy rue Morgue*. W sekundzie chwycił mnie za rękę, wypchnął i drzwi zatrzasnął. We mnie - zastygło naraz serce.

Natychmiast więc przywarłem do szczeliny między drzwiami i framugą. Duponte - wyprostowany - siedział na łożu. Czytał nieprzerwanie, w osobliwym skupieniu. A przewracając stronicę, co chwila jakby z lekka tężał. Coraz bardziej.

Wyczekawszy moment jeszcze, ośmieliłem się odwołać do jego rozsądku.

Najpierw zacząłem pukać, potem już łomotałem. Wreszcie szarpanie klamki było

tak głośne, że przybiegł tam nawet konsjerż, grożąc wezwaniem policji. Jeszcze w Waszyngtonie ostrzegął mnie monsieur Montor, by pod żadnym pozorem jej sobie nie sprowadzić tutaj na kark.

- Nijak nie można ich przyrównać do amerykańskich policjantów - stwierdził. - Gdy się na kogo zawezmą... to szkoda słów, doprawdy!

Dlatego na razie poddając się, pozwoliłem, by mnie sprowadzono na dół.

* * *

Mówiłem do niego przez dziurkę od klucza, do drzwi stukałem i pod próg wsuwałem listy. Oto do jakich metod byłem zmuszony się uciekać od czasu przytoczonej wyżej sytuacji. Śledziłem Dupontę'a, kiedy się przechadzał po Paryżu, on jednak mnie niezmiennie ignorował. Pewnego razu, gdy dotarłem za nim aż pod miejsce jego zamieszkania, wchodząc do bramy, tak oto się odezwał:

- Pod żadnym pozorem pan nie wpuszczaj tego impertynenckiego młodzieńca.

Mimo iż patrzył na mnie, mówił do konsjerża. Potem obrócił się na pięcie i ruszył schodami w górę.

W związku z tym wybadałem, kiedy konsjerż bywa poza domem, i w zamian za parę sous chętnie wpuszczała mnie do środka jego żona. „Szkoda nam trwonić czas” - pisałem Dupontę'owi w rozlicznych listach, które wsuwałem pod drzwi po to jedynie, aby je znajdować nie otwarte na podłodze holu.

W tym czasie również dostałem kolejne pismo od Petera, z Ameryki. Zmienił ton korespondencji radykalnie, namawiając, bym jak najszybciej wracał do Baltimore, gdzie, gdy się już wyszumie, czeka mnie serdeczne powitanie. I nawet przez bank francuski przesłał pokaźną sumę, tak abym mógł niezwłocznie załatwić sprawę podróży. Rzecz jasna, pieniądze zwróciłem, oznajmiając, iż zamierzam ukończyć rozpoczęte przedsięwzięcie. To znaczy: ocalę Poego przed tymi, którzy go pragną zniszczyć, a wszelkie w tej kwestii zasługi zapiszę na poczet naszej kancelarii.

Peter odpowiedział na to, że poważnie myśli o przyjeździe do Paryża, by mnie odszukać i sprowadzić do Ameryki, choćby i miał mnie tam wlec siłą.

Odwiedzając czytelnice, które udostępniały amerykańską prasę codzienną, nadal gromadziłem artykuły na temat śmierci Poego. W większości opisów gazetowych reputacja jego uległa znacznemu pogorszeniu. Moraliści używali teraz sobie na nim,

żeby nadrobić zaniedbania z przeszłości dotyczące geniuszy, których się po śmierci zazwyczaj wynosiło pod niebiosa, choć mieli wieść „życie rozwiązłe”. Cios nader przykry zadał poecie pozbawiony serca gryziپیórek nazwiskiem Rufus Griswold, który chcąc zarobić na ludzkiej krzywdzie trochę grosza, wydał spęczniałą od nienawiści i pomówień jego biografię. Złą sławę artysty, by się tu posłużyć metaforą, całkiem już unurzano w błocie.

Lecz i pośród tych plugawych wysiłków rozerwania go na strzępy wyłoniły się nowe istotne szczegóły powiązane z ostatnim okresem bytności jego w świecie żywych. Ujawniono, na przykład, iż krótko przed tym, jak go znaleziono w wiadomym hotelu w Baltimore, Edgar wybierał się do Filadelfii. Miał dostać sto dolarów za edycję tomiku wierszy autorstwa niejakiej St. Leon Loud. Jak chodzi jednak o tę informację, dziennikarze jak zwykle snuli różne domysły, bo czy istotnie się tam udał, tego potwierdzić nie zdołano.

Sprawą jeszcze dziwniejszą okazał się przedłożony prasie przez Marię Clemm, niegdyś teściową poety, list, który jej nadesłał tuż przed wyjazdem z Richmond, dotyczący owych zamierzeń w związku z Filadelfią. Było to ostatnie jego pismo do ukochanej opiekunki. „Wciąż nie jestem władny posłać Ci choćby dolara, lecz proszę, nie trać nadziei, ufam bowiem, iż kłopoty nasze wkrótce się zakończą” - pisał z czułością. „Swą odpowiedź natychmiast kieruj do Filadelfii”. I dalej: „Na wszelki wypadek opuść swe nazwisko, adresatem zaś uczyni Wielmożnego E. S. T. Greya. Niech Bóg ma Cię w opiece, najdroższa moja Muddy”. W podpisie: „Twój Eddy”.

Wielmożny E. S. T. Grey? Na co Poe tuż przed śmiercią miał się posługiwać fałszywym nazwiskiem? I czemu też się obawiał, że list od Muddy nie dotrze doń w Filadelfii? E. S. T. Grey! Osobliwe te doniesienia brzmiały tak niedorzecznie, jakby je ktoś sobie wysłał z palca.

Oto gdy mi los kazał oddać się dochodzeniu ze zdwojoną siłą, Duponte nie chciał zamienić ze mną nawet słowa.

Czy wszystko to było jedną wielką pomyłką, wytworem szaleńczej potrzeby wykroczenia poza przypisane mi w życiu obowiązki i schematy? Ach, gdyby mnie tak

zaspokajało oddanie i serdeczność ze strony Hattie i Petera! Czyż w dzieciennych latach nie starczał mi do szczęścia ciepły blask kominka w „Glen Elizie” i ufne szczebioty towarzyszy zabaw? Czemu swe serce i zamierzenia zdecydowałem się powierzyć człowiekowi pokroju Duponte’a, który żył w oderwaniu od świata i - z dala od mej ojczyzny?

W postanowieniu, by zwalczyć ową melancholię, począłem zwiedzać zakątki, które, wedle mego przewodnika, „gość tu zobaczyć powinien”.

Wpierw się więc wybrałem obejrzeć przy Polach Elizejskich pałac, gdzie otoczony splendorami mieszkał prezydent Republiki, Ludwik Napoleon. Przy wejściu do wspaniałego holu lokaj w liberii odebrał mój kapelusz, w zamian wręczając mi drewniany żeton.

W jednym z apartamentów, które się udostępnia zwiedzającym, miałem możliwość widzenia księcia Napoleona we własnej osobie. Choć nie był to pierwszy raz, gdy oglądałem prezydenta Republiki, bratanka cesarza Napoleona, którego lud nadal traktował jako ulubiony symbol Francji. Otóż przed paroma tygodniami Ludwik Napoleon przejeżdżał avenue de Marigny, dokonując przeglądu swych ubranych w szkarłat i błękit żołnierzy. Duponte patrzył na tę paradę z ciekawością, ja zaś (jako że wówczas jeszcze tolerowałem mą obecność) towarzyszyłem mu po prostu.

Lud mu zgotował owację, a goście w najkosztowniejszych strojach wołali z żarem: „*Vive Napoleon!*”. I wtedy to, gdy prezydenta dało się jedynie dostrzec z pewnej odległości, na koniu, otoczonego strażą - nietrudno się było dopatrzeć w nim wspólnych cech z owym wielkim władcą, co tu maszerował czterdzieści lat wcześniej. Podobno, wedle niektórych, Ludwika Napoleona wybrano prezydentem choćby już ze względu na rzeczony imię. I trudno być może w to uwierzyć, lecz niepiśmienni w uboższych regionach kraju głosowali nań w przekonaniu, że jest to sam Bonaparte (zmarły, jak pewnie wiecie, ze trzy dekady temu)!

Oprócz owych entuzjastów zebrało się na ulicy bodaj trzydziestu mężczyzn o usmolonych twarzach, rękach i szyjach, którzy budzącym trwogę chórem powtarzali: „*Vive la Republique!*”. Ktoś z moich sąsiadów w tłumie stwierdził, że to na znak protestu przysłała ich tutaj partia czerwonych. Jakże okrzyk „Niech żyje...” miał wyrażać sprzeciw wobec formalnie powołanej Republiki - nie chciało się pomieścić w mym rozumie. Może

to raczej szło o agresywną formę tych zawołań, i przez to pojęcie „republika” napawało strachem zwolenników obecnego prezydenta, tak jakby tamci chcieli im oznajmić: „Pod takim przewodnictwem to ledwie pozór republiki, lecz przyjdzie dzień, że go obalimy i już bez niego stworzymy republikę jak się patrzy!”.

Tu, w jego miejscu zamieszkania, ujrzałem Napoleona zamyślonym, bladym, delikatnym dżentelmenem w każdym calu. Władca nie skrywał dumy, iż go okraża tłum żołnierzy i to, dodać trzeba, w większości wyróżnionych lśnącymi złotem orderami. A jednak w owym szacunku, z jakim go traktowano, dało się również wyczuć pewną przykrą niezręczność: był bowiem monarchą, a ledwie chwilę później prezydentem...

Wtem z pomieszczenia sąsiedniego wyłonił się prefekt Delacourt i podjął bezgłośnie konferencję z prezydentem. Zdumiony wtedy spostrzegłem, iż ów policjant zerka w moją stronę okiem wybitnie nieprzychylnym.

Dlatego wyniosłem się szybko z kwatery na Polach Elizejskich. Przed sobą miałem przecież jeszcze Wersal, więc choć autor przewodnika radził, aby się tam udać wcześniej z rana, uznałem, iż na wypad za miasto bynajmniej nie jest za późno. Poza tym Duponté także namawiał mnie na wycieczkę do Wersalu, przeto wiedząc, iż tam wędrowałem, może by się jakimś cudem zgodził ze mną porozmawiać.

Tuż po wyjeździe z metropolii pociąg nagle znajduje się w szczerym polu. Zatem co rusz mijałem spojrzenia zajętych pracą w polu kobiet w różnym wieku, o głowach osłoniętych czepkami w goździkowych barwach.

Wreszcie wjechaliśmy na stację. Niesiony niby tłumem męskich kapeluszy i ozdobnych damskich nakryć głowy, dotarłem pod żelazną bramę pałacu wersalskiego, gdzie zaraz dał się słyszeć przemiły szum fontann.

Gdy powracam pamięcią do owej sytuacji, to zda mi się, iż wszystko się zaczęło, kiedy tam sobie wędrowałem po pałacowych amfiladach. Otóż odczułem dyskomfort bliski niewygodzie, jaką sprawia zbyt cienkie w pierwszym dniu zimy palto. Winą jednak za to musiałem obarczyć tłum turystów, bo, jak chodzi o hałas, to pewnie z tymi tutaj nie mógłby się równać i lud, który kiedyś stąd wygnał księżnę d'Anouleme. Przewodnik objaśniał, jakie to bitwy wyobrażają kolejne malowidła, ja zaś w żaden sposób nie mogłem się skupić przez niezliczone, zerkające na mnie raz po raz pary oczu.

- Tu oto - rzekł przewodnik - Ludwik XIV wystawił na pokaz swój majestat w całej okazałości. Dwór jego tak był znakomity, że nawet w tym ogromnym pomieszczeniu z trudem przeciskał się przez zastępy dworzan.

Weszliśmy w wielką galerię Ludwika XIV, gdzie siedemnaście okien z widokiem na ogrody, sklepionych łukowato, jakby się przegląda w siedemnastu zwierciadłach zawieszonych naprzeciwko. Być może od zwycięstwa rewolucjonistów pojęcie władzy monarszej zyskało na atrakcyjności - pomyślałem sobie.

Przewodnika, którego nająłem za franka od godziny, stopniowo znużyło moje rozkojarzenie. Przypuszczalnie uznał, iż o subtelnościach sztuki oraz historii nie mam nic a nic do powiedzenia. Mnie zaś coraz bardziej dręczyło poczucie, że jestem pod obserwacją, w rzeczonyj zaś sali luster przyglądano mi się aż nadto natrętnie.

Zacząłem notować w pamięci osoby, które pojawiały się w komnatach wciąż na nowo. I uprosiłem wreszcie przewodnika, by zechciał nieco zboczyć ze swej zwykłej trasy, co - nie trzeba dodawać - wprawiło go w zadziwienie. Jeszcze i on mnie zresztą pograżył w owym przykrym stanie, kiedy ni stąd, ni zowąd dotknął tematu cudzoziemstwa.

- Zapewne sporo wiedzisz, co pan porabiasz w Paryżu... Pełen energii młody człowiek, to się przecież widzi - stwierdził, być może usiłując mnie rozdrażnić.

- Któż taki, monsieur? - zapytałem.

- No jakże, policja i rząd. Nie umknie ich uwadze żadna w tym mieście nowość.

- Tyle że ja się akurat niczym ciekawym nie wyróżniam.

- O wszystkim się dowiadują od kierownictwa hotelu, od patrzących, jak pan co dzień wchodzisz i wychodzisz, *commissionnaires*, od fiaków, sprzedawców warzyw czy choćby od właścicieli składów wina. Nic się przed nimi nie ukryje, monsieur, o to już bądź spokojny...

Wziąwszy pod uwagę me zdenerwowanie, słowa te ani trochę nie polepszyły mi nastroju. Zapłaciłem mu więc umówioną kwotę i zaraz kazałem się oddalić. Bez przewodnika mogłem się przemieszczać znacznie łatwiej, przemykając między ludźmi, którzy niespiesznie zwiedzali kolejne pałacowe komnaty. Wtem spostrzegłem za sobą niejakie poruszenie; kobiety pokrzykiwały, mężczyźni mruzczeni gniewnie, bo ktoś się głośno zaczął skarżyć, że go za mocno pchnął bezczelny jakiś typ. Nie czekając, aż

znajdą winnego zamieszania, spokojnie ruszyłem dalej. A kiedy już się nasyciłem bogactwem artystycznym, postanowiłem wkroczyć do niezwykłych ogrodów.

- On to! On to jest właśnie! Panoszy się, rozpycha po pałacu jak po swoim!

Ledwie zdążyłem to usłyszeć, ktoś chwycił mnie za rękę. Strażnik.

- Ja niby? - spytałem w sprzeciwie. - Przecież ja się wcale nie przepycham!

Kiedy dali znać strażnikowi, że ów nieokrzesany został zauważony w innym miejscu, mogłem się udać do ogrodu szybkim krokiem, by się rzeczony strażnik przypadkowo nie rozmyślił. Wkrótce miałem pożałować, że się od niego oddaliłem.

Tu mi się przypomniała przestroga madame Fouche: „W Paryżu, widzisz pan, niekiedy bywa groźnie. Bez ceregieli mogą człowieka obrabować, a potem jeszcze rzucić do Sekwany”. Wszak z takich też obywateli rewolucjoniści stworzyli w marcu czterdziestego ósmego „wojsko”, by zdetronizować króla i w imię ludu powołać republikę. Pewien fiakier mi mówił, jak podczas powstania jeden z tych złoczyńców otoczony przez policję przed zastrzeleniem wrzasnął: *Je suis bien venge!*^{*}, wywlekając z kieszeni kilkanaście ludzkich języków. Przed śmiercią zdążył je cisnąć w powietrze, aż spadły na ramiona oraz kepi policjantów, a niektóre z nich wleciały w otwarte ze zdumienia i obrzydzenia usta...

Znajdowałem się wśród aksamitnej zieloności wersalskich ogrodów, nie w podejrzanej okolicy, gdzie można zniemacka stracić język. Wciąż jednak miałem poczucie, jakby się ktoś za mną krok w krok czaił. Pnie drzew i ostro cięte żywopłoty stale mi ujawniały skrawki czyichś twarzy. Minąwszy szereg posągów, waz kamiennych i fontann, stanąłem przed Bachusem, szkaradnym bóstwem, które wylania się z wody rozpryskiwanej przez delfiny i różne morskie potwory. O ileż różniej byłoby tam, w pałacu, w otoczeniu turystów i w towarzystwie wścibskiego przewodnika!

Ktoś nagle złapał mnie za rękę.

* * *

Oto co zdołałem wtedy zapamiętać. Siedziałem w chybotliwej bryczce, pokonując wyrwy w bruku. Naprzeciw mnie zaś jegomość, który mi się objawił w wersalskim ogrodzie, zanim zemdlałem, o gębie tępej, niewzruszonej i surowej. Oj, znałem jego oblicze z wielu pałacowych komnat! Bo on to w rzeczy samej był tam moim cieniem! Oblizawszy dziąsła i zęby, upewniłem się, iż mój język wciąż jest na swoim miejscu.

Nie pomnę, czy coś myślałem, otwierając drzwi pojazdu. Pamiętam, że chwilę potem wylądowałem na jezdni. Gdy zaś mi się jako tako udało powstać z ziemi, najechał na mnie inny powóz i gwałtownym skrętem przyparł mnie do „mojej” dorożki.

- *Gare!*** - warknął jego woźnica, o żółtym uzębieniu, oklapłej czapce i rozchełstany kołnierzu. Z okna zaś wychynęło i na mój widok zawył wielkie psisko.

Wtedy pomknąłem w szczerze pole, które rozciągało się przy drodze.

Porywacz mój naturalnie wyskoczył z dorożki, aby mnie odszukać. W tempie zdumiewającym, gdy wspomnę, jak był potężny...

Uczułem silne uderzenie w głowę.

Ręce mi zesztyniały, skrępowane za plecami. Wróciwszy do przytomności, patrzyłem dookoła, choć trzeba może rzec, iż w górę. Oto znalazłem się w szerokim, bodaj na dwadzieścia stóp głębokim rowie. Nade mną górowały mury, lecz zupełnie niepodobne subtelnym budynkom paryskich uliczek. Jak gdyby mnie umieszczono w jakimś obcym świecie, gdzie - niby na pustyni - trwała upiorna cisza.

- Gdzie jestem? Zaraz mówić! - wykrzyknąłem, choć nie było tam żywej duszy.

Wtem odmamrotano mi coś po francusku. Natychmiast więc wykręciłem głowę, lecz nic nie zdołałem dojrzeć. Nic prócz cienia, zdaje się, człeka tego, który mnie porwał.

- Gdzieżeś mnie, draniu, przywiódł? - powtórzyłem.

Na próżno, bo osobnik tamten stał i jedynie czekał. Dopiero gdy z drugiej strony nadszedł mój prześladowca, dotarło do mnie, że cień ów należy do kogoś innego.

Wreszcie cień się poruszył i zaraz do mnie zbliżył.

Oto chyliła się nade mną niewiasta w białym czepcu i prostej sukni, wzięta, rzecz można, wprost z paryskich jakichś ogrodów. Stanąwszy przy moim krześle, patrzyła niemal opiekuńczo oczami osadzonymi tak głęboko, jakby wręcz sięgały tyłu czaszki. Dziewczyną, nie kobietą była ona.

- Milczeć!

- Kto pani? - wychrypiałem, umęczony krzykiem.

- Bonjour - tylko odparła, po czym obróciła się i odeszła.

Mimo osobliwości sytuacji odpowiedziałem jej to samo.

- Głupcze - upomniał mnie porywacz, tak żeby ona nie słyszała, bo wtedy cała

wina mogłaby przypaść jemu. - Takie jej miano właśnie: Bonjour!

- Bonjour? - zrazu nie uwierzyłem, lecz zaraz do mnie dotarło, że przecież jest mi znajoma, i to z poprzedniej okoliczności zagrożenia. - A jakże: Cafe Belge! Ten koszyk! Co panią tam sprowadziło?

- No proszę! - rozległ się głos inny jeszcze, z francuskim akcentem, lecz doskonale płynny. - Czy faktycznie aż tak trzeba powściągać naszego drogiego gościa z Stanów Zjednoczonych?

Ze skromnego brzmienia odpowiedzi na to wywnioskowałem, iż teraz się zjawił ich przywódca. Przybliżywszy się doń, porywacz mój rzekł w zaufaniu, jak gdyby mi nagle odebrano zdolność słuchu:

- Najpierw omdlał w Wersalu, potem wyleciał z dorożki niczym obłąkany. Niewiele brakowało, a zabiłby się...

- Nieważne. Tu już nikomu nic nie grozi. Bonjour, bądź tak miła, proszę...

Dziewczyna zręcznym ruchem uwolniła me nadgarstki.

Dotąd nie zdołałem zobaczyć, kto to taki; udało mi się ledwie dojrzeć białą opończę i cienkie pantalone. Lecz gdy mi oswobodzono ręce, stanąłem twarzą w twarz z tym człowiekiem.

- Niechże pan mi wybaczy aż takie środki zaradcze, monsieur Clark - powiedział, robiąc upierścienioną dłońią ruch taki, jak gdyby rzeczony zajście stało się przez przypadek. - Niemniej, muszę wyznać panu, iż te właśnie straszne twierdze należą do nielicznych zakątków Paryża, gdzie mogę się poruszać we względnym spokoju. A co najważniejsze...

Przerwałem mu:

- Drogi panie! Łotr ten tak mnie potraktował, a teraz jeszcze... No cóż, lecz przede wszystkim chcę wiedzieć, gdzie przebywam oraz po co...! - tu zdławiłem słowa, bo mi się wydało, że skądś się chyba znamy.

- Co, jak powiadam, najważniejsze - ciągnął tonem serdecznym, z uśmiechem na śniadej twarzy - w końcu poznaję pana osobiście.

I ujął moją dłoń, bezwładną wobec prawdy.

- Dupin! - krzyknąłem z niedowierzaniem.

Z pewnością pamiętacie, iż jako potencjalne pierwowzory postaci Dupina rozważałem sobie pięciu czy sześciu gości, nim ich wyeliminowałem na korzyść Duponte'a. Wśród owych kandydatów znajdował się niejaki Baron Claude Dupin - francuski adwokat, któremu, jak chodziły słuchy, nigdy się jeszcze nie zdarzyło przegrać w sądzie, a który się szczyił swym dalekim pokrewieństwem z rodziną królewską - skąd notabene rzeczony wielce wątpliwy jego tytuł. Od lat zaliczał się do elity jurystów Paryża i - jako że mu się zawsze udawało wybronić rozmaitych oskarżonych, ale i sympatycznych przestępców - traktowany był tu jak bohater. Swego czasu kandydował nawet na prokuratora generalnego i - przy okazji jakiegoś politycznego wstrząsu tutaj - niewiele brakło, a za sprawą swego okręgu trafiłby do Izby Reprezentantów. Podejrzewany przez wielu o stosowanie niegodnych metod, zrezygnował z działalności na terenie Francji, by podjąć nowe przedsięwzięcia w Londynie. Tam zaś, w czasie gdy obawiano się powstania, został mianowany obywatelem pełniącym doraźnie funkcję policjanta i w tym charakterze poczynił sobie tak dzielnie, iż zdołał zachować owo honorowe uprawnienie.

Wszelkie powyższe informacje zgromadziłem, uważnie przebadawszy francuskie czasopisma. Przed przybyciem moim do Paryża nastąpił moment taki, gdy prawie z pewnością stwierdziłem, iż to ów, nikt inny, stał się pierwowzorem postaci C. Auguste Dupina, toteż posłałem doń kilka listów, wpytując o dalsze szczegóły jego życia, jak również - opisując obecną okoliczność, z jaką w Baltimore przyszło mi się zmierzyć. Wkrótce jednak natrafiłem na artykuły prasowe o Auguste Duponte i zmieniłem swą hipotezę. Gdy Claude Dupin mi odpisał, w odpowiedzi skierowałem doń pismo z prośbą o wybaczenie mej omyłki.

W którymś z francuskich periodyków zamieszczono ilustrowany portret Barona, któremu się przyjrzałem z niezwykłą uwagą. Toteż, gdy mi podał rękę, znałem go już tak, jakbyśmy od dawna pozostawali w przyjaznych stosunkach. No i dlatego również, widząc go, krzyknąłem na poły w niepokoju i zdumieniu:

- Dupin!... Pan jest Claude Dupin!

- Proszę - rzekł wspaniałomyślnym tonem - niechże mi pan mówi „Baron”!

Natychmiast wyrwałem rękę z jego dłoni, bacząc, jak by się stamtąd prędko wyrwać. Dorożka, która mnie zawiodła w ten zakątek, stała w prowizorycznym korytarzu wzniesionym z kamienia, ja jednak żadną miarą nie miałem nad nią władzy, bo mój pierwszy porywacz wrócił do pojazdu i tam czekał.

Rów wokół Paryża stanowił element niedostępnych fortyfikacji, zbudowanych, by zapobiec najazdom na miasto. Nie kończące się niby-ogrodzenie z nasypami dla potrzeb artylerii otaczała sieć okopów i kanałów.

I w takim to pejzażu Dupin, zapewniwszy mnie o moim całkowitym bezpieczeństwie, począł wyjaśniać, iż znajomy jego, Hartwick - jegomość ów, który schwytał mnie w Wersalu i wsadził do swej bryki - chciał najzwyczajniej w świecie, żeby włos mi nie spadł z głowy.

- Hartwickowi by nie dał rady i sam szatan, a raz to niewiele brakowało, a odgryzłby on komuś całe ramię... Choć w ostatecznym rozrachunku człek zeń przyzwoity. Niechże mu pan daruje, bardzo proszę!

- Darować? Wybaczyc napaść?! Oj, jednak pana rozczaruję, Dupin! - zawołałem.

- Doprawdy, wielka to rozkosz już samo z panem obcowanie - odrzekł. - Po długim pobycie w Londynie dawno nie słyszałem, by ktoś me nazwisko wymówił tak poprawnie, jak się to powinno czynić po francusku!

- Mój panie - odparłem wzburzony, acz mile mnie polectał ten komplement - proszę się mi tu nie przypochlebiać. Skoroś pan chciał rozmowy ze mną, czemu nie w jakimś bardziej cywilizowanym miejscu?

- Z radością, monsieur Clark, wypiłbym z panem *demi-tasse* kawy, proszę mi wierzyć. A... mogę się doń zwracać po imieniu? - wyrażał się z fantazją, ale też i z zapalem.

- Nie!

- Spokojnie, upraszam o spokój. Jeśli mi pan pozwoli, to coś mu tu wyluszczę. Otóż na świecie dają się wyróżnić dwa rodzaje znajomości: pomiędzy przyjaciółmi i wrogami. Jeśli zaś chodzi o Paryż, mam tu i jednych, i drugich. I muszę panu wyznać, że ta druga grupa pragnęłaby mnie widzieć skróconym o głowę. Przez wiele lat trwałem w zażyłości z ludźmi, krótko mówiąc, niewłaściwymi, którym przyobiecałem sumy dość

pokażne, w wyniku jednak pewnych gruntownych a niewybaczalnych kalkulacji - do wypłacenia niemożliwe. I ubogi się stałem niby ta mysz kościelna, pan rozumie. Szczęśliwie, choć mi fortuna nie sprzyjała, w Londynie mam dość koneksji, które mi nie pozwolą nigdy zginąć. Tymczasem, sam pan widzisz, gdzie muszę się umawiać, gdy mi się zamarzy wrócić z wizytą do Paryża - dodał, ogarniając ręką nasze otoczenie. - I panu, bracie, również los zaoszczędził przykrości. Czyba się nie mylę?

Czy to lukratywny biznes, czyś się pan urodził w czepku może? Zresztą to dla nas nieistotne, prawda?

Zdumiało mnie i cokolwiek wprawiło w pomieszenie, kiedy Dupin wydobyl z płaszcza moje listy. Być może, gdy go opiszę, zrozumiecie, jak trudno, mimo niewybaczalnego traktowania, jakie mi on przecież zadał, było się nie zgodzić na dalszą z nim konwersację. Strój miał na sobie kosztowny, a mianowicie: fircykowaty, niemal biały garnitur i najelegantszej klasy rękawiczki, do tego kwiat w butonierce oraz przy doskonałym uczesaniu starannie jeszcze ścięte wąsy. Gors koszuli jego zdobiły lśniące ćwieki i łańcuszek do zegarka, też parę klejnotów, na palcach zaś skrzyły się pierścienie, którymi, to podkreślę, bynajmniej chełpić się nie starał. Buty wypolerowano mu tak idealnie, że się zdawały pochłaniać nie tylko sam blask, lecz i gorące słońca. Sposób zaś bycia jego nazwałbym otwartym do granic przesady; Dupin był, jednym słowem, niczym model z żurnala.

Przy całej tej manierze cechował go też nadmiar uprzejmości i grzeczności. Jawił się on jako tego rodzaju filantrop, który parę ulicznych dziewczek schroni pod własnym dachem. I choć mnie wywiódł na bezludzie, bałem się, by go przypadkiem nie urazić. Toteż spokojnie spytałem, jak mnie znalazł w Paryżu.

- Pośród owych paryżan, których wciąż zaliczam do przyjaciół, jest kilku policjantów trudniących się drobiazgowym sprawdzaniem gości z zagranicy. W ostatnim swym liście nadmienileś pan, że się, jak zresztą przypuszczałem, wybierasz poszukiwać tu Duponte'a. Bonjour mi potwierdziła, iż pan już przyjechałeś - uśmiechnął się do piękności, palącej teraz papierosa, a która w pamiętny bilardowy wieczór śledziła mnie w Cafe Belge.

- Bonjour to jej prawdziwe imię? - wyszeptalem w lęku, by mnie nie posłyszała, bo mimo wszelkich przeciwności kwestia ta dręczyła mnie nadal.

I nadal też została bez odpowiedzi.

Chociaż uległem chyba nie tylko magii jej przezwiska. Jak cudnie wyraziste były jej drobne usta i ogromne oczy! I mimo że i ja sam, i to, co się dzieje wokół, widocznie jej nie obchodziliśmy - moja nią fascynacja wzrastała z każdą chwilą.

- Ufam, iż nadszedł czas, byśmy dopełnili zobowiązań, bracie - stwierdził, wytrącając mnie z hipnozy, Baron.

I podsunął mi pod nos moje listy.

- Zobowiązań?

- Jakże, monsieur: umowy, w myśl której wspólnie rozwikłamy zagadkę śmierci Poe'go! - upomniał mnie nachmurzony, jakbym go nagle zawiódł.

Wypowiedział te słowa z taką mocą, iż niemal zapomniałem, że jest to absolutnie niemożliwe.

- Tyle że to pomyłka, moja - oświadczyłem. - Nie pan jesteś, przykro mi, wzorem postaci stworzonej przez poetę. Człowieka rzezonego bowiem odszukałem. Nazywa się on Auguste Dupont. Przecież pan pamięta, bo pisałem o tym na koniec naszej korespondencji...?

- Toś więc pan chciał oznajmić?! A ja sądziłem, iż to tylko żarcik. Zapewne więc Dupont już się zajął owym wstrząsającym zgonem, racja? I pewno chce na wylot sprawę zanalizować...?

- Razem... już się wglębiamy w pewne sekretne dochodzenia. Nic więcej na ten temat panu zdradzić nie mogę.

To mówiąc, podniecony, obróciłem się na pięcie, lecz bez celu. No i też przekornie, wyznać powinienem, zupełnie mi odjęło ochotę do ucieczki stamtąd. Kiedy to ostatni raz z takim żarem ktoś się wypowiadał o moim idolu...! Dawno już to nazwisko sam przywołałem Dupont'owi, lecz jak przecież wiadomo, nie zyskując nic w zamian.

- A zatem, drogi panie, znalazłeś się w kłopotcie - odpowiedział Dupin, składając przy tym dłonie jak w modlitwie i zaraz je ściskając w pięści. - Bo ja jestem ten prawdziwy, któregoś szukał tyle czasu.

- Wierutne kłamstwo!

- Ejże! W Anglii działałem jako komisarz. Czyżby to co innego, jak obrona prawdy, monsieur Clark? W życiu mi się nie zdarzyło przegrać sprawy, czego posiadam równie

niezbite świadectwa! Kim, wedle pana, jest adwokat, jak nie głosicielem prawdy? To kimże miałby być prawdziwy Dupin? Paramy się tym samym, drogi panie; dziedzina nasza to świat prawodawstwa. Jeśliby nam kazano żyć w epoce Eneasza, to przecież, by wziąć udział w audiencji u Minosa, z pewnością poszlibyśmy i w głąb piekieł, zgoda?

- Owszem - odpowiedziałem. - Choć ja się na co dzień trudnię długami hipotecznymi.

- Czas wobec tego zacząć, lecz wpierw dogadajmy zaproponowane przez pana w liście moje honorarium, a może pan być spokojny, że skorzystamy na tym obaj.

- Rzecz wykluczona, bo jestem, jak powiadam, winny lojalność Duponte'owi. I w prawdę jego tożsamości tylko wierzę.

Bonjour spojrzała na mnie ostrzegawczo. Dupin zaś westchnął i założył ręce.

- Duponte dawno się wypalił. Cierpi na ostrą dolegliwość, którą precyzją można by nazwać, no i przykłada chorą wagę do wszelkich swych poczynań. Niczym umierający stary malarz, który jeszcze się oszukuje, iż malowidła jego są świeże i ponadczasowe. Kukła, która sama w ruch się wprawia.

- Zajmuje tak to pana pewnie, bo chciałby pan spłacić swoje długi - odparłem w oburzeniu. - Oryginałem Dupina jest Auguste Duponte, Baronie, choćby nie wiem jak jeszcze miał go pan obrażać. Doprawdy, masz pan szczęście, że go tu z nami nie ma.

Baron przystąpił do mnie, tym razem cedząc słowa:

- I cóż by wtedy począł ten pański Duponte, ciekawe?

Chciałem wpierw odpowiedzieć, iżby mu pewnie zmiażdżył czaszkę, po pierwsze jednak nie umiałem tego wysłować po francusku, po wtóre, nie miałem pewności, czy faktycznie tak by się zachował. Claude Dupin - z niezmiennie lśniącem wąsem oraz biżuterią - uśmiechnął się zaś i nakazał, by mnie Bonjour zaraz powiodła do powozu.

Ująwszy mnie za rękę zaskakująco mocno, tak jak Hartwick, dziewczyna poprowadziła mnie przez wykop. W Paryżu, trzeba zaznaczyć, mężczyźni są w społeczeństwie niemal zbędni. Do chwili, o której opowiadam, widziałem tam niewiasty, które bez męskiego wsparcia działały w charakterze kapeluszników, woźniców, rzeźników, mleczarzy (lub „mleczarek” raczej), spiskowców, właścicieli kantorów wymiany, a nawet i kelnerów w zakładzie kąpielowym. Pamiętam, jak raz w Baltimore pewna mówczyni ogłosiła, iż gdyby kobietom dano pełnić zajęcia przypisane

mężczyźnie, to byłyby one znacznie cnotliwsze. To dziewczę chybaby się z owym poglądem nie zgodziło.

Gdyśmy odeszli na tyle, że Baron nie mógł już nas dosłyszeć, zwróciłem się do niej z pytaniem:

- Czemuż to mu pani służy?

- Ktoś panu kazał się odzywać?

Wprawilo mnie w zdumienie, iż coś podobnego mówi dama niewiele lat młodsza od Hattie, o głosie starczo chrypliwym, acz zarazem dziwnie frapującym.

- No cóż, w istocie nikt, ale Bonjour... To znaczy, łaskawa pani... Panienko, powinna się pani strzec tego człowieka.

- Niech każdy pilnuje swego nosa.

Zabrzmiało to nad wyraz bystro, owszem, lecz nie o własne bezpieczeństwo szło mi przede wszystkim. Po błysku w oczach jej poznałem, iż ma w sobie nieklamana niezależność, przez co odczułem więź z nią niemal w pół sekundy. Jedyną skazą na jej gładkiej skórze była blizna, czy - może nieco ściślej - jak gdyby wklęslenie biegnące pionowo przez usta, a czarownie się niby krzyżujące z jej uśmiechem.

- Zaraz tu będą! - wrzasnął ktoś na górze po francusku. Hartwick gnał do swego szefa, dzierżąc w dłoni lunetę.

- Znaleźli nas! - ryknął Dupin. - Wsiadać do powozu!

Widocznie go tu odszukał ktoś z nieprzychylnych znajomych. Jak jeden mąż wszyscy pędem rzucili się w stronę bryki.

- Pospiesz się, durniu, bo czas nagli! - w biegu mi szepnął w ucho Baron.

Wtedy ujrzałem Hartwicka, jak tuż przy pojeździe osuwa się na ziemię na odgłos wystrzału. Chciał wykrzyknąć: „Dupin”, lecz już nie dał rady. I zaraz padł bez życia, a z ucha jego na kamienie trysnęła ciemna czerwień.

I z przerażenia tym widokiem, no i że droga do wozu była stroma, potknąłem się i zjechałem na dół rowu. Pewnie mi to też poczytano za strategię, że tak się usiłuję oddalić od porywaczy. Lecz nie; straciłem równowagę, widząc, jak Baron sięga po pistolet. Ku mnie przylgnęła Bonjour.

- Zostaw! - rozkazał Dupin, a do mnie tak powiedział: - Następnym razem, ufam, spotkamy się w okolicznościach bardziej nam obu sprzyjających, bez perturbacji!

Tymczasem życzę, brachu, powodzenia!

A jakże, wiem doskonale, jak się to osobiłe wyda czytelnikom, iż tak właśnie się wyraził, gdy doń strzelano przy ucieczce, a ledwie przed momentem stracił życie jego główny poplecznik. Niemniej spisuję wszystko tak, jak się działo.

Uniosłem nieco głowę, żeby się przypatrzeć sytuacji. Wtedy coś mną szarpnęło i pociągnęło na dół. Padłem przygnieciony ciałem Bonjour, która mi z całej siły wykręciła rękę. Oczami wyobraźni ujrawszy raptem Hattie, odczułem naraz winę i pokusę. I nie mogąc wymknąć się z potrzasku, wbrew woli trząsnę się pod lekkim a niewzruszonym tym ciężarem.

- Siedź tu - kazała mi dziewczyna po angielsku. - Nawet jak odejdę. Zrozumiano? Przytaknąłem.

Wtedy to się podniosła i ruszyła za Baronem do powozu, ani raz na mnie nie spojrzawszy. Konie pocwałowały drogą wśród fortyfikacji. Po kilku minutach z łoskotem przetoczył się przede mną drugi pojazd. I znów strzelano do zbiegów - ja zaś osłoniłem głowę ramionami, gdy zewsząd niczym grad sypały się okruchy skał.

Z opresji wybawiła mnie grupa niemieckich turystów w wynajętej dorożce. Przybywszy, żeby zwiedzić umocnienia, uprzejmie się zgodzili wziąć mnie z powrotem do miasta.

Rzecz jasna, zżerała mnie chęć, by o przygodzie czym prędzej dać znać Duponte'owi. Lecz zdałoby się to na nic. Ze spotkania z Dupinem wysnułem bowiem wniosek, że wszystkie me sprawy jedynie ulegają pogmatwaniu. Wybitny analityk nie chciał wesprzeć mnie za żadną cenę, szarlatan zaś pokroju rzeczzonego Barona, aby coś zarobić, aż nadto chętny był mi do pomocy. W istocie więc mogłem sobie darować kolejną wizytę u Duponte'a.

Wkrótce się okazało, iż ów przewodnik wersalski miał całkowitą rację, jeśli chodzi o pilnowanie mej tu bytności przez policję. Otóż po opisanym zajściu moje finanse zmały, tak, że się musiałem przenieść do tańszego nieco pensjonatu. I ledwie się zdążyłem tam wprowadzić, już na mnie czekało dwóch grzecznych funkcjonariuszy, by zaraz me mieszkanie wprowadzić do swych rejestrów.

Nie minęły dwa dni, a już - gdy w pewnym zakładzie mi czerniono buty -

zmieniłem swą decyzję co do osoby Duponté'a. Z właściwą nacji Francuzów uprzejmością pucybut lekko się skłonił, dając mi do zrozumienia, iż noszę trzewiki mocno zabrudzone. Sięgnąłem po świeży dziennik. Tuż przy ławeczce usytuowano sporych rozmiarów lustro, tak by zajmując się robotą, czyściciel również miał możliwość lektury. Podobno, dla odpędzenia nudy, spora grupa tutejszych pucybutów nabyła rzadkiej umiejętności czytania wspaniałych tekstów gazetowych. Ja zaś do dnia tego nie wierzyłem, iż talent ów ma rację bytu.

Pospiesznie wertowałem najnowsze doniesienia, gdy tamten mi znieścacka przerwał:

- Zechce pan łaskawie wrócić na poprzednią stronę? Czyżby Claude Dupin znów bawił w Paryżu? Ponoć prześladowają go tu jak dzikiego zwierza!

Słyszając to, przewróciłem stronicę, by się zapoznać z dziwną opłaconą przez kogoś wiadomością:

„Ośławiony adwokat Claude Dupin, który nigdy w swoim życiu jeszcze nie przegrał żadnej sprawy, najęty został przez jednego z najpierwszych obywateli Ameryki [to, zdaje się, chodziło o mnie] celem rozwikłania tajemnicy zgonu wielbionego tam, genialnego literata nazwiskiem Edgar A. Poe. I Claude Dupin, nikt inny, stanowił źródło inspiracji rzeczonoego autora, i on też był pierwowzorem sławnej stworzonej przezeń postaci «Dupina», występującej między innymi w *Zabójstwie przy rue Morgue*, historii znanej powszechnie w angielskiej i w naszej mowie. W związku z powyższym Dupin udaje się do Ameryki, gdzie w ciągu równo dwu miesięcy od dnia dzisiejszego, w 1851 roku, zobowiązał się rozwiązać enigmę ową w zupełności. Do rodzinnego Paryża powróci więc z Nowego Świata obwołany tam najnowszym bohaterem...”.

Jakby mi coś spęchniało w krtani - i zaraz wyruszyłem do Duponté'a.

Nie poważylbym się opuszczać Europy w poczuciu, iż ma mnie on za zdrajcę, bo niby - co przecież by wywnioskował z artykułu - zwerbowałem sobie Dupina. W istocie i pewne sformułowania tam użyte były moje, gdyż wprost z mej korespondencji zaczerpnął je Baron. W nadziei, że jednak Duponté tego nie przeczyta, kazałem się natychmiast wieść do niego, tam zaś, niby w obłędzie, izbę konsjerża minąłem w ćwierć sekundy.

- Stać! - stróż się na mnie zamachnął, lecz na próżno. W górę leciałem po dwa schody.

Drzwi były uchylone, a wewnątrz nikogo.

Gazową lampkę nad łóżkiem jakby dopiero zagaszono, na kołdrze zaś spostrzegłem dziennik. „La Presse”; nie ten, z którym zapoznałem się przy czyszczeniu butów, acz również otwarty na wiadomym anonsie. Wszelkie inne przedmioty, papiery oraz artykuły zepchnięto na sam kraj mebla. Natychmiast sobie przedstawiłem, jak Duponté pomału się sadowi, strząsając z narzuty leżące tam zazwyczaj różności i ściskając w rękę owo czasopismo... Jak oczy jego płoną... Cóż by to było? Furia? Gorycz może? Gdy się dowiaduje o zwerbowaniu przeze mnie Dupina. Wszak raz już mi zarzucił zdradę.

- Monsieur! - nagle się zjawił konsjerż.

- A dajże mi pan spokój! - krzyknąłem, sycony gniewem na Barona. - Wyjeżdżam dziś z Paryża, lecz najpierw chcę i muszę odnaleźć Duponté'a. Więc albo pan zaraz mówisz, gdzie się udał, albo pożałujesz!

Konsjerż pokręcił głową, gdy ja - nim zdążył coś objaśnić - niemal go już potraktowałem pięścią.

- Nie ma go - rzekł bez tchu. - Ma się rozumieć: tutaj! Monsieur Duponté wziął bagaż i wyjechał!

* * *

Potem dowiedziałem się i tego, że konsjerż ledwie parę minut przed moim przyjściem pomagał Duponté'owi znieść na dół jego rzeczy. A stało się to zaraz po lekturze notatki, którą ów przebiegły Baron zamieścił w prasie. Z pewnością więc Duponté, uznawszy, iż się wobec niego dopuściłem zdrady, popadł w tak wielką melancholię, że dłużej w mieszkaniu swym przebywać nie był zdolny. Przed wyjściem z jego kwatery wyjrzałem przez okno, by sprawdzić, czy nie ma tam jakiegoś po nim śladu.

Nieopodal spostrzegłem wyładowany bagażami powóz. Wołałem, by się wrócił, lecz bez skutku, bo skręcił w inną ulicę. I tak już zrezygnowany, stwierdziłem w zdumieniu, że - choć mu to nakazałem - nie czeka mnie przed domem mój woźnica. Aby i tego było mało, zmierzał ku mnie nagle wóz Duponté'a, a raczej... choć detektyw

siedział w środku, na górze zaś się kolebały jego torby, to i dorożka, i fiakier w istocie należeli do mnie!

Konie stanęły ciężko tuż przede mną.

- Chciałem tylko zawrócić - wyjaśnił mi woźnica - żebyśmy nie tracili czasu.

Zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki, bym zasiadł obok Duponte'a, ja jednak wpierw musiałem go zobaczyć. Podeszedłem z drugiej strony; tkwił zapałszy w przestrzeń. Czyżby zatem Baron ze swymi pretensjami do postaci C. Auguste'a Dupina rozbudził w nim nareszcie to, czego mnie nie udało się zyskać ani zachętą żadną, ani wynagrodzeniem?

- Monsieur Duponte, to znaczy, że pan...?

- Oj, bo się panowie spóźnią - zawołał fiakier - na ten tam swój pociąg, no i potem statek. Proszę, niechże już pan wsiada!

Duponte skinął głową.

- ...teraz gotów - odrzekł.

Załoga wypływającego do Ameryki parowca „Humboldt” liczyła siedemdziesięciu ośmiu oficerów i marynarzy. Mieścił on stosowną liczbę kwater - wąskich, acz luksusowych kajut, do których wejścia usytuowano z dwu stron wyłożonej wspaniałym kobiercem bawialni - przeznaczonych dla ponad setki pasażerów. Był także cały labirynt izb pomocniczych, a mianowicie: biblioteka, palarnie i salony oraz osłonięte zagrody dla bydła.

Przybyliśmy do owego pałacu na wodzie jako jedni z pierwszych. Pełen oczekiwań, patrzyłem na tę arkę, która miała nas powieźć ku Nowemu Światu. Duponte, dotarłszy na górny pokład, przystanął niewzruszony. I ja też zamarłem, w podejrzeniu, iż nagle go dopadły wątpliwości, przecucie jakieś, które sprawi, że się wycofa z tej podróży.

- Monsieur Duponte? - zagadnąłem z mocą, licząc, iż mnie wysłucha. - Czy wszystko w porządku?

- Bądź pan łaskaw - odparł, za łokieć mnie ujmując - zaraz zgłosić stewardowi, by powiadomił kapitana, że na pokładzie jest pasażer na gapę. Uzbrojony.

Zdumiony w najwyższym stopniu, zapomniałem o obawach, a gdy się już nieco uspokoilem - poprosilem stewarda na stronę.

- Na statku jest gość bez biletu - szepnąłem mu natarczywie. - I to, zdaje się, z bronią.

Popatrzył na mnie obojętnym wzrokiem.

- Skąd niby takie przypuszczenie?

- Nie rozumiem.

- Jak zwykle, sir, sprawdzono całą sztauerkę i kabiny. Widzieli panowie kogoś na pokładzie?

- Nie - odpowiedziałem. - Ledwie przybyliśmy! Wtedy kiwnął głową, pewny, że mu się udało dowieść swego.

Spojrzałem na Duponte'a, który stał w pewnym oddaleniu. W pozyskanie go włożyłem tyle starań, że teraz wręcz nie wolno było mi go zawieść. Chciałem, by czuł, iż wszystko, z czym się do mnie zwraca, spełnię, niemalże wyprzedzając jego myśli.

- Wiadomo co panu na temat racjomaginacji? - zapytałem stewarda.

- Mhm. To morski potwór, sir, niedawno odkryty, o garbie i sześciuset odnóżach. Zignorowałem te słowa.

- Jest to rzadko spotykana zdolność, dzięki której rozumowaniem logicznym oraz za pomocą wyższej logiki wyobraźni dochodzi się do spraw niepojętych czynności umysłu właściwej ogółowi. Zapewniam, iż na okręcie skrył się uzbrojony i nad wyraz groźny podróżnik na gapę. Kapitan powinien się o sprawie dowiedzieć jak najprędzej, pan zaś - rozglądnać się uważniej.

- I tak miałem to uczynić - odparł z wyższością, po czym oddalił się ostentacyjnie wolnym krokiem.

Ledwie minęło parę minut, a już zaczął wołać, a raczej należy powiedzieć: wrzeszczeć, by przełożony jego zszedł do izby pocztowej. I zaraz - pospołu z krzepkim kapitanem - wywlekli z dołu człowieka, który krzycząc, mocno się opierał.

Ten nagle się im wywinął i nawet przewrócił stewarda. Kilkoro pasażerów pognało do swych kabin - z lęku o własne życie czy chyba jednak kosztowności. Inni, jak ja z Duponte'em, stłoczyli się celem obserwacji. Na moment zapadła cisza, aż kapitan warknął w stronę jegomościa:

- Więc listów się zachciało, bratku?

Jak większość transatlantyków, parowiec ten w znacznej mierze uzupełniał swe zasoby finansowe, przewożąc pocztę właśnie.

Tamten przez jakąś chwilę - wielki, o czerwonej gębie - zdał mi się urojeniem nie z tego świata. Kapitan odniósł, zdaje się, wrażenie bliskie memu, bo wyciągnąwszy dłoń w łagodnym geście, rzekł teraz jedno tylko słowo:

- Pokój.

- Zechcecie się dowiedzieć, co mnie jest wiadome! - ostrzegł łobuz, zerkając na zgromadzonych pasażerów tak, jakby sobie wśród nas chciał znaleźć ofiarę.

Na to cofnęli się wszyscy, z wyjątkiem mojego towarzysza. Stwierdzenie kapitana przejęło go w nikłym stopniu, niemądry zaś steward wyraźnie dał się nabrać.

- No, słucham? - spytał. - Cóż takiego?

Gdy się ów człek pośliznął na mokrych deskach, obaj natarli znowu i tym razem już go okiełznali. Po chwili szamotaniny - przy wtórze kilku pasażerów - zdołali

wypchnąć go za burtę.

Kapitan się wychylił, by spojrzeć za jegomościem, któremu zwiąło czapkę z łysej głowy. I ja, podbiegłszy do relingu, długo mu się przyglądałem, mrużąc oczy w słońcu, bo go pożałowałem, taki był wstrząśnięty. Kapitan, pewien widocznie, iż tamtego wykrył ktoś z załogi, uścisnął dłoń stewarda serdeczniej niż kiedykolwiek dotąd.

Tego dnia, już pod wieczór, kiedyśmy wreszcie wyruszyli w morze, ów steward mnie odszukał, by spytać ostrym tonem:

- Skądżeś to pan, do diaska, o jego pobycie tutaj się dowiedział?

Milczałem.

- Jakim, do czorta, cudem da się wykryć takiego, ledwie stanąwszy na pokładzie? Skąd, chciałbym wiedzieć, wzięła się tu pańska racjo... magi... nacja?!

Ów małostkowy dureń wziął odwet, przeznaczając nam przy stole miejsca wręcz najgorsze. Ja zaś już aż do końca trzytygodniowej wędrówki na jego widok znacząco się uśmiechałem.

KSIĘGA TRZECIA

BALTIMORE 1851

Racjomaginacja. RZECZOWNIK. Akt rozmyślnego, celowego rozumowania za pośrednictwem imaginacji oraz ducha; głęboko osobista obserwacja i przewidywanie złożoności ludzkiego działania, a zwłaszcza częstej działania owego prostoty. Termin niezamienny z „rachowaniem” lub „logiką”.

* * *

Z początku nieustannie się pilnowałem, by nie popełnić jakiegoś błędu, który pokrzyżowałby ścieżki racjomaginacji Auguste Dupont'e'a (być może mego autorstwa powyższą - stworzoną przy obserwacji Dupont'e'a podczas naszej podróży - definicję pojęcia tego wykorzystał zechce Webster czy też inny wydawca w celu poprawienia własnej). Chciałem mu pomagać, nie przeszkadzając zarazem. Tymczasem najwidoczniej pierwszy swój błąd popełniłem, nim jeszcze zaczęliśmy działać.

Otóż po przybyciu do Baltimore, trzeciego dnia nad ranem siedziałem naprzeciw niego w mojej bibliotece. On zaś, usadowiony w najwygodniejszym z mych foteli, rozluźnił się jak chyba nigdy dotąd. Choć może „rozluźnienie” jest słowem nie całkiem stosownym, bo w rzeczy samej ciągle go coś pochłaniało, to jednak - zachowywał się niespiesznie i nad wyraz spokojnie.

Dupont'e zapoznał się ze wszystkimi, jakie zdołałem zgromadzić, artykułami na temat śmierci Poego. Dałem mu także inne stosowne do sprawy materiały - noty biograficzne z rozmaitych periodyków, ryciny, jak również swą osobistą korespondencję z pisarzem. Pisma te czytał niby gubernator stanu przy porannym posiłku, biegle opanowując każde słowo.

W dniu, o którym tu opowiadam, zwrócił się do mnie naraz z taką ekscytacją, że niemal już miałem pewność, iż chce mi objawić, co wydedukował w kwestii wiadomego zgonu.

- Muszę się zaznajomić z resztą materiału - stwierdził.

- Naturalnie - odparłem z wahaniem. Zdało mi się, że rozumiem, do czego pije i jaki tam wynalazł szkopuł, więc się musiałem starać, żeby go nie zniechęcić. - Monsieur Dupont'e, wzięwszy pod uwagę kapryśną naturę dziennikarzy, nie sądzę, by na ten temat opublikowano więcej ponad owe teksty, które panu przygotowałem.

Wręczywszy wtedy mi mój notes, Duponte wskazał palcem pękatą teczkę z wycinkami.

- Monsieur Clark, mnie nie chodzi tylko o te artykuły, lecz i całe gazety, z których zostały zaczerpnięte. Jak również, jeśli możliwe, o wszystkie ich numery z tygodnia przed i po danym artykule, pan rozumie...

- Lecz jeśli chodzi o choćby drobne wzmianki dotyczące poety, już zawartość wydań tych gruntownie przebadalem. Zapewniam, że oprócz tego, co w tej chwili pan masz w ręku, więcej już nic wynaleźć się nie dało.

- Osioł! - rzekł na to z westchnieniem.

Tuszę, że się to może komuś wydać trudne do pojęcia, ale - że go poznałem osobiście, to już zdążyłem przywyknąć do tego typu reakcji, więc też je przestałem traktować jako wyraz znieważenia.

Duponte zaś kontynuował:

- Wycinki te, monsieur, to dla mnie stanowczo za mało. Z tego bowiem, co otacza samą informację, wyciągnąć da się równie wiele. Wystarczy opuścić szpalty, które przyspieszają bicie serca ludu... Czytać, co zamieszczono dookoła, i z tego także czerpać znaczną wiedzę. Lwią część wiadomości pan zmarnował, wycinając tekst z arkusza.

Uczciwie rzecz nazywając, trudno mi przychodziło kryć zniecierpliwienie jego powolnym rytmem. Choć powinienem przecież to przewidzieć. Wobec tak wyrafinowanej inteligencji Poe niewątpliwie wykazałby zrozumienie. W jego opowieściach bowiem C. Auguste Dupin wpierw z uwagą studiuje raporty gazetowe, a potem się dopiero bierze do kolejnego swojego przypadku.

Chociaż, jeśli chodzi o czas i tempo, różnica pomiędzy literaturą a naszym przedsięwzięciem tkwiła w istotnym szczególe: tym, iż nie byliśmy tu osamotnieni. Bez przerwy mnie prześladował upiorny wizerunek porywacza mego, Dupina. (Kiedy się dobrze przyjrzę temu zdaniu, to jednak nie mogę pisać „Dupin” tak po prostu, bo wówczas automatycznie przychodzi mi na myśl C. Auguste Dupin z opowiadań Poe. Więc, choć to wyczerpuje nieco więcej atramentu, mówić odtąd będę „Claude” lub „Baron Dupin”). Nieraz mi się zdawało, jakbym widział twarz jego w otwartym oknie

gdzieś czy w tłumie na Baltimore Street, gdy się on do mnie chytrze szczerzy. Czy Baron naprawdę wybrał się do Ameryki, czy może też tak zażartował, by skonfundować swoich paryskich wierzycieli?...

Odtąd począłem zbierać wszelkie wycinki, o jakie prosił Duponte. Imponująca siedziba „Baltimore Sun” była w mieście moim pierwszą konstrukcją z żelaza. Mimo iż ów pięciopiętrowy budynek zdawał się niektórym niesłychanie piękny, tak jednakowoż ja bym go nie nazwał. Wędrując przez redakcyjne biura, patrząc na prasy drukarskie i rozpędzone w suterenie parowe silniki, lub wreszcie słuchając szumu telegrafu, każdy, według mnie, pewnie by rzekł: „robi wrażenie nienazwane”. Tak się to doświadczało mocy fenomenu, który powstał na życzenie masy społeczeństwa.

Nawiedzając rywali „Sun”, czyli wydawane przez wigów dzienniki „Patriot” i „American”, a także znane z sympatii dla demokratów „Clipper” i „Daily Argus”, pomału zaopatrzyłem Duponte’a we wszystko, co na temat Baltimore wiedzieć zapragnął. Następnie ruszyłem do czytelnicy, by dlań wyszukać, co też napisano w innych stanach, i znaleźć nowe doniesienia w naszej sprawie.

Od dnia powrotu do Baltimore nie dałem znać o sobie ani Hattie, ani też Peterowi. Pani Blum zakazała dziewczynie pisać do mnie, gdy przebywałem w Paryżu, więc brak kontaktu między nami wciąż pozostawał w równowadze. Peter w swych ostatnich kilku listach nie wspomniał o Hattie i w zasadzie o niczym godnym szczególnej mej ciekawości, ale też - aluzyjnie - odnosił się do pewnych delikatnych kwestii dotyczących interesów, o których miał potrzebę rozmówić się w cztery oczy. Ja natomiast całym sercem pragnąłem komunikacji z obydwojgiem. Tyle że ze względu na zaangażowanie w znajomość z Duponte’em cały mój zewnętrzny świat jak gdyby uległ zamrożeniu; tak jakbym się znalazł w uniwersum utkanym jedynie z myśli mojego towarzysza i póki nie osiągnę określonego celu - nie byłem władny powrócić w zwykle przypisane mi miejsce.

Choć za granicą zabawiłem przecież dość krótko, to jednak wszelkie przemiany tutaj dostrzegałem nadto wyraźnie. Miasto widocznie z każdym dniem się rozrastało. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie wokół oznaki budowania: tłuczeń, drabiny, belki i legary, jak również wszelakie innego rodzaju narzędzia. Stare posiadłości przerosły nagle wysokie na pięć pięter magazyny. Wszystko, co wzniesiono świeżo, okrywał

bladomatowy pył - niby jakaś błona. Prócz tego, przechadzając się ulicą, dojrzałem coś jeszcze, co trudno mi określić słowem. Niepokój i przedziwną popędlivość mianowicie.

Przybywszy do czytelnicy, usadowiłem się z notesem przy stole i otwarłem najnowszą gazetę codzienną. Przeglądałem kolejne rubryki, zatrzymując się przy kilku, by się zaznajomić z interesującymi informacjami, jakie wyszły na jaw podczas mej nieobecności. Aż nagle to zobaczyłem i serce - nie wiem: zdumione, podniecone, czy też wylęknione - poczęło mi bić mocniej. Wziąłem inny dziennik. I następny... Więc nie była to przypadkowa wzmianka na ostatniej stronie - ale wszędzie! Każdy z codziennych periodyków zamieścił tekst poświęcony zgonowi Poego! W „Clipper”, na przykład, wyczytałem, iż trzeba wykryć wiele jeszcze szczegółów dotyczących jego śmierci. „Najważniejszym tematem dyskusji w kołach literackich stała się niedawna śmierć owego melancholika Edgara A. Poe - pisano w tygodniku, który każdy może nabyć za dolara. - Był to osobnik nader dziwny i przerażający”.

Artykuły te nie zawierały żadnej faktografii. Lecz za to na każdej stronie wprost roiło się od doniesień w takim stylu, jakby gazeciarz jakiś na całe gardło oznajmiał, iż właśnie kogoś powieszono - nie podając jednak przyczyny egzekucji.

Zaraz więc pospieszyłem ku stanowisku wiekowego nadzorcy biblioteki. Urzędował tam jednak inny - w jego zastępstwie chyba; lecz że się od razu nie zwrócił do przełożonego, uznałem, iż mi wolno pytać, o co zechcę:

- O cóż to się rozchodzi z Edgarem Poe? Od kiedy tak się nim zajmują?

- Oj, długo pan przebywał za granicą! - odparł tamten z ciekawością.

- Owszem, ale ledwie przed paroma miesiącami - rzekłem - nikogo prawie śmierć Poego nie zajmowała, gdy teraz się o nim rozpisyją wszystkie tutaj gazety!

- Właśnie! Właśnie!

Tu obaj spojrzeliśmy na czytelnika, któremu zająłem miejsce. Niezgrabny ów jegomość o krzaczastych brwiach wpierw wydmuchał nos w chusteczkę, a potem dopiero zagadnął:

- Też o tym czytałem - oznajmił porozumiewawczo, dając mi kuksańca, jakbyśmy z jednej zażywali tabakiery.

Popatrzyłem nań tępym wzrokiem.

- O śmierci Poego! - wykrzyknął. - Czyż to nie cudowne?

Tu mu się przyglądałem.

- Jak to?

- Zapewne - odparł podejrzliwym tonem - i pan go masz za geniusza, racja?

- I to najczystszej wody!

- I pewnie się pan także zgodzisz, że od *Złotego żuka* nie ma na świecie lepszej prozy?

- Prócz *W bezdni Maelströmu*, owszem - przytaknąłem.

- Czy zatem nie cudownie, że wreszcie zwraca to uwagę wydawców pism codziennych?! Chodzi mi naturalnie o godną pożalowania śmierć Poego... - przed opuszczeniem sali grzecznie się nam uklonił.

- Lecz zaraz... cóż w istocie wzbudza pańską ciekawość? - zwrócił się do mnie z pytaniem bibliotekarz.

- Gazety, hmmm... - chwilowo się zatracając w słowach tamtego człeka, wskazałem drzwi i zapytałem: - Kim jest dżentelmen, który właśnie nas pożegnał?

A nie zdobywszy żadnej informacji, wybiegłem na róg Saratoga Street - lecz tamten już zniknął.

Wszelakie przytoczone tu fenomenalne doniesienia - sprawa z dziennikami, nie znany mi wielbiciel Poego oraz chaos, który zdał się ogarniać miasto - pobudziły mnie tak dalece, że z początku niemal zignorowałem kobietę o srebrzystych włosach i odętych policzkach, która siedziała na ławce nieopodal czytelnicy, pochłonięta lekturą tomu poezji Edgara A. Poe! Tutaj zaznaczyć muszę, iż dany mi został rzadko spotykany zmysł obserwacji. Zaopatrzywszy się we wszelkie dostępne na rynku publikacje dzieł Poego, rozpoznawałem je już z bardzo daleka, kierując się zaledwie specyficznym wyglądem ich i rozmiarem. Chociaż zasługę mam umniejsza nieco fakt, iż edycji tych nie było aż tak wiele. Poe zaś nie zachwycał się tym, co mu ogłoszono drukiem. „Wydawcy oszukują - pisał w jednym z listów do mnie. - Podlegać kontroli jest równoznaczne z ruiną. Sam zatem się podejmę publikować swe prace”. Tak jednak się nie stało. Wydatki jego ogarnął chaos, redakcje periodyków zaś niezmiennie wypłacały mu żałosne honoraria.

Zatrzymawszy się przy ławce owej kobiety, patrzyłem, jak unosi palec i odwraca

splamione, zniszczone kartki. Ona mnie nie spostrzegła wcale, tak ją zafrapowało wyrafinowane zakończenie *Zagłady domu Usherów*. Ledwie mrugnął okiem, zadowolona zamknęła księgę i się pospiesznie oddaliła, jak gdyby uciekając z opisanego tam zakątka.

W pobliskiej księgarni postanowiłem się wypytać, czy może też tam śledzą nowe doniesienia o poecie. Właściciel tego lokalu nie miał w zwyczaju wykladać na półki ani pudeł z cygarami, ani też portretów Indian, ani innych żadnych - prócz literatury - rzeczy, co w tego typu miejscach stało się już pewną modą, jako że od pewnego czasu coraz więcej osób nabywało książki drogą subskrypcji. W przedśionku przystanąłem na widok innej jeszcze damy, która popełniała właśnie dość osobliwe przestępstwo.

Stała mianowicie na jednej ze sklepowych drabin stosowanych zwykle do przeglądania najwyżej położonych półek. Zbrodnia jej zaś, jeśli mi się wolno tak wyrazić, nie była kradzieżą książki, a więc znaczącym raczej przewinieniem, lecz polegała na wydobyciu woluminu spośród fałdów szala i - umieszczeniu go między innymi. Następnie niewiasta owa wspięła się jeszcze wyżej, aby, jak i poprzednio, dołożyć książkę swoją do księgarskich zbiorów. Niestety, nie widziałem jej wyraźnie, bo ją przesłaniały wpadające przez obszerny świetlik słoneczne promienie; spostrzegłem jednak kosztowną suknię i nakrycie głowy, wskazujące, iż nie należy ona do paradujących po Baltimore Street rajskich ptaków. Cerę - jak wskazywała szyja i skrawek ręki pod rękawiczką - miała barwy złota. Po chwili zeszła na dół i minęła szereg półek. Podążyłem za nią równolegle; czekała na mnie tuż przy końcu regału.

- Nieładnie - rzekła po francusku, krzywiąc okraszone blizną wargi - żeby się tak mężczyzna gapił na kobietę.

- Bonjour! - wyrzekłem z mocą, bo oto stała przede mną moja paryska porywaczka. - Niechże mi pani łaskawie wybaczy... Czasem się tak zapatrzę niby w hipnozie...

Lecz nie było to prawdą. Znowu porażony jej urodą, począłem się rozglądać, by mnie zwieść nie mogła. Gdy wreszcie doszedłem do zmysłów, wyszeptąłem:

- A cóż to właściwie pani tu porabia?

Obdarowała mnie uśmiechem, jakby się to samo przez się rozumiało.

Wspiąwszy się na jej niedawne miejsce, wydobyłem z półki książkę, którą tam umieściła: wybór opowiadań mojego faworyta.

- Coś wbrew swym obyczajom: kładę kosztowności tam, gdzie być powinny.

I sama się na tę myśl roześmiała, niby dziecko. W śmiechu jej było coś dziewczęcego, teraz zwłaszcza, przez wzgląd na krócej ścięte włosy.

- Ale to przecież cenne tylko dla entuzjastów Poego! - odparłem. - I czemu tak wysoko, gdzie ją będzie trudno znaleźć?

- Ludzie się lubią starać, monsieur Clark - powiedziała.

- Zrobiłaś to pani pod kierownictwem Barona. Gdzież przebywa?

- Para się tajemnicą śmierci pisarza - odrzekła. - I dochodzenia swe ukończy w triumfie.

Uczułem pulsowanie skroni.

- Nie jego sprawa to, nie jego!

- Powinien się pan cieszyć - oznajmiła zagadkowo.

- W moim mniemaniu niefortunne jest się zabawiać sprawą takiej wagi!

- Lecz chyba się pan zgodzisz, że fortunniejsze, niż pozbawić pana życia.

- Mnie niby zamordować? - miało to zabrzmieć walecznie. - A to w jakim celu?

- W listach swych do Barona Dupina obszernie pisałeś pan, jak to ci pilno pozyskać pomoc w rozwiązaniu zagadki ulubionego pisarza. „Największego geniusza znanego amerykańskim periodykom literackim, którego będą opłakiwać po kres świata”, i tym podobne.

Uczucia me oddała nader wiernie.

- Proszę więc sobie wyobrazić zdumienie Barona, gdyśmy tu przyjechali przed paroma ledwie tygodniami. Ani śladu płaczek, które powinny się domagać przebadania jego ciała. Czy ulicznych rozruchów - by oddać mu należną cześć. Nielicznym tym zaś, z którymi się nam udało chwilę porozmawiać, Poe jawi się ledwie jako autor tanich i zboczonych dość fantasmagorii. W istocie większość nie wie nawet, że Poe już zszedł z tego łoża padło.

- Racja - odrzekłem buntowniczo. - Wielu, mademoiselle, traktuje geniuszy zazdrośnie lub też obojętnie, Poe zaś, jako jedyny w swym rodzaju, pasuje tu, rzecz można, idealnie. Lecz cóż z tego?

- Baron przybył tutaj, by sprawdzić, czy kogoś interesuje zagadka śmierci poety, zapotrzebowanie tego typu jednak zdaje się nie istnieć wcale!

Zamilkłem. Tak samo bowiem jak Baron czułem się tym faktem wielce rozczarowany.

- Pewnie mnie obwinia - wybąkałem.

- A chyba pan nie myśli, że mogłoby być inaczej. Wpadł w gniew, bo podróż nasza, długa, no i kosztowna niesłychanie, nagle się okazuje całkiem pozbawiona celu.

Lęk chyba jakiś okazałem, bo się do mnie uśmiechnęła.

- Bez obaw, monsieur Clark - rzekła krótko, acz uśmiech jej bardziej jeszcze mnie zaniepokoił; czyżby za sprawą osobliwej owej blizny? - Według mnie... jak na razie nic panu nie zagraża. Z pewnością zdążył pan się zorientować, jakim to zmianom uległo postrzeganie pisarza w pańskim mieście.

- Więc o gazety pani chodzi? - zacząłem składać sobie wszystko w myśli. - Macie z tym coś wspólnego, prawda?

Wtedy się od niej dowiedziałem, iż Baron w tutejszych dziennikach wszędzie zamieścił anons z obietnicą sowitej nagrody w zamian za „istotne informacje”, które by dotyczyły „tajemnej a niefortunnej śmierci” Poego. Francuz nie oczekiwał, iż się czegoś dowie zaraz. Noty te miały przede wszystkim wywołać burzę pytań. Wydawcy gazet zaś wyczuli, co się święci, i postanowili wykorzystać ową zbiorową ekscytację. Ludzie w obecnej chwili głośno się domagali nowych i coraz nowszych wieści o poecie.

- Staramy się podsycać powszechne nim zainteresowanie - oznajmiła Bonjour. - Przypuszczam, że jego książki sprzedają się jak gorące bułki.

Tu przypomniała mi się kobieta napotkana w parku... I entuzjasta Poego w czytelnici... Widocznie lansowanie tej twórczości zaczęło się sprawdzać znakomicie...

Bonjour już miała odejść w swoją stronę, gdy ją chwyciłem za rękę. Jeśliby kto nas teraz obserwował i widział, jak ściskam w garści dłoń młodej niewiasty, pewno by się zrobił mały skandal - i w tempie telegraficznym dotarłby do ciotki Hattie. W Baltimore chłodne tchnienie Północy wciąż się stykało z surową południową - plotkarską - etykietą.

Dłoń dziewczyny chwyciłem z dwojakich pobudek. Po pierwsze - znowu uległszy jej nonszalanckiej urodzie, tak innej niż powab miejscowy, propagowany przez tutejsze czasopisma dla pań. Po drugie - być może coś już było jej wiadomo na temat zgonu

mego faworyta. Prócz tego - bo była i trzecia ta przyczyna - wiedziałem, że w kręgach, skąd się wywodzi, dotknięcia damskiej dłoni nikt nawet by nie spostrzegł, tak że mnie to znacznie ośmieliło. Spojrzała na mnie jednak z takim ogniem, że ledwie w pół sekundy się wycofałem.

Niełatwo nazwać odczucie, jakie mnie w tej krótkiej chwili ogarnęło. Wrażenie, jakbym się mógł przenieść w cudze życie, gdzie dusza zapragnie; jakby nie istniało dla mnie cielesne ograniczenie... doznanie duszy takie, lekkość... podobna gwiazdzie, która na niebie mruga.

Ku memu zaskoczeniu, ledwie ją zdążył puścić - złapała mnie rękoma znacznie silniej. A że się nie umiałem uwolnić z jej uścisku, długo zaglądaliśmy sobie wzajem w oczy.

- Sir! Proszę zabrać rękę! - wybuchnęła wzburzona jak dziewczica.

Krzyk przyciągnął uwagę wszystkich zebranych w księgarni. Gdy w końcu mnie puściła, udałem, iż mnie zajmuje jakiś popularny tom w pobliżu. Gdy się zaś już przestano nam przyglądać, dziewczę zniknęło jak kamfora. Dogoniłem ją na ulicy, pod chroniącą od słońca parasolką w pasy.

- Moment! - zawołałem, podbiegając do niej. - Wiem, że intencje twe są czyste! Przecież mnie ocaliłaś, wtedy, w fortyfikacji! Życie ci zawdzięczam!

- Myślałam, że mi chcesz pomóc, sądząc, iż Baron mnie do czegoś zmusza. Było to... - przygryzła wargę w zamyśleniu - ...dość niezwykle.

- Zapewniam, rzecz zbyt jest poważna, by w tak tani sposób miało się nią sycić gryzipiórków z gazet. Na nic dobrego się to nie zda. Geniusz Poe'go zasługuje na znacznie więcej. Zapobiec musisz przedsięwzięciu - i to zaraz!

- Chciałbyś więc pozbyć się nas tak po prostu?! Znam pewne utwory twego przyjaciela i mi się wydaje, jakby na ogół zwykłe rzeczy ujmował tak, by były trudne do pojęcia, jak gdyby powszedniości nadawał formę tajemnicy, by brzmiały jak jakaś wyrocznia... - Bonjour zwolniła kroku, ażeby na mnie spojrzeć; i ja przyhamowałem. - Czy ty się, monsieur Clark, w kimś kochasz?

Coś mnie tu oderwało od rozmowy z Bonjour; oto trotuarem przechadzała się przystojna dość kobieta po czterdziestce. Chwilę ją śledziłem wzrokiem.

- Czyś jest pan zakochany? - subtelnie powtórzyła Bonjour, podążając za mym

spojrzeniem.

- Dama tamta... Znajoma... Z Neilsonem Poe ją widziałem... Kuzynem Edgara, wiesz, pani... Niezwykle przypomina... - niechcący to wybełkotałem.

- Kogo? - spytała Bonjour tonem znacznie lżejszym, obligując mnie do odpowiedzi.

- Znaną mi z portretu Virginie Poe, zmarłą żonę Edgara - dziwne, lecz na jej widok jakbym się prawie zbliżył do poety.

Wkrótce niewiastę ową przestłoniли inni ludzie - i do mnie dotarło, że towarzyszka również się oddaliła. Gdy się rozglądałem wokół, stwierdziłem, iż podchodzi do „imitacji” Virginii, i ogarnął mnie gniew, że jej to wszystko wyjawilem.

- Droga pani! - krzyknęła Bonjour. - Droga pani! Odwróciwszy się, kobieta spojrzała jej w oczy. Ustawiłem się z boku, nie że mnie widziała może na policji, ale dla bezpieczeństwa.

- Jakże mi przykro - akcent Bonjour zabrzmiał nad wyraz prawdziwie, widać, że go nabyła, podsłuchując miejscowe piękności. - Ogromnie przypominasz mi pani pewną mą znajomą... Lecz nie, to jest omyłka... Może przez cudny jej kapelusz...

Tamta z uprzejmym uśmiechem już-już miała się obrócić w swoją stronę.

- Choć tak podobna do Virginii! - Bonjour rzekła jakby do siebie.

- Virginia?! - ciekawość kobiety zwyciężyła. Bonjour osiągnęła zamierzenie; na jej obliczu zaraz się odmalował uśmiech.

- Owszem, Virginia Poe - objaśniła z powagą.

- Ach, tak - odparła cicho tamta.

- Widziałam ją raz w życiu, lecz nie zapomnę i w Lete wodach skąpanej - Bonjour nie spuszczała z tonu. - Pani zaś równie piękną mi się jawisz!

Na ów komplement kobieta skromnie spuściła oczy.

- Jestem żoną Neilsona - oznajmiła. - Josephine. Nikt nie dorównałby powabem mojej siostrze, kiedy żyła...

- Jak to - siostrze?

- Sissy. Znaczy się, Virginii. Przyrodniej mojej siostrze. Co i w najgorszym osłabieniu śmiałością się odznaczała, jak i siłą charakteru. Gdy tylko widzę portret jej...! - przerwała, niezdolna domknąć myśli.

Więc oto Neilson poślubił siostrę już nieżyjącej żony Edgara. Wyraziwszy swe współczucie, Bonjour zaczęła wypytywać Josephine o Sissy. Ja się przysłuchiwałem, idąc krok za nimi.

- Pewnego wieczoru... Edgar i Sissy mieszkali wtedy spokojnie i szczęśliwie przy Coates Street w Filadelfii... Moja kochana siostra śpiewała, akompaniując sobie na fortepianie, gdy pękło jej naczynie krwionośne... W pół taktu osunęła się na podłogę... Wszyscy się obawiali, że gotowa odejść w każdej chwili. Zwłaszcza Edgar. W zimie, kiedy umarła, bieda dotknęła ich tak bardzo, że w nie dogrzanej kwaterze Sissy musiały leżeć owinięta płaszczem męża... z brązowo-czarno-żółtym kotem na łonie...

- A co się później działo z mężem?

- Edgar?... Długa szamotanina między nadzieją a rozpaczą doprowadziła go, jak sądzę, do obłądzenia. Oddanie kobiety było mu niezbędne do istnienia. Sam zresztą to powtarzał, że bez miłości czulej i prawdziwej roku nawet nie przeżyje. Podobno od śmierci Sissy wielokrotnie jeździł po kraju, aby sobie znaleźć nową żonę, lecz w moim przekonaniu nigdy się z jej stratą nie uporał. Parę tygodni przed swym zejściem jednak się zaręczył...

Po kilku jeszcze słowach Josephine z gracją się pożegnała i odeszła. Bonjour zaś spojrzała na mnie, chichocząc jak pensjonarka:

- Fatalna to decyzja, monsieur Clark, żeś jest tu przeciwko Baronowi. Jak pan pewnie widzisz, my się nie kryjemy w cieniu, trwoniąc czas na drobiazgi.

- Doprawdy, mademoiselle! Tu, w Baltimore i w Ameryce, nikt się nie musi wiązać z Baronem czy wdawać w jego knowania! Czemuż to pani odeń nie uciekniesz? Tutaj nie istnieją żadne zależności!

Szeroko otwarła oczy.

- A niewolnictwo? - spytała. Cóż za inteligencja!

- Owszem! - odparłem szybko. - Lecz wolnej Francuzki ono nie dotyczy! Jeśli chodzi o Barona, nie masz pani przecież żadnych zobowiązań!

- Nie mam? Wobec męża mego? - zapytała. - Oj, warto będzie mi to zapamiętać.

- Baron jest więc małżonkiem pani?

- Naturalnie, i o zmianach w tym względzie nie ma mowy. Na pana miejscu, monsieur Clark, z pewnością nie wchodziłabym nam w drogę.

* * *

Gdzie tylko się człowiek ruszy, po świecie podróżując, niechybnie tam napotka pewien gatunek adwokata, tak jak i przyrodnik wszędzie swe trawy znajdzie oraz chwasty. Typ pierwszy, który mam na myśli, postrzega zawilóści prawa jako niewzruszone bóstwa. Lecz się spotyka też i inny, drapieżny, rzec by trzeba: mięsożerny, i dlań to nade wszystko liczy się ofiara, wszelkie zasady zaś jawią mu się jako przeszkody w drodze ku powodzeniu.

Baron Claude Dupin był mianowicie z owej drugiej kategorii okazem tak idealnym, że szkielet jego by można wystawić w Gabinecie Anatomii Porównawczej w Tuileries. Reguły prawne pożytkował jako broń w swej walce, niczym sztylety i pistolet, a nie jako świętość, która na najwyższy szacunek zasługuje. Gdy mu zależało na czasie - czyli na korzyści własnej - kończył dane spotkanie lub jakiś proces, zwyczajnie się wymykając oknem poczekalni. Jeśli zaś metody tak złowieszcze się mu nie sprawdzały, wówczas... miał w zwyczaju stosować i noże, i pistolety, i tak sobie z pomocą łotrów swoich, popleczników, zapewniał informacje mu konieczne, jak i wszelkie zeznania. Owszem więc, był prawnikiem, dopiero jednak w drugiej kolejności, przecież przede wszystkim, z powołania, działał on w charakterze impresaria. Na mocy prawa występując, prawem tym zarazem kupczył.

Pewnego dnia, w czasie naszej podróży przez Atlantyk, Dupont opowiedział mi historię Bonjour, fakt zamążpójścia jednak pominąwszy. We Francji - tak mi oznajmił - spotyka się typ przestępcy określany terminem *bonjourier*, co działa następująco: w modny strój ubrany złodziej (dama czy dżentelmen) wchodzi do jakiegoś domu i mija całą służbę, jakby się umówił na ważne spotkanie, porywa, co mu się nawinie, i jakby nigdy nic, odchodzi w swoją stronę. Kiedy przypadkiem sługa czy też ktoś z domowników między wejściem a wyjściem go spostrzeże, tamten się wtedy kłaniając, mówi: „*Bonjour!*” i prędko pyta o mieszkańca domu sąsiedniego, nazwisko uprzednio już zbadane. Zazwyczaj, naturalnie, zbirowi się tłumaczy, iż trafił pod niewłaściwy adres, no i też bez podejrzeń - a z kosztownościami, które zdążył skraść - tam właśnie się go kieruje. Dziewczę, które poznałem pośród paryskich umocnień, było najslawniejszym ze wszystkich w tym rodzaju, toteż inaczej jak Bonjour nikt już jej nie nazywał.

Bonjour podobno dorastała w jakiejś wiosce. Matka, Szwajcarka z pochodzenia,

zmarła, nim ta dożyła roku, więc się nią opiekować musiał ojciec, znany z pracowitości piekarz, Francuz. Człowiek ten jednak wył z rozpaczycy całe noce, co prędko się sprzykrzyło córce. I przez to, i też z braku macierzyńskiego wsparcia, dziewczyna - istota, jak to Francuzi, mocno niezależna - sama szybko zaczęła się o swe dobro troszczyć. On wkrótce został aresztowany na jej oczach, w chaosie pomniejszej jakiejś rewolucji. Panna udała się wówczas do Paryża, by tam już mieszkać samodzielnie, a wrodzony spryt i tężyzna fizyczna umożliwiły jej przetrwanie. Niejeden raz ją nękanono, bo stała się złodziejką właśnie, no i też na jej twarzy stąd wzięła się owa blizna.

- Lecz jakże ktoś tak powabny trwa w pospolitym złodziejstwie? - spytałem Duponte'a raz pod wieczór, gdyśmy w jadalni parowca pospołu zasiadali.

Towarzysz mój uniósł brew, jakby w pierwszym odruchu nic nie chciał na to odpowiedzieć.

- Już nie złodziejką ona pospolitą. Od lat, i to z sukcesem, para się dziewczę owo skrytobójstwem. Tak się, jak powiadają, zahartowała w dawnych „bojach”, że zanim rozpląta komuś gardło, wpierw mu jeszcze krzyknie: „*bonjour!*”. Lecz są to spekulacje tylko; nikt tego nie potwierdził.

- A jednak w wiadomej panu sytuacji, jeśli o mnie chodzi, wykazała i kobiecość, i odwagę nienazwaną zarazem - rzekłem. - Sądzę, iż tego typu uchybienia wynikają u niewiast z marnego zdrowia oraz sytuacji materialnej.

- Widocznie żyła w ubóstwie - odparł Duponte. Kiedyś, a miało się to zdarzyć zimą, pojmanej przez paryską policję Bonjour - po spartaczonej robocie, która się skończyła śmiercią pewnego dżentelmena w jego własnym salonie - zagrożono egzekucją, aby tym sposobem położyć kres zbrodniczym działaniom coraz to nowych złodziejek. I sprawą tą się zajął Baron Dupin, wówczas u szczytu sławy. Z zapałem i talentem wykazując, iż przez pomyłkę ofiarą uczynili anielsko subtelne stworzenie, którego filigranowa postać, jak i krasa służyć ma wyłącznie uciesze gawiedzi.

Zapewne wiedząc to, nie zdziwicie się, skąd Baron brał swych wiernych popleczników. Gdy bowiem już się postarał, by ich uniewinniono, jak w wypadku Bonjour - miał wtedy zapewnione najwyższe ich oddanie oraz honor. Niby się może wydać to sprzecznością, lecz w życiu każdy potrzebuje zasad, a jak wiadomo, przestępcy nie hołdują zbyt wielu, lojalność jednakowoż cenią oni nade wszystko. Baron nieraz już był

żonaty, lecz niewiasty owe oddawały mu rękę z pobudek rozmaitych: z miłości najzwyczajniej i - raz jeden - dla bogactwa. Trudno byłoby dociec, czy z lojalnością Bonjour poszło w parze jej uczucie, a może i na odwrót się te rzeczy miały... A może też po prostu zesli się w wyniku jakiejś kalkulacji.

Kiedyśmy się znaleźli w „Glen Elizie”, Duponte - usłyszawszy, co mi powiedziała Bonjour - stwierdził to jedynie, iż taktyka Barona z pewnością zmąci nasze działania. I ja, rzecz oczywista, wysnułem podobny wniosek, co zresztą bardziej jeszcze mnie natchnęło, aby z uwagą dalej śledzić wszelkie tamtego poczynania u nas. Ja bowiem załatwiałem rozmaite sprawy na mieście, gdy Duponte prawie cały czas spędzał w mojej bibliotece. I - zazwyczaj w milczeniu. Nieraz mi się zdarzało bezwiednie naśladować jego pozę albo wyraz twarzy; by zabić nudę po prostu albo się utwierdzić w przekonaniu, że go mam przy sobie.

Razu pewnego Duponte, wertując dzienniki, krzyknął do mnie:

- Proszę!!!

- Coś monsieur wynalazł? - zapytałem.

- Właśnie mi się przypomniało, co pomyślałem, gdy wczoraj, pod pana nieobecność, zjawiała się interesantka.

- Słucham?

- Tak, i jej wizyta podziałała na mnie tak destrukcyjnie, że teraz dopiero się pozbierałem, choć może się to panu wyda mało wiarygodne.

Więcej na ten temat już mi zdradzić nie chciał, tak więc postanowiłem wybadać pokojowe. Jako że on był wtedy w domu, uznały, iż mnie o tym informować nie muszą. Każda mówiła co innego, zaraz się jednak domyśliłem, że chodzi o ciotkę Hattie, która mnie nawiedziła z - trzymającym jej nad głową parasolkę - niewolnikiem. Choć co do pewnych detali sługi nie były zgodne, tak chyba przebiegała jej rozmowa z Duponte'em:

Ciotka: - Pan Clark nieobecny, tuszę...

Duponte: - W rzeczy samej.

C: - Co chcesz pan przez to powiedzieć?

D: - Iż ma pani rację, bo go tutaj nie ma.

C: - Lecz ja... Coś pan za jeden?

D: - Auguste Duponte.

C: - Aaa, zaś...

D: - Mademoiselle...

C (przeżrana tonem Francuza): - Mademois...?

D (patrzając na nią po raz pierwszy): - Madame.

C: - Madame?

D (było to coś po francusku, czego po deliberacjach nikt ze służby nie zdołał sobie przypomnieć, tak że czytelnik musi się tu niestety posłużyć własną wyobraźnią).

C (znowu z przeżeniem): - Jesteś pan, przypominam, w Ameryce!

D: - Spostrzegłem, iż się tutaj wyklada nogi na stół, podaje jajka w szklance i pluje tytoniem po okiennych szybach. Wiem więc, szanowna pani, iż jestem w Ameryce.

C: - Chwileczkę... Z kim mam do czynienia?

D: - Przedtem się me nazwisko niezbyt przydatne pani zdało. Lecz - chociaż czas mnie mocno nagli, a zabawianie pani kusi nieszczerólnie, to próbę ową podejmę przez wzgląd na monsieur Clarka. Być może zamiast wypytywać o moją tożsamość, więcej by się pani dowiedziała, pytając, kim też on jest.

C: - Przecież ja, sir, znam pana Clarka doskonale! I to w rzeczy samej, odkąd był dziecieniem! A że do mnie dotarło, iż powrócił z Europy, rada bym się z nim zobaczyć.

D: - Aha.

C: - Świetnie. Wdam się więc w tę igraszkę, choć jesteś mi pan nieznajomy i na dodatek bezczelny. Clark - któż to taki, pytam?

D: - Wspólnik mój w sprawie, którą obecnie zgłębiam.

C: - Zatem się pan trudnisz prawem?

D: - Panie święty!!!

C: - To jaką, wobec tego, masz na myśli sprawę?

D: - Czy chodzi pani o obecną kwestię, którą się zajmowałem przed jej tu przybyciem?

C: - Tak... Tak, lecz... Zamierzasz, sir, palić to cygaro na pokojach? W mojej obecności?!

D: - Nie inaczej. Chyba że zapalek bym nie znalazł.

C: - Dam znać panu Clarkowi o twym zachowaniu! I on...

D: - A! Widać jednak są, madame.

Zostawiłem wiadomość o swoim przyjeździe Peterowi, poniekąd też ze względu

na dość okropną relację pani Blum z rzeczonyj wizyty, i parokrotnie w biegu się minąwszy, wreszcie zdołaliśmy się umówić na spotkanie u niego. Nad wyraz był wobec mnie serdeczny. Kiedyśmy usiedli, rozglądnął się wokół i oznajmił z wyrzutem:

- Może to nie najlepsze miejsce na takie rozmowy... No, ale sądzę, Quentin, że czas nam mówić otwarcie - westchnął. - Wpierw chciałbym ci uzmysłowić, że ciepło mych uczuć wobec ciebie wynika z wiary, iż ci niosę wsparcie i czynię, co ojciec twój by sobie życzył.

- Co za tupet!

- Słucham?! - aż go zatkało ze zdziwienia.

Wtedy sobie uświadomiłem, jak to uległem zarażeniu osobliwą frazą Duponte'a.

- Znaczy - dodałem prędko - iż cię rozumiem doskonale, Peter!

- Taką też mam nadzieję. No, boś ty przecież wyjechał, a wtedy świat się jawi w innej cokolwiek perspektywie. Otóż...

Ciekawy przysunąłem się doń.

- Niezbyt mi to wygodnie ci oznajmić...

- Proszę?

- Jednak... Wstępnie się już umawiam z jednym takim gościem z Waszyngtonu... Aby... Cóż... Hm... Cię zastąpił - wydusił nareszcie. - Godny jest to adwokat i ciebie mi przypomina... Quentin, zrozum mnie, proszę, sam nie podołam tej pracy.

Siedziałem w ciszy i zdumieniu - spowodowanym nie angażowaniem przez Petera nowego współlnika, lecz tym, iż, wzięwszy pod uwagę moje tęsknoty, by się z tego miejsca wyrwać, uczułem jednak tknienie żalu.

- I to wybornie, Peter - odrzekłem mu po chwili.

- Kancelaria nasza podupada... Rodzą się pewne problemy natury finansowej i... wiesz, że trzeba nam zaciskać pasa. Utknęliśmy w martwym punkcie i wszystko się posypie, jeśli się tutaj w porę jak trzeba nie zadziała. Wszak chodzi mi o firmę, którą twój ojciec stworzył dla nas.

- Z pewnością dasz sobie radę - odparłem lekko drżącym głosem, co jeszcze go tylko pobudziło.

- Rzecz, Quentin, jednak w tym, że w każdej chwili możesz wrócić! Zaraz, w sekundzie jednej, gdybyś tylko zechciał! Cieszy nas wszystkich tu, iż powróciłeś. A w

szczegółności Hattie... warto, abyś czym prędzej chciał się tą kwestią zająć. Ciotka pobudowała wokół niby fortecę jakąś, tak by ci uniemożliwić ewentualne spotkanie.

- Wiem, wiem, chce dla niej jak najlepiej. Skoro zaś ten temat poruszyłeś, to... Ciotka, jak pewnie ci wiadomo, już mnie odwiedziła... Ufam, iż mi wybaczy, nie będzie żywić urazy.

Spojrzenie Petera wyrażało zwątpienie.

Wiedziałem, że ponieważ bez reszty pochłania mnie wiadome przedsięwzięcie, wszelkie - także i pomyślnie zakończone - próby pojednania z rodziną Hattie tylko by pogorszyły moją sytuację, jeślibym nie potrafił skupić się na rozmaitych kwestiach dotyczących przyszłości. Z naprawą owych stosunków zatem trzeba mi się było jeszcze wstrzymać. Rozmowę zaś z Peterem odroczyłem, przyrzekając mu więcej wyjawić w późniejszym terminie.

Tymczasem nawiedzałem czytelnię, gdzie ów znany mi już dżentelmen, tajemniczy wielbiciel Poego, również się pojawiał regularnie, czytając najświeższe dzienniki i raz po raz wyrzekając na niekompetencję autorów, którzy o genialnym poecie pisywali.

Pewnego ranka zdarzyło mi się przysiąść na kamiennych schodach w oczekiwaniu na otwarcie drzwi czytelni. Kiedy się już znalazłem wewnątrz, zająłem miejsce naprzeciw tego, gdzie zwykł siadywać ów jegomość, abym mu się mógł lepiej przypatrzeć. Zjawiwszy się tam jednak, nieświadomy mych przesłanek, wybrał inny stół niż zwykle. Ja zaś trzymałem się z daleka, by przypadkiem nie uznał, iż go próbuję śledzić. Na drugi dzień z początku chwilę się kręciłem w pobliżu stanowiska bibliotekarza, aby się zorientować, gdzie tamten siądzie tym razem. Wreszcie udało mi się tak uplasować, że najdrobniejszy ruch jego widziałem jak na dłoni.

Radosne podniecenie, jakie wykazywał przy lekturze artykułów o śmierci Poego, było w najwyższym stopniu drażniące.

- O, proszę, widziała pani? - zwrócił się do kobiety przy sąsiednim stoliku, podtykając jej gazetę. - Teraz znów kombinują, gdzie się podziały pieniądze zarobione przezeń na wykładach w Richmond. Gdzież niby się znajdują, skoro jemu były przeznaczone? Oto jest pytanie. Przebiegłe te redaktory tak, że szkoda gadać! - tu

zaśmiał się, jakby owo stwierdzenie było wybornym żartem.

Przebiegli więc, powiada!

- I z czegoż się tak śmiać, szanowny panie? - zaryzykowałem. - Czyż jego zdaniem nie mamy tu do czynienia ze sprawą wielkiej powagi, która też zasługuje na wyższy szacunek?

- Istotnie, sprawa nader jest poważna - odrzekł, niesforne brwi unosząc niby na komendę. - Poważna wręcz nienazwanie, toteż się mamy prawo domagać jak najkompletniejszych o nim informacji.

- A czy nie warto by traktować z rezerwą doniesienia prasy na ten temat, jak pan sądzisz? Czyżbyś uważał, że wszystko, co tam wypisują, to jakaś objawiona prawda?

Tu mocno się zadumał nad swą łatwowiernością.

- A po cóż, w takim razie, trwonić by mieli swój tusz cenny? Ja w przeciwieństwie do Hebrajczyków nowym testamentom nie dawałbym wiary, żeby się uganiać za fałszywymi prorokami wszelkiej maści!

Wzburzony wyszedłem z czytelnicy i tego dnia już tam nie powróciłem. Zdawało mi się, iż szkodnik ów prędko straci zapał, i gdy się czasami nie pojawiał, prawdziwą ulgę odczuwałem. Niestety, na drugi dzień następowało niby jego odrodzenie i wtedy, pod wpływem jakiegoś skojarzenia, wstawał i na głos cały zaczynał recytację. Któregoś popołudnia, kiedy się nagle na okoliczność pogrzebu odezwał dzwon kościelny, gość skoczył jak oparzony z takimi oto słowy:

Ach te dzwony, dzwony, dzwony,
Jak nam dźwięk ich rozstrojony
Śpiewa hymn rozpaczy!*

Zazwyczaj otaczał się gazetami, a od lektury odrywał tylko, by wydmuchać nos w chusteczkę; własną czy od nieszczęśnika obok pożyczoną. Ja zaś zdążyłem się zaznajomić z masą obcych osób po to jedynie, aby z tym wyniosłym, rozkichanym osobnikiem nie mieć nic wspólnego.

- Cóż go tak intrygują teksty o poecie? - z pretensją spytałem pocziwego bibliotekarza, przestrzeń wokół jego biurka przemierzając.

- Kogo, proszę pana? Porozumiewawczo doń mrugnąłem.

- No, jakże? Jegomością, który niemal co dzień tu się pojawia...

- Aha, bo mnie się zdawało, iż chodzi, sir, o człowieka, który mi dał swego czasu te artykuły o Edgarze Poe, te, które dostarczyć kazałem panu.

Przystanąłem, sądząc, iż ma na myśli pakiet wycinków, które mi przysłał tuż przed wyjazdem do Paryża - wśród nich pierwszą dla mnie wzmiankę o pierwowzorze Dupina.

- Uznałem naturalnie, iż pan je sam zgromadziłeś.

- Nie, nie.

- Kto więc ci je przekazał?

- Minęły od tej pory bodaj ze dwa lata - rzekł, wytyżając pamięć. - W której szufladzie mózgu rzecz się schować mogła? - dodał ze śmiechem.

- Niechże pan sobie przypomni, bardzo proszę. Ciekawi mnie to ogromnie.

Bibliotekarz obiecał powiedzieć, gdy tylko odświeży to wspomnienie.

W moim przekonaniu człek ten tajemniczy był oddany Poemu, zanim jeszcze powstał wokół niego cały wulgarny zgiełk, jaki spowodował swą manipulacją Baron Dupin. Przed istotami pokroju entuzjasty, który się już w czytelnicy zadomowił na wieczność.

Dupont poradził mi nie zwracać nań uwagi. Sądząc po rzeczonym spotkaniu Bonjour w księgarni, Dupin nakazał współpracownikom śledzić mnie tutaj jak w Paryżu - celem określenia, czym też się zajmujemy. Tak że zostałem pouczony udawać, jakby tamten nie istniał.

- Pięknie, to wkrótce znów się czegoś dowiemy - stwierdził pewnego ranka właściciel skudłonej czupryny, a mój „ulubieniec”.

Choć się starałem zamilczeć całą mocą, to jednak odpowiedziałem na to:

- Skąd podejrzenie, sir, że „wkrótce”?

Zmrużył oczy, jakby mnie w czytelnicy ujrzał po raz pierwszy.

- A stąd, kolego, stąd, o, proszę - odrzekł, wskazując, co wyczytał. - Jak tutaj podają, w najlepszych sferach Baltimore krąży pogłoska, iż „przybył do nas prawdziwy Dupin”, aby się zająć sprawą śmierci pisarza; widzisz pan wyraźnie?

Zerknąłem do gazety, w rzeczy samej.

- Naczelnny wie o tym z pierwszej ręki. C. Auguste Dupin... - tu postanowił nos wyczyścić. - Dupin, geniuszem obdarzony, wystąpił w utworach Poe, wie pan chyba? Ma zdolność rozwiązywania najtrudniejszych łamigłówek. On to więc niechybnie, brylant czystej wody.

Głównie aby dać wyraz irytacji, chciałem to wszystko zaraz zgłosić Duponte'owi, lecz w zwykłym dlań zakątku mojej biblioteki tego wieczoru go nie odnalazłem. Widocznie się już uporał ze swą pracą, bo na stole i biurku jak zawsze leżały bezładnie różne periodyki.

- Monsieur Duponte? - głos mój poniosły echem długie korytarze i klatki schodowe „Glen Elizy”.

Wypytałem domowych, od rana go jednak nikt nie widział. Zdjęty złowieszczym lękiem, zacząłem krzyczeć tak głośno, że pewnie mnie słyszeli sąsiedzi dookoła. Może zmęczony lekturą gdzieś się wybrał i nie oddalił jeszcze zbytnio...

Lecz żadnego śladu nie zdołałem znaleźć ani na posesji, ani w dolinie poniżej. Prędko więc wyszedłem na ulicę i wynająłem fiakra.

- Szukam, woźnico, przyjaciela... Ruszaj, co koń wyskoczy!

Wziąwszy pod uwagę, że Duponte od naszego przyjazdu nigdzie nie wychodził, wysnułem przypuszczenie, iż mu się nawinęła do badań jakaś rzecz wielkiej wagi.

Minąwszy aleje wokół pomnika Waszyngtona, przejechaliśmy Lexington Market i zatłoczonym nabrzeżem, niby przez żaglowce czujnie pilnowanym. Gdy znaleźliśmy się na odcinku drogi przy szpitalu Washington College, przyjazny fiakier parokroć mnie próbował zagadywać.

- A wie pan szanowny - wrzasnął przez ramię - że tutaj zmarł Edgar Poe?

- Stać zaraz! - wykrzyknąłem.

I tak też uczynił, rad, że się doń wreszcie odzywam.

- Co też pan wspomniłeś o tym miejscu? - zapytałem, podchodząc do kozła.

- A, tylko tak widoki różne panu pokazywałem. Boś przecież nie z tych stron, mam rację? Raz-dwa do jakiegoś przedniego zakładu kulinarnego mogę powieźć, gdy, zamiast się kręcić w koło, tego sobie tylko, sir, zażyczysz.

- Skąd wiesz pan o nim? W dzienniku przeczytałeś?

- Człek jeden, którego wiozłem, mi o tym opowiadał.

- Cóż takiego?

- Że Poe był największym poetą Ameryki, no a podobno mu się podle zmarło w brudnej spelunie, na podłodze. Pasażer tak mi oznajmił, iż wie to z gazety. Towarzyski gościu... znaczy się, on, nie pisarz.

Dorożkarz nie mógł sobie przypomnieć, jak tamten wyglądał, choć najwidoczniej, w porównaniu ze mną, wydał mu się znacznie sympatyczniejszym towarzyszem.

- Jegomość wiózł się ze mną ledwie trzy dni temu. I, wiesz pan, okropnie kichał.

- Słucham?

- I nawet chustkę pożyczył, żeby wydmuchać jakieś szkaradzieństwo.

Patrząc, jak się popołudnie wolno w zmierzch przemienia, stwierdziłem, iż gdy zajdzie słońce, nijak już Duponte'a nie spostrzegę. Baltimore należało bowiem do miejscowości oświetlonych tak fatalnie, że powrót do domu wieczorową porą był trudny i dla miejscowych. Uznałem wobec tego, iż czas się kierować do domu i tam go oczekiwać.

Ulicę wypełniło stado świń. Mimo usilnych, zgłaszanych władzom, próśb obywateli o zaopatrzenie miasta w wozy do usuwania śmieci i odpadków - sprzątanie ulic pozostało domeną owych żarłocznych stworzeń, które o tej godzinie radośnie pochłaniały wszelki znaleziony pokarm.

Nakazawszy woźnicy, by mnie odwiózł z powrotem, w przelocie dojrzałem przez okno dorożki Duponte'a. Natychmiast też zapłaciłem za kurs i pogałem w jego stronę, jakby mi się miał zaraz rozpląnąć, rozwiać w powietrzu.

- Monsieur, dokąd zmierzasz?

- Chłonę tutejszą aurę - odparł, jakby to było oczywiste.

- No, ale nie pojmuję, jakże wychodzić z „Glen Elizy” w pojedynkę... Ja przecież bym najlepiej po mieście pana oprowadził - to rzekłszy, zacząłem mu opisywać pobliską nową gazownię, lecz mnie prędko uciszył gestem dłoni.

- Jak chodzi o pewne fakty - oświadczył - to chętnie się zaznajomię z pańską wiedzą. Proszę jednak pamiętać, iż pan zna Baltimore od urodzenia. Poe zaś tu mieszkał tymczasowo, i to przed laty... bodaj piętnastoma. Przed śmiercią bywał tutaj w

charakterze gościa, tak więc i miasto, i mieszkańców widział w odmiennej zgoła perspektywie. Wstąpiłem do paru sklepów, które wydają się ważne w naszej sprawie, jak również obejrzałem liczne targi, po znakach i zachowaniu miejscowych tylko się orientując, jak to obcy przybysz.

Z pewnością miał Duponte swe racje. Podczas godzinnej przechadzki daleko w kierunku wschodnim opowiedziałem, czegom się dowiedział w czytelni, a także od owego rozmownego fiakra.

- Monsieur - spytałem go - czy nie powinniśmy się jakoś do tego ustosunkować? Baron Dupin ogłasza, iż gotów jest płacić każdemu, kto tylko mu poda informacje o śmierci Poego. Musimy przeciwdziałać, nim będzie za późno...

Duponte nie zdążył mi udzielić na to odpowiedzi, kiedy uwagę naszą zwrócił osobnik, który wyłonił się właśnie z cienia. Przymrużyłem oczy... Lampa oświetlała postać jego tak słabo, że może byłoby lepiej, gdybyśmy go ujrzeli w naturalnym blasku.

- Monsieur, monsieur - szepnąłem - trudno pewnie w to wierzyć, lecz jest to nie kto inny, jak dziwak ów z czytelni, który tam urzęduje co dzień! Przed nami, niech pan spojrzysz!

Duponte podążył za moim wzrokiem.

- Stamtąd go znam, to pewne!

I wtedy też spostrzegłem mroczne wejrzenie Bonjour. Która podążała jego tropem, dłonie w zwojach szala kryjąc. Zaraz przypomniały mi się złowieszcze opowieści Duponte'a na jej temat, taką odczułem radość, iż ją widzę - i zarazem obawę o wiadomego człowieka.

* * *

Wielbiciel Poego pokazał się nagle i zmierzał w naszą stronę.

- Dupin, witam pana - rzekł Duponte, z ukłonem dotykając róna kapelusza.

Tamten zaś w odpowiedzi głośno wydmuchał nos, którego bulwiasty koniec oderwał się i wpadł w chusteczkę. Następnie... odkleiwszy sztuczne brwi, Baron Dupin odezwał się ze zwykłym sobie czarującym francusko-angielskim akcentem.

- Baron - poprawił mego towarzysza. - Baron Dupin, jeśli łaska, monsieur Duponte.

- Baron? Ach, tak, rzeczywiście. Choć może w Ameryce brzmi to nieco oficjalnie -

odparł Duponte.

- A gdzież tam - Baron uśmiechnął się olśniewająco. - Wszak arystokrata zawsze mile jest widziany.

Bonjour podeszła doń w kręgu światła, po czym, gdy jej coś przekazał, zniknęła nam z widoku.

Wstrząs, jakiego doznałem, odkrywając prawdziwą tożsamość entuzjasty Poego, przesłoniła zrazu myśl kolejna:

- Więc panowie się znacie? - spytałem Duponte'a.

- Wiele lat temu, w Paryżu, monsieur Clark, poznaliśmy się - rzekł Baron z oryginalnym uśmieszkiem i zdjął kapelusz z doczepioną peruką - w okolicznościach znacznie mniej sprzyjających. Ufam, iż podróż panów równie się udała, jak i nasza. Nikt wam, mam też nadzieję, na pokładzie „Humboldta” nie przeszkadzał...?

- Skądżeś pan się... - urwałem, przerażony. - A, pasażer na gapę! To z twego polecenia, monsieur, śledził nas ów łysy drab, mam rację?!

Baron szelmowsko wzruszył ramionami. Jego długie czarne włosy, wilgotne cokolwiek i niby parafiną ubrudzone, ułożyły się w pukle.

- Kto taki? Mnie tylko podają regularnie spis wpływających do portu podróżników. I czytam też gazety, co panu wiadomo aż nadto, monsieur Clark.

To rzekłszy, ściągnął kosmate, wypchane palto, które - oprócz powiększonego nosa, peruki oraz brwi - dopełniało przebrania. Odczułem wielki niesmak, że tak dałem się oszukać.

A jednak, bynajmniej nie w obronie swojej, dodać muszę, iż nawet dla kogoś, kto Claude'a Dupin wcześniej już oglądał, ta metamorfoza miała rys doprawdy niezwykły. Baron posiadał bowiem niewiarygodną zdolność zmiany głosu oraz kroku, a także - najwidoczniej - wręcz samego kształtu głowy, w stopniu tak doskonałym, że pewnie wprawilby tym w zmieszanie najwybitniejszego nawet frenologa. Tak to przez skomplikowany układ szczęki, warg i mięśni szyi potrafił się schować lepiej niż pod jakąś maską. Każde z jego oblicz zdawało się stalowe, a ukrywające dobrą setkę ludzkich charakterów. Głos również miał wielce plastyczny, który zmieniał się w zależności od sensu każdej jednej wypowiedzi. W istocie, tak jak Duponte panował nad swym widzeniem innych, tak Baron umiał panować nad jego wizją.

- Chcę poznać wszelkie pańskie przebrania dotyczące tej materii, monsieur! - wykrzyknąłem, usiłując skryć straszliwe zawstydzenie.

- Gdy się podejmuję w imieniu klasy cierpiącej bronić jakiegoś poniewieranego oskarżonego, czynię to tak, by się cały świat nim przejął. Wówczas jego nieszczęście nieszczęściem jest ogółu, a los jego staje się wspólnym losem. Dlatego też, jakem Baron Dupin, nigdy nie przegrałem jeszcze żadnej sprawy. Choćby i najpodlejszej z istot dotyczyła. Im głośniej się bowiem krzyczy, by sprawiedliwość wieszczyć, tym bardziej będzie ludziom na niej zależało.

- Przede wszystkim - ciągnął - nie wolno ludowi uzmysławiać, co go trapi, lecz działać w taki sposób, by uznał, iż się reaguje na trawiące go od dawna troski. Jeśli chodzi o Poego, tak samo postępuję. Wydawcy czasopism codziennych są nim, panowie widzą, zainteresowani coraz głębiej. Księgarze wciąż się domagają nowych edycji, tak że niebawem prace jego znajdą się w każdej bibliotece, jak i w każdym domu, czytane przez starszych młodym, którzy go zechcą postawić na półce swej tuż obok Biblii. Nieraz się przechadzałem, a raczej przechadzam nadal, i... - przytknąwszy do twarzy sztuczny nos, dokończył z akcentem fantastycznie wprost amerykańskim - ... szeptem roznoszę wieść o śmierci pisarza po restauracjach, kościołach, targowiskach... - przerwał. - A także i czytelnich. Tak to i w miastach, i w wioskach klasa uciśniona raz wierzy, raz znów wątpi, z całą jednak pewnością będzie się dopominać prawdy. A kto im ją zapewni?

- Pragniesz pan przedstawienia dla swych korzyści tylko. Prawda cię w żadnej mierze nie obchodzi. Przybyłeś tu wyłącznie, by szczęścia popróbować! - rzekłem.

Wielce zranionego na to udał, choć tak przekonująco, że prawie pozwoliłem się wpędzić w poczucie winy.

- Prawda jedynie jest mym celem - odpowiedział. - Tę jednakowoż... trzeba z ludzkich głów wydobyć. Cechuje cię, Quentin, brachu, honor donkiszotowski a podziwu godny. Lecz prawda, błędny rycerzu, nie istnieje, póki jej nie znajdziesz. I wbrew powszechnym sądom, nie zostaje nikomu dana przez dobrotliwe jakieś bogi - przygarniając ramieniem mego towarzysza, popatrzał nań z ukosa. - Ciekawi mnie, Duponte, coś pan porabiał przez te wszystkie lata?

- Czekałem - odparł ze spokojem Duponte.

- My wszyscy pewnie też, ażeśmy się znużyli - stwierdził Baron. - Na pomoc z pańskiej strony, monsieur, jest w tym wypadku już za późno. Jak zwykle - dodał po chwili.

- Ja jednak rad bym tutaj zostać - oświadczył niezmaconym tonem mój towarzysz - jeśli tylko nie usłyszę przeciwwskazań.

Baron skrzywił się protekcyjnie, acz widać było, że został tą uwagą mile połączony.

- Zmuszony jestem wskazać, iżby się pan nie zbliżał do tej sprawy i zechciał trzymać na wodzy swego przystojnego pupilka z Ameryki, który mu wiernie sekunduje niczym małpa. Zdążyłem już pozbierać pewne fakty dotyczące śmierci Poego. Zatem mnie pan usłuchaj, a włos ci z głowy nie spadnie. Ostrzegam, iż moja droga połowica poderżnie gardło każdemu, kto mi stanie na drodze... W istocie cudne to, nieprawdaż? Nie wolno ci nikomu udzielać informacji na wiadomy temat.

- Do czego zmierzasz? - zawołałem, czując, jak pąsowieję, czy to w stanowczym sprzeciwie, czy może też dlatego, że mnie nazwał pupilkiem. - Jak śmiesz się tak odzywać do monsieur Duponte'a? Czyżbyś pan odwagi naszej nie dostrzegął?!

Odpowiedź Duponte'a jednak zszokowała mnie znacznie silniej niż tamte pogrożki.

- Stanie się wedle pańskiej woli - usłyszałem. - I z żadnym świadkiem zdarzeń rozmawiać nie będziemy.

Triumf uradował Dupina wprost nieopisanie.

- Widzę, żeś wreszcie pojął, co najrozsądniejsze, Duponte. Stanie się to największą zagadką literacką naszych czasów, mnie zaś przypadnie ją rozsądzić. Próbuję już sił nawet w pisaniu pamiętnika. Nazwę go *Wspomnieniami Barona Claude'a Dupin, stróża sprawiedliwości w kwestii Edgara A. Poe oraz pierwowzoru postaci C. Auguste'a Dupin z historii morderstwa na rue Morgue poświęconymi*. Quentin, czy jako znawca przedmiotu uważasz to za stosowny tytuł?

- *Zabójstwa przy rue Morgue!* - poprawiłem. - Prawdziwy zaś wzór kreacji poety stoi tu przed panem!!!

Na to Baron parsknął śmiechem. Już oczekiwała dorożka, którą przed nim otwarł młody czarnoskóry sługa, niby przed jakimś królem. Baron powiódł palcem po

zdobieniach drzwiczek.

- To znakomity pojazd, Quentin, brachu. Luksusy twego miasta zdają się nie do przebicia, co zresztą też typowe dla wszelkich paskudnych mięscin - i z tymi słowami objął wygodnie usadowioną w środku Bonjour.

Po czym obrócił się w naszą stronę.

- Na cóż tu się dąsać? - dodał jeszcze. - Wykażmy nieco ogłady. Zamiast się potykać w tych ciemnościach, wybierzcie się gdzieś z nami na przejażdżkę. Po prawdzie sam bym wziął za cugle, lecz przez pobyt w Londynie na jezdni ciągle mi się mylą strony. Widzicie, żeśmy nie złoczyńcy, szkoda się od nas odwracać. Wsiadajcie zatem, proszę!

- Aaa... - wtrącił raptem Duponte, niczym w epifanii, aż mu się Baron począł z uwagą przysłuchiwać. - A może by tak diuk?! Bo skoro wielbią barona, to diuka pokochają jeszcze mocniej. Ze względu na dźwiękowe podwojenie „Diuk Dupin” ma w sobie pewne dostojęństwo, prawda?

Sztywniejąc, Baron drzwi zatrzaskał.

Parę minut po ich odejździe nie mogłem się ruszyć, zdezorientowany. Duponte utkwiał wzrok w owym miejscu, gdzieśmy spostrzegli Barona po raz pierwszy.

- Odmowa przejażdżki go widać zagniewała. Sądziś pan, iż to zaplanował, by nam wyrzucić krzywdę? - zapytałem.

Duponte przeszedł na drugą stronę ulicy i zajął się studiowaniem starego budynku o surowej ceglanej fasadzie. Wtedy do mnie dotarło, że znajdujemy się w tym samym obszarze Lombard Street, co hotel i gospoda Ryana, gdzie został znaleziony Edgar Poe. Dobiegały stamtąd ściszone odgłosy nocnych zabaw. Gdy Duponte ustawił się naprzeciwko, zaraz doń dołączyłem.

- A może się rozgniewał, nie dlatego, że chciał nas gdzieś zabrać, ale że miał zamiar nas wywieźć z pewnego zakątka - odezwał się mój towarzysz. - Czy to z tej budowli wyszedł z żoną swoją?

Istotnie, lecz na pytanie o właściciela i rodzaj lokalu odpowiedzi już udzielić nie umiałem. Gdy wcześniej proponowałem, że go po Baltimore lepiej niż przewodnik nawet oprowadzę, wyjaśniłem, iż gmach ów przylega do pomieszczeń jednej z

najznakomitszych w mieście kompanii przeciwpożarowych, zwanej Czujną Strażą, dodając, że wobec tego może on należeć do owej firmy.

Wejścia, gdzie się wyłonili Baron z Bonjour, na klucz nie zamknięto. Dalej wstępowało się w mroczny korytarz, na ukos ku drugim drzwiom prowadzący. Otworzył je z drugiej strony mocarny jegomość, przypuszczalnie strażak.

Z wysokiej klatki schodowej - za nim - dobiegały radosne krzyki. A może wrzaski przestraszenia, trudno dociec.

Odźwierny potężnej postury zdawał się niby forteca nie do pokonania, przy tym raz po raz groźnie na nas spoglądał. Uznałem, że najstuszniej będzie zachować całkowity spokój. Dopiero gdy dał znak ręką, zbliżyliśmy się doń obaj.

- Hasło! - zażądał.

Lękliwie zerknąłem na Duponte'a, który przyglądał się podłozie.

- Hasło, inaczej na górę nie wyjdziecie - powtórzył tamten półgłosem, co brzmieć miało strasznie, no i tak zabrzmiało.

Duponte zaś w jakimś transie przeczesywał wzrokiem całą przestrzeń wokół aż do schodów, a też i do samego odźwiernego. Doprawdy, żeby się nie skupić w takiej chwili! Z gardła giganta tymczasem dobywało się warczenie, jak gdyby, niczym ogar, chciał się rzucić na nas, jednym zaledwie drgnieniem podniecony.

Odźwierny gwałtownym ruchem chwycił mnie w nadgarstku.

- Ostatni raz się o hasło pytam, przyjemniaczki, ze mną nie ma żartów! - Jakbym się teraz ruszył, pewno by mi kości pogruchotały.

- Puść pan młodzieńca, bardzo proszę - cicho odezwał się doń Duponte - a zaraz hasło owo podam.

Drab ze znużeniem mrugnął powiekami, uwolnił mnie z uścisku i rzekł, niby pierwszy raz w swym życiu, w naszym zaś najwyraźniej już po raz ostatni:

- Hasło.

Niepewnie wraz ze mną spojrział na Duponte'a, który się przed nim prostując, odparł krótko:

- Różańcówka.

Pomimo nawet niewzruszonej mej wiary w analityczne zdolności Duponte'a, wiedzy na temat dech zapierających jego osiągnięć, czerpanej z prasy, od *commissionnaires* i paryskich policjantów, wspomnień tego, co widziałem w ogrodach Paryża i na pokładzie parowca, świadomości, iż sam Poe poprzez swe opowieści określił go geniuszem poza wszelką konkurencją - wziąwszy to wszystko pod uwagę, nie byłem zdolny pojąć, co się zdarzyło w owym wilgotnym korytarzu. Odźwierny, spojrzawszy koso, usunął się z progu i gestem oznajmił, iż możemy wejść.

Znak, który otwarł nam drogę, niby w magicznej dla dzieci powiastce, to jest słowo „różańcówka”, zdarzało mi się czasem słyszeć na ulicy, pospólstwo tak bowiem zwało tu czerwone wino. Cóż takiego skrywały podłogi, mury, schody, jak również zachowanie i ubiór odźwiernego, że Duponte wykrył kod ów tajny, hasło, które się przecież mogło zmieniać z każdą godziną, będące przepustką do tej ustronnej a pilnie strzeżonej meliny?

- Jakżeś pan - przystanąłem w pół drogi na trzeszczących schodach - jakżeś, monsieur, rzeczony hasło...

- Na bok! Na bok! - biegiem się przy nas przecisnął jakiś nieznajomy.

Duponte przyspieszył kroku. Donośne krzyki z góry stały się teraz wyraźniejsze.

Na piętrze mieścił się niewielki pokój, wypełniony dymem i zgiełkiem. Przy stołach do gry zasiadali strażacy i zamroczeni hultaje, domagając się napitku od szynkarek w cienkich sukniach, które ledwie przysłaniały mlecznobiałe gorsy. Drab jeden się rozwalił na skorupach ostryg, tymczasem któryś z kamratów kopaniem przesunął go w lewo, by zapewnić sobie lepsze miejsce przy stole bilardowym.

Duponte wyszukał pokrzywiony stolik w samym środku, gdzieśmy się mogli rzucać w oczy, i zaraz tam przeszliśmy, ściągając spojrzenia pełne ekscytacji. Towarzysz mój siadł i skinął na kelnerkę, jakbyśmy szacowną cafe jaką nawiedzili.

- Monsieur - szepnąłem doń, zajmując miejsce - musisz mi wyjawić, jak wpadłeś na to hasło?

- O, to nadzwyczaj proste: wcalem hasła nie podałem.

- Przecież to jak „sezamie, otwórz się” zabrzmiało! Gdybyśmy dwa stulecia temu

żyli, na stosie by cię spalono jak czarownicę. Oświeć mnie co do tego, proszę, bo dłużej już w niewiedzy nie wytrzymam!

Duponte przetarł oko, jakby się dopiero co zbudził.

- Monsieur Clark - odpowiedział - po cośmy tu przyszli?

Nie miałem nic przeciwko odgrywaniu ucznia, skoro mu to tylko pomóc jakoś mogło:

- Sprawdzić, czy tu dziś był Baron Dupin, a jeśli tak, to czego, zanim się nań natknęliśmy, poszukiwał?

- Słusznie, jak najślusniej. Zatem, gdybyś posiadał sekret czy prywatne powiązania, to zależałoby ci na rozmowie z gościem, co, jak zapewne wszyscy tu opoje, podał hasło właściwe - tu ściszył nieco głos, zwracając uwagę paru łotrów - czy też raczej z osobą, która nie wiecie skąd się tutaj wzięła i śmiało wypowiada hasło w zupełności niestosowne?

Przyznałem po krótkim namyśle:

- Sądzę, iżbym wybrał wariant drugi. Chcesz pan powiedzieć, żeś to słowo zmyślił i właśnie przez jego niepoprawność nas tu wpuszczono bez większych ceregieli?

- Nie inaczej. Bez różnicy, czy to „rózańcówka”, czy też inne słowo, byleśmy tylko wykazali dostateczną ciekawość. Wiedzieli, że nie należąc do kompanii, wejścia się domagamy z całą siłą. I dalej: jeśli się doszukali w naszym zamiarze agresji czy nawet przemocy, to woleli nas wpuścić tutaj, gdzie aż się roi od ich mocarnych sprzymierzeńców i pewnie wszelakiego typu broń ukrywają, niżli trzymać piętro niżej, gdzie w ich mniemaniu na ulicy przyczaili się nasi przyjaciele. Zgodzisz się ze mną, monsieur, prawda? Wiadomo, iż nie przywiodła nas tu chęć konfrontacji z nimi. Nie zatrzymamy się tu długo, co zaś knuje Baron, dowiemy się w momencie.

- A jak planuje pan zapoznać się z właścicielem?

- Sam się do nas zbliży, jeśli mnie nie zwodzi intuicja - odparł Duponte.

Po paru minutach stanął przed nami jegomość z siwą brodą. Z drugiej strony zaś przywłókł się ów odźwierny, tak że nas obaj jakby otoczyli. Podnieśliśmy się z krzeseł. Pierwszy tonem ostrzejszym, niżby to sugerował jego wygląd, przedstawił się jako przewodniczący wigów Okręgu Czwartego i spytał, co nas sprowadza.

- To tylko, by wspomóc pana - Duponte się uklonił. - W godzinie minionej, o ile się

nie myślę, przybył tu jeden dżentelmen, proponując strażnikowi gotówkę w zamian za pewne informacje.

Właściciel zwrócił się do odźwiernego:

- Prawda? Mów zaraz, Tindley!

- Pokażnym mi, panie George, plikiem wymachiwał - olbrzym ze zmieszaniem kiwnął głową. - Lecz odprawilem durnia, sir, zapewniam.

- Czego się chciał wywiedzieć? - spytał Duponte. Mimo iż nie miał władzy żadnej w tym lokalu - odźwierny, przez roztargnienie chyba, takiej mu oto udzielił odpowiedzi:

- Z przejściem dopytywał, czyśmy się mieszała do elekcji w październiku przed dwu laty, z wyborcami się w intrygi wdając, i tak dalej. Więc mu oznajmiłem, że tu prywatny klub wigów i hasło podać ma albo się zwijać.

- A pieniądz wzięłeś? - rzekł szef surowym tonem.

- W życiu! Ja się, panie George, nie dam przekabacić! Tamten, rozdrażniony, że swe nazwisko słyszy, nas postanowił teraz zbadać:

- A wam co do tego? Przyszli was tu demokraci? Duponte'a wyraźnie ucieszyło, co mu wyjawiono w krótkim czasie - jaki to rodzaj klubu, czego żądał Baron i wreszcie: jak się zowie przywódca. Oblicze mego towarzysza pojaśniało pod wpływem nowej idei.

- Żyję w odległych stronach, więc demokraci od wiga odróżnić nie potrafię. Przybyliśmy zaś tu z przyjacielską przestrogą - oznajmił uspokajająco. - Dżentelmena owego, który się przed nami tutaj stawił, odpowiedź odźwiernego żadną miarą nie zadowoli. Bez trudu mogę pomóc wykryć tego szubrawca. Chce się on z panem kłócić o moralne zasady jego klubu.

- Ach, tak - odparł właściciel, rozważywszy propozycję. - Wielkie dzięki za troskę, a teraz najlepiej wam się będzie wynieść, nim jeszcze tu wybuchnie jakiś świeży konflikt.

- Do usług, panie George - rzekł, kłaniając się, Duponte.

Na drugi dzień usiłowałem wydobyć od mego towarzysza odpowiedź na pytanie, czemu bez żadnych oporów przystał na żądanie Barona, aby się powstrzymać od rozmów ze świadkami zdarzeń. Czekają nas przecież gromadzenie najrozmaitszych informacji, na żadne zatem utrudnienia tego typu pozwolić sobie nie mogliśmy. Trawiła mnie ciekawość, co Duponte planuje, by się jednak sprzeciwić Baronowi.

- Zamierzasz go pan oszukać, słusznie myślę? I oczywiście chcesz się rozmówić z osobami, które na temat ostatniej wizyty Poego posiadają jakąś wiedzę?

- Złożonej obietnicy pozostanę wierny i świadków jego nie będę wypytywał.

- Czemu? Wszak Baron na to nie zasługuje, nic przecież nie uczynił, przez co by mógł sobie uzurpować prawo wyłączności na czyjeś świadectwa. Jakże zgłębimy ową tajemnicę, skoro nie będzie nam dane rozmówić się z ludźmi, którzy na własne oczy go widzieli?

- Na nic się nam nie zdadzą.

- Lecz czy ich wspomnienia sprzed dwu lat nie są nadal świeże?

- Wspomnienia ich, monsieur, są zapewne dosyć mgliste, a na dodatek jeszcze zmałowane bajkami Dupina. Pismaków tutejszych i plotkarzy Baron zatruwa swą sofistyką i przebiegłością.

Wszyscy świadkowie zatem, gdyby nam się ich udało zlokalizować, byłiby już naznaczeni jego kłamstwem.

- I sądzisz, że kłamaliby?

- Bynajmniej nie celowo. Prawdziwe ich wspomnienia owych okoliczności, jak również historie z nich klecone na zawsze już ulegną zniekształceniu wedle wizji Barona. Stali się świadkami jego w tym jedynie sensie, iż się mu, opłaceni, pozwolili zwerbować do udziału w sprawie. Nie zdołalibyśmy uzyskać wobec tego więcej, jak tylko fakty najprzyziemniejsze, o których, podejrzewam, i tak się dowiemy zwykłym trybem.

Zapewne zdaje wam się, że Duponte był osobnikiem oficjalnym - i się w tej kwestii nie mylicie, acz tylko poniekąd. Nie dbał o trywialne uprzejmostki ani obyczaje. Cygara palił w domu, niepomny na otoczenie. Gdy się mu nie miało nic do powiedzenia,

wtedy to człowieka zawsze ignorował, w poczuciu zaś, iż to starczy, odpowiadał pojedynczym ledwie słowem. Można by go określić przyjacielem bezpośrednim, jako że ofiarował swoje towarzystwo bez zwykłych przyjaźni, różnych rytuałów czy wymagań. Zawsze też jednak kłaniał się i siadał w nienagannej pozie (choć stojąc, nieco się garbił). Przy pracy taką zaś powagę i surowość zachowywał, że kiedy go coś pochłaniało, ogromną niezręcznością było mu przeszkadzać. Gdy zajmował się rzeczą najdrobniejszą, mieszaniem owsianki na przykład, czynił to w takim skupieniu, że choćby wokół wybuchł pożar, zdawało się niemożliwe go rozproszyć.

Acz wielce osobliwe miał nawyki. Raz się wspólnie przechadzając, napotkaliśmy dystyngowanego dżentelmena w związanym wymyślnie fularze - który wykrzykiwał na głos, że Duponte to okaz najdziwniejszy, jaki mu się trafiło widzieć w życiu. Duponte wtedy, niezrażony, zaprosił owego gościa, znanego w Baltimore malarza, aby usiadł z nami w pobliskiej restauracji do wspólnego stołu.

- Sir, mówże więc o sobie - poprosił ów artysta.

- Rad bym to uczynić, monsieur - odparł Duponte - lecz istnieje groźba, że potem chętnie wysłucham i pańskiej opowieści.

- Wyborne! - rzekł gość, nie zbity z tropu.

I wyraził ochotę portretować Duponte'a, jak ustalono potem, miało to się dzieć w „Glen Elizie”. Przez wzgląd na nasze zajęcia wydało mi się to cokolwiek niedorzeczne, nie protestowałem jednak, bo Duponte odniósł się do pomysłu z wielką żarliwością.

Gdy mi miał coś do powiedzenia, zamiast zwyczajnie mnie odszukać w domu, nieraz wysyłał po mnie służbę z listem. W istocie „Glen Eliza” była budowlą przestronną, lecz mimo wszystko nie tak gigantyczną, by gnać posłańca przez jej korytarze! Kiedy się to zdarzyło po raz pierwszy, nie umiałem dociec, czym jest powodowane: opieszałością czy skupieniem.

Gdyśmy wychodzili w miasto, do lokali publicznych, Duponte nigdy nie pozwalał się obsługiwać niewolnikom, drobnej jakiejś kwoty im nie ofiarując. Obyczaj ten w Baltimore został przed laty wprowadzony przez gości z Europy, lecz prędko umarł śmiercią naturalną, bo że tu przybywali często i na długo, potrzeby takich odruchów po prostu się wyzbyli. Działanie Duponte'a jednak nie wynikało z wrażliwości - ani też, śmiem twierdzić, z jakichś reguł, mawiał bowiem, iż masa objętych niewolą nie ma

świadomości swego położenia, a wielu z nich znacznie bardziej niż czarnoskórzy tutaj na Południu cierpi z tej przyczyny. Nie czynił tego zatem z sentymentu do nich, ponieważ, jak sam twierdził, służba nie nagrodzona nie opłaca się żadnej ze stron. Znakomita większość owych ludzi była mu wdzięczna niesłuchanie, lecz zdarzało nam się trafiać na skłopotanych lub i wrogo czasami nastawionych.

W „Glen Elizie” tymczasem domowi, których nająłem po powrocie z Paryża, nastroczali nam rozmaitych trudności. Osobliwa praktyka ślania wieści do biblioteki z salonu przysparzała im niewątpliwie roboty, acz swe niezadowolenie wyrażali nie z tego tylko względu. Wielu już na początku sprzeciwiło się Duponte’owi. Zwłaszcza pewna kolorowa, wolna Murzynka o imieniu Daphne, od czasu do czasu nie godziła się mu podawać. Spytana zaś przeze mnie o powód takiego zachowania, stwierdziła, iż gość w najwyższym stopniu okrutnym jej się widzi. Czy kiedyś ją napastował, czy zganiał za omyłkę? Otóż nic nie mówił do dziewczyny, a jeśli już się odezwał, to aż nadto grzecznie. Lecz coś jej nie pasowało mimo wszystko.

- Okrutnik, i basta! - tak mi oświadczyła.

W czasie wolnym od zajęć odwiedzałem Hattie parokrotnie, acz na próżno. Pełne pesymizmu uwagi Petera, iż powinienem naprawić sytuację, napawały mnie coraz większym niepokojem. Stan jej matki, niewiasty kruchego zdrowia, stale przykutej do łóżka lub dla wzmocnienia na wieś czy do źródeł wysyłanej, znacznie się pogorszył tego lata. Po kolejnym pobycie nad morzem niemal już nie wstawała, co znacznie poszerzyło zakres obowiązków Hattie, ciotce zapewniając w domu jeszcze większą władzę. Za każdym razem sługa jakiś udzielał mi informacji, że obie panie są nieobecne. Wreszcie udało mi się jednak pomówić z Hattie, gdy akurat wsiadała przed domem do powozu.

- Kochanie, czyżbyś nie dostawała moich listów?

Na to się rozglądnęła i odwodząc mnie od bramy, rzekła po kryjomu:

- Lepiej już nie przychodź, Quentinie. Tyle się zmieniło, odkąd mamie gorzej. I siostry, i ciotka także teraz mnie potrzebują.

- Rozumiem - odparłem w lęku, iż moje wyczyny jeszcze by ją tylko pognębiły. - Jeśli chodzi o nasze plany... O cierpliwość proszę, już niebawem...

Tu pokręciła głową, żeby mnie uciszyć.

- Wiele się zmieniło, Quentinie - powtórzyła. - To na rozmowę niestosowny

moment, lecz wkrótce z pewnością do niej powrócimy. Znajdę cię, kiedy tylko będę mogła, obiecuję. Nie komunikuj się z ciotką, a na mnie czekaj też cierpliwie.

Z domu dobiegł jakiś hałas. Hattie mnie odprawiła i zaraz odeszła w swoją stronę. Usłyszałem ciotkę (i bodaj szum ptasich piór zdobiących jej kapelusz), jak pyta Hattie swym wyniosłym tonem:

- Któż taki to był, drogie moje dziecko?

Odwróciwszy się, przyspieszyłem kroku w niejasnym przeczuciu, że gdy się obejrzę, to owa starsza dama każe woźnicy mnie rozjechać.

W „Glen Elizie” zaś Von Dantker, portrecista, zasiadł naprzeciw Duponte’a przy stole, na którym piętrzyły się jego rozliczne płótna oraz pędzle. Duponte wprost upajał się samą myślą o tym dziele. Kapryśną naturą obdarzony malarz nakazał mu surowo, by się nie ruszał ani odrobinę, tak że podczas rozmowy drgały jedynie usta detektywa. Na stwierdzenie moje, iż niezbyt to uprzejmy sposób podtrzymywania konwersacji, oznajmił, że wielce jest skupiony i rad by się przekonać, jak ja poradziłbym sobie z podzielnością uwagi w owym położeniu. Chwilami wyglądało to jak pogawędka z ożywionym malowidłem.

- Jak byś pan, monsieur Clark, określił, czym prawda jawi się Baronowi? - ostrym tonem zapytał raz pod wieczór.

- Lecz w jakim sensie? - odrzekłem.

- Pytałeś go, czy prawdy poszukuje. Zapewne, choć wielu sądzi, że posiada na nią patent, prawda nie tym samym przecież dla każdego, tymczasem spory toczą się niezmiennie, a uczeni co dzień obalają swe teorie w tym zakresie. Czym więc się ona zdaje naszemu znajomkowi? Wpierw się namyśliłem.

- Baron para się prawem, a w tej materii, tuszę, prawda to rzecz praktyczna, więc przy tym się ob staje, co nam jedynie sprzyjać może.

- Zaiste. Gdyby Chrystus miał adwokata przy swym boku, to wtedy tak by można Piłatem pokierować, iż wyrok swój musiałby uczynić znacznie łagodniejszym, co zaś by zakłóciło odkupienie ludzkiej rasy. Doskonale. Skoro więc mową prawa przemawia Baron Dupin, prawda nie tym będzie, co prawdopodobne, lecz tym, czego zdoła dowieść możliwości zaistnienia. Są to dwie różne rzeczy. W istocie z sobą nie związane i

konfrontować ich nie wolno.

- Jak zatem się dowiemy, czy Baron prokuruje dowód dotyczący śmierci poety?

- Może go, owszem, sfabrykować, acz w rzeczywistości będzie raczej oparty na lichym podłożu. Skoro mu się zachciewa upowszechnić drukiem te knowania i wykładami o tym gromadzić też gotówkę, zapewne w obawie przed kompromitacją, monsieur Clark, nie ośmieli się tutaj łączyć na całej linii. Wszak z tego, co podano w paryskich gazetach, nietrudno było wywnioskować, iż chce, by się dłużnicy jego dowiedzieli, że zamierza powrócić z gotówką, która go wyzwoli już na zawsze. Uczynił to po prostu, żeby się przed nimi zabezpieczyć. Wobec powyższego będzie potrzebował faktów - choćby je miał i po części powołać do istnienia.

Duponte cały czas niemal spędzał teraz w „Glen Elizie”, nieraz się kłócąc z Von Dantkerem, czy zachowuje idealną pozę. Specjalnie też dla malarza przybierał dziwny półuśmiech, aż w kącikach ust rysowały mu się ostre niby noże punkty.

Ja zaś częstokroć wychodziłem pod pretekstem załatwienia czegoś w mieście, na szwank potworny narażając swoje nerwy. Pocztowcy nieco wcześniej tego roku wprowadzili usługę dostarczania pism do rąk własnych adresata, za co się dodatkowo płaciło dwa centy - więc się już nie musiałem ciągle meldować w urzędzie. Usłyszawszy ode mnie, jak teraz działa nasza poczta, Duponte z początku się tym wielce zaciekawił, lecz szybko go z powrotem własne pochłonęły rozmyślenia. Co dnia sprawdzałem przesyłki, w nadziei znalezienia jakichś nieoczekiwanych wieści, może i nawet ostatniego od Edgara listu do mnie, noty omyłkowo przedtem komuś dostarczonej czy też zaginionej, która się jednakowoż całkiem niespodziewanie odnalazła. Duponte nie otrzymywał poczty nigdy.

Aż tu - pewnego ranka, ledwie zdążył wstać z pościeli - zjawił się doręczyciel z kufrem formy oraz barwy identycznej, jak jeden z przywiezionych przez Duponte'a z Paryża. Wprawiło mnie to w zdumienie, bo sądziłem, że już przechowuje u mnie cały bagaż. On tymczasem na tę okoliczność wyraźnie był przygotowany.

Każdego dnia rano wpierw sam przeglądałem gazety, dopiero potem je włączając do kolekcji mego towarzysza. Jednak pomimo zgiełku wokół śmierci poety, prócz nowych plotek i anegdot nigdy się tam nie natknąłem na prawdziwie istotną tej kwestii

analizę. Choć w jednym periodyku zamieszczono świeże wyjaśnienie, czemu Poe znaleziony został w odzieży obdartej i nie na jego miarę szytej.

- Podają tu, że redaktor - a wedle mnie z pewnością Baron Dupin - wskazuje, jakoby strój poety, który doń nie należał, miał mu posłużyć za przebranie!

- Zaiste, monsieur - odparł Dupont, monokl zakładając, acz prawie bez czytania artykułu.

Tu aż mnie zatkało.

- Panu to wiadomo?!

- Nie.

- Czemu więc „zaiste” do mnie mówisz?

- „Zaiste są w wielkim błędzie”, chciałem rzec jedynie.

- Skąd owa pewność? - zapytałem.

- Dziennikarze mylą się prawie stale i we wszystkim - odrzekł. - Gdybyś pan kiedy znalazł w druku zasady swej religii, warto by się było zastanowić nad jej zmianą.

- Monsieur! Wszak spędzasz całe dnie w bibliotece, ciągle lekturą gazet pochłonięty! Po cóż ci tracić tyle czasu?

- Należy ich omyłki śledzić, monsieur Clark, aby się zbliżyć do prawdy.

Zapatrzony weń czekałem dalszych wywodów. Dupont uniósł brwi w typowy dla Francuzów sposób.

- Przeprowadzę zatem pewną demonstrację. Weźmy zagadnienie stroju, który tu opisują. Niedawno „Observer”, w Richmond wydawany, podał, iż Poe czas jakiś przed swą wizytą w Baltimore nienaumyślnie zamiast własną laską począł się posługiwać trzcinową malajką swego przyjaciela z Richmond, doktora Johna Cartera. I w tymże periodyku wyczytasz błąd równie groteskowy, jak rzeczony „przebranie”, a to mianowicie, iż go w czas pobytu tutaj z odzieży okradziono przy napadzie, w zamian mu ofiarując strój zupełnie inny. Przydają owym ubraniom znaczenie najgłówniejsze, bo dla tych, którzy Poego odnaleźli, wygląd jego stroju jest przecież rzeczą oczywistą. Tak wyobraźnię budząc, zagłusza się rozum.

- Skąd, pozbawiony informacji dodatkowych, wiesz pan, że nie tak właśnie pisarz stracił odzienie?

- Słyszałeś, monsieur, może, aby się rabuś na ubranie ofiary swej połaszczył, a

potem jej ofiarował inne, cudze? Nie, złodziej absolutnie nie mógłby wymyślić czegoś takiego. Wydawcy więc nas częstują najprostszym scenariuszem zdarzeń, jakoby przybysz ze stron obcych na złodziejstwo został narażony - ubierając wieść w takie słowa, które nie pasują do rzeczywistości. Chociażby szczególna właściwość pożyczonej laski wskazuje, iż to nieprawdopodobne wielce.

W „Observerze”, w artykule, do którego się odniósł Duponte, podano, iż Poe odwiedził doktora Cartera, a potem w roztargnieniu zabrał jego nową malajkę. Prócz tego, wedle oświadczeń Cartera, pisarz zostawił u niego w biurze wydany w roku 1819 wolumin *Melodies* Thomasa Moore’a.

- Lecz na temat rzeczonyj malajki nic więcej się tu nie mówi. Skąd zatem przypuszczenie, że ma ona własność szczególną?

Duponte jednak przeszedł już do nowej kwestii:

- Zechcesz pan kufer przynieść, ten, który dostarczono nad ranem?

Ogarnął mnie niepokój i pewne rozdrażnienie, iż prośba ta zakłóci nam dysputę, zwłaszcza że uprzednio zdążyłem umieścić kufer w pokoju mego towarzysza. Niemniej - wprost do biblioteki, gdzieśmy zasiadali, przywlokłem z góry ów sporych rozmiarów bagaż. Kiedy mi zaś nakazał podnieść wieko, szerzej otwarłem oczy ze zdumienia.

Pochyliwszy się, z rewerencją dotknąłem zawartości kufra. Otóż na dnie jego spoczywał jeden tylko przedmiot.

- Czy to...?

- Poego laska, owszem. Nie inaczej.

Ostrożnie ujmując ją w dłonie, w najwyższym zdziwieniu spytałem mojego gościa:

- No, ale skąd, do czorta... wzięła się laska jego w kufrze pańskim?!

Duponte tak oto rzecz objaśnił:

- W istocie nie ta dokładnie, którą miał przy sobie podczas śmierci, lecz tego samego typu, możesz mi pan tu wierzyć. Fakt, że malajką nazwana, coś przed chwilą czytał, wskazuje znacznie więcej niż tylko rodzaj materiału, z którego jest wykonana. Zgodnie z moim podejrzeniem w Ameryce sprzedano określoną liczbę lasek sporządzanych z drzewa pewnej palmy, która rośnie na wybrzeżu Półwyspu Malajskiego, z dala od wytyczonych traktów. Pamiętasz pan, jak niedawno, przy okazji przechadzki, chciałem wstąpić do kilku sklepów? Z rozmów ze sprzedawcami to

mianowicie wywnioskowałem, iż podejrzenie moje słuszne było: w Baltimore, a i w Richmond też pewnie, znajdowało się w sprzedaży cztery lub pięć może typów lasek robionych z owej palmy. Nabyłem więc po jednej każdego rodzaju i - opróżniwszy kufer - kazałem posłańcowi zanieść wszystkie do szpitala Washington College, gdzie umarł poeta, wraz z listem do doktora Morana, medyka, który się nim zajmował. W piśmie zaś to mu wskazałem, że przy transporcie do Richmond laski z innymi pomieszano, prosząc zarazem, by tę poety zechciał mi uprzejmie odesłać.

- A skąd, monsieur, to wysnułeś, iż Moran miałby przekazywać transport Carterowi?

- Sądziłem, iż tego nie uczynił, toteż prośby mej nie uzna za osobliwą. Bardziej się zdaje prawdopodobne, że przesłał wszystko komuś z rodziny Poego... być może nazwiskiem Neilson, znajomemu twemu. Tamten z kolei pewnie podjął wysiłek zwrócenia owych artykułów prawowitym ich właścicielom. Chcąc się wywdzięczyć Moranowi, napisałem mu, iż pozostałe trzy malajki ma sobie zatrzymać. I jak mi się zdawało, jedną odesłał mnie z powrotem. Dostrzegasz w owym przedmiocie, monsieur Clark, coś niezwykłego może?

- Gdyby więc Edgar Poe padł ofiarą złodziei - rzekłem w nagłym olśnieniu - to tak wyborną laskę z pewnością by mu odebrano!

- Zbliżyłeś się pan do prawdy, wykrywając fałszerstwo - Duponte pokiwał głową w aprobacie. - Odtąd zatem do ciebie laska owa należy.

* * *

Następną wyprawę w miasto - nie pomnę, w jakim celu - potraktowałem jako świetny pretekst, aby się pochwalić nową laską. Okazała się ona tak twarzowym dodatkiem do mych strojów, że zacząłem teraz przykładać większą wagę do odzienia, niby mąż stanu kapelusz i kamizelkę dobierając w taki sposób, by jak najlepiej do niej właśnie pasowały. Gdy szedłem przez Stare Miasto, stwierdziłem, że panny i ich opiekunki patrzą na mnie wręcz z zachwytem.

A! W kwestii wspomnianego wyżej interesu jednak mi wróciło pamięć. Musiałem mianowicie spotkać się z dwoma nudnymi dżentelmenami w sprawie rozmaitych inwestycji, które poczyniłem dzięki testamentowi mego ojca. Przesunięcie planowanej rozbudowy Kolei Żelaznej Baltimore i Ohio wpłynęło ujemnie na me rozliczne udziały,

toteż dwaj owi dżentelmeni dali mi do przejrzania okazałą tekę dokumentów. Wziąwszy pod uwagę wszystko inne, co mnie pochłaniało w tym okresie, mój wolny czas uległ takim ograniczeniom, że nie mogłem się skrupulatnie wgłębić w jej zawartość.

Znalazłszy się tego popołudnia znów w rejonie, gdzie dnia trzeciego października czterdziestego dziewiątego roku odnaleziony został Edgar Poe, postanowiłem udać się do wiadomej gospody. Po drodze zaś rozmyślałem, co wtedy, przed dwoma laty, mówiono i jakie podjęto kroki, aby go ocalić czy w tym krytycznym momencie dodać mu otuchy.

Me pełne melancholii domysły przerwał nagle jakiś krzyk zza rogu. Przypadkowy zgiełk w takim mieście jak Baltimore o tej porze nie był niczym szczególnym; co rusz skądś dobiegały hałasy wozów strażackich, a dzikie wycia i wrzaski trwały aż do godzin rannych, nieraz przeradzając się w zacieklą walkę drużyn pożarniczych lub też rozruchy przeciw nietutejszym wymierzone. Lecz ów samotny odgłos przeszył mnie dreszczem na podobieństwo operowej arii śmierci.

- Reynolds...! Reynolds!

To przecież krzyczał poeta, umierając w szpitalnym łóżu.

Istotne, gdzie to usłyszał. W miejscu, skąd wzięto Poego, by go umieścić w szpitalu. Zapewne wyobrażacie sobie moją dezorientację, jakby mnie ktoś raptem przeniósł w cudzy żywot... w czyjeś umieranie.

Ukradkiem zrobiłem krok naprzód. Krzyk rozległ się ponownie!

Skręciwszy w następną przecznicę, ukryłem się w cieniu wąskiego przejścia między dwiema budowlami. Tuż obok przebiegł niewysoki jegomość w okularach, tak że aż odskoczyłem; po chwili udało mi się rozpoznać głos ścigającego.

- Ależ, panie Reynolds! - zagrzmiął.

- Zostaw mnie pan w pokoju - odparł tamten, którego odtąd Reynoldsem możemy nazywać.

- Poczciwcze - rzekł w sprzeciwie Baron Dupin - chcę przypomnieć, że jestem konstabłem.

- Konstabłem? - w zwątpieniu powtórzył Reynolds.

- Samej Korony Brytyjskiej - stwierdził Baron tonem patriotycznym.

- Korony! - zachnął się Reynolds. - Po cóż mnie pan dręczysz? Niech diabli zatem wezmą Brytyjczyków!

- Czy głęboka troska może być udręką? To diametralne przeciwieństwa wszakże. Chciałbym, dla pana bezpieczeństwa, poznać ową historię w pełni - tu Baron się uśmiechnął.

Przemawiał doń wytwornie, jak zazwyczaj, tym razem już nie chowając się pod przebraniem.

- Ale ja nic nikomu do powiedzenia nie mam!

- Sam pan o tym nie wiesz jeszcze. Istnieją, coś w prasie czytał, mój drogi, osoby wiadomym zajęciem żywo zainteresowane. I twoja reputacja, i twoje ze stolarki utrzymanie, jak również dobre imię rodziny będą zagrożone, jeśli się w stopniu dostatecznym nie zdoła przede wszystkim wykryć prawdy. Wszak wówczas przebywałeś u Ryana i widziałeś...

- Nic nie widziałem - uciał Reynolds. - Doprawdy, nic niezwykłego. Był to dzień wyborczy, więc się naturalnie wyprawiały różne bezeceństwa! Rok wcześniej wybuchło zamieszanie, jak chodzi o wybór szeryfa; z pomocą swych zwolenników starły się obie strony. Wyborczy okres tutaj, panie Baronie, bywa gorący do obłędu.

- Wystarczy „Baronie”, jeśliś pan łaskaw. Po e w swym szpitalnym łóżku domagał się jakiegoś Reynoldsa - jak widać, i to również wiedział Dupin. - Czy nie zdaje ci się owa rzecz niezwykłą? W istocie swej nadzwyczajną, jeśli mi tu wolno użyć takiej frazy. Dlaczego zatem wspomniał w godzinie śmierci ciebie?

- Nie mam w pamięci spotkania z jakimś Poem. Pytaj pan innych z komisji, a teraz zechciej mi wybaczyć, bardzo proszę.

Wychyliłem się zza muru na tyle, aby - gdy Reynolds odszedł - ujrzeć twarz Barona. Stał w zupełnym bezruchu, z uśmiechem tak wykrzywionym, jakby przed chwilą spożył kwaśny pokarm lub (co by mnie nie zdziwiło) ukradł Reynoldswi portfel. Bez względu na to, co czynił w danej chwili, na obliczu Barona wiecznie malował się triumf. I mimo że był przecież zhańbionym adwokatem, który musi przed dłużnikami salwować się ucieczką, to również i teraz - z kwitkiem odprawiony przez Reynoldsa - stale sprawiał wrażenie pewnego swoich celów.

Sam stojąc na ulicy, oblizał parokrotnie górną wargę, jakby w gotowości na

dalsze przemowy. Gdy nie warczał na kogoś lub gdy nie próbował innych na swe przekabacić, twarz jego i postawa mogły się zdać martwe. Ale że nieustannie być musiał niby nakręcony, więc z błyskiem intelektu szepnął sam do siebie jedno słowo:

- Dupin!

Wycedził to jak przekleństwo niemal i tak osobiwie, jakby się własnoręcznie chciał tu grzmotnąć w szczękę. Choć gdy się o tym pomyśli nie jak o nazwisku, a całym dziedzictwie powiązanych z jego mieniem, nie wyda się to może aż tak dziwne. Lecz Baron był typem człowieka, który siebie widzi ponad resztą górującym, spytany zatem o rodowód, jak cesarz Napoleon dałby odpowiedź: „Jam jest przodkiem”.

W naszej okoliczności jednak owo „Dupin!” nie doń i nie pod adresem jego krewnych zostało skierowane. Nie. Baron starał się mianowicie przywołać postać C. Auguste Dupina. Personę, nad którą chciał dokazać swej wielkości i władzy. A po cóż w istocie imię literackiego bohatera tak mamrotać? Iluzja, jakiej uległ, uporczywie w niej trwając od pierwszego spotkania ze mną w Paryżu - że właśnie on to jest prawdziwym Dupinem - widocznie go przerosła, do czego, jeśli w ogóle, umiał się przyznać jedynie w samotności, jak i w owej sytuacji. Tu, na pustej ulicy, wbrew swoim nawykom nie mógł już udawać Dupina i nie mógł nikogo upokorzyć ani się też wdawać w spory. Przytoczone zachowanie Barona miało w sobie i rozpacz, i coś zarazem wulgarnego. Stwierdziłem, iż ustępuje i poddać się zamierza, lecz moje przypuszczenie okazało się błędne.

Przywarłem do słupa wspierającego markizę przed drukarnią. Po chwili zaś dojrzałem ów znajomy powóz, który wspomnianej nocy Barona z żoną oczekiwał. Mogę tylko domniemywać, jakim pochlebstwem czy groźbą Baron nakłonił fiakra, by ten zgodził się go oddać jemu na wyłączność. Bonjour wysiadła z pojazdu. Na koźle siedział ów smukły, o ciemnej skórze powożący. Jak zdołałem ustalić nieco później, Baron najął tego niewolnika, ledwie jeszcze nastolatka, o imieniu Newman i jako woźnicę, i jako doręczyciela wszelkich wiadomości, obiecując mu, że w zamian za godną pracę wykupi go od pana i zapewni wolność.

Bonjour ściszoneg głosem i po francusku rzekła Baronowi, iż gdy noc zapadnie, „mamy się z nim spotkać na cmentarzu”. Więcej nic posłyszeć nie zdołałem.

Wróciwszy do „Glen Elizy”, wziąłem z półki książkę adresową. Baron Dupin wyjawiał, iż ów Reynolds trudni się stolarką. W spisie nazwisko człowieka tej profesji, zamieszkałego tuż przy ulicy, gdzie go widziałem z Baronem, ujęto w sposób następujący:

**REYNOLDS, HENRY, STOLARZ,
RÓG FRONT I LOW**

Ciekawe, co człowiek tak niepozorny mógłby z Poem mieć wspólnego? Wszak ten, kto jak on odwiedziłby moje miasto na krótki pobyt, raczej nie wymagałby usług tego typu. By rzecz tę wykoncypować, nie trzeba mi było korzystać z racjomagacji. Zwłaszcza iż gość ów wyparł się widzenia z poetą.

Zacząłem się więc zastanawiać nad uwagami Barona. Wskazał on mianowicie, że Henry Reynolds coś spostrzegł, z Poem jakoby u Ryana przebywając. Po cóż się by z nim spotkał w jakże smętnej godzinie? I też, skąd Baron wiedział... - rozmyślałem z powagą.

Tamten wspomniał wybory. „Okres wyborczy tutaj, panie Baronie, gorący bywa do obłędu”. No i „z komisji inni” jeszcze. Zapewne Reynolds przyszedł do gospody właśnie w związku z wyborami, bo jako lokal służyła ona głosującym z Okręgu Czwartego. Przetrzaśnąłem zbiór prasy, który z Duponte’em zgromadziliśmy, by się natknąć wreszcie na numer „Sun” z trzeciego października czterdziestego dziewiątego. Wtedy, jak podał inny dziennik, w „stanie wstrząsającym” pisarz został znaleziony u Ryana.

Oto więc w dziale „Sun” poświęconym polityce podano nazwisko „Henry Reynolds” na jednej stronie z obszerną listą członków komisji wyborczych Baltimore, którzy zaprzysięgali wyborców, czuwając nad całym przedsięwzięciem. Reynolds zasiadał w komisji Okręgu Czwartego, u Ryana, czyli w pobliżu swej kwatery - co niezbitnie wyjaśniało obecność Dupina w tym rejonie.

Rozpierała mnie wprost żądza ogłoszenia, co zdołałem ustalić. Lecz gdybym to powiedział Duponte’owi, ten by mnie niechybnie zganił - z zadumą powtarzając słowa

filozofa, że nam przecież nie wolno wypytywać świadków. „Wszystko, co niejasne, sami wykryjemy” - rzekłby pewnie. Prócz tego dodałby jeszcze, że się Baron Dupin już z Reynoldsem porozumiał, toteż i jego zatrucie zdążył, podobnie jak innych gości i mieszkańców Baltimore.

W myślach sobie powtórzyłem, iż Dupont to detektyw najznakomitszy w świecie, tak więc udział mój w sprawie musi się ograniczyć do spełniania tylko jego potrzeb. Acz nie dawało mi spokoju, kto też ów jegomość, którego Baron z Bonjour na cmentarzu planowali spotkać pod wieczór. Trawiony ciekawością, jak się tajna ich schadzka z osobą Reynoldsa może wiązać, ledwie zapadł zmrok, wyszedłem - niby zaczerpnąć powietrza.

Dorożką udałem się w północno-wschodni kwartał miasta, gdzie strach było się poruszać o tej porze. Okrążywszy cmentarz Baltimore, powóz mój ostro przyhamował, konie zaś zaczęły wierzgać, spłoszone i rozedrgane.

- Czyś to nad nimi stracił panowanie? - zapytałem fiakra.

- Tak, sir, tak mi się zdaje.

- Stój! Dalszą drogę przejdę pieszo.

- Tu chcesz, sir, spacerować?!

Gdyby nie wiodła mnie konieczność zbadania, co też knuje Baron, z pewnością bym sam siebie o to spytał. Z wahaniem więc przestąpiwszy bramę, ruszyłem skrajem cmentarza, najbliżej, jak tylko się dało, światła Fayette Street i Broadwayu.

Na widok powozu Barona w takiej się odeń ulokowałem odległości, by mnie wieczorne mroki bezpiecznie ukrywały. Do pojazdu wniesiono jakiś ciężki pakiet i po chwili ktoś inny zniknął w ciemnościach miejsca spoczynku. Pilnowałem się, aby mnie nie dostrzeżono, lecz gdy wtem powóz zaczął się oddalać, ogarnęła mnie panika. Nie mając woli przebywać w samotności po zmierzchu w królestwie umarłych, pomknąłem chyżo naprzód, niby jakiś gryzoń.

Zbliżywszy się pospiesznie do prawej strony cmentarzyska, w ślad za powozem Dupina dotarłem aż do szpitala Washington College. Tam, gdzie poetę umieszczono i gdzie oddał ducha. Ów obszerny budynek z cegły z dwiema wieżycami nie mniej upiorny się objawił jak pobliski cmentarz. W istocie wykładowcy college'u stwierdzili krótko po śmierci Poego, iż się on zbyt daleko centrum mieści, więc zeń - jako ze szpitala -

korzystano odtąd sporadycznie. Zarząd uczelni zaś, przez to na nowe wydatki narażony, starał się wyprzedzić zarówno opustoszały gmach, jak i grunty wokół.

Powóz Barona Dupina zatrzymał się nieopodal. Ja tymczasem odkryłem, iż brama szpitalna jest zamknięta na klucz.

- Więcej zwłok nie trzeba! - krzyknął ktoś do mnie z frontowego okna.

Osobliwą uwagę lekce sobie ważąc, na nowo zacząłem badać bramę, gdy znów się pokazał dozorca, widocznie zagniewany:

- Ciała już nam niepotrzebne! Właśnie dostarczono nowe!

Zwłok świeżo zmarłych istot używano w kształceniu studentów chirurgii. Rabusie zakradali się między groby, gdzie żelaznym prętem z hakiem dziurawili trumny. Następnie owi „wędkarze” mieli w zwyczaju chwytać ciało za podbródek i czym prędzej, nieraz ledwie parę godzin po pochówku, wydobywali je, wywlekali wprost spod ziemi. Przez położenie cementarza w pobliżu rzeczonoego szpitala proceder ten złodziejski uprawiano nader często. Spośród największych w mieście śmiałków nieliczni wybierali się tu nocą, powiadano bowiem, że gdy świeżego truposza znaleźć się nie da żadną miarą, wówczas hieny, monstra te porywają przechodniów dla swych celów, by dziesięć za sztukę dolarów od lekarzy dostać.

- Nie słyszysz pan? Zwłoki niepotrzebne! - wrzasnął gość z okna, mrużąc oczy.

- Sir, proszę o wybaczenie - odrzekłem.

Kiedy się zaś skrył w środku, ruszyłem wzdłuż ogrodzenia - by wreszcie znaleźć i przestąpić wyrwę jakąś. Od niedawnego wejścia Barona z Bonjour szpitalne drzwi pozostały zamknięte.

Ów wydział szpitala wydawał się całkiem pusty. Panował tu chłód dotkliwszy niż na zewnątrz, jak gdyby budowla skrzepla w powietrzu lodowatym i zamarzła. Przy najdrobniejszym hałasie aż podskakiwałem, pewien, że stróż mnie usłyszy i zaraz przydybie, ale prędko odkryłem, iż trzaskają omiatane wiatrem drzwi i okna potężnego gmachu.

Z największą ostrożnością udałem się do góry, na trzecim zaś piętrze dobiegły mnie jakieś stłumione, niejasne odgłosy - jak gdyby Baron i Bonjour wdali się z kimś w rozmowę na kondygnacji tuż nade mną, w sali wykładowej. Lecz że schody akurat w tym miejscu zakręcały, a drzwi były otwarte, nie mogłem pójść dalej, boby mnie

spostreegli. Z rozmowy, która się toczyła, dotarł do mnie skrawek za ledwie.

- Mówiłem - odezwał się nieznajomy głos. Ogarnąłem wzrokiem otoczenie. Gdybym się wydostał w górę inną drogą, nie schodami, cała moja wyprawa spełzałaby na niczym. Tylnej klatki schodowej tam jednak nie mieli. Był jednak schowek beczkami zapchany. W poszukiwaniu jakichś użytecznych narzędzi parę wiek uniosłem i niemal straciłem oddech, po sam brzeg je bowiem wypełniały ludzkie kości.

Przybity, bom tyle uszedł i na próżno, wkrótce odkryłem w ścianie szyb, który wydał mi się ręczną windą. W środku czerni panowała niby kruka skrzydło, lecz że blaskiem z piętér nieco rozjaśniona, wyciągnąłem rękę, by się trafem szczęśliwym natknąć na blok oraz wyciąg. Konstrukcja wznosiła się od parteru aż po salę wykładową. Mnie zaś najwidoczniej sprzyjała fortuna.

Pasaż mnie bez trudu mieścił, więc odłożyłem kapelusz i nogami do sznura przywarłszy, tak jego drugi koniec ciągnąłem, by się pięć do góry. Wewnątrz panował obrzydliwie stęchły smród. Pomału zbliżając się do czwartego piętra, w otchłań tę, poniżej, starałem się nie patrzeć. Konwersacja tych w sali z każdą sekundą była wyraźniejsza.

Obcy miał zaś głos i donośny, i teatralny, prawie jak sam Baron.

- Teraz na dokładkę jeszcze dręczą mnie w tej kwestii żurnaliści. Doprawdy, po co to drążyć, zrozumieć nie potrafię.

- O szczegół nam tu idzie - rzekła spokojnie Bonjour. - Drobiazgi rozmaite, któreś pan zapamiętał.

- Rzecz w tym - Baron rozwinął jej myśl - iż znacznie się pogłębia nasza wiedza o tym, co zdarzyło się Poemu w dniu owym konkretnym, gdy go do ciebie sprowadzono. I ty, Moran, bracie, zostaniesz w walce o sprawiedliwość bohaterem.

Intrygująca pauza nastąpiła w tej chwili. Ja zaś się rozejrzałem w swym mrocznym tunelu. Ściana, gdy chciałem ją wymacać celem utrzymania równowagi, była zimna i oślizgła. Ze szczeliny wychynęło dwoje czerwonych oczu i zaraz też ku mnie ruszył szczur, moją dłońią niepewną z kryjówki swojej wypłoszony.

- No, chodź - przyzwałem gryzonia, którego krwią nabiegłe ślepia tak mnie zatrwożyły, iż niewiele brakło, a znów bym na dół zjechał, lecz trwając w postanowieniu, by usłyszeć więcej, znowu zdołałem się do głosów przybliżyć.

Uwaga o bohaterstwie dodała jakby Moranowi mocy:

- Poe został tu przywieziony w środę po południu, koło piątej. Wyciągnąć go pomógł mi fiaker, a za usługę ową z własnej kieszeni zapłaciłem.

- Był ktoś jeszcze w wozie prócz Poego i fiakra? - spytał Baron.

- Nie. Jedyne kartkę otrzymałem od doktora Snodgrassa, redaktora pewnego magazynu, z informacją, że człowiek ów Edgar Poe się zowie i wymaga pomocy. Przeznaczaliśmy mu wygodny pokój na wieży drugiego piętra, z oknem wychodzącym na dziedziniec. Poe był całkiem nieświadomy swego położenia.

- Co mówił? Wspomniał jakiegoś Greya lub E. S. T. Greya?

- Nie. Owszem, gadał wprawdzie, acz duchem był nieobecny, z tworam i imaginacji, które postrzegał na ścianach dookoła. Błady, jak dziś pomnę, no i potem zlany... Próby podjęliśmy różne, aby go uspokoić. Rzecz jasna, chciałem się odeń wywiedzieć czegoś więcej. To mi ledwie nadmienił, iż w Richmond ma żonę. Od owej pory już do mnie dotarło, że ślubu wziąć nie zdążyli, on zaś niechybnie cierpiał na zaburzenia psychiczne. Kiedy się zjawił w naszym mieście ani skąd trafił tutaj - nic z tego przypomnieć sobie nie potrafił żadną miarą. Ja wówczas stwierdziłem, że niebawem na tyle będzie wyleczony, iżby się towarzystwem bliskich mógł cieszyć.

Gdy Moran tak rozprawiał, niemal zrównałem się z drzwiami sali. Grzebiąc po ciemku wyciągniętą ręką, wkrótce natrafiłem na jakiś twardy przedmiot. Płótno? Oczy przymrużywszy, aby coś tam dostrzec, wykryłem, iż to ów pakunek, który w powozie Barona został umieszczony. Gdy znalazłem się na wysokości równej z paczką, dotknąłem najwidoczniej... ludzkiej stopy! Przestraszem zdjęty, od razu pojąłem, co Baron z cmentarzyska przywiódł i że to nie jest winda, ale szyb, którym dźwiga się zwłoki do sekcji na kolejne piętra.

Ciało wywleczone liną ktoś przywiesił na haku w tunelu, to zaś, czemu się dotąd jeszcze w sali obok nie znajduje, wykryłem, zerknąwszy tam ukradkiem. Na stole pośrodku pomieszczenia spoczywał truposz, czy też same członki, w soli i pod osłoną białej cienkiej materii. Tuż przy nim wisiały fartuchy, i czyste, i krwią zbrzyzgane. Aby się zaopatrzyć w nowe zwłoki, w pierw musieliby się pozbyć starych.

Wzdrygnąłem się na ów widok oraz bliskość śmierci. I prędko, by się uspokoić, zaczerpnąłem haust powietrza, które dopiero teraz smrodliwe potwornie mi się okazało.

Straciwszy całą niemal siłę w dłoni, zleciałem prawie piętro na dół, a żeby nie spaść niżej, w gardziel najmroczniejszą zatracenia, nogami, dla równowagi, począłem się chwytać muru.

- Co to? - rzekła Bonjour. - Hałas z szybu płynie.

Zamarłem na podobieństwo lodowatych zwłok nade mną.

- Pewno się zbudził podarek, któryśmy ci przywieźli - Baron tak się zaśmiał, jak nikt chyba w ciał świeżych bliskości bezpośredniej, i pochylając głowę, we wnętrzu tunelu wzrok zagłębił.

Wtedy akurat tkwiłem w samiuteńkim środku, lecz cudownym zrządzeniem przez pakunek z trupem byłem zasłonięty. Niczego wypatrzeć niezdolny, Baron schował głowę.

- Nic to - oświadczył Moran. - Bo chociaż wszelkie drzwi i okna sznurami zabezpieczamy, gmach robi zgiełk znacznie gorszy niż jego pacjenci w swoim czasie.

Wtedy się ku otworowi Bonjour przybliżyła, bez obaw w głąb szybu spozierając.

- Uważaj, pani! - ostrzegł Moran, gdy we mnie serce struchlało.

Bonjour na to weszła w tunel, tak że przez moment sądziłem, iż z całą pewnością na mnie wyląduje. Ona tymczasem jedną ręką linę pochwyciła, wsuwając ją między kolana, aby się ubezpieczyć. Moran chyba protestował, bo zaraz usłyszałem, jak go Baron próbuje udobruchać. Bez najmniejszego choćby drgnienia o cud modlić się począłem, przekonany, iż mnie ona wypatrzy i prześwidruje na wylot.

Bonjour wędrowała ku mnie, cal po calu, ciągnąc sznur tak, że się również mimowolnie do niej zbliżałem.

Z zaciśniętymi powiekami i oblewając się zimnym potem, czekałem, aż mnie wreszcie znajdzie. Skupienie zakłócił pisk straszliwy, nieludzki - gdy armia żarłocznych czarnych szczurów pomknęła *en masse* w górę szybu, w stronę Bonjour, bezwiednie, jak gdyby przyciągnięta przez nią. Wstrzymałem się od krzyku, choć parę mi przeleciało po barku i po plecach, by wesprzeć się, szarpiąc odzież swymi zakrzywionymi pazurami.

- To tylko szczury - mruknąwszy, tak kopnęła kilka stworzeń, że w czeluść pospadały; Baron zaś podał jej ramię i pomógł wrócić do sali wykładowej.

- Dzięki Bogu - wydyszałem do tych bestii.

Dwa, które przycupnęły mi na karku, strząsnąć też musiałem. Słyszając zaś

doskonale wszystko, co mówią ci nade mną, podjąłem postanowienie, aby się teraz ledwie krztynę dźwignąć i dla bezpieczeństwa już nie ruszać.

- Mów dalej, bardzo proszę - rzekł do Morana Dupin. - Więc znajomych sprowadzić mu tutaj obiecałeś...

Człowiek lekko się zawahał.

- Być może, nim więcej powiem, warto, bym się skonsultował z rodziną Poego oraz przyjaciółmi. Jeżeli mnie pamięć nie myli, gdyśmy go kurowali, zjawił się niejaki Neilson Poe z adwokatem Z. Collinsem Lee...

Baron westchnął głośno.

- Zobaczmy, co na stole - żartem zaproponowała Bonjour.

Dobiegł mnie szelest prześcieradła, gdy je odgarniała z nagich zwłok.

- Ejże! - Moran był zakłopotany takim zachowaniem. - Co pani wyrabia?

- Nieraz gołych mężczyzn w życiu oglądałam - rzekła wesoło Bonjour.

- Nie zawstydzaj doktora, bo człowiek młody przecież! - krzyknął Baron.

- Warto by wziąć zmarłego do domu na badanie - odparła, odsuwając blat stołu.

Na kategoryczny sprzeciw lekarza, Bonjour kontynuowała: - Dajże, doktoru, spokój. Nasze jest owo znalezisko i z tobą się nie podzielimy po połowie. O właśnie - tu się zwróciła do Barona - ciekawam, czy rodzina młódki, którą skryliśmy w szybie, nie chciałyby się dowiedzieć, że ciała nie ma w mogile, bo je rad by pokrajać pewien tu ze szpitala elegancik...

- Zaiste intrygujące, miła moja! - przytaknął Baron.

- Jakże! Czynimy tak w imię wiedzy, jak ratować życie ludzkie! Samiście przywlekli przecież tamte zwłoki!

- Na twoją prośbę, doktorze - rzekła Bonjour - w zamian za informacje, o które prosi ciebie mój pan.

Schyliwszy się do Morana, Baron oznajmił *sotto voce*:

- Jak zatem pan widzisz jasno, pod niewłaściwy się zwróciłeś adres.

Lekarz wyraźnie stracił rezon:

- W tym sedno więc, pojmuję. Wróćmy zatem do Poego. Żeby się poczuł nieco lepiej, powiedziałem, że wkrótce powróci do istot jego sercu bliskich. Na co z wigorem odparł, jak pamiętam: „Najlepsze, co mógłby mi ofiarować bliski przyjaciel, to jeden

celny strzał z rewolweru, a w łeb prosto”. No, a na pytania, co też mu się stało, odpowiadał, iż gotów w ziemię się pogрузić i tak dalej, czyli tak się zachowywał, jak każdy zwykły pacjent o spadku nastroju. Wreszcie popadł w delirium trwające do soboty wieczór, gdy zaczął bez końca nawoływać Reynoldsa, sześć, siedem godzin, aż do rana, jak was już informowałem. Wyczerpany, udręczony szepnął: „Miej mnie, Boże, w opiece”, i zaraz potem skonał. Tyle...

- Tu byśmy chcieli wiedzieć - wtrącił Baron - czy przedtem ktoś go nakłaniał do jakiejś sztucznej używki... opium choćby... która mogłaby wywołać u niego rzeczony stan?

- Nie wiem. Prawdę powiedziawszy, sir, przebywał w stanie żalonym i przedziwnym, lecz z całą pewnością woni alkoholu odeń wyczuć się nie dało.

Słuchając, łowiłem najdrobniejsze słowa, acz cały czas tak się wysilałem, żeby mnie przez przypadek nie posłyszała Bonjour. Trzeba mi było wstrzymać oddech i głuszyć łomotanie serca. Gdy wreszcie rozmowa ku satysfakcji Barona się skończyła, i - sądząc po odgłosie kroków - z piętra czwartego się wynieśli, wówczas minąłem zwłoki, by wywlec się na górę.

Sprawdziłem, że droga wolna, i wturlałem się do sali wykładowej. Tam, na posadzce ułożony, od trupiego odoru zaniostem się kaszlem, łykając w spazmie wdzięczności własną ślinę.

Tu myślicie pewnie, iż mimo sztywnych zasad filozofii Duponte'a nad wyraz nieroztropne było mu przygód owych nie zapodać jak najszybciej. Zacięcia filozoficznego jednak nie posiadam prawie wcale. Analityk Duponte podchodził do rzeczy racjonalnie, gdy ja umiałem się im tylko przyglądać. Lecz choć obserwacja pomniejszą jest formą zdobywania wiedzy, to wymaga pewnej dawki pragmatyzmu, przydatnej i memu wspólnikowi, i w ogólności naszym dochodzeniom.

Wspomnieć wcześniej powinienem, jak przy szukaniu Reynoldsa udało mi się - bez wiedzy Duponte'a - zdobyć swobodny dostęp do czasopism gromadzonych w bibliotece. Od przybycia do Baltimore Duponte zaanektował pomieszczenie i osobiście doglądał jego skarbów przechowywanych w sanktuarium. Czytając jednak co innego, zwykł się z biblioteki zagraconej przenosić do licznych sypialni i pokoi, o których

istnieniu dawno już zapomniałem. Wybierał jakiś przypadkowy tom z półki, raz atlas ojca, poświęcony nieznanym zakątkom świata, lub po francusku broszurę, którą moja matka przywiozła z wojaży zagranicznych. Co zaś nie umknęło mej uwadze: czytywał i Poe'go.

W istocie nieraz tak nim pochłonięty, że wróciły mi wspomnienia, jak się przez całe lata syciłem owym pokarmem. Dupont wykazywał bardziej podejście naukowe, czytając jak literacki krytyk mechanicznie. Krytyk nie da się materii porwać i w nadziei przeniknięcia umysłu pisarza nieprzystojnie nie będzie szarpał stronic, podróż tego typu bowiem wymaga opanowania w stu procentach. Stąd odnajdując w piśmie recenzję lektury świeżo ukończonej, czytelnik, gdy własne z nią poglądy porównuje, nieraz myśli sobie: „Wszak to co innego, druga wersja, gdzie wszystko zmienione, tak że i ją mi trzeba poznać jak najszybciej!”.

Beznamiętne podejście Dupont'e'a do dzieł poety zdało mi się, podkreślam, niesłychanie właściwe. Miał bowiem istotny wgląd i w jego naturę, i w zagadkowe okoliczności, z jakimi przyszło nam się mierzyć.

- Żeby tak można wykryć, który okręt go przywiózł! - raz stwierdziłem.

Dupont ożywił się w sekundzie.

- W gazetach lokalnych podają, iż nic na ten temat nie wiadomo. Lecz to, że nie wiedzą oni, monsieur, bynajmniej nie wyznacza granic niewiadomego. Odpowiedź na ową kwestię jasno została przedstawiona w periodykach z Richmond, wydawanych w ostatnich miesiącach życia Poe'go.

- Gdy prowadził wykłady z zakresu poezji i literatury.

- Otóż właśnie. Celem zdobycia środków na magazyn „The Stylus”, jak zresztą ci donosił, monsieur Clark, w swych listach. Nie wiemy wprawdzie, którym statkiem wpłynął z Richmond do Baltimore, lecz to w zasadzie bez znaczenia, i tak nam bowiem nie przesłoni celu owej wycieczki. Powód, jaki go tu przygnał, człowiek myślący ustali bez trudu. Z plotek, które dwa miesiące przed zgonem Poe'go zaczęto przytaczać w prasie, wynika, iż po śmierci żony wdał się on w liczne miłosne związki z kobietami. I wtedy też się zaręczył w Richmond z zamożną niewiastą, więc mało prawdopodobne, by tu zjechał umówiony na jakąś romantyczną schadzkę. Gdy zaś się temu przyjrzeć pod kątem naszej sprawy, niejaka pani Shelton cieszyła się sławą bogatej pośród

redaktorów wszelakich czasopism, a że ci wiedzą wszystko, zanim do plebsu dotrze, to o jej zasobach finansowych wiedział każdy - Poe uznał więc przypuszczalnie, iż stosownie będzie odeprzeć potencjalne pomówienie, jakoby chciał się z nią żenić ze względu na majątek.

- On przecież dla gotówki nigdy by tak nie uczynił!

- Kto wie, acz to oburzenie nic nam tu nie wnosi. Natomiast fakt ów wielce się nam przyda. Gdyby bowiem istotnie chciał ją wziąć za żonę dla pieniędzy, tym bardziej by się starał owe plotki tłumić w obawie, iż straci niewiastę, która sądzi tak samo. Gdy zaś, jak sugerujesz, działał z czystych pobudek, cel mu przyświecał identyczny: potrzeba zgromadzenia grosza na własne wydatki, ażeby już nie musiał polegać niegodziwie tylko na niej. Tak czy owak, widząc, że jeśli chodzi o zarobki w Richmond, przeliczył się mocno, postanowił się wybrać tutaj, by szukać abonentów oraz fachowego wsparcia - i snuć swe finansowe plany niezależnie od pani Shelton.

- Dlatego też wpierw udał się do Nathana Brooksa, znanego powszechnie redaktora periodyków. Lecz - rzekłem posępnie - dom jego strawił pożar, sam, monsieur, widziałem.

- Poe przybył tutaj z wiarą, iż całkiem przemieni swoje życie. I według mnie wykryjemy, że nie w rozpaczy oddał ducha, lecz właśnie przepełniony nadzieją.

Wspomniałem uwagę doktora Morana: kiedy i po co się zjawiał w Baltimore; tego Poe nie wiedział. Jak owa informacja ma się do stwierdzonych przez nas faktów?...

Powyższą rozmowę odbyłem parę dni przed odwiedzeniem szpitala. Teraz zaś, gdzie tylko bym się w mieście ruszył, wszędzie i coraz częściej śledziły mnie spojrzenia. Uznałem, iż bierze się to z poczucia winy, bo nie podzieliłem się z Duponte'em swymi odkryciami, lub podświadomie tak mnie dręczy pamiętne spotkanie z Hattie i jej melancholia.

Moją uwagę zwrócił zwłaszcza pewien wolny Murzyn w wieku około czterdziestu lat, którego często widziałem w tłumie na ulicy, jak też z okien dorożki, gdy wędrowałem po mieście.

Człowiek ów miał ostre rysy twarzy, no i solidnej był postury. Wolnych od zniewolonych odróżniało się bez trudu, bo pierwsi zakładali znacznie lepsze, a nieraz modne wielce ubranie, acz niekiedy trafił się tak zwany niewolnik dandys, któremu - by

go do siebie dopasować - właściciel zawsze zapewniał doskonałe stroje.

Skądś przywiało wspomnienie, jak to, długo zanim zamarzyłem o szukaniu Duponte'a czy ucieczce przed Baronem, podążał za mną ślad w ślad ów Upiór. Jak patrzył na mnie Hartwick, zajadłe ścigając po Wersalu... Toteż się nie zdumiałem ani odrobinę, gdy podczas przechadzki Baltimore Street wspomniany obcy wyłonił się tuż przede mną i po chwili wdał w cichą pogawędkę z Baronem. Baron chwycił go za ramię, wielce uradowany.

Tego dnia, pod wieczór, Duponte na sofie w salonie oddawał się lekturze *Ligei* Poego. Von Dantker zdążył się wynieść wcześniej, wzburzony wprost nieprzytomnie. Duponte bowiem oznajmił, że mu się znudziło ciągle oglądanie miny malarza, dodając jednocześnie, iż chce pozować tyłem. Wtedy w sprzeciwie tamten stwierdził, że z pleców go nie sportretuje. Ponieważ zaś Duponte nie miał zamiaru dalej o tym dyskutować, wspólnie prędko obmyślili, iż przy każdej sesji stać będzie naprzeciwko niego lustro. Von Dantker siadywał za detektywem, mając przed sobą lustro drugie, by pierwotnemu odbiciu kształt właściwy przywrócić. Obaj mi się wtedy zdali obłąkani, lecz Von Dantker (stałe z dziwnym ciastkiem, które się na smalcu smaży) kontynuował swoje przedsięwzięcie.

Czytałem kupiony na stoisku egzemplarz *Irish Melodies* Thomasa Moore'a. Przyjaciel Poego z Richmond, doktor Carter, powiadomił jakiś dziennik, że w biurze go nawiedzwszy, tamten się wgłębiał właśnie w wiersze Moore'a. Podobno podczas pobytu w Richmond cytował Moore'a młodej, poznanej tam pewnej damie: „Jak wędrowiec samotny/Się czuję/Porzucon jak bankietowa sala”.

Myślą powędrowałem ku Hattie.

- Wiesz pan... - rzekłem, Duponte'owi lekturę przerywając.

- Słucham?

- Ciekawy jestem, czy kobieta, która mówi „tyle się zmieniło”, uczucia ma na myśli, miłość swoją czy może się raczej odnosi do rzeczy mniejszej wagi.

- Liczy pan - odparł Duponte, odkładając książkę - na mą poradę w tej materii?

Chwilę się zawahałem, bo mi zależało, by nie uznał przypadkiem, iż staram się talent racjomaginacji nakierować na sprawy czysto osobiste, choć, cóż, w istocie to właśnie teraz było moim celem.

Duponte natomiast ciągnął, nie czekając odpowiedzi:

- A pana zdaniem, monsieur Clark, jej słowa istotnych czy też pomniejszych spraw dotyczą?

- Co większą, a co mniejszą dla niej sprawą? - zapytałem.

- I tu mamy problem, monsieur. Dla osób, które jej afektu nie biorą do siebie, emocje będą tutaj mniej istotne. Stan dachu nad jej głową lub pożyczka z banku; kluczowe by wówczas były odmienności tego typu. Dla tego, który na jej afekt się nastawia, z pewnością takie uczucia byłyby najważniejsze, toteż czy dach ów dawno przeciekł, żadnej różnicy mu nie czyni. Sens słów jej określa, do kogo są kierowane.

Słyszając, jak beznamiętnie Duponte rozprawia o miłości, wpadłem w takie osłupienie, że więcej już tematu nie drążyłem. I domniemany afekt, i me pytanie nadal pozostały w sferze niejasności.

Długo ktoś już dzwonił do drzwi. Tego dnia dałem służbie wolne, sam więc zamierzałem otworzyć. Duponte zamknął swoją książkę, wzdychając, podniósł się z miejsca i ruszył na dół. Przez szybę niecierpliwie zerkał niski jegomość w okularach.

- Czym ci, sir, mogę służyć? - spytał grzecznie.

- Pan wszak tu nas odwiedzasz, prawda? - odrzekł Duponte. - Rad bym pytać o to samo, gdyby mnie twa odpowiedź ciekawiła.

- Jakże...? - gość się zirytował. - Jestem Henry Reynolds. Mógłbym wejść do środka?

Oglądałem zajście z korytarza kuchennego. Reynolds, zdjęwszy kapelusz, wręczył Duponte'owi wizytówkę otrzymaną ode mnie rankiem.

Stwierdziłem, iż nagła wizyta rozbudzi ciekawość Duponte'a, a gdy on sam otworzy, to podniecony odkryciem pewnie nie oprze się pokusie, aby wydobyć z Reynoldsa niezbędne mu najrozmaitsze informacje.

Stało się jednak inaczej. Duponte (z tomem Poego w ręku) uprzejmie skłonił się gościowi i mijając mnie po drodze, powędrował w stronę schodów. Ja zaś, pospiesznie, za nim.

- Dokądże pan idzie?

- Monsieur, odwiedził cię, sądzę, niejaki monsieur Reynolds - odrzekł Duponte. - Chcielibyście zapewne rozmówić się na osobności.

- Ależ...! - zamilkłem.

- Ktoś mnie tam może woła? - z podnóża schodów dobiegło niecierpliwe pytanie Reynoldsa. - Mam jeszcze kilka spotkań. Który z was Clark się nazywa?!

Dobiegłem Duponte'a.

- Ja wiem, że trzeba było pana o sprawie powiadomić - w zmieszaniu wzruszyłem ramionami. - Widziałem, jak z gościem owym rozmawiał Baron Dupin, i to również ustaliłem, że w lokalu, gdzie znaleziono Poego, zasiadał w komisji wyborczej. Lecz on Baronowi nic wyjawiać nie chciał. Zaczekałże chwilę! Proszę, chodź ze mną do salonu. Sądząc, iż pan pewnie odmówi, załatwiłem rzecz po cichu. Żywię natomiast przekonanie, że go bezwzględnie powinniśmy przesłuchać. Duponte zachował obojętność.

- Więc czego chcesz ode mnie?

- Byś, monsieur, siadł w pokoju. Chociaż i bez słowa.

Oczywiście liczyłem, że Duponte pobudzony wiedzą Reynoldsa nie wymówi słowa, tylko nam od razu, na początku przerwie, żeby się go pytać o szczegóły najróżniejsze. Na razie zgodził się zejść ze mną do salonu.

- Jak zdrówko? - zapytał stolarz, rozglądając się po olbrzymim pomieszczeniu, kopułą imponującą zwieńczonym ponad trzecim piętrem. - Zamierzasz pan dom remontować? Bo, że sobie pozwolę, uroda jego podupadła nieco. W wielu już domostwach tego roku poprawki rozmaite wyceniałem...

- Co takiego? - na moment całkiem zapomniałem, czym się para.

Duponte siadł w narożnym fotelu przy kominku. Głowę na dłoni wspierając, przysłonił oblicze palcami, niby siecią pajęczą. I, jak to miał w zwyczaju, począł cmokać językiem.

Zamiast się, wobec sytuacji, czuć zobowiązanym do mówienia, nie ku mnie i Reynoldsowi wzrok skierował, ale w jakiś nieokreślony punkt na horyzoncie salonu, acz w miarę naszej rozmowy pewną satysfakcję objawiając.

- Nie trzeba mi stolarza - oświadczyłem.

- Jakże? Więc po co mnie panowie wezwaliście? - nachmurzony Reynolds wziął ciut tytoniu do zucia, niby oznajmiając, że skoro nie ma stolarki, obejdzie się tytoniem właśnie.

- Cóż, jeśli, drogi panie, mogę... - tak mi z niepewności zaschło w ustach, że ledwie dusiłem słowa.

- Jeśli przybyłem tutaj ku panów uciechu... - zaczął z oburzeniem.

- Konieczne nam są pewne informacje - oznajmiłem. Niezłym się zdanie owo wydało na początek. Duponté zaś wargi skrzywił, nie by coś powiedzieć, ale - żeby ziewnąć. Po czym się usadowił w innej już pozycji.

Reynolds mi zaś nie pozwolił dojść do głosu:

- ...To wam wiedzieć trzeba, że ja ot, tak po prostu, czasu nie marnuję. Mam bowiem, jak wiadomo, ważki udział w tworzeniu świetności tego miasta. I przy budowie czytelni pomagałem, i Instytutu Maryland również, prócz tego pod moim kierunkiem wznoszono pierwszy w Baltimore gmach żelazny, gdzie mieści się redakcja „Sun”.

- W roku czterdziestym dziewiątym służyłeś pan przy wyborach Okręgu Czwartego w gospodzie Ryana, prawda?

Duponté zapatrzył się w przestrzeń, niby kot, który wygodną przyjmie pozę, lecz do snu się gotując, oczy jakby zmrużyć zapomina.

- I chodzi o ów wieczór - bełkotałem dalej - przy wyborach... Przebywał tam, w Czwartym Okręgu, gość, który Poe się nazywa...

- Słuchaj pan - przerwał Reynolds. - Masz, widać, jakieś wspólne sprawy z Baronem Cośtam, człkiem, który mnie prześladuje, listy mi rozmaite zostawiając, prawda?

- Ależ, panie Reynolds, proszę...

- Nic tylko Poe, Poe, Poe! A któż to taki, ja się pytam?

- Otóż właśnie - rzekł ze spokojem filozofa Duponté. - Jak nam tu wskazał monsieur Reynolds, gdy sławą otoczony człowiek jakiś umrze, każdy na nim się skupia, a nie na śmierci jego, z czego się potem wyciąga jak najbiedniejsze wnioski. Brawo, Reynolds!

Słowa te skonfundowały Reynoldsa jeszcze bardziej.

Pogroził palcem i mnie, i Duponté'owi, tak jakby również detektyw był sprawcą wywiadu.

- Dostyć! - z ust jego, niby trucizna, trysnął sok tytoniowy. - Straciłem resztki cierpliwości! I guzik mnie obchodzi, czy tamten jest baronem, a wy królami nawet! Do

powiedzenia nie mam nic, przede mną huk roboty, jasne?! Więc mi na zawsze dajcie spokój, bo wezwę policję.

Gdy nazajutrz zszedłem na śniadanie, czekała mnie wiadomość, że Duponte'a znajdę w południe w bibliotece. Ku memu zaskoczeniu fakt, iż widziałem Barona, uznał za znacznie ciekawszy niż to, że potajemnie przywabiłem Reynoldsa.

- Zatem, monsieur - rzekł, pismami otoczony - śledziłeś pan Dupina.

Wtedy mu podałem szczegóły wiadomego zajścia, a także, co się zdarzyło na cmentarzu i w szpitalu, prosząc o wybaczenie, że nawiązałem kontakt z Reynoldsem bez jego wiedzy.

- Zrozum, monsieur, upraszam. Poe wołał „Reynolds” tuż przed śmiercią, znany ci zaś Henry Reynolds zasiadał w komisji wyborczej w gospodzie u Ryana, gdzie, jak wiesz doskonale, poetę znaleziono! Czyż się owa koincydencja nie wydaje ważna? - Sam sobie udzieliłem odpowiedzi: - Tak, że niepodobna by ją zlekceważyć!

- Rzecz całkiem to przypadkowa, w mniejszym czy większym stopniu ledwie zbieżna.

Jak zbieżna! Czy przypadkowa! Wszak Poe w ostatniej godzinie chciał widzieć Reynoldsa; Reynoldsa, który wcześniej przebywał tam, gdzie i geniusz właśnie! Lecz cóż, Duponte umiał przekonywać, choćby jakimś z pozoru nieznacznym stwierdzeniem. Gdyby na przykład oznajmił, że katedry nasze to jedynie przypadek dla tutejszych katolików, nie sposób by się z nim nie zgodzić.

Na propozycję wspólnej przechadzki przystał z chęcią. Liczyłem, że tym sposobem nakłonię go do przemyślenia moich nowych podejrzeń. Ogarnął mnie niepokój, jak się potoczy nasza sprawa, nie tylko zaś z tej przyczyny, iż - w przeciwieństwie do Barona - detektyw nie bierze Reynoldsa pod uwagę. Stwierdziwszy, że może nam coś umknąć, działamy bowiem w pojedynkę, wspomniałem przy spacerze pobyt poety, krótko przed śmiercią, w Filadelfii.

- Tyle że on się tam nie wybrał.

- Sugerujesz pan, jakoby tydzień wcześniej wcale tam nie wyjechał? - spytałem zdumiony pewnością Duponte'a w owej kwestii. - Czemuż się więc w gazetach wiecznie fakt ów międlili?

- Mając rzecz wszelką podaną na talerzu jako oczywistość, żurnaliści - raptusy - i to jako pewnik widzą, iż się im uda wykryć jakiś szczegół, gdy rzecz jest im odległa, niedostępna. Dziwi ich zatem wszystko, zwłaszcza okoliczność bezpodstawna. Gdy się coś raz ogłosi, to godne bywa uwagi, jeśli zaś fakt podają aż cztery publikacje, nie warto nim sobie zaprzętać głowy absolutnie, bo stale powtarzany, refleksję wszelką zagłuszy.

- Ale skąd ta pewność, monsieur? W zasadzie nic nam nie wiadomo, co pisarz w Baltimore porabiał od zamierzonej wizyty z Brooksem aż do chwili, gdy udał się do gospody. Skąd przekonanie, że w owym czasie nie wsiadł sobie akurat do pociągu do Filadelfii? Jakże nam odrzucać tę ewentualność? Czy nie jest możliwe, iż tam, nie u nas, klucz się do zagadki kryje?

- Otóż więc rozwieję pańskie wątpliwości. Zapewne sobie przypominasz, w jakim celu Poe zaplanował wędrowkę do rzeczonoego miasta - odparł Duponte.

Owszem - i tak mu to powtórzyłem: Poego poproszono, aby się zajął redakcją utworów Marguerite St. Leon Loud, do wydania przeznaczonych, za co go miał mąż zasobny damy owej nagrodzić kwotą w wysokości stu dolarów. Jak doniosły dzienniki, zgodził się na tę lukratywną ofertę, gdy go w Richmond odwiedził Loud, małżonek artystki, wytwórca fortepianów. Stanowisko swoje Poe przypieczętował nawet, zwracając się do Muddy Clemm, by listy doń do Filadelfii kierowane zechciała opatrywać dziwnym pseudonimem „E. S. T. Grey Wielmożny”, jak również dodając: „Ufam, iż kłopoty nasze wkrótce się zakończą”.

- Wielce by mu się przydała suma stu dolarów - rzekłem - bo cierpiał na brak gotówki, a także własny magazyn chciał zakładać. Nagle za drobny tomik, co by go przysposobił w parę godzin, mógł dostać sto dolarów, podczas kiedy zapłata za redakcję pięciu bodaj czasopism ledwie mu starczała na wykarmienie rodziny! Ale jak, bez poszlak przeciwnych, ustalić by się dało, kiedy do Filadelfii przyjechał?

- Za pośrednictwem pani Loud, to przecież oczywiste. Zmarszczyłem brwi.

- Obawiam się, że nic z tego nie będzie. Posłałem jej kilka listów, lecz nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

- Źle mnie pan zrozumiałeś. Bynajmniej nie listowny kontakt mam tutaj na myśli. Wziąwszy pod uwagę, iż to poetka z ambicjami i dzięki mężowi swemu wiedzie życie w dostatku, zapewne o tej porze bawi na wsi lub też na wybrzeżu, tak więc

korespondencja zdałaby się na nic. Doprawdy, by się czegoś wywiedzieć, nie musimy się z biedaczką stykać osobiście.

To rzekłszy, wy dobył z kieszeni cienki piękny tomik *Kwiecie, co przy drodze rośnie. Poezje pióra Pani M. St. Leon Loud*, przez oficynę Ticknor, Reed i Fields opublikowany.

- Cóż to? - zapytałem.

- Owa, sądzę, książka, którą Poe miał do druku przygotowywać; niedawno i, na szczęście nasze, wydana dość niestarannie.

Otwarłem na spisie treści. I oto, wstyd mi pisać, co tam zobaczyłem: *Ciebiem uwiodła, Przyjaciółce, na okoliczność narodzenia syna, Bawół umierający, Zaproszenie na modły, Jam to, więc porzuć lęki, Na rozstanie z przyjacielem, Pierwszy lata dzionek*, no i, jakże inaczej, *Dzień lata ostatni*. Sama już owa lista ciągnąć się zdawała w nieskończoność. Duponte zaś wyjaśnił, iż dokonał zamówienia u któregoś z miejscowych księgarzy.

- Wiadomo, iż monsieur Poe nigdy nie był w Filadelfii celem redagowania wierszy owej damy - stwierdził z mocą.

- Jakże, monsieur?

- Bo sądząc po liczbie poematów, jasne to jak słońce, że nikt woluminu nigdy nie poprawiał. O ile, niech Bóg mu wybaczy, ktokolwiek coś tu w ogóle robił, z pewnością, jak idzie o zwięzłość i harmonię wersu, w przeciwieństwie do Poego nie miał ani doświadczenia, ani niezłomnych pryncypiów.

Musiałem się z tym zgodzić. Tak oto bowiem w praktyce mi się objawił cały sens godzin pędzonych w mym salonie nad utworami wybitnego poety.

Lecz i mnie ogarnęły pewne wątpliwości:

- A może, monsieur Duponte, wybrał się do Filadelfii i już wiersze zaczął edytować, lecz się z poetką o coś skłócił lub też niechętny dziełu zdecydował wrócić do Baltimore...?

- Pytanie to, owszem, bystre, acz jakby mało spostrzegawcze. W istocie byłoby możliwe, iż się do damy owej udał, a z powodu warunków ostatecznie ustalonych postanowił zrezygnować. My jednak odrzucimy taką ewentualność.

- Niby czemu, monsieur?

- Gdy pan się lepiej przyjrzyś spisowi zawartości, wówczas, jestem przekonany, zaraz się zorientujesz, gdzie przystanąć należy.

Tymczasem już zdążyliśmy zasiąść przy stole w restauracji. Chyląc się, Dupont zerknął na wskazany przeze mnie tytuł.

- Doskonale, monsieur. Proszę, czytaj zatem. Poemat *Obcego zatrata* tak oto się rozpoczynał:

Przy jego łożu śmierci się zebrali, -
Wzrok szklisty miał, przygaszony;
Lecz nikt, kto go oglądał
Ni odrobinę nie był zasmucony.

O , smutne to i potworne,
Umierać w bliskości, acz nieznaniej;
Nie znaleźć w mrocznej izbie
Twarzy ni postaci w sercu zapisanej!

- Jakże to przypomina znaną nam poniekąd okoliczność!!!

- Owszem, tak widzi ją artystka. Kontynuuj pan, proszę. Podoba mi się bardzo twa uduchowiona recytacja.

- Dzięki, monsieur - odrzekłem.

Następne zwrotki poświęcono śmierci w osamotnieniu człowieka, któremu „ręki nie uścisną i nie ucałują na drogę”. Później niby-pejzaż zejścia tak został ukazany:

Tak oto pomarł - z dala od tych,
Co wczesny kres by jego oplakali!
Obca przymknęła dłoń powieki,
Do bezimiennych go powiodła sali.

Tam go ułożono, gdzie drzewa wysokie
Ocieniały łożę jego czarne,

Pospiesznie, w ciszy wzniesiono
Z traw nad głową jego usypisko marne.

Potem się nikt nie modlił i nie płakał,
Nawet nie przystanął w owym miejscu świętym;
Lecz prędko o nim zapomniano,
Tak pozostawiając, jak gdyby wyklętym.

- „Do bezimiennych”... Zamiast grobu, który powinien być wszak świętym, zaledwie „usypisko marne”... Pospieszna ceremonia, gdzie nikt „nawet nie przystanął”... Toż to z pewnością dotyczy pogrzebu Edgara Poe! Pochówek tak opisany, jak go oglądałem!!!

- Jakżeśmy dopuścili, madame Loud często jest w podróży, o czym świadczą motywy ukazane w pewnych poematach, a i ze szczegółów utworu, który pan odczytał, jasno widać, iż w ciągu dwu minionych lat od śmierci pisarza i tu również, w Baltimore, przebywała. Wiedziona czystym zaciekawieniem zgonem człowieka, którego przecież miała spotkać, zdołała bliski twym wspomnieniom obraz jego pochówku sprokurować, odwiedzając cmentarz i wypytujac dozorcę czy grabarza, a i też na pewno kogoś ze szpitala.

- Wprost niebywałe - oświadczyłem na to.

- Jeśli się w to dzieło wczytać z należną uwagą, bez trudu da się wyciągnąć ten albo inny wniosek. A że, monsieur Clark, dama owa wyrzuca nieobecny przy grobie nieobecność właśnie, to mi zapewne przyznasz rację, że wyraża się ona z perspektywy podobnej do twojej. W wierszu nie podano ani gdzie przed śmiercią bywał, ani też jak wyglądało jego zachowanie. Zatem wieść przykrą odebrała madame Loud gdzieś daleko bawiac, i jasne, iż plany Poego nie mogły być jej znane z bezpośredniego z nim kontaktu. Ponadto, z tytułu utworu da się wywnioskować, że obcym jej się jawił, a więc nieznanym. Bez wątpienia stwierdzimy wobec tego, iż wbrew wspólnym nadziejom jednak ci dwoje w Filadelfii się nie poznali. Dopiero wszak to dla nas pierwszy dowód, że poeta wcale nie dotarł do owego miasta.

- Pierwszy, monsieur Duponte?

- Nie inaczej.
- A czemu teściową prosił, by doń fałszywie listy kierowała?
- Ów fakt może się dla nas stać kolejną wskazówką - odparł Duponte, wyraźnie zadowolony, że przynajmniej na razie temat został zamknięty.

Duponte nadal wyprawiał się na spacer po mieście. Po rozlicznych i zaciekłych kłótniach z Von Dantkerem, który nie chcąc przystać na dziwne wymagania, w końcu go postanowił uwiecznić bez pozwania - detektyw już mógł bez przeszkód opuszczać „Glen Elizę”. Ja zaś, aby uniknąć dalszych z nim perturbacji, wiadomość taką przesłałem, iż opłacę trudy jego, na co odpowiedział, iż mu po południu ktoś inny zapłatę ofiaruje. Nic z tego nie pojąwszy, udałem się do kwatery Von Dantkera - gdy stamtąd akurat się oddalał (z ukłonem i uśmiechem) Baron Dupin.

Kiedy, w szale prawie, opowiedziałem Duponte'owi, że podejrzewam artystę o szpiegowskie sztuczki, zaśmiał się tylko.

- Monsieur, przecież słyszał i najdrobniejsze nasze słowo, choć się tak pochłonięty twórczością mógł wydawać!

- Ten prostak Von Dantker miałby czegoś słuchać?! - więcej nic się z Duponte'a wyciągnąć w kwestii owej nie udało.

Występując jako obserwator „aury miejskiej”, Duponte wędrował po Baltimore krokiem tak niespiesznym, jakby był w Paryżu. Zwykłem mu w wyprawach owych towarzyszyć, by go przypadkiem, jak wcześniej, nie stracić z oka. Nieraz dom mój opuszczał wieczorem. I prawie jak narrator *Zabójstwa przy rue Morgue*, o C. Auguste Dupinie mógłbym powiedzieć, iż zależało nam na potajemnej obserwacji pośród ludnego miasta obłądnych świateł i cieni. Niemal, bo jak już wiecie, miasto moje porównane z Paryżem po zmierzchu, mroczne się aż nadto jawi.

I właśnie przy słabym świetle wpadłem na wytwornego dżentelmena.

- Zechcesz mi pan wybaczyć - tak doń rzekłem. Człowiek ów, opatulony w czarne staromodne palto, takiej mi tylko udzielił odpowiedzi, że zerknąwszy na mnie, odszedł bez jednego słowa.

Fatalne oświetlenie naszego miasta bynajmniej nie wadziło Duponte'owi.

- W dzień biały wszystko widzę - mawiał. - Nocą zaś świat przenikam.

Na podobieństwo sowy w nocy łowić potrafił co należy.

Dwukroć przy owych wycieczkach, łącznie też z okazją, gdy się zderzyłem z nieznajomym, przez przypadek spotkaliśmy Barona Dupina z Bonjour. Baltimore liczyło ponad sto pięćdziesiąt tysięcy obywateli, więc prawdopodobieństwo skrzyżowania ich dróg było w istocie niezbyt wielkie. Wydaje się jednak, że stykać nas musiały wspólne cele. Lub może również Baron chciał z nas sobie podrwić. Stwierdziłem, iż się chyba zmienił, jeśli mowa o obliczu i posturze. Nie wiem, czy na wadze przybrał, czy też, hmmm, wychudł?

Zawsze się jednak Baron chętnie wykazywał swoją „olbrzymią” wiedzę zgromadzoną na temat śmierci Poego.

- Wyborna laska - rzekł mi kiedyś. - Zgodna z nową modą?

- Malajka - dumnie odparłem.

- Malajka, pan powiadasz? Jak laska poety. Bo wam wiedzieć trzeba, moi mili, iż wszystko, co wykryjecie, my już dawno wiemy z wyprzedzeniem. Czemu się pseudonimem „E. S. T. Grey” chciał posługiwać na ten przykład. O strojach, które nie na niego były szyte... Pewnie wyczytaliście, iż to tylko przebranie? Owszem, lecz nie z jego wyboru...

W pół zdania zwykł urywać tajemniczo lub się razem z Bonjour zanosili śmiechem. Ona zaś wpatrywała się we mnie i Duponte'a, nawet nie udając sztucznych uprzejmości męża. A Baron rzecz tak kończył zwykle:

- Ileż się, przyjaciele, kryje w zasięgu ręki! A my wiemy przecież, jak sławy dostąpić!

Zawsze - w wielkim stylu.

- Duponte, mój kochanku - przywitał raz detektywa, gdyśmy się przechadzali zaraz po śniadaniu. - Jak miło widzieć pana w dobrym zdrowiu. Zapewne bez fanfar wrócisz do Paryża, bośmy tu poczynili kroki tak potężne, iż wkrótce nie zostanie nic już do roboty.

Duponte zachował uprzejmość:

- A więc wizytę w Baltimore zaliczysz do udanych.

- Taką mam nadzieję! - odparował Dupin szeptem, wykręcając głowę. - Bo nigdzie indziej nie widziałem tylu niewiast powabnych.

Aż na ton jego się skrzywiłem. Bonjour gdzieś wówczas odeszła; szkoda, stwierdziłem w duchu.

Po rozstaniu z Baronem Duponte zwrócił się po jakiejś chwili do mnie.

- Na ileś pan gotów, monsieur Clark? - spytał cicho, tak obejmując mnie ramieniem, aż mnie ciarki przeszły.

- Słucham?

- Co dnia pan bowiem bardziej się do enigmy zbliżasz...

- Monsieur, nieść pomoc pragnąłbym całym sobą. Prawdę powiedziawszy, nie miałem pojęcia, na ile udało mi się zbliżyć do jego zamierzeń; w istocie zaś, przypuszczam, w kwestii śmierci Poego ledwie się wówczas znajdowałem niby na prawdy peryferiach...

Duponte tak pokręcił głową, jakby zwątpienie straszne wyrażając.

- O ile pan się tylko zgadzasz, chciałbym, abys gruntowniej wgłębił się w jego sprawy.

Zdziwiony w najwyższym stopniu, poprosiłem o wytłumaczenie.

- Pomogłoby nam to znacznie rozeznaczyć się w taktykach Barona Dupina - odpowiedział - gdybyś pan więcej niż Reynoldsa zdołał wykryć.

- Wszak moja styczność z Reynoldsem nie spodobała ci się wielce!!!

- Owszem, bo okazało się to nieprzydatne. Lecz, jak wiesz doskonale, monsieur Clark, wprawdzie musimy wskazać to, co bezsensowne, żeby móc ustalić, co naprawdę jest istotne.

Cóż sobie Duponte wyobrażał, pytając, na co jestem gotów, stwierdzić w pierwszej chwili nie umiałem. Choć rzecz oczywista: gdybym się wybrał śledzić Barona, toby mi coś groziło nieustannie...

Sądzę, że miał na myśli coś jeszcze innego. Czy byłbym gotów wyrzec się życia w imię sprawy. Czy też bym go odesłał następnym parowcem do Paryża; czy - wyczuwając, co się święci - postanowiłbym wybrać ciszę i spokój „Glen Elizy”...?

KSIĘGA CZWARTA
WIECZNA ZA FANTOMAMI POGOŃ

Oto jak się stałem tajnym agentem. Baron Dupin co kilka dni przenosił się z hotelu do hotelu. Zapewne w obawie, iż go wyśledzą wrogowie z Paryża. I choć ów zaradczy środek wydawał mi się cokolwiek przesadzony, od jakiegoś czasu zacząłem widywać dwu jegomości, co systematycznie go obserwowali. A że czyniłem to również, trudno mi było jednocześnie przyglądać się ich zabiegom. Obaj chodzili niby w uniformach: niemodnych dawno, czarnych frakach i błękitnych spodniach oraz melonikach nasuniętych na czoło. Zupełnie niepodobni, obaj mieli w spojrzeniu coś nieprzytomnego, jak posągi rzymskie zgromadzone w Luwrze. Owym bezwzględny wzrokiem mieli wypatrywać nieustannie jednego celu - Barona. Z początku przypuszczałem, iż to dlań pracują, lecz nie, bo za wszelką cenę starali się unikać jego bliskości. Natykając się na nich parokrotnie, wreszcie sobie przypomniałem, gdzie jednego spostrzegłem po raz pierwszy: naturalnie przy okazji którejś przechadzki z Dupontem. Zwyczajnie wlałem na tamtego, gdyżśmy się nieco wcześniej z Baronem rozmówili - co może i nastąpiło, gdy ledwie przez nich właśnie został wytropiony.

W Baltimore nie oni jednak wyłącznie interesowali się Dupinem. Bo przecież był i stróż „Różańcówki”, owej meliny wigów Okręgu Czwartego, gdzieśmy prezesa ich, George’a, poznali. Potężny ów dozorca, Tindley, począł nękać Barona, gdy ten występował w przebraniu pierwszy mi raz objawionym w czytelnianej sali. Nawet sam Baron nie śmiałby się postawić owemu potworowi, którego gabarytów skromne miano „agent” nie oddaje żadną miarą. Dość rzec, iż przy nim każdy jak gdyby karłowaciał.

- O co, pocziwczę, chodzi? - spytał prześladowcę Baron Dupin.

- Fircyki na twych usługach mają się nie zajmować naszym klubem! - odparł Tindley.

- Skądże niby domysły, że mnie klub wasz obchodzi? - zapytał wyniosłym tonem Baron.

W odpowiedzi na to Tindley, z otwartą gębą, wraził palec między fałdy jego apaszki.

- Mam na ciebie baczenie, odkąd mi się chciałeś do klubu wkupywać!

- Ach, więc was upomniano - rzekł Baron beztrąsko. - Obawiam się, iż wskutek

straszego niedopatrzenia. Któż taki, wielcem ciekaw - dodał, kryjąc niepokój - miałby też przede mną was ostrzegać?

Choć Tindley nie oznajmił, że Duponte (skąd zresztą by mógł wiedzieć), Baron się domyślił bez większego trudu:

- Wysoki, nieelegancki Francuz o owalnej głowie, słusznie mi się zdaje? Jest to, sir, zwykły oszust - dodał. - A groźny tak, że słów szkoda!

Jak daremny błysk gniewu dojrzałem w oczach Barona, gdy najwidoczniej kłął w duchu triumf mego towarzysza! Wkrótce, jako że Tindley chodził za nim wszędzie, był zmuszony rzucić kichacza przebranie oraz opuścić współników w stroju owym pozyskanych... A zatem punkt dla nas - stwierdziłem z mściwą satysfakcją, gdy mu się nie udało przeniknąć do „Glen Elizy” za pośrednictwem holenderskiego portrecisty.

Lecz jak się wiecznie przy tym zmieniał, trudno doprawdy wyrazić me zdumienie! W rozdziale poprzednim wspomniałem zdolność Barona do przybierania coraz to nowych rysów. I oto widując go teraz na ulicy, spostrzegłem kolejną transformację oblicza i postaci, której jednak precyzyjnie wskazać nie byłbym zdolny. Bo chociaż zrezygnował z taniego kostiumu, jakie się widywało przy rue Madame w Paryżu, czyli sztucznego nosa i owłosienia głowy, tak że wizerunek jego uległ diametralnej przemianie - to nadal wyglądał Baron przeraźliwie wprost znajomo.

Któregoś dnia, pod wieczór syciłem palenisko, niepomny uwag Duponte'a, iż mu starcza ciepła. W Paryżu, powiadają, i przy ostrej zimie próżno by szukać żaru na kominku. Podczas gdy dla Amerykanów spadki temperatur ogromnie są dotkliwe, mieszkańcy Starego Kontynentu zdają się ich prawie nie dostrzegać; ja w przeciwieństwie do Francuza nigdy bym się nie zgodził siedzieć w domu owinięty w pledy. I owego wieczoru przyniesiono mi pewną wiadomość.

Od pani Blum, więc z niejakim wahaniem ją otwarłem. Otóż ciotka Hattie z nadzieją mi w owej nocy oświadczyła, że liczy, iż bezczelny Pasztetnik Francuz (czyli Duponte) już wreszcie został odprawiony. Przede wszystkim natomiast, powołując się na długoletnią swą zażyłość z domownikami „Glen Elizy”, spieszyła powiadomić, iż Hattie już innemu, dżentelmenowi godnemu zaufania i pracowitemu, zdecydowała się powierzyć przyszłość jako żona.

Z początku nie mogłem się pogodzić z owym doniesieniem. Czyżby w istocie

Hattie kogoś innego sobie miała znaleźć? Jakże mogłem utracić istotę tak precudną, pochłoniętą zajęciem koniecznym i słusznym w każdym calu?

Lecz kiedy tylko wspomniałem mądrą przestrożę Petera, iż udobruchać panią Blum łatwo mi nie przyjdzie - zaraz do mnie dotarło, iż list ów przebiegłej damy temu służy, aby mnie udręczyć i przymusić do przeprosin, jak również i do wyznania, że krzywdę wyrządził jej siostrzenicy.

Ani nie umiałem się wynieść ponad to, ani też przed taktyką jej ukorzyć.

Na sofie siadłem w zadumie, czy ze względu na charakter mego przedsięwzięcia przypadkiem nie zaniedbuję relacji rozmaitych a stosownych z towarzystwem. Bo wszak wdałem się w układy z osobami, co za nic mając wszelką obyczajność, do takich się posuwają działań, jakich w zgodzie z konwencją absolutnie nie da się zakończyć pomyślnie.

Płomień obejmował polana, gdy mi się ukazała twarz Dupina jakby w ogniu. Tak mocno obraz jego chciałem przywołać wyobraźnią, że niby żyw przede mną stanął, tutaj, w moim salonie, w „Glen Elizie”!

Przez wieczną Barona przemianę ni malarz, ni rytownik żaden nie zdołałby cech jego oddać należycie. Gdyby kiedyś podjęto taką próbę, to bardziej prawdopodobne, iżby się chciał on upodobnić do swego obrazu, nie zaś, jak w życiu jest, odwrotnie; ażeby kształt Barona uchwycić najprawdziwiej, musiałoby się go chyba we śnie tylko portretować.

- Monsieur Duponte! - krzyknąłem, zrywając się przy wtórze trzaskania iskier. - To pan przecież!

Dramatyzm mój wielce go zdziwił.

- Tobą on! - zacząłem machać ręką. - Po to Von Dantkera chytrze do nas ściągnął!

Po trzech, czterech może próbach udało mi się wreszcie odkrycie objaśnić: Baron Dupin mianowicie przybrał postać Duponte'a!!! Tak przysposobił mięśnie twarzy, tak wargi też układał, tak - może czarem jakimś - wyostrzył kontur czaszki i jakby nawet urósł! Począł się także nosić na modłę Duponte'a: stroje, tak jak on, luźne i bezbarwne teraz wybierając. Rozmaita biżuteria już nie zdobiła jego garderoby, przyglądał przy tym

włosy, dotąd wszak poskręcane zawsze w pukle. Takim to sposobem Dupin, poprzez wnikliwą obserwację szkiców i rysunków Von Dantkera, przerobił się na wariant osobliwy mojego towarzysza.

Jaki mu cel przyświecał? Cóż, to wydaje się proste. Podrażnić przeciwnika, wziąć odwet za prowokację Tindleya i zadrzeć z istoty szlachetniejszej, co z nim się poważyła pójść w konkury. Widząc Duponte'a na ulicy, Baron nie był zdolny się odezwać, tak go bowiem bawiły coraz to nowe własne sztuczki.

Wstrętne to, podłe, podstępne - udawać wybitną osobowość!

Prócz wymienionych rzeczy, ręczę słowem, zdołał jeszcze odmienić jak papuga nawet tembr głosu swego! I nawet akcent Duponte'a imitował przewybornie! Gdyby mi przyszło w jakimś ciemnym lochu słuchać jego mowy, z pewnością tak bym się doń zwracał, jak do najbliższego, Duponte'a znaczy, przyjaciela i kompana.

Maskaradą swą Baron wprowadził mnie w jakiś obłąd, furię. Gdy ja zgrzytałem zębami, Duponte'a cyrk ów nie obszedł prawie wcale. Słyszając me wyrzekania, detektyw robił taką minę, jakby mu pokazano ledwie dziecinną igraszkę. I zawsze, spotykając rywala, nie zbity z tropu się mu kłaniał. Doprawdy, niezwykle było, zwłaszcza porą wieczorną, oglądać owych dżentelmenów razem. Różnili się bowiem wówczas tym jedynie, że Duponte'owi towarzyszył wierny współnik, Baronowi Dupin zaś - wierna Bonjour.

Aż wreszcie któregoś dnia to się rzec odważyłem Duponte'owi:

- Gdy on tak szydzi sobie w nieskończoność, pan w ogóle nie reagujesz...

- Cóż byś pan radził, monsieur? Na pojedynek wyzwąć może? - spytał Duponte delikatniej, niżbym pewnie na to zasługiwał.

- Po uszach dać, to pewne! - zawołałem, choć sam bym się na coś podobnego nie poważył. - Nauczyć go moresu, skoro się pan mnie pytasz.

- Ach tak! A nam co by to dało? Miał słuszność: niezbyt wiele.

- Cokolwiek. Świadomość chociażby, iż tu nie pogrywa w pojedynek. Bo przecież, monsieur Duponte, żywi przekonanie, że już wygrał sprawę.

- Wobec tego się myli. Na całej linii, mój panie. Baron, przykro mi oznajmić, przegrywa tu sromotnie. Dotarł bowiem do kresu, jak i ja dotarłem.

Schylłem się doń, nie wierząc.

- Czyżbyś...?

Duponte miał na myśli nasz cel: całkowite rozwiązanie owej zagadki...

Lecz, jak to zwykle czynię, zabrnąłem zbyt daleko. By więc móc wrócić do powyższej rozmowy, wpierw zajmę się ukazaniem mego życia w charakterze szpiega, zaznaczając jednak, iż mnie ku temu pchnął Duponte, ciekaw rozmaitych tajnych planów Barona.

Jak wspomniałem, Baron zmieniał adres, żeby uniknąć swych prześladowców. Ja zaś wiedziałem, gdzie się podziewają, bo śledziłem, jak umęczony stary portier znajomkowi swemu drugiemu bagaż ich przekazuje. Pojęcia nie mam doprawdy, jakim cudem Baron stale sankcjonuje swą przeprowadzkę w inne miejsce. Gdybym się sam znalazł w podobnych okolicznościach, zapewne miałbym stwierdzenia, że mnie moi dłużnicy o głowę zamierzają skrócić, tak bym rzecz tłumaczył, iż celem napisania przewodnika po mieście wymagam pewnej bazy, by jakoś zakwaterowania móc porównać należycie. Wówczas by mi niewątpliwie dano całą moc udogodnień. Pomysł ów wydał mi się tak wyborny, że aż postanowiłem dać znać o nim Baronowi!

Tymczasem, ponieważ mnie Duponte pouczył, by się więcej nieco dowiedzieć o Newmanie, owym niewolniku przez Barona najętym, wdałem się z nim w dyskusję kiedyś po południu.

- Jak się z Baronem rzecz skończy, wyjadę z tego miasta - oświadczył. - Mam wszak w Bostonie brata oraz siostrę.

- Czemuż nie uciec od razu? Wszak w północnych stanach cię ochronią - zauważyłem.

Wtedy wskazał mi drukowane ogłoszenie na drzwiach wejściowych do hotelu. Było tam napisane, iż każdy kolorowy, „związany czy też wolny”, może opuścić miasto jedynie pod warunkiem, iż wpierw zdeponuje swe papiery i weźmie człowieka białego na swoje poręczenie.

- Nie taki ze mnie tępy czarnuch - dodał - abym pozwolił, by mnie ścigano i pozbawiono życia. Jak mi się zechce, to sam poproszę właściciela, żeby mnie zastrzelił.

Miał słuszość, wysłędzono by go niewątpliwie, choćby i ów właściciel niezbyt się

przejął jego stratą.

Pozwolę sobie tutaj umieścić istotny przypis, celem uniknięcia jakichś wątpliwości co do języka przez owego młodzieńca używanego. Pośród Afrykanów, zarówno zniewolonych, jak i wolnych, w stanach południowych i północnych słowo „czarnuch” nie dotyczyło rasy. Nieraz słyszałem, jak czarni terminem tym określają Mulatów, a nawet i o swych panach „białe czarnuchy” powiadają. „Czarnuch” w mowie ich oznaczał człowieka podłego, bez względu na kolor skóry czy przynależność klasową. Warto ów sens w tym pojęciu zapamiętać, nim wreszcie kiedyś na dobre się je wyruguje z naszego języka. Słowo to wskazuję wszystkim, którzy wątpią w bystrość nękaney owej rasy, własną wątpliwość wyrażając, czy kto karnacji jasnej wpadłby na podobny koncept.

- No, a ten drugi Murzyn? - zapytałem.

- Jaki?

- Co go Baron zatrudnił także - wyjaśniłem, święcie przekonany, iż obcy, którego raz z Baronem widziałem, został najęty, aby mnie szpiegować, nawet gdy ja go obserwuję.

- Innego, sir, wcale nie ma, czarnego ani białego. Baron D. nie życzy sobie, żeby go za wiele osób znało blisko.

Tak oto ze zdumieniem, a i niemałą radością odkryłem, iż Baron Dupin najwidoczniej traci zwykłą pewność siebie. Parokroć zdarzyło mi się posłyszeć, jak na zadane przez Bonjour podstawowe w sprawie Poego pytanie - Baron żadnej nie udzielił odpowiedzi. Toteż wzrosły me nadzieje na nasz, detektywa i mój, sukces. Ale i, z drugiej strony, ogarnął mnie irracjonalny lęk, że Dupontę przegra również, jakby go z Dupinem połączyła jakaś sieć mistyczna. Obawa, być może, z tego wynikła, że obaj wykazywali podobieństwo wprost uderzające, jak gdyby jeden był oryginałem, a drugi lustrzanym odbiciem, niczym w ostatnim spotkaniu bohatera Poego, Williama Wilsona. Ale i również nieraz zwierciadlanym obrazem jednej istoty obaj się zdawali.

Swym zachowaniem wszakże różnili się diametralnie.

Baron, znajdując się w centrum publicznej uwagi, wciąż głośno a wulgarnie obwieszczał zaangażowanie w sprawę. Zaczął pozyskiwać subskrybentów periodyku, który miał zamiar wydać drukiem, oraz gromadzić słuchaczy cyklu swych wykładów -

przy czym oba przedsięwzięcia dotyczyły i autentycznych, i sensacyjnych szczegółów śmierci poety.

- Ku mnie, ku mnie tutaj chodźcie, panowie i panie, a nigdy nie uwierzycie, co się tuż pod waszym nosem wydarzyło! - w tawernach oraz pubach głosił wszelkich, jak kuglarz albo szarlatan. Przyznać mu tu muszę wiarygodność bliską niemal widowiskom Barnuma*. Słyszając go przypadkowo gdzieś na ulicy, człowiek się już spodziewał i przemienienia paczki otrąb w żywą... świnkę morską!

A jak przy tym umiał zadbać o gotówkę! Doprawdy, nie oszacuję, ilu mieszkańców Baltimore ciężkie pieniądze na tego gawędziarza wybuliło. Tych samych, przykro mi stwierdzić, co pewnie na wiersze Poe'go w życiu by nie wydali choćby pensa. Przyjmując na wiarę, że Baron Dupin odsłoni tajemnicę godzin poety tu na ziemi najczarniejszych, lud tutejszy istną zapewnił mu fortunę! Zjawiska kultury wówczas powodzenie miały, gdy się zawierał w nich jakiś potencjalny konflikt. Pamiętam, że kiedy dwu aktorów na pobliskich ulicach Hamleta jednocześnie odgrywało, każdy widz wtedy z pasją o swego ulubieńca chciał się kłócić, i nie o grę tam chodziło, lecz o chęć rywalizacji.

Zaplanowawszy pierwszy wykład w Sali Zgromadzeń Instytutu Maryland, Baron zaczął rozsyłać depesze o kolejnych, które miały się odbyć w Nowym Jorku, Filadelfii, Bostonie... Podczas gdy Baron rósł w siłę, my z każdym dniem jakby głębiej kryliśmy się w jego cieniu.

Po drodze zaś puszkę Pandory uchylał coraz bardziej, rozpuszczając nowe rewelacje o śmierci pisarza.

Przytaczam kilka przykładów. Okradzonego, znalazł go w rynsztoku stróż nocny; Poe umierający leżał na targu na jakichś beczkach, muchami od stóp do głów okryty; nie: wedle innego dziennika spotkał się on z kadetami z West Point, gdzie się dawniej uczył posługiwać amunicją i sprzętem bojowym, a teraz - wdał w groźne intrygi w rządzie, z tym powiązane przypuszczalnie, że za młodu walczył w polskiej armii z Rosjanami; nieprawda: skończył marnie, nie zachowawszy umiaru na urodzinach nieprzystojnych swojego znajomka; nie - bo zarzucono mu też samobójstwo... Pewna przyjaciółka miała podać wersję, jakoby duch Poe'go z zaświatów jej poezje przesłał, z których wynikało, iż przy rabunku listów zadano mu pięścią cios śmiertelny! Lokalna zaś

gazeta na podstawie depeszy nadesłanej przez redakcję nowojorskiego pisma poświęconego wstrzeźliwości podała, iż znaleziono świadka, który dzień przed znalezieniem Poego widział go u Ryana w strasznej rozpuście, więc i na Sądzie Ostatecznym poeta z własnego tylko będzie błędu rozliczony.

Gdy w czytelnicy przeglądałem przeróżne artykuły, zbliżył się ów poczciwy stary bibliotekarz.

- Wiesz pan, nie daje mi spokoju, kto też przyniósł teksty o Poem. Już się mi nawet dokładnie przypomniało, jak prosił, bym ci je przekazał...

W jednej chwili porzuciłem stos papierów.

- Słucham, co pan mówisz?

Dotychczas nie przyszło mi na myśl, iż wycinki owe z poleceniem, że dla mnie, tutaj zostawiono. Spytałem, czym się nie przesłyszał.

- Nie, panie Clark - rzekł mi ów jegomość.

- Wstrząsające! - krzyknąłem, myśląc, jak to urywek o niby „prawdziwym” Dupinie całkowicie zmienił bieg wydarzeń.

- Proszę?

- Bo kto... - zdania nie dokończyłem. - Bezwzględnie masz mi pan o nim powiedzieć jak najwięcej! Obecnie jestem bardzo zajęty, lecz tu znowu wrócę. Proszę pana... i błagam: przypomnijże sobie coś jeszcze!

Olśnienie to na nowo podsyciło moją wyobraźnię. Tymczasem trzeba mi było załatwić rzecz znacznie mniej spektakularną, a mianowicie ustalić, jak się mają me sprawy z Hattie. Napisałem do niej długi list, oznajmiając, że okrutne, acz z troski wynikłe działanie pani Blum natchnęło mnie odwagą, i domagając się potwierdzenia, iż jest jak ja gotowa podjąć nasze wspólne plany.

Siedząc poczynania Barona za pomocą wywiadu i obserwacji tajnej, zdołałem ustalić, iż bodaj tydzień wcześniej Bonjour najęła się w charakterze pokojówki u doktora Snodgrassa, człowieka, co - wedle Morana - zamówił powóz, którym Poe został sprowadzony do szpitala ponurego dnia. Wpierw złożył Snodgrassowi wizytę Baron Dupin, by odeń się dowiedzieć wszelakich szczegółów, lecz tamten kategorycznie odmówił mu rozmowy - w niechęci swej wobec tych, którzy na śmierci geniusza chcą żerować.

Niebawem więc Bonjour wystarała się o posadę wśród domowych Snodgrassa. Dziwne to wielce, zważywszy, iż nikt tam sługi nie szukał. Jak gdyby nigdy nic, w skromnym, prostym stroju nawiedziła modny dom z cegły, wzniesiony przy North High Street numer sto trzy. Drzwi przed nią otwarła młoda służąca z Irlandii.

Bonjour oznajmiła wówczas, że podobno potrzebują nowej dziewczyny na górę (słusznie uznawszy, iż przed sobą ma tę z dołu, co pewnie z ową pracującą na górze konkuruje).

- Ciekawe - odrzekła panna, która przecież nic podobnego nie słyszała.

Bonjour wyjaśniła uprzejmie, że (wie to od znajomej) ta z góry wynieść się zamierza, nie uprzedzając na czas chlebobdawców, więc ona by jak najchętniej stanowisko objęła w każdej chwili.

Wkrótce też owa służąca na dole zatrudniona, cokolwiek pokraczna, a więc zazdrosna o urodziwsze panny, ów dialog doktorowi Snodgrassowi powtórzyła, ten zaś się poczuł w obowiązku oddalić sługę nieposłuszną z góry. Tak Bonjour stała się bohaterką dramatu, ujawniając, co się w domu niby święci, a kiedy tam prędko powróciła, zastępstwo jej przypadło naturalnie. Choć była znacznie powabniejsza od owej zazdrośnicy, przez to iż na gust powszechny postać miała zbyt szczupłą i bliznę szpetną w dodatku, jeszcze jej atrakcyjność tylko się podniosła.

Wszystko wykryła później dziewczyna z góry, która po odejściu nabrała wielkiej ochoty, by mówić, jak ją niesprawiedliwie potraktowano. Lecz odkąd tylko Bonjour tam się zadomowiła, szanse na zdobycie informacji o jej przedsięwzięciu zmalały niemal do zera.

- Zostaw ją więc pan Snodgrassom, a skup się na Baronie - poradził mi Duponte.

- Gdyby tam nie dało się znaleźć czegoś istotnego, zapewne aż na tak długo by u nich nie została. Trwa to już dobre dwa tygodnie, monsieur! - odrzekłem. - Baron zaś co najwyżej wabi słuchaczy na swój wykład o śmierci Poego.

- A może mademoiselle nie ma tam do szukania nic wielkiego - stwierdził Duponte w zadumie. - Tylko jej powolnie rzecz owa przychodzi.

- Mógłbym dać znać Snodgrassowi, że wcale nie jest pokojówką.

- I po cóż to, monsieur Clark?

- Jakże? - odparłem z niedowierzaniem, bo oczywiste się to wydało. - By jej uniemożliwić zdobycie informacji dla Barona!

- Bądź pewny, że wszystko, co znajdą, my także odkryjemy - odpowiedział, choć skąd owa pewność, dociec nie zdołałem.

Regularnie jednak, słuchając mych relacji, prosił, żeby mu opisywać i zachowanie Bonjour, i jej stosunek do pracy, jak również - reszty domowych.

Bonjour co dzień po wyjściu od Snodgrassów spotykała się z Baronem. Raz przy takiej okazji udałem się w ślad za nią w okolice portu. Miejsca, gdzie co rusz kogoś z pubu wyrzucano, więc człowiek musiał albo go w drzwiach przekraczać, albo się potykając, wraz z nim na ziemi lądować. Ulice wypełniały bary i bilardownie, a wszędzie się unosił stęchły odór potu. Bonjour wyglądała stosownie: fryzurę miała rozczochraną, nakrycie głowy przekrzywione, a suknię w nieładzie, dla wygody. Przebranie zmieniała dosyć często, gdy - z polecenia Barona - w taką czy inną się jej należało wcielić klasę. Transformacjom jak on demonicznym nigdy wszak nie ulegała.

Patrzyłem, jak zbliża się do grupki ordynarnych gości, którzy śmiali się i ryczeli niby opętani. Jeden wskazał ją palcem.

- Patrzcie - rzekł szorstko. - Gwiazdziarka! Nietoperzyca, ładna całkiem!

Słowami „gwiazdziarka” i „nietoperz” przedstawiciele klas najgorszych wulgarnie określali prostytutkę, co jedynie w nocy działa.

Zlekceważyła to, on zaś rękę wyciągnął jak barierę. Górował nad nią wzrostem prawie dwakroć. Przystanąwszy, Bonjour spojrzała na pękate a nieprzyzwoicie obnażone przedramię.

- Co, dziewczko? - wydarł jej z dłoni jakiś papier. - Pewno miłosny liścik. Zobaczmy:

„Dżentelmen pewien, gdy o strój chodzi, raczej mar...”

- Ręce przy sobie - rzekła, robiąc krok do tyłu.

Ku uciechu kompanów drab uniósł kartkę wysoko, tak że nie mogła dosięgnąć. Inny zaś, krępy a niski, w głos się na to roześmiał, litościwie niby prosząc, by ten już wreszcie dał jej spokój. Wtedy go ów prowodyr grzmotnął w ramię i nazwał durniem pierwszej wody.

Bonjour westchnęła lekko i się doń jeszcze przybliżyła, kark jego potężny ledwie wzrokiem omiatając. Po czym, dotknąwszy muskułu, szepnęła z wielką mocą:

- Widzę, że siła największa, jaką spotkałam w Baltimore!

- Lecz na mnie, kochanieńka, komplement wrażenia nie uczyni!

- Nie chcę, byś, panie, ramię zniżył, tylko je... O, tak właśnie... Podniósł.

Zrobił, jak kazała, zdaje się mimowolnie. Bonjour zaś się pochyliła tuż nad jego szyją.

- No, proszę! - wrzasnął do swoich. - Nietoperz do całowania się szykuje!

Tamci zaczęli rechotać, gdy on nerwowo chichotał jak panienka.

- Nietoperz - odparła Bonjour - jest stworzeniem strasznie ślepym.

I prędszym od błyskawicy gestem rękę owego mężczyzny wykręciła. Ramię swe w taki sposób wznosząc, że nijak się nie dało już jej sprostać.

Rozcięty kubrak gościa i koszula opadły na ziemię. A jego towarzysze - nie śmieli wyrzec słowa. Bonjour cieńsze od igły ostrze wraziła z powrotem między rozwichrzone włosy. Drab na to się obmacał: czy mu nie uszkodziła karku; draśnięcia zaś nie spostrzegłszy, cofnął się przed nią w jednej chwili. Panna - podnosząc z podłogi upuszczony papier - ruszyła w swoją stronę. Może się mi to tylko wydało, po drodze jednak chyba na mnie spoglądała, ubawiona widocznie, że gotów rzucić się jej na ratunek.

Wciąż nawiedzałem okolice domu Snodgrassów. Któregoś ranka pojawił się tam również Duponte, jak zwykle w czarnym odzieniu oraz w pelerynie.

- Monsieur? - natarczywie zagadnąłem. - Czyżby się coś stało?

- Mamy dzisiaj wyprawę powiązaną z naszym dociekaniem - odparł prosto.

- Dokąd zaś?

- Tu, mój panie.

Pokonawszy bramę domostwa, Duponte powędrował wprost ku drzwiom Snodgrassów.

- No, dalej - zachęcił, gdy przystanąłem.

- Monsieur, o tej porze Snodgrassów nie ma w domu. Prócz tego, trzeba ci wiedzieć, możemy być przez Bonjour dostrzeżeni!

- Ależ na to właśnie liczę - odpowiedział.

Ujawszy srebrzoną kołatkę, zaraz sprowadził ku nam służkę z dołu. Z samego szczytu schodów spoglądała na nas Bonjour, co go wyraźnie uradowało; każdy zapewne gość Snodgrassów był przez nią tak obserwowany.

- Sprowadza tu nas, panienko - oznajmił mój towarzysz - wspólny interes z doktorem. Jestem - przerwał, lekko się kłaniając niby schodom - Diuk Duponte.

- Diuk! A, doktor, sir, nieobecny - przyjrzała mi się z uwagą, prędko więc zdjąłem i okrycie swe, i kapelusz.

- Bynajmniej mnie to nie dziwi, człowiek z niego wszak zajęty. Na pewno jednak wieść u panny z góry pozostawił, abyśmy na niego czekali w gabinecie o tej godzinie - odparł Duponte.

- Akurat! To ci dopiero! - wykrzyknęła służka, której zazdrość o Bonjour tak urosła, że się nam niemalże przed oczyma objawiła.

- Jeśli owa niewiasta jest obecna, może by mogła, panienko, potwierdzić szczegóły naszej tu bytności...

- Akurat! - powtórzyła. - Prawda to? - zawołała na Bonjour. - Doktor mnie nic nie mówił.

Bonjour z uśmiechem odrzekła:

- Bo, naturalnie, moja droga, doktor ci nic nie mówi o tym, co się tu na górze dzieje. Gabinet, racz zapamiętać, mieści się na górze.

Zbliżywszy się, uprzejmie nas pozdrowiła. Zdumiała mnie początkowo uległość jej wobec planu Duponte'a, lecz szybko pojąłem, skąd się bierze. Gdyby go wydała jako kłamcę czy oszusta, obaj bez trudu byśmy wykazali, iż posadę swoją również fałszerstwu zawdzięcza. Tak oto dwoje zawarli układ oczywisty, niepisany.

- Doktor Snodgrass prosił, byście za mną, panowie, podążyli.

- Do gabinetu, sądzę - oparł Duponte, idąc za nią schodami, a mnie znak dłonią dając, bym się udał za nim.

Usadziwszy nas w rzeczonym gabinecie, Bonjour - znów uśmiechnięta - ofiarowała się drzwi przymknąć dla naszej wygody.

- Pewnie was, dżentelmeni zacni, uraduje, iż doktor prędko do domu wróci - rzekła. - Dzisiaj się zjawi niebawem. Ja zaś wtedy sprowadzę go tu natychmiast.

- Cudownie, miła panno - odpowiedział Duponte. Gdyśmy już byli sami, zwróciłem się do niego:

- Na cóż niby Snodgrass się nam przyda? Czy go nie wprawi w gniew, żeśmy to rendez-vous całe w istocie wymyślili? No i, monsieur Duponte, czyś mnie pan sto razy nie upominał, by się ze świadkami nigdy nie wdawać w dyskurs?!

- Pan sądzi, że tu przyszliśmy spotkać się ze Snodgrassem?

Poirytowany nieco, uparłem się nie udzielić odpowiedzi. Duponte westchnął:

- Wiedz zatem, iż nie z tej przyczyny. Chcemy wyczytać z jego papierów, co nam się do badań naszych przyda. Niewątpliwie po to również Baron tutaj przysłał Bonjour, która się z kolei zmyśliła o robotę na górze wystarała, żeby mieć stały dostęp do gabinetu doktora. Obecność nasza mocno ją ubawiła; przy tamtej zaś, zadomowionej dawno słudze zachowuje się nader swobodnie, z czego wnoszę, iż jej zadanie prawie dobiegło końca. Jak widać, też się jej zdaje, że nie starczy nam czasu wykryć w papierach owych czegoś prawdziwie istotnego.

- Zatem się nie myli! - oświadczyłem, widząc mnogość dokumentów wszelkich, które zaściewały podłogę i w stosach się piętrzyły na biurku Snodgrassa.

- Niechże pan nie wyciąga pochopnych wniosków. Mademoiselle Bonjour przebywa tu kilka tygodni i choć zna się wybornie na swym złodziejskim fachu, to jednak by się nie poważyła wynosić stąd czegokolwiek, pewna, iż doktor by stratę ową zauważył, zamykając jej tym samym wgląd w inne jeszcze papiery. Zapewne więc po kryjomu własnoręcznie spisała to, co ważne, po czym oryginały te na miejsce odłożyła, byśmy je w tej chwili mogli przejrzeć.

- Lecz jak w parę minut odkryjemy, co jej tygodnie aż pochłonęło?

- Przez to właśnie, iż ona była pierwsza. Dokument wszelki lub papier, nad którym by warto się skupić, zapewne nieraz już wyciągała, i - niech cię głowa nie boli -

kto z rzeczą nieobeznany, nigdy by tego nie spostrzegł, my jednak, wiedząc, czego szukać, z łatwością pismo konkretne wybierzemy i je skopiujemy nawet.

Od razu więc przystąpiliśmy do działania. Ja jedną biurka stronę, by tak rzec, objąłem, pod kierunkiem Duponté'a szukając zgiętych i porwanych rogów stronic oraz zacieków atramentu i wszelkich innych wskazań, iż ktoś ostatnio grzebał w pismach najrozmaitszych czy artykułach gazetowych choćby i sprzed dwudziestu pięciu lat! Pospołu namierzaliśmy wiele wzmianek o Poem, co przypuszczalnie Bonjour też sprawdzała - wśród nich niezliczone artykuły poświęcone śmierci poety; nie tak wprawdzie bogate ani pełne, jak moja kolekcja, acz również, przyznać to muszę, imponujące niesłychanie. Wyczerpany i zbulwersowany, odnalazłem pewne rzadkie dokumenty: trzy listy Edgara Poe do Snodgrassa sprzed lat kilku (wiadomy charakter pisma rozpoznając w pół sekundy).

W pierwszym poeta proponował doktorowi, który wówczas wydawał periodyk pod tytułem „The Motion”, prawa do publikacji drugiej z historii o Dupinie. „Nie stać mnie oczywiście na darowanie jej panu” - pisał Poe stanowczo - „lecz jeśliś zainteresowany, niech będzie czterdzieści dolarów”. Snodgrass jednak odmówił, i podobnie „Graham's”, tak że kto inny wydał drukiem *Tajemnicę Marii Roget*.

W drugim liście Poe zawarł prośbę, by Snodgrass załatwił przychylną twórczości jego opinię w magazynie, który wtedy redagował Neilson Poe, licząc, iż ze względu na rodzinne koligacje Neilson wyrazi na to zgodę. Widocznie to się nie powiodło, bo geniusz pisał później zniesmaczony: „Ja czułem, iż N. Poe artykułu owego nie zamieści. Bo, mówiąc tylko między nami, uważam go za swego najgorszego w świecie wroga”.

Rzuciłem się dzielić z Duponté'em rewelacją:

- Neilson Poe, monsieur!!! Edgar go zwie swoim najpodlejszym adwersarzem!... Czyż więc me podejrzenia były niesłuszne?!

Czasu nam nie wystarczyło, Duponté zatem nakazał mi wpisać do notesu wszystko, co uznam za istotne, jak i - dodał po namyśle - to, co mi się również błahe wyda. Posłusznie odnotowałem dzień, gdy Poe o Neilsonie pisał: siódmego października 1839 roku - dokładnie więc dziesięć lat przed śmiercią!

„Odmowa jego tym wstrętniejsza - stwierdził o nim poeta - że otwarcie mówi o przyjaźni ze mną”. Czyż nie to samo od Neilsona usłyszałem przy spotkaniu? „Byliśmy

kuzynami, ale też i przyjaciółmi”... Sławy sam się uparcie literackiej domagając, Neilson poślubił siostrę i niemal kopię Edgarowej żony... Czy zatem sobie wymarzył żywot tego człowieka, którego na pozór tak oczerniał?

Lecz w listach Poego do Snodgrassa więcej o krewnych z Baltimore znalazłem. Pisarz mianowicie Henry Herringa (pierwszego z rodziny, który zjawił się u Ryana) określił „człowiekiem pozbawionym zasad”.

Zajęty otwieraniem różnych szuflad, Duponte na moment przystopował.

- Zbadajże pan ulice od drugiej strony domu, monsieur Clark. Na powóz Snodgrassa miej baczenie. Gdy bowiem on przybędzie, musimy się czym prędzej wynieść, przypilnowawszy wcześniej, by owa sługa z Irlandii nic mu o naszej wizycie nie mówiła.

Zapatrzyłem się w jego twarz, nie mając pojęcia, jak zdołamy dokonać owej drugiej sztuki. Następnie zaś wszedłem do izby na froncie domostwa Snodgrassów. Wyglądając przez okno, stwierdziłem, iż zbliża się tam jakiś pojazd, niebawem jednak - zwolniony - konie w dół High Street pobieżyły. Kiedy wracałem do gabinetu, napotkałem wzrok Bonjour, która się tak nad kominkiem pochyliła, że jej czarna suknia i fartuch aż się zdawały płonąć żywym ogniem.

- W porządku, panie szanowny? Czy się wam może na co przydam, gdy na doktora czekacie? - zapytała, ton głosu drugiej pokojówki przybierając tak donośnie, by tamta ją posłyszeć mogła, i ciszej znacznie dodając: - Jak pan widzisz, twój znajomek ledwie żeruje na dochodzeniach mego szefa.

- Nic się, panienko, nie dzieje, a miło mi, że pytasz; ot, tylko chmury owe potworne zwiastujące deszcz oglądam - rzekłem z mocą, a potem już ciszej znacznie: - Auguste Duponte nikogo nie udaje. I tak zagadkę rozwiąże, iż z niego monsieur Poe byłby dumny. Tobie pomóc mógłby także bardziej niż ów złodziej, mademoiselle, co mężem go nazywasz i panem swoim.

Niepomna maskarady Bonjour drzwi zatrzasnęła mi przed nosem.

- Nic podobnego, monsieur! - zawołała. - Jeśli kto tu kradnie, to Duponte jedynie! On to odbiera ludziom myśli, błędy... Baron zaś w każdej sytuacji jest w zgodzie z sobą, mój panie. Tylko bycie z nim wolność mi zapewnia!

- Sądzisz, że dokładając się do zwyczajstwa Barona, wypłacisz to, coś mu winna,

bo cię uwolnił z więzienia, i zostaniesz oswobodzona z więzów przymuszonego małżeństwa.

Bonjour, wyraźnie uradowana, odchyliła głowę.

- Źleś pan wycelował. Radzę ci mnie nie oceniać według swych matematycznych analiz. Aż nadto mi przypominasz swego kompana, drogi panie.

- Monsieur Clark! - krzyczał z gabinetu Duponte. Niepewnie przestąpiłem z nogi na nogę.

Bonjour podeszła, aby mi się bliżej przyjrzeć.

- Pan nie masz żony, monsieur Clark?

- Ale mieć będę - odparłem bezwolnie. - I będę ją traktował jak należy, starając się wspólne szczęście obojgu nam zapewnić.

- Monsieur, panna we Francji nie ma krzty wolności. W Ameryce wolną jest i jako niezależna szanowaną aż do ślubu. We Francji zaś odwrotnie. Dopiero gdy za mąż wyjdzie, wolność zyskuje, i to taką, że wprost trudno sobie wyobrazić. Jako mężatka tylu mieć może kochanków, co i jej mąż kochanek.

- Mademoiselle!

- W Paryżu mężczyzna bywa nieraz bardziej zazdrosny o kochankę niżli o własną żonę, kobieta zaś kochankowi wierniejsza aniżeli mężowi.

- Po cóż się niby tak zwodzić, mademoiselle?

- W Paryżu, jak sam o swoje nie zadbasz, obcy ci to weźmie pierwszy... - urwała.

- Pan twój cię woła, monsieur.

Skierowałem się ku drzwiom. Bonjour po chwili dopiero usunęła mi się z drogi, układność wielką udając. Ledwie wszedłem do gabinetu, Duponte tak mi powiedział:

- Monsieur, oto list, który zapewne uznasz pan za wymowniejszy od wszelkich innych poszlak; list, część którego słyszałeś w porcie. Zapisz w notesie wszystko co do słowa. A spiesz się, bo jak mnie słuch nie myli, nadjeżdża tu jakiś powóz. Pisz zatem tak: „Szanowny Panie! Dżentelmen pewien, gdy o strój chodzi, raczej marny, u Ryana”...

Gdyśmy zakończyli kopiowanie, Bonjour pospiesznie nas sprowadziła na dół.

- Jest tylne wyjście? - szepnąłem.

- Doktor już w powozowni - na te słowa wszyscyśmy się obrócili. Wyrzekła je owa panna z dołu, nagle za plecami się naszymi pokazując. - Diuk chyba teraz nie odejdzie,

prawda?

- Obawiam się, że przez natłok zajęć - odparł Duponte - zmuszony będę do rozmowy z nim kiedy indziej.

- Nie omieszkałam go o pańskiej wizycie powiadomić - stwierdziła oschle sługa. - Oraz żeś pan sam w gabinecie jego siedział prawie pół godziny.

Obaj zamarliśmy na tę pogrózkę. Zerknąłem pytająco na Bonjour, która bez wątpienia również by była w sprawę zamieszana.

Ona spojrzała na tamtą wzrokiem niemal rozmarzonym. Zwracając się ku Duponte'owi, zauważyłem, iż wdał się z ową Irlandką w szeptaną, acz poważną pogawędkę. Na koniec ona się skłoniła, z leciuteńkim pąsem.

- Którędy więc? - spytałem, widząc, że doszli do porozumienia.

- Tędy - odrzekła pokojówka i skinęła na nas.

Przeszliśmy tylnym holem, gdy z frontowych schodów dobiegł odgłos kroków Snodgrassa. Kiedyśmy dopadli ścieżki, Duponte odwrócił się i uchylił kapelusza na pożegnanie obu pannom.

- Bonjour - powiedział jeszcze.

* * *

- Monsieur, jakim ci się cudem udało do współpracy pokojówkę tak nakłonić, aby Bonjour nie została przyłapana? - spytałem, gdyśmy już ulicą wędrowali.

- Po pierwsze, jesteś pan w błędzie. Nie o Bonjour tam chodziło. Po drugie, służącej wyjaśniłem, iż bynajmniej nie przez inną umówioną wizytę musimy się oddalić.

- Ach, więc jej prawdę rzekłeś? - zapytałem w zdumieniu.

- Wskazałem, iż jej ciekawość lub raczej zadurzenie w tobie wysoce zdaje się nieprzystojne, toteż chciałbym cicho i dyskretnie dom opuścić, nim powróci chlebodawca i wszystko zobaczy w jednej chwili.

- We mnie zadurzenie? - powtórzyłem. - Skądże, monsieur, taki pomysł? Czy mówiła ci coś, czegom nie dosłyszał?

- Nie, gdym jednak rzecz nadmienił, wyraźnie ją przez moment sobie rozważała, a sądząc, iż pewno coś z tego się na jej twarzy odbija, uznała za pewnik najwidoczniej. Bądź pewien, nie piśnie o nas słowa, monsieur.

- Ależ monsieur Duponte! Mnie się to nie mieści w głowie!

- Stanowisz pan wzór prawdziwy powabnego męża - odrzekł Duponté. - Przynajmniej wedle norm tutaj przyjętych. A że sobie z tego nie zdajesz sprawy, tym łatwiej ci wpaść w oko młodej pannie. Zapewniam, iż pokojówka dostrzegła to, gdyśmy się tam pojawili, i niemal natychmiast zaczęła cię świdrować wzrokiem. Więc chociaż nie od razu na to wpadła, to gdym jej wspomniał, jakby...

- Monsieur, pomimo...

- Wyczerpaliśmy temat, monsieur Clark. Czas się zająć powiązaniem Snodgrassa z naszą sprawą.

- A coś miał na myśli, mówiąc, iż nie o Bonjour chodziło?

- Bonjour pomoc nasza w zasadzie niepotrzebna, a poza tym w sprzyjających okolicznościach rada by nam ona pokrzyżować plany. Warto, abys pan zechciał to sobie zakonotować. Działiałem tam dla dobra owej drugiej panny.

- Jak to?

- Decydując się, jaki Bonjour występpek przypisać, zapewne wielkiej by sobie ona napytała biedy. Pamiętaj pan zawsze, kiedy tylko można, życie cudze uratować.

Sekundę przemyślałem własną naiwność oglądu owej sytuacji.

- Co zatem teraz, monsieur? Wskazał na mój notes.

- Czytać, mój panie, oczywiście.

Czekała nas jednak całkiem nowa przeszkoda. Otóż gdyśmy interesem wiadomym byli pochłonięci, nawiedziła „Glen Elizę” moja stryjeczna babka. Z przyczyn dość prozaicznych: otrzymawszy mianowicie wieść o mym powrocie do Baltimore, przybyła dowiedzieć się, czemuż to nadal uparcie zwlekam z małżeństwem. Ponieważ z ciotką Hattie Blum łączyła ją wieloletnia zażyłość (i knowania rozmaite!), zapewne od niej właśnie się dowiedziała, jak to rzekomo chciałbym wstąpić na złą drogę.

Dopiero po jakichś dwu godzinach od naszego powrotu dotarło do mnie, iż mam pod dachem gościa w jej osobie. Ukończywszy dzieło u Snodgrassa, udaliśmy się wprost do czytelni celem zestawienia pewnych naszych odkryć z artykułami w różnych periodykach. W „Glen Elizie” natomiast wdaliśmy się w wyczerpującą konwersację na rzeczony temat. Ponieważ musieliśmy uporządkować zgromadzoną u Snodgrassa wiedzę, nakazałem stanowczo, by nikt nam absolutnie nie przeszkadzał. Na stole

bibliotecznym spiętrzyły się gazety, listy i zapiski, tak że z konieczności zostaliśmy w ogromnym salonie, zajmującym ponad pół drugiego piętra. Wreszcie gdy tuż przed zmierzchem na chwilę się przenieśliśmy w inny obszar domu, aby tam coś sprawdzić, zatrzymała mnie ulubiona Daphne.

- Tam, sir, nie wolno - oznajmiła.

- Nie mogę do biblioteki, a to czemu?

- Bo pani upraszała, by jej, sir, spokoju nie zakłócać. Posłusznie puściłem klamkę.

- Pani? Jaka pani?

- Babka. Przyjechała z bagażem, gdyś pan był nieobecny. Umęczona podróżą, bo nie dość, że zmarła, to niewiele brakowało, aby jej kufry oraz torby zagubiono.

Zmieszałem się na te słowa.

- A ja sobie siedzę w salonie i nic mi o tym nie wiadomo. Czemu, pytam ciebie! Słucham?

- Boś mi pan przecież w pośpiechu, jeszcze przed przestąpieniem progu domu, nakazał pod żadnym pozorem sobie nie przeszkadzać, prawda?!

- Trzeba mi ją zatem powitać jak należy - odparłem, stroje przyglądając.

- Proszę więc, sir, uważać... Spokoju bezwzględnie wymaga, gdyż cierpi na migrenę. Prócz tego, możesz mi zawieść, inne ją dopadły niepokoje...

- Jakież niepokoje, Daphne? - tu mi się przypomniało, że zaledwie godzinę temu Duponté udał się do biblioteki po pewną ważną książkę. Czyżby i wierna służąca przeciw niemu także nastawiła babkę?

- Drugi pan za nic miał me słowa! Wszedł sobie tak... - tu Daphne z ożywieniem i niesmakiem dała mi poznać, jak to jej niekorzystne przeczucia na temat Duponté'a się sprawdzają.

Przywoławszy w pamięci jego spotkanie z ciotką Hattie, co nastąpiło przed kilkoma tygodniami, stwierdziłem, iż na wszelką tego typu konwersację moja babka stryjeczna pewnie by doznała szoku sercowego. I zrazu mi się bardziej zachciało ją powitać - zwłaszcza wzięwszy pod uwagę nastrój, który by się udzielił każdej damie w tak podeszłym wieku; wynikały i z opóźnienia pociągu, i ze spotkania z Duponté'em. Wróciłem do salonu. Obecność stryjecznej babki wydawała mi się wprost wielkim

zakłóceniem. W istocie nie miałem pojęcia, jak pobyt jej u mnie w domu wpłynie na całą sprawę.

Później, jak to świetnie zapamiętałem z wieczoru owego, nagle się przebudziłem. Bo wcześniej, nie wiedząc kiedy, niewygodnie przysnęło mi się w salonie na długiej sofie. Papiery, które przeglądałem, leżały rozsypane na dywanie. A działo się to wszystko może godzinę po północy, gdy „Glen Eliza” była pogrążona w ciszy. Dupont chyba tymczasem udał się na trzecie piętro, czyli do swych kwater. Raptem jakiś hałas przywołał mnie do przytomności. Wicher tak rozwiął kotary, że z lęku się aż otrząsałem.

Korytarze po mej stronie domu były puste. Na myśl o babce wspiąłem się krętymi schodami tam, gdzie ją zapewne ulokowała służba, lecz drzwi zastałem uchylone, a pościel jakby nietkniętą. Wróciwszy więc do biblioteki, ostrożnie tam drzwi pchnąłem...

- Babciu - rzekłem cicho - ufam, żeś po dniu tak ciężkim już uśpiona.

W pokoju nie zastałem nikogo, acz był w nieładzie strasznym. Wszędzie wałały się papiery oraz książki... I ani śladu starszej pani. W korytarzu spostrzegłem mknącą naprzód jakąś postać. Usiłowałem ją dopędzić... Lecz wymknęła mi się przez okno otwarte tuż przy kuchni na pierwszym piętrze, ku zagajnikowi biegiem się kierując.

- Złodziej! - wykrzyknąłem. - Babciu! - tchu mi z przerażenia zbrakło.

Podążwszy dolinką, która przy domu biegła ku zwirowanej ulicy, włamywacz zwolnił kroku, aby się zastanowić, dokąd dalej, przez co nagle stał się zupełnie bezbronny. Wtem się na niego rzuciłem wielkim susem i przygwoździłem do ziemi, wydając jęk.

- Nie umkniesz! - wrzasnąłem na intruza.

Gdyśmy chwilę leżeli złączeni ciałami, chwytając w nadgarstku, głowę jego obróciłem i z trudem w końcu zdołałem zrzucić z twarzy aksamitny kaptur. To nie był mężczyzna!

- Pani? A skądże...? Coś babce mej stryjecznej uczyniła? - chciałem się dowiedzieć, aż sobie własną głupotę uzmysłowiłem. - Tyś to cały czas była, mademoiselle, prawda? Babcia się nie zjawiała wcale...?

- Gdybyś do niej częściej pisał, być może by to nastąpiło - odrzekła z szyderstwem Bonjour. - Śmiem twierdzić, iż w bibliotece twej monsieur Dupontę dogrzebał się dzieł znacznie bardziej frapujących niż wszelkie zebrane pisma twojego

ulubieńca, co Poem się nazywał.

- No, ale przecież wychodząc od Snodgrassa, wciąż ciebie tam widzieliśmy! - tutaj mi się przypomniała nasza wizyta w czytelni.

- Bo was prześcignęłam. I na tym też polega wasza wada, że wiecznie z czymś zwlekacie. Nie złość się, monsieur Quentin, proszę. Rachunki między nami wyrównane. Ty wraz ze swym mistrzem chcieliście wkroczyć na mój rewir u Snodgrassów, zatem i ja teraz wasz obszar nawiedzam. I okoliczność cała zdaje się też znajoma.

Poczęła się szamotać, podobnie jak ja w wiadomej sytuacji w Paryżu. Aksamit peleryny i jedwabna suknia zaszeleściły w zetknięciu z moją koszulą.

Prędko zwoleń uścisk.

- Wiedziałaś, że nie wezwę policji. Czemuś wobec tego, pani, uciekała?

- Bo lubię popatrzeć, jak pan biegasz. Gdy cię kapelusz nie hamuje, monsieur, zręczny doprawdy z ciebie ścigacz - to rzekłszy, figlarnie mi odgarnęła włosy...

Niby w obłędzie jakimś, zerwałem się na równe nogi. - Na miłość boską! - wykrzyknąłem, patrząc przed siebie na ulicę.

- I tyle? - Bonjour się roześmiała.

Na poboczu drogi, w ukryciu, stał niewielki pojazd. Przy nim zaś Hattie Blum, nad wyraz spokojna. Nie miałem pojęcia, kiedy przyjechała, ani co myśleć sobie może na ten widok.

- Quentin - rzekła do mnie, pomału robiąc krok do przodu. - Uprosiłam stajennego, żeby mnie tu zabrał. Udało mi się wyrwać z domu parokrotnie, lecz teraz dopiero cię zastaję.

- Często bowiem wychodzę - odparłem bezsensownie.

- Sądziłam, że po zmroku będzie nam dane widzieć się bez świadków - to mówiąc, zerknęła na Bonjour, która dopiero w tej chwili powstała z chłodnej murawy. - Któż to taki, Quentinie...?

- Bon... - nie skończyłem, boby to mogła odebrać jako osobliwy dowcip. - Znajoma mnie z Paryża odwiedziła.

- Poznałeś tę młodą damę w Paryżu i ona ci wizytę składa?

- Nie mnie właściwie, Hattie - zaprotestowałem.

- A więc się jednak kochasz, monsieur Quentin, piękna ona! - Bonjour do tyłu

odrzuciła głowę i tak się pochyliła, jakby podziwiała świeży miot jakichś kociąt.

Hattie się na to wzdrygnęła i szczerzej otuliła szalem.

- Ciekawam, jak kwestię istotną był wyłuszczył? - Bonjour spytała Hattie.

- Opamiętaj się, Bonjour! - gdy się obróciłem, żeby ją upomnieć, Hattie wskoczyła do powozu i nakazała woźnicy, aby ruszał. - Hattie, poczekaj! - zawołałem.

- Muszę wracać, Quentinie.

Pognawszy za pojazdem, nawoływałem za nią, aż wreszcie mi zniknęła, w zagajnik wjeżdżając. Kiedy wróciłem pod „Glen Elizę”, Bonjour już się stamtąd ulotniła.

Rankiem następnego dnia ostro skarciłem pokojówkę, która na straży kłamstwa Bonjour się odważyła stanąć.

- Powiedz mi no prawdę, Daphne, czyś sądziła, iż owa młoda niewiasta, która by mi się wiekiem ledwie na żonę nadawała, to ma stryjeczna babka?!

- Nie mówiłam, sir, że stryjeczna, ale jedynie, że babka, jak ona sama to ujęła. W szalu mi się pokazała i świetnym kapeluszu, tak że wieku jej nie potrzebowałam szacować. I zresztą pan drugi również ją o to nie wypytał, gdy się pojawiła. Ponadto, sir, jak wiadomo, w dużych rodzinach krewniaczek wieku wszelakiego bywa sporo. Znałam, na przykład, dwudziestodwuletnią pannę, której ciotka trzech lat nie skończyła jeszcze.

Wówczas skupiłem uwagę na człowieku dla nas przecież najważniejszym. Być może i faktycznie tak wieczoru owego zajęty, jak zwykle to miał w obyczaju, no i też wzięwszy pod uwagę mrok panujący w bibliotece, rozświetlanej i za dnia oknami witrażowymi - spostrzegł sylwetkę kobiecą tylko i wyłącznie w jej zarysie. Choć, z drugiej strony wszakże, zdało mi się to nieprawdopodobne. Postanowiłem go wypytać, niezdolny jednakże tłumić furię.

- Baron w tej chwili się znajdzie w posiadaniu co najmniej połowy, jeśli nie całości, naszych odkryć! Monsieur, czyś spostrzegł Bonjour własnym okiem, wchodząc w dniu wczorajszym do mej biblioteki?

- Nie jestem ślepy - odpowiedział. - A zwłaszcza, gdy piękność rzadką widzę! Ciemno tu cokolwiek, lecz nie aż tak ciemno. Ujrzałem ją więc w całej krasie.

- To czemuś, na Boga, mnie nie wołał? Teraz mamy kłopot!!!

- Kłopot? - powtórzył Duponte, zapewne wyczuwając, iż nie idzie mi tylko o jej

wtargnięcie w nasze wspólne dzieło.

W istocie pewność straciłem, czy kiedykolwiek zdołam spojrzeć Hattie prosto w oczy.

- Na myśli mam, monsieur, to wszystko, co myśmy zdobyli, a nie oni - odparłem spokojniej, ale z mocą.

- Rozumiem. Lecz to nie tak, mój panie. Nasze bowiem pojmowanie zdarzeń powiązanych ze śmiercią Poego jedynie w nikłym stopniu uzależnione jest od wiedzy na temat szczegółów oraz faktów rozmaitych, którymi się chce sycić prasa. Nie to, monsieur Clark, jest naszym źródłem. Lecz mnie nie zrozum błędnie: detale są tu podstawą, acz same w sobie nas nie oświecą, moim zdaniem. To wiedzieć należy, jak je właściwie odczytywać, ażeby skryta w nich prawda na wierzch wypłynęła. Sposób ich pojmowania przez Barona Dupina nic z naszym nie ma wspólnego. Jeżeli zaś cię to trapi, iż mu przewagę zapewniamy, to daj spokój; zaiste nic bardziej błędnego. Jeśli jego myślenie jest niepoprawne, to im więcej konkretów poznać musi, tym dalej my go prześcigamy.

Szanowny Panie! Dżentelmen pewien, gdy o strój chodzi, raczej marny, u Ryana na okoliczność wyborów Okręgu Czwartego przebywa, nazwiskiem Edgar A. Poe, w wielkiej niedoli przypuszczalnie i jak zaś sam twierdzi, z Tobą zaznajomion; zapewniam, iż mu niezwłocznie pomocy udzielić należy.

* * *

Miejscowy drukarz o nazwisku Walker pisał powyższą notę w pośpiechu tak ogromnym, że niemal ołówkiem przedał byle jaki papier. Notę ową opatrzone datą trzeciego października 1849 roku, kierując pod adres doktora Josepha Snodgrassa, który zamieszkiwał nieopodal gospody, gdzie znaleziono poetę, a gdzie też lokal wyborów kongresowych i stanowych mieścił się.

Parę dni po mym i Duponte'a badaniu gabinetu Snodgrassa, jak również po owej okoliczności, gdy mnie Hattie ujrzała w ramionach innej pani - Baron Dupin wstąpił do doktora kolejny raz.

Przyuważyłem Barona, gdy nagle tak się Baltimore Street przechadzał, jakby go nie nękały żadne w świecie troski. Znalazłem się akurat po drugiej stronie ulicy, niewykrywalny wśród tłumów zmierzających do hoteli oraz restauracji na wieczorny posiłek oraz różnych robotników, jak i niewolników kosze na głowach swych niosących. Kiedy tam wyczekiwałem, zdawałoby się, wiek cały, aż Dupin coś pocznie, uwagę mą rozproszył tumult powozu, który raptem tuż przy mnie się zatrzymał. Z wnętrza pojazdu zaś mnie doleciało:

- Fiakier! Co ty wyprawiasz? Czemuś tu przystanął? Sprawdziwszy najpierw, iż Baron nie rusza się ze swego miejsca, powziąłem postanowienie zbadać, kto aż tak wyrzeka. A kiedy się przybliżyłem do dorożki, wprost mnie wbiło w ziemię. Poznałem w nim od razu człowieka pierwszy raz widzianego podczas pogrzebu na rogu Green Street i Fayette. Owego dnia stał niespokojnie, przestępując z nogi na nogę...

- Woźnico, słyszysz, pytam? - człowiek ów w pretensji swojej nie ustawał. - Hola!

Tak to, niejasnym zrządzeniem, żałobnik dawno już opuścił ciemną ową dziedzinę, zakątek błotnisty i zamglony - i aż tu, w dziennym świetle, przywiodło go do mnie. Po spotkaniach z Neilsonem Poem i Henrym Herringiem dane mi zostało poznać

trzeciego z czterech jegomościów. Pozostał jeszcze Z. Collins Lee: kolega Poego ze szkolnej ławy, który, jak do mnie niedawno dotarło, pełnił teraz funkcję okręgowego pełnomocnika Stanów.

Zbliżyłem się do powozu. Lecz tamten przeniósł się na drugą stronę, krzyząc na fiakra i próbując wysiąść. Już-już miałem doń przemówić, gdy drzwiczki się otwały.

- Wszak to doktor Snodgrass! - usłyszałem silny głos. Wtedy szybko ukryłem się blisko koni.

Głos był to Barona.

- To znów pan - z pogardą rzekł Snodgrass, schodząc na dół. - Co pan tu robi?

- Nic absolutnie - odparł z niewinną miną Baron. - A pan?

- Sir, odejdz pan, bom zajęty. A ten drań woźnica...

Tutaj się wychyliwszy, na koźle ujrzałem Newmana - i wszystko w mig pojąłem. Baron Dupin bynajmniej się nie przechadzał bezcelowo, gdyż tego człowieka właśnie oczekiwał. I pewno wstrzymał tu Newmana, dobrze wiedząc, gdzie Snodgrass się za dorożką będzie chciał rozglądać. Pierwszy raz, gdym przy rozmowie z Dupinem Snodgrassa przyuważył, oblicze tego pierwszego nie objawiło się wyraźnie. Teraz zaś Baron z kieszeni listów od Walkera wydobyl; kilka słów skreślonych, kiedy znaleziono Poego. Następnie pokazał go Snodgrassowi.

Doktor był zaskoczony.

- Kto zacz? - spytał Barona.

- Znalazłeś się pan - odparł Baron - przy tym, jak Poego doglądali. Gdybym tylko zechciał, notka rzeczona trafiłaby do gazet jako dowód, iż za niego byłeś odpowiedzialny. A wobec tego pewni ludzie, nic nie wiedząc o sprawie, niewątpliwie by uznali, iż coś ukrywasz, bo szczegółów żadnych ujawnić nie masz życzenia, no i, co znacznie gorsze, wysłałeś Poego samotnie do szpitala.

- Brednie! Niby czemu? - spytał Snodgrass.

Baron roześmiał się beztrąsko.

- Temu, że to właśnie powiem dziennikarzom.

Tu Snodgrass się zawahał, niepewny, czy wybrać uległość, czy też wściekłość.

- Naszedłeś mnie pan w domu? Jeśliś to, sir, wykradł... Do Barona zbliżyła się Bonjour.

- I ty, Tess! - miano owo Bonjour u Snodgrassa przybrała. - Moja pokojówka? - Snodgrass przestał już gniew tłumić. - W tej chwili wzywam policję!

- Być może znajdzie się dowód jakiejś drobnej kradzieży. Jak również i świadectwo... Hmm, czy mówić dalej? - dodał Baron, przykładając palec do ust. - Wspomnieć o pewnych twych papierach, cośmy je przez przypadek...? Bo przecie i publikę, i komisje twoje dostojne oraz towarzystwa chyba zaciekawili, o cóż ten cały raban...! Nie sądzisz... Tess, najmiłsza?

- Szantaż! - Snodgrassa znów ogarnęło wzburzenie, acz najwyraźniej nie wiedział, co ma czynić dalej.

- Owszem, śliska sprawka - nie dał mu dojść do głosu Baron. - Wróćmy zatem do Poego. Bo, widzisz pan, on nas najbardziej zajmuje. Jeśliby świat poznał twą historię... dał wiarę, żeś mu życie chciał ocalić... To co innego. Lecz my ją musimy posłyszeć pierwsi.

Baron Dupin jak najpłynniej umiał przejść od dręczenia do pieśczoły prawie. Identyczną wszak taktykę zastosował przy okazji rozmowy z Moranem w szpitalu, gdzie Poe odszedł z tego świata.

- Proszę więc z powrotem do powozu, jedziemy do Ryana! Wydaje się, iż rzekł doń coś podobnego, mnie jednak słowa te już nie dobiegły, bo co tchu pogałem do gospody, by się tam w jakimś dyskretnym miejscu ukryć.

* * *

- List od Walkera rzeczony odebrawszy, udałem się do tej spelunki... tawerną określić jej się nie godzi... no i naturalnie - prawil Snodgrass, prowadząc Barona do środka - on tam się znajdował.

Siadłem przy stole w mrocznym kącie pomieszczenia, na dodatek jeszcze ocienionym schodami, co wiodły na górę, gdzie mieściły się izby wynajmowane klientom na tyle już nietrzeźwym, by do domu samodzielnie drogi nie odnaleźć.

- Poe! - zakrzyknął Baron.

Snodgrass stanął przy jakimś lepkiem krześle.

- Onże. Tu siedział z głową spuszczoną. W stanie, co aż nadto wiernie mi Walker nakreślił... pismem, którego pan żadną miarą czytać nie jesteś uprawniony.

Baron ledwie się na tę wymówkę skrzywił. Snodgrass kontynuował - mocno

przygnębiony:

- Tak zmienił się z nienagannie ubranego i pełnego wigoru dżentelmena, że z trudem mogłem go wyróżnić w tłumie zamroczonych gości, co się tu zgromadzili na okoliczność wyborów.

- Czy całe pomieszczenie za lokal wtedy służyło? - spytał Baron.

- Tak. Jak dziś pamiętam oblicze Poego: mizerne, by nie rzec, napuchnięte - rzekł Snodgrass niepomny, iż sprzecznych używa epitetów. - Niemyty, z włosiem zmierzwionym, odrażający wielce. Oczy jego, tak zawsze łagodne i uduchowione, nagle wydały mi się puste i pozbawione blasku...

- Uważnieś się pan przyjrzał strojom jego? - Baron notował wszystko w tempie kolejowym.

Snodgrass jakby się zatracił we wspomnieniach.

- Nic ciekawego doprawdy nie dało się tam zauważyć... Miał na sobie przybrudzony, niemal pozbawiony randa, poszarpany słomkowy kapelusz bez wstążki... Sak cienki, wyświechtany, z czarnej alpaki, w szwach rozdarty kilku, cały zaplamiony, i spodnie znoszone, a nie na jego szyte miarę. Ni kamizelki, ni chusty nie włożył, gors zaś koszuli był pomięty i strasznie utyłany. Na nogach, jak pamięć mnie nie myli, miał buty z nędznej materii, od dawna nie czernione...

- I coś, doktorze, dalej czynił?

- Wiedząc, iż Poe w Baltimore ma paru krewnych, natychmiast pokój dla niego zamówiłem. Szynekarz mnie na górę poprowadził, gdzie wybrawszy stosowny apartament, zszedłem znowu na dół, by dopilnować przenosin gościa. Chciałem, żeby się tam poczuł komfortowo, nim zdołam powiadomić kogoś z rodziny.

Przy schodach Snodgrass wskazał Baronowi kwaterę dla poety wybraną, po przeciwnej stronie. Ja zaś dokładałem starań, aby się w ciemność wtopić.

- Czyli pokój wybrawszy, po krewnych pan posłałeś? - spytał Baron.

- Rzecz osobliwa, nie musiałem. Gdy tylko ponownie zszedłem na dół, zaraz się natknąłem na Henry Herringa, z Poem przez małżeństwo skoligaconego.

- O! na zawołanie? - zdumiał się Baron.

Mnie też to zaskoczyło, czekałem więc w napięciu, co odpowie Snodgrass.

- Nie inaczej. Był tu może i z kimś jeszcze z jego krewnych, tego nie pamiętam.

Kolejna ciekawostka! Neilson Poe powiedział, iż wieść o stanie Edgara po raz pierwszy dotarła do niego, kiedy tamten leżał w szpitalu. Jeśli tu był z Herringiem inny krewniak - to kto taki?

Tymczasem Snodgrass opowiadał:

- Spytałem pana Herringa, czy życzy sobie zabrać krewnego do domu, on jednak mi udzielił odmowy stanowczej, twierdząc, iż Poe alkoholem zamroczony zwykle się nader obraźliwie i niewdzięcznie zachowywał. Doradził mi zatem szpital jako miejsce lepsze od hotelu. Postaliśmy zaraz chłopaka, by o powóz do lecznicy Washington College się wystarał.

- Kto towarzyszył Poemu w drodze do szpitala? Snodgrass stropiony spuścił głowę.

- Mhm, puściłeś go samopas - stwierdził Baron.

- Bo, widzisz pan, nie dał rady prosto siedzieć, a gdy się na płasko położył, dla mnie tam nie starczyło miejsca... Całkiem się stał bezwładny! Nieśliśmy go niby zwłoki, jak trupa do powozu wsadziliśmy. Opierał się, mrużąc bez ładu i składu... Nikomu w głowie nie postało, iż jest śmiertelnie chory. Gorzałką został otępiony, zaiste ostatecznym swym demonem - Snodgrass westchnął.

Wiedziałem, co doktor myśli o owym nałogu autora. Pośród bowiem pism w gabinecie jego oglądanych Dupontie zauważył wiersz poświęcony śmierci Poego. „O, jakże wizja to bolesna” - brzmiał ów Snodgrassa poemat:

Młode twe, dumne serce i szlachetny umysł
W czarcim napitku unurzane - myśl onegdaj jasna
Ginie dziś z kretesem, a muzyczny zamysł
Subtelny niczym piwnica staje się ciasna.

- Tyle w sprawie zgonu - rzekł ponuro doktor Snodgrass. - Ufam, iż cię to zaspokaja i nie zechcesz się już wgłębiać w występki Poego. Wady jego publicznie aż nadto zostały oplakane, ja zaś, bądź pan pewien, temat na dzisiaj wyczerpałem.

- Nie martw się, doktorku - odrzekł na to Baron. - Poe nie pił bynajmniej.

- Jakże? Wiem wszak na sto procent, iż padł ofiarą rozpasania zmysłów.

Przypadłość, na którą cierpiał, zwie się *mania a potu*, i przecież o tym nawet gazety codzienne donosiły. Pewne fakty są mi doskonale znane.

- Obawiam się - odparł Baron - iż choć sam byłeś świadkiem pewnych zdarzeń, to prawda jednak nie jest ci znana wcale. - Tu uniósł dłoń, by protest Snodgrassa stłumić. - Niepotrzebnie doprawdy pan się starasz bronić. Uczyniłeś, co w mocy twej, jak wiadomo. Lecz ani ty, ani jakiś trunek nie uśmiercił poety. Dnia rzonego bowiem przeciw niemu obróciły się moce znacznie bardziej chytre. Tak że go czeka oczyszczenie... - ostatnią tę frazę Baron rzekł raczej do siebie, nie zaś do rozmówcy.

Lecz Snodgrass nadal wymachiwał ręką, jak gdyby go urażono w sposób najpodlejszy.

- Sir, ja się znam na rzeczy. Od wielu, wielu lat urzęduję w tutejszych komitetach trzeźwości! I... pijusa rozpoznam gołym okiem! Cóż to ci się niby zdaje? Z motyką na słońce chyba chcesz się wybierać!!!

Obracając się wkoło, z nozdrzami niby końskie rozdętymi, Baron wolno powtórzył:

- Edgar Poe na pewno oczyszczony będzie.

„Poe nie pił bynajmniej” - stwierdził z mocą Baron; nie pijaństwo go zabiło, wbrew doniesieniom prasy. Siedziałem w bibliotece na krawędzi krzesła naprzeciw Duponte’a. Oczywiście nie było mym zamiarem ujawnienie, iż konwersacja Barona ze Snodgrassem wielce mnie uradowała. Nie chciałem zalet Barona wynosić zbyt wysoko. Był w końcu zarówno naszym głównym konkurentem, jak i przeciwnikiem.

- A jak Snodgrass nań spojrzeł! - ciągnąłem swą opowieść. - Dupin mało go nie grzmotnął wtedy w szczękę - tu się roześmiałem. - Snodgrass... jak o mnie chodzi, oszust, nie przyjaciel... zasłużył sobie na to zresztą.

Nie wiem, skąd wzięła mi się wówczas pewna myśl lub w istocie pytanie: czy w tekstach swych Poe gdzieś wskazuje, iż C. Auguste Dupin zajmował się prawem? Wątpliwość owa tak mną zawładnęła, że nie umiałem się jej wyzbyć.

- I co jeszcze?

- Proszę? - drgnąłem, kiedy zaległa nagła cisza między nami.

- Czy coś pan prócz tego zauważył, monsieur? - zapytał Duponte, na powrót przysuwając się z krzesłem do biurka z dokumentacją.

Powiedziałem mu o wszystkim, co by się nam ważne wydawało, w szczególności zaś o raptownej i niezrozumiałej u Ryana obecności Henry Herringa, który się zjawił, zanim jeszcze go Snodgrass zdążył wezwać, a także o najrozmaitszych detalach przydziejku Poego. Starłem się przy tym nie wspominać nazwiska Barona, zarówno przez wzgląd na siebie, jak i na mego towarzysza.

- Neilson Poe, Henry Herring, no i teraz jeszcze Snodgrass! - wykrzyknąłem z niesmakiem.

- Że jak? - zapytał Duponte.

- Wszyscy na pogrzebie się zjawili... By Poemu oddać hołdy niby. Tymczasem Snodgrass przedstawia go jako pijaka, Neilson w obronie czci kuzyna nic nie robi. Herring zaś przybywa do Ryana nieproszony, aby krewniaka samego wyprawić do szpitala...

Duponte w zadumie potarł podbródek, przez chwilę pocmokał, po czym się do mnie tyłem obrócił.

W tym mniej więcej czasie zaświtała mi myśl, iż zachęcając mnie do szpiegowania, Duponté najzwyczajniej w świecie starał się pilnować, abym był wiecznie zajęty. Po przytoczonej powyżej niepokojącej rozmowie niemal z nim nie mówiłem wcale, wyjąwszy te okazje, kiedy zdawałem relacje ze swoich najnowszych odkryć, których on zwykle wysłuchiwał prawie bez zainteresowania. Nieraz, wieczorami, jeśli go akurat zastałem w „Glen Elizie”, pozostawiałem tylko związły list o sprawach, jakie w ciągu dnia zdołałem zaobserwować. Nie mogłem wyrzucić z pamięci faktu, iż jego przykra bezczynność po odkryciu fortelu Bonjour spowodowała wielkie nieporozumienie pomiędzy mną i Hattie przed moim własnym domem. Przypuszczam, że zauważył on chłód większy w moim zachowaniu, nigdy jednak nie skomentował tego choćby jednym słowem.

Pewnego dnia przy śniadaniu tak mu rzekłem:

- Chciałbym sporządzić list. Do redakcji owego periodyku poświęconego wstrzeźliwości, który rzekomo dysponuje jakąś wiedzą na temat występku Poego. Nie daje mi spokoju, iż ktoś się winien upomnieć, aby podali nazwisko i sprawozdanie owego tak zwanego świadka.

Duponté się długo nie odzywał, by wreszcie mnie uraczyć roztargnionym spojrzeniem.

- Co sądzisz pan o wydrukowanym tamże artykule, monsieur Duponté? - zapytałem.

- Ponieważ pismo rzeczzone wstrzeźliwością się trudni - odpowiedział - to w statucie ma ujętą chęć powszechnego wytrzeźwienia spożycia alkoholu, acz w istocie, monsieur, kieruje nimi potrzeba zgoła sprzeczna, taka mianowicie, by poprzez stałe i wiarygodne doniesienia o osobach powszechnie uznanych, co życie swe rujną, w pijaństwie się zatracają, dowodzić w nieskończoność czytelnikom, iż ciągle istnienie periodyku jak najbardziej jest uzasadnione. Poe się wszak do takich właśnie osób zaliczał.

- Uważasz zatem, że świadek ich nieprawdziwy?

- Śmiem podać to w wątpliwość.

Tu wzrosły me nadzieje i przez moment w pełni się na nowo zjednoczyłem z

moim towarzyszem.

- A przecież zdobył pan poszlaki, monsieur, wedle których byśmy mogli obalić ich hipotezę. Czy jednak damy radę dowieść, iż Poe, będąc tam, nic nie pił?

- Nigdy nie wysuwałem podobnej sugestii.

Wstrząśnięty, nie byłem zdolny nic mu na to odrzec. Wprawdzie słowa jego nie wskazywały, że jest na sto procent pewny, lecz irracjonalnie wyczułem, iż się sprzeciwia wynurzeniom Barona wygłoszonym w gospodzie. Postanowiłem więc czym prędzej zmienić temat... Nie chcąc, ażeby mi...

- Zaiste - Dupont zagłuszył me najpotworniejsze domysły - prawie z pewnością pił on wówczas.

Czyżbym się przesłyszał? Czy Dupont miał przebyć szmat drogi po to jedynie, by potwierdzić potępienie geniusza?

- Niechże mi pan opowie, jak Baron gromadzi subskrybentów... - poprosił.

Wzburzony, gotów się byłem wdać w pogawędkę każdej, byle nie powyższej, kwestii poświęconą. Baron Dupin dalej pomnażał swe bogactwo, zbierając w Baltimore pieniądze od najrozmaitszych chętnych. Chociażby w samej tylko tawernie ostrygowej radośnie mu zapłaciło dwunastu jegomościów. Właściciel, nieprzychylny natrętnemu Francuzowi, zdał mi krótką relację z jego tam odwiedzin. „Za dwa już, koledzy, tygodnie - miał powiedzieć Baron - usłyszycie pierwszy prawdziwy opis zgonu Poego!”. Zwracając się zaś do Bonjour, dodał: „Jak o mym sukcesie w Paryżu się dowiedzą, no to wtedy...” - i głos tak zawiesił, jakby żarłoczna wyobraźnia podszeptowała mu, iż przez ów sukces otworzy się przed nim wszelka możliwa opcja...

Parę dni później Baron Dupin pokazał się w poczekalni swego hotelu trochę poruszony. Ja zaś, przekupiwszy jednego portiera, zdołałem się wywiedzieć, o cóż chodzi. Człowiek ów mi wyjawiał, że Baron wzywał kolorowego sługę, który - jak się okazało - go opuścił. Po awanturze wielkiej władze cywilne wykryły, iż niewolnika Newmana wyzwolono. Widząc, iż wykpiony został i przez kogo, Baron wybuchnął śmiechem.

- Czemuż się śmiejesz?

- Bowiem, miła moja Bonjour - odparł - trzeba mi było rzecz przewidzieć. Jasne,

że go uwolniono.

- Sądysz, że to Duponte? A skąd owa pewność?

- Nie znasz go. Lecz jeszcze poznasz lepiej.

I ja się uśmiechnąłem, słysząc o porażce Barona.

Zgodnie z zaleceniem Duponte'a dzień wcześniej odszukałem nazwisko właściciela Newmana. Był zadłużony i prędko się potrzebował spłacić, toteż ustalił z Baronem, iż mu wynajmie niewolnika na czas nieokreślony. Nie miał pojęcia, że Baron obiecał Newmanowi go wykupić. Przeraziła go również i ta wieść, że Newman nie pracuje dla, jak zostało ogłoszone, „jakiejś rodziny drobnej”. Rozgniewał się nie na żarty, gdy mu wyjawiałem szwindel - acz nie tak dalece, by odmówić, kiedy przedstawiłem czek zabezpieczający Newmanowi swobodę. W praktyce często dane mi było zetknąć się z osobami mocno zadłużonymi i załatwiać z nimi sprawę, niczego nie ujmując ich godności czy ignorując pilne ich potrzeby.

Sam nawet się wybrałem odprowadzić młodzieńca do pociągu, co go do Bostonu powiózł. W okoliczności wyzwolenia niewolnika należało go prędko usunąć z danego stanu, ażeby nie wywierał ujemnego wpływu na Czarnych, co zniewoleni wciąż pozostają. Newman promieniał szczęściem, gdy szliśmy w stronę stacji, ale i najwidoczniej się bał, iż nagle ugnie się pod nami ziemia i nie zdąży bezpiecznie przekroczyć granic stanu. Obawy jego w istocie miały uzasadnienie. Ledwie kilka jardów przed dworcem rozległ się za nami straszny rumor, więc kto żyw, łącznie z nami obydwoma, w te pędy z ulicy uciekł.

Zbliżały się ku nam trzy omnibusy pełne czarnych mężczyzn, niewiast oraz dzieci. Z tyłu natomiast - kilku gości konnych. Rozpoznałem wśród nich jednego, postawnego i srebrnowłosego Hope Slattera, najpotężniejszego handlarza niewolników w naszym mieście. Kupcy tego rodzaju w Baltimore mieli w zwyczaju trzymać nabytych czarnych w prywatnych więzieniach, zazwyczaj w którymś skrzydle domu, aż się nimi dało zapełnić cały statek, aby opłacił się koszt wysyłki do Nowego Orleanu, głównego ośrodka handlu w południowej dziedzinie. I teraz właśnie Slatter wraz z pomocnikami transportowali po dwunastu niewolników, w każdym z owych pojazdów, wprost do portu.

Do omnibusów zaś co krok przystępowali inni niewolnicy, by pożegnać odjeżdżających: dotknąć kogoś chociażby czy chwilę na sam koniec jeszcze

porozmawiać. Czy bardziej szlochano wewnątrz wozów, czy na zewnątrz, ustalić było niepodobna. W środku jakaś niewiasta krzyczała histerycznie i tak donośnie, by się wszyscy wokół dowiedzieli, iż ją sprzedał Slatterowi właściciel pod wyraźnym warunkiem, że nie będzie z rodziną rozdzielona, a oto przecież tak jej uczyniono.

Starałem się odciągnąć Newmana od owego widoku, co go w przerażenie wielkie wprowadził, a pewno przed wyjazdem na Północ już ostatniego w jego życiu.

Uniesieniem batów handlarz czarnymi i jego poplecznicy ostrzegali kłębiący się tłum, żeby im nie opóźniał tempa. Jakiś człowiek wspiąwszy się do okna omnibusu, przywarł tam, nawołując żonę, której nie mógł dojrzeć. Ta w końcu się zdołała przepchać jakoś ku szybie.

Slatter, który to bacznie obserwował, przygnał na koniu z drugiej strony.

- Dosyć! - krzyknął do mężczyzny.

Tamten go jednak lekceważąc niewiastę ukochaną zaczął tulić.

Zbity przez Slattera laską po plecach i po brzuchu, zwinął się na ziemi z bólu.

- Z drogi mi zejdziesz, psie nędzny, zanim cię aresztować każę! A wiesz nadto dobrze, jak by się to skończyło!

Cofając się, Slatter spojrzał w mój kierunek, a raczej - na młodzieńca czarnego przy moim boku.

- Kto to? - spytał z powagą i ku nam się przybliżył. Laskę swą w Newmana wycelował.

Młodziak zatrzęsł się potwornie, chciał coś odpowiedzieć, ale nie mógł w żaden sposób. Byłem pewien, że Slatter zacznie go okładać laską, lecz stało się inaczej.

Dotknął wpierw laską ust młodzieńca i powiódł po jego ciele, jakby w szkole medycznej wykładając.

- Czarnuch niegorszy z ciebie, co? Gęba nieskalana, zęby w zacnym stanie, no i do tego jeszcze żadnych kości przetrąconych. Byłbyś świetnym woźnicą, o zakład idę, lub też może kelnerem, jeśliś tylko uważny i poczciwy. - To rzekłszy, do mnie się tak zwrócił: - Sprzedać bym go mógł, przyjacielu, za najmniej sześćset dolarów, lecz z prowizją stosowną dla siebie, co ty na to?

- Nie jestem właścicielem - odparłem. - Ani on na sprzedaż.

- Czyżby to twój dzieciak z nieprawego łoża? - spytał ironicznie.

- Zwę się Quentin Clark i jestem tutejszym adwokatem. A młodzian, co go pan widzisz, został już wyzwolony.

- Wolność mi gwarantują, panie - odważył się rzec szeptem Newman.

- He? - konia swego nawróciwszy, Slatter znów nań spoglądał. - Zobaczmy, wobec tego, twe papiery.

Newman, który rankiem otrzymał wszelkie konieczne dokumenty, zaczął się jąkać z przerażenia.

- No, dawaj - Slatter dźgnął go między barki.

- Dajże mu pan spokój - zawołałem. - Z mej ręki został uwolniony. A wolność od ciebie wyżej ceni, bo zaznał, co to niewola!

Slatter już się zamierzał, aby młodziaka zdzielić mocniej, gdy laskę uniósłszy, stanowczo powstrzymałem ruchy jego.

- Mój panie - wykrzyknąłem - skoroś aż tak papierów chłopca ciekaw, to masz zapewne władzę, by sprawdzić wszelkich własnych niewolników, czy oni także na sprzedaż idą zgodnie z wymogami prawa!

Drab posłał mi w odpowiedzi ciemny uśmiech. I grzecznie, bez słowa konia udami szturchając, dopędził ciąg swych pojazdów, które się ku portowi kierowały. Newman ciężko dyszał.

- Czemuś papierów nie pokazał? - zapytałem stanowczo. - Wszak masz je przy sobie?

Młodzian mi na to wskazał swój znoszony kapelusz, na znak, iż ma je tam zaszyte w rondzie. Później się od niego dowiedziałem, że wielu handlarzy, takich jak Slatter, świadectw się wolności domagając, zaraz - ledwie je w ręce pochwyci - niszczy owe dokumenty w pół sekundy. Następnie ukrywali oni owych legalnie uwolnionych, aby dokonać ich sprzedaży, na mocy prawa naturalnie, do innego stanu, nim się ktoś zdołał domyślić przestępstwa.

Natychmiast muszę o coś spytać, monsieur Duponte. Zwróciłem się doń tak przy jednej z wielu cichych - od czasu pewnego - kolacji w jadalni „Glen Elizy” wspólnie spożywanych. Duponte przytaknął, więc podjąłem:

- Jeśli się Baronowi uda wygłosić wykład o śmierci Poego, możliwe, że nieodwołalnie zatruje wówczas prawdę owej kwestii. Czy nie byłoby słuszne, gdy do przemowy swej przystąpi, abym go jakimś zamieszaniem na zewnątrz wywołał, pan zaś wtedy mógłbyś miejsce jego zająć i odsłonić całą prawdę zgromadzonym!

- Nie ma mowy, monsieur - odparł Duponte kategorycznym tonem. - Nic podobnego czynić nie będziemy. Rzec bardziej jest złożona, niż ci się to wydaje.

Ze smutkiem skinąłem głową i więcej już w ów wieczór nie tknąłem choćby okruszyny. Poddany mej próbie, Duponte się nie sprawdził, nadal zachowując niezmaćcone milczenie.

W najwyższym stopniu poirytowany, odprawiłem z kwitkiem wspomnianych dwu jegomości, którzy się zajmowali inwestycjami mego ojca i akurat do drzwi zapukali; żadną miarą nie umiałbym teraz się skupić nad rocznym rozliczeniem czy innymi rachunkami.

Pochłaniał mnie bowiem bez reszty *Skradziony list* Poego i nad ową historią zadumałem się tak tęsknie. Oto jak C. Auguste Dupin odkrył sekretne położenie pisma skradzonego przez ministra D.: papier ów w sposób nader zręczny schowano, umieszczając go na oczach wszystkich, na widoku. I właśnie codzienność kryjówki lekceważył każdy, z wyjątkiem jednego człowieka. Detektyw każe wynajętemu człowiekowi wystrzelić na ulicy z muszkietu, co wzbudza ogólne zamieszanie. W tym czasie Dupin zabiera list, na jego miejscu kładąc falsyfikat.

Nie bez kozery to przytaczam. C. Auguste Dupin ufa przyjacielowi, a na dodatek jeszcze jego wiara w działania wiernego pomocnika wzrasta w miarę rozwoju zdarzeń opisanych przez Poego w wiadomej trylogii.

Niemniej Auguste Duponte, mój towarzysz ostatecznie, zdawał się nie dostrzegać mojej roli w swoich akcjach, lekceważąc liczne me pomysły i sugestie, czy to szło o wypytanie Henry Reynoldsa, kiedy mnie wyszydził, czy też o koncept najświeższy z

wykładem Barona powiązany. Tymczasem Baron Dupin, czegokolwiek by się tylko tknął, bez przerwy z chęcią najmował sobie nowych popleczników!

Należy tu również wspomnieć ów niezwykle dar Barona, który mu umożliwił przyjmowanie cudzej formy. Dupin przez Poe'go stworzony korzysta z zielono barwionych okularów, by okpić ministra D., swego znakomitego przeciwnika w *Skradzionym liście*.

A Baron Dupin - adwokat? W ostatnich dniach zacząłem w owej trylogii podkreślać sobie pewne wiersze. Z uważnej lektury *Tajemnicy Marii Roget* czytelnik wywnioskuje, iż C. Auguste Dupin znał się na prawie znakomicie. Zaiste, jak Baron Dupin.

Prócz tego ów inicjał, dla niewprawnego oka bez znaczenia: C. Auguste Dupin. C. Dupin. Czyż to się nie kojarzy z Claude'em Dupin? Wszak genialna postać detektywa w drugiej z opowieści określona zostaje szlachetnym tytułem „kawalera”...! Kawaler C. Auguste Dupin brzmi niby Baron C. Dupin, czyż nie tak?

„Tak, ale Baron Dupin chłodno przekłada wszystko na pieniądze...” - rzekłem sobie. I cóż się również tutaj okazuje? Że C. Auguste Dupin we wszystkich trzech historiach czerpie - i to umyślnie - materialne zyski ze swoich umiejętności oraz działań!!!

Powróćmy jednak do naszej opowieści. Oto Baron Claude Dupin spotyka się ze Snodgrassem, śmiało zaprzeczając, iżby Poe miał odejść w występku podłym unurzany. Tymczasem tego dnia w „Glen Elizie” Auguste Dupont stwierdza, iż jest to insynuacja wielce prawdopodobna! Jego nonszalancka uwaga o pijaństwie poety wracała mi w myślach bez końca niczym echo, aż wreszcie się dałem opanować goryczy i żalowi. „Nigdy podobnej sugestii nie wysuwałem”...

Zezwoliłem owym nasionom zakiełkować - a może Baron Dupin w istocie Dupinem jest prawdziwym? Bo czy zmyślnego kawalarza, co mnie i dręczył, i ekscytował zarazem, przypadkiem tak Edgar Poe by nie polubił? Wszak w liście do mnie skierowanym pisarz podał, że historie o Dupinie są pomysłowe nie tylko przez wzgląd na metodę, lecz dociekań „aurę”. Czyż Baron nie pojmował znaczenia wyglądu, pozyskując sobie popleczników, gdy zaś Dupont wiecznie się chciał alienować, ignorując swoje

otoczenie? Nagle odczułem ulgę nienazwaną. Wszelkie me kalkulacje okazały się błędne.

Choć noc już była późna, gdy to wszystko sobie uzmysłowilem, bezgłośnie zszedłem na dół i się wykradłem z „Glen Elizy”. Pół godziny później dotarłszy do kwatery Barona w hotelu, stanąłem przed jego drzwiami. Oddech miałem głęboki, zbyt głęboki... pobrzmiewający myślą mą obłądną. Wyczerpany i w chaosie lęku doń zapukałem. Po drugiej stronie dał się słyszeć szelest.

- Być może jestem w błędzie - rzekłem z cicha. - Na słowo i na chwilę tylko proszę - wkoło się rozglądnałem, by sprawdzić, czy mnie ktoś nie śledzi.

Gdy drzwi się uchylły, uczyniłem krok naprzód, świadomy, iż niedługo mi przyjdzie się tłumaczyć.

- Baronie, błagam pana! Musimy porozmawiać jak najprędzej! Sądzę... Ja...
Wiem, że to pan.

„Baronie”! Czy tu się zatrzymał jakiś baron, doprawdy? Na progu stanął człowiek o gęstej brodzie, w pidżamie i pantoflach, świecą przestrzeń sobie rozjaśniając.

- Więc tu nie mieszka Baron Dupin?

- Nic mi o nim nie wiadomo! - odparł zawiedziony jegomość, tak zerkając za siebie, jakby się tam w pościeli krył nie dostrzeżony uprzednio arystokrata. - Lecz myśmy dopiero z Filadelfii dziś po południu tu zjechali.

Prośbę o wybaczenie wybąkawszy, pędem wybiegłem przez hol na ulicę. Baron znów się gdzieś przeprowadził, mnie zaś, od pomieszczenia, fakt ów widocznie zdążył umknąć. Ledwie hotel opuściłem, od razu mnie ogarnęły najrozmaitsze, sprzeczne myśli. Natychmiast też poczułem wzrok cudzy na swym karku, więc i w pół sekundy musiałem kroku zwolnić. Nie było to bynajmniej tylko przywidzenie. Murzyn przystojny, którego dostrzegłem wcześniej, podążał za mną - a teraz się zatrzymał przy ulicznej lampie, z dłońmi głęboko w kieszeniach schowanymi. A może nie...? Pozostał w smudze światła jeden moment, po czym zniknął bez śladu. Skręcając w bok, stwierdziłem, iż to któryś z dwu mężczyzn w staromodnym przyodziewku, śledzących Barona. Serce mi jak młot zabiło na myśl, że jestem otoczony. Pospiesznie więc odszedłem stamtąd, niemal na oślep powóz łapiąc, aby do „Glen Elizy” z powrotem zostać odwiezionym.

Po bezsennej nocy, gdy wizje Duponte’a i Barona mieszały mi się w wyobraźni z uroczym śmiechem Hattie - rano dom mój odwiedził posłaniec z listem od wspomnianego już bibliotekarza. Pismem dotyczącym jegomościa, który mu wręczył owe z Poem związane artykuły, czyli: pierwsze wskazanie, iż Dupin prawdziwy istnieje. Poczciwiec nie tylko pamiętał, lecz nawet widział owego człowieka, no i przy tej okazji poprosił go o wizytówkę, aby mi ją móc przekazać.

Artykuły podał niejaki John Benson, którego imię jednak nic mi nie mówiło. Karta wizytowa była z Richmond pierwotnie, lecz na niej ręcznie wypisano adres mieszkania w Baltimore. Czyżby ktoś chciał zatem, bym odszukał prawdziwego Dupina? Czy ktoś mógłby mieć interes w tym, ażeby go do Baltimore sprowadzić celem wyjaśnienia zagadki zgonu Poego? Czyżbym to ja właśnie został do tego wyznaczony?

Nadzieje, iż mi się rzecz wyjaśni, wydawały się nikłe. Bardziej wszak prawdopodobne było, że ów wiekowy bibliotekarz, oczywiście przy jak najlepszych swoich chęciach, pomylił sobie po prostu gościa z innym człowiekiem, przed laty dwoma na krótko napotkanym.

Wspomniałem postaci, które się ku mnie z cienia niby w noc poprzednią skradały. Przed wyjściem zaopatrzyłem się tym razem w rewolwer, broń, którą mój ojciec trzymał w skrzyni na okoliczność wypadów w interesach do mniej cywilizowanych krajów handlujących z Baltimore. Umieściwszy go w kieszeni płaszcza, ruszyłem pod ów adres podany na karcie wizytowej Bensona.

Przechodząc Baltimore Street, ujrzałem w pewnej odległości Hattie - przed sklepem z modną odzieżą. Bez przekonania gest w jej stronę uczyniłem, nie wiedząc, czy w jednej chwili odejść zechce - udać, iż mnie nie dostrzega.

Ona wszakże przybiegła i mnie serdecznie przytuliła. Mimo iż jej czułości wielce byłem uległy, a i radości niesłychanej na jej widok - to zaraz z lękiem i bólem przypomniałem sobie, że przecież by mogła przypadkowo otrzeć się o pistolet w mej kieszeni, na nowo popadając w wątpliwość co do mych zamiarów. Hattie się odsunęła równie prędko, jak ku mnie przywarła, jak gdyby w obawie przed szpiegiem gdzieś ukrytym.

- Kochana - rzekłem do niej - czy postać ma cię nie zraza...?

- Ależ, Quentinie, czuję, żeś ty sobie znalazł inne światy, doświadczenia, które poza nasze wspólne wykraczają.

- Nie wiesz, co to za jedna! Złodziejka, włamywaczka, uwierz, błagam! Trzeba się nam rozmówić gdzieś w spokoju!

Gdy ująłem ją pod ramię, lekko mi się wymknęła.

- Za późno, już za późno. Nocy owej odwiedziłam „Glen Elizę” tylko po to, by wyjaśnić... Mówiłam przecież, Quentinie, iż wszystko jest inaczej...

To wszak niepodobna!

- Hattie, w słusznej sprawie działałam. Lecz niebawem wszystko już wróci do normy.

- Ciotka mi nie zezwala wypowiadać twego imienia, no i wszystkim znajomym też zabroniła wspominać chociażby nasze zaręczyny...

- Na pewno bez trudu da się ją przekonać... Czy to, co mi doniosła, iżbyś się z kim miała związać... prawdą może było?

Hattie schyliła głowę.

- Inny mi jest, Quentinie, przyrzeczony.

- Czy aby nie z tego powodu, coś widziała pod „Glen Eliza”...?

Odmownie pokręciła głową, z oblicza zaś jej nieruchomego nic nie udało się wyczytać.

- Kto taki?

Odpowiedź wyłoniła się niespodzianie...

Pod postacią Petera, który wyszedł z głębi sklepu, odliczając monety podane przez sprzedawczynię, a na mój widok odwrócił się stropiony.

- Peter?! - zakrzyknąłem. - Niemożliwe. Moment spoglądał na mnie niewidzącym wzrokiem.

- A witaj, Quentin.

- Zaręczyłaś się więc... z Peterem! - szepnąłem Hattie do ucha tak, by on nic nie dosłyszał. - Kochanie, powiedz mi tylko, proszę, czyś jest szczęśliwa? Muszę się dowiedzieć...

Po chwili rażno przytaknęła, wyciągając ku mnie dłoń.

- Pomówmy, Quentin, razem wszyscy - zaproponował Peter.

Lecz mnie się nie chciało czekać. Pospiesznie ruszyłem, w biegu muskając rondo kapelusza ledwie. I marząc, by oboje jakimś cudem znikli mi z oczu.

- Quentin, dajże pokój! - wołał Peter.

Zrazu ruszył w ślad za mną, lecz prędko się poddał, widząc, że się nie zatrzymam, lub może spostrzegłszy błyski gniewu w moich oczach.

Pod wpływem odkrycia doniosłej wagi byłbym zapomniawszy, że w kieszeni mego stroju kryje się rewolwer. Po drodze do Bensaona pokonałem mnóstwo najświetniejszych ulic oraz domostw Baltimore.

Wyjaśnwszy, że jestem nieznanym dla pana domu, a mam do omówienia pewną drobną sprawę, przeprosiłem jednocześnie, że nie posiadam listu polecającego. Usiadłem w salonie na kanapie, którą wskazał mi ciemnoskóry sługa. Ściany

pomieszczenia, o wystroju oszczędniejszym, niż to nakazywała dzisiejsza moda, wyklejone były tapetą we wzór orientalny i ozdobione kilkoma zaledwie niewielkich rozmiarów sylwetkami; jedyny tu wielki portret, wiszący tuż ponad sofą, z początku w ogóle nie zwrócił mej uwagi.

Nie wiem, czy w pojęciu nauki da się za pomocą zmysłów wyczuć na sobie wzrok postaci z malowidła, kiedy jednak oczekiwałem gospodarza, ogarnęło mnie doznanie tak osobliwe, iż musiałem czym prędzej spojrzeć za siebie. Obraz rozświetlało jasno kilka lamp umieszczonych w pokoju. Zerwałem się na nogi, by napotkać wzrok tamtego. Twarz krągłą miał i znużoną, lecz nadal, za sprawą idei jakichś zamierzchłych, pełną życia. Oczy zaś... Ale gdzieżby! Znękany wysiłkiem ostatnich dni, dałem się tylko zwieść ułudzie. Oblicze tutaj przede mną wydawało się znacznie starsze, włosy srebrzystszą miały barwę, a podbródek budowę masywną, podczas gdy jego broda była wszakże mizerna i niemal spiczasta. A jednak oczy owe!!! Jak gdyby je przesadzono z mrocznych orbit Upiora, człowieka, który mnie w myśli wiecznie prześladował, upominając, abym się nie mieszał w cudze sprawy - a który bodaj w pół sekundy natchnął mnie do owych poszukiwań, co aż tu dobiegły. Choć prędko się otrząsnąłem z chorego urojenia, niepokój pewien wkraść się w moją duszę. By skrócić czas oczekiwania, rozważyłem, jak nikłe w istocie nadzieje wiąże z obecną wizytą, dając się prawie dusić oficjalnie urządzonemu salonowi. Wreszcie postanowiłem zostawić kartę wizytową i natychmiast wrócić do mej „Glen Elizy”.

Lecz słysząc, że ktoś nadchodzi, wstrzymałem swą decyzję.

Oto zza skrzyżowania schodów wyłonił się wolnym krokiem Benson.

Niemal straciłem oddech:

- Fantom!

On to był w rzeczy samej. Jegomość, co przed tyłoma miesiącami zniechęcał mnie uparcie wobec sprawy Poego. Właściciel oczu młodszych niżli owe na portrecie za mną. Człowiek, który rozwiął mi się niby mgły opary, kiedy jego cień ścigałem po ulicach. Całkiem nieświadomie, nie myśląc, co dalej ma nastąpić, włożyłem dłoń do kieszeni, ujmując rękojeść rewolweru.

- Słucham? - zapytał, widać nie dosłyszawszy mnie wyraźnie. - Fenton, pan powiadasz? Benson się zwę, sir, John Benson...

Oczyrna wyobraźni ujrzałem, jak lufą prosto w usta mu celuję. Usta, które sprawiły, że wdałem się w owo dochodzenie, które mnie aż tu przywiodły, i przyczyniły się do moich wszelkich działań, do wyrzeczenia się bliskich nawet, a w rezultacie do sprzeniewierzenia mej osoby przez Petera i Hattie też doprowadziły!

- Nie Fenton - zaiste już nie pomnę, jaka to chęć przewrotna nakazała mi go poprawić, aby się zorientował, iż jest najgorszym moim wrogiem. Wolno wycedziłem znowu słowo: - Fantom.

Przyglądał mi się z uwagą, podnosząc palec do ust w kontemplacji mojej odpowiedzi.

- A jakże - stwierdził krótko, po czym, uruchomiwszy pamięć, wersy następujące mi wyrecytował:

Ów dramat pomieszany - wiedz to -
pewnie nie będzie zapomniany!
Bo Fantom ciągle ścigan przez tłum
Nie może nigdy zostać przyłapany*.

- Z panem Clarkiem mam przyjemność, tak? No, to dopiero niespodzianka!

* * *

- Czemuś mi dał ów artykuł? Chciałeś pan, bym go znalazł? Jakimż szaleńcem... Czyżby więc od początku rzecz była ukartowana? - pragnąłem się dowiedzieć.

- Muszę panu wyznać, iż dość to niejasne - odpowiedział mi John Benson. - Może zatem ja spytam teraz, co cię tu sprowadza?

- Ostrzegałeś mnie, abym się nie wdawał w kwestię śmierci Poego. Chyba, sir, nie zaprzeczysz!

Benson odchylił się do tyłu ze smętnym uśmiechem.

- Nie myślę się, drogi panie, sądząc, żeś mnie nie usłuchał?

- Nadal domagam się wyjaśnień!

- Udzielę ich jak najchętniej, wpierv jednak... - wyciągnął dłoń, ja zaś z lekkim wahaniem wypuściłem broń z dłoni, dłoń jego bacznie obserwując, jakby mnie miał lada chwila dusić. - Miło mi się nareszcie zaznajomić z panem jak należy. Rzecz jasna,

wytłumaczę, skąd moje zainteresowanie twą osobą. Lecz proszę najpierw wyjawić, co mnie zaintrygowało przy pierwszym naszym widzeniu: cóż pan się tak Edgarem Poe zajmujesz mocno?

- Chcę bronić jego sławy przed robactwem wszelakim oraz fałszywymi przyjaciółmi - odparłem, patrząc nań podejrzliwie, co mi na to odpowie.

- Wobec tego przyświeca nam cel wspólny, miły panie. Gdyśmy owego dnia rozmawiali nieopodal Saratoga Street, akurat bawiłem tutaj, w Baltimore, z wizytą. Zamieszkuję w Wirginii, pan rozumiesz. W Richmond działam jako urzędnik w szeregach Synów Wstrzemięźliwości. Edgar Poe, jak wiesz zapewne, przebywał wtedy latem w Richmond i tam się spotkał z grupą naszych członków w Łabędzim Zajeździe, gdzie, notabene, też nocował. Pośród owych osób znalazł się niejaki Tyler, który zaprosił pisarza na herbatę.

Tu wspomniałem od razu wycinek z gazety codziennej wydawanej w Raleigh, ze wzmianką o wstąpieniu przez Poego w szeregi wiadomej organizacji. „Podajemy fakt ów w nadziei, że zwolenników wstrzemięźliwości uraduje wieść o tym, iż dżentelmen o talentach, jak i osiągnięciach na miarę pana Poe został dla sprawy szczytnej zwerbowany”. Wydarzyło się to zaledwie miesiąc i trzy dni, zanim się on pokazał w stanie opłakanym u Ryana.

- Pan Poe przyrzeczenie u nas złożył, że nigdy nie będzie pił alkoholu. Przystąpiwszy do biurka, podpisał się nam stosownie i ze zwykłą stanowczością. Był najmłodszym „dzieckiem” naszym, rekrutem, którym się ogromnie szcyciliśmy. Choć wiem również o takich, co się wyrażali sceptycznie na temat jego obecności pośród nas. Ja do nich nie należałem. Doszła mnie wieść, jakoby straż obywatelska, potajemnie śledząc kilka dni poetę w Richmond, zdołała ustalić, iż słowa danego jednak dotrzymuje. Niedługo po wyjeździe jego z Richmond, pod koniec kolejnego miesiąca doszła do nas ta wstrząsająca wiadomość, że umarł w tutejszym szpitalu, a - co gorsza - stało się to w wyniku pijaństwa, jakie rozpoczął ledwie tu dotarwszy. Działając w imię wstrzemięźliwości, podjęliśmy próbę uzyskania faktów z Richmond, lecz nam podano zgodnie, iż autor alkoholu nie spożywał. W zbyt wielkim jednak od owych faktów znajdowaliśmy się oddaleniu, by w jakikolwiek sposób móc na opinię publiczną wywierać wpływ. Młodszy od Poego zaledwie o lat parę, czasami go spotykałem i w

wielkim poważaniu mam jego twórczość - toteż za wskazaniem rady naszej tutaj się wybrałem, żeby przeprowadzić wywiad co do okoliczności zgonu. Wiesz pan, ja w Baltimore na świat przyszedłem i tu zamieszkiwałem do ukończenia dwudziestu jeden lat, tak więc się spodziewano, iż łatwiej mnie niż pozostałym czterem przyjdzie wykryć, co też się takiego wydarzyło. Postanowiłem sobie, że przeprowadzę dochodzenie uważne, tak, by do Richmond wywieźć prawdę w owej kwestii.

- Cóżżeś pan odkrył?

- Przede wszystkim rozmawiałem z medykiem szpitala, gdzie Poe oddał ducha.

- Johnem Moranem?

- Naturalnie - Benson przyjrzał mi się chyba zdumiony nieco moją wiedzą. - I doktor Moran mi oświadczył, iż nie potrafił stwierdzić, czy Poe był pod wpływem alkoholu, acz na podstawie jego kondycji dowieść nie sposób, że też nie był.

Ponieważ, jak to mówi Moran, na własne uszy słyszałem, przyszło mi znacznie łatwiej uwierzyć w relację Bena.

- Kiedy go pan odwiedził, jeśli łaska?

- Tydzień po śmierci Poego, o ile mnie pamięć nie zawodzi.

Wówczas mi zaświtała taka myśl, że człowiek ów, zwodniczy Upiór sprzed wielu miesięcy, przede mną jeszcze przedsięwziął rozwikłanie zagadki.

- Dzienniki... - rzekł z westchnieniem. - Ach, jakże się go tam bezwzględnie krytykuje! Wszystkie wysrane z palca opowieści...! Związki wstrzemięźliwości tu i w Nowym Jorku rade się nim wysługiwać wszak bez końca. Pewnie są panu znane owe artykuły. Że niby triumf ma nieść owa nauka, co się ją ze śmierci nieszczęśnika czerpie! Gdy ja, mój drogi panie, znając geniusz Poego i w niewinność jego święcie wierząc, raczej odczuwałem...

- ...wściekłość - dokończyłem wywód. Skinął mi głową na znak aprobaty.

- Na ogół człowiek ze mnie spokojny i opanowany, lecz w istocie w furję wpadłem wtedy. W miejscach zatem rozlicznych wieść pozostawiłem, iż pragnę wykryć szczegóły ostatnich dni Poego na potwierdzenie, że dotrzymał przysięgi złożonej Synom Wstrzemięźliwości. Przypadkiem, podczas pewnych badań własnych, któregoś popołudnia w czytelni podśłyszałem, jak pan prosi bibliotekarza, aby dla Ciebie rezerwował wszelkie teksty o autorze zejściu. Uznawszy, że pan jest pewnie jednym z

tych, co się karmią lekturą jadłem nasączonych historyjek o jego domniemanym grzechu i demoralizacji - bibliotekarza o imię twoje wypytałem, gdzie indziej zaś się dowiadując, czym się zawodowo parasz i że umysłem jasnym jesteś obdarzony, lecz jesteś opanowany przez osoby bardziej od ciebie stanowcze. Oraz że pan wcześniej reprezentował interes lokalnych periodyków. Wtedy też zacząłem przypuszczać, iż może cię zatrudnia tutejsza prasa działająca na rzecz wstrzemięźliwości, chcąc ukazać go opojem i do nauk swoich szczytnych przeciwko picciu właśnie wykorzystać. Zdawało mi się, iż może cię oni opłacili, abyś mojej misji przeciwdziałał; byś Synom Wstrzemięźliwości z Richmond rzucał kłody pod nogi. Widząc więc, jak się kiedyś ku czytelnicy zbliżasz, przestrzegłem, żebyś się nie mieszał w cudze sprawy.

- Toś pan sądził, że ja się też przyczyniam do oczerniania Poe'go? - zapytałem w zdumieniu.

- Przyjąwszy, że tylko ja jeden w owym czasie nic podobnego nie chciałem czynić! Znasz pan uczucie owo? Próbowałem odwiedzać biura rozmaitych wydawców gazet, lecz ci nie mieli zamiaru umieszczać sprostowania swoich błędów. Zgromadzić mi się udało wybór artykułów o wydźwięku pozytywnym, z lat minionych, chwalaących zarówno jego postać, jak i dokonania literackie - no i je owym redaktorom przekazałem, w przeświadczeniu, iż zdołam ich przekonać, że zmarły Edgar Poe na większy, co oczywiste, szacunek zasługuje. Część wycinków pozostawiłem pod opieką wiadomego bibliotekarza, by tobie je również podał w takim samym celu. To chyba jeden z tekstów, o którym pan przedtem wspomniał.

- Chcesz mi zatem powiedzieć, żeś je pan wybierał przypadkowo?

- No tak - odparł, nie pojmując niedowierzania w moim głosie.

- I nie miały one wywołać lub też sprowokować konkretnych działań z mojej strony?!

- Liczyłem, że pochwały na temat autora z okresu, by tak rzec, mniej powszechną żądzą sensacji zbrukanego spowodują poważniejsze traktowanie pism jego i osoby również. Wkrótce wróciłem do Richmond. Powróciwszy natomiast, by czas jaki z krewnymi swoimi tutaj spędzić, natknąłem się akurat na bibliotekarza z czytelnicy, ten zaś poruszony wielce poprosił o moją wizytówkę, by tobie mógł ją, panie Clark, przekazać przy sposobności.

- Gdy upominał mnie pan na ulicy, zakazał mi mieszać się w sprawy tych, co „na marach leżą”...

- Doprawdy? - po chwili zadumy lekko jakby się uśmiechnął.

- Wzięte są słowa owe z poematu Edgara o niewieście na pół umarłej i pół żywej, Lenorze... „Oto na marach leży dziś dziewczyna...”, jak napisał.

- Skoro pan tak twierdzi - padła drażniąca mnie replika.

- Czyś mi pan nie zamierzał czegoś tym sposobem wskazać? Wieści jakiejś może, szyfru do rozwikłania? Nie mów, żeś wybrał te słowa całkiem przypadkowo...

- Jak widzę, dajesz się pan zanadto wodzić nerwom - nic na dręczące mnie pytania nie odpowiedział, ciągnął swoje: - Gdy się człowiek do lektury Poeego weźmie, w istocie trudno lub wręcz niemożnością jest oprzeć się jego magicznym słowom. Właściwie każdy - a pleć tutaj nie ma nic do rzeczy - kto zbyt wiele czasu na czytanie utworów jego przeznaczy, wedle moich osądów prędzej czy później musi zacząć wierzyć, że oto sam się znajduje wśród twórców artysty niecodziennych i straszliwych. Kiedy przyjechałem do Baltimore, wszelkie moje myśli skupione były na imieniu poety i pragnąłem czytać tylko to, co on wykreował. Najbliższe nawet zdanie, jakie wypowiadałem, od niego mogło pochodzić, nie z mojej już mowy zaczerpnięte czy też z mych refleksji. Z rozkoszą nurzałem się w jego marzeniach oraz, jak mi się wydawało, jego duszy. Starczy to, by zmiażdżyć człowieka podatnego na pokusę odkrywania. Jedyny tu zaradczy środek: zaprzestać owej lektury raz na zawsze... Co mnie się już jakiś czas udaje. Wygnałem go z mej pamięci, acz może nie w pełni udatnie.

- A co z twym dochodzeniem w kwestii jego śmierci? Wszak byłeś pan pośród pierwszych... a bodaj i najpierwszym, który w ogóle zechciał podjąć sprawę... Najbliższy pewnie byłeś docieczenia prawdy!

Benson pokręcił głową.

- Na pewno się wywiedziałeś dużo więcej! - zakrzyknąłem.

Odczekawszy sekundę, tak mi wówczas odrzekł, jakbym się go spytał o coś diametralnie innego:

- Księgowym jestem, mój panie. A na jakiś czas o tym zapomniałem. Tutaj mianowicie przebywając, z dala od właściwych mi zajęć w Richmond, naruszyłem

znacznie interesy własne. Niechże pan sobie wyobrazi: człowiek, który od ukończenia lat dwudziestu doskonale prowadzi księgi rachunkowe, raptem nad nimi traci wszelkie panowanie. Wierz mi, do tego doszło, że zmuszony jestem pewną część roku tu, w Baltimore, u wuja pracować, jak w chwili obecnej. - Onże to widniał na portrecie, tak do Bensona podobny. - Miasto twe z różnych względów zdaje się wprost idealne, zbyt wielu tu jednak fiaków wódkę żłapie, zamiast wodze końskie ściągać jak należy.

Widząc brak zainteresowania wywodem z mej strony, orędownik wstrzeźliwości większego nabrał wigoru:

- Stanowi to, panie Clark, dla ludu zagrożenie niebywałe!

- Wiele jest jeszcze do zrobienia - przytaknąłem. - W sprawie Poego, naturalnie.

Mógłbyś pomóc nam...

- Nam? Więc inni również są wmieszani?

Duponte'a nadmienić mam tu czy Barona - nie wiedziałem.

- Mógłbyś pomocą służyć. Pospołu byśmy mogli dokonać dzieła i prawdę, co się tu skrywa, wydobyć na światło dzienne.

- Więcej już tutaj nie dokonam. A czy pan jako adwokat nie ma pod dostatkiem własnych pilnych zajęć?

- Wolne sobie wzięłem - rzekłem cicho.

- Ach tak - odparł porozumiewawczo i z satysfakcją niejaką. - Najgroźniejsza pokusa w życiu na tym polega, iż się nie pilnuje interesów własnych, drogi panie. Należy się nauczyć siebie samego tak szanować, aby owe interesy umieć jak najlepiej chronić. Gdy pogoń za cudzym dobrem zawadza ci w osiągnięciu szczęścia, wówczas na zatracenie idzie cały życiowy twój dorobek. - Po pauzie dopiero mówił dalej: - Pospólstwo, jak chce, tak postrzega geniusza wiadomego i żadną miarą pan temu nie zaradzisz. A może się dla nas nie liczy, co przytrafiło się Poemu. Przedstawiamy sobie jego zgon wedle własnych potrzeb. On zaś, w pewnym sensie, nadal przecież pozostaje żywy. I zmianom podlegać wszak będzie nieskończonym. Nawet gdyby jakimś cudem wykrył pan prawdę, i tak jej wtedy zaprzeczą, by poprzeć nową całkiem spekulację. Nie wolno nam się poświęcać w imię jego potknięć.

- Chyba nie dajesz pan wiary ludziom, którzy się tobie sprzeciwili, twierdząc, jakoby Poe sam wszystko spowodował drobnym swym występkiem?

- Nie, zdecydowanie - odparł z pewną przekorą Benson. - Lecz gdyby bardziej uważał, gdyby wykorzystał chucie swoje, aby żądaniom sprostać wszystkich, nie zaś tylko i wyłącznie obdarzonym jak on intelektem najwyższej próby, kto wie, nie doszłoby może do całego zamieszania i kamień u jego szyi nie stałby się brzemieniem także dla nas.

Po rozmowie z Bensonem odczułem pewną ulgę, bo oto nie sam jeden wgłębiać się próbowałem w ową zagadkę. Przedsięwzięciem swoim Benson dowiódł, że Peter i ciotka Hattie przewidywali niesłusznie: nie było moje działanie dochodzeniem szaleńca - lecz również i prawnika najwidoczniej.

Ulżyło mi jednak z innego jeszcze powodu, związanego mianowicie z Baronem oraz Duponte'em. Powziąłem decyzję: lojalności detektywowi zawsze dochowywać i nigdy się zwieść już nie dać owemu przestępcy, kuglarzowi, co w stopniu wszakże nikłym zdawał się powiązany z historiami stworzonymi przez Poego! Na wieki pozbawionym Hattie, to sobie uprzytomniłem, że nie istnieje na świecie już osoba, która by mnie jak ona, na wskroś, poznać mogła. Praktyka szacowna adwokacka, pod auspicjami ojca mego rozwinięta, teraz, że górnolotnie to wyrażę, gasła w oczach. Przyjaźń moja z Peterem też umarła. Na szczęście, jak o Duponte'a chodzi, jakiejś strasznej omyłki nie zdarzało mi się popełnić. Wracając do domu od Bersona, niby z głębokiego snu czułem się wybudzony.

Ileż ufności i wiary pokładałem w moim towarzyszu! Ile poświęciłem czasu Duponte'owi i zbieżności jego cech z opowieściami geniusza! Gdybyż bardziej stanowczo chciał się sprzeciwić knowaniom Barona, gdyby oznaki dawał dobitniejsze, iż za nim w tyle nie zostaje, gdybyż nie stał bezczynny na uboczu, gdy Baron się swego dopomina, gdyby z własnej woli kroki takie podjął - zaraz bym w sobie wytrzebił niebezpieczne myśli owe!

Duponte siedział w salonie, ja zaś go obserwowałem. Spojrzawszy mu prosto w oczy, zwróciłem się z pytaniem, czemu trwa niezmiennie w uległości wobec agresywnych poczynań Barona Dupin. Spytałem go, z jakich przyczyn z boku stoi, kiedy tamten - nasz rywal - ma prawo rościć sobie niekwestionowane zwycięstwo. Uprzednio, jak pamiętacie pewnie, zacząłem tu przytaczać ową między nami konwersację. Gdy

sugerowałem wtedy, by dać po uszach Baronowi, Duponte mi odparł tylko, że nam to raczej w sprawie nie pomoże.

- Może by się opamiętał - rzekłem. - Pojął, iż nie jest tu samotnym graczem. Tkwiał bowiem wciąż, monsieur Duponte, w bezbrzeżnym przekonaniu, że już ową walkę wygrał!!!

- Mylną zatem dąży Baron drogą, bo, przykro mi to stwierdzić, dawno już przegrał. Kresu, jak i ja, dochodząc.

Tu mnie ogarnęły najrozmaitsze lęki.

- Jak to?

- Poe rzeczywiście spożywał alkohol - odparł Duponte. - Acz pijakiem nie był. W istocie trzeba by go nazwać przeciwieństwem opoja. Pewne, iż mniej sobie używki on zadawał niż każdy osobnik tutaj na ulicy przez nas napotkany.

- Słucham?

- Nie o braku umiaru mówić nam należy, lecz danym przez organizm braku na alkohol tolerancji. Braku wytrzymałości na trunki, jaki niezwykle rzadko bywa spotykany.

Aż usiadłem prosto ze zdziwienia:

- Skąd taki wniosek, monsieur Duponte?

- Warto się przypatrywać światu, nie zerkać nań jedynie. Zapewne pan sobie przypomina jeden z nekrologów przez znajomego, a nie żurnalistę napisanych. Zawarto tam informację, iż po „wina kieliszku ledwie” monsieur Poego „natura przemianie ulegała diametralnej”. Dla wielu owo stwierdzenie znaczy, sądzę, że Poe miał w obyczaju stale a nierozważnie się upajać. Tymczasem rzecz przedstawia się zgoła inaczej. Krytycy w sferze tej dowieść zdołali nam tak wiele, że, jak się ze mną zgodzisz, nie dowiedli niczego. Prawdopodobne jest, by nie rzec: prawie pewne, iż na gorzałkę reagował on z niespotykaną wrażliwością, która go w efekcie zmieniała, o paraliż przyprawiając. W stanie psychicznego nieładu, a i przez swych towarzyszy niskiej proweniencji, Poe z całą pewnością brnął wówczas w pijaństwo, zwłaszcza gdy wziąć jeszcze pod uwagę tutejszą skłonność do zabawy nad wyraz swobodnej, gdzie się od człowieka wymaga, by z kolejki nowej pod żadnym pozorem nie rezygnował w takich sytuacjach. Fakt ów ostatni jednak jest dla nas bez znaczenia. Poego bowiem już kielich pierwszy, łyk choćby nawet, wprawiał w stan nieprzytomności. Nie szaleństwo to było z nadużycia,

lecz chwilowy obłęd tym powodowany, że pić nie można zwyczajnie jak wszyscy dokoła.

- Tak więc, gdy go u Ryana znaleziono, monsieur, przypuszczasz, że coś wcześniej wypił?

- Szklaneczkę być może, nic ponadto. Wbrew doniesieniom stróżów wstrzeźliwości, co służyć mają wszak poprawie morale pośród ludu. Zaraz ci też pokażę, na czym się zasadza ich działalność, a dokładnie: czego dokonali w czasie, którym się obaj tak interesujemy.

Pogrzebawszy w stercie całkiem dla mnie niezrozumiale ułożonych swych papierów, Dupont wydobyl wreszcie numer „Sun” z drugiego października 1849 roku, dnia poprzedzającego znalezienie poety.

- Znasz pan nazwisko Johna Watchmana, monsieur Clark? Wpierw mu odpowiedziałem, że takiego nie znam. Lecz szybko się poprawiłem, bo mi wróciła pamięć. Upiora - Bensona, jak wam już wiadomo - goniąc swego czasu, zapuściłem się przecież w jakąś znaną tu spelunkę...

- Tak. Podejrzywałem że Watchman jest Fantomem, bo przydzwiewek nosił dość podobny. Pewien klient jednak mi wskazał, iż jegomość ów jest głęboko w opilstwie pogrążony.

- Nic dziwnego. Nadzieje monsieur Watchmana, ambicje jego wobec złej sławy niedługo naprzód zostały pogrzebane. Spójrz: przed dwoma laty by cię to szczególnie nie zaciekało, dziś jednak przydać się może niesłychanie.

I Dupont pokazał mi artykuł we wspomnianym periodyku. W ówczesnych wyborach ustawa o wstrzeźliwości niedzielnej stanowiła temat pierwszej wagi, choć, jak słusznie wywnioskował mój towarzysz, mnie to właściwie wtedy prawie nie obeszło. Dość się napatrzyłem egzemplom nadużycia, aby z ideą ową szczerze sympatyzować, lecz trudno mi było skupić energię na jednej tego typu kwestii, zupełnie przy tym lekceważąc inne zasady moralności.

Zwolennicy niedzielnej ustawy, organizacja zrzeszająca najbardziej wpływowych działaczy ruchu na rzecz wstrzeźliwości w Baltimore, ogłosili jako swego kandydata do Izby Reprezentantów - by się opowiedział za rzeczonym a ograniczającym sprzedaż alkoholu prawem - Johna Watchmana właśnie. Tyle że wkrótce potem widziano go przy kielichu w licznych tawernach w naszym mieście, skutkiem czego dnia drugiego

października zwolennicy wycofali swoje dlań poparcie. Ciekawe, któż się w rubryce owej w imieniu ich komitetu wypowiadał: doktor Joseph Snodgrass!

- A to ledwie jeden dzień przed wezwaniem go do Ryana! - krzyknąłem.

- Rozumiesz pan więc chyba, w jakim stanie ducha się tam udał. Jako przywódca owej frakcji został upokorzony osobiście przez własnego kandydata. Monsieur Watchman był człowiekiem słabym, to rzecz niewątpliwa. Uznać jednak i to trzeba, iż zwolennicy ustawy podejrzewali, że wrogo do nich nastawione ugrupowania polityczne rozmyślnie będą chciały skierować go na złą drogę. Tu oto masz pan także wydanie pisma „American and Commercial Adviser” datowanego tydzień wcześniej.

Przyjrzyj się, bardzo proszę, jak wyglądała gospoda u Ryana w okresie, zanim się tam spotkał Poe z doktorem Snodgrassem. W pierwszym ze wskazanych mi wycinków mowa była o odbytym u Ryana spotkaniu wigów z Okręgu Czwartego, przybyłych licznie i pełnych entuzjazmu.

- Nie tylko więc za lokal wyborczy tawerna owa służyła - powiedziałem. - Ale i jako miejsce dla zgromadzeń wigom. No i, ma się rozumieć, także - tu westchnąłem - los ją uczynił celem ostatecznej wędrówki Edgara Poe, zanim się znalazł jeszcze na szpitalnym łóżu.

Wspomniałem grupę wigów Okręgu Czwartego, których wraz z Duponte'em obserwowaliśmy w melinie nad domem Czujnej Straży, nieopodal owego hotelu. Tam spotykali się na osobności, u Ryana zaś mieli kwaterę na zebrania o publicznym charakterze.

- Wstecz nieco jeszcze pójdźmy - rzekł mi Duponte. - Dni kilka mianowicie... Kiedy owo spotkanie ogłoszone było. Czytaj pan na głos, jeśli łaska. I miej baczenie przede wszystkim na podpis poniższy.

Uczyniłem, co nakazał:

„Powszechne Zgromadzenie Wigów Okręgu Czwartego odbędzie się we wtorek, w hotelu Ryana, przy Lombard Street, naprzeciw siedziby Czujnej Straży. Geo. W. Herring, Przew.”.

W innym wycinku ogłaszano zebranie dnia pierwszego października, dwa dni przed wyborami, „o godzinie pół do ósmej”, ponownie „w hotelu Ryana”, naprzeciw siedziby Czujnej Straży, upraszając „usilnie o frekwencję pełną”, i również z podpisem

jak wyżej podany.

- „George Herring, przewodniczący” - ponownie odczytałem, w myślach przywołując Tindleya, krzepkiego drzwi strażnika, co służalczo się odnosił do przełożonego w klubie wigów; wszak „panem George'em” go wtedy tytułował... - Osobnik ów, którego poznaliśmy, przewodniczący tamten ma George nie na nazwisko, lecz, monsieur, na imię oczywiście... George Herring, on to z pewnością. I musi też być spokrewniony z Henry Herringiem, kuzynem Poego, poprzez małżeństwo! Tym samym, który jako pierwszy przybył do poety za Snodgrassem, odmawiając mu schronienia pod swym dachem.

- Widzisz pan więc teraz, iż pijaństwu autora naszego przydano wagę stanowczo zbyt wielką, acz my dzięki temu uporządkować możemy pewne fakty oraz pojąć ich następstwa w naszym dochodzeniu.

- Monsieur Duponte - rzekłem, odkładając gazetę - czyżbyś ty je już w całej rozciągłości pojął? Że nim się Baron Dupin wypowiedzieć zdąży, my będziemy gotowi rzecz objawić światu?

Duponte podniósł się z krzesła i zbliżył do okna.

- Niebawem - odpowiedział.

Wziąwszy pod uwagę niedawne obłądne wysiłki Barona, zdumiewające, jak się raptownie uspokoił. Przestał się pokazywać między ludźmi, przypuszczalnie ze względu na przygotowania do wykładu, który miał się odbyć dokładnie za dwa dni, a o którym rozprawiało całe Baltimore. Parę razy udałem się na wędrowkę po mieście, by wykryć, gdzie też się teraz zatrzymał.

Podczas kolejnej przechadzki ktoś mnie zniechęca lekko w ramię klepnął.

Był to jeden z owych osobników, których wielokrotnie oglądałem śledzących Barona Dupin. Tuż obok stał jego współnik, w podobnym stroju wierzchnim.

- Tłumacz się pan - rzekł mi pierwszy, ukrywając obcy akcent. - Ktoś zacz?

- Cóż cię to obchodzi? - odparłem. - A może i ja również o tożsamość spytam?

- Nie pora na popisy, monsieur. „Monsieur”; Francuzi zatem.

- Od tygodni ci się przyglądamy i pan się stale kręcisz pod jego hotelem... - odpowiedział podejrzliwie, sugerując kierunek ściągnięciem brwi, w charakterystyczny ów i dla Duponte'a sposób.

- Hm, nie ma w tym doprawdy nic niezwykłego. Czyż się przyjaciół swych odwiedza rzadko? - Jakże mogłem nazwać przyjacielem człowieka, który porwał mnie, oszukiwał i zastraszał?!

Zamilkli, tak że się zacząłem martwić o skutek swej pochopnej uwagi. Szpiegowanie Barona widocznie przysporzyło mi nowych wrogów, jego wrogów przecież! Dodałem wobec tego:

- Nic mi o zadłużeniu człowieka tego ani o wierzycielach nie wiadomo oraz w najmniejszym stopniu mnie rzecz owa nie zajmuje.

Wymienili szybkie spojrzenia.

- Mów więc, w jakim się hotelu teraz zadekował.

- Pojęcia nie mam - odrzekłem z całą uczciwością.

- Nie zdajesz sobie sprawy z ogromu jego kłopotów? Monsieur, i twymi się staną, skoro go zamierzasz chronić. Nie czyń tego absolutnie.

Odwrociłem się, by ruszyć w swoją stronę.

- Nie skończyliśmy, monsieur, jeszcze - rozległ się krzyk za mną.

Zerkając przez ramię, stwierdziłem, iż za mną podążają. Ciekaw, czy mnie będą ścigać, gdy pobiegnę, znacznie przyspieszyłem kroku.

Podążwszy Madison Street, zbliżyłem się do pomnika Washingtona, gdzie stała niewielka grupa zwiedzających. Potężna kolumna z marmuru, o dwudziestu stopach średnicy, wspierała na swoim wierzchołku znakomity posąg generała. Przeczysto biały masyw nie tylko wyróżniał się rozmiarami, lecz i ze względu na ceglane tło ulicy. Mnie zaś się teraz objawił najbezpieczniejszym zakątkiem Baltimore.

Wszedłem do środka cokołu, gdzie inni już się gotowali do wędrówki w górę krętych schodów. Pokonawszy kilka pierwszych stopni, zatrzymałem się w załomie rozświetlonym tylko przez niewielki kwadratowy otwór; w biegu minęła mnie gromada niedorostków. Uśmiechnąłem się do siebie, rad, iż owi „śledczy” albo mi już spokój dali, albo mi się udało umknąć im sprzed oczu - niestety wkrótce posłyszałem donośny tupot dwu par butów.

- *Il est là* - mnie dobiegło.

Nie czekając, aż mi się pokażą, obróciłem się na pięcie i rzuciłem ku szczytowi. Przewagę jedynie tę nad nimi miałem, iż olbrzymie wnętrze było mi doskonale znane z czasów młodości. Francuzi i tempo może, i siłę większą mieli, tu jednak przebywali tylko jako goście, obcy. Wyobraziłem sobie nawet, jak pewnie przyrównują wąską przestrzeń do znacznie okazańszej Łuku Triumfalnego w Paryżu. Zarówno tam, jak i tu opłacało się wspinać na wierzchołek w pocie czoła; widok na oba miasta przedstawiał się z góry niezrównany, tyle że każdy monument inne zgoła osiągnięcia upamiętniał. Paryski - Napoleona imperium, tutaj zaś kolumna marmurowa - Washingtona zrzeczenie się przywództwa armii, a więc rezygnację ze stanowiska, które by mu zapewniło władzę despotyczną, nieograniczoną.

Owym jegomościom pewno nic takiego nie przyszło na myśl; oni się tu wybrali, by mnie ze szczytu samego pomnika strącić i basta! Wyprzedzili także i wspomnianą grupę chłopców, którzy goniąc się po drodze nawzajem, mniej więcej w środku wspinaczki już nadwerężyli siły. Dotarłszy wreszcie na galerię, skąd miasto się oglądało, mężczyźni zaczęli się tam przechadzać dookoła, rozpychając turystów, co za rzeką Patapsco podziwiali Chesapeake w oddaleniu. Nic im nie dało zaglądnąć pod każdy kapelusz; nic nie zdołali osiągnąć sprawdzaniem, czy się za suknią falbaniastą gdzieś nie chowam.

Ja ich jednak widziałem, bo skryć się zdażyłem sto dwadzieścia stóp poniżej, blisko drzwi w dolnej partii schodów, nie oznaczonych, wąskich, co wiodły do występu, z którego korzystała służba utrzymująca budowlę w nienagannej czystości.

W korytarzu owym nieraz też przystawali ludzie podążający na górę, aby świeżego powietrza móc zaczerpnąć. Tam się więc przyczałem, zyskując pewność, iż obaj na galerię nade mną weszli i żaden się do skoku na mnie nie szykuje z dołu.

Oni zaś, w świadomości, że okpieni zostali, zaczęli się tak wychylać nad balustradą, że w końcu cel swój namierzili. Z uśmiechem honor im oddawszy, pogałem ku drzwiom w pół sekundy.

Lecz radość moja trwała krótko. Drzwi nie drgnęły nawet.

- Na miłość boską! - kopać je zacząłem.

Zasuwa z drugiej strony przedziwnym zrzędzeniem się zatrzasnęła po zamknięciu przeze mnie drzwi. Łomotać w nie począłem w nadziei, iż ktoś je od zewnątrz odemknie.

Spostrzegłszy me położenie ze swego stanowiska, skąd idealnie wszystko widać było, jeden z nich pospieszył z powrotem ku schodom, drugi zaś tymczasem, obserwując, wyczekiwał w górze, co dalej nastąpi. Jeśliby się pierwszemu udało do drzwi moich dostać, niechybnie znalazłbym się w potrzasku. Wykręcając szyję, wypatrywałem grupy dam w wieku podeszłym, która się akurat u szczytu schodów wyłoniła - licząc, że ich zejście na dół zatrzyma draba na tyle, iż zdołam wykombinować plan oswobodzenia.

Drugi na straży stanął, przez barierkę wychylony, z oczami utkwionymi we mnie naturalnie. Po kolejnej bezowocnej próbie zwrócenia uwagi kogoś z drugiej strony drzwi wróciłem ku krawędzi, by oszacować, czy zdołam między drzewa skoczyć. Aż znajome oblicze w dole napotkałem!

- Bonjour! - wydałem okrzyk.

Wpierw spojrzała na mnie, potem zaś w stronę chmur, tam, gdzie mnie pilnował baczenie ów drugi jegomość.

- Do drzwi się pan cofnij - nakazała z mocą.

- Zamknięte od zewnątrz. Otworzyć je musisz, mademoiselle!

- Cofnijże się! Dalej... dalej, monsieur... Postąpiłem wedle jej instrukcji, od bariery

się usuwając.

Osobnik nade mną wciąż mnie jeszcze widział, wychylał się bowiem i wychylał, prawie w nieskończoność.

Bonjour wzięwszy oddech, wrzasnęła przeraźliwie:

- Zaraz skoczy!

I histerycznym gestem dłoni wskazała Francuza, co niemalże zwisał - ponad barierą przechylony - sto osiemdziesiąt jardów od podłoża. Twarz mu całkiem pobladła, gdy na galerii krzyki wybuchły tu i ówdzie. Zwiedzający, by mu pomocy udzielić, tak ciasnym go otoczyli kręgiem, iż mało brakowało, a byłby wyleciał pod ich naporem silnym. W tej samej zaś chwili goście, którzy rzucili się z dołu widokiem ludzkiej tragedii pokuszeni, drugiego z moich prześladowców, któremu się zaledwie udało wędrówkę w dół rozpocząć, z powrotem na galerię zapędzili.

- Mademoiselle, to genialne! Otwórzże drzwi zaraz, jeśli łaska!

Bonjour na schody weszła i wkrótce posłyszałem chrzęst unoszonej sztaby. Rozradowany, pchnąłem drzwi, by oswobodzicielce podziękować; niewieście jedynej może, której nie byłem obojętny.

Próg przestąpiwszy, Bonjour pistoletem mi drobnym pogroziła:

- Ze mną się teraz udasz, monsieur.

* * *

Po drodze nie rzekła choćby słowa. Przed hotelem Barnuma dopiero mi ręce i nogi rozwiązała, po czym mnie bezszelestnie, chyłkiem, powiodła do kwater zajmowanych tam razem z Baronem. I on, ma się rozumieć, też nas oczekiwał.

- Z nimi współpracował, w komitywie wielkiej - oznajmiła najpierw. - Rozdzieliłam ich wprawdzie, acz się może zdążyli między sobą porozumieć.

- Z kim? - zapytałem w konfuzji. - Z dwoma łajdakami wiadomymi? W życiu bym się nie poważył na coś podobnego!

- Wspólnie się i prędytuko do wnętrza monumentu wkradli.

- Oni mnie, mademoiselle, zaczepili! A tyś ocaliła!

- Nie tego pragnęłam, monsieur! - zapewniła. - Może Duponte ich także na postronku wodzi...

Baron wykazywał jakieś poirytowanie.

- Zostaw nas, miła moja, proszę.

Patrząc z politowaniem na mnie, Bonjour opuściła izbę. Baron uniósł kieliszek napoju chłodzącego z sherry.

- Zdecydowanie zbyt mało alkoholu w proporcji do wody tutaj nalewają. No, ale chociaż łóżka z baldachimem mamy, a to przecież w Ameryce zbytek wielki, prawda? Ty się zaś mademoiselle nie przejmuj. Sądzi, że mi podległa, bom ją uratował, gdy się rzecz w istocie ma zgoła na odwrót. Jakby mnie chciała kiedyś zostawić lub gdyby się jej coś stało, padłbym trupem chyba. Doceń kunszt jej zatem, bo jest tego warta.

Na biurku spostrzegłem okazałą stertę notatek.

- Patrz - rzekł Baron z dumnym, lecz chytrym uśmiechem, widząc mą ciekawość.
- Oto wszelkie odpowiedzi, których, bracie drogi, poszukujesz, czarno na białym zapisane. Odczyt mój niegotowy, jak się domyślasz pewnie, ale już go niebawem przysposobię jak należy. Obawiam się jednakowoż - tu schylił głowę ku mnie - że mi wpierw trzeba będzie przed okiem niepowołanym strzec owych rozmaitych skarbów. No, ale kimże oni? Ci, coś z nimi został przyłapany? Czemuż to z tobą i Duponte'em współdziałają?

- Baronie - odparłem rozeźlony - nie znam ich, poznać nie zamierzam ani też w żadnym razie się z nimi nie związałem.

- Lecz ich widzisz często, jak i ja spotykam - stwierdził Baron wyniośle. - Wciąż mnie obserwują. Śmierć w ich obliczu widzę, a to niebezpieczne. Niechybnie ich też widziałeś, sam się na przespiewki za mną wybierając...?

Usta ledwo otwarłem, gdy mi odebrał szansę odpowiedzi.

- O, tak - rzekł, milczenie me za zgodę biorąc. - Wiem, odkąd ciebie Bonjour przypadkiem na nabrzeżu napotkała, boś ją tam z uwagą poszedł śledzić. Nie sądzę, byś w takich miejscach miał zwyczaj zażywać rozrywki, pośród marnych pijaczków oraz handlarzy niewolników. A może - wybuchnął śmiechem - niejedną mi jeszcze szykujesz niespodziankę...!

- Czemuś mnie więc nie powstrzymał, monsieur?

Kieliszkiem swym poruszył, aby się napój lepiej zmieszał.

- Czyż to nie oczywiste ci się zdaje? Nie dosyć jeszcze się zadajesz ze swoim panem? Był to wyraz desperacji, moim zdaniem. Duponte, orientując się, że przegrywa,

tobie nakazał za mną wszędzie ganiać. Rzecz owa jasno mi ukazała, iż się przed nim już bronić nie ma sensu. Prócz tego, ledwie zobaczyłem, co ty usiłujesz wykryć, bez trudu wówczas pojąłem, co frapuje Duponte'a nade wszystko. Bo widzisz, monsieur, kto szpieguje, ten musi zwyczajnie być śledzony.

- Skoroś pan, Baronie, taki mądry, zapewne ci od dawna wiadomo, kim są owi Francuzi, a także z czyjego działają polecenia.

Widocznie go poruszyła moja uwaga.

- Francuzi, pan powiadasz?

- Z akcentu ich i słów wnioskując, nie inaczej. Może by ci się nadali, tak jak doktor Snodgrass - chciałem do zrównania sił w rozmowie doprowadzić, wskazując, iż sam też kwestie rozwikłałem rozmaite.

- Nie takie to, obawiam się, proste, jeśli służą oni silnym ugrupowaniom z Paryża, które mnie prześladują z powodu moich spraw pieniężnych.

Wypowiedział owo zdanie w taki sposób, jakby sprawiedliwość po jego tylko i wyłącznie stała stronie - niemal mnie na jakąś chwilę w przekonaniu tym utwierdzając. Odgarnął z czoła włosy, rzadkie i teraz niby polepione.

- Widzisz więc, Quentin, brachu, jak to człowiek jest zmuszony za maskami wiecznie się chować i nigdy sobą naprawdę być nie może. A, wierz mi na słowo, i tę rolę gram wybornie! W sądzie oczy wszystkich na mnie są jedynie skupione i oponenci nawet u mnie chcą tylko prawdy szukać. I to mi odpowiada. Tak że ja łatwo komuś pola na razie nie ustąpię.

- Przecież nas dalej zwalczasz tandetnym swoim przebraniem - rzekłem mu w sprzecznie. - Aguste Duponte'a chcesz pan naśladować!

W kącie izby ujrzałem malowidło pędzla Von Dantkera, widać ukończone dawno. Nie sposób mi się było nie zadziwić jego kunsztem; doprawdy tak wyglądał na nim model, jakby i wiernie został uchwycony, i udoskonalony na dodatek.

Baron roześmiał się jowialnie.

- Czy Duponte umiał docenić mój dowcip? - spytał. - Ot, igraszka drobna pośród rzeczy wielkiej wagi. On na noszeniu masek nie zna się ani trochę. Uważa, iż działając jawnie, bardziej się do realności zbliży. Bez maski on... i każdy nie istnieje tymczasem.

Wspomniałem owo specyficzne skrzywienie ust, które Duponte zawsze

przybierał, pozując Von Dantkerowi, bo na gotowym konterfekcie dostrzec je się dało również. Uśmiezek nie jemu do końca przynależny... Czyżby detektyw jednak znał się na maskaradach? Ująwszy rzeczony malowidło, pod pachą je czym prędzej umieściłem.

- Zabieram obraz, Baronie, nie twoją on własnością przecież.

Obojętnie wzruszył ramionami.

Ja zaś kontynuowałem, w nadziei, że go choć cokolwiek sprowokuję:

- Pan wie... Pan wie zapewne... iż Duponte rozwikła tę zagadkę. Bo pierwowzorem jest Dupin.

- Sądzisz, że dla niego to istotne?

Tu się mocno zdumiałem, innej wszak repliki oczekując.

- A mówił ci Duponte przypadkiem, jakeśmy się poznali?

- Baron spojrzał na mnie z powagą. - Skądże, z pewnością nie - kiwając głową, oznajmił w zamyśleniu. - Zbyt sobą wszak pochłonięty stałe... Chciałby się w centrum uwagi wiecznie znajdować, lecz sam o sobie prawić nie chce, bo go to męczy zbyt. W Paryżu byliśmy wówczas obaj. I damę nazwiskiem Catherine Gautier oskarżono wtedy o zabójstwo, kobietę znajomkowi twemu drogą wielce.

Na myśl mi przywiodło policjanta, który w cafe paryskiej stwierdził, jakim to Duponte uległ przemianom, bo ukochaną mu za morderstwo powieszono, a on nic poradzić na to nie mógł.

- Darzył ją uczuciem Duponte, prawda?

- Nic to! I ja kochałem. No, nie patrz się tak na mnie, jakbyśmy w powiatce błahej brali teraz udział; nie tak, jak przypuszczasz, się toczyła sprawa. Bo myśmy nie walczyli o względy owej pani. Powab jej i bystrość umysłu każdego, kto ją poznał, zniewalały wszakże. Ciekawi cię, jak to możliwe, by damę tego pokroju oskarżono o zamordowanie siostry? To niedorzeczność, Quentin, bądź spokojny.

Catherine Gautier, jak mi objaśnił Baron, wywodziła się z klasy niższej, acz wyróżniała cnotliwością i wybitnym intelektem. Była ona najbliższą i (wedle niektórych) jedyną Duponte'a towarzyszką. Pewnego dnia znaleziono jej siostrę podle zamordowaną, a jej, Duponte'a kochance, zarzucono ową zbrodnię. Jako że policja doń wrogo się nastawiła, bo umiał wykrywać wszelakie przestępstwa, które tamtych przerastały, uznano ogólnie wtedy, iż owo pomówienie wynika z chęci zemsty na nim.

- Wina nie po jej stronie zatem?

- Bynajmniej - po chwili odpowiedź padła osobliwa. - Więc byłeś z nią zaznajomiony?

- Doprawdy, on ci nic, przyjacielu, nie powiedział na ten temat? Wszak wiele łączy was miesięcy... Owszem. - Baron się roześmiał. - Bo byłem jej prawnikiem, drogi panie! Broniełem w owej makabrycznej sprawie.

- Pan? - nie mogłem uwierzyć uszom. - Przecież ją stracono... Ty nigdy, jak wiadomo, nie przegrałeś jeszcze.

- Owszem. Wyjąwszy, tak się osobliwie składa, właśnie proces Catherine Gautier. Zadumałem się nad porażką Duponte'a.

- Nie dał jej rady ocalić, lecz sławę swoją odzyska - zapewniłem, używając pojęcia ulubionego przez Barona - obecnie dzięki Poego tajemnicy.

- Nie dał rady ocalić! - Baron znów się zaśmiał. - Nie dał niby rady?!

Szyderstwo to mnie zagniewało. Wiedziałem, że Duponte próbował badać sprawę samodzielnie, gdy mademoiselle Gautier trafiła do aresztu, ale się poddać w końcu musiał, zrozpaczony. Opowieść tę przytoczyłem teraz Baronowi.

- Badać próbował, tak ci doniesiono? A jakże, monsieur, w samej rzeczy. I wcale się nie poddał. Wiodło mu się pomyślnie, tak jak zwykle.

- Pomyślnie? Czyżby do egzekucji jej nie doszło ostatecznie?

- Jak dziś pamiętam - zaczął Baron - pierwsze swe odwiedziny u Duponte'a w Paryżu.

Baron musiał sam wyszukać miejsce stosowne na swój kapelusz i laskę, Auguste Duponte się o to bowiem absolutnie nie zatroszczył. Baron domagał się korzystniejszego światła w pomieszczeniu, bo jasność mu niezbędna była, ażeby zamasztyłym ruchem dłoni i ekspresją oblicza wrażenie wyrzeć odpowiednie dla uzyskania zgody na współpracę z Duponte'em. Rzecz jasna, uznał, iż jak o Duponte'a chodzi, nie będzie mowy o stosowaniu zwykłych metod perswazji. Wyjściowa zaś jego sytuacja nie wyglądała różowo, bo nie dość, że jako prawnik znalazł się na rozdrożu, to jeszcze w grę wchodziło życie wiadomej niewiasty.

Baron nigdy przedtem Duponte'a nie odwiedzał. Jak każdy wówczas w Paryżu człowiek dobrze zorientowany lub też kryminalista słyszał on po prostu o działalności

sławnego detektywa. Sam Baron postępował zawsze w myśl pewnej sztywnej zasady, nie przyjmował mianowicie spraw przestępców, którzy do aresztu trafili dzięki racjomaginacji Duponte'a. Powód owej reguły nie tak się zaś tłumaczy, iż osoby przez Duponte'a oskarżone za winne Baron uznawałby automatycznie. Otóż nie. Duponte cieszył się nieskalaną reputacją, na tyle wtedy silną, że każdy właściwie sędzia, dowiedziawszy się, iż on to oskarżenie wnosi, prawie na sto procent by nie przystał na uniewinnienie.

Teraz jednak Baron dostrzegł i dla siebie szansę. W celu wygrania swojej najcięższej sprawy mógł się posłużyć ślepym uczuciem detektywa wobec pani Gautier. Wmówić sobie zdołał, że każda z jego spraw jest jednakowo ważna i najistotniejsza, lecz ta, o której tu mowa, będzie mieć wyjątkowy charakter - ponieważ nikt inny, żaden już adwokat by się za nią wziąć nie poważył. Wobec powyższych faktów znacznie wzrosła determinacja Barona.

- Obronę tu solidną urządzimy - oznajmił Duponte'owi - gdyż celem naszym jest zapewnić mademoiselle swobodę - dodał śmiało. - Pomoc twa, monsieur Duponte, byłaby nieoceniona i kluczowa w samej rzeczy. Zostaniesz bohaterem obwołany, wolność jej gwarantując - te słowa wypowiedział już bez przekonania, wiedząc, iż jemu sława przecież ma przyspaść.

Duponte bez ruchu siedział w fotelu przy kominku wygasłym.

- Mój udział to potwierdzi, iż jest ona winna - odparł prawie obojętnie.

- Niekoniecznie, monsieur Duponte - zaprzeczył w ekscytacji Baron. - Znany jest pan z postrzegania zjawisk, których inni nie dojrzą wcale. Gdy wszyscy chcieliby ją widzieć winną, ty mógłbyś użyć swych talentów, geniuszu swego, monsieur, by niewinności dowieść tutaj. Jak głosi Pismo Święte, wszyscyśmy winni, monsieur, lecz czy potem i tego nie podaje, że niewinnymi też jesteśmy wszyscy?

- Nie dotarło do mnie, żeś pan tak w religii wykształcony, monsieur Dupin.

- „Baronie” się do mnie zwracaj, jeśli łaska. Duponte spojrział nań, okiem nie mrugnawszy. Baron zaś odchrząknął.

- Wybór ci proponuję, monsieur, który, ufam, do roztropności twej przemówi. Możesz swój geniusz zastosować w obronie ukochanej, co i ciebie kocha, przed losem zaiste najmroczniejszym. Lub siedzieć tu beczynnie w swej zbyt krowej izbie i dać się

samotności pożyć całkiem. Decyzję, co czynić należy, byłby tutaj zdolny podjąć choćby osioł. Jakież zatem będzie twoje przeznaczenie?

Baron nie nawykł korzystać ze słownictwa głębokiego, lecz w owym przypadku nie potrafił zwyczajnie istnieć ponad. Mademoiselle Gautier zdołała życie swe ocalić, gdy ją porzucił zamożny student z Paryża, którego była kochanką. W takiej to sytuacji dziewczęta na ogół popadały w prostytucję, lecz się tego udało uniknąć pannie Gautier. Mimo próśb usilnych Catherine na ulicę poszła wszakże jej siostra. I właśnie przez upadek siostry Catherine cierpiała, nie tylko bowiem miały to samo nazwisko, lecz także podobieństwo cech zewnętrznych, skutkiem czego obie myliły często znajomi, sklepikarze i policja. Mogłoby to dla niej stać się motywem dostatecznym: chcąc honor swój zachować, skazy się rzekomo pozbyć chciała. Baron wszak uzyskał dość informacji wskazujących, iż nieprawdopodobne wielce, aby oskarżona była zdolna uczynić coś podłego, a także zdobył nazwiska rozmaitych złoczyńców, z którymi się siostra jej zadawała w ramach swej nowej profesji i którym - bez trudu większego - dałoby się zarzut ów postawić.

- Kiedy się podejmę zbadania śmierci siostry - zaczął Duponte, na co się nieopisanie uradował Baron - wówczas nie życzę sobie, aby ktokolwiek trzeci o przedsięwzięciu był powiadomiony.

Baron obiecał nie informować żurnalistów o zaangażowaniu detektywa w sprawę.

Duponte zaś, tak jak mu to przyrzekł, zajął się zgłębianiem okoliczności zgonu siostry Catherine. I prędko, bez cienia wątpliwości, odtworzył kronikę zdarzeń do zbrodni owej prowadzących. Poza wszelką dyskusją uznał Catherine winną śmierci siostry. Wieść tę przekazał prefektowi, wspierając się świadkiem nie znalezionym przez policję, więc szanse Barona na triumf zaprzepaścił całkowicie. Po owym jego kroku Baron wpadł w większą jeszcze desperację. Zbyt dumny, by porażkę znieść z godnością, chcąc rzecz na swą korzyść przekabacić, poświęcił wiele zabiegów i wydał wiele tysięcy franków, co znacznie powiększyło jego i tak już spore długi. Ale starania wszelkie na nic się mu zdały. Świadcstwa bowiem Duponte przedstawił nie do obalenia. Sława i finanse Barona musiały lec w gruzach.

Tymczasem niejaki oficer Delacourt, spragniony awansu w prefekturze, zapewnił Duponte'a oraz Gautier, że wzięwszy pod uwagę ich świeże dowody, ukazujące ją jako

skonfundowaną i zbałamuconą młodą damę, niegroźną w nikłym chociaż stopniu - sądzona będzie na pewno pobłażliwie. Jednak parę miesięcy później została stracona w obecności Dupina, Duponté'a oraz trzech czwartych ludu paryskiego.

* * *

- Po pierwsze - rzekłem do Barona - w sprawie dotkliwiej cierpiał Duponté. Owe działania nie tylko nadwątlily w nim geniusz detektywa, lecz na dodatek utracił swą ukochaną, która przy tym zginęła z jego przyczyny! Nie możesz się pan mścić za swoją hańbę, jemu przysparzając teraz męki. Śmierci Poego nie wolno wykorzystywać w tym celu. Ja do tego nie dopuszczę!

Baron tak odparował:

- Wspomnijże pan wyborny ów aksjomat prawny: *super subjectum materiam* - człowiek żaden w profesji tej nie może obciążony być odpowiedzialnością za poglądy oparte na faktach podanych mu przez obce osoby - Baron zbliżył się do mego krzesła. - Nie ja rzecz rozpętałem, lecz ty, monsieur, przecież. Tyś mnie wszak nakłaniał, abym się rozpatrzył w okolicznościach śmierci poety. Sam wobec siebie tylko odpowiadasz, czyś to pojąć zdolny? Wykaż się rozsądkiem, bracie drogi, może! Wszak mi uzmysłowiłeś, iż mogę odzyskać utraconą sławę. Imię moje zszargane przez krytyków najrozmaitszych, bo cień geniuszu mego okazał się zbyt wielki, by sprostać ich małości, zatem oni wszyscy w nas dzisiaj wpatrzeni gotowi najdrobniejsze przewinienie w grzech śmiertelny obrócić celem zahamowania moich działań... Doprawdy, czy ci się to z autorem tak nam bliskim nie kojarzy?

- Śmiesz się pan do Poego równać? - spytałem, nie kryjąc zniesmaczenia.

- Nie muszę, on to już uczynił bowiem. Czemuż to, według ciebie, zrobił on Dupina najznakomitszą ze swoich postaci? W geniuszu analityka upatrywał wszakże własne boskie zdolności rozumienia spraw bogom oraz ludziom niedostępnych. A na czyj rachunek? Prefekt policji, nie bohater Dupin, zdobywa zewsząd uznanie. Nawet gdy pisarze inni, w połowie nie tak jak Poe utalentowani, bogactw się dorabiali, prokurując teksty dla periodyków ilustrowanych, on do ostatniej chwili walczył z przeciwnością losu, wojował, aż go na koniec... życia pozbawiono.

- Naprawdę ci się zdaje, monsieur, że byłbyś wzorem godnym Dupina?

- Nim na nieszczęście swoje zdołałeś pan Duponté'a sobie znaleźć, zwabiony

talentami, które dla własnych korzyści tylko pożytkuje - ty wzorem owym się jawiłeś, monsieur. Dupont to zwykły anarchista. Czy odkąd się panowie znacie, nie powstała ci w głowie ta wątpliwość, że... - Baron zwolnił znacznie tempa. - Może tobie wiadomo, iż z innych zgoła przyczyn dałem ci pozwolenie odgrywać naszego szpiega, przyjacielu. Abyś się przekonał z pierwszej ręki, Quentin, brachu, że przepuściłeś coś w Paryżu pośród fortyfikacji, gdy postanowiłeś wybrać do współpracy jego - nie mnie jednak.

Czyżby więc Baron nakazał komuś mnie obserwować, gdy się wtedy wieczór do hotelu jego skierowałem?... Wolnemu Murzynowi, co stał w oświetleniu ulicznym?...

- Dupont wzorem jest jedynym. Do pięt mu nie sięgasz - odrzekłem.

Nie mogłem przecież dopuścić, żeby odniósł zwycięstwo duchowe, odkrywając, jak zaledwie przed paroma dniami bliski byłem zwątpienia w potęgę Auguste Dupont'e'a - acz chyba coś podobnego wskazało Baronowi moje oblicze.

- No cóż - odezwał się z uśmiechem. - Tylko Edgar A. Poe by nam mógł powiedzieć, kto mu faktycznie za pierwowzór służył. Nie uczyni tego wszakże, bo go wśród nas nie ma. Jak coś rozwiązać w istocie, kiedy rozwiązanie jest nieosiągalne? Prawdziwy Dupin o prawdzie swojej świat przekona i on na placu boju zostanie w pojedynkę.

Duponte zaczął mnie napawać po raz pierwszy lękiem. Kiedy się zastanawiałem, czy zdolności jego, nieskrępowane nagle, uwolnione, mogłyby się objawić jako siła niszczycielska, tak jak je wykorzystał przeciw mademoiselle Gautier. Zaraz mi przyszedł na myśl finał *Złotego żuka*, porywającej historii Poe'go o wyprawie po skarb, gdzie zawsze tak mi podpowiadała intuicja, że gdzieś tam właśnie, w triumfalnym owym zakończeniu kryje się sugestia, iż Legrand, wielki myśliciel, ma zamiar służyć i przyjaciela swego zamordować, skoro już cel wspólny został osiągnięty. Ostatnie a złowieszcze zdanie opowieści: „Kto to wie?”, przeniknęło mój umysł niczym echo.

W pamięci przywołałem pewien osobliwy wieczór z mojej bytności w Paryżu. Poszedłem otóż za Auguste Duponte'em w owe obszary miasta, przed którymi mnie madame Fouche ostrzegła, iż groźne są częstokroć nocną porą. „Krzyki twe - tak mi rzekła - policji żadnej nie sprowadzą, bo policjantów tu wielu jest z półświatkiem sprzymierzonych”. Pamiętam, jak mnie zatrzymał przedmiot dziwny na wystawie, który zdawał się poruszać jakby samoczynnie. Był to krąg sztucznych szczęk przedstawiających wszelkie możliwe stany ludzkiej jamy ustnej: jedna o dziąsłach jasnych i nieskazitelnej bieli zębach, inna znów - przegniła i zepsuta, i tak dalej. Każda się kręciła, otwierając przy tym oraz zamykając z różną prędkością, sterowana niewidzialnym mechanizmem, wielce sprytnym. Ponad szczękami zaś obracały się woskowe głowy, o obliczu bezzębnym i zapadłym lub twarzy krzepkiej i świeżej, o uzębieniu połyskliwym, zapewne naprawionym przez dentystę, co miał tam za oknem swój gabinet.

Nim się zdołałem otrząsnąć z wizji tak hipnotycznej, poczułem uścisk wokół uszu. Świat pociemniał. Kapelusz nasunięto mi na oczy, aby mnie oślepić, i ktoś od tyłu zaczajony grzebać zaczął w kieszeniach mojego palta. Wzywając pomocy krzykiem, zdołałem unieść nieco rondo kapelusza. Wtedy mi się pokazała starucha w wyświechtanych łachmanach i o poczerniałych zębach. Po próbie oślepienia mnie nakryciem głowy, cofnąwszy się krok ledwie, stanęła w miejscu, zapatrzona we mnie. Za jej wzrokiem dążąc, napotkałem spojrzenie Duponte'a, bo to on się tam ustawił kilka stóp od mej napastniczki. Ledwie ona zbiegła, z wdzięcznością się ku Duponte'owi

zwróciłem. Cóż ją tak przelęknęło? Jeżeli nawet wiedział, nigdy się ze mną nie podzielił ową wiedzą.

Teraz przyszło mi na myśl, iż nędznej kreaturze przypomniał się Dupont z okresu minionego zapewne. Wmieszana w zbrodniczy proceder przezeń widać zniweczony... Być może brała udział w jakimś skrytobójkowym planie (a ponoć w swoim czasie detektyw niejedną wykrył spisek zamachu na głowę państwa) i wskutek jego przenikliwości popadła stopniowo w dziką desperację. Nie strach fizyczny przed Dupontem ucieczkę jej spowodował. Nimby ją powstrzymać zdołał (o ile taki mu przyświecał zamiar), mogłaby mi bez trudu zadać dziesięć ciosów prosto w serce. Nie zwinności jego się zatem obawiała, lecz uległa instynktownemu lękowi przed myślą najczystsza, przed jego geniuszem.

„Kto to wie?”

Powróciwszy do „Glen Elizy” z hotelu, gdzie Baron zamieszkiwał, zastałem Dupontę w salonie przy dużym oknie - ze skupioną twarzą wpatzonego w drzwi. Począłem opowiadać o wszystkim, co się mi ostatnio przydarzyło.

- Bierz pan to - przerwał Dupontę, unosząc skórzaną sakwę - i pod adres zapisany tutaj zanieś. - Podał mi skrawek papieru.

- Monsieur, czemu nie chcesz słuchać, co ci opowiadam? Baron Dupin...

- Musisz zaraz iść, monsieur - rzekł mi na to. - Najwyższa bowiem pora.

Zerknąłem na ów adres, ale go nie rozpoznałem.

- Dobrze więc... A co mam powiedzieć, kiedy już tam dotrę?

- Sam się zorientujesz, bądź spokojny.

Z konfuzji wprost niebywalej umknęło mi całkowicie, iż jak na ową godzinę niebo jest stanowczo za ciemne. Gdy deszcz się wreszcie rozpadł, zbyt daleko zająść zdołałem, żeby się wrócić po parasol. Wody tak po drodze przybierało, że zmoczyłem nogi aż po kostki. Brnąłem jednak naprzód, krajem kapelusza osłaniając twarz, na ile się tylko dało.

Część dystansu wprawdzie przejechałem omnibusem, lecz i tak od wędrówki przez ulewę odzież mi cała zawilgła. W końcu przybyłem do niewielkiego biura, gdzie jakiś człowiek za biurkiem zasiadając, pochłonięty był wysyłką depešy.

- Sir? - zwrócił się do mnie.

Nie wiedząc, co mu powinienem odpowiedzieć, spytałem jedynie, czy adres, którego poszukiwałem, jest właściwy.

- To na dole - odrzekł tępo.

Zaraz więc zszedłem schodami, gdzie dostrzegłem szyld zalany wodą. Znajdował się tam sklep sukiennika. I proszę! Po to mnie tak naglił Dupont, by, zdaje się, płaszcz jego do naprawy oddać - być może więc miał w planach jakąś proszoną kolację...? Wszedłem do środka zniecierpliwiony wielce.

- No, toś pan dobrze trafił - rzekł mi na powitanie jegomość z brzuchem wielkim wciśniętym pod satynową kamizelę.

- Czyżbyśmy się, sir, już poznali?

- Nie, sir, nic podobnego.

- Skąd więc wiesz, że trafiłem, gdzie potrzeba?

- Bo widzę przecież jasno! - rozwarł ramiona w dramatycznym geście, niby na widok syna marnotrawnego, co doń z tułaczki wraca. - Do kości przemoczony! Oj, żebyś mi się jeszcze nie zaziębił! No, ale się nie obawiaj, mam dla ciebie stosowne ubranie! - zaczął grzebać za biurkiem. - Miejsce jak najstosowniejsze znalazł, by odzież swoją wymienić.

- Mylisz się pan; ja ci coś przynoszę.

- Doprawdy? Niczego się nie spodziewam - odrzekł mi zachłannie.

Worek na krzesło wyłożyłem i otwarłem, by wewnątrz znaleźć tylko złożony egzemplarz „Sun” pochodzący z Baltimore. Z włosów mych i czoła skapnęło na stronicę kropli kilkanaście.

Człowiek szybko porwał gazetę, a twarz jego, dotąd przyjazna, spochmurniała.

- Niech mnie, młodzieńcze! Wszak sam potrafię dziennik nabyć! A ów nie tegoroczną nawet datę nosi! Szydzić ze mnie przychodzisz? I na cóż mi niby to pismo? - spojrzał na mnie z niechęcią; już nie panem dlań byłem, ale młodzieńcem zaledwie. - Jak nie masz do mnie dzisiaj interesu... - i ręką się zamachnął, przy słowie „interes” wskazując pośród rozlicznych oznaczeń na ścianie ogłoszenie swoje:

Zakład z odzieżą modną. Koszule, kołnierze, podkoszulki, kalesony, apaszki, skarpety i wyroby pończosznicze - jakością pod każdym względem równe odzieży na miarę szytej.

- Czekajże pan, chwileczkę! O wybaczenie proszę - rzekłem z mocą. - Z chęcią wymiany przyodziewku dokonam.

Ożywił się gwałtownie.

- Wybór to roztropny jak najbardziej! Już szukam więc dla ciebie ubrania o kroju i rozmiarze idealnym.

- Bo handlem strojów wymiennym się, sir, trudnisz, tak?

- Gdy zaistnieje taka konieczność, oczywiście. Usługi me są niezbędne dżentelmenom w tarapatkach, jak tobie właśnie. Tylu zimą nawet parasola zapomina i zaledwie jedno ubranie w kufrze swym posiada. Przyjezdni w szczególności. I pan spoza Baltimore, mam rację?

Ruch wymijający na to uczyniłem. I nagle lepiej pojąłem pracę jego i Duponte'a...

Sukiennik przyniósł w garści kilka części garderoby - niezwykle w rzeczy samej był to kostium! Powtórzył też swe zapewnienie co do jakości przyodziewku, mimo iż okazał się on lichy i w dodatku zupełnie na mnie nie pasował. Płaszcz o kołnierzu aksamitnym pozbawionym barwy poniekąd dopełniał „odcieniem” jedną spodni nogawkę, tę mniej wypłowiałą - lecz kamizelka się wzięła z obcej zgoła parafii. Wszystko kilka rozmiarów za ciasne jak na moją postać, a mimo to sklepikarz z dumą mnie najwyższą określił „wypiękniałym” wielce i podał lustro, bym się mógł napawać swym widokiem.

- Nie dość, że suche stroje, to i leżą jak ulał, prawda?! Patrz, ileś pan zyskał na tym interesie - usłyszałem. - No, proszę - laskę uniósł moją - ciekawy okaz tu mamy, rzadki, jak na moje oko. Dla pielgrzyma jak ty jednak stanowczo chyba za ciężki. A może byś się tak z nią rozstał? Gotów jestem dobrze zapłacić, a cen mych, sir, w okolicy nikt przebić nie zdoła.

Wychodząc, mało nie zapomniałem gazety, z którą mnie Duponte posłał. Spojrzałem na datę umieszczoną u góry stronicy: czwarty października 1849 roku. Dzień po znalezieniu Poego w strojach niedopasowanych w gospodzie u Ryana. Przekartkowałem czasopismo, by sprawdzić sprawozdania pogodowe z zeszłej doby, to znaczy z owego czasu, gdy Poe został znaleziony. „Zimno przenikliwie oraz mgliście”. „Deszcz i ślota”. „Wicher porwywisty ze stron północno-wschodnich”.

Całkiem przecież jak dzisiaj. Gdy przed przybyciem tutaj wszedłem do biblioteki,

Dupont stał przy oknie, nie w przestrzeń wzrokiem nieobecny patrząc, tylko najwyraźniej w niebo oraz chmury. Oczekiwał pogody zgodnej z opisem brzemiennego w skutki dnia trzeciego października, bo w taką mnie aurę właśnie postanowił wyeksponować.

- Zabiorę ją, sir - rzekłem grzecznie, wyciągając malajkę z jego dłoni. - Z nią nigdy bym się nie rozstał.

Przed wyjściem wyjąłem z kieszeni nieco grosza i wziąłem sobie parasol oparty za stołem.

Na zewnątrz zaraz stwierdziłem, iż krok mi się plącze z powodu skrępowania nóg nierównym szyciem spodni. Zatrzymałem się na moment pod markizą, żeby wypróbować kapryśny parasol.

- Oberwanie chmury.

Podsłuchałem, wystraszony szorstkim głosem. W ławie ciemnych kropel z trudem się dało dojrzeć ludzką postać.

Musiałem zmrużyć oczy, gdy osobnik ów się do mnie zbliżył, a tuż przy nim - drugi.

- Kryć się chcesz przed nami, monsieur Clark, nieprawdaż?

Szubrawcy z Francji!

- Strój taki - odezwał się drugi, głowę chyląc na mój żalony przydzwiek - z pewnością cię nie schowa.

- Panowie... monsieurs... Sam nie wiem, jak się do was zwracać. Nie noszę tego, aby się przed wami maskować. Zaiste nie mam pojęcia, czemu mnie prześladujecie w dalszym ciągu.

Wiem, że niestosowna na to była pora, lecz mój wzrok, wolny jakimś cudem od spraw myśli me zaprzętających, raptownie powędrował ku latarni, gdzie wiatrem szarpane łopotąło drobne obwieszczenie. Odczytać go nie mogłem, lecz intuicja mi szepnęła, że coś tam ciekawego figuruje.

- Słuchaj, a nie rozglądaj się!

Łotr mnie trzepnął w policzek, niezbyt mocno, owszem, lecz tak nagle, że na chwilę uległem prawdziwemu wstrząsowi.

- Człowieka, co śmiercią naznaczony, długo ochraniać nie sposób. Nam już

wszak wydano stosowne rozkazy.

Wspólnik wyciągnął pistolet ze swego wierzchniego okrycia.

- Tyś dawno zamieszany w sprawę. Przyjaciół z większą uwagą trzeba sobie dobierać.

- On nie jest moim przyjacielem! Kłamstwo to wierutne!

- Czyżby ci dziewczka jego dla rozrywki własnej dopomogła w kolumnie Washingtona? - spytał.

- Zaklinam: to nie jest przyjaciel! - krzyknąłem głosem z przestradchu rozedrganym.

- Nie... Już nie - odparł tamten.

Sir! Sir! Zapomniałeś... Zjawił się sukiennik z torbą przeze mnie zostawioną. Na widok mych towarzyszy i gestów ich złowrogich zwolnił kroku. Jeden z łotrów trzymał mnie pod ramię z całej siły. - O cóż się rozchodzi? - ruchem dłoni wściekłym sukiennik wskazał mego prześladowcę. - W spokoju masz zostawić przyodziewek!

Kiedy zaś krok naprzód postąpił, drugi z napastników, na pięcie się obracając, wymierzył mu cios w twarz silniejszy znacznie od zwykłego.

Zatoczywszy się, sukiennik padł na ziemię z przenikliwym, kocim niby jękiem. Korzystając z zamieszania, uwolniłem się z uścisku. Parasol świeżo zakupiony za siebie cisnąłem i biegiem się rzuciłem do ucieczki poprzez strugi deszczu, co niczym muru bryły po ciele mnie grzmocił. Dranie dwaj, napastnicy, podążyli za mną.

Skręciłem w pierwszą przecznicę, w nadziei, iż mrok burzy mnie osłoni. Lecz tamci niemal natychmiast zmniejszyli odległość między nami. Wykręcając głowę do tyłu, aby pościg dojrzeć, potknąłem się o jakąś wyrwę na chodniku. Lecz chociaż równowagę odzyskałem, zbliżyli się niebezpiecznie, a jeden ręką dotknął nawet mego palta. Więcej się zatem nie odważyłem za siebie popatrywać.

W pobliżu stado świń żarło wieczorne odpadki. Gonitwa nasza zakłóciła im posiłek, tak że się rozpierzchły dookoła.

Wtem rozjaśnił wszystko promień światła z nieba. Zdyszany, łapczywie zaczerpnąłem powietrza. Byli tuż-tuż za mną i niewiele brakło, żeby mnie wreszcie dopadli. Spostrzegłem przed sobą ulicę, gdy mnie doleciały słabe tony dzwonów - co mi z kolei pomysł pewien nasunęło. Pospiesznie się obróciwszy, ku Francuzom ruszyłem zniemacka. Im zaś, rozpędzonym strasznie, moment zajęło hamowanie na śliskim podłożu.

W Europie tory kolejowe zwykły się rozpoczynać na peryferiach miast, tymczasem często spotykałem gości z zagranicy zaskoczonych, iż u nas pociąg w samym centrum w drogę swą wyruszał - wpierw przez najsilniejsze wleczon konie, a później doczepiany do parowozu. Gdy owi dwaj osobnicy znów za mną żwawo pognali, powiodłem ich pod znak: „UWAGA - LOKOMOTYWA”. W przestrachu śmiertelnym przystanęli, rozglądając się wokół jak w obłędzie.

W końcu musiałem zwolnić, aby oszacować sytuację z tyłu. Tam jednak nie było żywej duszy. I deszcz nieco zelżał. Zatrzymałem się, nic mi już nie groziło.

Nagle owe łajdaki znów się skądś zjawiły, ramię przy ramieniu, niczym diabli z otchłani niezmierzonej.

Zrozpaczony, nagle dostrzegłem, że jest z nimi jeszcze ktoś trzeci. Zbliżał się, ja zaś, wstrząśnięty, uprzytomniłem sobie, iż to ów Murzyn w starszym wieku, którego uprzednio z Baronem widziałem, a który mi się na ulicach nieraz przyglądał z uwagą. Ponieważ zniewolony przez Barona młodzian zapewniał mnie, iż żadnych czarnoskórych on więcej nie zatrudnia, uznałem, że ów osobnik mógłby z Francuzami współpracować. A teraz oto zmierzał prosto na mnie!

Nie miałem dokąd uciec, nie narażając się przy tym na szarżę z jakiejś strony. Stwierdziwszy, iż szanse me na jednego mimo wszystko większe, z impetem dałem nura naprzód. Uchylić się próbowałem, lecz mnie ów czarnoskóry za rękę chwycił i przytrzymał.

- Tędy! - usłyszałem mimo swych sprzeciwów.

Dałem się powieść w głąb wąskiej, ciemnej uliczki. Biegliśmy razem, a jegomość ów dłonią tak mi plecy wspierał, żebym nie pozostał w tyle.

Francuzi jednak nie zrezygnowali. Towarzysz mój niespodzianie zaczął mnie wyprzedzać, by w ułamku sekundy cofnąć się poza mnie, drogę mi naraz zachodząc z lewa, to znów z prawa.

- Rób to co ja! - wrzasnął.

Pojąwszy jego taktykę, tak właśnie uczyniłem. W deszczu i mroku dzięki temu zbóje mieli się pogubić, który z nas jest który.

Czarny rzucił się przede mnie, po chwili zaś wahania i konfuzji jeden łotr podążył za nim. Drugi natomiast zwawiej znacznie skupił się tylko na mnie. Tak oto choć o połowę zmalała liczba palców, które mi się chciały do gardła dorwać. Mnie jednak nie starczyło czasu na rozmyślania, dlaczego ów nieznajomy, którego brałem za przeciwnika, postanowił mi udzielić pomocy.

Przewagę zyskałem niemałą, lecz działać mi było trzeba jak najprędzej. Zerknąwszy do tyłu, ujrzałem, jak drab przystaje raptem i unosi pistolet. Rozległ się huk strzału niby łoskot gromu. Kula przedziurawiła mi kapelusz. Gniew w oczach złoczyńcy i

donośny pomruk jego furii przyprawiły mnie o grozę większą niż ów rewolwer. O mało z dłoni nie wypuściłem swojej laski - tak się co rusz, wodą zlaną, wyślizgiwała...

* * *

Deszcz widocznie przechodził, podłoże zaś całe w błotnistą maź się zamieniło. Ja, bez przerwy się potykając, uciec starałem się Francuzowi, który mnie teraz śledził w pojedynkę. Wysiłek też podjąłem, by wołać pomocy, lecz mi całkowicie moc w ustach odjęło, więc choć nas przestrzeń dzieliła znaczna i trakt wyboisty, gdybym się zatrzymał, zapewne byłbym narażony na wielkie ryzyko. Prócz tego, ze względu na przemoczony i bezładny strój, no i z gołą głową, wyglądałem niczym jakiś szalony włóczęga, których się niesłychanie obawiali mieszkańcy miasta. Nikt by mi się zatem pomóc teraz nie odważył. Szukając schronienia w kwartale handlowym, zdołałem wykryć drzwi obszernej hurtowni, podmuchami wiatru silnego rozwarte. Wbiegłszy szybko do środka, zaraz namierzyłem schody.

W drodze do góry natknąłem się na pojedyncze koło, świeżo malowane, które mi sięgało prawie aż do szyi. Szybko wtedy odkryłem, gdzie też się znajduję.

Otoczały mnie ze wszystkich stron koła, bryczki, wodze i osie najróżniejsze, jako że natrafiłem na wytwórnię powozów przy Holliday Street, należącą do Curletta. Pierwsze piętro mieściło salon, gdzie najnowsze pojazdy były wystawiane oraz sprzedawane. Podobnie jak fabryka fortepianów, ulokowana kilka przecznic dalej, gmach ów stanowił świadectwo nowych trendów: wytwarzać, magazynować i sprzedawać - wszystko w jednym miejscu.

- Flinta twoja, śmiałku, już zreperowana - rozległ się jakiś głos po francusku.

Łotr pojawił się w drzwiach i z uśmiechem drwiny, acz dech ze świstem łowiąc, wpatrzył się we mnie srogim wzrokiem.

- Stąd nie ma ucieczki. Chyba że chciałbyś może oknem skoczyć.

- Nic podobnego nie zamierzam. Życzę zaś sobie z tobą się rozmówić kulturalnie. Bo nic mnie nie obchodzi, żeś się tu wyprawiał egzekwować swoje pieniądze od Barona.

Zbliżył się, więc zrobiłem krok do tyłu. Przyjrzał mi się badawczo.

- Tak niby uważasz, monsieur? - nieprzyjemnie parsknął. - Sądziś, że przyjechaliśmy marnych paru tysięcy franków się domagać od jakiegoś drania? - zapytał z urazą. - Tu stawka znacznie większa - o przyszłość Francji nam się rozchodzi.

Czyżby upadły adwokat, Baron Dupin, miał wpływ na losy kraju?!

Wieść ta wprawiła mnie w niebywałe zaskoczenie, on zaś się widocznie wściekle zirytował.

Zamachnąwszy się, porwałem gigantyczne koło i na nie naparłem, gromadząc resztki sił. Francuz je ręką odepchnął oraz butem, tak że się nieszkodliwie na bok przewróciło.

Rzuciłem się w głąb pomieszczenia, lecz miał rację, mówiąc o ucieczce niemożliwej. Nawet gdybym nie był znużony i przemoczony do ostatniej nitki, przestrzeń niby śmietnisko zasłaniały części pojazdów najrozmaitsze. Gdy spróbowałem przesadzić na poły ukończoną brykę, noga mi tak uwięzła w jakiejś szparze, że runąłem w dół - przy wtórze potwornego śmiechu.

Ale nie na ziemi wylądowałem, tylko znacznie gorzej. Zaplątałem się w sznur z tyłu powozu, który wiązał elementy pewne jeszcze do wehikułu nie przymocowane. Szarpiąc się i kopiąc w wysiłku ucieczki, raptem sam sobie wokół szyi pętlę uczyniłem ciasną. Zacząłem tak manewrować laską, aby nie stracić całkiem równowagi i w desperacji najwyższej próbowałem poluzować węzły pętające kark, lecz lina się zaciskała wraz z każdym moim ruchem.

Niespiesznie zbliżył się do mnie ów Francuz. Wlazł do środka powozu, który na razie dachu nie miał jeszcze, i z uśmiechem stanąwszy nade mną, odepchnął malajkę moją od pojazdu ruchem gwałtownym i śmiałym. I kiedy się raz po raz, dyndając w powietrzu, starałem uczepić wehikułu za pomocą laski albo dłoni - rozradowany prześladowca mi to udaremniał. Ponieważ owo makabryczne lasso powoli już wżerało mi się w szyję, wetknąłem tam rączkę laski w miejsce najluźniejsze. Nogami wierzgając jak w obłądzie, chciałem podłóża dotknąć, choć jednak dzielił mnie odeń dystans zaledwie paru cali, okazał się ów wyczyn niemożliwy żadną miarą.

Dać się tak powiesić, za sprawą powozu! Niemal jak Francuz gotów się byłem w oburzeniu zaśmiać nad swym losem.

W górze podwieszony, ująłem malajkę mocno w obie ręce, niczym w modlitwie beznadziejnej, tak że - odkryłem później - pory drewna odcisnęły mi na mokrych dłoniach białe ślady. Z oczyma zamkniętymi stwierdziłem nagle, iż laska nie wytrzyma

obciążenia, tak jakbym nagle dostał siły czterech mężów. Uniosłem powieki, w jej środkowym odcinku ujrzałem z radością rozbłysk lśniącej stali, bo mianowicie była złożona z dwóch osobnych elementów, złączonych w centrum właśnie, które się teraz na me szczęście znacznie rozsunęły.

Szarpnąłem mocniej, by odkryć, iż górna jej partia skrywa ostrze, które się da bez trudu stamtąd wyjąć. Szpada najprawdziwsza była schowana w malajce, na dwie... nie: na całe półtorej stopy długa!

- Poe - wyszeptalem, oddech biorąc, lecz widać jeszcze nie ostatni w życiu.

I w okamgnieniu więzy swe rozciąłem, po czym uwolnioną ręką przytrzymałem się pojazdu.

Spojrzawszy w górę, ujrzałem wiadomego łotra, jak na bryce przysiadł i z ciekawością się przygląda sytuacji. Na widok oręża mego pistolet trzymał teraz w pogotowiu. Z wyciem triumfalnym taki zamach wzięłem, że mi się udało drasnąć dół jego ramienia. Wtedy, oczy mrużąc, cios zadałem nowy. Francuz teraz wydał przenikliwy okrzyk.

Padłem na ziemię, na plecach się rozkładając. Stopy oparte miałem o bok bryczki. Rozsierzony i blady łobuz z Francji, wyrzekając z bólu, oczy z wrażenia wybałuszyl, kiedy pchnąłem nogami obydwoma brykę, aż się potoczyła, koło zaś jakieś luźne z osi się zsunąwszy, tak go przytrzasnęło, jak wielki nagrobek. Fragment zaś inny pojazdu uszkodził jedną z pobliskich rur, wznosząc nad pandemonium owym kłęby pary wodnej.

Z trudem z ziemi wstając, wsunąłem szpadę do osobliwej pochwy. Lecz samą tylko chwałą nie mogłem do domu dotrzeć ani się pokrzepić. Umęczonemu wysiłkiem i z nogą obolałą, udało mi się powlec najwyżej stóp dziesięć od budowli - i znowu upadłem. Wsparłem się o laskę, co mi życie ocaliła, przerażony, iż któryś z drabów znajdzie mnie w tak słabym stanie.

Zza ledwie zamkniętych przeze mnie drzwi magazynu rozległ się naraz łomot i jęk przeokropny.

- Clark! - dobiegło mnie w chaosie moje własne imię. Niby z oddali się rozległo, ale wiedziałem dobrze, skąd pochodzi: z bliska.

Czy to za sprawą upiornego lęku, czy pulsowania w żyłach, a może z

wycieńczenia organizmu lub przez owe czynniki wszystkie naraz - ledwie dotyk ręki poczułem, poddałem się niemal bez szemrania, kiedy mi zadano w głowę potężny cios.

Odgłosy swobodnych rozmów zlały się w odległy pomruk. Stopniowo mi się rozjaśniało przed oczyma. Mężczyźni pili wino oraz piwo, a nozdrza me wypełniła przykra ostra woń żutego tytoniu. Próbując się wyprostować, poczułem, iż coś mi władzę w karku ogranicza. Izba tak bodajże wyglądała, jak wspomniana w zajeździe Ryana tawerna owego popołudnia, gdy się tam Poe zjawił. W pamięci przywoławszy niemiłe spojrzenia, jakie mi w lokalu po drugiej stronie ulicy rzucali wigowie z Okręgu Czwartego, sięść wreszcie prosto zdołałem mimo zawrotów głowy.

Gdy grupka jegomościów przeszła tuż obok zapalonych świec, zorientowałem się, iż są wszyscy czarni - w istocie gospodę zaludniali ciemnoskórzy osobnicy i kilka młodych kobiet w barwnym przyodziewku, przy czym również spostrzegłem, że okna inny niżli u Ryana mają tutaj układ. Przez wzgląd na płci niezobowiązujące przemieszanie ów przybytek bardziej przypominał Paryż, a nie moje miasto. Na ramiona, pozornie skrępowane kaftanem bezpieczeństwa, narzucono mi stos grubych ciepłych pledów.

- O, lepiej pan wyglądasz.

Odwróciwszy się na owo zdanie, ujrzałem człowieka, który na sobie skupił uwagę jednego z łotrów przy pościgu za mną.

- Ktoś zacz?

- Zwę się Edwin Hawkins.

Prawie mi rozsadziło skronie.

- Tyś mnie uderzył? - spytałem, bok głowy masując.

- Skądże, nie teraz cię ktoś huknął, choć takie możesz mieć wrażenie. Podczas ucieczki z powozowni pan się jak długi przewróciłeś i potem zaledwie parę jardów udało ci się powlec. Nim cię przytrzymać dałem radę, głową grzmotnąłeś o trotuar. Przywiodłem cię zaś tutaj, żeby przed nimi cię ukryć. Dżentelmen, który mnie ścigał, poddał się, kiedyśmy lampę uliczną wyminęli, bo wtedy wyraźnie zobaczył, że goni nie za tym, co mu trzeba, choć o zakład idę, że cię gdzieś pewno szuka dalej.

- Czy osobnik w składzie życie utracił z mojej ręki? - spytałem, zdjęty lodowatą grozą.

- Za tobą wyleciał, lecz też upadł zaraz. Mocno poraniony, więc mu tam lekarza wezwałem. Po cóż mieć śmierć czyjaś później na sumieniu...

Bacznie się rozejrzałem dookoła. Lokal ów z gorzałką mieścił się na zapleczu sklepu murzyńskiego z artykułami spożywczymi. Działalność podobnych przybytków urządzonych w Starym Mieście, na przykład przy Liberty Alley, wedle częstych prasy wyrzekań winna zostać zabroniona prawem, bo wpływ zgubny wywiera na klasy uboższe, wywołując pośród nich potrzebę zamieszek. Obecnie w kącie pomieszczenia rozprawiało poufnie dwu mężczyzn jaśniejszej karnacji, z których jeden co chwila zerkał w moją stronę, tak że wzrok odwracałem. Podejrzliwych spojrzeń nie zaznałem od dawna, mimo że przecież poza mną jeszcze tam przebywało kilku (niezamożnych) białych, dzieląc stoły z ciemnoskórymi robotnikami. Z całą jednak pewnością nie miałem powodu czuć się tam bezpiecznie.

- Nic panu nie zagraża, bądź spokojny - zwrócił się do mnie Edwin z opanowaniem najprawdziwszym. - Zwyczajnie się czas jakiś skryć musisz przed słońcem.

- Czemu ryzyko dla mnie podejmowałeś? Wszak my się nie znamy.

- Zgadza się, panie Clark, acz nie dla ciebie to zrobiłem, tylko dla człowieka, z którym się kiedyś poznałem. Dla Edgara Poe rzecz ową uczyniłem.

Twarz jego przystojną, o rysach wyrazistych wzrokiem ogarnałem. Parę lat po czterdziestce liczył zapewne, nic ponad to, lecz mimo sieci zmarszczek gęstej nader - w oczach miał ukryty żar istotom młodszym duchem przystający.

- Autora zatem poznałeś?

- Nim mnie uwolniono jeszcze, nie inaczej.

- Ach, byłeś w niewoli?

- Owszem - przytaknął w zadumie. - U pana Poego.

* * *

Ponad dwadzieścia lat Edwin Hawkins służył u jednego z krewnych Marii Clemm. Pani Clemm, zwana Muddy, była ciotką Edgara Poe, później zaś, gdy autor poślubił młodszą jej córkę, Sissy, stała się dlań teściową. Po śmierci krewnego tytuł posiadania Edwina przypadł Muddy, podówczas w Baltimore zamieszkałej.

W owym okresie Edgar zrzekł się stanowiska starszego sierżanta w forticy Monroe w stanie Wirginia, przekonany o swym poetyckim powołaniu, odkąd zakończył

pracę nad eposem lirycznym *Al Araaf*. Starania o zwolnienie z wojska były długotrwałe i deprymujące, jako że Edgar wymagał zgody dwóch stron, równie bezwzględnych i surowych, mianowicie: opiekuna swego, Johna Allana, a także przełożonych w armii. Cel wreszcie osiągnąwszy, Poe tymczasowo mieszkał u ciotki Muddy i jej licznej rodziny w Baltimore. Eddie, jak go nazywali wszyscy w owym czasie, zaciągnął się do wojska pod nazwiskiem Edgar A. Perry (młody niewolnik posłyszał, jak prosi ciotkę Muddy o baczenie na przesyłki imieniem owym opatrzone) w nadziei, iż owym sposobem zerwie wszelkie powiązania z Allanem, który odmówił mu wsparcia w literackich przedsięwzięciach.

Niestety, zwolniony z Allana roszczeń, jak i ze służby wojskowej, Edgar Poe znalazł się całkowicie bez grosza przy duszy, w dodatku też bez żadnej pomocy, by w świecie móc zaistnieć.

Muddy, wysokim wzrostem obdarzona, kulturalna dama w wieku lat czterdziestu, drzwi domu przed nim otworzyła niby własnemu synowi. Edwinowi się poeta zdawał człowiekiem nade wszystko przedkładającym niewieście towarzystwo. Zmuszona się nader często zmagać z chorobą w rodzinie, a więc podupadła finansowo, Muddy poprosiła siostrzeńca, by wziął świeżo odziedziczonego niewolnika i zajął się jego sprzedaniem. Niebawem też Poe transakcji owej dokonał - i Edwin trafił do czarnoskórej rodziny Henry Ridgewaya za kwotę czterdziestu dolarów.

Tu wyraziłem ciekawość szczegółami owego ustalenia. Wziąwszy pod uwagę, iż Edwin był niewolnikiem młodym oraz silnym, Poe mógł zań otrzymać nawet pięćset lub sześćset dolarów, jak nie więcej.

Tak mi oto Edwin wówczas odpowiedział:

- Prawo nasze stara się przeszkadzać w dawaniu swobody niewolnikom, czyniąc proces ów kosztownym, by to nie wyglądało tak, że gospodarkę wewnętrzną nam zakłóca. Pan Poe i jego ciotka nie dysponowali tak wysoką sumą. Lecz nie istnieje prawo broniące rodzinie czarnej nabyć drogą kupna niewolnika ani też nie ma ustawy, która cenę minimalną sprzedaży by regulowała. Sprzedanie niewolnika tanio wolnemu Murzynowi, choćby i za sumę honorarium adwokata, stało się więc inną drogą zapewnienia mu wolności... Mnie - darowania swobody, jak stało się w owym przypadku. Prócz tego mogłem pozostać w Baltimore, mieście całkiem może nie idealnym, lecz za

to rodzinnym. Wielu mych braci i żony, i dzieci własne w niewoli u siebie trzyma właśnie z owej przyczyny.

- Poe raczej się w pismach swoich kwestią ową nie zajmował - rzekłem. - Nie walczył on, jako autor, o zniesienie niewolnictwa. - W istocie zawsze sądziłem, iż Poe wręcz nie lubił się za kimś opowiadać, z góry już zakładając, iż wyrazem to jest obłądy. - A przecież w twojej sprawie zachował się zgoła inaczej, z setek dolarów rezygnując, gdy sam żył w ubóstwie, pozbawiony wsparcia.

Edwin zaś tak odrzekł:

- Nie o to się rozchodzi, co kto wypisuje. Zwłaszcza człowiek, który dla zarobku pisze, jak Poe usiłował. O charakterze człowieka czyny bowiem stanowią. Lat zaledwie dwadzieścia ukończyłem wtedy. Poe liczył wiosen dwadzieścia, będąc ode mnie starszym o kilka ledwie miesięcy. Cokolwiek myślał sobie o kwestii niewolniczej, podczas naszej krótkiej znajomości nigdy tematu owego nie poruszał. W ogóle był człowiekiem małomównym. Niewielu posiadał znajomych, przyjaciół zaś prawie wcale. Cech swoich we mnie, zda się, upatrując, podjął się, jeśli zdoła, wolność mi ofiarować. Później już nigdy go nie widziałem, nigdy wszak tego, co uczynił dla mnie, nie zapomnę. Pokochałem go za to i miłością darzę do dziś, choć go niedługo przecież znałem. Swobodę uzyskawszy, podjąłem się zajęć w redakcjach paru dzienników, tu na miejscu. Teraz pomagam w pakowaniu gazet dostarczanych do rozmaitych punktów miasta. Właśnie w jednym z owych biur, tuż po śmierci Poego, skargi pańskie posłyszałem, iż prasa się nim wysługuje i że nawet mogiłę ma nie oznaczoną. Wcześniej nie wiedziałem, gdzie go pochowano. Pracę swą dnia tego zakończywszy, wybrałem się tam znak symboliczny zostawić w opisanym przez ciebie zakątku.

- Kwiat? Ty ś go więc położył? Skinał głową.

- Pamiętam, że Eddie zwykł się nosić starannie, a nieraz i kwiatek biały wsuwał do butonierki...

- A gdzie pobiegłeś stamtąd, zostawiwszy kwiecie?

- Jak pan wiesz, to nie dla czarnych miejsce spoczywania, byłoby zatem podejrzane kręcić się tam pod wieczór. U grobu pisarza ukląkłszy, powóz usłyszałem w pędzie, no to się oddaliłem z pośpiechem, niepostrzeżenie.

- To wspólnik mój, Peter Stuart, zajechał mnie tam poszukiwać.

- Co dnia, gdy potem szykowałem gazety do rozniesienia przeznaczone, uwagę moją zwracał coraz to nowy niegodny artykuł o charakterze Poego... Dawno, dawno temu czytania mnie nauczyli Ridgewayowie, a ortografii księga Webstera, którą mieli w domu, tak że owe kalumnie odcyfrować dałem radę. Według mnie, żywy zawsze chce pokazać, że od zmarłego lepszy. Sporo czasu upłynęło, aż tu człowiek kolejny, z zagranicy, zaczął biura nawiedzać, chwając się, jak sławy dobrej Poego upilnuje. Twierdził, iż sprawiedliwości pragnie dla poety, lecz na moje oko usiłował zjednać tani poklask.

- Zwie się on Baron Dupin - wyjaśniłem.

- Mówiłem z nim parokrotnie, o szacunek dla zmarłego prosząc. On mi jednak przypomniał powiedzenie, iż wszystko jest tylko błagą i pozorem. I albo się starał mnie odprawić, albo gotówką nakłaniał do współdziałań.

Przypomniał mi się ów dzień, kiedy Barona zobaczyłem, jak go ramieniem otacza, co tak wyglądało, jakby się pospołu w spisek jakiś wdali.

- Wtedy się też na ciebie z Baronem, jak zwiesz go, natknąłem, w sporze o Poego. Stwierdziwszy, że trzeba się coś dowiedzieć na twój temat, zacząłem za tobą chodzić. Widziałem, jak młodzieńca owego, niewolnika, na stację prowadząc, stawiasz czoło znanemu handlarzowi, co się zwie Hope Slatter.

- Znasz go także?

- Slatter, a nie kto inny, zajął się sprzedażą mnie drugiemu właścicielowi. Wtedy mu tego raczej nie miałem za złe, bo chłopcem ledwie będąc, innego przecież życia nie znałem. Trudnił się Slatter handlem, nic więcej mnie to nie obchodziło... Po latach wielu jednak udałem się doń o rodziców własnych pytać - bo sprzedał ich, ode mnie separując, choć wcześniej właścicielom wszystkim obiecywał nigdy nie rozdzielać rodzin. On jeden wiedział, gdzie są, lecz odpowiedzieć się nie zgodził i precz mnie odpędził laską. Odtąd na jego widok, gdy wozami swymi czyni zgiełk na ulicach, niewolników na statki wiodąc, nie mam mu śmiałości w twarz popatrzeć. Rzecz to dziwna wielce, lecz do końca już kojarzyć mi się będzie z Poem... Nigdy ich wszak nie poznałem, no ale tak czuję, iż pierwszy mnie w łańcuchy zakuł, drugi zaś mnie z nich wyswobodził... Pan się przeciw Slatterowi zbuntował, tak więc mi się zdało, iż wsparcia potrzebujesz może... No i gdy cię dzisiaj zobaczyłem przy burzy owej z piorunami,

znowu się udałem twoim śladem.

- Życie ci zawdzięczam.

- Mów, proszę, co to za jedni.

- Szubrawcy pierwszej wody. Barona czekają w Paryżu wierzyciele mocno postawieni, dlatego też, dla pieniędzy, próbuje zagadkę Poego rozwiązywać.

- A pański udział w sprawie...?

- Ja nie mam nic wspólnego z ludźmi, którzy mnie dlań, łotra, chcieli skrytobójczo zabić! Oni zaś o mnie nic nie wiedząc, bajki z palca wyssane snują jakieś!

- Twój udział w sprawie Poego mam na myśli. Powiadasz, że Barona celem jest upiększyć własne gniazdo, to rozumiem. A po cóż tobie owo dochodzenie?

Wspomniawszy innych reakcje, zawiedziony wzrok przyjaciół moich utraconych, Petera Stuarta oraz Hattie, zawahałem się chwilę z odpowiedzią. Edwin jednak widocznie nie chciał mnie osądzać wcale. Otwartość jego, serdeczność dodała mi otuchy:

- Pobudki moje, sędzę, podobne są do twych z dzisiejszego wieczoru. Poe uwolnił mnie od sądu, iż życie się toczyć musi stałym torem. Był niczym Ameryka: istotą niezależną, która żadną miarą się nie zgadza na przymusy, choćby miało mu to korzyści jakieś przynieść. Prawda przezeń głoszona stała mi się zatem najbliższa i najistotniejsza.

- Czas więc, sir, się orzeźwić. Wiele przed tobą jeszcze działań w słusznej sprawie.

Na znak Edwina ciemnoskóry chłopak podał mi filiżankę parującej herbaty. Tak wyborowego napoju nie kosztowałem chyba nigdy w życiu.

25

Powrót do domu okazał się znacznie miłszy, niż można by wnioskować z tego, co przeżyłem owej nocy. Przepelniało mnie uczucie ulgi. Obu swych prześladowców zostawiłem gdzieś daleko, w obcych rejonach Baltimore. A przecież coś ponad to, więcej nawet jak z Edwinem bliskość, serce me natchnęło nadzieją oraz wiarą.

Dzień to był obfity we wszelkie wydarzenia. Wpierw trafiłem do sanktuarium Barona Dupin, sekret bolesny z przeszłości Duponte'a posłyszałem, wykryłem co nieco

o pisarzu, doznając na temat przyodzieniu oraz łaski olśnień, które mi w pełni dopiero umysł miał dopowiedzieć. Zdarzyło mi się jednak i coś jeszcze. Podczas wędrówki przez ulice miejskie i deszcz, który teraz stał się zaledwie mgłą, zauważyłem wspomniane obwieszczenie: żółte z drukiem czarnym, na tablicach i słupach wszędzie umieszczone lub też pływające na powierzchni kałuż. W miejscu jednym zaś stał przed nim włóczęga i odczytać próbował w strużce gazowego światła, z rękoma schowanymi w kieszeniach marnego garnituru.

Przed niego wystąpiwszy, dotknąłem papieru, by sprawdzić, czy mnie oczy nie mylą. Osobnik trząsał się tak mocno, że kiedy mu ofiarowałem swe okrycie - z wdzięcznością chyląc głowę, zaraz się nim otulił jak najszczelniej.

- Co podają? - spytał nędzarz i uniósł krzywy kapelusz z wgniecionym denkiem.

- Rzecz nadzwyczajną - rzekłem, a widząc, że on sam tego nie potrafi, na głos odczytałem anons z wigorem, jakiego by się nie powstydział Baron Dupin.

Ależ to musiało być widowisko! W mokrych, poszarpanych strojach, które źle skrojono i uszyto, na domiar złego zestawiając osobliwie, bez płaszcza, z głową odkrytą i włosami w strąkach, wyczerpany, laską się mą drogą, acz, jak wiadomo, uszkodzoną, podpierałem. Odbicie własne w zwierciadle frontowego holu „Glen Elizy” niby z obcych światów mi się objawiło. Myśl owa, gdy po schodach w górę zdążyłem, wywołała na mej twarzy uśmiech.

- Poego nie okradziono - oznajmiłem Duponte'owi bez powitania. - Rozumiem nareszcie, gdzie pan zmierzasz. Łaska tego typu co jego - szpadę kryje w swoim wnętrzu. Jak doniosła prasa, pisarz malajką „się zabawiał”, będąc u Cartera w Richmond. Znaczy to, iż musiał wiedzieć o schowanym ostrzu. Gdyby mu zrabowano odzież lub gwałt zadawać ktoś próbował, Poe z całą pewnością starałby się jej użyć do obrony.

Duponte mi głową na to kiwał, ja wszakże chciałem dokazać jeszcze więcej.

- I ubiór, ubiór miałby przecież, monsieur, wodą przesiąknięty od pogody deszczowej dnia owego. W mieście aż się roi od sukienników, którzy chętnie by się z nim odzieniem wymienili.

- Ubranie to zaiste towar wyjątkowy - zgodził się detektyw. - Jak żadna część dobytku bywa ono wszak bez wartości i zarazem bezcenne. Gdy mokre, na nic się nie zda noszącemu, lecz, jak nas uczy doświadczenie, wyschnąć musi ostatecznie, tak że w pojęciu sukiennika ceną dorównuje podobnemu, a suchemu całkiem; handlarz wartość stroju pozna później, kiedy postara się odsprzedać go z zyskiem.

Na stole ujrzałem stertę ogłoszeń żółtej barwy. Wziąłem pierwsze z brzegu.

- Toś gotów już, monsieur, a jakże! Kiedy ich druk zleciłeś?

- Powoli - odparł Duponte. - Rano nas robota najpierw czeka.

Ponownie odczytałem obwieszczenie. Duponte zawiadamiał o swym wykładzie otwartym, w którym wyjaśni zagadkową śmierć Poe'go. Oto co tam było wypisane:

Pierwotwór słynnej Dupina postaci, analityk w Paryżu sławą otoczony, który wykrył nikczemną trucicielkę monsieur Lafarge'a, przedstawi drobiazgowo, co się przydarzyło Edgarowi A. Poe dnia trzeciego października tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego roku w mieście Baltimore. Wszelkie fakty zgromadzone zostały osobiście, poprzez dogłębne badania i refleksję.

Wstęp wolny.

Nad ranem w dzień odczytu wyszedłem z domu przed obudzeniem Duponte'a, by resztę jego ogłoszeń rozprowadzić. Umieściłem mnóstwo na sklepach, bramach, drzwiach i słupach naturalnie. Prócz tego też posłałem po Edwina, który na wieść o detektywie zgodził się - przy okazji swojej pracy - pomóc anons roznieść po rozmaitych kwartałach miasta. Wręczając kartki przechodniom, widziałem ich spore zaciekawienie.

W pewnej chwili ujrzałem przed sobą twarz surową. Osobnik porwał prędko obwieszczenie.

- Clark, cóż to niby znaczy? - spytał mnie Henry Herring, bo to on był właśnie, podejrzliwie mrużąc oczy.

- Wszystko zostanie wreszcie wyjaśnione - odparłem - jeśli chodzi o śmierć pańskiego kuzyna.

- Prawdę mówiąc, krewnym jego się nie widzę.

- Zatem nie masz pan powodów do obawy - rzekłem, dłoń z kartką cofając. - Choć przecież ci pokrewieństwa wystarczyło, aby wraz z nielicznymi oglądać pisarza pochówek.

Herring zacisnął wargi.

- Pan go nie pojmujesz.

- Poego miałbyś na myśli?

- Nie inaczej - odburknął. - Wiesz, że gdy Eddie tu w Baltimore zamieszkiwał, przed poślubieniem Virginii zabiegał o względy mojej córki? Czyżby ci on sam, twój znajomek, o owych postępkach niesławnych nic nie mówił? Wiersze dla niej pisywał w nieskończoność, o miłości swojej zapewniając - dodał z niesmakiem. - Mojej Elizabeth!

I cmokać zaczął donośnie, gdy mnie się to już stało obojętne. Podniecony nadchodzącym dniem, zacząłem sobie wyobrażać, jak Baronowi na widok anonsu rzędzie mina - o ile go dotąd nie pojmali wiadomi jegomości z Francji. Henry Herring słów parę jeszcze wypowiedział, które taki miały sens mniej więcej, iż się nie godzi wywlekać spraw zmarłego, który w grobie spoczywa pohańbiony.

Spojrzałem na konar drzewa, jak się pod wiatru mocą chyli. Obwieszczenie Duponte'a w obfitości wielkiej zdobiło każdy róg ulicy, mnie zaś - nagłym przestrawieniem napawając.

Wszak gdyby do Barona dotarła wieść o wykładzie detektywa i o ogłoszeniu, wysłałby zapewne Bonjour czy najętych łotrów, żeby je pozrywać i swym własnym przykryć... Bo z jego punktu widzenia byłoby to słuszne posunięcie. Tymczasem nikt nie usunął anonsu choćby i jednego. Czyż Baron by dopuścił do czegoś takiego? Czyby się tak łatwo chciał raptem wycofać...? Chyba że...

- Baron! - w pędzie wrzasnąłem.

- Gdzie się, do diaska, pan wybierasz? - krzyknął za mną Herring.

* * *

- Monsieur? Monsieur Duponte?

Wołałem, nawet progę „Glen Elizy” nie przeszedłszy. Przez hol frontowy w pośpiechu przemknąłem, potem schodami na górę, wprost do biblioteki. Duponte'a jednak nie zastałem, coś się musiało zdarzyć.

Byle nie jemu tylko, byle nie Duponte'owi.

Dobiegły mnie Daphne lekkie kroki, która się w holu z inną służką uwijała. W gorączce niby na dół zbiegłem, by spytać, gdzie też Duponte.

Lecz ona pokręciła głową. W lęku, a może i konsternacji.

- Znajomi go zabrali, proszę pana. Nie, nie - myśl rozsadzała mi czaszkę.

- Młodzian jakiś w drzwiach stanął, oznajmiając, że pan Duponte ma gościa, lecz wytłumaczył zaraz, iż gość jego jest chromy, więc może Duponte zechciałby łaskawie zejść do bramy, bo tam, przed domem, czeka powóz.

Daphne odparła na to, iż będzie lepiej, jeśli ów człowiek wejść zechce, zgodnie z przyjętym u nas obyczajem. Że fiaker jednak się upierał, Daphne obwieściła sprawę Duponte'owi, a on się po chwili namysłu zdecydował zejść do drzwi.

- No i...? - przynagliłem.

Jeśli chodzi o osobę detektywa, niechętna mu dotąd Daphne najwyraźniej zmiękła, oczy swe zasze łzami osuszyć musiała przed dalszą wypowiedzią:

- W pojeździe człowiek jakiś zasiadał na króla podobieństwo... A według mnie nie kaleki, bo się i wyprostował, i ujął pana Duponte'a pod ramię... Do tego, sir...

- Mów, słucham!

- Jak Duponte identyczny miał on wygląd! Żebym się tak z miejsca nie ruszyła, niby bliźniak syjamski!!! Towarzysz pana wsiadł do powozu, ale z obliczem smutnie rozedrganym. Tak jakby czuł, że coś na wieki pozostawia. Ach, żeś ty, panie, panie, nie mógł być obecny!!!

Cóż za prostak ze mnie, co za dureń! Baron wieści naszych o odczycie nie powstrzymał, bo się wszak wybrał wstrzymać samego wykładowcę!

* * *

W hotelach, dokąd ruszyłem osobiście, po Baronie nie zostało śladu. Wpierw na policję się wybrawszy, zgłosiłem zaginięcie Auguste Duponte'a, jak również przekazałem jej konterfekt pędzla Von Dantkera, który wcześniej Baronowi zabrałem. Prócz tego dałem szkic naprędce skreślony własną ręką, przedstawiający Barona wraz z jego kompanią, łącznie z wszelakimi woźnicami, portierami i posłańcami, których w sytuacjach wielu oglądałem razem z nim. Na koniec przysłano mi wiadomość, że na posterunku pilnie jestem potrzebny.

Za biurkiem czekał mnie White, ten sam funkcjonariusz, z którym rozmawiałem

tuż po śmierci pisarza. Dłonie zaplótł ciasno na blacie przed sobą.

- Czyście go odszukali? Duponte'a znaleźliście?

- Czy Dupina raczej? - zapytał White. - Portrety, które pan przedstawił, zaiste są pomocne. Lecz przez nas wywiadowana obsługa hotelowa rozpoznaje w nich nie Duponte'a, ale Dupina, podkreślam. Dostrzegasz wszak podobieństwa między malowidłem a rysunkiem, który sam wykonałeś?

Z najwyższym wysiłkiem udało mi się wzburzenie opanować:

- Podobni są z tej przyczyny, że Baron Dupin otwarcie usiłował małpować monsieur Duponte'a, malarz natomiast, Von Dantker... był w sprawę zamieszany!

White na to odchrząknął, zmieniając pozycję rąk.

- Duponte więc Dupina miał udawać?

- Skądże! Na odwrót, szanowny panie. Dupin właśnie chce dowieść, iż on jest postaci Poego prawdziwym pierwowzorem...

- Znów Poe! Jak rzecz się ma do niego?

- Zasadniczo! Widzi pan, Auguste Duponte stanowi model bohatera nazwiskiem C. Auguste Dupin. Dlatego też przybył do nas - rozwikłać zagadkową śmierć poety. Pod moim mieszkając dachem, zajął się swymi badaniami, przez to się go na mieście widywało nader rzadko. Że już nie wspomnę o przechadzkach, na jakie się wyprawia głównie w porze wieczorowej... Wszak Francuz, którego geniusz stworzył, czyni to dokładnie. Tymczasem Baron Dupin, za pierwowzór Dupina się podając, mego towarzysza naśladowuje równocześnie.

White powstrzymał mnie gestem dłoni.

- Wskazujesz, że Duponte to Dupin.

- Właśnie! Nie takie to wszystko oczywiste, prawda? Baron próbuje się w C. Auguste Dupina wcielać. Najważniejsze zatem, aby go odnaleźć jak najprędzej, nim szkodę spowoduje jakąś.

- A może, suponować sobie pozwolę, widując jednego tylko, Dupina zapewne, brałeś go przez omyłkę za innego człowieka?

- Omyłkę... - sugestię White'a odczytałem. - Duponte istnieje nie tylko w imaginacji mojej. Nie mogłem wszak sobie wyobrazić dżentelmena, który u mnie mieszka, jada i swój zarost goli!!!

White, potrząsnąwszy głową, zapatrzył się w podłogę. Ja zaś ton przybrałem poważny:

- Dupin jest tutaj sprawcą, musi więc za wszelką cenę zostać powstrzymany! Nad wyraz jest on groźny, panie oficerze! Wybitnej wszak myśli człowieka porwał i może mu już zdążył zadać jakieś rany. Fałszywą wersję zdarzeń z pewnością rozprzestrzeni. Czyś na to czuły choćby odrobinę?

Nieczuły był wyraźnie - więc uparcie trwać musiałem w swoich zamierzeniach.

* * *

Ciekawe, co stać się mogło, gdybym był bardziej świadomy ludzkiej złośliwości w owych czasach. Gdyby mi dano wglądać w ponure a sekretne plany - gdybym wiedział, iż za wszelką cenę trzymać się muszę Duponte'a, a w razie konieczności wlec go nawet z sobą do czytelnicy... Pomimo całej siły swojej, w starciu na śmierć i życie z Baronem i Bonjour on by się niewątpliwie okazał bezbronny, toteż sobie w wyobraźni przedstawiałem, jak - wedle opisu sługi - bez oporów żadnych zgadza się obojgu towarzyszyć. Ach, ileżby Duponte swym słowem owej nocy wniósł w spuściznę poetycką? Lecz to jedynie w sferze czystej spekulacji pozostanie.

Zbliżał się czas wykładu. Ulicą podążając smutnie, bo chciałem się zastanowić w miejscu do tego najwłaściwszym - zdumiony zobaczyłem, jak się lud tłoczy u wejścia do sali wykładowej. Przypadkiem niby kogoś o przyczynę zgromadzenia zaraz zagadnąłem.

- Więc odczyt dziś nie został odwołany?

- Gdzieżby!

- I ów, co go planowano, ma się niby odbyć? Na temat zgonu poety?

- W rzeczy samej! - usłyszałem. - Chyba ci się nie zdaje, iż Emerson do nas zjechał!

- Duponte! - wydyszałem w przejęciu. - Zbiegł zatem i się zjawi?

- Tyle że - człowiek mi odparł - zmiany pewne wprowadzono. Zmuszeni są pobierać za wstęp pewną opłatę.

- Niemożliwe! Przytaknął w rezygnacji.

- A, co tam. Wszak on „prawdziwy Dupin”, pan rozumie. Warto dać półtora dolara. Aż się mu przyglądałem. W dłoni dumnie dzierżył egzemplarz opowieści Poego.

- Oj, coś ciekawego się tu kroi - stwierdził jeszcze. Tłum rozpychając, na samo

czoło pobiegłem, niepomyślny żądań biletu ze strony odźwiernego.

Za sceną zaś ujrzałem postać Auguste Dupont'e'a. Wyprostowany niczym świeca, siedział w samotnej kontemplacji. Z wiarą nań nową popatrzyłem, triumfem i szacunkiem równocześnie.

- Jakże...? - zbliżyłem się do niego.

- Witam - odpowiedział i chytrze na mnie zerknąwszy, rozejrzał się jakby w nadziei na coś większej wagi. - Cieszę się, Quentin, bracie, iż świadectwo pokoleniom przyszłym chcesz darować.

Nie Dupont'e był to najwidoczniej.

Jeżeli wcześniej imitacja jego zdawała się znakomita - teraz straszne i całkowite przeszedł Baron zmiany. Nawet się w oczach jego mieścił Dupont'e'a znany mi charakter.

- Baronie! - zakrzyknąłem, laską się osłaniając. - Nie ujdzie ci rzecz ta płazem, możesz być spokojny!

- Cóż zrobisz? - wzrokiem mnie musnął obojętnym. - Pospołu mi się wszak z Dupont'e'em przysłużyłeś. Zgromadzić już zdołałem gotówkę za wykład, co go od dziś w ciągu kilku dni głosić mam zamiar. Dzisiejsze więc opłaty również zasilają moją kieszę.

Gdy mi przytomność wróciła, pomyślałem, czemu nigdzie nie ma śladu Bonjour. Mógł Baron bez ochrony żadnej się tu pokazać? Dupont'e'a ktoś by strzegł pewno, chyba żeby... Nie, przecież Baron nie był uzbrojony.

- Prawdę ci powiem najprawdziwszą, Quentin, brachu. Dotąd sądziłem nieraz, że to już koniec. Że Dupont'e jak na mnie jest zbyt przebiegły. Widzę po twym obliczu, iż wątpisz w moje słowa. Doprawdy mi się zdawało, że jakimś zrzędzeniem losu mu się uda. Szansę swą ostatnią zaprzepaścił jednak i teraz się już może kłaść do grobu.

- Gdzie on? - chciałem wiedzieć. - Coś pan z nim uczynił?

Baron uraczył mnie szatańskim uśmiechem:

- Nie rozumiem.

- Naślę na ciebie policjantów, tak że się nie wymkniesz! - sprowokować go chciałem, aby w nim podważyć pewność. - Choćbyś go nie wiem jak ukrywał, Dupont'e zawsze sobie znajdzie wyjście! Jeszcze ty go popamiętasz. On, niezłomny, w ostatniej cię powstrzyma chwili.

Baron się na to familiarnie zaśmiał. Nic z prawdy mi nie zdradziwszy, objawił niepewność swoją ust grymasem.

- Wiesz, Clark, ile przeszkód pokonałem, aby dożyć dzisiejszego dnia? Policja tutejsza absolutnie mi się nie wydaje zagrożeniem. Dziś ja dyktuję warunki. Bo dziś stawką śmierć moja lub racja ostateczna. Chyba że mnie wstrzymać zechcesz, tylko ty bowiem dzisiaj mógłbyś... No, ale wiadomo oczywiście, że to nie nastąpi. Więcej żyć w cieniu już nie będę - ani w mych wrogów cieniu, ani też Duponte'a. Zdarza się, wiedz, że geniusz na jego nawet miarę ugiąć się nareszcie musi. Dzień ten jest mą przepustką powrotną do chwały!

Następnie przez rządcę sali kierowany, wstąpił na podest oraz podium. Patrząc w desperacji wokół, obmyśleć próbowałem dalsze swoje kroki, lecz zgoła na próżno. W końcu się na trybunę wdarłem siłą, by choć Barona stamtąd zepchnąć. Na swe jednak nieszczęście tłum dostrzegłem... pospólstwo w istocie nienazwane i do boju skore... i wówczas mi umysł rozjaśniło, czemu warta Bonjour była niepotrzebna Baronowi. Pośród gawiedzi był bezpieczny. Oto znów w oczach wszystkich miał stać się wiarygodny i działać zgodnie z prawem.

W tyle ktoś przygotowywał oświetlenie, które, rozhuśtane, w ciemnej sali bardziej mi jeszcze zakłóciło zmysły. Mogłem więc tylko krzyczeć, by wykład ów zamknięto - na co się zewsząd rozległ wielki jęk dezaprobaty.

Straciłem zdolność mowy, logika mnie opuściła wszelka. O sprawiedliwości coś zacząłem wykrzykiwać. Gdy się pchać dalej próbowałem, szturchając kogo popadnie - zaraz i mnie w odwecie do tyłu odpychano. Pamięć mi przymglona podpowiada, iż gdzieś tam spostrzegłem twarz Tindleya, wspomnianego stróża z kryjówki wigów. Czerwony zawirował parasol w zasięgu mego wzroku. Oblicza kolejne też ujrzałem: Henry'ego Herringa i Petera Stuarta, jak siłą przeciska się wśród zgromadzonych, by najbliżej frontu zająć miejsce. Zjawił się i ów starszy bibliotekarz z czytelnicy oraz redaktorzy czołowych gazet zewsząd. Jedyne w swoim rodzaju, a ostry niczym brzytwa uśmiech figlarny zauważyłem w pewnej chwili, uśmiech przez Duponte'a przybierany podczas sesji z Von Dantkerem - gdy dzisiaj go bezbłędnie Baron Dupin naśladował. Potem się rozległ hałas, dźwięk od innych, przez moje zachowanie wywołanych, znacznie donośniejszy. Zabrzmiał on niczym salwa i natychmiast się po nim scena

zawaliła, pogrążając wszystko w mroku. Zaraz też nastąpił odgłos drugi.

W tył odskoczyłem pośród zgiełku wznieconego wystrzałami z broni palnej. Rozdygotany, zdjęty lodowatą trwogą, w impulsie pierś przysłoniłem ręką. Z tego, co stało się potem, ledwie mi strzępy wspomnień pozostały.

Baron Dupin nade mną... Z nim wraz w poplątaniu krwawym trybunę w pionie stawiam... Na jego koszuli plama... owalnego kształtu, obramiona najciemniejszą śmierci barwą... Jęczy i mnie za kołnierz w obłąkaniu chwyta... Straszliwe obciążenie mego ciała.

Obaj się naraz pogrążamy w otchłań zapomnienia.

KSIĘGA PIĄTA

POTOP

Czuję się jak samotnik

Co opuszczoną

Biesiad stąpa izbą

Thomas Moore

Nie miałem żadnych podejrzeń, gdy White z sali wykładowej zabrał mnie swym powozem do „Glen Elizy”. I chyba nic w tym dziwnego. Jak chodzi o sytuację, która właśnie się zdarzyła, wiedzę posiadałem od innych znacznie głębszą. Nie ufając wprawdzie talentom funkcjonariuszów, sądziłem, iż z moją pomocą uda im się odnaleźć Dupontę, a tym samym wykryć prawdę dotąd dla nich niedostępną.

White wszedł do mego salonu wraz ze swym urzędnikiem i kilkoma jeszcze oficerami, których nie znałem. Wówczas przystąpiłem do składania najrozmaitszych zeznań - od przybycia Barona do Baltimore poczynając, po doświadczoną świeżo straszną okoliczność. Z wtrąceń jego wniosek wysnuć można było, iż mnie chyba nie słucha ze stosowną uwagą.

- Dupin umiera - powtarzał, raz po raz na inne słowo kładąc nacisk. - Dupin umiera.

- Owszem, z rąk owych łotrów - znów mu wyjaśniłem - którzy mnie po mieście ganią w przeświadczeniu, że chcę im udaremnić zemstę na Baronie.

- A potem jeden niby strzelał do Dupina w sali wykładowej? - zapytał White, przysiadając na kraju fotela.

Urzędnik policyjny przez cały czas stał za mną w milczeniu. Nigdy nie lubiłem być obserwowany, więc się co chwila oglądałem w nadziei, iż wreszcie może spocząć zechce.

- Nie, w ogóle nic nie widziałem, bo światła wpierw mnie oślepiły i później zgasły nagle, a prócz tego jeszcze tłum mi horyzont przesłaniał. Parę tylko twarzy... Lecz jest oczywiste, że oni się tego dopuścili przecież.

- Dwaj dranie, których wspominasz... Jak się zwa?

- Nie wiem tego. Jeden mnie prawie ukatrupił w dzień poprzedni. Kapelusz mi na wylot przedziurawił kulą! Ów jednak z całą pewnością ranny być musiał w naszej walce, bo mnie się udało go zadrasnąć szpadą. Doprawdy, ich nazwiska nie są mi znane.

- Mów pan, co wiesz, wszystko - rzekł mi chłodnym tonem.

- Z Francji oni są, to pewne. Baron Dupin w olbrzymie popadł długi. Paryski

wierzyciel nigdy nie ustąpi i się wyprawi nawet za ocean, by dłużnika nękać.

Wcale nie wiedziałem, czy to się tyczy wszystkich stamtąd wierzycieli, acz przez wzgląd na sytuację podałem mu rzecz jako pewnik.

Na to White lekko głowę schylił, jak wtedy, gdy się upomina rozbrykane dziecko.

- Claude Dupin musiał być powstrzymany... dla Poego dobra - stwierdził.

Zdumiał mnie tak raptowny zwrot w naszej rozmowie.

- A jakże - odparłem pewnie.

- Rozłożył się całkowicie - głos mnie z tyłu dobiegł. - Dupin. Jak wieprz na ruszcie upieczony.

- Wieprz na ruszcie...? - zapytałem.

- Panie Clark szanowny - White kontynuował. - Wszak ty chciałeś nie dopuścić do odczytu. Naprzód, gdyś przyszedł szukać swego towarzysza z Francji, tak mi właśnie rzekłeś.

- Owszem...

- Ów obraz, który nam przekazałeś, przez Von Dantkera niejakiego sygnowany, przedstawia Barona i to kropka w kropkę. Na coś zamówił portret jego?

- Nie, to inna osoba! Ja nic nie zlecałem!

- Zachować chciej na czas dalszy owe banialuki! Podobno Baron tuż przed postrzeleniem wyraz oblicza przybrał jak ów z konterfektu! Grymas niezwyčajny wielce!

Skóra całkiem mi ścierpła, zanim pomyśleć zdołałem, co się też szykuje. Truchlejąc, spostrzegłem na koszuli znamię krwi Barona. Wtedy sobie uzmysłowiłem, że sługi me nerwowo drepcą w korytarzu, zamiast się swą pracą zająć zwykłą. Trzej lub czterej może z White'em przybyli oficerowie znikli z pola widzenia, kilku zaś paradowało po pokoju niczym regularne wojsko. Kroki się na schodach rozległy i krzątania w pomieszczeniach wyżej. Tak oto, w mej obecności, rewidowano „Glen Elizę”. Mury jakby się wokół mnie zapadły, pamięć zaś poddała wizję płonącego domu Brooksa...

- Tyś wszak Barona schwycił, gdy ledwie rozpoczął swą przemowę...

- Cóż, sir, imputujesz? - Przekrzyczeć się nawzajem staraliśmy.

- Nikt o twej obecności nie donosił... Nigdzie choć śladu nie ma po przyjacielu twoim, co się rzekomo zowie Duponte.

- Czy przez to próbujesz wskazać... Nazwij mnie bajaranem, jeśli wola taka...!

- ...Poe cię, Clark, wykończył, raz na zawsze.

- Słucham? O co chodzi?

- O twą obsesyjną fascynację jego pismami. Czy nie za wszelką cenę wstrzymałbyś Barona przed rozmową z Poem? Przyznałeś się przed momentem do napaści i Francuza jakiegoś „zadraśnięcia”. Wyłącznie sobie rościsz prawo do wiedzy o poecie. Czyż ktoś tak pochłonięty śmiercią jego chętnie by rozprawiał na ów temat...? Ciekawi mnie zaiste, co pan porabiałeś w czasie jego zejścia.

Na obiekcje z mojej strony urzędnik pod ramię mnie ujął, spokojnie nakazując, bym powstał i zrezygnował ze stawiania oporu.

27

Wpierw mnie trzymano w celi naprzeciwko prywatnych izb oficera White'a na posterunku Dzielnicy Środkowej. Na każdy odgłos kroków nadzieja się paniczna budziła w moim sercu. Więzienie, że sam przerwę tok opowieści, nie wywołuje li tylko uczucia odosobnienia. W obrazach powracają wtedy całe dzieje samotności, aż człowieka ogarnia wrażenie, jakby twierdzię nieszczęść własnych zamieszkiwał. Wspomnienia doznań samotniczych zdają się topić wszelką myśl o czasie obecnym i przyszłości. Istnieje się wyłącznie wobec siebie. Ani poeta żaden, ani też sędzia w świecie stworzyć nic gorszego nigdy by nie zdołał.

Kogóż wyczekiwałem, drżąc z niepokoju? Duponte'a? Hattie może? Oblicza Petera Stuarta, kwaśnego, acz pełnego oddania? Barona Dupina we własnej osobie, a przez medyków wiedzionego, który bez trudu by zeznał, przez kogo został postrzelony, tak że mnie można by wówczas puścić wolno? Tęskniłem tam nawet za wrzaskliwym głosem mej stryjecznej babki. Tęsknota się we mnie domagała byle znaku, iż jeszcze komuś zależy na moim losie.

Tymczasem na temat detektywa wieść nie przychodziła znikąd, aż się obawiać zacząłem, czy mu przeznaczenie nie gotuje większych cierpień niż moje. Zawiodłem go, to pewne. W roli opiekuna geniusza spisałem się wprost fatalnie.

White więźniom piśmiennym rozdawał dzienniki i magazyny całkiem znośne - w ramach zasad przyjętych naturalnie. Zawsze je przyjmowałem, lecz udawałem tylko czytanie, bo mnie pochłaniała lektura znacznie istotniejsza, którą mi się udało przemycić

do celi. Przy potyczce z Baronem w sali wykładowej półświadomie z rąk mu wziąłem zapiski sporządzone na okoliczność wystąpienia. Nie myśląc, wsunąłem je pod płaszcz, zanim mnie White na posterunek powiódł z sobą.

Dopóki płomień świecy nie gasł, wgłębiałem się w notatki owe, pod czasopismem jakimś zmyślnie ukrywane. „Edgar Poe nie wyszedł, lecz zabrany został” - głosił Baron w swej rozprawie. Nie brzmiało to w ogólności niegustownie, acz autor żadną miarą ambicji literackich nie posiadał. Każde słowo stamtąd starałem się zapamiętać, wspominając, jak mi Duponté kiedyś czytał nad ramieniem. „Należy omyłki śledzić, monsieur Clark, aby się zbliżyć do prawdy”.

Raz ową lekturę zakłócił mi jakiś gość. Prowadzony przez urzędnika, stanął w korytarzu człowiek mi nie znany, o twarzy bez wyrazu jakby. Oparłszy parasol o ścianę, strząsnął wodę z botów tak wysokich, że się mu aż zdawały do pasa sięgać.

- Cuchnie... - rzekł, pociągając nosem.

Gdzieś w celi dla kobiet rozlegał się śpiew pijacki. Gość mój stanął bez słowa i ja to samo uczyniłem w przekonaniu, iż nic miłego odeń mnie nie czeka.

Ku memu zdziwieniu do obcego dołączyła młoda wylękniona dama w pelerynie.

- Ach, Quentinie, gdzieś ty trafił! - wykrzyknęła, bliska łez, Hattie.

- Hattie! - wyciągnąłem do niej rękę. Wierzyć nie mogłem, że to ona, czując i przez rękawiczki dobrze znane ciepło. Zmitygowany, szybko dłonie drobne oswobodziłem.

- Bez Petera przyszłaś?

- Słyszeć nawet nie chciał, że cię tu odwiedzam. I słowem się choćby nie odezwie o twoim położeniu. Na wykład też się zagniewany wybrał, Quentinie. Uznał, iż musi cię powstrzymać. W moim odczuciu on wciąż ci oddany.

- Powinien się wszak dowiedzieć o mej niewinności! Jakżeby coś wspólnego mógł mieć z wypadkiem Barona?! Dupin mi przyjaciela porwał, aby mu udaremnić ujawnienie prawdy...

- Przyjaciela? Czyby cię, Clark, ktoś bliski chciał w otchłań taką strącić? - odezwał się osobnik przy jej boku, na podobieństwo Petera wykrzywiony.

Hattie go wtedy gestem o cierpliwość uprosiła, zwracając się znów do mnie:

- Mąż mej kuzynki. Prawnik. Jak chodzi o podobne kwestie, specjalista wybitny, z

Waszyngtonu. Z pewnością nam pomoże, Quentinie, wierz mi.

Mimo swego położenia, słysząc owo „nas”, odczułem pewną ulgę.

- No, a co z Baronem? - zapytałem.

- Nadziei na ozdrowienie nie ma żadnej - odparł mój nowy radca prawny.

- Pisałam do babki stryjecznej, żeby tu przyjechała, bo ona naprawić umie wszystko - Hattie jak gdyby umknął ów straszny komunikat.

Jeśli Barona w istocie rychła śmierć czekała - mnie wszak by potępiono jako jego zabójcę.

Parę dni później zostałem przeniesiony do Okręgowego Więzienia Baltimore, nad brzeg Wodospadu Jonesa. Klimat owego miejsca spotęgował we mnie uczucie beznadziejności; w celach wokół siedzieli skazani i za zbrodnie ciężkie, i zda się wieki czekający wyznaczenia procesu lub też - w przewrotności całej - na powieszenie rychłe.

Rankiem zaś wcześniej postawiono mnie formalnie w stan oskarżenia za próbę mordu na Baronie. Powszechnie przytaczano zapewnienia z mojej strony, iż należało go powstrzymać, jak również - moją obecność w sali wykładowej. Krewniak Hattie wyraził dezaprobatę wielką, słysząc, iż przeciw mnie także występuje ogólnie szanowany funkcjonariusz. Podczas rewizji w „Glen Elizie” policja znalazła rewolwer: broń, którą miałem przy sobie na wszelki wypadek podczas wizyty u Bensona, przez nieuwagę tylko zostawioną w domu na widoku.

Burzliwa pogoda z każdym dniem się pogarszała. Jak z cebra, rzec można, ciągle lało z nieba. Niby dla oddechu natura zdawała się wstrzymywać tylko, by za moment częstować miasto deszczem większej siły. Podobno most przy Broadway nieopodal Gay Street tak podmyło, że runął, uderzając w inny - oba w dół rzeki spłynęły przez pół miasta i całkowicie zniszczyły po drodze mnóstwo domów. W więzieniu moim klimat się począł zmieniać - presję wyczuwałem teraz i znaczny dyskomfort. Któryś z więźniów wrzeszczał w przestrachu, głowę tak ściskając, jakby się coś z niej chciało wydostać przemocą. „Stało się! - wieszczę! - To już koniec!”... Prócz tego, nie wiedzieć, czy od owej aury, czy też z innych przyczyn, co rusz wybuchały potyczki „lokatorów” ze strażą. Przez kratę okna dojrzeć mi się udało, jak w kipieli wodnej ginie stopniowo brzeg Wodospadu Jonesa. Czy mnie los ów czeka także...?

Odwiedzał mnie wspomniany adwokat i zawsze z gorszą niż poprzednio wieścią. Dzienniki, które w apatii czytałem tylko, o winie mojej już przesądziły. Pisano, iż Francuz, który poważnie ranny do szpitala trafił na czas długi, stanowi pierwowzór historii detektywistycznych Poego, ja zaś się go pozbyć próbowałem z zazdrości najzwyczajszej, działając pod wpływem swoich niezdrowych fascynacji. Periodyk przez wigów wydawany uznał mnie, co osobliwe, za skrytobójcę odważnego w pewnym sensie. Pisma zaś demokratów, zapewne w sprzeciwie wobec tamtych, niezmiennie złoczyńcą mnie widziały oraz tchórzem. I jedni, i drudzy wszakże o mord oskarżali pewny. Dzienniki tak zwane neutralne, czyli „Sun” i „Transcript”, wyrażały obawę, iż ów epizod zaburzy relację państwa naszego z - młodą tak przecież jeszcze - Republiką Francuską, jak również jej przywódcą, Ludwikiem Napoleonem.

Zajadły protest wznosiłem wobec pomówienia, iżby Baron miał być prawdziwym Dupinem, choć pewnie kuzynowi Hattie zdawało się to dziwne wielce. Edwin odwiedził mnie parokrotnie, lecz wkrótce policja go pytaniami zasypała, podejrzliwa o każdego Murzyna, który by ze mną miał interes - więc go musiałem prosić, aby się wstrzymał od wizyt, chroniąc się tym samym przed jej dociekliwością. John Benson, Upiór mi życzliwy, też się raz u mnie zjawił. Dłoń mu ścisnąłem serdecznie - w rozpaczliwej nadziei, że byłby mi sprzymierzeńcem.

Mizerne miał oblicze Benson. Bo, jak odeń usłyszałem, od rana niemal do świtu musiał się zajmować rachunkami wuja.

- Oj, wykończony jestem. Sam diabeł nie ma tylu obowiązków - stwierdził, zerkając przez kraty, jakby w przekonaniu, iż w każdej chwili miejscem ze mną mógłby się zamienić.

- Nie byłoby ci lepiej przyznać się, mój drogi... - szepnął.

- A niby do czego?

- Żeś Poemu dał sobą zawładnąć. Że cię on zgoła posiadał, by rzecz ubrać w słowa.

Liczyłem wszakże na cenniejszą pomoc z jego strony. - Mów pan, czyś co więcej na temat jego śmierci wykryć zdołał.

Benson, przysiadłszy na stołku, ospale dyndał nogami w przygnębieniu. Po chwili rzekł raz jeszcze, iż mi się, jego zdaniem, warto będzie przyznać.

- Już sobie Poem więcej nie zaprzataj myśli. Prawda o zgonie jego w sferze tajemnicy pozostanie. Sam się przekonasz o tym...

Hattie zaś przychodzić mogła tylko wtedy, gdy jej nie pilnowała ciotka lub Peter. Zawsze - z jedzeniem dla mnie czy drobnym podarkiem. Znękany swym położeniem, z trudem znajdowałem stosowne słowa, aby wdzięczność jej oddać.

Ona mnie pocieszała wspomnieniami. Z dzieciństwa wspólnego a cudnego. Razem rozprawialiśmy na tematy najróżniejsze. Wyznała mi i to nawet, co czuła, gdy byłem w Paryżu.

- Wiedziałam, bądź pewny, Quentinie, na co ty się zamierzasz - powiedziała z westchnieniem. - I wiem też, że my już szczęścia dzielić razem nie możemy. Nie wolno ci jednak wpadać w złość czy zasmucenie, żeś mnie opuścił wówczas i nie ujawnił mi czegoś więcej. Jeśli melancholię dostrzegasz w mej twarzy, to przez to jedynie, iż ci wycucia zabrakło... żeś pewności nie miał, aby mnie w szczegółach zaznajomić z tą historią... Ja w zamian bym ci dała przecież przyjaźń swą z całym bezwstydem.

- Peter miał całkowitą słuszność. U początków tego wszystkiego leżał mój egoizm. Być może źródło mych czynów nie w Poego chwale, lecz powoduje nimi jedynie miłość własna. A może się wszystko tylko w mej imaginacji staje!

- I dlatego jest ważne - ujmując mą dłoń, powiedziała Hattie.

- Ach - rzekłem ze zgryzotą - czemu mi nie było dane na oczy przejrzeć? Wszystko się dla mnie kręci wokół śmierci jego, kosztem jego życia. Wszak sam uczyniłem to, czego się z niepokojem po innych spodziewałem. Życia własnego również kosztem...

Wkrótce przez opady ciągłe oraz powódź niemożliwe się stało dotrzeć do więzienia z innych dzielnic miasta. Rozłączony tym samym z Hattie, prócz strapionych więźniów nie miałem obok siebie nikogo bliskiego.

Pewnej nocy, gdy sen mnie na szczęście zmorzył, posłyszałem kroki coraz bliżej celi. Hattie! Znów mnie odwiedziła, niepomna straszliwego zalewu wody. Przeszła przez korytarz pospiesznym, acz wytwornym krokiem, osłaniając się przed brudem cel jasnoczerwoną peleryną. Rzecz osobliwa: strażnik jej nie towarzyszył, a - co sobie uprzytomniłem, świeżo wynudzony - nie była to absolutnie pora, gdy wpuszczano gości.

Po chwili, wyłoniwszy się z ciemności, przypadła do mnie, za nadgarstki chwytając tak mocno, że się ruszyć nie mogłem. Bo też i nie Hattie stała naprzeciwko.

W nikłym oświetleniu złocista zwykle skóra Bonjour przybrała odcień blady i upiorny. Oczy jej tak błyszczały, jakby chciała wszystko na wylot prześwidrować.

- Bonjour! Jakżeś straż minęła? - spytałem niezbyt roztropnie, bo z pewnością i wstęp wolny do więzienia, jak i wyjście stąd jej nie nastęrczały większych trudności.

- Musiałam cię znaleźć.

Ścisnęła mnie z taką siłą, że nagle lęk obłądny poczułem. Na polecenie Barona się zjawiała, by mnie zgładzić, aby dokonać egzekucji osobiście. Bez chwili wahania mogłaby poderżnąć mi gardło, a gdybym został odkryty już bez głowy - nikt by się wszak nie domyślił jej wizyty.

- Wiem, że nie strzelałeś do Barona - oznajmiła, właściwie przestrach odczytując w moich oczach. - Kto to zrobił, trzeba się nam wywiedzieć.

- Czyż to nie oczywiste? Wierzyście jego... Łotry, które za Baronem krok w krok podążały co dzień.

- Ależ ich nie przysłał żaden z wierzycieli. Baron dawno się z wierzycielami już ugodzić zdołał dzięki kwocie zgromadzonej na poczet swego występu, a znacznie przewyższającej nasze oczekiwania. Zbójcom nie szło o pieniądze Barona.

Zamilkłem ze zdumienia.

- Kimże więc byli?

- Muszę się dowiedzieć, bom to Baronowi winna. Ty także, przez wzgląd na kobietę sercu bliską.

Wzrok w ziemię wbilem na te słowa.

- Ona mnie nie darzy już miłością.

Patrząc znów na Bonjour, spostrzegłem, że już do pytania ułożyła usta - jednak temat ów przykry dla mnie porzuciła.

- A gdzie mój towarzysz? - zapytałem. - Duponte. Doczekać się nie mogę, kiedy mi rzecz zdradzisz! Odkąd go wraz z Baronem porwaliście, myśli mnie nachodzą najczarniejsze!

Otóż - Duponte'owi (z jej strony w każdym razie) krzywda się nie stała żadna. Ku zaskoczeniu memu Bonjour puściła wolno detektywa krótko po tym, jak został

wywieziony z „Glen Elizy”. Baron jej polecił zwolnić rywala w godzinie rozpoczęcia odczytu. Nie było jego zamiarem uśmiercenie Duponte’a, chciał raczej ducha w nim unicestwić. Przypuszczał, że detektyw uda się czym prędzej do sali wykładowej, by konkurenta ujrzeć w chwili triumfu najwyższego. Duponte tymczasem uniknął sromotnej porażki, nie pokazując się tam wcale, a nawet jeśli - to przez nikogo nie widziany.

- Czy Duponte się opierał? Walczył, gdyście go porywali?

Bonjour zawahała się moment, niepewna, czy mnie jej replika nie zawiedzie.

- Nie. I całkiem słusznie, Baron bowiem się uparł plan swój do końca doprowadzić. Gdzież on się podziewa, monsieur Clark?

- Zamknięty tu przecież jestem, Bonjour. Pojęcia nie mam najmniejszego!

Wzrok jej niemile przenikliwy napotkałem, z myślami się zmagając rozmaitymi. Gdy Hattie z Peterem się połączy, jakaż mi zostaje nadzieja na uczucie nowe? Pomimo całej mocy, jakiej dostarczy mi rozstanie ostateczne... Ileż bym dał w tej chwili za choćby krztę czułości! Widać źle skryłem owo pragnienie, bo oto Bonjour poczęła się przybliżać do mnie. Zrazu się uchyliłem, by przerwać sytuację niestosowną, lecz ona dłoń mi ułożyła na ramieniu i gdy się odwracałem, usta me ku swym przyciągnęła między krata, żar we mnie wywołując większy nawet, niżli samo jej warg miękkich ciepło. Blizna Bonjour w owym zwarciu niby się identyczną we mnie odcisnęła. Dreszcz przeszył moje chłodne ciało, energią napawając. Wyczułem, że i ona jakby dała się zniewolić pocałunkowi.

- Myśl, jak znaleźć Duponte’a - głos jej brzmiał stanowczo. - On zaś skrytobójcę nam odszuka.

I tak przez parę następnych dni głowiłem się nad rzeczoną kwestią. Niestety - od spotkania z Bonjour w nocnej porze bardziej mi jeszcze doskwierała bezlitosna samotność.

Raz, gdy się ocknąłem z kolejnego stanu nieświadomości, ujrzałem na stoliku swym drewnianym książkę. Skąd się wzięła, kto ją zostawił - nie wiedziałem. Czy była to mara senna podsunięta przez udręczoną wyobraźnię... Czyż nie dość mi cierpień jeszcze?

Na mym stole oto leżał wolumin Poego w redakcji Griswolda. Trzeci tom - ostatni

- którego już sam widok napawał mnie wstrętem. Pierwsze dwa zawierały dość chaotyczny, acz przyzwoity wybór utworów prozatorskich i poezji, lecz trzeci, ów właśnie edytor lekkomyślny, Rufus Griswold, opatrzył swym oszczerczym esejem.

Zimą, po śmierci Poego widywałem w prasie ogłoszenie z prośbą do wszelkich z nim osób korespondujących o nadsyłanie Griswoldowi listów owych, bo chciałby je zamieścić w swojej książce. A że już mi był znany przezeń stworzony nekrolog, pomóc mu nie chciałem żadną miarą. Natychmiast skreśliłem doń kilka słów z wiadomością, iż jestem w posiadaniu pism czterech osobiście przez geniusza sygnowanych, ujmując tam również powód swej kategorycznej niezgody na współpracę. Dodałem, że decyzja owa może ulec zmianie, jeśli on zmieni swe podejście do tematu. Jemu zaś nie starczyło odwagi, by mi odpowiedzieć.

Skrycie liczyłem mimo wszystko, że Griswold z czasem zrozumie swoją misję i - po publikacji pierwszych tomów - stanie się, by tak rzec, nie katem autora, lecz godnym wykonawcą testamentu. Otworzył jednak na stronicy pierwszej pełne jadu „wspomnienie” o dawnym jego przyjacielu, wolumin odłożyłem na bok, by więcej już z nim nie obcować. W istocie postanowiłem nawet spalić księgę splugawioną.

Duponte się natomiast wglębił w listy tam zamieszczone. A teraz, dziwnym zrządzeniem, znalazł się ów tom w mojej celi. Wedle słów nadzorcy, urzędników trapiło moje zdrowie, więc widząc, iż przez stan uśpienia nie jestem zdolny do lektury gazet choćby, jak również przez wzgląd na uwielbienie, jakie wobec poety żywię - kazali wziąć tom ów nazwiskiem POE wyraźnie oznaczonym z biblioteki „Glen Elizy” i dostarczyć mi tutaj, do więzienia.

Nie miałem jednak wątpliwości, że to za sprawą oficera White'a trafił do mnie ów tom. Chciał on mnie złamać całkiem oraz skłonić, bym przyznał się do występku, który mi życie zatruwa niby. Ucieczka przed księgą w celi ciasnej była niemożliwa: nawet gdy wzrokiem chciałem ją omijać, w spazmie sennym raptem dłonią jej dotykałem. Za dnia chowałem tom pod pryczę, żeby go nie widzieć, lecz kiedy się podnosiłem, aby usiąść, kopałem go nogą przypadkowo, tak że zawsze lądował z drugiej strony legowiska. Przez kraty ciskałem książkę z celi na korytarz, lecz już na drugi dzień znowu powracała, starannie ułożona koło dzbanka z wodą lub też u stóp łóżka. Strażnik kładł ją, czy też więzień, by mi los uprzykrzyć.

Koniec końców nie udało mi się lekturze oprzeć. Opuszczając nędzne wynurzenia Griswolda, skupiłem się na listach poety, które tekst uzupełniały. Wkrótce zaś, gdy już odkryłem ich zawartość, tknęło mnie, że White ma domysł jakiś... wgląd w otchłań, której się wessać dałem, makabryczną.

Wzdragam się na owo wspomnienie, lecz oto Edgar imię moje wspomniał w jednym liście między osobami, które mogłyby wesprzeć powołanie jego czasopisma. Griswold mu na to odpisał, prosząc o więcej szczegółów. Następnie zaś autor wiadomy tak mu opowiedział na mój temat:

„Clark młody, o którego zapytujesz, bogactwo swe zawdzięcza próżnowaniu. Od lat już, wiedząc o mej biedzie, listami nie opłacanymi mnie on prześladowe”^{*}.

Co dnia podczas wzmożonej przytomności wczytywałem się w wieść ową, by sprawdzić, czy się nie bierze ona ze zmęczenia psychicznego. Pisma nie opłacane! Czysty absurd. Poe - jak wiadomo przecież! - nalegał, bym z góry nie pokrywał kosztu swych listów, bo źle się to przysłuży naszej zażyłości. I prosił mnie o pomoc, co więcej, bał się, czy też mnie nie kłopotuje!

Słowa Edgara jakby na złość przywiodły wspomnienie mego ojca. I on mnie wszak nazywał „młodzieńcem w posiadaniu czczych zasobów”! Bogactwa, które sam mi zapisał, pracowitością oraz rozsądkiem zdobytego.

Ach, gdyby mi poznać dane było głos pisarza, szybko bym się wówczas wyzwolił z udręki wspomnienia! Kto wie, może Poe istotnie przemawiał tonem mego ojca...?

Stopniowo mnie moc odeszła, żeby się z pryczy chociaż zwlekać. Osłabiony strasznie, nawet się już silić nie mogłem na mówienie. Po kilku dobach bezsennych popadłem w stan oszołomienia, na pograniczu się znajdując nocy, dnia i świadomości. Z okresu tego prawie nic nie pamiętam - wyjąwszy szum deszczu i nieustannych wyładowań atmosferycznych.

Poza tym nikt mnie w owym czasie nie odwiedzał; widywałem tylko twarze bez wyrazu policjantów czy strażników. Choć... raz naprzeciw celi pokazał mi się człowiek już znany. Ów pasażer na gapę z parowca „Humboldt”, gdzie triumf detektywa, mego przyjaciela, poniekąd przypadł mi w udziale. Oto w zatęchłym więzieniu Baltimore przez mgłę go zobaczyłem naraz, jak mnie obserwuje, obcy, acz dziś bezkarny. Znów jak

kiedyś mi się zdało nagle, jakby mą skórę zamieszkały muchy czy robactwo, gdy dziennik jeden to podał, iż Poe został znaleziony... W sekundzie się wtedy na pryczy obudziłem w zimnych potach.

Mając w rychłej perspektywie śmierć na stryczku, częstokroć sobie w myślach przedstawiałem opowieść Barona o Catherine Gautier... Tyle że jej oblicze, gdy na mnie patrzyła trupioblada spokojem z wysokości, raz mi objawiało słodczyz Hattie, a kiedy indziej znowu przebiegłość skrytą Bonjour. Nadzorca tymczasem przy inspekcji stwierdził, że mój stan niemoty i odrętwienia jest prawdziwy, zaraz nakazując, żeby mnie umieścili w separacie, na pierwszym piętrze więzienia. Dotknięty, ledwie drgnąłem nieświadomie - krzyk w ucho mnie nie ruszył nawet ani też wstrząsy silne.

Przebudzony w nowym otoczeniu, zauważyłem, że mieszkańcem się stałem izby, do której żaden z więźniów trafić nie chciał - bo choć wygodniejsza była od celi na górze, do niej ślano ludzi na śmierć pewną tylko. Medycy niczego groźnego wykryć nie zdołali w moim organizmie, ale się wyłoniła hipoteza, iż mam skłonność do zaburzeń snu. Pytany zaś przez policję, która mą świadomość sprawdzić chciała, milczałem wciąż lub z krtani mej dobywały się frazy bez związku... Na pytanie natomiast o datę mego przyścia na świat powtarzałem w kółko: ósmy października 1849 - kiedy to Poe był grzebany, a mnie by to czyniło dwulatkiem.

Sam zdolny byłem wspomnieć zaledwie snów miazmaty. Na wieść o śmierci rodziców wiele dni spędziłem w swojej izbie, w uporczywych dreszczach i chorobą zdjęty. W stanie zamroczenia miewałem jasne wizje rozmów z rodzicami - prawdziwszych znacznie niż te, które zaistniały w mym życiu naprawdę. Bez końca prosiłem, by mi wybaczyli wszystko, co zaprzepaściłem, nie usłuchawszy ich rad roztropnych, jak też sugestii Petera. Potem się znów budziłem. Na szczęście książki Griswolda już mi do separatki nie dano. Pod nosem chichotałem przez to niby w triumfie ostatecznym.

W szpitalu więziennym brakowało światła za sprawą okien nie mytych, zaciągniętych jakby błoną. I pamiętnego ranka, gdy deszcz ustał wreszcie, promienie słoneczne do wnętrza się przebijały z trudem. Strażnicy w szale do cel różnych przenosili więźniów, kiedy się pojawiła groźba zalania pewnych kwater. Dotychczas gmach był bezpieczny, lecz owej nocy się zbudziłem od hałasów jakichś.

- Kto tam? - rozdygotany wykrzyknąłem w zapomnieniu.

Nagle się zrobiło przeraźliwie zimno i stopę bosą zalał mi strumień wody. Na pryczę wracając szybko, wymacałem w mroku świeczkę. By ujrzeć, co się zdarzyło po raz pierwszy od lat.

* * *

Woda wzburzona przepęłniła ściek i przedarła się przez ścianę izby. Przysiadłszy, ujrzałem, jak się otwiera mrok przede mną. Ściek ciągnął się pod murem wysokim i potężnym wokół budowli więzienia - a ujście swoje miał w Wodospadzie Jonesa. Bez przeszkód żadnych, przez wiele dni od światła zupełnie oderwany, w ciemności bez wysiłku prawie umiałem oszacować skalę zagrożenia.

Umysł mój, wybudzony z żałobnej apatii, działać teraz zaczął na pełnych obrotach. Idea nie sprecyzowana jeszcze zaświtała mi w głowie, gdy mnie w górę wypchnęła fala wody, obmywając w sekundzie kostki, piersi i wreszcie ramiona. Mimo potężnego naporu strugi, jakbym się ruszał nagle prędzej, znacznie sprawniej. Na koniec wypłynąłem na powierzchnię w miejscu, gdzie nagie szczyty więzienia było widać już tylko w oddali.

Oto, co pomyślałem: Edgar nadal żyje.

Choć może tak sądzicie - nie zmogła mnie wcale choroba. Zdolności umysłowe nie uległy żadnej degradacji, pomimo długotrwałego życia w odosobnieniu... Edgar Poe nie umarł nigdy, tak to czułem.

Zwróciwszy wzrok ku więziennym murom, po raz pierwszy od wielu miesięcy, a może i lat nawet (zaznaczę, iż wówczas gotów byłem wierzyć i w pierwszą opcję, i drugą), stworzyłem sobie w mózgu niby-mapę nową wszystkich znanych mi faktów na temat śmierci pisarza.

Być może w owej chwili należało się rozglądnać za pomocą doraźną czy jakimś schronieniem. I może niesłusznie było opuszczać teren więzienia, gdzie wszak, o dziwo, czułem się bezpieczny, gdzie mi nie groziły troski zewnętrznego świata. Cóż byście uczynili w mojej sytuacji - zostali na pryczy, patrząc na poblask gwiazd? Czy wobec olśnienia, iż poeta pozostaje wśród żywych, mielibyście tutaj inne jakieś rozwiązanie?

(A Duponte! Czyżby tego nie dostrzegali, nie biorąc pod uwagę w ogóle w swoich

dociekaniach?!)

„Dla nas się nie liczy, co przytrafiło się Poemu. Przedstawiamy sobie jego zgon wedle własnych potrzeb. On zaś, w pewnym sensie, nadal przecież pozostaje żywy”.

Wspomniałem powyższą frazę wypowiedzianą przez Bena przy pierwszym naszym spotkaniu. Benson zdawał się wiedzieć więcej, niż mi mówił. Czy to mu wiadome było również? Czy odkrył rzecz niemożliwą do zdradzenia we wstępnej fazie swoich poszukiwań i czy mi tą drogą wskazywał klucz do tajemnicy?

Widziałem twarze obecnych przy pochówku, niczym wryte w mój umysł... Do dnia owego stale mi wracali w myślach; pośpiech ich i kroki w butach zabłoconych wciąż mi pobrzmiwały w uszach niby echo.

Dowody... One wszak są istotne. George Spence, wspomniany dozorca cmentarzyka, nie widywał pisarza od wielu lat, a przecież mi wspominał osobliwy jego wygląd przy ostatniej uroczystości... Neilson Poe natomiast oglądał kuzyna jedynie przez zasłonę w szpitalu, a czy ów pacjent nie „objawił mu się jako obcy lub raczej duch kogoś mu znanego”...?

Uroczystość, którą obserwowałem, toczyła się pospiesznie, nie dłużej niż trzy minuty trwając, w obecności paru ledwie świadków, i nawet zrezygnowano z żałobnego kazania. Czy dziwić nie powinno, iż odbyła się po cichu i tak skromnie, jak gdyby w zawstydzeniu jakimś strasznym? I Snodgrass, ów człowiek nieprzejednany, lęk wykazywał oraz złe przeczucia, sam się obciążając winą za pochówek tak niegodny istoty, która wymaga szacunku najwyższego. Myślą wróciłem do wiersza, który znaleźliśmy tam na biurku - poematu, gdzie Snodgrass się odnosi do pijaństwa geniusza. W strofach dotknięto naturalnie i dnia pogrzebu:

Dotąd mnie nawiedza ów pogrzebu obraz!
Z wstydem i w żalości wiecznie zadziwiony
Kreślę twój pochówek - jakże smutny pokaz -
W lichym tyś zakątku został porzucony!

Czy ktoś z poetą zaznajomiony widział złożone w trumnie jego martwe ciało przed pochówkiem? Wszyscy oni prawie - Neilson, Herring, Snodgrass - jakby coś

zataić należało, słowa rzec mi nie chcieli na temat uroczystości. Czyżby im coś wiadome było wobec tego? Iż Poe w istocie mieszka ciągle pośród żywych? Czyżby ukryty został przez osoby trzecie w jakimś celu? Czy Poe żart popełnił wobec świata ostateczny?

Jak widać, myśli owe, choć uległem ekscytacji wielkiej, składały się w ciąg logiczny, bynajmniej nie bez ładu. Chciałem wykazać, że Poe nie zmarł jeszcze, a wszystko, co się zdarzyło, czym prędzej musi się skompromitować. Pieszko udałem się więc zaraz na cmentarz prezbiterian. Umiejscowiony był on poza centrum miasta, tak że go najdotkliwsza fala potopu oszczędziła, nie naruszając też prawie dróg doń prowadzących, niemniej - dotarła i tam również, co wskazywały wodą żłobione rowy w miejscach obniżen gruntów porośniętych trawą.

Wybrałem się tam w zamiarze pogawędki z dozorcą, by się wywiedzieć szczegółów pewnych a istotnych. Na miejscu już jednak - przekroczywszy bramę - uległem potrzebie innej. Choć ciemność panowała najmroczniejsza, oczy me dzięki pobytowi w celi przez czas długi postrzegały nadal znacznie więcej niż w zwykłych warunkach. Zatem w błysku pioruna nadchodzącej nowej burzy udało mi się bezbłędnie namierzyć zakątek ów magiczny a - w oburzeniu stwierdziłem - nie oznaczony do tej pory. Cóż kryło się pod zwałami ziemi?

Usunąwszy gałęzie i gruz wszelki z góry, zacząłem kopać w trawie gołą ręką. Co chwila tryskały na wierzch wodne strugi, więc spróbowałem z boku - lecz z nie lepszym skutkiem. Od ziemi stwardniałej spękały mi paznokcie, plamiąc krwią grudki błota i kamyki.

Gdy się zorientowałem, iż tak nie osiągnę wiele, ruszyłem cmentarzem, by odkryć, że mi szczęście sprzyja. Łopatą porzuconą gdzieś przypadkiem zacząłem wokół mogiły kopać glebę na kształt koła. Z zapalem, dodać trzeba, niezwykłym. Po chwili otaczały mnie kopce lepkiej ziemi. Dzieło wyczerpujące owo tak mnie pochłonęło, że zrazu umknął mej uwagi jakiś nagły hałas... Ależ znalezisko! Słów mi brak, doprawdy!

Ujrzałem zwykłą trumnę z sosnowego drewna. Dłoń wyciągnąwszy, uczułem zimną gładką powierzchnię. Zaraz też odgarniając stamtąd grudy ziemi, musiałem upuścić przedmiot, co byłby wszak w pół minuty już znalazł się na powierzchni...

Oto kundel dozorczy nacierał na mnie z zajadłością. W odległości kilku stóp pies przystanął; czyżby przyjaźni między nami dawnej pomny? Nie, nic podobnego, a jeśli

nawet - to jeszcze, zda się, moja zdrada bardziej go rozsierdziła. Psisko uznało chyba, lecz niesłusznie, iż zwłoki z jego terenu ukraść się wybieram. Dzielny a pocziwy! Gdy tak kłapał szczęką w szale między grobami, ja w nim Cerbera trzygłowego zaraz zobaczyłem! Na próby odganiania z mojej strony pies się przyczaił tylko, aby lada chwila rzucić mi się do gardła.

Z otchłani podziemnego grobowca wyłonił się z latarnią opiekun cmentarza. W słabym świetle trudno mi było go dojrzeć. Objawił się więc w jednolitej barwie, jak ów człowiek wspomniany, którego odnaleźli w tym samym grobie w stanie skamienienia.

- Ja nie hiena cmentarna! - zawołałem, ale że wymachiwałem łopatą, a ręce i ubiór miałem zabrudzone ziemią, pode mną zaś spoczywała częściowo odkryta trumna - mój okrzyk nie mógł zabrzmieć zbyt przekonująco. - Zajrzyj pan tu do wykopu!

- Kto tam? Bierz go, Żeglarz!

I cóż, spojrzawszy tęsknie na trumienkę, pozbyłem się narzędzia i rzuciłem do ucieczki. Człowiek ów zaś z psem wiernym za mną pobiegli.

Wcale się jeszcze nie poddałem. Ledwie zostawiłem w tyle pogoń, znalazłem się w uliczce wąskiej, dla schronienia. Blisko pół godziny zajęło mi dojście do zmysłów po nieudanym wysiłku wyżej opisanym. Natychmiast wszak podjąłem nowe przedsięwzięcie. Dozorca ów cmentarny pewnie zechce teraz strzec grobu Poego... Nadzieją jednak niesiony obłąkaną, ruszyłem przez miasto, wspominając po drodze adres poety tutaj, w Baltimore, już ostatni. Amity Street pomiędzy Lexington i Saratoga - miejsce w wyniku badań żmudnych życiorysu Poego określone.

Mógłbym go sam spytać: Po cóż to, przyjacielu, było pisać, że jestem człowiekiem młodym i lekkomyślnym? Czyżbyś porozumienia między nami nie pamiętał?

Zrzekłszy się pozycji kadeta w West Point, Poe zaraz odrzucony został w Richmond przez Johna Allana, który się nie chciał zgodzić na wspieranie go przez wzgląd na znaczne zaciągnięte długi. Tak więc dwudziestodwuletni młodzian przybył w progi owe skromne, by zamieszkać wspólnie z ciotką, Marią Clemm, córką jej - ośmioletnią wówczas - Virginią oraz starszym swoim bratem Williamem Henrym, i babką, która na zdrowiu podupadła. Poe starał się o posadę w jednej ze szkół

miejscowych, lecz na próżno. Każdy z kadetów wobec tego ofiarował dolara na publikację zbioru debiutanckich wierszy, który miał mu pomóc zaistnieć na niwie literackiej.

Przekonany święcie, iż mi się udało znaleźć właściwy adres, a mianowicie dom wąski między dwoma ulicami, nie siląc się na żadne już rozsądne plany, wbiegłem na schody tamże, byle do góry, jak najprędzej. Czemuś to, Edgarze, przyjacielu, rzeczy podobne wypisywał? Żyw on by przypuszczalnie tu wrócił, do domu swojego, wieść dla mnie jakąś o kolejnym swym przeznaczeniu zostawiając. Prawie nie spostrzegłem dwu kobiet, siwej i młodej jasnowłosej, które okrzyk wydały na widok mego wtargnięcia do izdebki skrytej... Miejsce tam zajmowały przy kominku. (W ubraniu swym z więzienia, do cna przemoczonym i podartym, w plamach krwi ciemnych oraz ziemi zjawiskiem byłem dla nich makabrycznym w rzeczy samej). Potem w pokoju innym jeszcze, na poddaszu domu, tyczkowaty jegomość wychylił się przez okno na Amity Street wychodzące, z wrzaskiem, że tu się oto dzieje napad, morderstwo, zbrodnia i tak dalej. Damy zaczęły ganiać po wszystkich izbach na to i zgiełk się zrobił niepojęty; dziki harmider powstał nagle.

Wzdrygnąwszy się, widząc, iż tamten za łom chwyta, zaraz pospieszyłem na dół - mijając młodszą pannę, przez hol frontowy aż do wyjścia. Bieg ów się odbył w tempie takim, że dopiero na zewnątrz tchu nabrałem, gdzie w poświacie lamp ulicznych ujrzałem powóz przez rumaka olbrzymiego ciągniony, który z impetem straszliwym na mnie prosto zmierza. W obliczu śmierci rychłej osłoniłem dłońmi oczy.

Zrządzeniem dziwnym jednak na krawężnik mnie wtedy wywleczono. Uczułem chwyt mocny za nadgarstki, z całej siły. Wybawca starał się bliżej ku sobie mnie przyciągnąć. Ośmieliłem się nań spojrzeć, otwierając oczy przymrużone wcześniej w bezwolnym lęku, niby podświadomie przewidując, iż będzie to zmora senna, nie zaś żywy człowiek. I kogo wtedy ujrzałem? Edgara A. Poe we własnej osobie!

- Clark! - szepnął, tuląc mnie do siebie, a usta pod wąsem ciemnym krzywiąc lekko. - Trzeba cię stąd zabrać.

Wtedy - spojrzałem nań raz jeszcze i palcem go dotknąłem. Raptem świat jakby zadrżał i rozplynął się w kruczej czerni.

W nikłym przeblasku świadomości zauważyłem, że oto się znajduję w ciemnej i zawilgłej izbie. Czując, jak mnie ktoś w dół spycha, strach śmiertelny w sobie zmóc musiałem zaraz. Z powiekami na pół przymkniętymi kark uniosłem całą mocą, by dojrzeć w jasności zupełnej przedmiot jeden tylko, poza którym mój umysł nic już nie mógł postrzec.

Prostokątną tablicę z napisem: HIC TANDEM FELICIS CONDUNTUR RELIQUAE.

Z westchnieniem się domyślając, iż jest to nagrobek, w zgrozie odczytałem własne epitafium: „Oto on wreszcie tutaj szczęścia zaznał”.

Znów mnie wchłonęła ciemność, a zbudzony z transu, zerwałem się w przerażeniu, że krtań mi pali ostre pragnienie. Choć mrugać oczami byłem zdolny, to nic nie widziałem jednak, myśląc, iż mnie oślepieno - lub też zwyczajnie się znajduję w izbie pozbawionej światła. Wtem z drugiej strony objawiło mi się światło lampy. Przy mnie się rozległ głosik:

- Nie śpi już.

Widząc koło siebie miskę wody, czym prędzej ją do ust podniosłem.

- Nie - drugi głos pouczył. - To, aby dłoni ulżyć. Rękę na cmentarzu sobie poraniłem.

W kręgu blasku płomyka zobaczyłem dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę, o jasnej, niemal zielonkawej cerze, która je upodobniała do chochlików jakichś. Po chwili, gdy lampę naftową podkręcono lekko, mogłem się przekonać, iż dziewczę mi podsuwa szklankę z wodą, czekając, jak się zachowam, cierpliwie i niebywale wdzięcznie.

Zawartość jak w gorączce zaraz wypilem.

- Gdzie... - pytanie mi uwięzło w gardle, gdy znowu ujrzałem ów nagrobny kamień! Teraz mi się przedstawiło jednak, iż to ledwie szkic pokaźny z detalami. Inskrypcję raz jeszcze zatem pełną przeczytałem: HIC TANDEM FELICIS CONDUNTUR RELIQUAE EDGAR ALLAN POE, a poniżej: OBIIT OCT. VII 1849.

Wdzięczny za dobroć zaznaną, zwróciłem się ku dziewczynce. I nagle się też poczułem odpowiedzialny za oboje.

- Nic się nie boicie?

- Gdzie tam - odrzekła mała. - Tylko o pana się martwimy. Gdy ojciec cię tu przywiódł, toś wyglądał potwornie.

Pierwszy raz od miesiący powietrza zaczerpnąłem ze spokojem. Oto, nie wiedzieć kiedy, przebrano mnie w ubiór czysty... Siedziałem na desce na dwu stołkach wspartej - moim łóżku prowizorycznym do tej chwili.

- Obawy mam, proszę pana, że pod dachem rodziny Poe, gdzie sześcioro dzieci i niemowlę nowo narodzone, rzadko się znajduje wolne spanie! Niemniej ufam, iż zdołamy ci zapewnić odrobinę wytchnienia.

Człowiek to rzekł, przez którego zostałem z ulicy zabrany; ale nie Edgar, tylko Neilson Poe, zdaje się. Lecz wyglądał inaczej, nie jak przy naszym widzeniu na posterunku policji. Szczuplejszy wyraźnie oraz z wąsem, mógłby na pierwszy rzut oka być brany za sławnego krewnego.

- Josephine... Harriet... - surowo spojrział na dzieci, co w oddaniu przy mnie nadal stały. - Czas spać! - nakazał, lecz bez skutku.

- Ogromnie mi pomogłyście - rzekłem do nich konfidencjonalnym tonem. - A teraz usłuchajcie ojca. Bezgłośnie opuściły izbę.

- Cóż ja tu robię? - zapytałem gospodarza.

- Sam pewnie wiesz najlepiej - odparł z troską, siadając naprzeciwko.

Następnie mi wyjaśnił, że gdy doń dotarło, iż ktoś wygrzebać próbuje trumnę Poego z miejsca spoczynku, pomimo późnej godziny najął powóz czym prędzej i na cmentarz powieźć się kazał. Ze względu jednak na ulewę konieczny stał się objazd przez Amity Street, gdzie Neilson usłyszał straszną wrzawę dochodzącą z domu, w którym mieszkała dawniej Maria Clemm, krewna jego, a gdzie też przed piętnastu laty Edgar Poe zamieszkiwał.

Uznawszy ów zbieg okoliczności za nader osobliwy i niepokojący, skierował swój pojazd tam właśnie. Wysiadł, by się rozeznać w rzeczy - pamiętając jednak główny cel wędrówki, poinstruował fiakra, aby zawrócił ponownie i ustawił pojazd czołem w drugą stronę, tak żeby czasu już później nie marnować. Wówczas, gdy woźnica czynił, co mu nakazano, ja się pojawiłem w drzwiach domu od frontu - pewien, iż na proch roztarty będę pod kołami w jednej chwili. Neilson mnie wciągnął na chodnik, gdzie padłem zemdlony.

Widząc, iż strój mam cały błotem umazany, stwierdził, że skarga, co doń z cmentarza dotarła, może się wiązać z moją obecnością przy Amity Street.

Nie wiedząc, co mu odrzec, w milczeniu słuchałem.

- Zaraz pana tu przywiozłem - ciągnął Neilson. - A chłopak mój na posyłki pomógł cię ułożyć tu, na desce. Potem medyka ściągnął, który przecznicę obok mieszka; on zaś, po zbadaniu gruntownym, oddalił się dopiero co. Żona się modli w tej intencji, byś do sił rychło wracał... Byłeś pan dziś pod wieczór na cmentarzu owym?

- Co to? - spytałem, wskazując rysunek kamienia nagrobnego.

Spoczywał on niegroźnie na półce wśród różnych książek i papierów, lecz odkąd na sekundę może się ocknąłem w nikłym blasku lampy, na nim się wyłącznie - a w przestrachu - skupiła moja uwaga.

- Szkic ów sporządzony przez człowieka najętego, by godnie oznaczył grób mego kuzyna. O tym jednak może później pomówimy. Jesteś pan, jak widzę, wyczerpany mocno.

- Spać więcej nie chcę - oświadczyłem, w istocie nagle ożywiony wypoczynkiem, ale i też przez to, że choć obaj się nawzajem podejrzewaliśmy, poczułem się bezpieczny, dzieci Neilsona mając po swej stronie. - Wdzięczny jestem za wsparcie twej rodziny, obawiam się jednak, iż więcej mi wiadomo, niżbyś sądził. Policji i mnie powiedziałaś, że Edgar nie tylko ci był krewnym, lecz też przyjacielem. Tymczasem ja wiem dobrze, jak on cię nazywał.

- Nie pojmuję?

- Wrogiem swym najgorszym na świecie! Skrzywiony, Neilson wąż pogładził i pokiwał głową najspokojniej.

- Zaiste. Nieobce mi uwagi owe z jego strony. O mnie i innych osobach, które mu okazały serce.

- A czemuż, sir, na twój temat tak się wypowiadał?

- Otóż gdy ledwie w nim rozkwitło uczucie wobec Virginii... Za żonę wzięwszy Josephine, siostrę jej przyrodnią, uznałem podówczas, że trzynastolatce nie przystoi domu rodzinnego z nim opuszczać, i ofiarowałem się łożyć na jej wykształcenie, by wejść mogła w towarzystwo, pod tym wszak warunkiem, iż w Baltimore pozostanie, u nas. Edgar zaś jako zniewagę odebrał propozycję moją i oznajmił, że bez niej żyć nie podoła choćby chwili dłużej. Sądził, że szczęście chcę mu zrujnować, nie dopuszczając do dalszych spotkań z Sissy. Żal wszelki był dlań nieznośnym ciężarem...

- A uwaga umieszczona w piśmie do Snodgrassa, jakobyś pan się nie zgadzał wspierać jego kariery literackiej?

- Edgar myślał pewnie, że mu zazdroścę - odparł z miejsca Neilson. - I ja wszak za młodu tego próbowałem, więc uznał, iż muszę zazdrość żywić, bo on się cieszy sławą złą i dobrą naraz.

- Był pan zawistny?

- Nie w takim raczej pojęciu, jak Edgar sobie wyobrażał. Nie postrzegałem siebie jako równego jemu. Zazdrość moja wynikała jedynie z faktu, iż jego dzieło literackie nosi rys geniuszu - jakości w mych utworach, pomimo całego trudu, nieobecnej wszakże.

- Jeśli mnie pamięć nie myli - rzekłem stanowczo - utrudniałeś pan policji badanie okoliczności jego zgonu.

- Doprawdy? - nie dał mi się sprowokować. - Rozumiem, skąd owo podejrzenie. Lecz nim się pan zjawiłeś wtedy na posterunku, White niewzruszenie twierdził, iż nie istnieje konieczność dochodzenia, tutejsza bowiem policja woli tkwić w przekonaniu, że zbrodni w Baltimore nie ma żadnych, a zwłaszcza przeciw przyjezdnym. Sam często bronię interesów osób skarżonych o przestępstwa drobne i nieraz, jeśli idzie o pewnych złoczyńców, zdaję się właśnie na opinię policji, toteż w owym względzie nie miałem innego wyboru, jak tylko z White'em podjąć współdziałanie. Wiedziałem, iż ma on w obyczaju piętnować każdego, kto ujawniać się stara w naszym mieście więcej czynów kryminalnych niż owe do wiadomości ogółu podawane - ujrawszy więc pana tam, na posterunku, za wszelką cenę, a dla dobra twego, próbowałem odwieść cię od dalszych postępowań w tej materii. Nieraz myślę sobie, iż nasze prawo niewiele się w istocie różni od tego z czasów, gdy karano za rzekome uprawianie czarów: występki spostrzega się tylko dla korzyści własnych. - To rzekłszy, Neilson ku drzwiom się skierował. - Nie dziwię się, żeś mnie za wrogię Edgarowi uznał. A teraz chodź pan za mną, jeśli łaska.

Przeszliśmy do biblioteki, gdzie mieścił się zbiór - memu niemal równy - książek i czasopism z Poem powiązanych. Pobieźnie przejrzałem to i owo z półki w podziwieniu dla tak znakomitej kolekcji.

Widząc, w jakie mnie wprowadził zaskoczenie oddaniem swym dla pisarza, Neilson objaśnił z uśmiechem:

- W ostatnich latach życia Edgara i po śmierci jeszcze gniewałem się na niego, bo się ode mnie wołał widzieć lepszym. Pod względem właściwości artystycznych żywot mój jawił się mu niewątpliwie jako katastrofa. Krótka rzecz nazywając, wiem, że pałał do mnie nienawiścią całe lata! Ja natomiast - przeciwnie. I dalej też to mi przyszło, że Edgar zawsze się wyrażał poprzez sztukę swoją... nie zaś wyglądem zewnętrznym ani charakterem; nie w liście, który by mógł napisać złością zdjęty nagłą, nie w słowach

wreszcie przypadkowo gniewem roznieconych. Nigdy nie zamierzał istnieć jako pisarz popularny i nigdy twórczość jego nie miała znamion dydaktyki, w moim pojęciu służyła mu bowiem zawsze jako najprawdziwsza forma istnienia.

Neilson się ulokował w kącie biblioteki, obracając się zaś w fotelu, by sięgnąć po wolumin *Tales of the Grotesque and Arabesque* Edgara Poe, tak usta, jak pisarz właśnie, skrzywił lekko. Aby nie zauważył, iż go obserwuję, wziąłem z półki wydanie „Graham's Magazine” z kwietnia 1841 roku z pierwszą historią o Dupinie, poświęconą zbrodni przy rue Morgue. Nabożnie ujawszy ów periodyk w dłonie, przywołałem w myśli własne zbiory biblioteczne i mój dom, „Glen Elizę”, gdzie chaos pewnie zapanował i ruina w wyniku częstych rewizji policji, służących wynalezieniu świadectw mojej winy i obsesji.

- Wiesz pan, że za pierwszą opowieść o Dupinie zarobił Edgar tylko pięćdziesiąt sześć dolarów? - spytał Neilson, spostrzegłszy przedmiot mojej ciekawości. - Odkąd umarł, nieraz znajdowałem w prasie oszczercze, podłe artykuły o nim. Ów niegodziwy biograf również fakty przeinacza na swą modłę. Tymczasem, jak pan pamiętasz, noszę wszak identyczne nazwisko. I żona moja, i dzieci... Wnukom też przypadnie. Od paru miesięcy czytam po wielekroć niemal wszystko, co mój kuzyn stworzył, i stronicę coraz to nową otwierając, czuję, jak się między nami więź zacieśnia, bliskość najwyższego rzędu, jak gdyby przepływały przeze mnie jego słowa, które on zdołał wyciągnąć niby z krwi nam wspólnej. Powiedz, czyście się poznali? - zniecka mnie zapytał.

- Nigdy.

- Doskonale! - orzekł, a widząc me zdziwienie, mówił dalej: - Chodzi mi o to tylko, iż tak jest chyba lepiej. Szukaj pan wiedzy o nim w tekstach jego. Geniusz posiadał rzadki wielce, zatem wśród pismaków gazetowych niełatwo mu się było upominać o swoje i rychło do wniosku doszedł, iż wszyscy się sprzysięgli przeciw niemu, jak również że z czasem wrogów zyska nawet pośród swych przyjaciół oraz krewnych. Lękliwy w swej wrażliwości, został odrzucony przez środowisko niechętne nowatorom, czego ja zresztą w młodym wieku także zaznałem. Życie jego stało się ciągiem eksperymentów na własnej naturze; odciągnęły go one znacznie od rzeczywistości - ku wiedzy o tym jedynie, jak zmysł literacki doskonalić. Nie znamy Edgara Poe jako człowieka w rzeczy samej, za to dogłębnie poznajemy jego geniusz. Dlatego dopiero po śmierci pisarza jest

nam dane wczytać się prawdziwie w jego pisma... Mnie, tobie... a teraz i zapewne wreszcie ogólowi - tu Neilson przerwał. - Czy miewasz się pan lepiej, chciałbym wiedzieć?

Odczułem, że umysł mam jaśniejszy i już się wyzwoliłem z emocji obłąkańczych, które mnie trawiły do tej pory. O czynach swoich niedawnych myślałem w kategorii snu lub odległych wspomnień. Lekko się zaczerwieniłem z konsternacji, pamiętając, w jakim stanie znalazł mnie Neilson.

- A jakże. I dzięki, że pan pyta... Chyba mnie odnalazłeś pobudzonego wielce.

- Doprawdy - zaśmiał się w zdumieniu - nie wolno ci się obwiniać, boś podtruty został.

- Jak to...?

- Doktor, który ciebie potem badał, pewnością wyraził absolutną, iż ci podano drobną dawkę trucizny. Stwierdził bowiem resztki proszku białawego w tylnej części jamy ustnej; wyborną zaiste miksturę kilku chemikaliów. Nie masz jednak powodu się martwić, bo mnie zapewnił, że porcja była niewielka i szkód trwałych wyrządzić nie jest zdolna.

- Trutka? Kto też... - odpowiedź mi się przedstawiła w ćwierć sekundy: owi więzienni strażnicy, co w czujności wielkiej wciąż mi podstawiali świeży dzbanek z wodą. White, z którym rozmowy uparcie odmawiałem, mógł się wszak posunąć do podobnych środków, po to mianowicie, żeby mi na tyle myśl zakłócić, abym w końcu wyznał swoje złe uczynki! Chciał więc on, na sto procent, udaremnić dochodzenie, którego się domagałem! I trułby mnie zapewne, ażbym się przyznał lub też umarł, może i nawet śmiercią samobójczą, kto wie... Życie wszak się udało ocalić dzięki przypadkowi.

Ach, cóż to wyprawiać chciałem, więzienie opuściwszy! Szukać Poego... w przekonaniu, że on przy życiu pozostaje nadal! Wizyta w jego dawnym domu, sprzed lat tylu nieprzeliczonych! Wolny się poczułem i silniejszy znacznie, widząc owe zdarzenia w całej ich rozciągłości.

Neilson się zadumał jakby w niepokoju.

- Może by ci się przydał wypoczynek jeszcze?

- Chłopak - rzekłem raptem - ów posłaniec, który wpierw pomagał mnie nieść, no a potem wrócił w towarzystwie lekarza... Gdzie on? - prócz dzieci w domu nie widziałem

nikogo.

Neilson się zawahał z odpowiedzią. Mnie zaś doleciał nowy hałas, coraz oczywistszy a donośny: koni poprzez wodę brnących oraz kół dorożki...

Neilson na to głowę uniósł, mówiąc:

- Działam w adwokaturze, wiesz pan doskonale. Tyś prawu zbiegł natomiast, tak że - będąc z nim w zgodzie - policję o twej obecności musiałem powiadomić. To mój obowiązek, acz też mi się zdaje, iż nikt jak ty słuszniej imienia krewniaka mego by nie potrafił zrehabilitować. Z radością więc dopomogę jako obrońca w sądzie, jeśli zechcesz tylko - zmroził mnie ową frazą. - Sam przecież na sali sądowej zasiadałeś... Pomyśl o tym.

Tu Neilson Poe wolno się ku drzwiom skierował. Ja zaś na tyle czułem się osłabiony, iżby mnie on z łatwością mógł poskromić, aż się tam nie zjawi chłopak ów na posyłki oraz policjanci...

- Dzieci! - rzekł raptem Neilson. - Może ci się to wyda zbyt surowe z mojej strony, muszę jednakże sprawdzić, czy aby już uśpione w swoich łózkach.

- A jakże - z wdzięcznością pokiwałem głową.

Gdy hołem się skierował w stronę schodów, z izby wybiegłem, lecz nie patrzył za mną.

- Niech cię Bóg strzeże! - zdążył jeszcze krzyknąć..

* * *

Oto się wyjaśniło, co mi było pisane. Miałem odszukać Auguste Duponté'a. On tylko był zdolny przedstawić niezbity dowód mojej niewinności. Odkąd mi Bonjour wyjawiała, iż mu nie została wyrządzona krzywda, sama już świadomość, że może gdzieś blisko przebywać, podniosła mnie znacznie na duchu. Poczulem się niezwyciężony - i owym niesiony doznaniem ruszyłem niby na skrzydłach poprzez zatopione ulice miasta. A może detektyw zdążył już wszcząć dochodzenie w kwestii zamachu na Barona? I może owego wieczoru też zjawił się w sali wykładowej, widział całe zajście i zbiegł stamtąd, przewidując następstwa?

Za cel swój nadrzędny, najgłówniejszy uznałem dowiedzenie Hattie, iż wina nie po mojej leży stronie. Wszak ona - gdy inni mnie opuścili - trwała w przyjaźni serdecznej przez cały czas, gdy w więzieniu siedziałem. Zapewne ktoś powie, że to jest drobnostka

w porównaniu z faktem, iż życie jako przestępca mógłbym skończyć, a przy tym Hattie przecież innemu rękę obiecała - lecz żadną to miarą nie wpłynęło na moją rezolucję.

Wciąż nosiłem odzienie przemoknięte na wskroś; w uszach, żołądku i płucach woda chlupotała mi jeszcze długo później, jakby gwoli przypomnienia, ile przebrnąłem zaułków zdradliwych, w męce wznosząc nieraz całe fale wodne. Ocean Atlantycki zdał się niby z brzegów wyrwać i zmierzał teraz dalej, na spotkanie z Pacyfikiem. Udało mi się w końcu odnaleźć Edwina, który mnie zaopatrzył rychło w bieliznę i skromne ubrania na zmianę. Chciał mi pomóc w wyszukaniu bezpiecznego zakątka, gdzie by mnie policja wykryć już nie mogła. Strój przyniósł dla mnie zawinięty do porzuconej pakowalni, kiedyś należącej do firmy mego ojca, gdzie kryjówkę znalazłem na wspomnienie z lat dawnych, iż drzwi tamtejsze mają luźny zawias, który nigdy nie był naprawiany.

- Wystarczająco mi pomogłeś, Edwin - rzekłem. - Wolę, doprawdy, byś więcej się dla mnie nie narażał. Nieszczęść wszak dość już przysporzyłem wszystkim wokół...

- Czynisz, co wydaje ci się słuszne, kładąc na szali własne życie - odrzekł. - Poe zmarł. Innego człeka postrzelono. Co gorsza, zniknął twój towarzysz. Krzywda się wielka dzieje w dalszym ciągu. Choć ty musisz być bezpieczny dla ocalenia prawdy przecież.

- Nie wolno dopuścić, by cię oskarżyli o przestępstwo - przypomniałem z najwyższą powagą.

Rzecz w tym, iż wolny czarnoskóry, skazany za jakieś znaczne przewinienie, mógł otrzymać karę najstraszliwszą: na powrót dostać od władz status niewolnika.

- Nie rodziłem się w lesie, żeby zmykać przed sową - Edwin się roześmiał ze spokojem. - Poza tym i u nas nikogo nie karano jeszcze za darowanie łachów człowiekowi, któremu bielizna na łokciach prześwituje. Dasz radę tutaj przespać noc dzisiejszą?

Edwin nadal się mną opiekował, w stałych odstępach czasu nawiedzając pakowalnię. Ja zaś, wbrew pokuszeniu, wstrzymałem się od wizyt w domu Hattie z lęku, iżby jej to niewątpliwie mogło napytać biedy. Na miasto się wyprawiałem z najwyższą ostrożnością, pamiętając, by przypadkiem nie zbliżyć się w rejon „Glen Elizy”, gdzie wszak spostrzeżony zostać mogłem. Nadal będąc w posiadaniu owego numeru „Graham's” z czterdziestego pierwszego roku, z introdukcją Dupina, tak go pilnowałem ustawicznie - niby talizmanu. Historię ową wielokrotnie odczytując, myślałem, co też się

udało wykryć Duponte'owi. Periodyk stanowił dla mnie źródło lektury wyłączone, więc - choć lat liczył dziesięć - musiałem się zapoznać z całą jego zawartością.

Raz Edwin zjawił się u mnie w porze umówionej. Akurat czytaniem „Graham's” byłem zaprzątnięty.

- Co słyhać u pana? - zapytał.

Woli do mówienia zabrakło mi niemal od fascynacji lekturą owych stronic. Bo i nie wiem, zaiste, jak opisać teraz swoje uniesienie... Odkryłem mianowicie rzeczy mi nie znane całkiem. Prawdę na temat Duponte'a... lub Dupina raczej... Wszystko, co sobie przemyślałem owego dnia, zdaje się wprost niemożliwe do pojęcia... Od czego zacząć, nie wiem nawet... Ach cóż, Duponte wcale się nie stał pierwowzorem postaci Dupina.

Jeszcze na posterunku, przeczytawszy parę razy Barona zapiski, które miał w swoim wykładzie wykorzystać - i kiedy się z owym tekstem zaznajomiłem aż na pamięć, rzuciłem stronicę w palenisko buzujące w holu między celami męskimi i dla kobiet. Choć więc nie próbowałem w skrytości zamordować Barona, to przecież z żarem zniszczyłem jego dzieło w piśmie. Po tym, co się wydarzyło, ryzyko, iż się fikcja przezeń stworzona rozprzestrzeni, musiałem zdusić w zarodku.

Ale też nie dlatego, żeby jego słowa brzmiały fałszem. Wizję wszak Baron wykreował dość przekonującą, tyle że nie prawdy - w przeciwieństwie do Poego, który prawdę pisał jedynie, chociaż mu niewielu wierzyć w pełni miało zamiar. Do hipotez Barona jednak wrócę później. W notatkach swych on także chciał podkreślić, iż siebie właśnie uważa za pierwowzór.

Oto przykład: „Dupina znacie państwo z owych historyjek jako istotę bezpośrednią, genialną i bez lęku. Cechy te, wyznam z pokorą, autor zaczerpnął z moich własnych przygód... Bo Dupin jest taki jak ja, prawda? W czasach, gdy prawdę tają oszuści wszelkiej maści, królowa i wielmoże, Dupin ją znajduje. On wie po prostu, wypowiada. Lecz ci, co prawdę chcą ogłaszać, drodzy moi, zwykle są narażeni na szyderstwo, odrzucenie i śmierć wreszcie. Przez to Edgar się znalazł... Nie!” - W tym miejscu planował, zda się, głową pokręcić w zaprzeczeniu, czy też może na znak powagi łzę uronić gorzką. - „Przez to się Edgar Poe zagubił. Bo on nas nie opuścił, lecz został zabrany...”

Czekając na przyjscie Edwina, w slabym swietle magazynu wzialem do rak ow egzemplarz kwietniowy „Graham's”.

„Los sprzyjal im, ze Poego mieli - pomyslam - nie tylko jako pisarza, lecz redaktora rowniez”.

Zaraz sie na tekscie pewnym zatrzymalem, wzrok w polmroku wytezajac mocno. Zwlaszcza ze mi sie on z poczatku niezbyt wazny wydawal...

Oto w tym samym numerze, gdzie i *Zabojstwo przy rue Morgue* zamieszczono, wydawca czasopisma - czyli Edgar - recenzowal ksiazke pod tytulom *Szkie o osobach znanych we Francji*. Zbiór ów artykułów biograficznych mieścił mianowicie teksty poświęcone ludziom sławnym. Zaciekawilem sie postacią George Sand, znanej autorki powiesci. Doprawdy, skąd mi umysł rzecz ową podsunął, nie wiem, choć z przeszlych lektur to wiedzialom, iz imię przybrała męskie - George - chcąc publikowac swe utwory poza wszelkim uprzedzeniem. Naprawde zaś zwala sie ona Amandine Aurore Lucie Dupin! Poe w swojej recenzji *Szkiców* z wdziękim przytacza anegdotę, gdzie madame Sand/Dupin pali cygaro przyodziana w surdut.

Potem mi w jego tekscie imię Lamartine zdalo sie frapujace. Nie znacie go, przypuszczam, bo ów paryski poeta i filozof w swiecie szerzej chyba nie zdolal zaistniec. Lecz co ciekawe nad wyraz mi sie zdalo - w pierwszej historii Poego o racjomaginacji tak przeczytac mozna: „...doszliśmy do niewielkiej ulicy, zwanej Lamartine, wybrukowanej na próbe kostkami drewnianymi, ściśle i spoście ze soba polaczonymi”.

Czy aby przez koincydencje w jednym wydaniu pisma Edgar zamiescil swa recenzje z pierwsza opowiescia o Dupinie, w obie wkkladajac przeciez nazwisko slawnej autorki z Francji...? Idzmy jednak dalej. Gdy glębiej wnikniemy w historie o morderstwie przy rue Morgue, jednego ze świadków bestialstwa tak oto nadmienia narrator: „Pawel Dumas, lekarz, zeznaje, iz wezwano go do obejrzenia cial nad ranem”.

Pytam sie, czy ów Dumas nie przywodzi na mysl samego Aleksandra, pomyslowego twórcy powiesci serca i szpady? Lecz i to nie wszystko, bardzo prosze: „Izydor Musset, zandarm, zeznaje, iz wezwano go do tego domu okolo trzeciej z rana...”*.

Otóz wlasnie - jak Alfred de Musset, ów poeta francuskiego urodzenia, który byl, jak wiadomo, kochankiem wspomnianej George Sand.

Chyba się wam konkluzje oczywiste zdają.

Umysł mój rozpędził się zaś wówczas jak schorzały. *Zabójstwo przy rue Morgue* - dziś jeszcze brzmi mi w uszach Edgara śmiech przebiegły - skonstruował on jako alegorię kondycji współczesnej literatury swego kraju. Odniesienia do George Sand (vel Dupin), Lamartine'a, Musseta i Dumasa to jedynie kilka w całej przezeń stworzonej gamie ukrytych a bystrych niezwykle aluzji literackich.

A jeśli me podejrzenie było słuszne (z pewnością!) - Poe, by odmalować postać swego detektywa, wcale się nie posłużył ani Auguste'em Dupontem, ani też Baronem Claude'em Dupin, lecz tylko i wyłącznie skorzystał z figur najrozmaitszych świata pisarskiego. Gdy mi to pierwszy raz zaświtało w mózgu, z całą odwagą do miasta się wyprawilem, szperać w książkach. I cóż się okazało? Nie dość, że nazwisko George Sand prawdziwe jako Dupin pamiętałem, to fakt ów na dodatek, iż w dzieciństwie utraciła ona brata... który zwał się, wiecie już na pewno, Auguste Dupin. Auguste Dupin. Czy poecie szczegół ten był znany? A co nam Edgar przez to chciał zakomunikować? Brata jej na nowo powołał wszak do życia w osobie geniusza, który walczy przeciw śmierci i przemocy. Czyżby miał na myśli brata rodzonego o imieniu William Henry, którego, nieszczęsny, stracił w swoich chłopięcych latach?

Czytając w ekscytacji *Morderstwo przy rue Morgue* któryś już raz z kolei, odkryłem niespodziewanie nowy sens opisu, który narrator podaje na temat swej codzienności z C. Auguste Dupinem: „Osamotnienie nasze było zupełne. Nikt u nas nie bywał. Zachowaliśmy w najgłębszej tajemnicy miejsce naszego pobytu przed dawniejszymi naszymi znajomymi. Dupin już wiele lat temu przestał znać kogokolwiek i być znany w Paryżu. Poprzestawaliśmy wyłącznie na sobie samych”^{*}.

Detektyw zatem nadzwyczajny istniał jedynie w wyobraźni Poego.

„Jak powiadomiła dziennik nasz «przyjaciółka» genialnego a dziwaczного pisarza, wielmożnego Edgara A. Poe, stworzony przezeń protagonista, zmyślny C. Auguste Dupin, wzorowany jest na postaci żyjącej, podobnej osiągnięciami i nazwiskiem, i znanej z niezwykłych swych talentów analitycznych...” etc.

Wspomniałem ów fragment z gazety codziennej, który wpierw trafił do czytelnicy, a później w moje ręce. Niejasne to wszystko, a i nieprzyjemne zdało mi się. Jakże się

mogłem dać zwieść informacji nie sprawdzonej? Kim była owa „przyjaciółka”? Z jakiej też przyczyny miałyby być wiarygodna? Czy jest gdzieś ktoś taki w ogóle? Pełen rzeczonych wątpliwości, próbując w sobie szukać odpowiedzi, skłaniałem się jednak do takiej konstatacji, iż Duponte to oszust marny, Poe zmarł i mnie śmierć czeka także; i ja na szubienicę pójdę, by życie oddać za to, iż pragnąłem więcej wykryć, niżli już wiadomo.

Duponte przepadł.

- Gorzej ci? Medyka mam sprowadzić? - Edwin chciał mnie wyrwać z odrętwienia.

- Edwin - wydyszałem frazę osobliwą. - Ja już umarłem prawie.

* * *

Tu na moment przerwę wątek główny opowieści, by więcej powiedzieć o jej źródle, to jest o śmierci pisarza. Wielekroć nadmieniałem, iż znany mi jest w całości wykład Barona na ten temat, dalsze zatem zatajenie odkryć owych byłoby wyrazem nieuczciwości z mej strony. Jak mówię, zapadło mi w pamięć wszystko, co Baron odnotował. „«Reynolds! Reynolds!» - krzyk ów będzie nam rozbrzmiewać w uszach, póki pamięć o Edgarze Poe nie zginie, bo to były jego słowa pożegnalne. Mógł oświadczyć przecież: «Tak to, Panie, odchodzę. Umieram, bliscy drodzy i niedoli towarzysze. Sami odgadnijcie teraz, z jakich przyczyn...»”.

Choć relacja Barona zapewne znacznie by zakłóciła obraz prawdy, to ja poniekąd żałuję, iż nie odczytał słów tych na głos. Bo teraz nie mogę podać szczegółów dalszych domniemyanych zdarzeń. Baron by z pewnością tak przemierzał scenę, jak w najlepszym okresie kariery adwokackiej przechadzał się po sali sądowej. Wyobraźcie go sobie, jak w uśmiechu szczerzy śnieżnobiałe zęby, jak ręce rozkłada szeroko, zagadki takie oto rozwiązanie obwieszczając:

Poe w czas niekorzystny odwiedził miasto Baltimore. Wizyty tu nie planował wcale, udając się do swego domu w Nowym Jorku, z zamiarem sprowadzenia biednej teściowej i rozpoczęcia życia na nowo. Na statku w drodze z Richmond zbójcy go napadli i pieniądze mu odebrali, tak że się spóźnił na pociąg z Baltimore na północ. Rzecz ową wskazuje fakt, iż choć zarobił nieco grosza w Richmond wykładając, zaledwie kilka dni później został znaleziony z pustą kiesą. W Baltimore zaś, zbłąkany, zauważył przypadkowo, że go tamci śledzą, to i schronienia chciał szukać u życzliwego swego przyjaciela, doktora N. C. Brooksa. Niestety, Brooks był w domu nieobecny, czego szubrawcy chciwi nie wiedzieli, i w strachu, iż Poe tam kogoś zawiadomi - beztrzesko rozniecili ogień, który ów dom zniszczył niemalże doszczętnie. Poecie ledwo się udało ujść z życiem.

Gotówki posiadał jeszcze tyle tylko, by pokój nająć skromny w United States Hotel; na drugi bilet już mu zabrakło do Nowego Jorku albo Filadelfii, gdzie się wcześniej podjął zadania lukratywnego w dziedzinie literackiej. Magazyn jego nowy, który się miał zwać „Stylus”, wniósłby powiew ożywczy geniuszu w kręgi pisarskie kraju - wrogowie jednak autora tego sobie nie życzyli, boby tym samym ujawnił ich marne talenty. Wobec powyższego Poe przybrał pseudonim E. S. T. Grey. I nawet się zwrócił z prośbą do swojej teściowej - opiekunki, którą darzył szacunkiem oraz cenił - by listy doń do Filadelfii słała tak właśnie adresowała, ażeby nie przepadły, z obawy, iż adwersarze jego przechwytywać mogą wszelkie pisma od osób skłonnych go poprzeć czy też wspomóc materialnie śmiało owo przedsięwzięcie. Nie chciał, oprócz tego, by się dowiedzieli, iż do Filadelfii się wybiera, a to w przekonaniu, że usiłowałiby mu rzecz ową utrudnić, niwecząc wysiłki zgromadzenia środków na wymarzone czasopismo.

Akurat wówczas w Baltimore odbywały się wybory okręgowe. Poe zaś, jako człowiek sztuki, zawsze był ponad tego typu sprawy. Obce mu były sprawy polityków i pospółstwa. Dla łotra ordynarnego wielki geniusz jest wszak zwykle wyborańską pożywką.

Poe zaś stanowił zdobycz łatwą. Przemieszczał się pod przybranym nazwiskiem E. S. T. Grey. W wieczór przedwyborczy w aurze przykrej, co nękała wtedy miasto cały tydzień, porwany został wprost z ulicy... I tutaj się rozpoczyna zbrodnia na poecie - kto

wie, czy nie najdłuższa w dziejach naszych, a już niewątpliwie najdłuższa i najżałośniejsza w historii literatury. Najboleśnieszka od chwili, gdy poeta Otway udusił się okruchami chleba, a niesprawiedliwa najbardziej od zadania Marlowe'owi ciosów w głowę - narząd, gdzie się geniusz mieści. Wszystko to uczyniło Edgara Poe artystą najniesławniejszym po Lordzie Byronie.

Co gorsza, rodzina pisarza - a więc, sądzić można, najbliżsi - również się obróciła przeciw niemu. Niejaki George Herring, który może dziś tu na sali siedzi, nadzorował wigów z Okręgu Czwartego, a w ich punkcie zbornym przecież, w gospodzie Ryana, znaleziono później Poego. George Herring był z autorem spokrewniony [tu się coś Baronowi widać pomieszało, wszak bowiem Henry Herring poprzez związek małżeński był kuzynem Poego, i on to, a nie Poe w istocie, należał do rodziny George'a - niemniej, słuchajmy dalej...] i jako krewniak jego bliski wiedział, iż autor jest osobą wrażliwą. Nie przez przypadek zaiste, czcigodni a oddani sztuce panowie oraz damy, że Henry Herring jako jeden z pierwszych zbliżył się do Poego, gdy ogłoszono, iż ów w tarapatach się znajduje... ani że doktor Snodgrass zdumiał się wielce na widok Henry'ego, zanim jeszcze nakazał go powiadomić, co się dzieje! Herringowie wybrali Poego na ofiarę, bo go znali, bo dla nich nie był jakimś „Greyem”. George Herring wiedział od Henry'ego, iż Edgar Poe pod wpływem alkoholu czy innej używki bywa nieobliczalny, stwierdził zatem, że jest bezbronny niemal całkowicie pośród wyborczej sitwy. Przewidując groźne skutki uboczne u poety, George posłał po Henry'ego, żeby go do szpitala zechciał odwieźć - celem uniknięcia sytuacji niekorzystnej dla wigów Czwartego Okręgu. Henry Herring, jak wiemy, wciąż żywił pretensje do autora za to, że ów - wcześniej w Baltimore zamieszkując - zalecać się poezją próbował do jego córki, Elizabeth. I oto teraz Henry z całą niegodziwością mógł odwet wziąć na poecie za afektację młodzieńczą, niepoważną i niewinną.

W polityce wstrętnej utyłani, wigowie z Czwartego Okręgu, co swą siedzibą główną uczynili spelunkę naprzeciw zajazdu rzeczonoego u Ryana, w gmachu Czujnej Straży, zamknęli autora w piwnicy wśród innych nieszczęśników - włóczęgów, nietutejszych oraz obcych z zagranicy gości. Stąd też wiadomo, czemu Poe, człowiek jednak popularny, nie był przez dni kilka widziany przez nikogo na ulicy. Złoczyńcy, jak się zdaje, zamroczyli go nasennymi środkami.

Natomiast w dniu wyborów powieźli do różnych lokali wyborczych tego miasta. Zmuszając, aby głos oddał na ich kandydatów wszędzie, żeby zaś farsa owa wyglądała autentyczniej - za każdym razem poeta zmuszony był nosić inne przyodzienie. Tak zatem się wyjaśnia, czemu u Ryana wykryty został w stroju nie na swoją miarę, a do tego jeszcze brudnym i podartym. Zbrodniarze jednak pozwolili mu zachować świetną malajkę, tak bowiem był osłabiony, iż nawet oni uznali, że mu się owa laska wielce przyda. Poe malajkę rzeczoną celowo podmienił u swego przyjaciela w Richmond, bo wewnątrz krył się oręż, szpada straszna - pomny, jak to w przeszłości wrogowie literaci czasem go wyzywali na pojedynek bądź też w inny sposób żywot mu uprzykrzać chcieli. Lecz gdy się już tutaj rozeznał w niebezpieczeństwie - stanowczo był za słaby, żeby się bronią swą posłużyć, ale też nie chciał się z nią wcale rozstawać. Później go znaleziono z laską ową przy piersi.

Frakcji zaś owej politycznej nie udało się skaperować ofiar w liczbie zamierzonej, a to przez wzgląd na pogodę - bo niewielu domostwa swoje wtedy opuszczało. Acz też i próbowali „pozyskać” wybitnego oficjela z Pensylwanii, chwytając go po drodze z teatru do hotelu Barnuma - po czym go puścili wolno, gdy się wszakże okazał grubą rybą. Wobec tego pisarz Edgar Poe był wykorzystywany przez nich wielokrotnie, więcej znacznie razy niż to przewidziano... a gdy go porywacze owi wiedli do tawerny u Ryana, by głos oddał kolejny na ich korzyść, stanowczo już za bardzo zdążyli go umęczyć. Po przysiędze złożonej jednemu z sędziów wyborczych, niejakiemu Henry'emu Reynoldsowi - Poemu zabrakło sił, no i się osunął na podłogę. Zaraz wezwać kazał znajomego, doktora Snodgrassa, który tam się zjawił zniesmaczony. Snodgrass, czołowy działacz miejscowej organizacji promującej wstrzemięźliwość, był pewien, iż Poe mocno sobie pofolgował, jak chodzi o napitki. Więc się łotry z polityki uradowały wielce, bo czyn ich obrzydliwy wobec tego mógł pozostać w ukryciu. Wszak myślący solennie a surowo doktor Snodgrass nie poważyłby się na wierutne kłamstwo - w następstwie czego wszyscy mieli uznać, że szlachetnego poetę śmierć zmogła, gdyż nie posiadał on żadnych zasad moralnych.

Tu się jednak Prawda dopomina swego.

Poe - odurzony mocno i pozbawiony snu - nie mógł absolutnie nic wyjaśnić na swój temat, acz mu i świadomości dosyć pozostało, by się zorientować, iż Snodgrass,

jego domniemany przyjaciel, patrzy nań z dezaprobatą, a wręcz z pogardą. Wsadzony więc pisarz (sam) został do dorożki oraz zawieziony czym prędzej do szpitala. Tam zaś, pod baczным okiem doktora J. J. Morana i jego pielęgniarzy - raz ginął w nieświadomości, to znów z niej wracał. Niczym w sennej marze przywołując pamięć, iż się kryć próbuje przed wrogami pod fałszywym nazwiskiem Greya, Poe starał się ujawnić pocziwemu doktorowi jak najmniej szczegółów o sobie oraz na temat celu swych wojaży. Lecz cóż... że umysł miał osłabiony, to w pewnej chwili na wspomnienie zdrady z jego strony Poe począł wykrzykiwać, iż „najlepsze, co mógłby mu przyjaciel bliski ofiarować, to strzał jeden celny z rewolweru, a w łeb prosto”.

Na myśl zaś o człowieku ostatnim, który mógłby na czas spostrzec rozterki, które nim targają, tym samym udaremniając akcję zbrodniarzy - o sędzim Henrym Reynoldsie, który z nonszalancją zaprzysięgał wyborców - Edgar począł go rozpaczliwie nawoływać wtedy, jakby jeszcze w nadziei na wsparcie z jego strony. „Reynolds! Reynolds! Reynolds!” - wołał uporczywie godzinami, lecz krzyk ów podzwonnym jego był w istocie, nadaremny...

Te dzwony, dzwony, dzwony,
jak nam dźwięk ich rozstrojony
śpiewa hymn rozpaczy!

Tak to w niepokoju kres Poety nadszedł.

Oto więc poznaliście mowę, co się nie zdarzyła nigdy - to, co rzekłby Baron Dupin, chcąc owego wieczoru publiką swoją wstrząsnąć do żywego. Mimo iż z całą radością wykład ów spaliłem, niedługo mnie właśnie przyszło objawić go ogółowi.

Na trzeci dzień po zdobyciu przeze mnie rzeczono numeru „Graham's Magazine” - widoczne się stało dla Edwina, iż popadłem w przygnębienie. Bo się istotnie tak czułem, jak gdyby mi trucizny zadano więcej jeszcze, niż gdy mnie Neilson Poe znalazł przy Amity Street pod numerem trzecim; nie krew mi bowiem teraz zakażono, a serce i duszę.

Edwin mnie zaczął namawiać na wspólne Duponte'a szukanie. Lecz ja go już nie chciałem znać. Kim był, czym się parął? Cóż prawdą, a co było złudą? Być może on sam rozmyślnie, a i drobiazgowo stworzył własną postać, ze strzępów opowieści Poego korzystając. Być może tak się właśnie stało, nie na odwrót. Teraz zaś się ukrywał w poczuciu, że roli owej nie podoła. Czyż ani raz mi nie powstało w głowie podczas dni z nim spędzonych, iż na literaturę reaguje w sposób chory zgoła, że stać by się raczej nie mógł dla poety źródłem inspiracji...? Zapewne więc satysfakcja, iż go zdołałem wyrwać z Paryża, z osamotnienia - odebrała mi trzeźwość widzenia rzeczy.

Fale się zaczęły cofać wokół pakowalni. Gdy lud niebawem wyległ wreszcie na ulice, Edwin mi doradził, by szukać nowej kryjówki. Wystarał się też dla mnie o izbę w pensjonacie na wschodnim krańcu miasta, z dala od utartych szlaków. O ustalonej porze miał mnie tam po kryjomu zabrać - wozem, pod stertą gazet, które dostarczał czytelnikom co dzień. Niezdolny się uporać z utratą Duponte'a, godzinę jednak umówioną przegapiłem.

Na moją prośbę Edwin przyniósł mi więcej opowieści Poego. I dokąd światła starczało w pakowalni, czytałem sobie o Dupinie w nieskończoność. Skoro w rzeczywistości nie istniał jego pierwowzór, człowiek żaden, którego geniusz mógłby natchnąć poetę - czemu na wiarę to przyjąłem, i to z żarliwością jeszcze? Wpierw zdania z owych opowiadań kopiowałem począłem dość bezładnie, lecz prędko, celem nie wiedziony żadnym zgoła, przepisałem każde słowo stamtąd, jak gdyby je przekładając na dostępniejszy język.

Poe nie wynalazł Dupina pośród prasowych doniesień z Paryża. Stworzył portret jego ze skrawków człowieczej duszy. Nie wiem doprawdy, jak najtrafniej ująć wizję, która mi się wówczas objawiła. Ustawicznie powracało w myślach stwierdzenie Neilsona

Poe, iż istoty sztuki Edgara nie należy szukać w jego życiu, nie w świecie zewnętrznym, lecz w słowach, w prawdzie tam zawartej. Dupin istniał zatem. Istniał w prozie Poego i być może prawda jego mieściła się we wszelkich naszych zdolnościach. Dupin nie mieszkał pośród nas, tylko w nas samych, niejako w drugiej naszej stronie, złożony z nas rozlicznych, silniejszy od każdego, kto by go mógł w nikłym stopniu przypominać z imienia czy własności. Raz jeszcze przypomniła mi się owa fraza z *Zabójstwa przy rue Morgue*: „Poprzestawaliśmy wyłącznie na sobie samych”.

Edwin mnie oczekiwał.

- Nic panu nie grozi - rzekł, dłoń do mnie wyciągając. - Wracam właśnie z miasta, bądź spokojny. Daj, proszę, swój płaszcz i weź ten ode mnie - tu podał stare okrycie o barwie marengo. - Proszę się pospieszyć, laska i kapelusz jeszcze! Wóz wypożyczyłem, by cię do pensjonatu zabrać. No, już się pan nie ociągaj!

- Dzięki, ale ja, przyjacielu, zostać tutaj nie mogę - odparłem, ujmując jego dłoń. - Spieszno mi, by kogoś zaraz spotkać.

Edwin zmarszczył brwi.

- Gdzież to?

- W Waszyngtonie. Przebywa tam niejaki Montor, minister z Francji, który dawno temu pierwszy mi opowiedział o detektywie, a także przygotował mnie na okoliczność wyjazdu do Paryża.

Gdy ruszałem w swoją stronę, Edwin klepnął mnie w ramię.

- Godny on twego zaufania?

- Nie.

* * *

Henri Montor, francuski emisariusz w Waszyngtonie, wielce był zafrasowany. W kraju jego ojczystym czerwoni republikanie oraz ich zwolennicy skarżyli się na sytuację tamtejszą coraz głośniejszą. *Vive la Republique!* - rozbrzmiewało na publicznych placach. Według Montora, w paryżanach wzbierał niepokój, gdy stabilizacja polityczna trwała tam zbyt długo, wobec czego obecnie zwrócić się postanowili przeciw osobie Ludwika Napoleona. Mogło się to okazać brzemienne w skutki.

Nie należy tu jednak wyciągać pochopnego wniosku. Monsieur Montor nie darzył szczególną sympatią Ludwika Napoleona, księcia prezydenta, by tak rzec: zepsutego i

aroganckiego wytworu sławy, który dotąd już dwukrotnie (na próżno) usiłował przejąć władzę. Montor jednak, zadowolony z obecnej swej pozycji, bynajmniej nie miał jej ochoty tracić. W istocie nie zależało mu specjalnie na samym pobycie w Waszyngtonie, gdzie i w najlepszych restauracjach hotelowych dania serwowano letnie (nawet placki kukurydziane podawano nie gorące, ale „ciepłe” ledwie!). Największą radość czerpał z faktu, iż jest wysłannikiem w obcym kraju.

Montor starał się czytywać wszelkie dostępne w Waszyngtonie francuskie dzienniki (i jak pewnie pamiętacie, to ja w swoim czasie skierowałem jego uwagę na postać Auguste Dupont'e'a). Montor zauważył, iż ostatnio prasa francuska częściej krytykuje osobę księcia prezydenta. Niezbyt wszak poważnie, ale zawsze. Napoleon więc nakazał prefektowi i policji zamknąć redakcje gazet niechętnych współpracy. Czym się w istocie niepokoił, on i jego doradcy? Czego się spodziewali po rewolucjonistach? Jakiż by mogli straszny plan spreparować? Francja była przecież republiką!!! Mogliby na jego miejsce wybrać kogoś innego. Ale też i osłabić jego pozycję na tyle, aby jakiś nieprzyjaciel wkroczył, korzystając z zamieszania dla własnych korzyści... Nie, dla monsieur Montora plan ów był niezgłębiony, podobnie jak dla większości obserwatorów. Lecz cóż - i tak się wciąż zamartwiał zdarzeniami wokół Pól Elizejskich tam, w stolicy.

Trapiły go wszak i kwestie mniejsze, o zasięgu lokalnym. W pobliskim Baltimore znaleziono postrzelonego obywatela Francji. Jak pewne źródła podawały, był to ów otoczony złą sławą, wyfiokowany prawnik, Baron Claude Dupin, który w Londynie zamieszkiwał. Skąd tytuł barona...? Nieważne, bo ów głupiec wdał się w intrygę jakąś niewątpliwie. No, ale był Francuzem, naczelnik policji doniósł monsieur Montorowi o tej sprawie.

Rzecz zdarzyła się jednak kilka tygodni naprzód i w omawiany wieczór Montor nie zaprzętał nią sobie głowy. O śnie myślał tylko i o odpoczynku. Nade wszystko cenił sobie bowiem w życiu dwie przyjemności. Na plus mu trzeba zaliczyć, iż nie związane wcale z władzą czy też bogactwem. I tym się wyróżniał pozytywnie na tle rozmaitych ludzi księcia. Montor mianowicie kochał bawić innych i być przez nieznanomych podziwianym, prócz tego zaś, jak wyżej nadmieniałem, sen uwielbiał długi, wielogodzinny.

Podczas jednego ze spotkań w sali czytelnianej z młodym mieszkańcem Baltimore, który wgłębiał się w artykuły poświęcone Dupont'e'owi - Montor z podziwem

się wyrażał na temat rzeczonoego detektywa. Nie pamiętał, kiedy też ostatnio dotarli do niego znakomite wyczyny Duponte'a, ale to bez znaczenia. Ów młodzian tak był lekturą swoją pochłonięty, że Montor najzwyczajniej nie chciał mu przeszkadzać. Działo się to czas już jakiś temu, przed blisko sześcioma miesiącami, a Montor, pamięcią obdarzony krótką, zachował nikłe dość wspomnienie owego młodego dżentelmena oraz licznych z nim konwersacji. Uległo to jednak zmianie przy wizycie wieczornej młodzieńca, teraz. Montor po dłuższej chwili dopiero spostrzegł z zaskoczeniem, iż na kominku w jego gabinecie został rozpalony ogień, jak również - że za jego stołem zasiada ktoś obcy.

- Któż...? Co się...? - słowa mu uwięzły w krtani. - Kto, sir, cię tu wpuścił, no i w jakim celu?

Odpowiedź żadna nie padła.

- Włamanie zgłosić muszę... - Montor go ostrzegł. - Jak się pan zwie? - spytał z mocą.

- Czyżbyś mnie nie znał, monsieur? - pytanie owo zadano wyborną francuszczyzną.

Montor zmrugał oczy. W słabym świetle izby gość mu się wydał groźny, lecz mizerny nieco.

- Ach, tak - odrzekł pospiesznie, lecz nazwisko owego człowieka wypadło mu z pamięci. - Młodzieniec ów z Baltimore, rzecz jasna... Jak się tu dostałeś?

- Ze służą po francusku mówiąc, oznajmiłem, iż czeka nas spotkanie na wysokim szczeblu, które jednak tajne zostać musi. Potem nakazałem wrócić za dwie godziny, nagrodziwszy jednocześnie za fatygę.

- Pan nie miałeś prawa... - oblicze intruza wreszcie Montor sobie przypomniał. - Zaiste... Myśmy się w czytelnicy przecież zapoznali, gdy studiowałeś francuskie czasopisma. Potem ci pomagałem francuski szlifować, nieraz ci zapewniając rozrywki towarzyskie. Quentin się nazywasz, słusznie myślę? Szukałeś pan pierwowzoru Dupon...

- Quentin Hobson Clark. I - w rzeczy samej.

- Znakomicie, monsieur... Clark - w końcu doń dotarło. - Muszę cię natychmiast wyprosić z mojej posiadłości.

Montor przeraził się najściem nieznanego, mimo iż znał go przecież i wiedział,

że jest nieszkodliwy. Nazwisko Quentin Clark także wzbudziło w nim niepokój. Niemal go już nie pamiętał z widzeń owych w czytelni, ale ostatnimi czasy nazwisko owo nabrało dlań nowych zgoła znaczeń...

Aż dźwięk stłumiony a chrapliwy wydać zdołał:

- Zbrodnia! Zbrodnia!

* * *

- Monsieur Montor - rzekłem, gdy się uspokoił - pewny jestem, że wszystko ci wiadome o Baronie.

- Ty... - zaczął. - Ty przecież... - wydusił to w końcu, iż nazwisko Clarka kojarzy się mu z usiłowaniem zbrodni wiadomej.

- Owszem, to ja. Naturalnie. Tyle że niewinny. Co więcej, żywię nadzieję, iż mi pan pomoc mógłbyś w wykryciu sprawcy tego czynu.

Na słowa te Montor jakby rezon stracił.

- Pomóc? Gdy dom mój nawiedzasz siłą, służę mego przekupując? Cóż kieruje tobą, powiedz, proszę?

- Tylko prawda jest celem moim. Zmuszony jej szukać zostałem tak właśnie, nie w rękawiczkach. I dokonam tego, za wszelką cenę prawdy dojdę.

- Słyszałem, żeś ty w więzieniu!

- Ach, tak? A czy ci wiadomo, iż za pomocą trucizn różnych mnie tam próbowano zmusić do wyznania winy?

Montor wtedy wybąkał:

- Nie wiem, czego ode mnie, monsieur Clark, oczekujesz! Ja nic wspólnego nie mam z ową sprawą podejrzaną i w życiu też nie poznałem tego... tego „barona”!!!

- Ścigało go dwu francuskich łotrów. Jak mi zaś podpowiada intuicja, czynili to z polecenia kogoś jeszcze... Persony sprytem obdarzonej wielkim... - wiedząc od Bonjour, iż nie działali oni w zмовie z wierzycielami Barona, oraz w świadomości, że „rozkazy” mieli pewne, czułem, iż nie są bynajmniej zwykłymi rzezimieszkami. - Chyba masz pan wieści na bieżąco o obywatelach Francji, którzy tu przybywają.

- Monsieur, nie wystaję co dnia w porcie, by sprawdzać, w okna statków się wpatrywać! Policja cię zaś, ufam, znajdzie... Na teren mój pan wszedłeś bez mej zgody... Jak tak można! - zachmurzył się na myśl, iż mnie poszukują za wykroczenie

znacznie gorsze. - Gdy poznałem ciebie, monsieur, inny mi się pokazałeś - dodał.

Zimnym ogarniając go spojrzeniem, tak odpowiedziałem:

- Musisz pan wszak wiedzieć, gdzie kryją się im podobni, no i również, kto by przestępcom owym dał schronienie. Znani ci są wszyscy obywatele twego kraju, którzy w chwili obecnej zamieszkują obszar i okolice Baltimore. Sami by zresztą może chcieli pana szukać ci zbrodniarze...

- Monsieur Clark, ja działałem dla Ludwika Napoleona, odkąd prezydentem został. Gdyby gdzieś tutaj w mieście banici z Francji przebywali - przed moim czy twoim rządem chcąc się uchować - nigdy, przenigdy, zapewniam, nie zgłosiliby się do mnie. Rozumiesz? Pomyśl tylko - uwagi owej słuchałem tak skupiony, że celem wzbudzenia we mnie życzliwości postanowił raptem zmienić przedmiot tej rozmowy. - Czyż ci się nie starałem pomóc w szukaniu Duponté'a, pierwowzoru Dupina oczywiście? I co? Odszukałeś go w Paryżu, rad bym się dowiedzieć...?

- Rzecz nic wspólnego nie ma ze sławnym detektywem - rzekłem, nie czyniąc przy tym gestów żadnych nagłych i niebezpiecznych w jego stronę.

Tu jednak się wystraszył Montor. A że mnie postrzegał gwałtownym, nieobliczalnym - prawie gotów mu byłem rację przyznać w każdej chwili.

I nawet się nie musiałem domagać specjalnie zeznań dalszych.

- Bonapartowie! - nagle wymamrotał.

- Słucham? - zapytałem w irytacji.

- W Baltimore - ciągnął dalej. - Monsieur Hieronim Bonaparte...

- Przedstawiłeś mnie pan jakimś Bonapartem podczas maskarady, tuż przed moim wyjazdem do Paryża. Hieronima wówczas poznałem oraz jego matkę. Czemuz zaś figura taka miałaby coś więcej wiedzieć o tych drabach? Są oni spokrewnieni z Napoleonem, co?

- Nie. Są... Co znaczy, że ich Napoleon nie uznawał... Widzi pan, gdy brat jego... Napoleona, cesarza, chcę powiedzieć... Kiedy brat jego mianowicie po Ameryce podróżował jako żołnierz w wieku lat dziewiętnastu, poprosił o rękę i poślubił zamożną pannę tutejszą, Elizabeth Patterson. Na balu ją, „królową”, pan spotkałeś... Syn im się urodził, po ojcu Hieronima imię otrzymując, no i to jego tam poznałeś w matki towarzystwie. W stroju Turka przyszedł, jak pamiętasz może. Gdy był dzieckiem

jeszcze, cesarz Napoleon kazał swemu bratu zostawić nieszczęsną młodą żonę - ten zaś wyraził zgodę na to, acz nie bez pewnych oporów. Elizabeth Patterson w owej sytuacji wróciła z synem do Baltimore i odtąd jej rodzina nigdy już nie mogła liczyć na względy cesarskie. Z rodu ich wybitnego na zawsze już została usunięta.

- Rozumiem. Mów pan dalej, monsieur.

- Jako że Ludwik Napoleon głową rządu jest dzisiaj, banici by mnie z pewnością szukać nie próbowali, we władzach bowiem piastuję stanowisko wysokie. Ale przestępcy owi mogliby poszukiwać osób, które się do rodziny Napoleońskiej zniechęciły. Naturalnie - tu uległ ekscytacji, widać, jakby doń dotarło, iż cel mój również jego ma być celem. - To jest prawdopodobne wielce, monsieur!

- Posiadasz pan księgi adresowe miasta? - wiedzieć chciałem.

Wskazał mi półkę w korytarzu, w ucieczce przed mym spojrzeniem wzrok ku drzwiom oraz oknu kierując pospiesznie. Na chwilę się zapomniawszy wobec pytań moich, oto już szykował w myśli zeznanie niegodne dla policji...

Lecz dla mnie nie stanowiło to problemu. Właściwą stronę odnalazłszy, zwyczajnie ją wydarłem z książki - i co tchu w piersiach pogałem na stację, by zdążyć na pociąg, zanim doniesienie Montora dotrze do urzędników policji.

* * *

Konduktor jakby mnie nie dostrzegał wcale, lecz na wszelki wypadek siadłem w ostatnim wagonie pasażerskim. Aby zaś obserwować, co się wokół dzieje, otwarłem okno zaraz, prowokując złe spojrzenia, bo do środka wpuściłem chłodne powietrze, nieprzyjemne chyba. Człowiek jakiś splunął tytoniem prosto pod me nogi, lecz się wtedy czym prędzej odsunąłem w drugą stronę.

Oznak zaraz szukać zacząłem czegoś niezwykłego, starając się choć na sekundę nie zamykać oczu. Gdy pociąg w pewnej chwili zakręcił pokonywał, ujrzałem chłopca, jak w biegu i z odwagą chwyta się zderzaka z przodu lokomotywy - owego urządzenia, co odpędzać miało owce, krowy czy świnię na torach zbłąkane - i mu się udaje wśliznąć do pierwszego wozu. Zdumiało mnie to dosyć, ale uznałem, iż pewno najzwyczajniej jest on pasażerem bez biletu. Wkrótce snem ogarnięty, całkiem zapomniałem o zdarzeniu.

Wstrząs nagły pociągu ze snu mnie wytrącił. Po chwili zaś zwolniliśmy, niby przed mostem czy przepaścią jakąś. Skoczyłem na równe nogi, żeby spytać, co to, kiedy mnie

doleciała rozmowa jakiegoś pasażera z konduktorem i maszynistą. Konduktor miał wzrok nieprzytomny, jakby się sam siebie nawet lękał.

- Pociąg najechał bryczkę z koniem - oznajmił ze spokojem maszynista. - Dwie damy zeń wyleciały i są poturbowane mocno. Pojazd się rozleciał na drobne kawałki.

Konduktor wymijając go, pobiegł do wagonu następnego.

- Na Boga, proszę pana! - zakrzyknął ktoś z pasażerów w nadziei na wsparcie z mojej strony. Kilka kroków się cofnąwszy, na drzwiczki zerknąłem wagonu towarowego, co był przyłączony do końca pociągu. Zamknięte.

Wtedy wzrok utkwilem w twarzy maszynisty - niepewny, czy wypadek ów się zdarzył, oraz rozzłoszczony, że w sen zapadłem. Dziwnie mi się osobnik ów wydał opanowany, wzięwszy pod uwagę, iż przed chwilą nastąpiła potworna katastrofa, w której - całkiem możliwe - życie straciły dwie osoby.

- Bryka poszła w drebiezgi - oświadczył i się szybko zmitygował, że to już wiadomo.

- Nic nie usłyszałem - rzekłem niby od niechcienia. Sen zmorzył mnie, jak wiadomo, lecz cóż szkodzi spytać...

A jeśli to kłamstwo? Cóż, jeżeli pociąg zwolnił, by tu policja wkroczyć mogła?...

- A, wiesz pan, to osobliwe - burknął krewki pasażer przede mną zasiadający. - I mnie nic nie dobiegło, a przecież słuch posiadam najlepszy w całym Waszyngtonie!

To przesądziło sprawę. Pędem ku drzwiom się rzuciłem, gdy pociąg nadal zwalniał tempo.

- Stać! Ejże! Co pan wyprawia? - krzyknął maszynista, łapiąc mnie za ramię, lecz zaraz mu się wyrwałem, tak że się potknął o jakąś walizę.

Pasażer zaś wspomniany w konfuzji starał się mnie zatrzymać, na widok mego oblicza jednak szybko pojął, iż to absolutnie niemożliwe.

Drzwi siłą otworzywszy, wyskoczyłem na trawiasty nasyp tuż przy torach... Po chwili się znalazłem na dnie stromeego wąwozu.

Później nieco udało mi się poznać dzieje długie bytności Bonapartów w moim mieście. Teraz zaś jedynie ich pragnąłem znaleźć. Pamięć mi przywiodła mgliste dość wspomnienie, jak rodzice rozprawiali o skandalu, który wybuchł wiele lat przed moim przyjściem na świat, gdy lekkomyślny brat Napoleona wziął sobie za żonę Elizabeth Patterson, najzamożniejszą z młodych piękności Baltimore. Człowiek ów już dawno powrócił do zbytków Europy. I teraz właśnie przed potomkami jego - Hieronimem Bonaparte, którego w przebraniu poznałem podczas balu, oraz jego rodziną i sprzymierzeńcami - miałem stanąć oko w oko, by sprawdzić, czy znają tych łotrów, co by mej niewinności dowieść mogli.

Na razie mnie jednak niezbyt ciekawiła historia Bonapartów czy ich aspiracje. Obecnie dla mnie najistotniejsze było przeżyć.

Bonapartów przybyło znacznie i mieli swe domy w różnych częściach miasta, a to dzięki fortunie rodziny Pattersonów oraz pensji, którą Napoleon przeznaczył porzuconej żonie swego brata. Dom pierwszy, gdzie się udałem, już nie był ich własnością, lecz sługa, Irlandka korpulentna, często mając do czynienia ze zbłąkanymi tam gośćmi, zaraz mi wskazała parę innych a stosownych adresów. Dopiero po kilku wędrówkach do rozmaitych dzielnic i po zapoznaniu licznych osób z rodziną powiązanych zdołałem odszukać rezydencję najbardziej obiecującą. A to mianowicie dom jednego z wnuków brata Napoleona, syna bratanka samego legendarnego Napoleona i zarazem, wedle moich przybliżonych ustaleń, kuzyna obecnego prezydenta Francji.

Po zdarzeniu w pociągu nabrałem przekonania, iż mi się udało umknąć przed policją waszyngtońską, niemniej wciąż postępowałem jak najostrożniej i pomału, co - przez wzgląd na powagę sprawy - złość we mnie budziło. Za dnia się poruszać było niebezpiecznie. Po ucieczce z pociągu czekałem w chłodnym rowie aż do zapadnięcia nocy. Później zaś (bez ryzyka) do Baltimore się udałem wozem z pocztą, umościwszy się tam na dnie pośród słomy z kilkoma służącymi i uspionym domokrążcą z Węgier, który mnie raz po raz nieświadomie kopał w brzuch podkutym butem. Stangret gnał drogą wyboistą w mroku tak szybko, zda się, jak i pociąg prawie.

Przezornie przeczekałem dzień, by się udać pod kolejny adres Bonapartów. Dom

się okazał pusty, a raczej nikt ze służby nie zareagował na moje pukanie. Drzwi powozowni jednak były uchylone, w oknie natomiast ujrzałem jakieś kształty. Wsparłszy się o parapet, przywarłem do szyby; w środku ktoś rozmawiał chyba po francusku.

Gdy drzwi się otwały, wpuszczając więcej światła, wyraźniej zobaczyłem dwie postaci wewnątrz. Jednego zdążyłem poznać: drań, co mnie niemal uśmiercił w wytwórni powozów, drugi zaś okazał się jego współnikiem. Pierwszy miał bandażem zawinięte ramię, zranione najpewniej wtedy, gdy go szpadą dźgnąłem.

Trzeci, stojąc najbliżej drzwi, wręczył tamtym pieniądze - i obaj, głową pokiwawszy, zaraz się udali do powozowni. Ów trzeci osobnik tak się zachowywał, jakby był ich przywódcą. Dopiero gdy odjechali, do drzwi zadzwoniłem.

Trzeci wyszedł mi otworzyć. Postawą swą znacznie przewyższał dwu szubrawców mi znanych. Nie mam tu na myśli wzrostu, lecz barków idealny układ, który sprawiał, iż widząc go, człowiek nie czuł strachu, tylko respekt. Na moment jakby mnie otępiło, on zaś wyjaśnienia oczekiwał, zdumiony przypuszczalnie, że go oto jakby... rozpoznaję.

- Monsieur Bonaparte? - rzekłem wreszcie, przetykając ślinę. - Tak się pan zowiesz, racja?

On pokręcił głową.

- Rollin się nazywam - odparł. - Panicz obecnie bawi w West Point. Chciałbyś pan wieść zostawić? - zabrzmiało to raczej jak rozkaz, a nie sugestia, tak że odmówiłem.

Przyobiecawszy wrócić w dzień następny, pospiesznie się wycofałem w swoją stronę, w lęku, że któryś z drani mógłby mnie tam ujrzeć w progu jeszcze. Bardziej się jednak wystraszyłem tego osobnika, Rollina. Pożegnał mnie, wolno chyląc kapelusza, a ledwie się oddalił, ja już wiedziałem, skąd też go znam. W przelocie się to odbyło, dawno, w innym krańcu świata...

W drodze zacząłem łączyć w myślach jego związki z Paryżem i tą chwilą. Jakim zrządzeniem Bonapartowie byli zamieszani w sprawę... Jakże od skrytobójczej próby w Baltimore miała zależeć przyszłość Francji...

Kojarząc w umyśle fakty najróżniejsze, szybko, acz cokolwiek nieuważnie, zmierzałem ku pensjonatowi, który załatwił dla mnie Edwin na okoliczność powrotu z Waszyngtonu. Nagle uczułem w karku ból przeszywający - i upadłem na plecy. W

przebłytku ujrzałem nad sobą potężnego jeźdźca na rumaku białym. Pejczem ogarnął moje ramię...

- Clark tyś, adwokat, prawda? Czyż kto twojej proweniencji brałby się do mordy? - Slatter, handlarz niewolników to wykrzyknął, konia olbrzymiego z Pensylwanii dosiadając.

Gdy się spróbowałem podnieść, kopnął mnie w głowę butem z całej siły. Skulony na ziemi z bólu, krwią się zakrztusiłem.

Slatter zeskoczył z konia i przytrzymując mnie laską ciemnomahoniową, dłonie me i kostki unieruchomił kajdanami.

- Resztką już sił gonisz, zda się, przyjacielu! Chociaż w ubiegłym miesiącu sprzątnąłem dwa tysiące dolarów, nagroda z ciebie będzie jeszcze wydatniejsza!

- Do nikogo nie strzelałem! I z tobą nic mnie nie łączy! - zakrzyknąłem.

- A wtedy, no, pamiętasz, to co łączyło niby? Wtedy, gdy z koleżką swoim kędzierzawym wędrowałeś! Nie, my nie mamy z sobą interesu, w rzeczy samej. Wszak ty z miastem owym jesteś powiązany! Mnie zaś jest zawsze miło przysłużyć się policji Baltimore! - Istotnie, czołowi handlarze niewolników wiedzieli o osobach poszukiwanych, bo nieraz było wśród nich sporo niewolników właśnie. - Może więc ci się spodoba nocleg u mnie, z moim „stadem”, co to je szykuję do wysyłki, no a na policję trafisz później, co ty na to? Z pewnością ich tam ucieszy widok twój niesłychanie... Wszak będąc sympatykiem ciemnego ich rodu, może nawet znasz ich czarną mowę...

Nie mogąc z pęt się wyrwać, zmuszony byłem wlec się ku norze Slattera. Ciągnął mnie za sobą na długim łańcuchu - najwidoczniej z dumą, iż mnie ma przy sobie, jakbyśmy paradowali w obecności setek widzów, gdy zatopione i ciemne tymczasem ulice były puste. Co rusz spoglądał z góry, niby w zachwyceniu.

Ja zaś w rozpacz strasznej nie ważyłem się do góry zerknąć ni na moment. Wtem rozległ się hałas kroków, a moje oczy aż się rozszerzyły z zadziwienia. W pół obrotu spostrzegłem oto człowieka, jak się zrywa ku nam z wściekłym wrzaskiem. Slatter w sekundzie grzmotnął łbem o ziemię, szyję uniósłszy naprzód ledwie, po czym z jękiem głośnym zamknął oczy. Nad nim zaś stał Edwin Hawkins, klucza do kajdan moich szukając w jego płaszczu.

- Edwin, na Boga! - zawołałem. - Jakże się cieszę! Klucz wreszcie odnalazł, no i

mnie oswobodził.

- Panie - rzekł, przerywając moje wdzięczne zdania. - Zbierać się już muszę - tu spojrział znacząco na Slattera.

- Nie bój się: on nieprzytomny - odparłem. - I pewnie długo jeszcze się nie zbudzi.

- Trzeba mi opuścić miasto. Bo widzisz... On mnie znał w młodości.

Wtedy wszystko zrozumiałem. Jeżeli Slatter w napastniku rozpoznał człowieka, którego sam sprzedał dawno temu, lub też mu się człowiek ów wydał choć znajomy... Edwin by wówczas nie tylko został skazany w trybie szybkim, lecz by go niewolnikiem uczyniono znowu.

- Widział cię?

- Nie wiem tego, panie. I wolałbym się nie dowiedzieć. Przykro, że od tej pory pomocą ci nie mogę służyć... Wiem, że z całą pewnością znajdziesz pan dowody, których szukasz.

- Ach! - tu szarpnąłem go za rękę. - Gdybym tylko nie dał nic po sobie poznać! Wtedy by się nie objawił i tobie by też nie zagroził przecież. Tyś to uczynił dla Poego, Edwin!

- Gdzież tam, dla ciebie - z uśmiechem ciepłym ujął mą dłoń. - Niewinności swojej dowiedziesz i to będzie dla mnie nagrodą. Spieszyc się nam już trzeba, wiatru nabrać w żagle!

- Czas na cię, przyjacielu - szeptem przytaknąłem. - Ale idź bezgłośnie.

Edwin czmychnął mi sprzed oczu w jednej chwili.

Wtedy zakułem Slatterowe ręce, nogi i stopy zostawiając swobodne. Tak, aby oprzytomniawszy, mógł pomocy szukać. Już mi się nie wydawał postawny, jak wtedy, gdy na rumaku siedział - a nie pierwszej młodości i do tego jeszcze niedołążny jakby, o wejrzeniu pustym i bezradnym zgoła. Gdy Edwin mnie zostawił, poczułem się nagle sam jak palec i tęskne wspomnienie przywiodłem o Hattie i Bonjour podczas odwiedzin w mym więzieniu, jak również przyplływ energii, jaki zawdzięczałem obu przecież...

Pod wpływem myśli nagłej skoczyłem na równe nogi.

- Bonjour - rzekłem sam do siebie, podniecony. Slatter, donośnie jęcząc, wracał do życia, mnie się już nie chciało jednak go oglądać dłużej. Dosiadłszy z trudem jego rumaka, szybko odjechałem z owej okolicy.

- To mój koń! - Slatter ryknął. - Konia mi masz oddać!

Prędko się utwierdziłem w swoich podejrzeniach, zastając na oścież otwarte drzwi domu Bonapartów. Konia Slattera uwiązawszy do słupa przed posesją, chyłkiem przez frontowy hol wszedłem do środka. Wewnątrz panowała cisza, mącona jedynie oddechem czyimś urywany. W panice i poruszeniu wielkim pewnie bym nie posłyszał choćby drgnienia, wszystko by mi się bowiem zlało w jeden szelest hipnotyczny.

W salonie coś się zdarzyło, szamotanina jakaś bodaj przed minutą. Krzesła, lampy, zasłony, dokumenty... przedmioty wszelkie po podłodze rozrzucone. Jeszcze się nawet kołysał wstrząśnięty kandelabr u sufitu. I za czyją sprawą?...

Bonjour stała nad Rollinem - on zaś dyszał żałośnie. Wnioskując po chaosie tuż pod oknem pobliskim, chciał on wyskoczyć stamtąd, lecz mu się nie udało. Mniejsza od Rollina o połowę, Bonjour cisnęła go do ziemi, sztylet mu do krtani przystawiając.

Gdy moje i jego oczy się spotkały, wtedy pomyślałem: skąd go znam?!

Wraz z Auguste Dupontem Paryż opuszczaliśmy, aby się zająć dalej zgłębianiem tajemnicy. Ledwie stanęliśmy na pokładzie statku, detektyw oznajmił, iż się tam znajduje pasażer na gapę, nielegalny.

- Proszę - rzekł mi wówczas, choć może innymi słowami - zawiadom, monsieur, stewarda, iż tu na pokładzie mamy gościa bez biletu.

- Zechcecie się dowiedzieć, co i mnie wiadome! - krzyknął tamten, Rollin, gdy go ujawniono, oskarżając o próbę kradzieży czegoś z poczty na statku.

Kiedy głos ów usłyszałem po raz wtóry, coś we mnie się zbudziło, bo zbyt był niebezpieczny:

- Może byś wiadomość zostawił - rzekł mi, drzwi posiadłości Bonapartego otwierając.

Lecz nie tylko przecież, gdy bowiem uniósł kapelusz - by łysinę pokazać - natychmiast mi pamięć wróciła, że to on wszakże, ten sam człowiek!

Widząc go wobec tego koło Bonjour, zaraz się upewniłem w podejrzeniu, iż on tym samym jest złoczyńcą, znanym mi aż nadto z pokładu „Humboldta”. Acz... nie! On mnie jednak nie rozpoznał wcale. Inny cel mu przyświecał dnia pamiętnego na morzu.

Oto mi drab ów, Rollin, patrzył teraz prosto w oczy. Z paskudną ciekawością, przy czym nogi miał cale mokre i oblepione płatkami kwiatów, które się z wazonu strzaskanego rozsypały wokół po podłodze.

Bonjour się zwróciła z uśmiechem lekkim do mnie, niemal w skrusze. Mnie zaś na widok jej twarzy pamięć podsunęła ów namiętny pocałunek...

- Przykro mi, monsieur Clark - rzekła w taki sposób, jakbym to ja był załamany i błagał o darowanie życia.

- Ty przecież - odparłem w nagłym olśnieniu - tyś mi podała truciznę, nie policja ani też dozorca! Ty! Wsunęłaś w usta trutkę, gdy się całowaliśmy.

- W więzieniu szybko odkryłam, iż mury izb szpitalnych już się poddają zalewowi - oznajmiła. - Wiedziałam, że zdołasz się wydostać przez kanał ściekowy, lecz trzeba mi było sposób jakiś znaleźć, abys tam wpierv trafił. Rzec można, monsieur, że ci dopomogłam.

- Nie to było twoim celem, żeby mi pomóc. Chciałaś się w ślad za mną udać do Duponte'a, by on z kolei wykrył sprawców zamachu na Barona. Sądziłaś, iż Duponte byłby użyteczny, a ja wszak byłbym wiedział, gdzie się on znajduje.

- Tego, co i ty, pragnęłam, monsieur: dociec prawdy...

- Pani, proszę - jęknął tamten, a Bonjour zadała mu cios wściekły nogą w żołądek.

Gdy skręcał się obolały, przystąpiłem do niej:

- Nic ci to nie da, Bonjour, policji już go można oddać.

- Nie mam do nich zaufania, monsieur Clark. Człowiek umilkł na to, żałośnie roztrzęsiony. Bonjour przykucnęła na podłodze, broń szykując.

- Odejdź - rzekła do mnie i na drzwi wskazała.

- Nie jesteś winna zemstę Baronowi, mademoiselle. Spełniłaś, co należało, wykrywając osobnika, który go zabić kazał. Mord na tym nieszczęśniku zamieni twe życie w piekło, będziesz musiała uciekać, tak jak do tej pory. Prócz tego - dodałem jeszcze - ja jeden stałbym się świadkiem twojej zbrodni, więc i mnie byś musiała życia pozbawić.

Zdumiałem się, gdy Bonjour w cichym zamyśleniu wolno spojrzała na mnie ze łąą

w kącie oka - niby wreszcie pod wpływem uczuć nie tajonych. Zbliżyła się do mnie ostrożnie, jak zalękniona sarna. Oddech wstrzymawszy najwyraźniej, wzięła mnie w ramiona - choć raczej nie w uścisku, jak w Paryżu wtedy, tylko w zagubieniu jakimś, bezradności.

- Bonjour, wszystko się ułoży - zapewniłem z mocą, aby ją wesprzeć. - Zgódź się, abym ci dopomógł.

Tak wówczas mnie odepchnęła, jakbym to ja ją tulił. We wzroku jej zagubionym znak niby spostrzegłem, iż więcej się nam już nie będzie dane spotkać.

Bonjour upuściła sztylet i - rozejrzawszy się po izbie - najbrutalniej kopać zaczęła mężczyznę po twarzy. Zaraz potem wybiegła, ja zaś westchnąłem z ulgą, że go nie uśmierciła mimo wszystko. A przecież nie mój monolog ją powstrzymał. Zbliżając się do miejsca, gdzie leżał Rollin niczym zwłoki porzucone, spostrzegłem, co jej wzrokowi nie umknęło pewnie: oto w szamotaninie strącili na podłogę dziennik z tegoż ranka. Na stronicy tytułowej podano wiadomość o śmierci tajemniczego barona z Francji, w szpitalu.

Handlarz niewolników nie mylił się zatem, twierdząc, że mnie za morderstwo poszukują. W Bonjour zaś chęć zemsty nieco zapewne osłabła, bo honor splamiony Barona, czyli jej nagroda, był już niemożliwy do odkupienia żadną miarą. Być może dla przestępcy pełną gębą honor już po śmierci nie ma racji bytu; i niebo ani piekło dłużej nie istnieje dla tych, którzy już w swej doczesności przemierzają te dziedziny... Cokolwiek kierowało Bonjour, zamiar swój porzuciła.

Rollin był nieprzytomny, a ranny tylko po wierzchu. Opatrzyłem go skrawkiem materii oddartym z jakiejś kotary i przed wyjściem jeszcze, w umywalce, dłonie z krwi oplukałem.

Myśli me aż paliła wiedza świeżo zdobyta. Próbując pojąć wszystko, co się stało, nadal nie miałem świadectw przeciwko mordercom Barona. Nic nie zdołałem zyskać, co by najdobitniej przekonało policję o mej niewinności. Nawet gdybym się tam odważył czekać na powrót łotrów dwu wiadomych - i tak bez chwili namysłu by mnie oni uśmiercili. Z rozkazu zresztą Rollina, ledwie by wrócił do przytomności. Wzywając zaś policję, wyszykowałbym sobie areszt pewny.

I na zawsze pozostałbym człowiekiem, który prawdziwego Dupina ukatrupił. Tak

przecież by uznano, to rzecz niewątpliwa. Na stryczek bym niewinnie trafił, okupić cudze grzechy, a czyje - łajdaków dwu czy Duponte'a - tego dojść nie mogłem. Co gorsza, przez cały ów chaos oddaliła się kwestia śmierci Poego.

Tak rozważaniami pochłonięty, ulice miasta przekraczałem, z rzadka się na moment zatrzymując, by zaczerpnąć powietrza. Szedłem tak do wczesnego ranka i dalej, jeszcze po wschodzie słońca.

- Clark?

Odwróciłem się, aby ujrzeć - w zaskoczeniu strasznym - posterunek...

- Witam - pozdrowiłem White'a i jego współpracownika. Gdy mnie pochwycili, jak ogłupiały patrzyłem na krew, która niczym stygmat winy zaplamiła rękawy i guziki mego potarganego płaszcza.

Tydzień po owych zdarzeniach, siedząc w najwygodniejszym fotelu w bibliotece „Glen Elizy”, rozmyślałem o Bonjour, nie widzianej od czasu zdarzenia w domu Bonapartego. Zemsta nią wprawdzie kierowała tylko i wyłącznie, a mnie w mych dociekaniach pomagać nie miała zamiaru - ja jednak nie żywiłem doń urazy. W istocie utraciłem nadzieję, iż kiedyś jeszcze ją spotkam, czując, że mnie darzy uczuciem prawdziwym. Lękać się jednak o nią nie musiałem wcale. Bo choć mi się nadal jawiła istotą tajemniczą, byłem w stu procentach przekonany, iż wybrnie z każdej niebezpiecznej sytuacji. Uzależniona od Barona, odkąd ją z zarzutów oczyścił przed paryskim sądem, miała wszak naturę przestępczyni i nigdy nie cofała się przed niczym, nawet przed groźbą śmierci.

Wracam jednak do chwili, kiedy mnie znaleźli policjanci - otóż z krańcowego wyczerpania padłbym wtedy na ziemię, gdyby mnie oni na czas nie złapali. Straciłem całkiem rachubę, kiedy to ostatnio dany mi był godny odpoczynek... Ocknąwszy się potem na piętrze posterunku Dzielnicy Środkowej, ujrzałem przed sobą urzędnika, a za nim funkcjonariusza White'a.

- Jeszcze się pan źle miewasz? - zapytał z troską urzędnik.

- Już lepiej - odrzekłem, choć to nie do końca było prawdą, wdzięczny im byłem jednak za okazaną dobroć i za to, że mnie umieścili w swej wygodnej kwaterze. - Znow aresztowany jestem?

- Sir! - zakrzyknął White. - Szukaliśmy cię godzinami, aby zapewnić opiekę!

Na podłodze spostrzegłem skrzynię pełną rozmaitych przedmiotów z mego domu.

- Ależ ja zbiegłem z więzienia!

- My zaś chcieliśmy cię zamknąć na nowo. Wykryto jednakże świadków zamachu na Francuza. Widzieli oni dwu jegomości, z których jeden był poważnie ranny - tak że ich zapamiętali bez większego trudu. Złoczyńcy, stojąc z boku, wyciągnęli pistolety... To już nam wystarczyło, by stwierdzić pańską niewinność, tyle że wytropić ich nie mogliśmy żadną miarą. Do dnia wczorajszego...

Następnie urzędnik wyjaśnił, iż zgłoszono kradzież konia sławnego handlarza niewolników. Rumak ów znaleziony został tuż przed domem, gdzie - zbiegiem

okoliczności - akurat prosto z miasta przyszli dwaj osobnicy odpowiadający wyglądem opisowi podanemu przez świadków z sali wykładowej! Mimo iż uciec zdążyli, wtargnąwszy z trzecim współnikiem przypuszczalnie na pokład prywatnej fregaty, z zachowania ich jasno wynikało, że ja z zamachem owym nie mam nic wspólnego.

Później się także dowiedziałem, iż Hope Slatter, wstydząc się przyznać, że go pokonał Murzyn, obciążył winą za napaść jakichś gości z Niemiec. Jako że Niemcy blisko sąsiadują z Francją, a konia znaleziono w okolicy domu, gdzie łotry miały spotkanie - policja uznała za pewnik, iż sprawcami ataku na Slattera są ci sami, co Barona pozbawili życia.

- A więc mnie nie zamkniecie? - spytałem po namyśle.

- Na Boga! - odparł urzędnik. - Jesteś wolny! Czy cię do domu zawieźć?

* * *

Inni - jak się okazało w kolejnych miesiącach - nie wybaczyli mi jednak publicznego potępienia.

Wszelkie moje dobra miały wkrótce zostać wystawione na niebezpieczeństwo.

Bez Hattie Blum „Glen Eliza” pusta się stała nagle i samotna. Hattie szykowała się do ślubu z Peterem, a ja nie mogłem choćby podjąć starań, aby temu przeszkodzić. W ogólnym rozrachunku oboje okazali się przyzwoitsi ode mnie; chcieli mnie chronić przed zgubą, co jeszcze zacieśniło więzi między nimi, mnie natomiast od nich odstręczyło. Odwiedzając mnie w więziennej celi, Hattie narażała swoje dobre imię. Teraz, gdy mnie już zwolniono, list krótki do niej napisałem z wyrazami wdzięczności prosto z głębi serca, jak i życzeniami szczęścia. Tym samym mogłem obojgu zapewnić względny spokój ducha.

Sam jednak żyłem w ciągłym niepokoju. Po powrocie mym do „Glen Elizy” zjechała z wizytą stryjeczna babka, wypytyując w nieskończoność o „fanatyczne” a „złudne” idee, które mnie, w rozpacz po stracie rodziców, ostatecznie zawiiodły do więzienia.

- Czyniłem, co słuszne mi się wydawało - rzekłem, wspominając słowa Edwina Hawkinsa, kiedy się ukrywałem w pako walni.

Stała przy mnie, ręce założywszy, w długiej czarnej sukni, która uwydatniała srebrną biel jej włosów.

- Mój chłopcze - powiedziała. - Trafiłeś do więzienia oskarżony o mord! Kryminalistą się więc stajesz! Ciesz się, jeśli ktoś w Baltimore zechce cię zaszczyścić swoim towarzystwem. Niewieście pokroju Hattie Blum trzeba mężczyzny na miarę Petera Stuarta! Dom zaś twój się przemienia w gniazdo próżniactwa.

Popatrzyłem na babkę. Wyrzekła wszystko jednym tchem, a z pasją większą znacznie, niżbym tego po niej oczekiwał.

- Niczego w życiu nie pragnąłem tak, jak małżeństwa z Hattie Blum - odparłem, co ją oburzyło jeszcze bardziej, bo przecież dotyczyło kobiety niebawem za mąż się wybierającej. - Surowość twa jak najśluszniejsza, acz nie dorówna nigdy mojej winie. Peter to człowiek godny i na szczęście z Hattie zasługuje w pełni.

- A co by ojciec rzekł na to?! Niech nas Bóg broni jednak przed obarczaniem zmarłych własnymi postępkami... Tyś, chłopcze, zdaje się, po matce odziedziczył więcej - dodała już szeptem.

Szykując się do odjazdu dnia owego, na koniec mi rzuciła spojrzenie piorunujące, które, jak potem stwierdziłem, miało mnie przywołać do porządku. Prócz tego poddała dom drobiazgowej inspekcji, tak jakby lada chwila miał się rozpaść od moralnej zgnilizny moich czynów.

Niedługo potem przekazano mi wiadomość, iż stryjeczna babka wniosła pozew, domagając się dóbr wszelkich, które mi przypadły z woli ojca, w tym również „Glen Elizy” - a to zaś dlatego, że odkąd się zrzekłem stanowiska w kancelarii prowadzonej przez Petera, zachowanie moje wskazywało na całkowity brak równowagi psychicznej... Podała też i inne argumenty: oto zaniedbałem interesy oraz inwestycje rozmaite mej rodziny, powodując znaczne straty podczas dwu lat minionych... W obłądzie usiłowałem udaremnić zamach na Barona, który się przecież skończył jego śmiercią... Zbiegłem z celi więziennej, co w najwyższym stopniu jest niedopuszczalne... Podobno wzięłem się nawet do kopania grobu, a także wdarłem się na posesję przy Amity Street... Co gorsza, wszystkim tym dowiodłem, iż chaos panuje w mej głowie, że obca mi logika wszelka oraz konsekwencja.

Później się jeszcze dowiedziałem, iż ją w owym przedsięwzięciu wspiera pani Blum, która przechwyciła list mój wdzięczny skierowany do Hattie. Targana furią straszliwą na wieść, że Hattie bywała w więzieniu u mnie - natychmiast zwróciła się do

mej stryjecznej babki.

Ta zaś mi na piśmie oznajmiła, iż walczy o cześć mego ojca, zapewniając mnie równocześnie o swoim szczerym oddaniu.

Zacząłem się przygotowywać do obrony. Pracowałem w pocie czoła, prawie nie wychodząc z biblioteki, przywołując w myślach dni, kiedy przy moim stole siedział Dupont, nieraz bez przerwy.

Najlepiej, jak się tylko dało, chciałem przygotować uzasadnienie swoich czynów, co się okazało żmudne wielce. Musiałem bowiem nie tylko odpowiedzieć na każdy zarzut mojej babki, wskazujący, iż roztrwonilem bogactwo i w oczach socjety okryłem się hańbą, lecz także ubrać wszystko we frazy najstosowniejsze, po części wszak przeze mnie zapomniane.

Ciotka Blum podobno stwierdziła, iż w procesie trzeba mocno uwypuklić mój brak szacunku dla dóbr rodzinnych. Oto w jej przekonaniu czcigodne Baltimore nikomu by nie puściło płazem podobnych bezeceństw. Z pewnością by do linczu doszło, gdybym sprawę wygrał.

Tymczasem rozpatrywałem, kogo by z mych przyjaciół wziąć sobie na świadka, dochodząc do smutnego wniosku, iż wielu spośród nich nie może się już wypowiadać na mą korzyść. Gazety codzienne, ledwie zaprzestawszy w sensacyjnym tonie pisać o moim aresztowaniu, ucieczce oraz oczyszczeniu z winy - obecnie chciały widzieć proces intrygującym ciągiem dalszym moich nieszczęść, z podejrzliwością zatem donosiły, że może on wykazać winy me jeszcze gorsze.

Nieraz mi się zdawało, iż lepiej by się w spokoju wynieść z „Glen Elizy”, gdzie zamiast żyć naprawdę, ledwie wegetowałem. Wędrując tam i z powrotem, na górę, to znów na dół, tylko się utwierdzałem w owej wątpliwości, gdzie w istocie teraz przynależę... Dom wielki i przestronny, pełen rozlicznych zakamarków, jakby starczał nagle drobnej tylko części mej osoby.

Doprawdy, już nie pamiętam, czemu się raz zatrzymałem przed oprawnym w ramę konterfektem. Nigdy mnie on specjalnie nie zajmował i nawet gdyby go tu umieścić w reprodukcji, czytelnik też uznałby, iż niczym się nie wyróżnia. Ot, człowiek zwykły, z profilu, w staromodnym trójgraniastym kapeluszu. Dziadek mój, który wpadł w gniew

okropny na wieść, iż ojciec chce poślubić Elizabeth Edes, Żydówkę. Pieklił się i groził, na koniec pozbawiając ojca dóbr materialnych, które mu się z mocy prawa należały. Dla ojca zaś nie miało to znaczenia, bo przez to - podobnie jak rodzina mojej matki - sam się teraz musiał o swój byt zatroszczyć. Dzięki, jak to nazywał, „własnej przedsiębiorczości”, to jest pakowalniom, ojciec dorobił się w końcu jednej z najświetniejszych rezydencji w mieście.

Pracowitość i Przedsiębiorczość zatem przeciwstawiając zawzięcie Geniuszowi, ojciec - co uzmysłowiłem sobie pod wpływem owego wizerunku - był w rzeczy samej pionierem, choć sam zawsze temu zaprzeczał. Oto bowiem wraz z matką stworzyli dom szczęśliwy z niczego, od fundamentów - i niepodobna tu wyrazić słowem uporu oraz geniuszu, które im pozwoliły wytrwać. Ojciec nie bez kozery przestrzegał mnie przed drogą, którą chciałem dążyć; sam przecież zaznał bólu geniuszom właściwego. Zboczywszy ze szlaku codzienności, odniósł wprawdzie triumf, lecz okupiony srodze.

Patriarcha zaś znakomity z owego konterfektu do śmierci nie uznał związku ojca z panną krwi żydowskiej, traktując go jak mezalians, który splamił ród nasz zacny. A jednak rodzice zawiesili portret na głównym miejscu w „Glen Elizie”, świątyni naszej radości. Dopiero w tym momencie zdałem sobie w pełni sprawę, jak to było istotne dla obojga. W odnowionym poczuciu przynależności tutaj wróciłem do swego biurka i do pracy znoejnej.

Nikt mnie nie odwiedzał, aż tu nagle - Peter.

- Jak widzę, nie ma kto drzwi otwierać - rzucił, lecz zaraz się zmiłgował, iż to niestosowne. - Dom wciąż wspaniały mi się jawi, jak za naszego chłopięctwa, gdyśmy się bawili w złoczyńców, goniąc po korytarzach. Ach, piękny to był dla mnie okres...

- Daj spokój, Peter, ty - złoczyńcą!

- Quentin, ja chcę pomóc.

- Jak to?

- Tobie wszak nie jest pisane działać w pojedynkę w adwokackim fachu - odparł ze zwykłą już stanowczością. - Zbyt ulegasz emocjom. Mnie natomiast, być może, ty jeden przeznaczony jesteś na współnika. W ciągu zaledwie pół roku dwóch już odprawiłem z kwitkiem. No, ale to nieważne: pomoc ci trzeba.

- Chodzi ci o sprawę ciotki przeciw mej osobie?

- Źle sądzisz, przyjacielu! - wykrzyknął na to. - Bo wspólnie ową sprawę przeciw niej skierujemy - uśmiechnął się szeroko niby dziecko.

Gdy przystałem dumnie na tę propozycję, Peter co wieczór po skończonej pracy w kancelarii poświęcał długie godziny na gromadzenie niezbędnego materiału. Pomoc jego okazała się bezcenna, tak że z większą nadzieją zacząłem patrzeć w przyszłość. Prócz tego, że był mi jak brat bliski, bez końca gawędziliśmy sobie przy kominku.

Jednak każdy z nas unikał drażliwego tematu Hattie. Do nocy pewnej, gdyśmy strategię nasze omawiali. Peter wówczas oznajmił:

- W tym momencie obrony wezwiemy na świadka pannę Hattie, aby dowieść twej przyzwoitości, no i...

Spojrzałem nań w takim przerażeniu, jakby właśnie wrzasnął wniebogłosy.

- Peter, nie mogę... Znaczący... Ty wiesz przecież. Westchnął z troską, wzrok utkwivszy w szklance; grog popijał sobie wtedy dla rozgrzewki.

- Kocha cię - rzekł raptem.

- Owszem, tak jak i babka. Najdrożsi sercu mnie zawodzą lub ja ich zawodzę, jak w wypadku Hattie.

Peter powstał z krzesła.

- Zaręczyny są nieważne, Quentin...

- Słucham? Jakże...

- Przeze mnie anulowane.

- Jak mogłeś, Peter?

- Za każdym razem, gdy patrzyła na mnie, ciebie szukała wzrokiem. Nie myślę, by mnie nie kochała, bo kocha, na swój sposób... Z tobą jednak związana silniej, a mnie nie wolno tego niszczyć.

Z trudem wybąkałem:

- Peter, nie możesz...

- Na nic się zdadzą twe protesty. Rzecz już przesądzona. Hattie po długich dysputach zgodziła się ostatecznie. Zawsze sądziłem, iż cię kocha, bo jesteś tak przystojny, więc gdy się zgodziła zostać moją żoną, odczułem nawet przewrotną satysfakcję. Lecz ona w ciebie wierzyła, gdy w nic ani w nikogo wierzyć było niepodobna

- tu zaśmiał się ponuro, klepiąc mnie po plecach. - I wtedy też zrozumiałem, ile was dwoje łączy.

Na wątpliwości z mej strony, czy biec do niej, co teraz mam robić, Peter usadził mnie z powrotem na miejscu.

- Nie takie to proste wszystko, Quentin. Rodzina jej wszak zakazuje z tobą kontaktów wszelkich, zwłaszcza w chwili obecnej, gdy grozi ci utrata majątku... domu nawet. Wpierw musisz wykazać, żeś niewinny, wówczas Hattie znowu będzie twoja. Na razie niech ludzie myślą, że ja i ona się pobieramy. Gdybyś się też przypadkiem natknął na Hattie na ulicy - idź zaraz w inną stronę, by nikt was nie widział razem.

W ekstatycznej radości zacząłem teraz pracować ze zdwojonym trudem, jak nigdy zdecydowany pokonać przeciwności wszelkie.

Peter jednak wkrótce musiał się zająć pilną własną sprawą, toteż mu czasu nie starczało, żeby mnie wspomagać. W procesie mym, już rozpoczętym, co rusz wyłaniały się nowe komplikacje. Taktyka zmyślna Petera, mająca przedstawić ciotkę jako osobę fałszywą i podłą, nie powiodła się „dzięki” osobom powszechnie poważanym w towarzystwie, szczególnie zaś przyjaciółom rodziny Hattie. Do tego stanowczo za wiele się tam pojawiło nieścisłości, które by można wyjaśnić ogółowi jak należy.

- Bo mamy ów epizod ze szpiegowaniem Barona, który został podniesiony przez jej adwokata - rzekł mi Peter kiedyś w domu.

- Lecz to się da wytłumaczyć! Dla wyciągnięcia właściwych wniosków na temat zgonu Poego...

- Wytłumaczyć da się wszystko, ale czy zrozumieć? I Hattie, choć by ci nieba przychyliła, chce rzecz pojąć słusznie, a lęka się, iż nie potrafi przecież... Mówisz mi o wnioskach, a gdzie owe wnioski? Otóż i masz różnicę między powodzeniem a szaleństwem. Chcąc wygrać, musisz dostosować argumentację do umysłowości najbardziej tępego z dwunastki, która zasiada w ławie.

W miarę jak pogarszała się moja sytuacja, pojąłem, iż Peter ma słuszość. Nie mogłem zwyciężyć. Choćbym się nie wiem jak starał, nie mogłem odzyskać „Glen Elizy”. Nic osiągnąć nie mogłem, nie rozwiązując naprzód zagadki śmierci ukochanego poety... nie dowodząc, iż mi się udało nareszcie dojść prawdy.

Postanowiłem zatem wykorzystać opowieść przekonującą, która się objawiła przy okazji owych badań. Historię Barona Dupin, jego wykład. To jedno mi zostało jeszcze, ażeby się wybronić. Zapisaną w pamięci, przelałem ją na papier, słowo w słowo, w formie przemówienia kierowanego do sądu...

Oto, Wysoki Sądzie i Panowie Przysięgli, ujawnię prawdę o śmierci jego oraz życiu moim. Historii tej nigdy jeszcze dotąd nie ogłaszałem...

Natychmiast zyskałem pewność, iż się mi powiedzie. W istocie, im częściej odczytywałem te notatki, tym większa rosła we mnie wiara, iż wszystko tam ujęte jest prawdopodobne! Wiedziałem, że są to fałszerstwo i manipulacja, ku ucieście publiki sprokurowane; wiedziałem także i to, że teraz zostaną odebrane jako prawda. *Każde moje słowo będzie czystą prawdą.* Bajki to będą, owszem, lecz lud mi uwierzy i jakby sobie życzył ojciec, na nowo zyskam szacunek...*jestem - spośród żywych - jej najbliższy.*

Ach, mieć przy sobie Duponte'a!

W grudniu w Paryżu nastąpiły zmiany pewne, acz spodziewane: prezydent republiki Ludwik Napoleon postanowił na miejsce monsieur Delacourta mianować prefektem policji Charlemagne de Maupasa, pewniejszego sojusznika swych zamierzeń. „By ryszok ów przestąpić, ludzi mi potrzeba - oświadczył mu rzekomo Ludwik Napoleon. - Mogę na ciebie liczyć?” Coś się szykowało.

Prezydent powołał też tajną policję do kontrolowania prefektury oraz gmachu rządu.

Tak oto - gromadził zespół, by przedsięwziąć zamach stanu. Pierwszego dnia miesiąca dał im po pół miliona franków. Nazajutrz rankiem de Maupas, prefekt, wraz z policją aresztował osiemdziesięciu członków Zgromadzenia Prawodawczego mających dlań stanowić największe zagrożenie. Zatrzymano ich w więzieniu w Mazas, władca zaś przejął prasy drukarskie, rozwiązał zgromadzenie i rozkazał wojsku mordować każdego napotkanego przywódcę czerwonych republikanów. Pozostali przeciwnicy - wywodzący się z najwybitniejszych rodzin - zostali wygnani z kraju.

Wszystko nastąpiło nader prędko.

Gdy Ludwik Napoleon znów ogłosił Francję cesarstwem, nieraz wspominało, jak to, chłopcem będąc, błagał swego wuja, pierwszego imperatora, by nie odjeżdżał do Waterloo - co ów tak skomentował: „Wyrośnie na zanego człowieka; kto wie, może się stanie nadzieją rodu mego”.

Po drodze do sądu co rano czytałem nowe wieści o wypadkach we Francji. Podobno Hieronim Napoleon Bonaparte z Baltimore (zwany „Bo”), kuzyn nowego cesarza - człowiek, którego pierwszy raz ujrzałem w kostiumie z dwoma szablami, a który nigdy nie został uznany przez Napoleona Bonaparte, bo matka jego była z Ameryki - miał jechać do Paryża na spotkanie z cesarzem Napoleonem III, aby zażegnać długotrwały konflikt.

Amerykanie niczym w hipnozie śledzili sytuację w Paryżu, a to dlatego chyba, że tutaj podobny przewrót był wprost niewyobrażalny. Ja natomiast znacznie zawęziłem

teren swych dociekań.

Listownie zwróciłem się do kilku członków rodziny Bonaparte mieszkających w Baltimore z zapytaniem, czy Hieronim Napoleon Bonaparte nie opuścił jeszcze miasta, no i też, czyby zechciał się ze mną spotkać - mimo iż zapewne zdążył już zapomnieć krótkie nasze widzenie na balu maskowym u monsieur Montora. Liczyłem odeń na odpowiedzi, które może by mi nie pomogły w sposób zasadniczy, lecz i tak z pewnością wniosłyby coś do sprawy.

Tymczasem do sądu ściągało mnóstwo gapiów, by na własne oczy patrzeć na me upokorzenie. Jak się domyślam - zawiedzionych, iż to, co czytali o mnie wcześniej w prasie, ciągle nie znajduje spodziewanej pointy. Na szczęście jednak wielu „widzów” odstręczyły długie procedury formalne, niezbędne przed każdym z posiedzeń. I akurat wtedy ze zdumieniem odebrałem pismo z pieczęcią Bonapartów, w którym mi wyznaczono dzień i godzinę wizyty w jednej z rezydencji.

Siedziba owa okazała się większa od domu, w którym zbójców napotkałem; budynek stał w miejscu zacisznym, otoczony dziką roślinnością, wśród wzgórz trawą porośniętych. Wprowadził mnie do środka żwawy sługa, u podnóża zaś długich schodów opiekę nade mną roztoczyli dwaj inni domowi, obaj przejęci wielce swymi obowiązkami. Posiadłość była okazała, lecz absolutnie nie przytłaczająca. Po drodze ze swobodą podziwiałem kandelabry fantastyczne i gobeliny o złotej bordiurze.

Ku memu zaskoczeniu w lśniącym srebrem fotelu nie czekał mnie Hieronim Napoleon Bonaparte - najznakomitszy tutaj męski przedstawiciel rodu - lecz jego matka, Elizabeth Patterson Bonaparte. Jako młoda panna zdobyła ona serce brata Napoleona i była jego małżonką przez dwa lata; później zaś Napoleon, poprzez rozliczne machinacje (łącznie z apelem do papieża o unieważnienie związku), doprowadził do ich rozstania. Choć teraz już nie miała na sobie przebrania królowej, niezmiennie, widać, hołdowała królewskim manierom i nawykom.

Ponad sześćdziesięcioletnia matrona ozdobiła nagie ręce dziesiątkami bransolet. Nakrycie głowy - czarne, aksamitne, z wetkniętymi fantazyjnie oranżowymi piórami - nadawało jej rys groźny, niepokojący. Wokół niej zaś piętrzyły się klejnoty i krzykliwe stroje rozmaite. W drugim krańcu sali ujrzałem dziewczynę (służkę może): kiwała się na krześle, jak dotknięta kalectwem.

- Madame Bonaparte - rzekłem z ukłonem, a w odruchu chwilowym, żeby przed nią klęknąć. - Nie sądzę, byś mnie pamiętała, lecz poznaliśmy się na balu, gdzie w przeciwieństwie do niej, zjawiłem się bez przebrania.

- Istotnie, młody człowieku. Widzenia naszego nie pamiętam. Niemniej to ja właśnie odpisałam na twą prośbę.

- A syn twój, monsieur Bonaparte...?

- Jest już w drodze na spotkanie z nowym imperatorem Francji - ujęła to tak nonszalancko, jakby w wyjeździe w owym celu za granicę nie było nic niezwykłego.

- Ach, tak. Z prasy mi wiadomo, że się tam wybierał. Czy mógłbym wobec tego prosić, by mu przekazano, iż wdzięczny będę stokrotnie, jeśli mi czas poświęcić zechce po powrocie z Francji?

Skinęła, acz jakby niepomna mego pytania.

- Prawnika pouczać nie zamierzam - powiedziała. - Lecz się tylko dziwię, iż miast w sądzie, młodzieńcze, czas wolisz trwonić pod mym dachem.

Zdumiało mnie, że wie cokolwiek o mym położeniu, chociaż - wspomniałem zaraz - gazety bez przerwy dostarczały wieści na mój temat. Z drugiej jednak strony dość to osobliwe, iż osoba z jej pozycją poświęciła choć sekundę na rzecz tak trywialną. Siadłem na wskazanym przez nią krześle. Dyskretnie się rozglądając, spostrzegłem opartą o kufer czerwoną parasolkę, oślepiającą blaskiem niemal jak jej biżuteria i używaną niedawno, na co wskazywały nikłe ślady kropli wody na podłodze. Natychmiast powrócił mi obraz damy skrytej pod zdobną parasolką...

Czyżby i ona także na wykład Barona przysłała?

Dreszcz mnie przeszył na myśl, w jakim by to uczyniła celu. Nie - słuchać jego rewelacji, ale - by śmierć oglądać.

Dotąd mi się zdawało, iż dzięki lekturze doniesień o wypadkach we Francji w ogólnym zarysie pojmuję sens całej historii. Na wieść o wznowieniu działalności przez Dupontę'a w Paryżu (za moją sprawą, naturalnie) Ludwik Napoleon wspomniął legendarny talent detektywa. I on, i jego popiecznicy uznali więc zapewne, iż Dupontę mógłby im pokrzyżować plany, w drodze racjomaginacji zawczasu wyjawić ogółowi, co też zamierzają. Tak oto Napoleon rozkazał usunąć Dupontę'a mniej więcej w tym czasie, gdyśmy się wybierali w podróż do Baltimore. Miało to być zadanie proste, a

zlecone łajdakom wyjętym spod prawa, co nieraz, jak wiadomo, działali w porozumieniu z policją.

Podczas bytności Duponte'a w Paryżu spisek ów się nie powiódł, lecz można było wkrótce rzecz ponowić, gdy się kierował za granicę w moim towarzystwie. Wiele lat później posłyszałem, że kiedyśmy do portu wędrowali, kwatery detektywa została doszczętnie splądrowana. Niemalże już w historii planowano zgładzić go na statku, ale skrytobójca, ów pasażer bez biletu, co się między innymi posługiwał mianem „Rollin”, z pokładu wydalony został... Potem zaś, w Ameryce, nie mogli nas już wykryć żadną miarą.

A przecież w Stanach mieszkali członkowie rodziny Bonaparte. I sam Hieronim Napoleon Bonaparte-Bo, któremu odebrano przywilej pierworództwa, a który całe życie czekał, żeby się połączyć z rodem we Francji, upomnieć o swe królewskie prawa. Teraz nareszcie miał okazję dowieść swojej wartości, i to głowie rodu, przyszłemu cesarzowi. Łotrzy, co Barona szpiegowali i co mu pod wodzą Rollina odebrali życie - nie za nim aż do Baltimore przywędrowali jednak. Rollin ukrył się w mieście, wiedząc, iż Duponte go rozpozna z incydentu na statku. Ja zaś, trucizną zamroczony, widziałem go w więzieniu, do którego trafił na czas krótki, bo wdał się w interesy z tutejszym elementem. W trójkę zgładzić mieli Duponte'a. A to dla dobra Francji.

Baron zaś się przebierał za swego rywala i jemu to przyszło zginąć na nieszczęście.

Tak ułożyłem w myśli ciąg zdarzeń, spotkawszy Rollina w siedzibie Bonapartów. Na czym jednak polegał udział owej damy w spisku?

- Zapewne pani wiadomo, co syn jej zaplanował? - spytałem, odwracając wzrok od parasolki.

- Bo? - zaśmiała się, widać ubawiona. - Zbyt on zajęty swym ogrodem i książkami. Choć członkiem, owszem, jest adwokatury, nigdy się nie nadawał do tego typu praktyk. To człowiek światowy. Z pewnością chce odzyskać mienie nasze oraz prawa, lecz cechy przywódcy są mu obce, młodzieńcze.

- Któż więc? - zapytałem. - Komu zależało, byście tropili Duponte'a celem odzyskania przychylności Napoleona?

- Dziwi mnie brak ogłady u tak powabnego młodzieńca - słowa jej nie zabrzmiały ostro, lecz spojrzenie (niby przypadkowe) było deprymujące dla mnie; dotąd uśmiechnięta, nagle, o synu mówiąc, przybrała wyraz poważny i solenny. - Bo... Staralam się mu wpoić, iż przez wysokie urodzenie nie może się ożenić z jakąś Amerykanką. On zaś to uczynił i się okrył hańbą. Chciałam, by wziął za żonę Charlotte Bonaparte, swą kuzynkę, co by nam zapewniło należną pozycję, lecz cóż, gdy się nie zgodził.

- I pani również w młodości sprzeciwiła się woli rodziców - zauważyłem.

- By trafić pod orle skrzydła! - rzekła z ogniem. - Cesarz traktował mnie bezwzględnie, lecz dawno już mu wybaczyłam. Co to on rzekł przed śmiercią marszałkowi Bertrandowi...? „Ci, których krzywdziłem, puścili to w niepamięć, przez tych zaś, których dobrocią obdarzałem, zostają porzucony”. Ach, nigdy nie dopuszczę, by wnuki me zapomniały, iż za pradziada mają Wielkiego Imperatora!

Kiedy uniosła dłonie, lepiej się mogłem przyjrzeć toalecie za nią powieszanej. Była to suknia, w której w roku 1803 szła do ślubu, na uroczystość, co wprawiała tutaj wszystkich w wielką konsternację... Wysłannicy z całego kraju ocean wtedy przebywali, by uciszyć gniew cesarza Francuzów. Niedawno czytałem o tym stroju, kształcąc się w historii owych zdarzeń. Uszyta z indyjskiego muślinu i koronki, wywołała wręcz skandal, bo pod nią panna młoda jedną część garderoby założoną miała tylko. Jak donosił wówczas żurnalista pewien z Francji: „Strój cały narzeczonej zmieścić by się dało w mej kieszeni”.

Ubiór wisiał na ścianie jak nietknięty prawie, jak gdyby każdej chwili miał się przydać znowu przed ołtarzem.

Wtem rozległ się płacz niemowlęcia, kwilenie coraz donośniejsze. W zdumieniu rozejrzałem się dokoła, by stwierdzić, iż nie pochodzi z głębin mej wyobraźni, lecz... Owa młoda sługa trzyma w ramionach i kołysze ośmiomiesięczne ledwo dziecko. Był to, jak mi wyjaśniono, Charles Joseph Napoleon, najmłodszy potomek Bo i małżonki jego Susan. Madame Bonaparte podjęła się opieki nad wnuczkiem, gdy ci wyjechali do Paryża błagać cesarza o wiadome przywileje...

Biorąc dziecko z rąk piastunki, madame Bonaparte mocno je przytuliła.

- W nim oto nadzieja dla naszego rodu. A widział pan kiedy drugiego z moich

wnuków? Na uczelni Harvarda studiował, teraz zaś - w West Point. Jest przeciwieństwem zupełnym męża mego. Postawny, dystyngowany, wkrótce też zostanie wojskowym najwyższej klasy - z czułością spoglądając na drobną istotkę, dodała po chwili: - W sam raz by się nadawał na cesarza Francji.

- Pod warunkiem jednak, iż Ludwik Napoleon zgodzi się przywrócić potomkowi pani przywilej dziedziczenia - przypomniałem.

- Cesarz obecny, młodzieńcze, jest wyjątkowo niedoświadczony, jak George Washington. Chcąc utrzymać imperium, musi mieć znacznie większą wprawę.

- Którą mu zapewni jej rodzina, prawda? Chłopczyk już przestał płakać, więc go oddała piastunce.

- W młodości kokietowanie było jedyną moją rozrywką. Trwonienie czasu, życia, drogi panie, od dawna już mnie męczy.

Niegdyś miałam wszystko prócz pieniędzy. Dziś bogactwem tylko mogę się poszczycić. Wiedz zatem, iż nie dopuszczę, aby moi krewni już na zawsze zostali zwykłymi osadnikami w Ameryce, jak to chciałby syn mój...

- Więc to twój a sprawka, madame. Zgodę wyraziłaś, by zgładzić geniusza, bo Ludwik Napoleon bał się, iż on wykryje spisek obalenia republiki.

Wzruszyła ramionami.

- Cóż, jeśli o to chodzi... Owszem, pod moim kierunkiem podróżnym z Francji zapewniono pieniądze i wygodę... Rozkazy jednak nie ode mnie otrzymali.

- No, a czy cel osiągnęli wyznaczony?

Gestem wyprosiwszy służbę, madame Bonaparte tak odparła, nachmurzona:

- Durnie! Wszystko się im pomieszało. Z tego, co wiem, policja paryska przekazała im wiadomość, iż w towarzystwie Dupont'e'a pan przebywać będziesz, gdy ty pod hotelem drugiego, fałszywego barona się kręciłeś... Nieważne, bo i tak przecież nikt nie zdołał udaremnić zwycięstwa Ludwika Napoleona - po tych słowach znów mi się przyjrzała bacznie. - Niechże mi pan powie... Słuszność chyba mamy, sądząc, iż dwu tych geniuszy tutaj sprowadziłeś w nadziei, że odnajdziesz poetę bliskiego sercu...? Słyszałam o Edgarze Poe, lecz jego zdolności w Ameryce nie są zbyt cenione.

- Zmieni się to wkrótce - zapewniłem.

- Ileż w tobie wiary - zaśmiała się wtedy. - Trzeba ci wiedzieć, wobec tego, że od

pewnego czasu młodzi paryscy poeci i pisarze czytają dzieła jego z olbrzymim zapałem. Posiadał on, przypuszczam, pewne cechy monsieur Balzaka... Talentem nadzwyczajnym obdarzony, szczęścia nie miał, tak że go przeznaczenie wiodło na manowce... Zapewne, jak to się dzieje z większością świetnych umysłów Ameryki, kultura europejska przygarnie go i wchłonie, rzecz by można. Tobie to jednak nie wystarcza, prawda? Bo ty pod pewnymi względami podobny jesteś do mojego syna; i on tak samo uważa, iż literatura dla jego osobistej powstaje przyjemności.

- Madame Bonaparte, tutaj się nie liczą me przesłanki. Nie o mnie chodzi w tej sprawie.

- Czekaj no, mój chłopcze! Z twoim udziałem przecież dowiedliśmy swej lojalności wobec Francji. Dzięki naszej akcji nowy władca stworzy teraz imperium, w którym ród mój przetrwa wieczność! Życie poświęciłam, dokładając starań, aby dzieciom moim przypadło dziedzictwo godne, i życie też dla nich bym oddać gotowa. A ty? Ledwie kokon opuściwszy, błąd popełniłeś karygodny, marnując znakomitą przyszłość, którą ci naszykowano. I cóżeś znalazł, odkrył, słucham?

Pytanie zignorowałem.

- Jedno pytanie jeszcze, madame. Czy wiedząc już, że w sali owej nocy nie ten uśmiercony został, co zaplanowali... czy odnaleźli potem człowieka właściwego? Czy Duponte również zginął?

- Nie będę się powtarzać - rzekła wolno. - Ja odpowiadam tylko za wygodę gości. Warunki im zapewniam jak najlepsze, kolebkę, że tak powiem, dla ich planów, lecz co się tyczy reszty, to inni mają decydować, nie ja, drogi panie.

Notes cały listów do Duponte'a zapisawszy, prędko się go pozbyłem. W szczegółach był tam ujęty fakt niepodważalny, iż postać C. Auguste Dupina nie była wzorowana na osobach znanych czy nieznanach, tylko się zrodziła w imaginacji artysty. Poza tym odtworzyłem cały proces myślowy, który mnie doprowadził do wyciągnięcia tego wniosku - wiedząc, iż detektyw byłby ciekaw owych odkryć. Lecz cóż... nawet jeśli zdołał ocalić swe życie, i tak nie miałem pojęcia, dokąd listy swoje adresować. Na pewno nie do Paryża, nie tam, gdzie zamieszkiwał dawniej... W Paryżu, w Cesarstwie Ludwika Napoleona, nie mógłby wszak przebywać. We Francji geniusz jego uznano za

szkodliwy władzy niezmierzonej.

Widząc niepokój, który się odmalował na obliczu madame Bonaparte pod koniec naszej rozmowy, na pytanie, czy monsieur Rollin i jego kamraci zdołali znaleźć detektywa - stwierdziłem, iż jest on bliżej jeszcze, niż mógłbym podejrzewać. Duponte nie mnie cierpliwie wyczekiwał, lecz to ze mną właśnie miał się spotkać.

Kiedy raz przechodziłem w pobliżu potężnego gmachu hotelu Barnuma, widok kłębiących się tam portierów i masy gości natchnął mnie pewną myślą. Po powrocie do domu, do „Glen Elizy”, stwierdziłem, iż być może niewiele mi zostało czasu, aby działać. Akcję podjąłem zatem natychmiast, w drodze powrotnej do rzeczonoego hotelu. Przed wyjściem jednak zaopatrzyłem się w stary rewolwer, zwrócony mi przez policję wraz z innymi dobrami. Lecz najpierw, nim go ukryłem w kieszeni, pamiętałem, aby sprawdzić, czy nadal jest sprawny.

- Sir?

Śmiertelnie blady recepcjonista o gęstych bokobrodach przyjrzał mi się podejrzliwie w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Monsieur - rzekłem gwałtownie, na co, jak się spodziewałem, brew uniósł w zaciekawieniu słowem tym francuskim. - Obecnie mieszka u państwa człowiek z Francji monarszego rodu.

W atencji najwyższej skinął na to głową:

- Tak jest, sir, w rzeczy samej. Zajmuje pokój, w którym u nas przedtem się zatrzymał baron. To brat jego, proszę pana, diuk - ostatnie słowo wypowiedział konfidencyjnym szeptem, pochylony. - Szlachetnego oni obaj urodzenia, sir, to rzecz oczywista.

- Diuk - odparłem z uśmiechem. - A jakże. Kiedy, jeśli spytać wolno, diuk ów się zameldował?

- Ooo, zaraz po wyprowadzce swego szlachetnego brata... Znaczy się barona. Ze względu na wypadki nowe, które we Francji się zdarzyły, pobyt jego u nas tajny, pan rozumiesz...

Tu przytaknąłem, ubawiony, jak łatwo mu przyszło zdradzić tak strzeżony sekret. Jegomość ów natomiast, jakby czując, iż się cokolwiek zapędził, nie omieszkał dodać,

że pod żadnym pozorem nie może mi zdradzić, którą to kwaterę przeznaczono osobie królewskiego pochodzenia.

- Nie będzie to konieczne - oświadczyłem, wymieniając z nim poufale spojrzenie.

Bo naturalnie pokój ów był mi znany. Szpiegowałem Barona, gdy tutaj się wprowadził.

Niby w gorączce schodami wspiąłem się na górę.

Pamiętam, iż Duponte przy naszym spotkaniu wydał mi się mizerny i blady, tak jakby od pierwszego widzenia ze mną spożytkował wszelką swą energię. W pokoju dawnym Barona zastałem go teraz, a nic w zachowaniu jego nie wskazywało, iż dziwi się mej wizycie. Wbrew moim oczekiwaniom bynajmniej się nie rozgniewał ani też mi nie groził w reakcji na odkrycia własne, które mu chciałem wyjawić. Wiedział, iż zamiast niego Baron będzie pozbawiony życia, i nic też nie planował czynić, aby temu zapobiec.

Uprzejmie podsunął mi krzesło. I prawdę powiedziawszy, niezmiennie był opanowany. Dzwonkiem wezwawszy portiera, nakazał mu wziąć swój kufer. Wciąż mu się przyglądałem w zadziwieniu.

- Już przestałem liczyć, iż się zobaczymy - rzekłem.

- Czas na mnie - odpowiedział.

- Bo cię nawiedzam? - zapytałem.

- Czytasz pan gazety - odparł. - Wiesz, co w Paryżu się wyprawia.

Dobycy rewolweru, obejrzałem go jak ciało jakieś obce i przed Duponte'em, na stole, położyłem.

- Mogli mnie śledzić przecież... Jeżeli nadal cię poszukują. Ja zaś nie mam zamiaru przysparzać ci kłopotów, choć ty mnie na ryzyko straszne naraziłeś. Bierz broń i miej ją w pogotowiu, proszę.

- Czy dalej mnie szukają, nie mam pojęcia, doprawdy, lecz jeśli tak, teraz okaże się to zbędne.

Wypowiedź tę pojąłem w jednej chwili. Potomkowie rodziny Bonaparte z Baltimore wybrali się do Paryża w nadziei, iż ich lojalność wobec nowego cesarza zostanie nagrodzona. Skoro zaś cel swój osiągnęli, poszukiwań Duponte'a wspierać więcej nie muszą, mimo iż madame Bonaparte i jej poplecznicy już się dowiedzieli, że uśmiercili nie tego, co należy, człowieka.

- Baron nie żyje, a pan od samego początku przewidziałeś, co się stanie - rzekłem. - Ty zatem go zabiłeś, to rzecz oczywista.

Gong hałaśliwie rozbrzmiał.

- Zjemy coś razem? - spytał Dupont. - Stanowczo już za długo tutaj się ukrywam, lecz aby coś przekąsić wyborczego, mogę sobie pozwolić na wyjście z pokoju...

Ogromna sala jadalna mieściła jakieś pięćset osób. Na znak czarnoskórego majordomusa kelnerzy czuwający przy każdym ze stołów równocześnie unosili pokrywę, by wskazać kolejne danie.

Długo się rozglądałem, szukając wokół nas osoby, która znać mogła Barona Dupina i teraz uznałaby pewnie, iż obcuje z jego duchem. Niestuszenie - bo w istocie mój towarzysz nie tylko przestał przypominać go, ale nawet i siebie samego z dawnych czasów.

- Nie, nie, nie jestem mordercą - dopiero w tym momencie doczekałem się odpowiedzi. - Lecz może twoja to sprawa, twoja i Barona, że tak powiem... Baron miał życzenie moją przybrać postać. Czy mogłem mu zabronić, monsieur? W mieszkaniu swym w Paryżu pozostałem, by przeczekać sprawę. Gdy tobie się zamarzył „Dupin”, dla twoich własnych celów. Baron go natomiast dla swoich przedsięwzięć potrzebował. Ludwikowi Napoleonowi „Dupin” był potrzebny jako źródło strachu. Wraz z twoim przyjazdem do Paryża, za sprawą uporu twego uznałem, iż nie mam na to absolutnie wpływu, choćbym się nie wiem jak opierał... Pojęcie bowiem „Dupin” nagle się stało dla mnie „nieśmiertelne”, jak byłeś łaskaw sam to ująć.

Lecz tyś nie Dupin przecież!

Na końcu języka miałem już ów okrzyk, by konwersację skierować na tory mnie dogodnie. Wciąż jednak dręczyło mnie tyle do niego pytań oraz wątpliwości.

- Kiedy więc pan wykryłeś, iż ciebie poszukują? Że zamordować cię chcą dla dobra Bonapartów?

Dupont pokręcił tak głową, jakby odpowiedzi nie znał.

- No, ale na pokładzie statku naszego, „Humboldta”, tyś przecież wskazał pasażera bez biletu. Rollina, łotra wiadomego. Tam się wszystko zaczęło. Monsieur,

naocznym świadkiem jestem!

- Nie było mi wiadome, iż ktoś tam na gapę podróżuje. Wiedziałem, iż jeśli kryje się takowy, to za mną się wyprawił.

- Toś się pan nie omylił! - wykrzyknąłem. Duponte ze skromnym uśmiechem przytaknął.

Wydaje mi się, iż dnia owego odczułem coś z bólu Duponte'a, z jego cierpień wewnętrznych, przez które się zdecydował na żywot samotny, obojętny światu. Po zwieńczonej sukcesem sprawie trucicielki był przez wszystkich postrzegany niemal jako cudotwórca. Za młodu Duponte'a cechowała nienazwana pewnością siebie i sam nawet zaczął wierzyć w nadnaturalne swe zdolności. Zwłaszcza że w prasie nieustannie pisano o owym talencie genialnym... Czyż więc go stworzyli żurnaliści, kultem otaczając? Czytelnik utworów Poego sądzi zwykle, że Dupin prawdę odnajduje dzięki swemu geniuszowi. Lecz gdy się wgłębić w te pisma - jedynie po części jest to myśl zasadna. Dupin wykrywa prawdę, bo ktoś mu ufa bezgranicznie... Bez przyjaciela swego Dupin już nie byłby tym samym.

- Zawsze, gdy się przyglądałem, jak Ludwik Napoleon prowadzi inspekcję swego wojska, wbrew głupcom, co sądzili, iż ja przyszłość widzę, doprawdy, monsieur, mnie się wtedy rysował w myśli czas obecny... Dla niego pozycja prezydenta była niewygodna od początku. Sądzę, iż prefekt Delacourt ostrzegł go przede mną, kiedy to nas razem w Paryżu wysłedzono.

- Baron mi opowiedział historię Catherine Gautier. Czy prefekt Delacourt ostrzegł Napoleona, bo przeciw niemu występowałeś w tym procesie? Miałeś się zamiar zemścić na nim, uciekając?

- Działania prefekta były we mnie wymierzone, bo on mnie kiedyś skrzywdził, nie ja jego. Dawne animozje osobiste czynią nas wrogami już na wieki, monsieur... Prefekta Delacourt odwołano z przyczyn rozmaitych; także dlatego, śmiem sądzić, iż mu się nie udało mnie odszukać przed naszym wspólnym wyjazdem z Paryża. De Maupas być może nie dorównuje Delacourtowi przebiegłością, jest jednak znacznie bardziej odeń kompetentny, cechy te zaś nie łączą się w żaden sposób... De Maupas bywa bezwzględny, taką już ma naturę.

- Czy wiedzą, że zgładzili Barona zamiast ciebie? Duponte odkroił nieco szynki z

Maryland, drugiego dania, które nam kelner przyniósł.

- Możliwe. Tak się, monsieur, upierałeś wskazać tożsamość Barona policjantom! Powszechnie nic nie wiadomo było o tej sprawie, więc strony zainteresowane w Paryżu nadal mogą mieć wątpliwości. Dopuszczam, że zbrodniarze tutaj prawdę poznali... I pewno, by chronić siebie, fakt ów zataili przed swymi zwierzchnikami z Paryża. Tymczasem wódz ich, ów „pasażer”, w skrytości na mnie zapolował... Uznawszy, iż w ostatnim miejscu pobytu Barona szukać mnie nie będą na sto procent, zjawiłem się tu w czasie jego wykładu i jedynie pod wieczór czasami na miasto szedłem. Administracja hotelu żywi przekonanie, że jestem tutaj, aby opłakiwać zejście „brata” swego, Barona, jak się domyślasz, nikt mnie więc nie prześladowuje w mej kwaterze. Przez wzgląd natomiast na triumfy Ludwika Napoleona „pasażer” ów skłania się zapewne ku sądowi, iż misja ich stała się już nieaktualna. Jeżeli Bonaparte ze Stanów zakończy przedsięwzięcie swe pomyślnie, „pasażer” będzie mógł z powodzeniem przebywać we Francji aż do czasu dalszych transformacji politycznych. I on, i ród Bonaparte ze Stanów do błędów się nie przyznają nigdy. Wobec zaś powyższego jaw Paryżu tracę prawo bytu!

Wspomniawszy obraz skromnego apartamentu Duponte’a tu na górze, przedstawiłem sobie w myślach jego życie podczas owych miesięcy od zabójstwa Barona. Miał książki - doprawdy książek tyle w izbie, jak gdyby po wybuchu zasypała go cała biblioteka. Wszystkie zebrane pozycje związane były z geologią. Niby się w skał i książek grobowcu zamknął na ów mroczny okres, co mnie wprawiło w rozdrażnienie, bo wszak najwidoczniej liczył przy tym na wyraz współczucia z mojej strony...

- A wiesz, ile ja przeszedłem, monsieur Duponte? Mnie wszak przypisano zbrodnię na Baronie! Na szczęście, dzięki przytomności policji, to już za mną. Teraz jednak muszę walczyć o swe dobra wszelkie, domagać się nawet praw posiadania „Glen Elizy”!

Spożywając arbuza, który na deser nam podano, zdałem Duponte’owi relację z przygód swych więziennych oraz jak stamtąd zbiegłszy, natknąłem się potem na Bonjour i szubrawców. A po obfitym posiłku wspólnie udaliśmy się do jego pokoi.

- Trzeba mi szczegółowo przedstawić w sądzie sprawę śmierci Edgara - oświadczyłem. - Wykazać, iż to nie mrzonki były... Że się kierowałem rozumem. To

jeszcze mi pozostało i nic ponad.

Duponte popatrzył na mnie z ciekawością.

- I co pan wykazać pragniesz, monsieur?

- Tyś wcale nie zamierzał rozwikłać mej zagadki, prawda? - zapytałem smutnie. -

To był taki fortel... Bo przewidziałeś, monsieur, że świat uzna cię niebawem za ofiarę zbrodni w moim mieście. Tobie się anons Barona w prasie paryskiej zamieszczony objawił jako zguba. Jego, oczywiście. Wiedziałeś w samej rzeczy aż nadto dobrze, jak się wycofać z życia publicznego, jak przestać istnieć. Dlatego tak cię zachwylił pomysł Barona, aby do „Glen Elizy” ściągnąć portrecistę Von Dantkera... Wszak tym sposobem Baron mógł cię naśladować idealnie. Dom opuszczałeś tylko nocą, by mu ułatwić, co zamierzył. Ażeby cię nikt już nigdy nie brał za pierwowzór bohatera przez geniusza stworzonego.

Nie patrząc na mnie przy ostatniej frazie, Duponte głową skinął.

- Gdyśmy się, monsieur Clark, poznali, gniew mój wiecznie budziłeś, chcąc mnie postrzegać jako wzór postaci Dupina. Później jednak zrozumiałem, że jedynie poprzez lekturę dzieł Poe, jak i obserwację ciebie dojdę, czemu ty i wielu innych tak mnie właśnie widzieć pragniecie. Dupin prawdziwy nie istnieje i to się już nie zmieni! - wyrzekł to dziwnym tonem, na poły z ulgą i ze zgrozą jakby. Z ulgą, bo już nie ciążyło na nim piętno mistrza racjomagacji. Z lękiem, bo nagle musiał oto być kimś innym zgoła.

Chciałem mu objawić gorzką prawdę. „Tyś nie Dupin! - rzekłbym. - Nigdy nim nie byłeś. Człowiek taki nigdy nie żył; Dupin - imaginacją”. Dlatego może właśnie tak mi zależało, aby go odnaleźć znowu. By poczuł razem ze mną ranę po owej stracie. By czegoś go pozbawiając, jeszcze go utwierdzić w samotności...

Lecz nie rzekłem słowa.

Przypomniała mi się przestroga Bensona, iż człowiek nadwrażliwy ulec może iluzji bytowania w pismach Edgara Poe. Może więc Duponte, mój towarzysz, uznał kiedyś, że będąc częścią wyobraźni Poe, bytuje w opowieściach o Dupinie. A przecież w rzeczywistości podobnej kreacji poety silniej istniał znacznie, niż kto inny - czy zatem nie prawdziwie ucieleśniał ową postać literacką...? Jakież to miało znaczenie: sprawcą jest czy też skutkiem?

- Dokąd? - zapytałem. - Gdzie się pan wybiera? Duponte, zamiast odpowiedzieć,

tak odparł mi w zadumie:

- Na podziw zasługujesz, monsieur.

Podniosło mnie to na duchu, tak że poprosiłem, aby myśl rozwinął.

- Są tacy ludzie, rozumiesz, co się nie ugną żadną miarą. I chociaż to konieczne, nigdy nie zrezygnują... Do chwili obecnej, tutaj czy w Paryżu, tego się trzymałem, wiesz pan... Zaś monsieur Poe to nawet do dnia śmierci. Tyś dawno mógł się wycofać, a tego nie uczyniłeś... - Duponte urwał. - No, a co zeznasz w sądzie?

- Prawdę całą. Podam odkrycia Barona związane ze śmiercią Poego. A publiczność mi uwierzy, monsieur Duponte.

- Niewątpliwie. I wygrasz sprawę?

- Owszem. Za prawdę rzecz uznają z braku innych świadectw. Zaiste, nie ma już dla mnie innej drogi.

- A Poe?

- No cóż, zapewne tak się to ma właśnie zamknąć - wyszeptałem.

- Tak też by się do kwestii odniósł prawnik, nie inaczej - z tajemniczym uśmiechem podsumował Duponte.

Tu nadszedł portier, by rozliczyć bagaż diuka... Duponte zaczął mu udzielać wskazówek rozmaitych, ja zaś - kapelusz wzięwszy - prędko się pożegnałem. W holu, oglądając się za nim jeszcze dla pamięci, ujrzałem, jak gestem objaśnia, gdzie przesać należy pewne nieporęczne przyrządy do badań z zakresu geologii. Liczyłem, że się obróci, aby mi przypomnieć, iż nie mam do czynienia z człowiekiem zwykłym, zakrzyknie obelżywie: „Durniu” czy też „Ośle!”...

- Nigdy ciebie, diuku, nie zapomnę - rzekłem sobie cicho i się ukloniłem.

Oto nadszedł wreszcie dzień, gdy miałem stanąć na miejscu dla świadka i zeznać całą prawdę o śmierci Edgara Poe, przedstawiając dowody wiarygodne, iż działania uznane za wytwór fantazji to w istocie ze wszech miar racjonalne, zwyczajne i sukcesem zwieńczone moje przedsięwzięcie. Peter z oddaniem pomagał mi od rozpoczęcia procesu, tak że nareszcie mogliśmy stawić czoło prawnym naszym przeciwnikom, którzy mieli po swej stronie znakomitą większość społeczeństwa. Adwokat przeciwko nam występujący miał w zwyczaju rykiem niby lwim zjednywać sobie członków ławy przysięgłych. Peter uznał, iż moja prezentacja będzie konieczna, abyśmy zwyciężyli.

Co dnia zjawiali się w sądzie: Hattie, jej ciotka oraz kilku innych Blumów. Oburzeni prośbą Petera o zeznawanie na mą korzyść („po tym, co młodzian uczynił, rzecz niewiarygodna!”) - karnie przybywali, by wesprzeć człowieka, który Hattie wszak miał wziąć za żonę. Poza tym, podejrzewam, chcieli się napawać moją ostateczną klęską. W przerwach było mi dane zamienić z Hattie słowo, lecz nie więcej. Za każdym razem śledziła nas czujnie ciotka, co rusz wymyślając nową strategię, tak by udaremnić kontakt dłuższy między nami.

Zeznania mego oczekiwano wówczas niecierpliwie. Sala pękała w szwach, bo ludzie się zgromadzili liczniej niż normalnie. Ja zaś, przede wszystkim, miałem zamiar dowieść, iż wszystkie me przedsięwzięcia służą li tylko rozwikłaniu tajemnicy śmierci geniusza. W istocie chciałem, ażeby wszelkie zagadki rozwiązały się naraz. W nocie poprzedzające owo wystąpienie nieraz sny miewałem z tym powiązane. Zdawało mi się, na przykład, że widzę postać literacką C. Auguste Dupina, który mi nieco przypominał Auguste’a Duponte... Słyszałem, jak mi dyktuje, co mówić mam po kolei. Lecz budząc się, nie byłem zdolny odtworzyć nic z jego racjomaginacji i tylko wspominałem sprzeczne strzępy zdań czy myśli - bezradny, zawiedziony, w żalu. Wtedy mi się, szczęśliwie, przypominał Baron Dupin i przezeń wynalezione niezbite (czy pozornie?) fakty, odpowiedzi, których podważyć się nie da żadną miarą; rozwiązania, na jakie właśnie czeka wygłodniała gawiedź.

Słowa, które wszystkich zadowolą, już mi były znane.

W sali tak patrzono na mnie, jak i na Barona przed jego występhem. Napotkałem

dziesiątki spojrzeń, spragnionych obnażenia mojej duszy. Pośród zebranych dojrzeć mi się udało gapiów wielu, co i wówczas się pokazali w sali wykładowej - złaknionych sensacji z życia oraz śmierci pisarza. Zauważyłem Neilsona Poe i Johna Bensona, ludzi, którzy (z przyczyn odmiennych) takiej czy innej informacji się najwyraźniej spodziewali. I Hattie przysła także, Hattie, której przyszłość ze mną chciałem uratować, chroniąc nasz wspólny dom, czyli „Glen Elizę”, tylko i wyłącznie opowiedzeniem historii cudzej.

Gdy sędzia mnie wywołał, zaczerpnąwszy powietrza, spojrzałem na swe zapiski.

- Oto, Wysoki Sądzie i Panowie Przysięgli, ujawnię prawdę o śmierci jego oraz życiu moim. Historii tej nigdy dotąd nie ogłaszałem. Choćbym utracił wszystko, opowieść ta zostanie w sercu mym na zawsze.

Czyż mogłem, wzorem Barona, upierać się, iż wszystko, co się prawdą zdaje, prawdą jest z pewnością? No, czemu nie, właściwie? Wszak byłem adwokatem!

- Są w mieście naszym tacy, co się starali jej zapobiec. Siedzą tu pośród nas osoby, którym się nadal jawię przestępcą, wyrzutkiem, kłamcą i podstępny zbrodniarzem. Ja, Panie Sędzio, Quentin Hobson Clark, obywatel Baltimore, członek adwokatury i zapalony miłośnik czytelnictwa.

Lecz to nie o mnie opowieść. Proszę, weźcie to łaskawie pod uwagę! Żadną miarą mnie ona nie dotyczy, bom w życiu nigdy nie kierowałem się ambicją. Co zatem usłyszycie, nie wypływa z chęci zaistnienia wśród mej klasy czy też zyskania przychylności w oczach wyższych rangą. Rzecz tyczy fenomenu, co znacznie przerasta i mnie, i całe to dzisiejsze zgromadzenie; człowieka, dzięki któremu świat będzie nas pamiętać, mimo że o nim samym zapomniano niby w jednej chwili. Ktoś musiał się tego podjąć. Nie sposób było milczeć. Ja nie mogłem...

Tutaj otwarłem usta, aby wyznać więcej, lecz nie byłem w stanie. Bo mi się objawiło, iż wybór mam jeszcze inny. Bo mianowicie mogłem im rzec, co się nie udało. Jak odszukałem Dupontę i sprowadziłem do nas, jak ludzie Bonapartów go ścigali i omyłkowo odebrali życie Baronowi. Wszystko to zapewne zaraz prasa by podchwyciła i wybuchłby skandal związany z rodem Bonaparte... Dupontę stałby się znów ofiarą i teraz już niewątpliwie by został zgładzony przez nich. Mogłem na zawsze skończyć, co zacząłem, grzebiąc fakty w mrokach dziejów.

Ująwszy malajkę swoją w obie dłonie, znowu odniosłem wrażenie, jakby się

rozsuwała. Wtedy - strzał się rozległ.

Widocznie ktoś z sali strzelał i zaraz się zrobiło zamieszanie wielkie. Przypuszczano, iż to jakiś wariat. Sędzia nakaz wydał, żeby w tej chwili zbadać sprawę, po czym zgromadzeni zostali wyproszeni z sali na czterdzieści minut. W zgiełku potwornym dwaj funkcjonariusze poczęli wyganiać ludzi na zewnątrz.

Niebawem już ja tylko w izbie pozostałem. Nie...! Bo oto dojrzałem babkę mą stryjeczną, jak nasuwa na głowę swój kapelusz ciemny. Tak to, po raz pierwszy od początku sprawy, znaleźliśmy się sam na sam.

- Ciociu - zwróciłem się do niej - ufam, iż mnie nadal kochasz... Wszak ci jestem bliski... Rzecz przemyśleć zechciej, proszę, błagam. I nie kwestionuj ani testamentu, ani mych zdolności...

Ona twarz z niesmakiem wtedy wykrzywiła:

- Straciłeś Hattie Blum... Tracisz „Glen Elize”... Wszystko tracisz, Quentin, boś ubzdurał sobie, że jesteś jakimś poetą, nie prawnikiem. Historia lubi się powtarzać, wiesz doskonale. Zaraz też czyn swój lekkomyślny uznasz za wyraz odwagi. Biedaku! Gdy to się już zakończy, będziesz miał okazję co dnia na los swój wyrzekać siostrom miłosierdzia w ich zakładzie, nikogo już więcej nie częstując swą ekscytacją i obawą.

Nic na to nie odrzekłem, więc mówiła dalej:

- Zapewne sądzisz teraz, iż powoduje mną zawiść, lecz pogląd to niesłuszny, wierz mi. Doprawdy, żal mi cię, Quentin, a poza tym chcę tu przywołać pamięć twych rodziców... Całe Baltimore widzi, iż w mym podeszłym wieku stać mnie tylko jeszcze na ów akt współczucia... Że staram się z sił całych odwieść cię od dalszych czynów monstrualnych, to znaczy, nie pozwolę, abyś dobra trwonił. Niechże cię obłąd przeszłości skruszy na lata przyszłe.

Nieporuszony na swym miejscu, odczułem niejaką ulgę, acz i żalność, gdy sala się wyludniła całkowicie. Lecz z drugiej strony tutaj nigdy nie było pusto, tak jak nigdy nie pustoszeje pomieszczenie po uczcie wielkiej. Z myślą tą na krzesło opadłem.

I nawet gdy drzwi się uchyliły znowu, a ciotka bąknęła „pardon”, potracając kogoś na swej drodze - wciąż trwałem zanurzony w wizjach własnych, nieobecny. Gdyby się ów szaleniec, co strzelał przedtem, teraz zjawił - na sto procent, sądzę, zostałbym trafiony. Dopiero na odgłos zamykania drzwi od środka ocknąłem się, by kontynuować.

Przebrany w strój elegancki Auguste Duponte postąpił parę kroków naprzód.

- Monsieur Duponte! - zawołałem. - Nie wiesz, że tu obłąkany jest wśród nas?

- Ależ to ja przecież, monsieur - odparł Duponte. - Choćbym wolał doprawdy nie czynić tego pośród tłumu. Otóż... zapłaciłem włóczędze pewnemu, aby strzałów parę oddał w powietrze, niegroźnie... z owego od ciebie rewolweru, tak żeby się publiczność miała czym podniecić.

- Jakże? Wziąłeś współnika? - wiedzieć chciałem.

- Nie inaczej.

- A czemuś nie opuścił Baltimore zgodnie ze swym planem? Wszak tu zostać nie możesz, bo cię wciąż szukają. Ryzyko to ogromne, monsieur Duponte!

- Monsieur, miałeś słuszność. Wtedy, w mym pokoju hotelowym... Nie po to odwiedziłem Amerykę, aby twą zagadkę rozwiązywać, co też i przypuszczalnie rozwiązania nie posiada wcale. Faktycznie przybyłem tutaj, by wykazać, iż nie mnie rozwiązywać takie sprawy, by zadać kłam powszechnej wierze, że ja jeden tylko to potrafię. Już mnie, monsieur, znużyła owa egzystencja i chcę żyć zwyczajnie. Mam dosyć przekonania, iż me umiejętności zagrażają i ludowi, i nawet władcy republiki... Że wiem to, co oni wszyscy w sekrecie pragną utrzymać. Lecz cóż, nadal się mnie obawiano, choć nawet już się przestałem oddalać z mej kwatery. Nie pomnę już, czy sam kiedy wierzyłem w swoje talenty.

- Chciałeś pan, bym się zajmował własną sprawą, knując w tym czasie ucieczkę przed swymi prześladowcami... Planując ciąg wydarzeń wskazujący, że tyś jest prawdziwy Dupin. Po to ci były potrzebne nasze wspólne dociekania.

- Właśnie - odrzekł z miejsca. - Bo byłem zmęczony. Nie życiem, że tak powiem, ale - doświadczeniem. Tyś jednak się domagał swego... Pewien, iż pospołu zdołamy coś osiągnąć, zgłębić. Co więcej, pewny także, iż nam to los przeznaczył. Podajeś im Baronową wersję zdarzeń? Gawiedzi tu przed sądem, naturalnie.

- Miałem taki zamiar - odrzekłem wesoło, spoglądając na swój notes, gdzie z pamięci w szczegółach odtworzyłem wykład Barona.

Duponte wówczas poprosił, abym mu pokazał te notatki. Patrzyłem, jak bada tekst ów uważnie.

- Zniszczę to - oświadczyłem z mocą, kiedy odłożył notes. - Nie będę kłamstw

podawać o człowieku, który prawdę głosił. Rzecz owa nigdy się już nie powtórzy.

- Ależ tak... i to wielokroć, monsieur - rzekł ponuro Duponte.

- Nikomu nie wyjawilem wariantu zdarzeń, który Baron utkał! I on również przed śmiercią nie zdążył nic powiedzieć Bonjour i nikomu! Liczył, że jako pierwszy w chwale rozgłosi swoje rewelacje. Dokument oryginalny zniszczeniu uległ, monsieur! Zapewniam, iż nigdzie indziej świadectw się nie znajdzie.

- Nieważne, czy kogoś o swych wnioskach Baron zawiadamiał. On bowiem, pan rozumiesz, wybijał się nad przeciętność zarówno przez to, iż był dociekliwy, pilny, jak i obcesowy. Przy tym niczym buldog zaciekł. Natomiast jego pomysły nie wyróżniały się niczym. Tu właśnie tkwi błąd twój, jak sądzę. Czy słowa, by jego spalić w więziennym piecu, czy choćby je i strawił pożar wielki Rzymu - idee zawsze będą wracać w umysłach prymitywnych ludzi ciekawych śmierci pisarza.

- Lecz przecież nie ma...

- Będą. Niewątpliwie. Badacze nowi, niezliczeni, setki... Być może upłyną całe lata, lecz obmierzłe istoty, „odkrywcy”, znów się zechcą swego upominać. Póki pamięć poety nie zaginie, nikt ich nie powstrzyma nigdy.

- Wobec tego zrezygnuję z pierwszej strony - rzekłem, wydzierając z notesu początek swych zapisków.

- Zostaw - Duponte nakazał mi gestem.

- Monsieur?

- Nie można. Pamiętasz, co ci mówiłem o Baronie?

- Musimy błędy jego dostrzec - odparłem w przypiływie nagłym wiary. - Żeby poznać prawdę.

- Otóż to. Bo zobacz: z zapisków twych wynika, iż Baron niesłusznie myślał, że Poe przyjechał do Baltimore, gdy go napadnięto w drodze do Nowego Jorku. Wniosek stąd się bierze ów jedynie, iż prasa podała, jak to autor zmierzał do Nowego Jorku, aby Muddy, matkę zmarłej żony, sprowadzić do Wirginii, ażeby tam z kolei ona zamieszkała wraz z nim i jego nową żoną, Elmirą Shelton z Richmond. Ponieważ Poe na pociąg swój do Nowego Jorku nie wsiadł zaraz, zrodził się problem - twierdzi tutaj Baron, myląc, co dość powszechne, plan pokrzyżowany z zamierzeniem, które się po prostu rewiduje. Ale idźmy dalej.

- Jak to? - serce mi zabiło. Duponte przybrał surowy wyraz.

- Boś ty mnie znalazł, monsieur Clark.

- Słucham?

- Pytasz, czemu tu dziś jestem, miast dla bezpieczeństwa się oddalić. Dlatego, żeś mnie odszukał. Szukano mnie, a ty znalazłeś, monsieur. Dobry człowieku, bardzo proszę!

Na znak ów w tej samej chwili wszedł portier w liberii Barnuma, wlokąc jeden z kufrów detektywa, tak wyraźnie ciężki, jakby się tam znajdowały ludzkie zwłoki - ten sam, z którego w zaskoczeniu niegdyś wydobyłem laskę. Grosz wcisnąwszy w rękę słudze za fatygę, Duponte go odprawił, drzwi sali sądowej za nim zatrzasnął.

- Jak zatem chodzi o Barona... Pan pozwoli?

- Monsieur Duponte, czy to oznacza... Wszak pół sekundy temu oznajmiłeś, iż bynajmniej nie moja zagadka ciebie tu przywiodła!

- Intencje nijak się mają do efektów. Nigdy nie mówiłem, żeśmy nic nie odkryli, monsieur Clark, prawda? Czyś mnie więc nadal gotów słuchać?

- Proszę.

- Baron sobie wyobraził, iż łotry z zatoki zapędziły Poego aż do domu Brooksa, gdzie następnie, ogień podkładając, prawie że spaliły tę posesję. Ciąg oczywistych błędów Barona początek swój znajduje w przypuszczeniu, jakoby przystanek pisarza w Baltimore był niezamierzony, to znaczy pozbawiony celu, a wobec tego przemocą tylko i wyłącznie da się wytłumaczyć rozpiętość w czasie pobytu jego tutaj. Tymczasem, wzięwszy pod uwagę cel jego pierwotny, a więc dom doktora, wniosek możemy wysnuć zgoła inny, monsieur.

Już to wraz z nim kiedyś omawiałem.

- Brooks jest znanym redaktorem i wydawcą - dodałem. - Poe zaś poszukiwał wsparcia, chcąc powołać własne pismo, „Stylus”, aby podnieść poziom artystyczny publikacji tego typu.

- Słuszna to uwaga, choć, co się tyczy efektów tego przedsięwzięcia, Poe chyba się przeliczył... No, ale to nieważne. Otóż, jeśli wówczas istotnie groziło mu niebezpieczeństwo i jeśli, jak imputuje Baron, szykował się do ucieczki, mógł przecież zawiadomić o tym kogoś ze swej rodziny, choćby nie wiem, jak nim pogardzała... Lub

też, monsieur, policję. Lecz nie: oto Edgar Poe szuka wpływowego redaktora! Tutaj możemy już wymieść z pamięci owych łotrów i podążyć za nim prosto do Brooksa. Bardzo proszę!

Znów aż siadłem z wrażenia na mym stołku.

Spostrzegłeś pan, iż wedle Barona ostatnie dni Poego na tym świecie były wynikiem agresji niezwykłej. Tu Baron, zda się, patrzył w lustro. Bo przecież chciał, by tak właśnie jego kłopoty postrzegano. I wobec tego postanowił przypisać śmierć artysty tylko osobom trzecim.

- Czyżbyś pan sugerował, iż pożar domu Brooksa nie miał nic wspólnego z poszukiwaniem schronienia przez poetę? Miało to być przypadek?

- Nie, chociaż twój wniosek wymaga pewnej modyfikacji. Poszukiwanie kryjówki jak najbardziej się wiąże ze spłonieniem domu Brooksa. Jeśli przypuszczamy, iż Poe wybrał się tam prosto z portu i z bagażem, z pewnością nie tylko wsparcia swej idei potrzebował, ale też i noclegu, monsieur...

- I nagle widzi, że dom spłonął lub się może jeszcze pali... No bo przecież nie znamy dokładnej daty i godziny jego tam przybycia.

- Właśnie. Lecz bez względu na to, czy pożar wybuchł w owej chwili, czy też ze dwie doby naprzód, poeta oto zostaje bez dachu nad głową i błąka się dalej. Natomiast dla nas wyłania się tu problem. Medyk ów, doktor Moran, który później pisarza kurował, wspomina, iż pacjent nie wiedział, co też go do Baltimore przywiodło... Periodyki natomiast wstrzeźliwości poświęcone - dla poparcia swych idei rzecz najgorliwiej podkreślają, żeby wskazać jego pijaństwo, zatracenie, w którym zgubił zupełnie wątek miejsca oraz czasu.

- Pan myślisz, że niesłusznie? - rzekłem.

- Jest to argumentacja najslabsza, błędna w każdym calu. Przyrównać by to można do sytuacji takiej: pan mnie spotykasz w mieście, a potem znów po tygodniu, i kiedy wówczas pytam cię o drogę, ty się dziwisz, jakim cudem błędziłem cały tydzień. Pamięta pan naszą dyskusję na temat oferty złożonej geniuszowi, aby zredagował tomik wierszy pióra pani St. Leon Loud za honorarium w wysokości stu dolarów. Jak wiemy, Poe przystał na jej propozycję. I w liście zwierzał się Muddy, że Loud, mąż pani St. Leon Loud, poetki z Filadelfii, zwrócił się doń w swoim czasie, proponując sto dolarów w zamian za redakcję utworów poetyckich żony. Dodał także, pamięta pan, iż rzecz mu nie zajmie więcej jak trzy doby. Słowa te zresztą drukiem poświadczono już zostały... Jeżeli

Poe istotnie starał się zebrać pieniądze na publikację swego magazynu i jeśli, jak się nam udało stwierdzić, przedłużył swój wyjazd o pobyt w Baltimore w ostatnim momencie, aby ów kapitał móc pomnożyć... jeżeli też owe środki, bez względu na ich wysokość, uległy pomniejszeniu nie przez napad rabunkowy, ale konieczność opłacenia pokoju hotelowego - istnieje wysokie prawdopodobieństwo, iż - mając na podorzędziu ofertę ową w pobliskiej Filadelfii, a nie mogąc z wiadomych względów rozmówić się z doktorem Brooksem, Poe wyjechałby prędko właśnie do Filadelfii, by zakończyć opracowanie dzieł poetki zamożnej i pełnej zapału. W przeciwieństwie do tego, co nam objawiają pisma poświęcone trzeźwości, Poe nie „stracił” kilku dni, tylko spędził jedną, a może i kilka nocy w hotelu w Baltimore - przed podróżą pociągiem do Filadelfii. I teraz... mówiąc lekarzowi na łożu śmierci, iż nie wie, skąd się wziął tutaj, nie ma na myśli bynajmniej przybycia swego z Richmond (bo w tym wypadku powód przyjazdu byłby dlań oczywisty), ale - drugi przyjazd tutaj, do Baltimore. Podróż powrotną, w czas nieokreślony, przynajmniej jednak w wieczór, który poprzedzał zamroczenie jego u Ryana, lub też choć kilka godzin przed ową sytuacją, w zamroczeniu wynikłym z wycieczki do Filadelfii.

- Lecz pan wskazałeś przecież - przypomniałem Duponte'owi - po lekturze dogłębnej utworów owej pani oraz wierszy na temat jego śmierci, iż Poe w istocie nie zredagował rzeczonego woluminu, pani Loud zaś go nie spotkała w Filadelfii w okresie tuż przed jego zgonem... Zwrócił mi pan uwagę, że to zaledwie pierwszy z dwu dokumentów tego dowodzących. Teraz nagle mówi pan o wyprawie do Filadelfii. Czyżbyś pan zmienił zdanie?

Detektyw uniósł palec wskazujący.

- Ostrożnie: nigdy nie sugerowałem przybycia do Filadelfii.

- Nie mylisz się pan, twierdząc, iż w przeszłości mówiłem, że Poe w Filadelfii się nie zjawił, jeśliby się opierać li tylko na świadectwie lirycznym madame St. Leon Loud. Lecz, jak ufam, zaraz wspomnisz, Poe kazał Muddy listy do siebie, do Filadelfii, opatrywać pseudonimem „E. S. T. Grey”. Niech pan będzie łaskaw wydobyć ze swych zbiorów instrukcje owe, monsieur Clark.

Tak uczyniłem, tam zaś stało: „Odpowiedzi niezwłoczne upraszam kierować do

Filadelfii. Na wypadek wszelki, aby list do mnie dotarł, nie podpisując się nazwiskiem i kierując je do «Wielmożnego E. S. T. Greya»”.

Po chwili zadumy odłożyłem kartkę.

- Monsieur, czyżbyś zdołał znaleźć klucz do tak osobliwego szyfru?

- Szyfr! Osobliwość! Ci nie pojmą jedynie, którzy patrzą bezrozumnie, i stąd wynika pogląd, iż mają do czynienia z wielką zawilnością!

Duponte otworzył wniesiony przez portiera kufer. Wypełniały go po brzegi najrozmaitsze gazety.

- Zanim cię tu odnalazłem, monsieur Clark, wstąpiłem do „Glen Elizy”. Służąca twoja, Daphne, istota świetnego charakteru i inteligencji, uprzejmie mi zezwoliła zabrać znaczną część kolekcji codziennych czasopism, które przez minione miesiące leżały nietknięte w twojej bibliotece. W istocie ośmieliła się dodać, abym ci poradził pozbyć się owych papierów, bo uniemożliwiają utrzymanie porządku pod twym dachem. Proszę - tu na mnie spojrzal - wyjaśnij mi łaskawie zagadkę wskazówek udzielonych przez pisarza ukochanej Muddy.

Raz jeszcze tekst ów odczytałem w ciszy. „Na wypadek wszelki, aby list dotarł do mnie...”.

- Po pierwsze, obawiał się z jakiegoś powodu, iż pisma nie dostanie...

- Zaiste.

- Poza tym sposób wynajduje dosyć zmyślny, w nadziei, iż mu się uda temu przeciwdziałać. Przybierając fałszywe nazwisko naturalnie.

- Niejeden by na to stwierdził, iż Poe był obłąkany, prawda?

- Lecz pan się z tym nie zgadzasz...?

- Twierdzenie takie byłoby krokiem wstecz, mój drogi! Wszystko się bowiem okazuje znacznie mniej racjonalne i mniej przewidywalne, niżby należało sądzić po pozorach, dlatego też człowiek myślący uzna je za oczywiste właśnie. Monsieur Poe, ośmielę się przypomnieć, to okaz niezwykle, decyzje jego wydają się tak irracjonalne, bo w samej rzeczy są w najwyższym stopniu rozumowe. Pamiętajmy więc, gdzie się wybiera, kiedy pisze te słowa jesienią roku 1849, i pamiętajmy również okoliczności, w jakich teściowa odbiera owe listy.

- No tak... To bułka z masłem. Poe w chwili pisania planuje się wyprawić do

Filadelfii przed swą dalszą podróżą do Nowego Jorku, skąd zamierza wziąć Muddy z powrotem do Richmond, gdzie z kolei chce się żenić z Elmirą Shelton. Jak jednak powiedziałem, rzecz jest nader prosta.

- A wobec tego nietrudno zrozumieć, skąd owe osobliwe instrukcje. Wszak mi pan nadmieniałeś miasta liczne, gdzie Poe zamieszkiwał już w wieku dojrzałym.

- Z Baltimore przeprowadził się do Richmond, z Sissy oraz Muddy, i tam przebywał przez lat kilka. Później przeniósł się do Filadelfii na mniej więcej sześć lat. Wreszcie, w ostatnim okresie życia, mieszkał z Muddy w Nowym Jorku.

- Otóż właśnie! Dlatego, pan rozumiesz, Muddy miała doń pisać „Wielmożny E.S.T. Grey”!

Spojrzałem na Duponte’a z niepewnością.

- Nic nie rozumiem!

- Czemuż to, monsieur Clark, nie chcesz dostrzec prawdy w rzeczach prostych? Na szczęście dla mnie wielokrotnie podczas mego pobytu w Ameryce opisywałeś mi precyzyjnie i dokładnie, jak działa tutejsza poczta. W roku, o który nam idzie, czyli 1849, o ile właściwie cię rozumiem, listów w twoim kraju nigdy nie dostarczano pod wskazany adres, do drzwi, lecz jedynie do urzędu pocztowego w danym mieście, skąd adresat sam miał odbierać korespondencję. Jeżeli w roku czterdziestym dziewiątym pismo jakieś jest adresowane do Edgara Poe w Nowym Jorku, adresat się po nie zgłasza, koniec, kropka. Gdyby zatem list do niego, do Filadelfii, opatrzono mianem „Edgar A. Poe”, no to się zastanów, co by z tego wyszło... Wszak wówczas urząd pocztowy, sprawdzwszy spis nazwisk osób ostatnio zamieszkałych w mieście, z pewnością przekazałby list ów tam, gdzie dana osoba przebywa w danej chwili. Krótko rzecz nazywając, list od Muddy z Nowego Jorku do Filadelfii opatrzony nazwiskiem „Edgar A. Poe” - natychmiast po otrzymaniu byłby uznany za pomyłkę i niezwłocznie odesłany z powrotem do Nowego Jorku!

- Naturalnie! Duponte prawil dalej:

- Muddy zaś, jako była mieszkanka Filadelfii, z pewnością by to pojęła, tak że dla niej (niby tak przedziwne) wskazówki Poego nie okazałyby się niczym nienormalnym. Lęk zatem Poego, iż list doń żaden od Muddy by nie dotarł, jest ze wszech miar uzasadniony. Gdyby Edgar Poe ujawnił się w urzędzie pocztowym Filadelfii pod

prawdziwym nazwiskiem, zapewne nic by go tam nie czekało, każdy bowiem list na jego nazwisko byłby odesłany... Przybierając jednakże nazwisko zmyślane, co naprzód był ustalił ze swą adresatką, miał pewność, iż odpowiedź od niej otrzyma na sto procent.

- Co zaś pan powiesz o wskazówce jego, by Muddy nie podpisywała swej korespondencji?

- Poe był człowiekiem niespokojnym. Muddy to najostatniejsze z ogniw wiążących go z rodziną. „Odpisz mi niezwłocznie” - powiada. Otrzymanie pisma tego jest dlań sprawą zasadniczą, i tutaj wykazuje pewną przesadę w swojej trosce... Znów nie mamy do czynienia z logiką, lecz z nadmiernym racjonalizmem. Poe wie, iż podczas składania listu oraz zaklejania można pomylić sygnaturę, jak i adresata. Gdyby pomyłka taka miała nastąpić, monsieur, i urząd główny w Filadelfii uznałby, iż list jest kierowany do Marii Clemm, nie zaś przez nią sygnowany, to wtedy wieść ta również zostałaby wrócona do Nowego Jorku. Wiesz pan aż nadto dobrze, że sporadycznej przecież własnej korespondencji z autorem, iż ogromnie się lękał, czy aby pismo jakieś nie zaginie, czy też trafi pod zły adres. Jeśli mnie pamięć nie myli, to odnosząc się do człowieka, od którego odpowiedzi nigdy doń nie nadeszły, Edgar Poe zauważył, że pewnie listy opatrzył złym adresem przez niedbalstwo. Z historii geniusza pamiętamy, jak listy jego w młodości nigdy nie dotarły do Elmiry, inny zaś związek, z kuzynką Elizabeth Herring, został zakłócony przez Henry Herringa, który przechwytywał przesyłki z jego poezją. Doprawdy cały ów chaos pocztowej korespondencji stał się głównym tematem jednej z najbliyskotliwszych opowieści Poego na temat racjomaginacji oraz analizy... Wiesz pan doskonale, o czym mówię... Wciąż jednak mamy kwestię przydomku „E.S.T. Grey”. Nieważne, jakie to imię, byleby nie brzmiało ono Edgar Poe, no i - by nie było pospolite, jak George Smith czy Thomas Jones, bo wówczas list przez pomyłkę mógłby trafić do innego adresata. Tak więc, monsieur, Poe domaga się, aby Muddy opatrzyła pismo dwoma inicjałami na dodatek; chce mieć absolutną pewność, iż list trafi w jego ręce. Tak, skąd jednak, spytasz, akurat takie miano? Otóż w ostatnich numerach (pod swą redakcją) „Broadway Journal” Poe dwukrotnie zamieszcza ogłoszenie z prośbą o wsparcie materialne owej podupadającej publikacji. Uprasza tam ponadto, aby korespondencję wszelką do biura periodyku opatrywać mianem „E.S.T. Grey”. Być może nie chce, by ktoś inny wiedział, ile grosza zbierze... Niemniej, zwracając się cztery lata

później do Muddy, wciąż żywi nadzieję, iż pokieruje własnym piórem, które się teraz zowie „Stylus”... i pewnie już odruchowo używa poprzedniego *nom de plume*. Znaki owego przydomka: „E.S.T.G.”, to dlań jedynie skojarzenia przeszłych marzeń z przyszłością; nam się one jawią szyframi nie nasyconymi większym znaczeniem. Tajemnica owej instrukcji, której artysta udzielił teściowej, jest już wobec powyższego niegodna uwagi z naszej strony - tu detektyw z pewną satysfakcją odłożył do kufra papiery na ten temat.

- Tyle że... - urwałem, widząc błysk w jego oku.

- Słucham.

- Czyś pan mi raz nie powiedział, monsieur Duponte, iż tutaj mielibyśmy drugi dowód pewny, iż Poe nie dotarł do Filadelfii...?

- Owszem, monsieur Clark. Pamiętasz, że któryś ze znalezionych przez ciebie nekrologów wzięty był z „Public Ledger” z Filadelfii? Sądzę, że go teraz nawet wyciągnąłem z twoich zbiorów.

Rzeczony nekrolog pochodził z numeru „Public Ledger” opatrzonego datą dziewiąty października 1849 roku, czyli - dwa dni po śmierci Poego w Baltimore. Ów egzemplarz gazety natychmiast podałem Duponte’owi.

On mi zaś pismo oddał.

- Nie rozumiem!

- No jakże, wszak to ów dziennik, któregoś pan potrzebował, monsieur Duponte!

- Ależ o nic takiego nie prosiłem! Wskazałem tylko, iż pismo znajduje się w kufrze. Proszę je tam włożyć, monsieur, dobrze? Ów nekrolog bowiem równie jak inne jest bałamutny. Z pewnością jednak pamiętasz, jak prosiłem zaraz po przybyciu naszym tu, do miasta, abyś pan zdobywał wydania wszystkie gazet z tygodnia przed, jak również po publikacji konkretnego artykułu.

- Oczywiście!

- I właśnie teksty poprzedzające ów nekrolog powinny wzbudzić twą ciekawość. Gdy już je odszukasz, wspomnij słowa artysty adresowane do Muddy, aby mu odpisała „niezwłocznie” na jego list. W tej samej nocy podkreśla, niby na wszelki wypadek: „Nie zapomnij pisać zaraz do Filadelfii, abym list twój tam zastał natychmiast po przyjeździe”. Nie wierzę, by ona chciała zlekceważyć taką prośbę...

Z kufra dobyteł wszystkie, jakie tam spoczywały, numery „Public Ledger” z Filadelfii. Duponte zaś mi polecił otworzyć gazetę z datą trzeciego października 1849 roku - kiedy Edgara znaleziono w Baltimore w gospodzie. Następnie wskazał rubrykę pocztową na ostatniej stronie: miejsce, gdzie naczelnik poczty podaje nazwiska osób, które powinny się zgłosić po swą korespondencję. I tam, wypisane drobnym drukiem pośród licznych imion, znalazłem niespodzianie:

GREY, E.S.F.

W numerze z dnia kolejnego znalazłem to samo nazwisko powtórzone.

- On to z pewnością! - rzekłem.

- Naturalnie. Choć, zdaje się, inicjał „T” ktoś zmienił na „F”. Zapewne Muddy się tu omyliła lub też urząd pocztowy w Filadelfii... A może redakcja czasopisma „T” naczelnika poczty wzięła za „F” właśnie... Poe miał zwyczaj pisać dość zamasyście, o czym pan wiesz wszak doskonale. Przebranie Poego, że tak powiem, zmieniono mu więc po drodze jeszcze... Niemniej możesz być pewny: to list ów od Muddy do Poego kierowany, a dotarł do Filadelfii zgodnie z przewidywaniem pisarza natychmiast po tym, jak Muddy pismo odeń otrzymała z osiemnastego września.

- A „Ledger” dwa dni z rzędu informuje o liście.

- Rzecz to, monsieur Clark, osobliwa, o ile słusznie pojmuję przepisy tutejszej poczty.

- Istotnie... Za pierwszym razem, gdy list trzeba anonsować w prasie, wymaga się dodatkowej opłaty za przesyłkę w wysokości dwu centów. Natomiast kiedy się to dzieje po raz drugi i ostatni, wówczas należy uiścić dwa centy ponownie. Później zaś pismo owo ulega „przepadkowi”.

- Dzień trzeciego października, kiedy list po raz pierwszy ogłoszony został w periodyku, to zarazem dzień ostatni, gdy Poe miałby okazję wyjść ze szpitala - stwierdził Duponte w zadumie. - I wtedy my razem mogliśmy, jakby nigdy nic, wybrać się na pocztę i podając się za wielmożnego E.S.T. (lub też F.) Greya, odebrać korespondencję jemu przeznaczoną.

- Wysoce prawdopodobne, że był to ostatni list napisany do Poego - rzekłem w

melancholii, spoglądając raz jeszcze na nazwisko adresata, z myślą, jakie to deprymujące, iż ów nieznaną list przepadł i pewnie go nawet nie podpisała ostatnia życzliwa mu osoba...

- O, tak - przytaknął Duponte.

- Szkoda, że nie dane było mi go ujrzeć.

- Lecz na nic by to się zdało w naszej sprawie. Zapis gazetowy bowiem wskazuje, że przez ten czas Poe nie przebywał w Filadelfii. Pamiętaj, jak się domagał, by Muddy odpisała tak, żeby list tam dotarł w dzień jego przybycia... Gdyby więc tak się stało, nie ma podstaw wątpić, iżby się tam udał zaraz z gorejącym sercem.

- Stąd mamy powód sądzić, iż Poe do Filadelfii nie dojechał - kontynuował Duponte. - Ale też powodów mamy wiele, by przypuszczać, że się starał i był bliski celu.

- Cóż jednak się wydarzyło, jeżeli tam nie dotarł mimo starań?

- Pamięta pan, cośmy stwierdzili w kwestii jego pijaństwa?

- Tak. Że nie był uzależniony, lecz próg tolerancji na alkohol miał znacznie obniżony w porównaniu z przeciętną. Fakt, iż pod wpływem zaledwie jednego kieliszka zmieniał się diametralnie, jeśli chodzi o usposobienie, nie wskazuje absolutnie, że miał nawyk picia regularny, ale coś przeciwnego: że się odznaczał wrażliwością rzadko spotykaną. Podało to stanowczo zbyt wiele osób - nie powiązanych z sobą w żaden sposób - abyśmy mieli nagle uznać, iż to jest wyłącznie wyraz ich przyjaznych uczuć wobec pisarza. Jeden kielich, jak wiemy, już mógł go przyprawić o stan nieprzytomności, skłaniając tym samym do zachowań niekontrolowanych. Czy coś takiego zdarzyłoby się przed jego przyjazdem do Filadelfii? - zasugerowałem.

- Zaraz się przekonamy. Oto na podstawie wszelkich dostępnych źródeł zdołaliśmy ustalić, iż Poe najprawdopodobniej wybierał się do Filadelfii, lecz mimo wszystko tam nie dotarł. Pytanie, wobec tego, jak wraca Poe do Baltimore. Baron, jeśliby w swoich poszukiwaniach dotarł aż do tego punktu, zapewne wysunąłby przypuszczenie, że gdy już się autor znajdował w wagonie kolejowym do Filadelfii - hultaj jakiś z pobudek niepojętych a złośliwych nakłonił go, ażeby innym pociągiem wrócił do Baltimore, gdzie następnie został znaleziony. Baron miał naturę romantyka, pewnie mi pan rację przyznasz. Wszak to jest pozbawione sensu, żeby jakiś napastnik

wsadzał go z powrotem na pociąg do twego miasta.

Możliwe jednak, iż to uczynił ktoś inny, pozbawiony złych intencji. W istocie z rozmaitych przyczyn czyni tak co dnia niemal każdy konduktor, gdy się ktoś wśród pasażerów zachowa wbrew przepisom, niestosownie, kiedy zachoruje, wsiądzie bez ważnego biletu i tak dalej, i dalej. O wiele prawdopodobniejsze widzi mi się spotkanie w pociągu człowieka, który mieszkał zarówno w punkcie wyjściowym, czyli w Baltimore, jak i docelowym, a więc w Filadelfii... Znajomego, który najzwyczajniej jedzie tą samą trasą.

Domysł to jedynie dla nas, zechcesz mnie pan upomnieć, no ale czasem prócz domysłów, monsieur Clark, nic więcej nie pozostaje, gdy chce się fakty wiązać. Domysł, zazwyczaj traktowany jako rzecz podrzędna, stanowi doprawdy jedną z największych zdolności ludzkiego umysłu, jest sztuką znacznie ciekawszą i inspirującą niż rozumowanie czy też demonstracja, przychodzi bowiem bezpośrednio z wyobraźni.

I cóż, wyobraźmy sobie, iż Poe nie wroga napotyka, ale znajomego, a człowiek ów, który go jedynie poznał, zna, ale niezbyt blisko, proponuje mu drinka w czasie podróży, w pociągu lub na jakiejś stacji przy postoju. Możemy sobie przedstawić, jak Poe, w nadziei być może zdobycia kolejnych funduszy na swe szczytne cele, przystaje na propozycję wspólnego wychylenia jednego kielicha... Wszak potencjalny jego dobroczyńca nie wie o jego kłopotach wywoływanych spożyciem alkoholu. Może zatem być kolegą ze szkolnej ławy, lub lepiej powiedzmy, z West Point, bo byli żołnierze są rozproszeni po różnych stanach... A może to ktoś z college'u, może już gdzieś się natknęliśmy na nazwisko takie...

- Z. Collins Lee! - wykrzyknąłem. - Chodził z Edgarem do jednego college'u, a obecnie działa jako adwokat okręgowy, poza tym on jako czwarty zjawił się na pogrzebie.

- Monsieur Lee, któregośmy pominęli zajęci pozostałymi trzema, będąc gościem ceremonii pożegnalnej, stanowi rzeczywiście opcję godną rozważenia. Pomyśl pan. Oprócz Spence'a, przedsiębiorcy pogrzebowego, grabarza i duchownego, obecnych tam było dokładnie czterech żałobników.

- Tak właśnie... Doktor Snodgrass, Neilson Poe, Henry Herring i Z. Collins Lee. Nikt więcej.

- A teraz się pan zastanów, co łączy pierwszych trzech, monsieur Clark.

Znajomość z Edgarem Poe - rzecz to oczywista. To jednak by dotyczyło wielu mieszkańców Baltimore, z pewnością nie tylko tych czterech, autor bowiem dość długo tutaj zamieszkiwał. Dawni nauczyciele, kochanki, przyjaciele oraz krewni... Nie. Dla nas istotniejsze znacznie, iż każdy z rzeczony trójki w ten czy inny sposób pojawił się u kresu drogi poety na tym świecie. Monsieur Herring przebywał w gospodzie u Ryana, gdzie Poego znaleziono i gdzie potem wezwano na pomoc doktora Snodgrassa, Neilson Poe zaś odwiedził szpital, gdy mu wieść przekazano o stanie zdrowia kuzyna. Pogrzebu nikt naprzód nie ogłaszał w prasie ani też gdzie indziej, a z całą pewnością nasza trójka bez trudu mogłaby powiadomić znacznie więcej osób. Gdyby chcieli tylko, naturalnie.

Czy zatem nie jest wysoce prawdopodobne, gdy się przyjrzymy wymienionej trójce, że Z. Collins Lee tak samo spotkał się z pisarzem na krótko przed jego śmiercią? Lee to człowiek zamożny i mógł też kolejną akurat się przemieszczać wtedy, wspomniawszy zaś lata młode, gdy wspólnie do college'u uczęszczali, mógł Poemu toast zaproponować dla uczczenia szaleństw dawnych. Poe natomiast, wiedząc, iż monsieur Lee to osobnik w sferze prawa mocno ustawiony, mógł starać się go słowem serdecznym nakłaniać do wsparcia magazynu. A jeśli tak, to mamy natychmiast wytłumaczenie aż dwu faktów: nie tylko incydentu w pociągu, ale też obecności monsieur Lee na ceremonii pogrzebowej, o której było wiadomo tak niewielu ludziom. Wróćmy jednak do spotkania. Poe ulega zamroczeniu, jak to pan nazywasz, ledwie po jednym kieliszku alkoholu. Synowie Wstrzemięźliwości z Richmond, do których należał monsieur Benson, długo - dla własnych interesów - nie chcieli zakończyć swego dochodzenia. Dla nich wygodniej było twierdzić, iż Poe nie kroplę wypił, ale całą beczkę. Stąd też wydało ci się, że monsieur Benson coś ukrywa, prawda? Nic zatem dziwnego, że tak prędko po śmierci Poego, zjawiwszy się w Baltimore - wykrył ów incydent drobny.

- Zaczekaj! Co się tyczy alkoholu w pociągu spożytego... Czyż ów znajomy - spytałem w oburzeniu - Z. Collins Lee lub ktoś nam nie znany całkiem, nie zajął się artystą, gdy tego choroba zmoęła?

- Nietrudno sobie przedstawić, iż jeśli ów znajomy nie ma pojęcia o szczególnym reagowaniu poety na alkohol i jeżeli Poe, skłopotany swoją przypadłością, stara się jak może ukryć psychiczny oraz fizyczny rozpad, to wtedy tamten odchodzi w swoją stronę, nieświadom, iż bez opieki zostawia człowieka pogubionego. Poe może czuć się

porzucony, gdy tamten nawet nic nie podejrzewa... Osoba pokroju Z. Collinsa Lee, wziętego prawnika, odkryje to ze znacznym opóźnieniem, spotkawszy kolegę po fachu, Neilsona Poe, któremu wspomina wówczas o wiadomej sytuacji. Przypomnij sobie, co poeta mówi, gdy mu doktor Moran w szpitalu na pociechę obiecuje przyjaciół sprowadzić: „Najlepsze, co mógłby mi przyjaciel bliski ofiarować, to strzał jeden celny z rewolweru, a w łeb prosto!”.

- W samej rzeczy! Przyjaciel, sądzić zdaje się poeta w godzinie ostatniej, może mu jedynie krzywdę sprawić, monsieur Clark! A skądże to wynika?... Poe wyprawia się odszukać Brooksa, tymczasem zostaje bezdomny. W pociągu spotyka znajomego z dawnych czasów, by... poczuć się w obowiązku ulec niebezpiecznej pokusie. U Ryana będąc, wspomina przyjaciela swego, doktora Snodgrassa, który nań patrzy z niechęcią i oskarża o straszny występki. Bliski zaś jego krewny, Henry Herring, owszem, jest przy nim u Ryana, lecz zamiast go zabrać pod swój dach, wysyła go samotnie do podupadłego szpitala.

Czyżby, spytać na marginesie powinniśmy orędowników wstrzeźliwości, Poe przywołał akurat Snodgrassa, gdyby się faktycznie wdał wówczas w pijaństwo? Zaprzeczyć się nie da, oczywiście, iż monsieur Poe nie krył, że mu się zdarzało spożywać alkohol w ilości nadmiernej, ale też regularnie usiłował skłoność tę w sobie zmieniać. I przez to też właśnie da się odpowiednio zinterpretować wzmiankę jego na temat doktora Snodgrassa poczynioną w rozmowie z monsieur Walkerem u Ryana - możemy ową wypowiedź odczytać należycie. Wszak gdyby się nurzał Poe w występku, gdyby przysięgę łamał, najostatniejszą osobą, o której by chciał mówić, byłby główny działacz miejscowego ruchu na rzecz wstrzeźliwości, czyli Snodgrass. Co więcej - Poe mógł posłyszeć z konwersacji jakiejś wówczas, że monsieur Walker działa w porozumieniu z dziennikiem „Sun”, co go natychmiast czyni świadkiem sytuacji niestosownej. I dalej... Gdyby Poe czytał coś z ostatnich doniesień prasowych, wiedziałby, iż Snodgrass ledwie w dzień poprzedni zmuszony wyprzeć się kandydata swej organizacji, Johna Watchmana, postara się, jak każdy polityk, skompensować tamto wydarzenie. Lecz nie; Poe imię Snodgrassa podał Walkerowi niby komunikat, zamiast mu rzecz przedstawić w sposób obszerny, tak mniej więcej: „Ja nie piję, w istocie zachowuję taką niemal abstynencją, iż człowiek, którego pomocy szukam teraz,

to zaciekły wróg pijaństwa, imię jego zaś nadmienię temu, co z prasą współpracuje”.

Duponte kontynuował:

- Wróćmy znów do pociągu, że tak powiem. Poe zdążył rozstać się ze znajomkiem, który, przypuścimy, pierwszy musiał wysiąść lub się przenieść jedynie do innego wagonu. Zdeprymowanego sobą samym Edgara zauważa wówczas gorliwy konduktor, ustalając, iż ten choruje, a na co, stwierdzić nie sposób. Konduktor ów się domyśla, że Poe zapewne ma w Baltimore jakichś opiekunów - lub też wniosek ów wysnuwa z bełkotliwych fraz poety. I dalej, chcąc się wykazać troskliwością, konduktor na najbliższej stacji umieszcza Poego w pociągu zmierzającym w stronę przeciwną; być może czyni to na przykład w Havre de Grace.

I tak to zdarzenia w szpitalu układać się nam zaczynają w całość. Poe odpowiada lekarzowi, że nie wie, skąd i w jakim celu trafił do Baltimore; fakty owe są dlań niewytłumaczalne, prawda? Bynajmniej nie dlatego, iż niby się pogrążył w długotrwałym pijaństwie. Ani też nie dlatego, że mu ktoś podał narkotyk, jak to wskazuje Baron. Poe odnosi się bowiem do swego drugiego przybycia do miasta, nie wiedząc, w jaki sposób znalazł się w pociągu powrotnym. I oto, monsieur, możemy odparować zarzuty wysuwane przez czasopisma w imię wstrzemięźliwości działające, jak również sugestie Barona, iż Poego porwała jakaś frakcja polityczna.

Jeśli chodzi o prasę, nie miałem już wątpliwości, lecz nie umiając związać tego z argumentem Barona, pytanie na ów temat zadałem Duponte'owi.

- Pamiętasz wniosek Barona, coś go sam zanotował, monsieur? - rzekł detektyw. Przytaknąłem.

- „W polityce wstrętnej utyłani wigowie z Czwartego Okręgu, co swą siedzibą główną uczynili spelunkę naprzeciw zajazdu rzeczonoego u Ryana, w Czujnej Straży, zamknęli autora w piwnicy wśród innych nieszczęśników - włóczęgów, nietutejszych oraz obcych z zagranicy gości. Stąd też wiadomo, czemu Poe, człowiek jednak popularny, nie był przez dni kilka widziany przez nikogo na ulicy” - tak to brzmiało.

- Czy teraz pan pojmujesz przewrotną logikę Barona? W wyniku jego działań dotyczących prasy w Baltimore i innych miastach, jak również przez pojawienie się po śmierci poety licznych artykułów o nim oraz publikacji biograficznych, wizerunek poety zostaje rozpowszechniony pośród ludu i oblicze jego jest już znane, gdy się podejmuje

badania na temat zgonu. Lecz przedtem, gdy Poe żył jeszcze, rozpoznać go mogli jedynie koledzy literaci i zwolennicy zagorzali jego sztuki, którzy większość czasu spędzają raczej w swej pracy, bibliotece lub czytelnicy. Stąd nie powinno dziwić, czemu nikt nie zgłosił zniknięcia Poego z miejsc publicznych na ów okres. Ponadto w Baltimore przebywał z wizytą nie anonsowaną, więc też nikt się go na ulicy spotkać nie spodziewał. Również krewni... Doprawdy, w takich okolicznościach istnienie ludzkie staje się niemal anonimowe. Zapewne się zgodziłeś zechcesz, iż na widok przyjaciela, którego nie oczekujesz wcale w danym miejscu, zadajesz sobie trud pewien, ażeby tożsamość jego określić, i trwa to dłużej znacznie niż w przypadku osoby prawie ci obcej...? Człowiek taki staje się nieznanym na ulicy, stąd łatwiej go zidentyfikować właśnie pośród obcych.

Otóż i częsta omyłka, którą popełniają dziennikarze, monsieur Clark. Przyglądnij się wycinkowi z nowojorskiego „Heralda”, to sam się przekonasz.

Otworzyłem notes na stronicy, gdzie zapisałem planowaną mowę swą przed sądem. Stosowny akapit z artykułu pióra korespondenta tak wyglądał:

„Minionej środy, w dzień wyborów, znaleziony został nieopodal lokalu Okręgu Czwartego w napadzie *mania a potu*, w stanie wstrząsającym. Rozpoznanego przez kilku obywateli, umieszczono w powozie, powieziono do szpitala Washington i tam otoczono opieką jak najlepszą”.

- Widzisz pan błąd, monsieur Clark, prawda? Korespondent z Baltimore stara się za wszelką cenę podać fakty najprawdziwiej. Bo przykładowo jest to prawda, iż Poe umieszczony był w powozie przez osoby trzecie, które mu nie dotrzymały jednak towarzysztwa w drodze. Z drugiej zaś strony wiemy doskonale, iż nie rozpoznał artysty nikt z obywateli. Fakt ów nam podał świadek naoczny, monsieur.

- Czyżbyś miał na myśli pismo Walkera do Snodgrassa znalezione wśród papierów jego w domu?

- Jasne. Wszak Walker pisze: „Dżentelmen pewien, gdy o strój chodzi, raczej marny, u Ryana na okoliczność wyborów Okręgu Czwartego przebywa, nazwiskiem Edgar A. Poe się posługując, w wielkiej niedoli przypuszczalnie” i tak dalej. Dla Walkera Poe jest „pewnym dżentelmenem”; dopiero gdy mu coś na swój temat Poe komunikuje, Walker może Snodgrassa powiadomić, kto jest niedolą dotknięty. Fraza „nazwiskiem

„takim a takim się posługując” wskazuje, iż Walker ma podejrzenia, że nosi całkowicie inne nazwisko! Jak gdyby to był przydomek. Czyż nie powinien ująć tego: „Pan Edgar A. Poe znalazł się w nieszczęściu”?

Na polecenie Dupontego odczytałem dalszy ustęp z tego, co przygotował Baron:

- „Złoczyńcy, jak się zdaje, zamroczili go nasennymi środkami. Natomiast w dniu wyborów powieźli do różnych lokali wyborczych tego miasta. Zmuszając, aby głos oddał na ich kandydatów wszędzie, żeby zaś farsa owa wyglądała autentyczniej - za każdym razem poeta zmuszony był nosić inne przyodzienie. Tak zatem się wyjaśnia, czemu u Ryana wykryty został w stroju nie na swoją miarę, a do tego jeszcze brudnym i podartym. Zbrodniarze jednak pozwolili mu zachować świetną malajkę, tak bowiem był osłabiony, iż nawet oni uznali, że mu się owa laska wielce przyda... Później go znaleziono z laską przy piersi...”.

Słuchając, Dupontego z zadowoleniem stwierdził, że w swej argumentacji, skądinąd dosyć bystrej, Baron stara się uzasadnić obecność Poego w lokalu wyborczym, jak również stan jego przyodziewku - zamiast drogą racjonalną dociekać prawdy na ów temat.

- Bezdomy, w mieście, gdzie rodzina jego żyła kiedyś i gdzie nadal pozostało kilku jego krewnych, a do tego jeszcze odurzony podczas spotkania z Z. Collinsem Lee lub innym swym znajomym, Poe musiał się poczuć głęboko samotny. Szukając schronienia, błąka się w potwornym deszczu, moknie oraz słabnie coraz bardziej, narażony na liczne choroby... Widziałeś pan, jak sędzę, ów strój jego osobliwy, który większość lekceważy przecież. Zwykle gdy człowiek zmoknie, powiada, że koszulę ma „na nic już, w ruinie”. Lecz w wypadku Poego jest to „rujnacja” tymczasowa; wiesz pan, że on zdołał odzienie na suche wymienić, takie oczywiście, co nań nie pasowało. Transakcja, przypuszczać można, nastąpiła gdzieś w pobliżu gospody Ryana. Wniosek się ów nasuwa na podstawie wszelakich drobiazgowych opisów ubrań Poego; z tego, iż nikt nie określa przyodziewku epitetem „mokry”, choć przez wzgląd na aurę tego by należało właśnie się spodziewać. Niezwykła a kosztowna laska - malajka z ukrytą szpadą - nie została przez pisarza sprzedana czy wymieniona na coś innego, bo mimo iż znajdował się w stanie ducha makabrycznym, pamięć mu podszeptęła, że przedmiot ów nie jest jego własnością. Musiał się więc zatroszczyć, by malajkę zwrócono

prawowitemu właścicielowi, doktorowi nazwiskiem Carter, zamieszkałemu w Richmond. Tak więc to nie ze strachu, lecz w poczuciu lojalności wobec przyjaciela Edgar Poe chciał tulić ją do piersi.

W rozważaniach naszych na temat bytności autora w gospodzie docieramy wreszcie do podejrzeń, jakie Baron wysnuł co do przedstawicieli rodu Herringów - George'a oraz Henry'ego. W przeciwieństwie jednak do sądu Barona, trzeba zdarzenia równoległe odróżnić od obiektu prowadzonych przez nas badań. Jak to pan zauważyłeś, relacjonując zeznania doktora Snodgrassa, gdy człowiek ten się zorientował co do kondycji poety, zaraz się na górę udał, żeby mu pokój zapewnić, następnie zaś po krewnych jego posłał, którzy mieszkali w sąsiedztwie. No, ale Henry Herring stał tam już na schodach, zanim został wezwany przez Snodgrassa. Zajęty własnymi problemami, a także w niepokoju o zdrowie Poego, Snodgrass fakt ów zignorował, opowiadając wszystko tobie. My jednak wiemy, jak się rzeczy miały.

George Herring, wuj Henry'ego, okazał się przewodniczącym ugrupowania wigów Czwartego Okręgu, którzy częstokroć w tygodniach poprzedzających wybory korzystali z tawerny jako miejsca swych zgromadzeń; spotkali się tam zresztą raz na dwa dni przed wyborami. Baron suponuje, jakoby w związku z powyższym George Herring też z pewnością się zjawił w ich „fortecy” w dzień wyborczy, gdy znaleziono Poego. I tutaj ma on niewątpliwie słuszość. Ale też później stwierdza, iż Henry i George Herringowie, wiedząc, że Poe uległ zatruciu, postanawiają go „skaperować”, aby głosował na ich korzyść.

- Dziwne mi się wydaje jednak, a wysoce podejrzane, iżby George i Henry mieli się tam zjawić przed wezwaniem krewnych Poego przez Snodgrassa!

- Mamy tu pewną zbieżność, monsieur Clark, fakt przypadkowy w rzeczy samej, który czyni tamto jak najbardziej naturalnym. George Herring przebywa w tym samym miejscu, gdzie odkryto Poego, dlatego, iż jest on wodzem wigów Okręgu Czwartego, gospoda Ryana zaś to lokal wyborczy wigów w owym czasie. Obecność George'a Herringa jest zatem rzeczą normalną. Przyczyną bytności tam pisarza zajmiemy się za sekundę. Henry Herring natomiast z Poem jest spokrewniony poprzez małżeństwo - z kobietą, która zmarła kilka lat temu. Wkrótce po jej odejściu Herring ożenił się ponownie, skutkiem czego, sądzić trzeba, został scharakteryzowany w jednym z listów autora jako

człowiek „bez zasad”. I oto Poe trafia, by tak się wyrazić, równocześnie w trzy miejsca, to jest: do hotelu, tawerny i lokalu wyborczego. Pospołu z wujem dawnego krewnego. Obawiam się, przyjacielu, iż wbrew wskazaniom Barona nie jest to koincydencja.

Lecz idźmy dalej... Oto Baron sugeruje, jakoby George Herring wziął Poego do wyborczej „sitwy”, świadomy jego wrażliwości na używki, choćby i w małej dawce. Wierutna to bzdura! Bo przecież gdyby monsieur George wiedział (co wysoce prawdopodobne), jak może się zachowywać pisarz pod wpływem środków odurzających - żadną miarą by się nie poważył werbować go na swe potrzeby, bo tam niezbędni tacy tylko, co alkohol dobrze znoszą!

Zostawmy jednak te bajki i wróćmy do tak zwanych zbiegów okoliczności. Nic to dziwnego, iż mając - poprzez Henry'ego - wiedzę pewną o Edgarze, George, gdy go ujrzał w stanie opłakanym, musiał po tamtego posłać jak najszybciej. Ze zbieżności bycia pod jednym dachem George'a Herringa i Edgara Poe wynika naturalnie nasz incydent drugi: otóż Henry Herring zawczasu przybywa do gospody.

Jakże to podłe, obmierzłe - co się staje potem? Snodgrass zaproponował, by poetę ulokować w którymś z pokoi dla gości hotelowych. Tymczasem George Herring nie chciał go tam widzieć w tak marnej kondycji, nie mogąc jako przewodniczący wigów narażać się na oskarżenie niegodnego werbowania wyborców, a zatem uczynku, jaki mu przypisał później Baron. Henry niespecjalnie pragnął zapraszać Poego do siebie, mając w pamięci dawne zaloty do Elizabeth. Snodgrass nie wiedział, czy u Ryana zjawił się jeden, czy dwu krewnych poety, co akurat pewne, na własne oczy bowiem widział tam i Henry'ego, i George'a. Poe wobec tego jedzie do szpitala, skąd wieść przekazują Neilsonowi.

- Jeżeli jednak nie ma tu podstępu, skoro Herringowie nic nie uczynili, monsieur Duponte, to czemu Henry i Neilson z taką niechęcią wypowiadali się w owej kwestii...?

- Odpowiedź, monsieur Clark, zawarta jest w twoim pytaniu. Bo nie zrobili nic, to znaczy: nic prawie... Nie chcieli, by się ktoś sprawą zbytnio interesował. Pomyśl, proszę. Wszak George i potem Henry - zjawiwszy się tam jeszcze przed Snodgrassem - nic nie uczynili. Tyle że Poego wysłano bez opieki do szpitala, rzuconego w pozycji niewygodnej na siedzenia. I nawet zapomnieli opłacić woźnicę, co ci wiadomo od doktora Morana, prawda? Przesądzili też o jego losie, uznając, że urznął się nadmiarem

trunku, o czym nie omieszkali powiadomić medyków na piśmie... Tak że - zamiast się zatroszczyć o opiekę dla człowieka schorowanego i wyczerpanego pewnie przeróżnymi dolegliwościami - wyprawili go do szpitala niby opoja zwykłego, pozór oddania ledwie zachowując... Neilson Poe się tam udał, lecz nawet nie spotkał z pacjentem osobiście.

Wszystko to było plamą szkaradną na honorze rodu, zwłaszcza w pojęciu ambitnego Neilsona Poe. Stąd też rodzina, monsieur Clark, pochówek artysty niemal zataiła, tak by się odciąć odeń w jego ostatnich dniach... By nie dać nikomu okazji wspomnienia gorzkich słów Poego pod adresem Henry Herringa i Neilsona Poe. Widać tu stygmat hańby, o czym pisze w swej elegii doktor Snodgrass. W istocie, by wykryć czyjąś motywację, czasem warto się pochylić nad tym, czego zaniechano, monsieur.

- Niemniej - ciągnął Dupont - Baron nie do końca się omylił, postrzegając odkrycie Poego u Ryana w dzień wyborczy jako rzecz nieprzypadkową. Baron znaleźć się stara przyczynę oraz skutek, my zaś szukamy przyczyny wyłącznie. Jak, monsieur, określiłbyś miasto Baltimore w okresie wyborów?

- Cokolwiek nieprzewidywalne - odparłem. - Szalone nawet nieraz, a w pewnych kwartałach również niebezpieczne. Ale czy to ma znaczyć, iż Poego porwano?

- Skądże. Ludzie, jak Baron Dupin, o władnięci pasją gwałtu, mylnie chcą widzieć w przemocy sens, jak również logikę; tymczasem jej brakuje jednego i drugiego. Choć warto by nam było zwrócić też uwagę na skutki drugorzędne, dodatkowe, wynikłe z zakłóceń zewnętrznych. Pomyśl o monsieur Poe. Pogoda nie sprzyjająca wędrówkom po mieście, niemożność zdobycia środków owych z Filadelfii, ogólne osłabienie, konfuzja pod wpływem alkoholu... Wszak Poe został przez to narażony na najgorsze, co zdrowiu zawsze szkodzi, mianowicie na lęk i strach potworny.

A teraz bądź łaskaw wyłożyć na stół lokalne gazety, coś je zebrał krótko po naszym przybyciu tu z Paryża.

* * *

Pierwszy z wybranych przez Dupont'e'a artykułów pochodził z „Sun” opatrzonego datą czwartego października, więc tuż po wyborach. „Obyło się bez zamieszek” - odczytaliśmy. „W lokalach czy gdzie indziej nikt nie zakłócał spokoju”.

Otóż kolejny wycinek z tego samego dnia:

„Wczoraj popołudniową porą jegomość upojony alkoholem ponad wszelką miarę - objąwszy stanowisko przy wejściu na plac targowy Lexington, przez jakąś godzinę nękał tam przechodniów, którzy jednak na szczęście dla biedaka reagowali nań dobrotliwie lub tylko „zwracali mu uwagę”, nieszkodliwym go postrzegając. Kilku w twarz cios wymierzył, lecz oni mu to wybaczyli, stwierdzając, iż pewnie „zwiedza atrakcje okoliczne”. Później osobnik udał się do tawerny, stamtąd zaś do sędziowskiej kancelarii - by o sprawiedliwość się upomnieć przypuszczalnie”.

I wreszcie taki, rzecz jasna, tyżący także owego popołudnia:

„Napad. W środę o zmierzchu na rogu Lombard i Light Street w powóz z czterema osobami, wśród których się znajdował mechanik z parowca „Columbia” Martin Rudolph - cisnął kamieniem złoczyńca obmierzył, trafiając w głowę pana R., który jednak szczęśliwie, oprócz rany, więcej nie ucierpiał”.

- Wedle pierwszego tekstu - podsumował Dupont - w mieście nikt nie zakłócał spokoju w dzień wyborczy. Gdy oto, jak wskazują inni, faktycznie wyglądało to inaczej. W dziennikach, widzisz monsieur, zwłaszcza najznakomitszych, na ogół się nie dostrzega zawartości innych rubryk, tak że dopiero po lekturze całości periodyku, a nigdy wyjątku zeń jedynie, uznać mamy prawo, że się zapoznaliśmy z aktualnym doniesieniem. Zapewne jakiś policjant dał im znać, iż w mieście nic złego się wtedy nie działo. Policja w Europie zawsze chce przypomnieć przestępcom o swoim istnieniu, natomiast tu, w Ameryce, pragnie, by lud sądził, iż złoczyńców nie ma.

Zbadajmy jednak owe opisane sytuacje. Osobnik hałaśliwy i nieokrzesany rzekomo w twarz grzmocić usiłuje paru przechodzących, a mimo to nie jest przez nikogo strofowany, prawda? Redaktorowi, który za biurkiem zasiada wygodnym, nie przeszkadza ująć sprawy tak, że nikt nie reagował, osobnik ów bowiem zachowywał się „nieszkodliwie”. Lecz proszę mi powiedzieć, czy drab, co cios w twarz prosto funduje, zasługiwałby na miano niegroźnego? Otóż wniosek się tu nasuwa, iż - wzięwszy pod uwagę okoliczność wyborów - zakłócanie spokoju w taki sposób nie zwróciło uwagi ani władz miejskich, ani też mieszkańców. Wykroczeń podobnych owego dnia zdarzyło się tak wiele, że nie mogły wzbudzić większej sensacji. Stąd zaś wniosek dalszy dla nas, monsieur. W dobie wyborów było więcej takich sytuacji, niż to się może zmieścić w głowie wszystkich redaktorów razem wziętych.

Jeśli chodzi o trzeci wyjątek, gdzie opisano okoliczność zaistniałą w pobliżu, jeśli się nie mylę, lokalu wyborczego na rogu Lombard Street i High Street... Przeczytaj pan raz jeszcze wszystko szczegółowo. Kto wie, być może sam Poe, nikt inny, wyczerpany zgiełkiem owego dnia i pogodą, snu choćby chwili nie zaznawszy, zmorzony chorobą, w konsternacji strasznej rzucać zaczął kamieniami w złoczyńców domniemanych czy prawdziwych, łotrów i drani wszelkiej maści, co wylegli wówczas na ulice. Nieistotne doprawdy, celem był on czy celował, czy może absolutnie nic wspólnego nie miał z incydentem. Wiemy natomiast z pewnością, iż owładnięty strachem mógł reagować różnie na szaleństwa spotykane wszędzie owego dnia. Lokal wyborczy, który Baron widzi jako gniazdo zbójców, Poemu, całkiem możliwe, wydał się ostoją normalności... Wszedł tam w nadziei na wsparcie, no ale się przeliczył... Tu koło, monsieur, zataczamy, wiedząc, co się z Poem działo od zejścia na ląd do chwili, gdy Snodgrass „pomocy” mu udzielił.

- A to, co wołał w szpitalu... - przerwałem Duponte'owi. - Mają krzyki owe nam wskazywać, iż Henry Reynolds, cieśla, który przy wyborach służył, gdzie Poego znaleziono, był z nim powiązany czy coś może wiedział?

Duponte'a wyraźnie rozbawiło me pytanie.

- Nie tak pan sądzisz, prawda?

- Nie mam wszak powodu wykluczać takiej ewentualności, jeżeli o to ci chodzi, monsieur Clark. Innym się pewno zdaje, iż przeniknąć umięją niezwykłość umysłu poety - co niepodobieństwem jest nawet dla geniusza. Skoro zaś dokonać tego pragniesz, czytaj jego wiersze oraz opowieści, a stamtąd wydobędziesz osobliwość jego całą; wszystko, co wbrew jego woli, po drodze, że tak powiem, ulega zniekształceniom. Chcąc jednak zgłębić fazy kolejne jego pożegnania z łez padołem, musisz się pogodzić z tym, co w nim jest zwykłe. W nim, w każdym oraz w rzeczach wokół, które geniusz jego zakłócają. Tam właśnie, monsieur Clark, szukać powinienes odpowiedzi.

To, że Poe godzinami przed swym zejściem wołał: „Reynolds”, jest dla nas w samej rzeczy nieistotne, jeśli zgłębić próbujemy, jak on umarł. Poe, czego dowieść nietrudno, nie był wtedy w pełni władz umysłowych. To zaś, że Baron i inni skupiają się na owej przesłance, wskazuje li tylko powszechne niezrozumienie meandrow człowieczej myśli. Poe w osamotnieniu ginie, pamiętajmy. Owszem, może i kogoś wołał.

I może ostatnie z imion, które zasłyszeć zdołał, być może nawet nazwisko owego cieśli, co nas nawiedził w twym salonie... A może też imię człowieka, którego udział w sprawie niebezpiecznej ostatnich lat dla nas tak groźny, że lepiej go nie nadmieniać. Wysoce prawdopodobne jednak, iż ma ono coś wspólnego z okolicznością jego śmierci na tyle odległą, że poznać jej nam nie wolno nigdy, bo Poe zapewne - jak każdy człowiek w potrzasku - myślał, jak się z pułapki wyrwać, a nie - o pułapce samej. Nie o śmierci, co się zbliża, ale o życiu przeszłym.

I teraz pan rozumiesz. Wszystko to, co czynił od przyjazdu tutaj z Richmond, stanowiło ucieczkę jego przed Baltimore - przed bezdomnością. To miasto niegdyś do niego należało, ziemią było jego przodków, miejscem urodzenia żony i uwielbianej teściowej, którą nazwał Muddy, domu tu jednak nie miał więcej...

Dotarłem do domu - co wszak już nie mym domem -
wszystko zeń uleciało, z czego był stworzony.

Duponte widocznie był gotów w zapomnieniu dalsze wersy recytować, ale się powstrzymał.

- Nie, tu nie miał domu. Nie w Baltimore, gdzie nie miał do swych krewnych dosyć zaufania, żeby ich powiadomić o swoim przyjeździe... Ci zaś po śmierci jego poczuli się tak zawstydzeni, że przez milczenie swoje w owej kwestii podejrzenia budzą... I domem nie był Poemu także Nowy Jork, gdzie żonę swą pochował i skąd się wybierał uciec już na zawsze. Ani też nie Richmond, gdzie małżeństwo z ukochaną z lat dziecińczych pozostało tylko w sferze marzeń, a wspomnienia bolesne pożegnania matki i przybranych rodziców nadal powracały, stale... I wreszcie - nie Filadelfia, gdzie swego czasu mieszkał oraz pisał, gdzie został zmuszony się posłużyć obcym nazwiskiem, w obawie, iż doń nie dotrze list od krewnej, która mu ciągle bliska była, gdzie nawet drogą kolejową dotrzeć okazało się niemożliwe.

Tak to się przedstawia mapa ostatecznej tułaczki Poego. Z Richmond chciał jechać do Nowego Jorku, z Baltimore zaś do Filadelfii. Istotne, iż w czterech owych miastach niegdyś zamieszkiwał. Gdyby w jego izbie szpitalnej stanęło i czterech ludzi o nazwisku Reynolds, i tak ów jego Reynolds - człowiek czy złuda tylko - wciąż byłby dlań

odległy, pozostając obiektem jego tęsknot. Mimo to nic nam nie wskazuje, gdy chodzi o okoliczność zgonu poety - już na wieki będzie wyłącznie jego tajemnicą, a zatem niezmiennie stanowi najgłówniejszy i najbardziej zagadkowy szczegół w naszej sprawie.

* * *

Czterdzieści minut później, gdy się okazało, iż drzwi na salę sądową zamknięte są od środka - nastąpiło znowu wielkie poruszenie. Potem ktoś stwierdził, iż mi chyba brakuje piątej klepki, żeby się, wzięwszy pod uwagę sytuację, wymiarowi sprawiedliwości tak narażać. (Dodam, iż sędzia wpadł w gniew z powodu mego postępków). Lecz kiedyśmy usłyszeli łomot w drzwi potworny - rozmowa nasza bynajmniej jeszcze się nie zamknęła. Dopiero po ujawnieniu mi kilku danych dodatkowych Dupont - patrząc w stronę wejścia - zwrócił się do mnie w te słowa:

- Wszystko, cośmy tu rzekli - oświadczył - możesz pan przed sądem zeznać. Nie stracisz ani dóbr swych materialnych, ani też „Glen Elizy” ci nie odbiorą. Prostacy większości faktów i tak pojąć nie zdołają, ale się nie obawiaj, bo im to wystarczy.

- Nie mam na tyle fantazji, by sobie przypisywać te idee, nie jestem też dość przebiegły, by jako odkrycie Barona je przedstawić. Ja muszę, monsieur Dupont, o tobie im powiedzieć, o twoim geniuszu, nie inaczej. Tylko że wtedy tamtym na powrót drogę ku tobie wskażę, a jeśli cię oni wyśledzą...

- Mówić pan możesz, co zapragnie dusza - przerwał mi detektyw, głową znak mi dając, iż w pełni ma świadomość, z czym to się dla niego wiązać może.

- Monsieur Dupont... - zacząłem z wdzięcznością.

Przez szyby widziałem tłum - jak się otwarcia drzwi domaga niecierpliwie. Pewnie mnie widok ten jak gdyby zahipnotyzował, bo gdy nareszcie drzwi zostały uchylone, w morzu ludzi straciłem z oczu Dupont'a. Zbliżywszy się, Peter odciągnął mnie na stronę.

- Któż... ten jegomość z tobą? - spytał. Nie odpowiedziałem.

- To on sam, Auguste Dupont, słusznie myślę? Zaprzeczyłem, acz niezbyt przekonująco.

- Quentin, to przecież on! - rzekł Peter, nie kryjąc entuzjazmu. - A więc ci powiedział! Wszystko, co wiedzieć musisz, aby odsłonić sekret! I żeby się uwolnić od wszelkich zarzutów! Cud! Cud prawdziwy, Quentin!!!

Tu mu przytaknąłem. Gdy mnie prowadzono na miejsce dla świadków, Peter

uśmiechał się szeroko. Sędzia zaś, przeprosiwszy zgromadzonych, iż pauza nastąpiła w przesłuchaniu, udzielił mi nagany za drzwi zamknięcie, jak również zapewnił, że włączęga przed gmachem został rozbrojony, i zwrócił się do mnie znowu, abym podjął swą wypowiedź.

- Nie - wyszeptałem wtedy.

- Co takiego? - zdumiał się sędzia. - Zeznań twych, drogi panie, domagam się kategorycznie! Mów, proszę, co wiesz, natychmiast!

Powstałem. Sędzia aż się zmarszczył z irytacji, publika zaś poczęła szeptać podejrzliwie. Peter przestał się uśmiechać i - czując, co się święci - złapał się za głowę, z zamkniętymi oczami...

Rozglądnałem się za mą stryjeczną babką. Peter niby w szale jakimś zaczął machać na mnie, żebym usiadł z powrotem. Laskę wymierzyłem w jej kierunku.

- Pamięć o rodzicach do mnie tylko należy, podobnie jak „Glen Eliza” i wszelkie zgromadzone w niej dobra. Będę o to walczył, ciociu, choć zapewne przegram. Żyć będę w szczęściu, jeśli to możliwe, a biedny pomrę, skoro muszę. I ani ty, ani pani Blum, ani cała artyleria fortu Henry nie skłoniłaby mnie do poddania. Człowiek imieniem Edgar Poe zmarł w Baltimore swego czasu, dlatego, jak się zdaje, iż marzenia jego przewyższały nasze i myśmy zeń w zawiści korzystali, pozbawiając go wszelkiej siły. Lecz to się już nigdy nie powtórzy - przerwałem, by podjąć jeszcze jedną sprawę. - Prócz tego jutro o zachodzie słońca w dolinie za „Glen Elizą” poślubię pannę Hattie Blum, gdzie zapraszam całe miasto!

Zemdlona padła na podłogę jedna z sióstr Hattie. Hattie, rozradowana - choć ciotka ścisłała ją w ramionach jak w imadle - wyrwawszy się, podbiegła ku mnie. Peter musiał powstrzymać Blumów stosownym wyjaśnieniem.

- Co ty robisz? - szepnęła mi Hattie z niepokojem.

Na sali wzmogła się wrzawa i sędzia usiłował uciszyć publikę.

- Być może dowodzę babce stryjecznej, iż ma słuszność. Rodzina twoja nic nam nie da, ja zaś już jestem zadłużony. Czyż mogłem, Hattie, zrzec się uczuć między nami!?

- Nie. Tyś mi pokazał, że się nie myliłam nigdy. Ojciec twój byłby dziś z ciebie dumny... Godnym potomkiem jesteś swoich zacnych przodków - Hattie ucałowała mnie

w policzek i wrywając się z mych objęć, rodzinę pospieszyła uspokajać.

Peter złapał mnie za rękę.

- Co wyprawiasz?!

- Gdzie on? - zapytałem. - Gdzie się podział Duponte?

- Quentin! Czemuś zwyczajnie nie powtórzył słów tego Francuza? Dlaczego sądowi nie podałeś, co razem odkryliście w owej kwestii?

- A po cóż niby, Peter? By siebie ratować? Nie. Tego się po mnie spodziewają, bo wtedy by mogli uznać, że tak... że mnie na wskroś przejrzeni, no i ja jestem gorszy, bo przecież inny. Lecz ja im, wiedz to, Peter, nie zapewnię tej uciechy. Do diabła dziś z opinią na mój temat! Na razie nikomu nic nie zdradzę, oprócz jednej tylko osoby. Pragnę, by mnie zawsze rozumiała, czuła, jak ongiś... I ona na własne uszy dowie się wszystkiego, Peter!

- Zastanów się, co czynisz, Quentin!

Historią śmierci Poeego nie podzieliłem się z sądem ani dnia owego, ani nigdy później. Nadal zaś wspólnie z Peterem zgłębiałem tajemnicę, by stać się - jak miał on zwyczaj to nazywać - adwokatem niestrudzonym, wyszukując najdrobniejszą niekonsekwencję, najmniejsze niesłuszne pomówienie wobec mej osoby. W końcu też wygraliśmy. Formalnie sąd mnie uznał za człowieka zdrowego na umyśle i mimo że niewielu gotowych było mi to przyznać, nareszcie oni też stwierdzili, iż proces rzecz wykazał niezbicie.

Powszechnie postrzegany jako wielki oryginał, wkrótce zyskałem też rozgłos jako świetny prawnik. Kancelaria prowadzona przeze mnie i Petera uznana została za jedną z najlepszych w Baltimore, jak chodzi o kredyty hipoteczne, długi oraz testamenty.

Wzięliśmy też do pomocy trzeciego wspólnika, z Wirginii, człowieka młodego i równie oddanego pracy, Peter zaś niebawem się ożenił z jego uroczą siostrą.

Chociaż policja nie szukała Edwina Hawkinsa w związku z niesławnym napadem na Hope Slattera - ów handlarz niewolników wyznał podobno skrycie, że bez większego trudu sam go może rozpoznać. Zaledwie jednak parę miesięcy po owym incydencie Slatter stwierdził, iż w Baltimore mu interesy idą coraz gorzej i przeniósł swoją „firmę” do Alabamy, dzięki czemu Edwin mógł bezpiecznie wrócić do Baltimore. Pozbawiony swej dotychczasowej pracy, Edwin zaczął zgłębiać literaturę prawniczą, dorabiając się pozycji pierwszorzędnego urzędnika w naszej kancelarii. Lat sześćdziesiąt skończywszy, sam został adwokatem.

Blisko dziewięć lat po ostatniej wizycie powróciłem do Paryża razem z Hattie oraz córeczką Petera, Annie. Pod rządami Ludwika Napoleona sytuacja zmieniła się znacznie, nikt już nikogo nie szpiegował ani nie donosił, rzecz można: teraz, jako imperium, Francja była o wiele przyjaźniejsza niż jako republika kierowana przez tego samego władcę. Kiedyś, pochodząc z nacji republikańskiej, byłem tam osobą wielce niepożądaną. Obecnie jednak Ludwik Napoleon - cesarz - zdobył upragnioną władzę, nie miał zatem potrzeby dowodzić jej na każdym kroku.

Po konferencji Hieronima Napoleona Bonaparte z nowym imperatorem wszystkim potomkom madame Elizabeth Bonaparte przyznano prawo do nazwiska. Cesarz im

jednak nie udzielił prawa do sukcesji lub też dóbr imperialnych. Gdy umarł wiele lat później, żaden z dwu wnuków madame Bonaparte, młodzieńców powabnych i rośliwych, nie został obrany władcą Francji. Ona zaś wciąż mieszkała w Baltimore i nieraz ją widywano na ulicy w czarnym nakryciu głowy i z czerwoną parasolką... Nawet syna swego, Bo, przeżyła owa świetna dama.

Tymczasem Bonjour zaistniała we francuskim kręgu towarzyskim w Waszyngtonie - otoczona prawie uwielbieniem jako osobowość niezależna i wielce inteligentna. W stanie wdowim w Ameryce wiodło się jej doskonale - była wolna. Madame Bonaparte, która siebie nazywała wdową (choć mąż jej, starszy Hieronim Bonaparte, żył wszak w Europie), przez lata służyła Bonjour radą swą i doświadczeniem w kwestii różnych intryg romantycznych, lecz ta na ogół nie brała pod uwagę jej wskazówek. Nawet znalazłszy się w tarapatkach finansowych, Bonjour nie chciała wyjść za mąż po raz drugi. Dzięki grupie osób, z którymi ją zapoznał monsieur Montor, niebawem weszła w świat teatru, zdobywając pewną popularność występami aktorskimi w kilku miastach Ameryki i Anglii. Potem zaś poświęciła się pisaniu lekkich powieści.

Pamiętnego dnia w sądzie widziałem Auguste Duponte'a po raz ostatni. Prócz tego, co już wspominałem, padło między nami słów niewiele. Na sali niespodziewanie coś mnie tknęło, iż nie zobaczymy się nigdy więcej. Gdy tłum się uspokoił, wybiegłem w pośpiechu. Duponte opuszczał gmach sądu. Trudno mi było bardzo zebrać myśli...

- Poe - rzekłem. - To Poe...

Chciałem na pożegnanie powiedzieć coś istotnego, lecz teraz, patrząc mu w oczy, nie mogłem nic wymyślić. List mi się przypomniał tak długo wyczekiwany od Poego, z Richmond, list, który mógłby wskazać, iż poeta planował spotkanie ze mną w Baltimore... Lecz mimo że pismo owo nie nadeszło nigdy - ja owego ranka tak się chyba czułem, jakby to się właśnie stało.

Duponte zaś stał na schodach, zapatrzony na Monument Square, na roześmianą jakąś parę oraz starego niewolnika ze źrebięciem... Peter i kilku jeszcze adwokatów wołali za mną z sali... I wtedy Duponte - jak dziś to pamiętam... Duponte, usta ściągając w grymasie, jaki odmalował kiedyś portrecista, w uśmiechu figlarniej satysfakcji swym geniuszem, w ułamku sekundy poszedł w swoją stronę, rozwiął się w powietrzu.

Bez przerwy go później poszukiwałem, licząc na wzmiankę o nim w prasie - licząc, że, pod nazwiskiem przybranym naturalnie, zauważony gdzieś został w odległym zakątku globu.

Czasem mi się zdawało, że jest blisko, choć nigdy mi się nie objawił i o ile wiem też, nigdy do Ameryki więcej nie powrócił. Zdarzały się takie chwile, gdy już byłem pewien, iż mnie wesprzeć przyjdzie w tęsknocie i melancholii, podczas choroby niespodzianej Hattie, a i w tych miesiącach, kiedy Peter (w wojnie będąc generałem) nie dawał znaku życia...

Latami, wiecznie, ciągle Duponte'a oczekiwałem. Chciałem mu opowiedzieć o sobie, o Edgarze; czekałem, aż zagadka artysty wyjaśni się nareszcie; wypatrywałem dnia, gdy inni dostrzegą geniusz w nim, jak ja dostrzegłem. Historię o nim drobiazgowo zapisałem w swych notesach. Notesach, bo jeden nie wystarczył, by pomieścić coraz nowe szczegóły i domysły... Czekając tak niestrudzenie i wciąż niecierpliwie.

Nieraz, gdy malajkę ulubioną biorę w dłonie, uśmiecham się do siebie na myśl, jak to Edgar, w stroju wykwintnym przybywając do mego miasta, czuł się z nią bezpiecznie, pewnie...

Hattie pragnęła się dowiedzieć wszystkiego o detektywie. Do tego stopnia była nim zafrapowana, że nawet ciotce zazdrościła owych krótkich z nim spotkań. Pani Blum jednak i w podeszłym wieku nie godziła się choćby wspominać nazwiska Duponte w rozmowie. Wypytywany przez Hattie, co sądzę o jego usposobieniu, charakterze - słów odpowiednich dobrać nie umiałem. Ów wizerunek Duponte'a sprzed lat wielu nadal miałem w domu, lecz - tak niby idealny kiedyś, perfekcyjny - teraz mi się zdawał li tylko marną repliką. W pamięci w każdym razie wizję detektywa zachowałem znacznie wyrazistszą.

Konterfekt pozostał jednak u mnie, w bibliotece „Glen Elizy”, tam gdzie Duponte pozował. Gdy goście moi nieraz podziw wyrażali nad osobą tak wybitną, Hattie jak gdyby zmieniała bieg owych rozważań:

- Tyś tego też dokonał, Quentinie, mój kochany. Widząc zaś w mych oczach wyrzut, upominała czule:

- Ależ tak, ty oczywiście.

Przekład dedykuję Markowi Schulze Steinen

P. Ł.

Od autora

Edgar Allan Poe zmarł, mając lat czterdzieści, w szpitalu w Baltimore, siódmego października 1849 roku, znaleziony cztery dni wcześniej w stanie wyczerpania w zajezdzie Ryana. Dwudziestego szóstego lub dwudziestego siódmego września wybrał się parowcem z Richmond w stanie Wirginia do Nowego Jorku, planując po drodze odwiedzić Filadelfię, gdzie miał się zająć redakcją tomu wierszy autorstwa Marguerite St. Leon Loud. Teściową, Marię Clemm, poprosił, by listy doń pisane odsyłała do Filadelfii opatrzone pseudonimem „E.S.T. Grey”. Z tego, co wiadomo jednak, Poe nie dotarł do Filadelfii ani nie wrócił też do domu w Nowym Jorku, tylko się udał z niezapowiedzianą, a ostatnią w życiu wizytą do Baltimore. Dotychczas nie zdołano ustalić, gdzie przebywał przez kolejnych pięć dni, czyli od przyjazdu aż do pojawienia się w gospodzie w dzień wyborów. Fakt ten stanowi jedną z najbardziej frapujących, wciąż nie zgłębionych zagadek historii literatury nowożytnej.

Skromną uroczystość pogrzebową odprawił wielebny William T. D. Clemm na cmentarzu prezbiteriańskim Westminster ósmego października. Zjawilo się czterech żałobników: spokrewnieni z pisarzem Neilson Poe i Henry Herring, znajomy doktor Joseph Snodgrass i kolega ze szkolnej ławy - Z. Collins Lee. Doniesienia o okolicznościach oraz przyczynie śmierci Poego były mgliste i sprzeczne, niczego też nie wniósł opublikowany przez Rufusa Griswolda artykuł, w którym roiło się od przekłamań i wręcz zmyślonych cytatów. Na przestrzeni lat pojawiały się coraz to nowe plotki i hipotezy, przedstawiane zarówno przez bliskich, jak i obcych autorowi.

Powieść *Cień Poego* zawiera najbardziej autentyczne z danych na ten temat, a także nigdy nie ogłaszane drukiem odkrycia najświeższe. Podane tu wszelkie domysły oraz próba analizy zdarzeń oparte zostały na źródłach historycznych i sprawdzonym materiale dowodowym, zaczerpniętym z różnego rodzaju archiwów w sześciu stanach. Wiedzę o śmierci poety poszerzam o nie znane wcześniej następujące szczegóły: pożar na posesji N. C. Brooksa, który wybuchł w czasie pobytu Poego w Baltimore, kiedy się wybierał do domu doktora¹; fakt, iż George Herring przewodniczył wigom Okręgu Czwartego oraz że był u Ryana w okresie wyborczym, jak również przypuszczalna zbieżność tego z niejasną dotąd wizytą Henry'ego Herringa w gospodzie trzeciego

października. I dalej: wkład Josepha Snodgrassa w działania komitetów na rzecz ustawy o wstrzeźliwości niedzielnej, jak również - w rehabilitację Johna Watchmana bezpośrednio przed wyborami trzeciego października; istnienie wiersza *Obcego zatrata* autorstwa Marguerite St. Leon Loud z Filadelfii - być może pierwszego utworu, jaki opublikowano na temat śmierci Poego, a po raz pierwszy tutaj poddanego analizie i cytowanego jako związany z osobą pisarza. Wreszcie - nie znany wcześniej list adresowany do „E.S.T. Greya”, spoczywający w urzędzie pocztowym Filadelfii w ostatnich tygodniach życia Poego (najprawdopodobniej ostatni, jaki doń napisano). Prócz tego zamieszczam własną próbę analizy przyczyn, dla których Poe przybrał dziwny przydomek „Grey”.

Poza tym ujmuję w tekście wstąpienie Poego do Synów Wstrzeźliwości z Shockoe Hill, wyrażoną przez pracowników pisma „Patriot” chęć zebrania funduszy na nagrobek poety, przygotowanie przez wielebneho Clemma dłuższej niż ostatecznie wygłoszona mowy pożegnalnej, opis listu Walkera, a także fragmenty nieznanego poematu doktora Snodgrassa poświęconego śmierci Poego.

Pracując nad powieścią, wykorzystałem zarówno oryginalny, własny materiał badawczy, jak i wszelkie dostępne źródła historyczne, aby jak najwierniej ukazać wiedzę postaci na temat Poego około roku 1850. Należy tu wspomnieć między innymi datę i miejsce urodzenia pisarza, a także status jego adopcji przez rodzinę Allanów - nie rozstrzygnięty przez wiele lat po jego śmierci, po części dlatego, iż on sam zataił pewne szczegóły swego życiorysu. Wszystkie cytaty dotyczące śmierci poety zostały zaczerpnięte z prawdziwych artykułów gazetowych z dziewiętnastego wieku; wszelkie zdania Poego zostały przezeń napisane bądź wypowiedziane. Faktycznie: w wieku lat dwudziestu Edgar Allan Poe, działając jako pełnomocnik swej przyszłej teściowej, Marii Clemm, sprzedał dwudziestojednoletniego niewolnika imieniem Edwin za sumę czterdziestu dolarów murzyńskiej rodzinie w Baltimore - i rzeczywiście była to jedna z metod wyzwolenia niewolników.

Obraz Baltimore i Paryża zrekonstruowałem na podstawie rozmaitych wspomnień, przewodników, map oraz tekstów literackich z epoki. Działania i przedsięwzięcia departamentów policji obu miast, Ludwika Napoleona, Hope H. Slattera i Elizabeth Patterson Bonaparte to fikcja, acz również oparta na wszelkich dostępnych

zapisach historycznych.

Quentin Clark to wprawdzie postać wykreowana, lecz mająca odzwierciedlać pasje, potrzeby i tęsknoty nielicznych entuzjastów Edgara Allana Poe z okresu, gdy był autorem niedocenianym i wręcz pogardzanym. Jeśli chodzi o relacje Quentina z Poem, posłużyłem się korespondencją artysty z George'em Eveleth i Phillipem Pendleton Cooke. George Spence, Neilson Poe, Henry Herring, Henry Reynolds, doktor John Moran, Benson i wreszcie doktor Snodgrass to postaci autentyczne, których opisy stworzyłem, posiłkując się źródłami historycznymi. Poglądy ich na temat życia i pisarstwa Poego stanowią odbicie różnych, a spotykanych i dzisiaj jeszcze postaw wobec genialnego autora.

Przez ponad sto lat usiłowano rozwiązać zagadkę pierwowzoru Dupina. Auguste Dupont i Baron Dupin to postaci fikcyjne, niemniej starałem się nadać im cechy licznych „kandydatów”, których nazwiska podają uczeni. Na liście tej znaleźli się, pośród innych, francuski nauczyciel C. Auguste Dubouchet oraz Andre-Marie-Jean-Jacques Dupin, wybitny prawnik.

Tajemnica śmierci Poego pozostaje niezgłębiona, lecz mimo że poszukiwania Quentina Clarka zostały wymyślane, ujmują one działalność najpierwszych badaczy amatorów, wyprzedzających o dekady naukowców i teoretyków, którzy podjęli temat. Maria Clemm, Neilson Poe i Benson bez rozgłosu zaczęli gromadzić stosowne informacje tuż po śmierci Poego, wciąż jednak można się spodziewać nowych, zaskakujących odkryć.

Podziękowania

Pragnę podziękować przede wszystkim czterem osobom, których pomoc przy pracy nad książką okazała się wprost nieoceniona: mojej agentce i przyjaciółce, Suzanne Gluck, Ginie Centrello z oficyny Random House, a także redaktorom Jonowi Karpowi i Jennifer Hershey - za inspirację, wiarę i oddanie.

Wspierali mnie również swym doświadczeniem - z William Morris Agency: Jon Baker, Georgia Cool, Raffaella De Angelis, Alice Ellerby, Michelle Feehan, Tracy Fisher, Candace Finn, Eugenie Furniss, Alicia Gordon, Yael Katz, Shana Kelly, Rowan Lawton, Erin Malone, Andy McNicol, Emily Nurkin i Bari Zibrack, oraz z wydawnictwa Random House: Avidah Bashirrad, Kate Blum, Sanyu Dillon, Benjamin Dreyer, Richard Elman, Megan Fishmann, Laura Ford, Jonathan Jao, Jennifer Jones, Vincent La Scala, Libby McGuire, Gene Mydlowski, Grant Neumann, Jack Peny, Tom Peny, Jillian Quint, Carol Schneider, Judy Sternlight (Modern Library), Beck Stvan, Simon Sullivan, Bonnie Thompson i Jane von Mehren. Dziękuję też za wszelkie rady i sugestie Chrisowi Lynchowi (z Simon & Schuster Audio), Stuartowi Williamsowi i Jasonowi Arthurowi (z Harvill Secker UK), Elenie Ramirez (z Seix Barral) i Francesce Cristoffanini (z Rizzoli).

Chciałbym też wspomnieć o tych, którzy mnie utwierdzali w słuszności poszukiwań. Są to, jak zawsze, rodzice: Susan i Warren Pearlowie, mój brat Ian Pearl, jak również Benjamin Cavell, Joseph Gangemi, Julia Green, Anna Guillemine, Gene Koo, Julie Park, Cynthia Posillico, Gustavo Turner, Scott Weinger i Tobey Wiggins.

Ponadto dziękuję pracownikom Boston Public Library, Harvard University, Iowa University, Duke University, Maryland Historical Society, Enoch Pratt Public Library w Baltimore, Johns Hopkins University, New York Public Library, Library of Virginia i University of Virginia. Bezcennych wskazówek na temat Edgara Allana Poe i rozmaitych sfer życia i kultury dziewiętnastego stulecia udzielili mi: Ralph Clayton, Dr John Emsley, Allan Holtzman, Jeffrey Meyers, Scott Peeples, Edward Papenfuse, Jeff Savoye, Kenneth Silverman i Dr Katherine Watson.

Niezmiernie zobowiązany jestem wybitnym badaczom wiedzy o życiu Poego, między innymi Burtonowi Pollinowi, który w „Broadway Journal” jako pierwszy wskazał - wspomniane przeze mnie w powieści - inicjały „E.S.T.G”. Na uznanie zasługuje też prowadzona z niezwykłą starannością przez Jeffa Savoye strona internetowa Edgar

Allan Poe Society z Baltimore (eapoe.org). Wreszcie pragnę podziękować pracownikom oraz sympatykom muzeów i domów Poego w Baltimore, Fordham, Filadelfii i Richmond, jak również cmentarza Westminster w Baltimore - dzięki którym nadal możemy obcować z pisarzem, uczestnicząc w jego akcie twórczym.